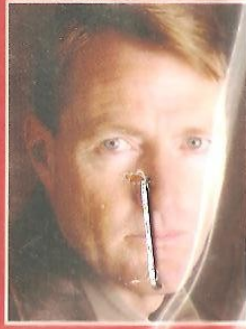


# NIC DO STRACENIA LEE CHILD

JACK REACHER TO JEDYNY PROMYK NADZIEI DLA MIASTECZKA ROZPACZ...



24.04



## LEE CHILD

Jack Reacher jest bohaterem trzynastu bestsellerowych thrillerów Lee Childa, przetłumaczonych na 30 języków. Niebezpieczny i inteligentny twardziel, obdarzony poczuciem humoru. Bez wahania używający siły. Facet, któremu nie należy wchodzić w drogę. Typ niezależnego samotnika, który nigdzie nie może zagrzać miejsca. Pojawia się, rozwiązuje problem i odchodzi. Kobiety za nim szaleją, mężczyźni chętnie weszliby w jego skórę. Po raz pierwszy czytelnicy zetknęli się z Reacherem w powieści *Poziom śmierci*. Teraz do grona jego największych fanów zaliczają się m.in. Stephen King i były prezydent USA Bill Clinton.

Nadzieja i Rozpacz. Dwa miasteczka połączone dwudziestoma kilometrami nieuczęszczanej szosy gdzieś pośród pustynnych bezkresów Kolorado. I przemierzający ją samotnie Jack Reacher, który chce tylko napić się kawy. Rozpacz okazuje się mało gościnnym miejscem. Bez żadnego powodu czterech osiłków próbuje wyrzucić Jacka z miasta. Policja odstawia go do granicy grożąc, że jeśli wróci, trafi do aresztu. Czy mieszkańcy czegoś się boją? Mają coś do ukrycia? Jeśli tak, to się przeliczyli. Bo Reacher nie ma nic do stracenia. Ani żadnych zahamowań. Dziwne zachowanie przedstawicieli lokalnej władzy wzmaga tylko jego determinację, by wyjaśnić ponure tajemnice, skrywane przez miasto i położony w pobliżu potężny zakład recyklingu złomu. Tajemnice, które mogą mieć związek z odległą wojną, w której giną tysiące ludzi. Jedyńm sojusznikiem Jacka będzie młoda policjantka z Nadziei...

**LEE CHILD**

**NIC DO STRACENIA**

Tytuł oryginału:  
NOTHING TO LOSE

Z angielskiego przełożył  
BOGUSŁAW STAWSKI

Oficjalne strony internetowe Lee Childa [www.jackreacher.co.uk](http://www.jackreacher.co.uk) / [www.leechild.com](http://www.leechild.com)

Dla Rae Helmsworth i Janinę WUson.  
Wiedzą dlaczego...

Wydarzenia opisane w niniejszej książce są fikcyjne i poza faktami historycznymi wszelkie podobieństwo postaci książkowych do osób żyjących i zmarłych jest całkowicie przypadkowe.

Jack Reacher: CV

Imiona i nazwisko:

Jack Reacher (drugiego imienia nie ma)

Narodowość:

Amerykańska

Urodzony:

29 października 1960 roku

Charakterystyczne dane:

195 cm; 99-110 kg;

127 cm w klatce piersiowej

Ubranie:

Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie:

Szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie;

Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby:

13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych; w 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w 1997 roku

Odnaczenia służbowe: Wysokie:

Srebrna Gwiazda, Za Wzorową Służbę Service Medal, Legia Zasługi Ze środkowej półki:

Soldier's Medal, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce Z dolnej półki: „Junk awards”

Matka:

Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm. 1990

Ojciec:

Żołnierz zawodowy, korpus piechoty morskiej, służył w Korei i Wietnamie

Brat:

Joe, ur. 1958, zm. 1997; 5 lat w wywiadzie armii Stanów Zjednoczonych; Departament Skarbu

Ostatni adres:

Nieznany

Czego nie ma:

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

1

Czuł, że słońce grzeje połową swojej mocy, bo wiedział, co to jest prawdziwy skwar. Było jednak wystarczająco gorąco, by odczuwał niepokój i mdłości. Czuł się bardzo osłabiony. Nie jadł od siedemdziesięciu dwóch godzin i nie pił od czterdziestu ośmiu.

To nie było zwykłe wyczerpanie. Umierał i zdawał sobie z tego sprawę.

Obrazy w mózgu zaczęły się rozmazywać. Widział łódź przywiązaną do przystani przegniłą liną; walczyła z silnym prądem rzeki, który w końcu ją pokonał, uwolnił, odciągnął od brzegu. Widział siebie jako małego chłopca skulonego w łodzi, spoglądającego bezsilnie na brzeg rzeki i oddalający się pomost.

A może był to szybowiec unoszony bryzą, zwolniony z uwięzi, powoli szybujący w górę i w dół, z chłopcem w kabinie, obserwującym coraz mniejsze postacie na ziemi, machające, wpatrujące się w niego z zaniepokojonymi twarzami.

W końcu te wyobrażenia zupełnie się rozmyły, bo słowa stały się ważniejsze od obrazów, co było przecież absurdem, skoro nigdy wcześniej nie przejmował się słowami. Lecz zanim umrze, chciał wiedzieć, które należały tylko do niego. Które z nich opisywały go najlepiej? Czy był już dorosły, czy wciąż pozostawał dzieckiem? „Bądź mężczyzną”, ktoś mu powiedział. A inni nalegali: „To nie wstyd zostać chłopcem”. Był wystarczająco dojrzały, by głosować, zabijać i umierać, co czyniło go mężczyzną. Ale jednocześnie za młody, by pić alkohol, nawet piwo, co sprawiało, że czuł się jak chłopiec. Czy był odważny, czy może tchórzliwy? Chwalono go za odwagę i wyzywano od tchórzy. Mówiono o nim: niedostosowany, rozkojarzony, obłąkany, nie zrównoważony, paranoiczny, zagubiony. Rozumiał to i akceptował, oprócz tego jednego słowa - „niedostosowany”. A niby jak miał być „dostosowany” albo „dopasowany”? Jak drzwi do futryny? Może więc wszyscy ludzie byli drzwiami? Może wszystko tylko przez nich przechodziło? Może poruszał nimi wiatr? Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tą kwestią, wreszcie sfrustrowany odbił wszystkie myśli wyimaginowanym kijem baseballowym. Paplał jak nastolatek zakochany w trawce.

Jeszcze półtora roku wcześniej rzeczywiście nim był.

Osunął się na kolana. Wiedział, że piasek jest zaledwie ciepły, bo przecież nie prażył w nogi. Był jednak wystarczająco gorący, by go ogrzać. Upadł na twarz wyczerpany i wycieńczony do granic. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli zamknie oczy, już nigdy ich nie otworzy.

Ale był bardzo zmęczony. Tak bardzo, bardzo zmęczony.

Bardziej niż jakikolwiek mężczyzna czy zwykły chłopiec mógłby być zmęczony.

Zamknął oczy.

2

Granicą pomiędzy Nadzieją a Rozpaczą była przerwa w nawierzchni drogi, w miejscu gdzie kończyła się droga jednego, a zaczynała droga drugiego miasteczka. Wydział drogownictwa zarządu miasta Nadzieja pokrył drogę grubą, gładką warstwą asfaltowej nawierzchni. Rozpacz miała najwidoczniej mniejszy budżet miejski. To było widać gołym okiem. Na szutrowe i kamieniste podłoże swojej drogi wylali zwykłą smołę. W miejscu połączenia tych dwóch nawierzchni powstał uskok o szerokości kilku centymetrów wypełniony czystym lepikiem. Taka jakby przerwa dylatacyjna. Granica. Linia. Jack Reacher przekroczył ją jednym krokiem i szedł dalej. Nawet nie zwrócił na nią większej uwagi.

Dopiero później sobie ją przypomniał. Dopiero później odtworzył ją w pamięci z najdrobniejszymi szczegółami.

Miasteczka Nadzieja i Rozpacz leżały w stanie Kolorado. Reacher znalazł się w Kolorado, bo dwa dni wcześniej był w stanie Kansas, a przecież Kolorado graniczy z Kansas. Kierował się na południowy zachód. Przebywał wtedy w Calais, w stanie Maine, gdy przyszła mu do głowy myśl, by przejechać całe Stany na ukos, z Maine aż do San Diego w Kalifornii. Calais



było najważniejszym miasteczkiem na północnym wschodzie kraju, a San Diego najważniejszym i największym miastem na południowym zachodzie. Z jednego najbardziej wysuniętego miejsca do drugiego. Znad Atlantyku nad Pacyfik. Z zimna i wilgoci w ciepło i suche powietrze. Jechał autobusem, jeśli miał połączenie, i łapał okazję, kiedy go nie miał. Gdy nie mógł złapać okazji, szedł pieszo. Do Nadziei podwiózł go emerytowany sprzedawca guzików swoim mercurym grand marquis w kolorze butelkowej zieleni. Stamtąd wyruszył pieszo, bo tego ranka w kierunku Rozpaczy nie jechał żaden samochód.

Ten fakt też sobie później przypominał. I zastanawiał się, dlaczego nie było żadnego ruchu w kierunku Rozpaczy?

Jeśli już chodzi o ten jego wielki plan przemierzenia kraju po przekątnej, to trochę zoczył z kursu. Właściwie powinien był kierować się na południowy zachód i przekroczyć granicę stanu Nowy Meksyk, ale nie podchodził zbyt skrupulatnie do swoich planów podróży. Model Grand Marquis był bardzo komfortową limuzyną, a starszy sklepikarz jechał prosto do Nadziei odwiedzić trójkę wnucząt. Później miał zamiar udać się do Denver, by odwiedzić kolejną czwórkę. Reacher cierpliwie wysłuchiwał rodzinnych historii i całkowicie pogodził się z tym, że zrobi taki mały objazd i pojedzie najpierw na zachód, a dopiero później skieruje się na południe. Może te boki trójkąta, które miał do pokonania, okażą się ciekawsze od zaledwie jednego boku? Znalazłszy się w Nadziei, spojrzął na mapę i widząc, że do Rozpaczy jest zaledwie dwadzieścia kilka kilometrów, nie mógł oprzeć się chęci dodatkowego objazdu. W wyobraźni chyba już nawet dwukrotnie pokonywał tę właśnie trasę. Teraz doszedł do wniosku, że plany należy dostosować do rzeczywistości, szczególnie że los dał mu taką możliwość.

To też sobie później przypominał.

Droga pomiędzy dwoma miasteczkami była prostą jak drut dwupasmową szosą. Delikatnie się wznosiła i kierowała na zachód. Nic specjalnego. Ten skrawek zachodniego Kolorado był zdecydowanie płaski. Zupełnie jak Kansas. Choć Jack dostrzegł wypiętrzone Góry Skaliste - niebieskawe, potężne i rozmyte daleko na linii horyzontu. Choć wydawało się, że są bardzo blisko, rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Reacher wspinał się na wzniesienie i stanął jak wryty. Teraz zrozumiał, dlaczego jedno miasteczko nazywało się Nadzieja, a drugie Rozpacz. Osadnicy przemierzający kraj ze wschodu na zachód sto pięćdziesiąt lat temu zatrzymywali się w miejscu, które zaczęto nazywać Nadzieją, widząc niemal na wyciągnięcie ręki ostatnią wielką przeszkodę do pokonania. Potem po dniu, tygodniu lub miesiącu przerwy ruszali w drogę, dochodząc do tego samego wzniesienia, i dostrzegali, że ów pozornie bliski widok Gór Skalistych był okrutnym psikusiem wyrządzonym przez topografię terenu, złudzeniem optycznym, załamaniem światła. Ze szczytu wzniesienia ostatnia przeszkoda do pokonania okazywała się znowu tak samo odległa, a nawet jeszcze bardziej nieosiągalna, rozpościerając się setki kilometrów dalej za niekończącymi się równinami. Może zaczynała się za tysiącami kilometrów, choć to też mogło być złudzeniem. Reacher obliczył, że tak naprawdę pierwsze spore szczyty znajdowały się w odległości około trzystu kilometrów. Długi miesiąc marszu i wleczenia się wozów zaprzężonych w muły przez pozbawioną charakterystycznych cech dziką roślinność, po pojawiających się od czasu do czasu przetartych koleinach wytłoczonych dziesiątki lat wcześniej przez innych podróżników. Albo półtora miesiąca marszu w niesprzyjającej porze roku. W kontekście całej wędrówki może nie była to jakaś wielka tragedia, ale z pewnością gorzkie rozczarowanie, wstrząs wystarczająco silny, by pełnych nadziei, niespokojnych i niecierpliwych podróżników pogrążyć w rozpacz w czasie wystarczającym na przeniesienie wzroku z jednej krawędzi horyzontu na drugą.

Reacher szedł z chropowatej nawierzchni drogi należącej do okręgu miasta Rozpacz i przeszedł przez pas suchej i spękanej ziemi do wystającej skały wielkości samochodu, płaskiej jak łąka. Rozciągnął się na niej na wznak, splótł ręce pod głową i wpatrywał się w niebo. Było bladobłękitne, poprzecinane długimi pierzastymi chmurami, które mogły powstać

jakiś czas temu jako ślady odrzutu z silników przelatującego samolotu transkontynentalnego. Dawniej pewnie zapaliłby papierosa, by zabić czas. Ale rzucił palenie. Ten nałóg wymagałby noszenia ze sobą przynajmniej jednej paczki papierosów i zapalek, a przecież Reacher już dawno temu przestał targać ze sobą rzeczy, których nie potrzebował. W kieszeniach nie miał nic poza gotówką, nieważnym paszportem, kartą bankomatową i składaną szczoteczką do zębów. Nigdzie też nic na niego nie czekało. Nie wynajmował żadnej przechowalni na swoje rzeczy, nie trzymał niczego u kolegów. Wszystko, co miał, to zawartość kieszeni, rzeczy, w które był ubrany, i buty na nogach. Właśnie tyle mu wystarczało. Wszystko, czego potrzebował, i nic, czego nie potrzebował.

Podniósł się i stanął na palcach. Za nim, na wschodzie, rozciągała się niecka o rozpiętości mniej więcej dwudziestu kilometrów. Prawie w jej centrum leżało miasteczko Nadzieja. Obszar może dziesięciu na sześć kwartałów zabudowanych murowanymi domami otaczały farmy, stodoły i zabudowania gospodarcze z drewna i blachy falistej. Razem tworzyły ciepłą rozmazaną plamę przebijającą się przez mgiełkę z nagrzanego powietrza. Przed nim, na zachodzie, gdzie rozciągały się dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych płaskiego terenu, zupełnie pustego, poprzecinanego wstążkami odległych dróg, leżało miasteczko Rozpacz oddalone od niego mniej więcej o piętnaście kilometrów. Rozpacz było trudniej dostrzec niż Nadzieję. Mgiełka na zachodzie wyglądała na gęstszą. Choć szczegóły pozostawały niewidoczne, to miasteczko wydawało się większe od Nadziei. Miało kształt kropki z obowiązkowym placem targowym w centrum, lekko na południe od głównej drogi. Za centrum musiała leżeć dzielnica przemysłowa, bo spowijał ją smog. Rozpacz wyglądała mniej przyjemnie od Nadziei. Z oddali wydawała się zimna w odróżnieniu od swojej ciepłej sąsiadki; szara tam, gdzie Nadzieja była kolorowa. Rozpacz nie zachęcała do odwiedzin. Przez krótką chwilę Reacher zastanawiał się nad powrotem do Nadziei i wyruszeniem stamtąd bezpośrednio na południe, ale odrzucił tę myśl, zanim zdążyła się w pełni ukształtować w jego umyśle. Reacher nie cierpiał zawracać. Lubił przeć do przodu, nie oglądać się za siebie. Życie każdego człowieka wymagało jakiejś głównej zasady postępowania, a właśnie nieustanny ruch przed siebie stał się zasadą Reachera.

Później Jack był zły sam na siebie za swój brak elastyczności.

Zszedł ze skały i poszedł na ukos po piasku, dochodząc do asfaltowej drogi jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, w którym z niej zbieżył. Trzymając się lewej strony, szedł spokojnie wydłużonym krokiem, trochę szybciej niż pięć kilometrów na godzinę. Wybrał lewą stronę szosy dla większego bezpieczeństwa. Nie było jednak żadnego ruchu. W żadną stronę. Droga była zupełnie pusta. Żadnych pojazdów. Żadnych samochodów, żadnych ciężarówek. Nic. Ani jednej szansy na złapanie okazji. Reacher był tym trochę zaskoczony, ale w sumie wcale się nie przejmował. Wiele razy w swoim życiu pokonywał ponaddwudziestokilometrowe dystanse. Zaczesał palcami do tyłu włosy opadające mu na czoło. Zdjął koszulę i zarzucił ją sobie na plecy. Szedł dalej w kierunku bliżej nieokreślonej przyszłości.

3

Przedmieście zaczynało się pustym placem, na którym pewnie planowano coś wybudować ze dwadzieścia lat temu, ale nic z tego nie wyszło. Dalej był motel - zamknięty, podniszczony, może zupełnie opuszczony. Po drugiej stronie ulicy, pięćdziesiąt metrów na zachód, stała stacja benzynowa. Dwa stare dystrybutory paliwa. Nie takie antyczne, typowo wiejskie, jak na obrazach Edwarda Hoppera, ale i tak kilka generacji wcześniejsze od współczesnych. Z tyłu znajdował się mały pawilon z oknem z brudną, zatłuszczoną szybą. Na parapecie ustawiono kanistry z olejem, ustawione jeden na drugim w kształt piramidy. Reacher podszedł do pawilonu i wcisnął głowę w otwarte drzwi. W środku było ciemno, a powietrze intensywnie pachniało kreozotem i ciepłym surowym drewnem. Za ladą stał facet w wytartym i brudnym kombinezonie. Mniej więcej trzydziestoletni, szczupły.

- Macie kawę? - spytał go Reacher.
- To stacja benzynowa - odpowiedział typek.
- Stacje benzynowe sprzedają kawę, wodę i napoje - odparł Jack.
- Ale ta nie - oznajmił sprzedawca. - Ta sprzedaje benzynę.
- I olej.
- Jeśli jest komuś potrzebny.
- A czy macie jakąś kawiarnię w miasteczku?
- Jest restauracja.
- Tylko jedna?
- Jedna nam zupełnie wystarcza.

Reacher wycofał się na światło dzienne i odszedł. Jakies sto metrów dalej obok jezdni pojawiły się chodniki, a droga zmieniła się w ulicę Main Street, jak głosiła nazwa na słupie. Trzydzieści metrów dalej po lewej stronie pojawił się normalny zabudowany kwartał miejski. Jego głównym elementem składowym był odpychający, murowany, dwupiętrowy budynek. Dawniej mógł to być skład suszonej żywności. Teraz też chyba pełnił jakąś handlową funkcję. Przez zakurzone szyby Reacher dostrzegł trzech klientów, rulony tkanin i plastikowe naczynia domowe. Obok był następny, identyczny dwupiętrowy budynek z cegły, i następny, i jeszcze następny. Centrum miasteczka stanowiło jakieś dwanaście na dwanaście zabudowanych kwartałów, głównie na południe od Main Street. Jack Reacher nie był znawcą architektury, a zdając sobie sprawę z tego, że jest daleko na zachód od Missisipi, pomyślał, że to miejsce przypomina mu miasteczko przemysłowe w stanie Connecticut albo zabudowania portowe Cincinnati. Było zwykłe, surowe, szare i przestarzałe. Oglądał filmy o małych miasteczkach Ameryki, gdzie fronty budynków i ulice przyozdabiano kunsztownie do filmowania, by wyglądały bardziej kolorowo i żywiołowo oraz by zakryć szarą rzeczywistość. To miejsce było ich dokładnym przeciwieństwem, jakby jakiś scenarzysta i cała grupa asystentów planu strasznie się postarali, by miasteczko wyglądało jeszcze bardziej ponuro i niechlujnie niż zwykle. Na ulicach był niewielki ruch. Samochody osobowe i pick-upy wlokły się bez pośpiechu. Żaden z nich nie miał mniej niż trzy lata. Kilku przechodniów snuło się na chodnikach.

Reacher skręcił bez namysłu w lewo i postanowił znaleźć obiecaną restaurację. Zanim do niej dotarł, przeszedł ze dwanaście przecznic, minął sklep spożywczy, zakład fryzjerski, bar, kamienicę z pokojami do wynajęcia i wyblakły stary hotel. Restauracja zajmowała cały parter jednej z tych nudnych ceglanych kostek wypełniających kwartały ulic. Wnętrze miało wysoki sufit, a większość ścian była przeszklona od ziemi do sufitu. Całkiem możliwe, że mieścił się tu kiedyś salon samochodowy.

Podłoga została wyłożona płytkami, stoły i krzesła były proste, brązowe i drewniane i pachniały gotowanymi warzywami. Tuż za drzwiami stała mała lada recepcyjna z mosiężną tabliczką umocowaną na nóżce przyczepionej do ciężkiej podstawy. Tabliczka głosiła: „Proszę czekać na wskazanie stolika”. Takie same tabliczki widział we wszystkich restauracjach, od oceanu po ocean. Ta sama treść, ten sam odcień mosiądzu, ten sam kształt. Domyślił się, że pewnie jakaś firma handlująca wyposażeniem restauracji musiała sprzedać ich miliony. Identyczne stały w restauracjach w Calais, w Maine. Spodziewał się, że zobaczy je jeszcze w San Diego w Kalifornii. Stał przy ladzie i czekał.

I czekał.

W środku było jedenastu klientów. Wszyscy jedli. Trzy pary, trójka znajomych i dwa single. Jedna kelnerka. Nikt przy barze. Nikt przy ladzie recepcyjnej. W sumie nic niezwykłego. Reacher jadał w tysiącach podobnych miejsc i znał ich rytm pracy. Jedyna kelnerka wkrótce odwróciła się do niego i skinie głową na przywitanie, jakby mówiła: „Zaraz do pana podejść”. Przyjmie zamówienie, przyniesie danie na talerzu i zniknie, poprawiając opadający na policzki kosmyk włosów w geście będącym zarówno przeproszeniem, jak i prośbą o



zrozumienie. Weźmie kartę dań i zaprowadzi go do stolika, po czym ucieknie, by przybyć ponownie i powtórzyć typowy rytuał z zamawianiem.

Ale tutaj kelnerka nie zachowała się w taki sposób.

Owszem, spojrzała w stronę Jacka, ale nie skinęła głową. Popatrzyła na niego przez długą sekundę i odwróciła wzrok. Zajął się tym, co robiła wcześniej. A wcześniej w zasadzie niewiele robiła. Cała jedenastka była już spacyfikowana, a ona po prostu wymyślała sobie pracę. Zatrzymywała się przy stolikach i pytała klientów, czy wszystko jest w porządku, dolewała im kawy, jeśli było jej mniej niż na dwa centymetry od krawędzi filiżanki. Reacher odwrócił się, by sprawdzić, czy może nie pomyliły mu się godziny otwarcia restauracji. Może właśnie mieli zamykać? Nie. Dodatkowo sprawdził swoje odbicie w lustrze, czy nie popełnia straszego społecznego wykroczenia swoim ubiorem. Ale nie. Miał na sobie ciemnoszare spodnie i pasującą do nich ciemnoszarą koszulę, odzież kupioną dwa dni wcześniej w sklepie z ubraniami roboczymi w Kansas. Sklepy z ubraniami roboczymi były jego najnowszym odkryciem. Zwykłe, mocne, dobrze uszyte ciuchy za rozsądną cenę. Wyglądał doskonale. Włosy krótkie i zaczesane. Golił się poprzedniego ranka. Rozporek miał zasunięty.

Odwrócił się i czekał.

Goście restauracji zaczęli mu się przyglądać. Jeden po drugim. Całkiem otwarcie lustrowali go wzrokiem i wracali do jedzenia. Kelnerka powoli zrobiła swoją rundę po całej sali, patrząc wszędzie, byle nie na niego. Stał nieruchomo, analizując sytuację w swojej mózgowej bazie danych, starając się ją zrozumieć. Wreszcie stracił cierpliwość, minął tabliczkę, wszedł na salę i usiadł przy stoliku dla czterech osób. Kelnerka obserwowała jego zachowanie i po chwili wyszła do kuchni.

Już nie wróciła.

Reacher siedział i czekał. Na sali panowała cisza. Żadnych rozmów. Żadnych dźwięków, poza cichym metalicznym szuraniem sztućców po talerzach, mlaskaniem, ceramicznym stukiem filiżanek powoli opuszczanych na talerzyki i drewnianym trzeszczeniem nóg krzeseł pod ciężarem ludzi zmieniających pozycję. Można było odnieść wrażenie, że te drobne hałasy potęgowały się i poprzez olbrzymią powierzchnię płytek podłogowych, aż do momentu gdy wydawały się wręcz przerażająco głośne.

Nic się nie wydarzyło przez prawie dziesięć minut.

Wtedy pod restaurację podjechał stary pick-up z podwójną kabiną pasażerską i zatrzymał się przed samymi drzwiami. Po sekundzie z samochodu wysiadło czterech facetów. Przez chwilę tworzyli zbitą formację na chodniku, po czym weszli do restauracji. Zatrzymali się na moment i rozglądali po sali, dopóki nie odnaleźli swojego celu. Podeszli od razu do stolika, przy którym siedział Reacher. Trzech z nich usiadło na wolnych krzesłach, czwarty stał u szczytu stołu, blokując Reacherowi drogę ucieczki.

4

Ci czterej faceci byli słusznego wzrostu, najniższy z nich miał ze sto osiemdziesiąt centymetrów, a najlżejszy ważył pewnie około dziewięćdziesięciu kilogramów. Silne dłonie, grube nadgarstki i umięśnione ramiona. Dwóch z nich miało złamane nosy; żaden nie mógł się pochwalić pełnym uzębieniem. Byli bladzi i ogólnie wyglądali niezbyt zdrowo. Brudne ubrania uzupełniał brud przylepiony do zagłębień skóry, który połyskiwał i odbijał światło jak metal. Mieli na sobie płócienne koszule robocze z rękawami podwiniętymi powyżej łokci. Ich wiek można by zamknąć w granicach od trzydziestu do czterdziestu lat. Wyglądali, jakby lubili sprawiać ludziom kłopoty.

- Nie potrzebuję towarzystwa. Wolę jeść w samotności - oświadczył Reacher.

Ten stojący u szczytu stołu był największy z całej czwórki, może o parę centymetrów i jakieś pięć kilogramów.

- Nie dostaniesz tu nic do jedzenia.

- Nie? - zdziwił się Reacher.
- Nie, nie tutaj.
- Ale to jest jedyna knajpa w tym mieście.
- To prawda.
- No więc jak to?
- Zabieraj się stąd.
- Zabieraj się?
- Spadaj!
- Skąd?
- Z tej restauracji!
- A niby dlaczego?
- My nie lubimy obcych.
- Ja też nie, ale muszę gdzieś zjeść, bo zasuszę się i będę wyglądał tak chuderlawo jak wasza cała czwórka - stwierdził Reacher.
- Dowcipniś z siebie.
- Mówię, jak jest - odparł Reacher.

Położył dłonie na blacie stołu. Ważył o piętnaście kilo więcej od największego z nich i przewyższał go wzrostem o co najmniej pięć centymetrów. Nad pozostałymi miał oczywiście większą przewagę. Chętnie założyłby się też o to, że ma trochę więcej doświadczenia w takich sprawach i znacznie mniej oporów wobec działania niż każdy z nich. Albo nawet niż wszyscy razem wzięci. Jednak podsumowując, może się okazać, że postawi swoje sto piętnaście kilogramów przeciwko ich czterystu. Niezbyt dobre równanie. Ale Reacher nie lubił się wycofywać.

- Nie chcemy cię tutaj - odezwał się facet stojący przy stole.
- Myślę, że mylicie mnie z kimś, kto nie ma w dupie waszych zachcianek - odparł Reacher.
- Nikt tu cię nie obsłuży.
- Czyżby?
- Nie licz na to.
- To ty zamów za mnie.
- I co wtedy?
- Wtedy zjem twój lunch.
- Dowcipny jesteś. Ale musisz już stąd wyjść - powtórzył swoją kwestię stojący mężczyzna.
- Dlaczego?
- Wynocha stąd!
- A wy macie jakieś nazwiska? - zapytał Reacher.
- Nie dla ciebie. Wynocha!
- Jeśli mam stąd wyjść, to muszę to usłyszeć od właściciela. Nie od was.
- Możemy to załatwić.

Facet stojący przy stole skinął głową do jednego z siedzących, a ten odsunął krzesło, wstał i skierował się do kuchni. Jakaś minutę później wrócił z mężczyzną przepasanym poplamionym fartuchem. Gość w fartuchu wycierał ręce w ścierkę do naczyń i nie wyglądał na szczególnie przejętego ani zastraszonego. Podszedł prosto do stolika Reachera i powiedział:

- Proszę, by opuścił pan moją restaurację.
- Ale dlaczego? - domagał się wyjaśnienia Jack.
- Nie muszę się panu tłumaczyć.
- Pan jest właścicielem?
- Tak.
- Dobra. Wyjdę, jak dostanę filiżankę kawy - zaproponował Reacher.
- Nie, wyjdzie pan teraz.

- Czarną, bez cukru.
- Nie chcę tu kłopotów.
- Wy już macie kłopoty. Jeśli dostanę filiżankę kawy, to wyjdę. Jeśli zostanę obsłużony, a ci goście będą próbowali wyrzucić mnie stąd siłą, to ty spędzisz resztę dnia, ścierając krew z podłogi, i całe jutro na kupowaniu nowych krzeseł i stołów.

facet w fartuchu nic nie odpowiedział.

- Czarną, bez cukru - powtórzył Reacher.

Stał osłupiały i dopiero po dłuższej chwili ruszył w stronę kuchni. Po minucie pojawiła się kelnerka z filiżanką balansującą na spodeczku. Przeszła przez całą salę i postawiła ją przed Reacherem tak ostentacyjnie, że trochę kawy wylało się na talerzyk.

- Smacznego - powiedziała.

Reacher uniósł filiżankę i wytarł jej spód o mankiet koszuli. Potem położył ją na stole i przelał do niej rozlaną kawę z talerzyka. Odłożył filiżankę na talerzyk i równo ustawił zestaw przed sobą na stole. Powtórnie uniósł filiżankę, tym razem do ust, i upił trochę kawy.

Wcale nie taka zła, pomyślał. Trochę za słaba, trochę za długo parzona, ale jak na komercyjną kawę to nawet niezły aromat. I tak była lepsza niż w większości jadalni, ale gorsza niż w dobrych kafeteriach. Plasował ją w samym środku skali-Filiżanka była wykonana z porcelany koszarnej jakości, z krawędzią grubą niemalże na centymetr. Przez to kawa szybko traciła temperaturę. Reacher nie uważał się za znawcę porcelany, ale uważał, że filiżanka czy kubek powinny być dopasowane do ich zawartości.

Czterej mężczyźni nadal go otaczali. Dwóch z nich siedziało, a dwóch stało. Reacher ignorował ich całkowicie i spokojnie pił kawę, początkowo powoli, a potem trochę szybciej, bo błyskawicznie stygła. Wypił do końca i odłożył filiżankę na spodeczek. Odsunął ją od siebie powoli i ostrożnie, aż talerzyk z filiżanką znalazł się na środku stołu. Szybkim ruchem cofnął lewą rękę i sięgnął do kieszeni. Faceci aż podskoczyli. Reacher wyjął jednodolarowy banknot, rozprostował go i wsunął pod talerzyk.

- No to chodźmy - mruknął.

Mężczyźni stojący u szczytu stołu usunął się z drogi. Reacher wstał z krzesła. Jedenastu gości restauracji przyglądało mu się w milczeniu. Eleganckim ruchem wsunął krzesło pod stół, ominął czterech mężczyzn i skierował się do drzwi. Czuł, że zbierają się za nim. Usłyszał stukanie butów o posadzkę. Posuwali się gęsiego między stolikami, minęli ladę recepcyjną. Na sali było zupełnie cicho.

Pchnął drzwi i wyszedł na ulicę. Zrobiło się chłodno, mimo że słońce jeszcze nie zaszło. Chodnik był ułożony z betonowych płytek o wymiarze dwadzieścia na dwadzieścia centymetrów połączonych czarnym cementowym spoiwem o szerokości dwóch centymetrów. Reacher skierował się w lewo i zrobił cztery kroki, by nie stać za blisko zaparkowanej półciężarówki, zatrzymał się i odwrócił, mając za plecami popołudniowe słońce. Mężczyźni stanęli przed nim w szeregu w blasku promieni słonecznych świecących im prosto w oczy. Facet, który wcześniej stał u szczytu stołu, znowu odezwał się pierwszy:

- Wynocha stąd!

Przecież wyszedłem z restauracji - odparł Jack.

- Wynoś się z miasta! Reacher milczał.
- Skręć w lewo, czwarta przecznica to Main Street. Jak tam już dojdiesz, to skręć w lewo lub w prawo, na zachód lub na wschód. Gdzie chcesz. Tylko idź dalej.
- Wy ciągle to robicie na tych terenach? - zapytał Reacher.
- Co robimy?
- Wyrzucacie ludzi z miasta?
- Jasne.
- A może powiecie mi dlaczego?
- Nie musimy ci się z niczego tłumaczyć.

- Dopiero tu przyjechałem - wyjaśnił Reacher.
- Więc?
- Więc zostaję.

Facet z końca szeregu podwinął rękawy koszuli nad łokcie i zrobił krok do przodu. Miał złamany nos, braki w uzębieniu. Reacher spojrział na jego nadgarstki. Ich szerokość zdawała się jedynym miarodajnym wskaźnikiem wrodzonej siły człowieka. Te były szerokie i grube jak pień młodego dębczaka.

- Zaczepiacie niewłaściwego faceta - rzucił Reacher.
- Taki jesteś mądry? - odparł ten, który mówił za całą czwórkę.

Jack skinął głową.

- Muszę was ostrzec. Dawno temu złożyłem mojej matce pewną obietnicę. Prosiła, żebym dawał zaczepialskim szansę, by mogli odejść w pokoju.
- Jesteś aż takim maminsynkiem?
- Ona lubiła fair play.
- Nas jest czterech. Ty sam jeden.

Reacher miał opuszczone ręce, rozluźnione, z nieznacznie zaciśniętymi pięściami. Stopy w lekkim rozkroku, dającym bezpieczne oparcie. Przez podeszwy czuł twardy beton chodnika. Płyty były chropowate. Tuż przed wyschnięciem w betoniarni, pewnie jakieś dziesięć lat temu, podrapano je szczotką dla uzyskania takiej faktury. Reacher zwinął palce lewej dłoni w pięść, trzymając końce palców płasko, jakby coś w niej chował. Podniósł ją bardzo powoli i trzymał wyprostowaną na wysokości barków wewnętrzną stroną w ich kierunku. Faceci patrzyli na dłoń jak zahipnotyzowani. Sposób, w jaki ułożył zwinięte palce, sugerował, że coś w niej trzyma. Ale co? Rozchylił szybko palce. Nic tam nie miał. W tym samym ułamku sekundy ustawił ciało bokiem i wyprowadził uderzenie prawą ręką, trafiając faceta, który wyszedł do przodu, potężnym hakiem w szczękę. Ze względu na złamany nos mężczyzna oddychał przez usta, a potwornie silny cios od dołu zatrzęsł mu szczękę i wyrzucił go w powietrze. Facet wylądował płasko na chodniku jak pacynka teatralna, której nagle ktoś uciął sznurki. Stracił przytomność, zanim zdążył zwalić się na beton chodnika.

- Teraz jest was już tylko trzech - oznajmił Reacher. - A ja nadal sam.

Nie byli wcale amatorami. Szybko i prawidłowo zareagowali, rozsuwając się na boki i formując półokrąg. Pochylili się na lekko ugiętych nogach i zacisnęli pięści.

- Nadal możecie odejść - zaproponował Reacher. Facet, który przemawiał, odparł:
- Nie mamy zamiaru.
- Jesteście za słabi.
- Miałeś szczęście.
- Tylko cieniasy dają się złapać na taki cios.
- Więcej go nie powtórzysz.

Reacher milczał.

- Wynocha z miasta. Nie poradzisz sobie z nami trzema - straszyl napastnik.
- Spróbuję.
- Nie dasz rady. Jack skinął głową.
- Może masz rację. Może jeden z was zostanie na nogach, by mnie dopaść.
- Masz to jak w banku.

- Tylko musisz sobie zadać pytanie, który z was będzie tym ostatnim? Teraz trudno jest cokolwiek wydedukować. Jeden z was będzie musiał odwieźć pozostałych do szpitala na półroczną rekonwalescencję. Tak bardzo chcecie, bym się wynosił, że jesteście gotowi zaryzykować?

Milczeli. Pat. Reacher planował w myśli następne ruchy. Kopnięcie prawą nogą w krocze faceta z lewej, półobrót i uderzenie środkowego gościa łokciem w głowę, przykucnięcie, by uniknąć nadciągającego ciosu od faceta z prawej, i przywalenie mu łokciem w nerki. Raz,

dwa, trzy i po sprawie. Mógłby zakończyć akcję kilkoma kopnięciami i ciosami łokciem. Największą trudność może mu sprawić ograniczenie uszkodzeń ich ciał. Z tym trzeba być ostrożnym. Zawsze to jednak lepiej pozostać po tej właściwej stronie cienkiej granicy prawa; lepiej być oskarżonym o bójkę i pobicie niż o zabójstwo.

Pojedynek jakby zamarł. Reacher stał wyprostowany i odprężony, trzej mężczyźni lekko pochyleni, czwarty leżał nieruchomo na chodniku, krwawił, ale oddychał. Reacher dostrzegł w oddali zwykłych ludzi idących w różnych kierunkach, by załatwić swoje sprawy.

Sedany i pick-upy wlokły się ulicami, zatrzymując się na skrzyżowaniach dróg równorzędnych przed znakiem stopu.

Nagle Jack zobaczył jeden szczególnie samochód, który przeleciał przez takie właśnie skrzyżowanie bez zatrzymywania się i jechał prosto w ich kierunku. To był biało-złoty ford crown victoria. Z przodu miał czarny taran, na dachu koguty, a na bagażniku anteny. Na drzwiach namalowano tarczę i litery DPR. Departament Policji w Rozpaczy. Przez szybę można było dostrzec solidnie zbudowanego gliniarza w beżowej kurtce.

- Za wami - odezwał się Reacher. - Nadciąga kawaleria.

Sam nie zrobił ani kroku. Cały czas patrzył na trzech mężczyzn. Przyjazd gliniarza nie gwarantował absolutnie niczego. Jeszcze nie w tej chwili. Ci trzej nadal mogli nagle ruszyć do ataku. Pewnie mieli już tyle bójek na koncie, że nie miało to dla nich większego znaczenia. Ach, te małe miasteczka. Reacher wiedział z własnego doświadczenia, że w każdym z nich mieszkały jakieś powariowane dupki.

Radiowóz zahamował ostro przy krawężniku. Otworzyły się drzwi. Policjant wyciągnął z kabury między siedzeniami strzelbę do rozpędzania demonstrantów, przeładował ją charakterystycznym pompującym ruchem i przytrzymał na wysokości klatki piersiowej. Był potężnie zbudowany. Biały, mógł mieć ze czterdzieści lat. Czarne włosy. Byczy kark. Beżowa kurtka, brązowe spodnie i odcisk na czole od kapelusza, który pewnie teraz spoczywał na siedzeniu pasażera. Stanął za trzema napastnikami

i rozejrzał się dookoła, oceniając sytuację. Było oczywiste, że nie wyglądało to na spotkanie przyjaciół, pomyślał Reacher. Trzech facetów okrążających czwartego? Przecież nie zebrali im się na rozmowę o pogodzie.

- Odsunąć się! - rozkazał gliniarz głębokim, pełnym autorytetu głosem.

Mężczyźni się rozstąpili. Funkcjonariusz wyszedł przed nich, a oni z powrotem zajęli poprzednie pozycje, stojąc za jego plecami. Policjant wycelował broń prosto w klatkę piersiową Reachera.

- Jesteś aresztowany - powiedział.

5

Reacher stał bez ruchu.

- Za co? - zapytał.

- Jestem pewien, że coś wymyślą. - Gliniarz przerzucił broń do jednej ręki, a drugą sięgnął po kajdanki schowane w skórzaną pochewkę przypiętą do paska. Trzymał je płasko na dłoni. Jeden z mężczyzn wyszedł zza niego, wziął kajdanki i stanął za plecami Reachera. - Ręce do tyłu - rozkazał policjant.

- Czy ci faceci zostali zaprzysiężeni na zastępców? - domagał się odpowiedzi Reacher.

- A tobie co do tego?

- Mnie nic, ale to ważne dla nich. Bo jeśli bez powodu położą swoje łapy na mnie, to je połamię.

- Są zaprzysiężeni - odpowiedział gliniarz. - A szczególnie ten jeden, którego rozłożyłeś. - Z powrotem ujął karabin w dłonie.

- To była samoobrona - sprostował Jack.

- Wyjaśnienia zostaw dla sędziego - odparł policjant. Mężczyźni wykręcili ramiona Reachera

do tyłu i założyli mu

kajdanki na nadgarstki. Facet, który mówił za pozostałych, otworzył drzwi radiowozu i stał przy nich jak odzwierciany przytrzymujący drzwi taksówki.

- Wsiadaj do wozu - rzucił gliniarz.

Reacher stał bez ruchu, zastanawiając się nad dalszymi możliwościami. Nie trwało to długo. Nie miał żadnych możliwości. Był skuty kajdankami. Jakiś metr za nim stał jeden z jego napastników, a przed nim policjant o wzroście chyba dobrze ponad dwa metry. Dwóch pozostałych facetów stało za funkcjonariuszem. Ten karabin to chyba jakaś odmiana mossberga i choć nie rozpoznał modelu, odniósł się do tej broni z niemałym respektem.

- Wsiadaj! - powtórzył gliniarz.

Reacher zrobił krok do przodu, okręcił się, wcisnął na siedzenie tyłem i dopiero później wsunął nogi. Tapicerka tylnej kanapy była zrobiona z winylu, więc z łatwością przesunął się głębiej. Na podłodze leżały gumowe dywaniki w wypustkach. Pomiedzy tyłem a przodem zamocowano kuloodporny ekran z przezroczystego pleksi. Siedzenie kanapy było zbyt krótkie i niewygodne dla Reachera, szczególnie że miał ręce skute z tyłu. Rozsunął nogi i lewą stopę postawił na lewym dywaniku, a prawą na prawym. Pomyślał, że dzięki temu może nie poobija się o drzwi w czasie jazdy.

Gliniarz usiadł za kierownicą. Zawieszenie samochodu aż ugięło się pod jego ciężarem. Wsunął karabin do kabury między siedzeniami. Zatrzasnął drzwi, przesunął dźwignię zmiany biegów w pozycję „Drive” i nacisnął na pedał gazu tak mocno, że Reachera aż odrzuciło do tyłu. Po chwili ostro zahamował przed znakiem stopu, co z kolei sprawiło, że Jack poleciał do przodu. Zdażył się jednak przekreślić i jedynie uderzył barkiem o pleksi. Gliniarz powtórzył ten numer na następnym skrzyżowaniu dróg równorzędnych. I na kolejnym. Ale Reacher się tego spodziewał. Sam tak robił, gdy był kierowcą, a z tyłu przewoził aresztanta. Miasto na szczęście nie wyglądało na zbyt duże, więc posterunek policji też nie mógł być daleko.

• • •

Znajdował się cztery przecznice na zachód i dwie na południe od restauracji. Mieścił się w jednym z tych niewyróżniających się niczym ceglanych budynków przy ulicy tak szerokiej, że gliniarz zaparkował ukośnie przodem do krawężnika jezdni. Obok stał Jeszcze jeden radiowóz. I to wszystko. Małe miasto, mały posterunek w jednopiętrowym budynku. Policjanci zajmowali parter. Na piętrze była sala sądowa. Reacher domyślał się, że w piwnicy są cele dla zatrzymanych. Proces rejestracji aresztanta minął bez przygód. Reacher się nie stawiał. Nie było sensu. Po co mu status uciekiniera na piechotę w miasteczku, którego granice jurysdykcji przebiegały jakieś dwadzieścia kilometrów w jedną stronę i może trochę więcej w drugą. Posterunkowy za biurkiem wyglądał na brata policjanta, który go aresztował. Był identycznej postury, miał podobną twarz, te same włosy; sprawiał jednak wrażenie trochę młodszego. Reacherowi zdjęto kajdanki, odebrano przedmioty osobiste i sznurowadła. Nie miał paska do spodni. Zaprowadzone go po kręconych schodach na dół i wsadzono do celi o powierzchni dwa na trzy metry zabezpieczonej starymi kratami, pewnie z pięćdziesiąt razy malowanymi.

- Czy dostanę adwokata? - zapytał.

- A znasz tu jakiegoś? - odparł posterunkowy.

- Wystarczy mi obrońca z urzędu.

Policjant kiwnął głową, zamknął kratę i wyszedł, zostawiając Reachera samego. Sąsiednie cele były puste. Pomieszczenia aresztu składały się z trzech jednakowych cel bez okien, usytuowanych w jednym rzędzie wzdłuż wąskiego korytarza. W każdej celi stały łóżko, przymocowana do ściany stalowa półka oraz sedes ze stali nierdzewnej z umywalką zintegrowaną ze zbiornikiem spłukowym. Zapalona lampa sufitowa osłonięta była stalową siatką. Reacher obmył prawą dłoń zimną wodą i rozmasował nadgarstki. Były posiniaczone, ale nie uszkodzone. Położył się na sienniku i zamknął oczy.



Witamy w Rozpaczy, pomyślał.

6

Obrońca z urzędu nie pojawił się w sądzie. Reacher zdążył się przespać dwie godziny, zanim znów przyszedł policjant, który go aresztował. Obudził go głośnym stukaniem butów. Otworzył celę i wskazał gestem dłoni, że ma wyjść.

- Sędzia czeka - wyjaśnił. Reacher ziewnął.
- Jeszcze nie postawiono mi żadnych zarzutów. I nie spotkałem się z adwokatem.
- Pretensje zgłosisz sędziemu - powiedział gliniarz. - Nie mnie.
- Co to za dupiasty system tu macie?
- Taki sam jak zawsze.
- To ja wolę zostać w piwnicy.
- Mogę ci przysłać tych trzech pozostałych typków ze specjalną wizytą.
- Oszczędź sobie benzyny i wyślij ich od razu do szpitala. Mogę ci założyć kajdanki i przywiązać do łóżka.
- Sam?

Mogę przynieść paralizator. Mieszkasz w tym miasteczku?

- A dlaczego?

Może cię kiedyś odwiedzę.

- Nie sądzę.

Gliniarz czekał. Reacher wzruszył ramionami i postawił stopy na podłodze. Wstał i wyszedł z celi. Dziwnie się czuł, chodząc bez sznurowadeł; na schodach musiał podginać palce stóp, by nie spadły mu buty. Poszurał nimi obok biurka recepcyjnego i podreptał za policjantem na pierwsze piętro po trochę większych schodach niż te do piwnicy. Na piętrze były zamknięte podwójne drzwi. Obok stała tabliczka na długiej nodze, podobna do tej w restauracji, tylko że napis głosił: „Sąd Miejski”. Policjant otworzył lewe skrzydło drzwi i stanął z boku. Reacher wszedł na salę sądową. Cztery rzędy ławek dla obserwatorów stały po obu stronach głównej alejki. Salę dzieliła barierka z poręczy na drewnianych kolumnienkach, za którą znajdowały się stół oskarżyciela i stół obrońcy. Przy każdym stały po trzy krzesła. Dalej stanowisko dla zeznającego świadka, boks dla sędziów przysięgłych i stół sędziowski na podwyższeniu. Meble i pozostałe wyposażenie sali były wykonane z drewna sosnowego, pomalowane na ciemno i polakierowane. Wiek i politura przyciemniły drewno jeszcze bardziej. Ściany były obłożone do trzech czwartych wysokości drewnianymi panelami w tym samym kolorze. Sufit i resztę ścian pomalowano na kremowo. Za stołem sędziowskim stały flagi - narodowa w pasy i gwiazdy oraz druga, najprawdopodobniej flaga Kolorado.

W sali nie było jeszcze nikogo. Od ścian odbijało się echo, a powietrze śmierdziało kurzem. Gliniarz poszedł przodem i otworzył furtkę w barierce. Wskazał Reacherowi, że ma usiąść za stołem obrony, sam zaś zajął miejsce za stołem oskarżyciela. Czekali. Wtem otwarły się ledwie widoczne drzwi w tylnej ścianie i pojawił się w nich mężczyzna w garniturze. Policjant poderwał się i krzyknął:

- Wstać. Sąd idzie.

Reacher pozostał w krześle.

Mężczyzna w garniturze wszedł po trzech stopniach na podwyższenie i usiadł za stołem sędziowskim. Był gruby, po sześćdziesiątce, a głowę okrywały mu siwe włosy. Miał na sobie tani i źle skrojony garnitur. Podniósł długopis i wygładził kartki notatnika sędziowskiego. Spojrzał na Reachera i zapytał:

- Nazwisko?
- Nie zostałem pouczony o przysługujących mi prawach - oświadczył Reacher.
- Nie postawiono panu żadnych zarzutów - odpowiedział starszy facet. - To nie jest rozprawa.

- Więc co to jest?
- Przesłuchanie.
- Czego dotyczy?
- To kwestia administracyjna, i tyle. A może nawet czysto techniczna. Muszę jednak zadać panu kilka pytań.

Reacher nic nie odpowiedział.

- Nazwisko?
- Policja pewnie skopiowała mój paszport i pokazała już panu.
- Proszę podać nazwisko do protokołu.

Ton głosu sędziego był neutralny i nawet dość uprzejmy, więc Reacher tylko wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Jack Reacher. Nie mam drugiego imienia.

Starszy mężczyzna zapisał nazwisko i imię w notesie, a potem także datę urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego i narodowość.

- Adres?
- Nie mam stałego adresu - odparł Jack. I to zostało zanotowane.
- Zawód?
- Nie mam.
- Cel wizyty w Rozpaczy?
- Turystyczny.
- W jaki sposób opłaci pan koszty pobytu podczas wizyty?
- Nie myślałem nawet o tym. Nie spodziewam się wielu wydatków. To nie jest przecież Londyn, Paryż ani Nowy Jork.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Mam konto oszczędnościowe w banku.

Mężczyzna wszystko zanotował. Pociągnął nosem i przesunął długopisem po linijkach, które już zapisał informacjami.

- A jaki był pana ostatni adres?
- SPA.
- SPA?
- Skrytka Poczta Armii Stanów Zjednoczonych.
- Jest pan weteranem?
- Tak.
- Ile lat pan służył?
- Trzydzieści.
- Do kiedy?
- Do wystąpienia z armii i przejścia na emeryturę dziesięć lat temu.
- W jakiej jednostce?
- Żandarmeria wojskowa.
- Ostatni stopień.
- Major.
- I nie ma pan stałego adresu, odkąd opuścił pan armię?
- Nie, nie mam.

Mężczyzna zrobił ruch długopisem wskazujący na wyraźne zaznaczenie tej odpowiedzi. Reacher spostrzegł, że wykona dwa ruchy długopisem w jedną stronę od tego miejsca, potem w drugą stronę i przystąpił do dalszych pytań.

- Jak długo pozostaje pan bez pracy?
- Dziesięć lat - odpowiedział Reacher.
- Czyli w ogóle nie pracował pan po odejściu ze służby?
- W ogóle.

- Emerytowany major nie mógł znaleźć zatrudnienia?
  - Ten emerytowany major wcale nie szukał zatrudnienia.
  - Ale ma pan pieniądze na koncie?
  - To oszczędności i wpływy z okazji podejmowane pracy. - odparł Reacher.
- Facet znowu zrobił wyraźny znak w swoich notatkach. Dwie pionowe kreski i dwie poziome.

- Gdzie się pan zatrzymał zeszłej nocy?
- W motelu w Nadziei.
- Pana bagaż tam został?
- Nie mam żadnego bagażu.

Mężczyzna zanotował to i zrobił kolejny znaczek.

- Więc przyszedł pan tu pieszo? - ciągnął przesłuchanie
- Tak.
- Dlaczego?
- Bo nie było żadnego autobusu ani żadnej okazji do złapania.
- No ale po co pan tu przyszedł?
- W celach turystycznych - powtórzył Reacher.
- A co pan słyszał o naszym małym miasteczku?
- Absolutnie nic.
- Ale zdecydował się pan je odwiedzić?
- Właśnie.
- Dlaczego?
- Bo ma intrygującą nazwę.
- To nie jest zbyt przekonujący powód.
- Gdzieś w końcu muszę przenocować. I dziękuję za wspaniałe powitanie.

Sędzia zrobił czwarty wyraźny znak. Dwie linie pionowe i dwie poziome. Potem powoli i metodycznie przesunął długopis w dół zapisanej strony, czternaście odpowiedzi plus znaczki na marginesie. W końcu powiedział:

- Przykro mi, ale pana postępowanie stoi w sprzeczności z rozporządzeniem Rady Miasta Rozpaczy. Obawiam się, że musi pan opuścić miasto.
- Mam stąd wyjechać?
- Tak.
- A czego dotyczy to rozporządzenie? .
- Włóczęgostwa - odparł mężczyzna.

7

- To u was jeszcze obowiązuje coś takiego jak rozporządzenie o karaniu za włóczęgostwo? - zdziwił się Reacher.

Sędzia skinął głową i wyjaśnił:

- Jak w większości miast Zachodu.
- Jeszcze nigdy nie przytrafiło mi się coś takiego.
- Widocznie miał pan dużo szczęścia.
- Nie jestem włóczęgą.
- Jest pan bezdomny od dziesięciu lat, bezrobotny od dziesięciu lat, jeździ pan autobusami, prosi o podwiezienie, czy też idzie pieszo z miejsca do miejsca, od czasu do czasu mając się jakiegoś okazynego zajęcia. To jak inaczej pana można nazwać?
- Wolnym człowiekiem - odpowiedział Reacher. - I szczęśliwym.

Sędzia powtórnie skinął głową.

- Cieszę się, że jest pan pełen optymizmu.
- A co z Pierwszą Poprawką do Konstytucji mówiącą o wolności gromadzenia się?
- Sąd Najwyższy już dawno wydał na ten temat sentencję. Sądy lokalne mają prawo do

usuwania osób niepożądanych.

- To turyści są niepożądani? A co o tym myśli miejska komisja gospodarcza?
- To spokojne miasteczko, jak z dawnych czasów. Ludzie nie zamykają drzwi na zamki. Nie czujemy takiej potrzeby.

Większość kluczy już dawno zgubiono w czasach naszych dziadków.

- Nie jestem złodziejem.
- Wolimy, by pomyłka była efektem ubocznym naszej ostrożności. Doświadczenia z innych miejsc ukazują, że bezrobotni od wielu lat zawsze stanowią pewien problem.
- A jeśli nie wyjadę? Jaka kara mi za to grozi?
- Trzydzieści dni aresztu.

Reacher nic nie odpowiedział. Sędzia kontynuował:

- Szeryf odwiezie pana do granic administracyjnych. Niech pan znajdzie stałą pracę i stworzy dom, to powitamy pana z otwartymi rękoma. Ale proszę nie wracać, zanim pan tego nie osiągnie.

•••

Gliniarz sprowadził go na dół i oddał mu pieniądze, paszport, kartę do bankomatu i składaną szczoteczkę do zębów. Niczego nie brakowało. Potem podał sznurowadła i poczekał przy biurku, aż Reacher przełoży je przez dziurki i zawiąże buty. Następnie oparł dłoń na rękojeści rewolweru i powiedział:

- Do radiowozu.

Reacher szedł przed nim przez hol, potem wyszedł przez frontowe drzwi. Słońce już zaszło. Dzień się kończył i, jak to zwykle o tej porze roku, mrok zapadał wcześniej. Gliniarz musiał gdzieś w tym czasie pojechać, bo radiowóz był teraz zaparkowany tyłem do krawężnika.

- Siadaj z tyłu - zarządził.

Reacher usłyszał samolot nad głową, gdzieś daleko na zachodzie. Jednosilnikowiec w trakcie wznoszenia się, wydedukował. Może cessna albo beech, a może piper, mały i samotny w przestworzach. Pociągnął za klamkę drzwi i wsunął się do środka. Bez kajdanek z tyłu było o wiele wygodniej. Usiadł bokiem, jak to zwykle robił w taksówce albo w autobusach miejskich. Gliniarz pochylił się nad nim, opierając się jedną ręką o dach, a drugą o drzwi.

- Mówimy poważnie. Jeśli wrócisz, zostaniesz aresztowany i spędzisz trzydzieści dni w tej samej celi, zakładając, że nie spojrzysz na mnie zezem i nie zastrzelę cię za stawianie opór podczas aresztowania.

- Jesteś żonaty? - zapytał Reacher.

- A dlaczego?

- Raczej nie. Widać, że wolisz trzepać gruchę. Gliniarz przez moment stał bez ruchu, by po chwili trzasnął drzwiami i usiąść za kierownicą. Ruszył, skręcił w prawo i skierował się na północ. Sześć przecznic do Main Street, kalkulował Reacher. Jeśli skręci w lewo, to podwiezie mnie dalej na zachód i dam sobie z nimi spokój. Ale jeśli skręci w prawo, to wywiezie mnie w kierunku Nadziei, a wtedy może nie dam sobie z nim spokoju.

Nie cierpiał wycofywania się z raz podjętych działań.

Posuwanie się do przodu był jego elementarną zasadą postępowania.

Sześć przecznic, sześć znaków „stop”. Przed każdym znakiem gliniarz delikatnie hamował, tocząc się, spoglądał w lewo i prawo po czym ruszał do przodu. Dopiero przy Main Street zahamował całkowicie. Po chwili nacisnął mocno gaz, ruszył do przodu i skręcił.

W prawo.

Na wschód.

Z powrotem do Nadziei.

8

Wyjeżdżając z miasta, Reacher jeszcze raz zobaczył skład suchej żywności, stację

benzynową, opuszczony motel i niezabudowany kwartał. Minąwszy ostatnie domy, gliniarz nacisnął pedał gazu i przyspieszył do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Opony chrzęściły po kiepskiej chropowatej nawierzchni, natrafiając na wystające kamyki, które podrywane przez bieżnik opon uderzały o nadkola i wystrzeliwały na pobocze. Dwanaście minut później policjant zahamował, wyszedł z radiowozu, położył dłoń na rękojeści rewolweru i otworzył tylne drzwi.

- Wsiadaj.

Reacher wysunął nogi na zewnątrz i przez podeszwy butów poczuł ostry żwir drogi należącej do Rozpaczy.

Gliniarz wskazał kciukiem na ginący w ciemności wschód.

- Idź w tamtą stronę - powiedział. Jack stał bez ruchu.

Policjant wyciągnął broń z kabury. Był to kanciasty glock kaliber dziewięć milimetrów bez blokady bezpieczeństwa. Miał tylko zasuwkę przy spuście, już wciśniętą przez tłusty paluch wskazujący.

Daj mi tylko jakiś powód - rzucił funkcjonariusz. Reacher zrobił trzy kroki do przodu. Zobaczył koniec chropowatej nawierzchni Rozpaczy i początek gładkiego asfaltu należącego do okręgu administracyjnego Nadziei. Zauważył szeroki na kilka centymetrów uskok dzielący oba rodzaje nawierzchni, wypełniony lepikiem. Radiowóz policyjny zatrzymał się dokładnie na granicy, tak że jego taran pokrywał się z linią, uskoku. Taką jakby przerwą dylatacyjną. Granicą. Linią. Reacher wzruszył ramionami, przekroczył ją i zrobił krok w stronę Nadziei.

- I nie wracaj już do nas - zawołał za nim gliniarz. Nic nie odpowiedział. Nawet się nie odwrócił. Stał i patrzył na wschód, słuchając, jak radiowóz zawraca i odjeżdża, szurają po nawierzchni. Hałas przycichał wraz z oddalającym się samo chodem. Reacher jeszcze raz wzruszył ramionami i zaczął iść.

• • •

Uszedł zaledwie około dwudziestu metrów, gdy zobaczy zbliżające się od strony Nadziei światła samochodu. Reflektor były szeroko osadzone i bujały się raz w górę, raz w dół. To musiał być jakiś duży, szybko jadący wóz. Pędził wprost m niego i gdy zbliżył się na jakieś sto metrów, Reacher spostrzegł że to kolejny radiowóz policyjny. Białoczarne ford crown victoria z policyjnymi napisami, taranem, kogutami na dachu i antenami. Zahamował przed nim; zamontowany na słupku przedniej szyby szperacz rozbłysł, przekreślił się i omiół okolicę dwa razy, zanim zatrzymał się dokładnie na twarzy Jacka. Oślepił go. Zgasł. Samochód potoczył się jeszcze kilka metrów z syczącym dźwiękiem opon szurających po gładkim asfalcie i stanął tak, że drzwi kierowcy znalazły się tuż przy Reacherze. Na drzwiach była namalowana złota tarcza z literami DPN pośrodku. Departament Policji w Nadziei. Szyba opuściła się elektrycznie, ręka skierowała się do włącznika i zapaliła światło w kabinie. Reacher zobaczył policjantkę za kierownicą. Jej jasne krótkie włosy zaśniły przy słabym żółtawym świetle.

- Podwieźć cię? - zapytała.

- Przejdę się - odpowiedział Reacher.

- Do miasta jest jeszcze osiem kilometrów.

- Szedłem stamtąd pieszo, to mogę też wrócić pieszo.

- Samochodem będzie szybciej.

- Dzięki. Wszystko jest okay.

Policjantka milczała przez chwilę. Reacher wsłuchiwał się w dźwięk silnika forda. Cierpliwie mrucał na luzie. Jack słyszał kręcące się paski klinowe. Tłumik wydawał stukające odgłosy wraz ze zmniejszaniem się temperatury. Reacher ruszył do przodu. Zrobił trzy kroki i usłyszał odgłos załączanego biegu wstecznego. Samochód cofnął się z prędkością marszu Reachera. Szyba była nadal opuszczona. Kobieta rzuciła:

- Daj sobie spokój, Zenonie. ....

Reacher stanął.

- A ty wiesz, kim był Zenon? - spytał. Samochód się zatrzymał.

- Zenon z Kition - zaczęła wyjaśniać policjantka. - Założyciel szkoły stoików. I mówię ci, żebyś przestał być takim cierpiętnikiem.

- Stoicy byli cierpiętnikami. Stoicyzm polega na akceptowaniu przeznaczenia. Tak powiedział Zenon.

- Twoim przeznaczeniem jest wrócić do Nadziei. Zenonowi będzie wszystko jedno, czy dostaniesz się tam na piechotę, czy samochodem.

- To kim ty w końcu jesteś? Filozofem, gliną czy kierowcą taksówki?

- Policja z Rozpaczy dzwoni do nas, gdy wyrzucają kogoś z miasta i dowożą do granicy. To taka koleżeńska uprzejmość.

- Często się to zdarza?

- Częściej niż mogłoby ci się wydawać.

- A ty zawsze się pojawiaasz i odbierasz nieszczęśliwców?

- Jesteśmy po to, by służyć. Tak napisano na herbie policyjnym.

Reacher spojrział na tarczę herbową na drzwiach wozu. Tuż nad skrótem „DPN” na szarfię biegnącej pośrodku tarczy widniało słowo „Chronić”, poniżej zaś umieszczono wyraz „Służyć”. Aha - odpowiedział.

- Więc wsiadaj.

A dlaczego oni to robią? Wsiadaj, to ci opowiem. Więc zabronisz mi iść dalej pieszo?

- Masz osiem kilometrów. Już jesteś nabuzowany, a gdy dojdiesz do miasteczka, to możesz być zupełnie rozeźlony.

Uwierz mi, widziałam to wiele razy. Lepiej będzie dla wszystkich, jeśli przejedziesz się ze mną.

- Ja jestem inny. Marsz mnie uspokaja.

- Nie mam zamiaru cię błagać, Reacher.

- Znasz moje nazwisko?

- Policja z Rozpaczy nam je podała. Koleżeńska uprzejmość

- A może ostrzeżenie?

- Może. A teraz muszę podjąć decyzję, czy potraktować j poważnie.

Wzruszył ramionami i położył rękę na klamce tylnych drzwi.

- Siadaj z przodu, głupolu - skarciła go policjantka. - Chcę ci pomóc, a nie aresztować.

Reacher przeszedł dookoła samochodu i otworzył przedni drzwi pasażera. Miejsce było zawałone konsolami krótkofalówek i terminalem komputerowym, ale siedzenie pozostało puste. Żadnego kapelusza. Jakoś się na nie wcisnął, choć nie było zbyt dużo miejsca na nogi ze względu na pleksi za fotelem. Radiowóz pachniał olejem samochodowym, kawą, perfumami i rozgrzanym układami elektronicznymi. Na ekranie laptopa dostrzegł mapę GPS. Mała strzałka była skierowana na zachód i mrugała ni dalekim krańcu różowego terenu określonego jako okręg miast Nadzieja. Okręg miał regularnie prostokątny kształt, prawie kwadratowy. Szybki i arbitralny podział terenu, jak w całym stanie Kolorado. Sąsiedni okręg miasta Rozpacz miał kolor jasnobordowy, nie był jednak kwadratowy. Miał kształt zbliżony do tępego klina. Wschodnia granica pokrywała się dokładnie z zachodnią granicą Nadziei. Dalej okręg się rozszerzał, przyjmując kształt trójkąta z obcięтым wierzchołkiem. Jego zachodnia granica miała dwa razy większą długość od wschodniej i dotykała szarej nicości. Teren nieprzypisany do żadnego miasta, domyślił się Reacher Drogi dojazdowej do autostrad międzystanowych 1-70 oraz 1-2' przecinały to terytorium i krzyżowały się w północno-zachodnim rogu okręgu Rozpaczy.

Policjantka podniosła szybę, skrzyła głowę do tyłu i zawrócili samochód kilkoma manewrami kierownicy. Beżowa wyprasowana koszula skrywała szczupłą sylwetkę. Kobieta miała pewni mniej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, mniej niż pięćdziesiąt cztery kilogramy



wagi i mniej niż trzydzieści pięć lat. Żadnej biżuterii, żadnej obrączki. Jack dostrzegł radio marki Motorola, przypięte przy kołnierzu oraz oznakę policyjną nad lewą piersią. Według napisu na identyfikatorze policjantka nazywała się Vaughan. Musiała być całkiem dobra w tym, co robi. Miała szereg oznaczeń i wyróżnień. Była ładna, ale jej aparycja odbiegała od urody zwykłych kobiet. Miała coś, czego brakowało innym. To było widać na pierwszy rzut oka. Reacher wiedział, w czym tkwił jej sekret. W żandarmerii wojskowej razem z nim służyło wiele kobiet.

- Dlaczego wyrzucili mnie z Rozpaczy? - zapytał.

Vaughan wyłączyła światło w kabinie. Sylwetka policjantki była teraz oświetlona od przodu czerwonym blaskiem pochodzącym od deski rozdzielczej i różowobordowym odbiciem plam okręgów mapy GPS, a także białego światła reflektorów tańczącego na drodze.

- Spójrz na siebie - odrzekła.

- No i co?

- Co widzisz?

- Zwykłego faceta.

- A ja robola w niebieskim ubraniu roboczym, sprawnego, silnego, zdrowego i głodnego.

- I co z tego?

- Jak daleko zaszedłeś?

- Zahaczyłem o stację benzynową i restaurację. No i o salę sądową.

- Więc nie masz pełnego obrazu - wywnioskowała Vaughan.

Jechała powoli, jakieś pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, jakby chciała jeszcze długo pogadać. Lewą rękę, opartą łokciem o drzwi, trzymała na kierownicy. Druga spoczywała na udach. Osiem kilometrów przy prędkości pięćdziesiąt na godzinę to około dziesięciu minut. Reacher zastanawiał się, co takiego chciała mu powiedzieć, że nie zmieściłoby się w czasie krótszym niż dziesięć minut.

- Jestem raczej z zielonej bajki niż z niebieskiej, jeśli chodzi o ciuchy - wyznał.

- Jak to z zielonej?

- Byłem w armii. W żandarmerii.

- Kiedy?

- Dziesięć lat temu.

- Masz teraz jakąś pracę?

- Nie.

- No widzisz.

- Co widzisz?

- Byłeś zagrożeniem.

- Jak to?

- Na zachód od Rozpaczy znajduje się największy zakład recyklingu złomu w Kolorado.

- Widziałem smog.

- Rozpacz nie ma żadnego innego przemysłu. Ten kombinat jest dla nich wszystkim.

- Czyli to miasto korporacyjne - wywnioskował Reacher. Vaughan kiwnęła głową.

- Właściciel zakładu jest jednocześnie właścicielem każdej cegły każdego budynku w mieście. Połowa mieszkańców pracuje w jego kombinacie. Druga połowa pracuje na zlecenie. Ci, którzy mają stałe zatrudnienie, są całkiem zadowoleni. Ci, którzy dostają robotę od czasu do czasu, nie bardzo. Nie lubią konkurencji a strony przybyszów. Nie chcą u siebie ludzi, którym zależy na tymczasowej pracy i są gotowi przyjąć mniejsze dniówki.

- Wcale nie szukałem pracy.

- A powiedziałeś im to?

- Nie pytali.

- I tak by ci nie uwierzyli. Miasta korporacyjne to dziwne miejsca. Czekać przed bramą na pracę i skinienie ręką brygadzysty zmienia ludzi. To jakby feudalizm. Całe to miasto jest w

sumie feudalne. Pieniądze z wypłat trafiają z powrotem do wielkiego właściciela jako opłaty czynszowe, a nawet spłaty kredytów hipotecznych. Facet jest właścicielem banku. Również w niedzielę nie mogą się od niego uwolnić. Mają tylko jeden kościół, a on jest w nim świeckim kaznodzieją. Ten, kto chce utrzymać pracę, musi od czasu do czasu pojawić się w ławce kościelnej.

- czy to uczciwe?

- On lubi dominować. Wykorzysta każdą okoliczność.

- To dlaczego ludzie stamtąd nie wyjeżdżają?

- Niektórym się udało. Pozostali już nigdy nie opuszczą tego miejsca.

- To on nie lubi ludzi, którzy pojawiają się z zewnątrz i chcą pracować za mniejsze pieniądze?

- On woli stabilność. Lubi ludzi, których jest właścicielem, a nie obcych. I zupełnie nie ma znaczenia, za co kto płaci. Wszystkie pieniądze i tak wracają do niego w czynszach i zyskach ze sklepów, których jest właścicielem.

- Więc dlaczego ci goście w ogóle czegoś się obawiali?

- Ludzie zawsze będą się czegoś bać. Miasta w rękach jednego biznesu są dziwne.

- I nawet sędzia tańczy, jak mu zagrają?

- Musi. On jest wybieralny. A rozporządzenie o włoścogostwie to prawo miasta. Większość miast ma takie zapisy w prawie lokalnym. My też takie mamy w Nadziei. Można sobie ponarzekać, ale prawo to prawo.

- Nikt mi tym nie zawracał głowy w Nadziei. Nocowałem tam wczoraj.

- My nie jesteśmy miastem korporacyjnym.

Vaughan zwolniła. W oddali pojawiły się pierwsze zabudowania. Reacher rozpoznał to miejsce. Sklep z artykułami gospodarstwa domowego i narzędziami. Rano sprzedawca wystawił na ulicę drabiny i taczki dla reklamy. Teraz sklep był ciemny i zamknięty.

- Ilu policjantów pracuje w Nadziei? - zapytał.

- Ja plus dwoje innych i szef policji.

- Macie zaprzysiężonych zastępców?

- Czterech. Nieczęsto z nich korzystamy. Czasem do kierowania ruchem, jeśli jest akurat jakaś przebudowa drogi. A dlaczego?

- Czy są uzbrojeni?

- Nie. W Kolorado policyjna służba pomocnicza składa się z nieuzbrojonych cywili. Czemu pytasz?

Ilu zastępców jest w Rozpaczy?

- Chyba też czterech.

- Spotkałem ich.

- I co?

- Teoretyzując, jak zareagowałaby policja w Nadziei, gdyby pojawił się jakiś facet, wdał się w awanturę z jednym z zastępców i rozkwasił mu szczękę?

- W kilka chwil wrzucilibyśmy dupsko takiego żalostnego gościa prosto do aresztu.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego. Zero tolerancji dla napastników na członków służby pomocniczej plus obowiązek dbania o własne tyłki, plus duma, plus szacunek dla własnej pracy.

- A jeśli w grę wchodziłaby kwestia samoobrony?

- Cywil przeciwko policjantowi? Musielibyśmy mieć uzasadnione wątpliwości, żeby w to wierzyć.

- Rozumiem.

- Przecież tak samo było w żandarmerii wojskowej.

- No pewnie.

- Więc po co pytasz?

Reacher nie udzielił bezpośredniej odpowiedzi.

- Nie jestem wcale stoikiem. Zenon głosił bierną akceptację przeznaczenia. Ja absolutnie nie jestem bierny. Wszelkie wyzwania biorę sobie prosto do serca.
- I co z tego?
- Nie lubię, jak mi ktoś mówi, dokąd mogę iść, a dokąd nie.
- Uparciuch z ciebie.
- Po prostu to mnie wkurza.

Vaughan zwolniła jeszcze bardziej i zatrzymała radiowóz przy krawężniku. Dźwignię zmiany biegów przelożyła w pozycję „Park” i przekręciła się w stronę Reachera.

- Chcesz mojej rady? - zapytała. - Daj sobie z tym spokój i ruszaj dalej w swoją drogę. Rozpacz nie jest tego warta. - Nie odpowiedział. - Zjedz solidny posiłek i wynajmij pokój - poradziła Vaughan. - Coś czuję, że jesteś głodny.

Reacher skinął głową.

- Dziękuję za podwiezienie. Miło było cię poznać.

Otworzył drzwi i zsunął się z fotela. W Nadziei główna ulica nazywała się First Street. Gdzieś za następną przecznicą było bistro przy Second Street. Jadł tam rano śniadanie. Ruszył w stronę knajpki i usłyszał za plecami dostoyny, oddalający się dźwięk silnika i szum opon o asfalt forda crown victoria policjantki Vaughan. Gdy skręcił za róg, szum ucichł.

•••

Godzinę później nadal siedział w restauracji. Zjadł zupę, stek, frytki, fasolkę, placek jabłkowy i lody. Teraz pił kawę. Była o wiele lepsza od tej w Rozpaczy. I podano ją w zwykłym kubku o cylindrycznym kształcie. Może też był odrobinę za gruby, ale o wiele bliższy ideałowi.

Myślał o Rozpaczy i zastanawiał się, dlaczego wyrzucenie go z miasta było dla nich znacznie ważniejsze niż zatrzymanie i uwięzienie za pobicie zaprzysiężonego zastępcy.

9

Bistro w Nadziei stosowało wobec klienta politykę kubka kawy bez dna i Reacher bezlitośnie wykorzystał to prawo do opicia się czarnym napojem za wszystkie czasy. Opróżnił chyba cały dzbanek. Kelnerka była zafascynowana jego pragnieniem. Nawet nie musiał jej prosić o dolewkę. Pojawiała się natychmiast, gdy kończył poprzedni kubek, a czasem nawet wcześniej, jakby chciała zdopingować go do bicia rekordu świata w picu kawy. Zostawił jej podwójny napiwek, tak na wypadek gdyby właściciel chciał ją obciążyć za nadmierną gościnność.

Gdy wyszedł na ulicę, było już zupełnie ciemno. Dziewiąta wieczorem. Mrok nie minie jeszcze przez dziesięć godzin. Na tej szerokości geograficznej i o tej porze roku wschód zacznie się około siódmej rano. Przeszedł trzy przecznice do małego sklepu spożywczego. W dużym mieście nazywano by go pewnie mydłem i powidłem, na bogatych przedmieściach należałby do sieci sklepów spożywczych, ale w Nadziei pozostawał tym, czym był zawsze - zagraconym, zakurzonym biznesem rodzinnym sprzedającym wszystko, czego potrzebowali ludzie do codziennego życia.

Reacher potrzebował wody, protein i energii. Kupił trzy litrowe butelki wody mineralnej, sześć batonów proteinowo-energetycznych i paczkę pięćdziesięciolitrowych worków na śmieci. Sprzedawca włożył wszystko do papierowej torby i wydał resztę. Reacher przeszedł cztery przecznice do tego samego motelu,

w którym spał poprzedniej nocy. Dostał ten sam pokój na końcu szeregu. Wszedł do środka, odłożył torbę z zakupami na nocny stolik i położył się na łóżku. Postanowił trochę odpocząć.

Do północy. Nie miał zamiaru przejść pieszo kolejnych dwudziestu

pięciu kilometrów tego samego dnia.

•••

Wstał z łóżka o północy i wyjrzał przez okno. Nie dostrzegł światła księżyca. Zastłaniała go

duża chmura, a na ciemnym niebie połyskiwało jedynie światło gwiazd. Przełożył zakupy do czarnego worka na śmieci i zarzucił go sobie na plecy. Opuścił teren motelu, najpierw szedł First Street, potem skręcił na zachód. Ulice były puste. Żadnych samochodów, żadnych przechodniów. Zaledwie kilka świateł w oknach. Był środek nocy w miasteczku leżącym w środku pustkowia. Chodnik kończył się niecałe dziesięć metrów za sklepem z narzędziami. Jack zszedł na asfalt i ruszył dalej zwykłym, marszowym krokiem - około siedmiu kilometrów na godzinę. Na płaskiej nawierzchni szosy nie było to wcale trudne. Osiągnął marszową prędkość, która doskonale balansowała ciało, i czuł, że mógłby tak iść w nieskończoność i nigdy się już nie zatrzymać.

Jednak musiał się zatrzymać. Zrobił to osiem kilometrów dalej, sto metrów przed granicą okręgów miast Nadzieja i Rozpacz, bo wyczuł przed sobą jakiś kształt schowany w ciemności. Samochód zaparkowany na poboczu. Prawie cały czarny, z białymi elementami.

Radiowóz policyjny.

Vaughan.

To nazwisko przyszło mu na myśl dokładnie w tym samym momencie, gdy rozbłysły długie światła. Zrobiło się bardzo jasno. Reacher poczuł się przyszpilony. Jego cień, niby długi ogon, ginał gdzieś daleko z tyłu w ciemności. Oczy zasłonił lewą ręką, bo w prawej trzymał worek zwisający na plecach. Stał bez ruchu. Światła nadal były włączone. Zszedł z asfaltu i skoczył w bok na ubity piach, próbując zniknąć z widoku. Reflektory samochodu zgasty, za to zapalił się szperacz i wylapał go z ciemności. Reacher nie dawał za wygraną. Zmienił zamiary i skierował się wprost na samochód policyjny.

Vaughan wyłączyła światła i opuściła szybę, gdy podszedł do radiowozu. Samochód stał skierowany na wschód, dwoma kołami na zwirowym poboczu; tylny zderzak pokrywał się dokładnie z przerwą w asfalcie. Była jeszcze we własnym okręgu.

- Tak myślałam, że cię tu spotkam - zaczęła. Reacher spojrział na nią, ale się nie odezwał.

- Co robisz? - zapytała.

- Wyszedłem na przechadzkę.

- I to wszystko?

- Chyba nie jest to niezgodne z prawem?

- Tutaj nie - odparła Vaughan. - Ale jeśli zrobisz trzy kroki, to wpadniesz w tarapaty.

- To będziesz mnie miała z głowy.

- Jesteś uparty. Reacher skinął głową.

- Chciałem zwiedzić Rozpacz i zrobię to.

- Tam nie ma nic ciekawego.

- Tak sędzę. Ale lubię sam się o wszystkim przekonać.

- Oni nie żartują. Albo spędzisz trzydzieści dni w areszcie, albo cię zastrzelą.

- Jeśli mnie znajdą.

- Znajdą. Mnie się udało.

- Nie kryłem się przed tobą.

- Czy uderzyłeś zastępcę szeryfa?

- A dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Zastanawiałam się nad pytaniem, które mi zadałeś.

- Nie jestem do końca pewien, kim on był.

- Nie podoba mi się to, że zastępcy dostają lanie.

- Nie spodobałby ci się ten zastępca. Jeśli w ogóle nim był.

- Będą cię ścigać.

- Ilu ich jest na posterunku?

- Mniej niż nas. Dwa samochody, dwoje ludzi. Tak sędzę.

- Nie znajdą mnie.

- To po co tam wracasz?
  - Bo mi tego zabronili.
  - Czy to jest tego warte?
  - A co ty byś zrobiła?
  - Moja forma życia oparta jest na estrogenie, a nie na testosteronie. I osiągnęłam dojrzałą postać. Przelknęłabym to świństwo i poszła swoją drogą. Albo zostałabym w Nadziei. To ładne miasteczko.
  - Do zobaczenia jutro - odpowiedział Reacher.
  - Pewnie nie. Albo odbiorę cię stąd za miesiąc, albo przeczytam o tobie w gazecie. „Zastrzelony podczas stawiania oporu w chwili aresztowania”.
  - Do jutra - odparł Reacher. - Zapraszam cię na późną kolację.
- Zrobił krok do przodu, potem drugi i trzeci, a następnie przekroczył granicę okręgów.

10

Natychmiast uskoczył z drogi. Skoro policja Nadziei domyśliła się, że będzie chciał podjąć wyzwanie, to prawdopodobnie policja Rozpaczy też na to wpadnie. Reacher nie chciał się nadziać na zaparkowany na poboczu radiowóz. Takie spotkanie miałyby zupełnie inny przebieg niż miła pogawędka ze śliczną oficer Vaughan.

Zszedł pięćdziesiąt metrów w bok na północ od drogi. Wystarczająco blisko, by utrzymać właściwy kierunek marszu, a jednocześnie wystarczająco daleko, by pozostać niewidocznym dla kierowcy. Noc była zimna. Grunt nierówny. Jack szedł wolno. Nie miał szansy na osiągnięcie swoich siedmiu kilometrów na godzinę. Potykał się. Nie wziął latarki. Ale to była świadoma decyzja. Jej światło przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Z latarką byłby widoczny na dwa kilometry. To tak jakby wspiął się na spory głąz i zawołał: „Hej, tu jestem!”.

Niecałe dwa kilometry dalej zegar w głowie powiedział mu, że jest za kwadrans druga nad ranem. Znowu usłyszał silnik samolotu; gdzieś daleko na zachodzie światelko mrugnęło i znikło. Jednosilnikowy samolot podchodził do lądowania. Jakaś cessna, beech albo piper. Może ten sam, który Jack usłyszał wiele godzin temu. Wsłuchiwał się w jego odgłos, do chwili gdy wylądował i kołował, aż wreszcie się zatrzymał. Potem Reacher poszedł dalej.

Cztery godziny później do wschodu słońca pozostało jeszcze siedemdziesiąt pięć minut, a Reacher znalazł się na wysokości centrum miasteczka, ukryty trzysta metrów za zabudowaniami w pustynnej roślinności. Zdawał sobie sprawę z tego, że pozostawił za sobą widoczne ślady, ale wcale się tym nie przejął. Nie sądził, by policja w Rozpaczy miała stado psów tropiących albo dysponowała helikopterem do badania terenu z powietrza. Jeśli będzie trzymał się z dala od chodników i ulic, to pozostanie całkowicie niewidoczny.

Przeszedł kolejne pięćdziesiąt metrów i skrył się za potężnym gładem wielkości łodzi. Otworzył worek, napił się wody i zjadł batona energetycznego. Noc nadal była zimna. Spakował wszystko z powrotem i stanął schowany za gładem sięgającym mu do klatki piersiowej. Oparł się o niego, zgiął łokcie, broda spoczęła na pięściach. Początkowo nie rozróżniał żadnych szczegółów w mroku. Tylko ciemność, spokój i ukryty poblask pojedynczych świateł w oknach. Po chwili w oddali dostrzegł więcej świateł i wyczuł więcej aktywności. Domyślił się, że to osiedle mieszkaniowe na południe od centrum. Domy i kamienice, może też plac na przyczepy mieszkalne. Ludzie szykowali się do pracy.

Dziesięć minut później zauważył jasne ruchome punkciki zbliżające się z kierunku północnego. Dwa, trzy samochody. Ich światła przeciskały się pomiędzy kwadratami zabudowań, odbijały się i ginęły, rzucając długie cienie w jego stronę. Reacher stał cały czas w tym samym miejscu i obserwował. Światła przesuwają się wzdłuż Main Street, przystanąły na chwilę i skrzyły ostrym łukiem w zachodnim kierunku. Pojawiało się coraz więcej samochodów. Po chwili wszystkie przecznice były jasno rozświetlone przez procesję

pojazdów. Wyglądało to, jakby dzień wschodził na południu. Pick-upy, sedany i stare terenówki kierowały się na północ, by dojechać do Main Street, przed którą przystawały, przepychały się na skrzyżowaniach i ruszały na zachód, gdzie, jak domyślił się Reacher, znajdował się zakład recyklingu złomu.

Korporacyjne miasto.

Szósta rano.

Mieszkańcy Rozpaczy jadą do pracy.

Reacher ruszył w tym samym kierunku pieszo, zrobił czterysta metrów na północ. Potykał się na porożychanej ziemi, starając się nie zgubić tropu. Szedł z prędkością około pięciu kilometrów na godzinę. Samochody jechały ponad pięćdziesiąt na godzinę. Ale dopiero po dziesięciu minutach zdołały go wyprzedzić. Długi konwój pojazdów. Gdy mijała go ostatnia półciężarówka, powiódł wzrokiem za jej tylnymi światłami pozycyjnymi. Jakies dwa kilometry dalej horyzont rozświetlał niekończący się blask. To nie był świt. Świt nadejdzie zza jego pleców, na wschodzie. Blask na zachodzie pochodził od lamp łukowych. Wyglądało, jakby stały wzdłuż boków prostokąta tworzącego wielką arenę, która miała około półtora kilometra długości i kilometr szerokości. „Największy zakład recyklingu metalu w Kolorado”, powiedziała Vaughan.

To nie są żarty, pomyślał Reacher. Wygląda na największy na świecie.

Z kilku miejsc wydobywały się obłoki białej pary i brudny, czarny dym. Długi konwój samochodów rozdzielał się na prawo i lewo. Światła reflektorów skręcały jedne po drugich, pochylały się od hamowania i gasły. Auta parkowały ściśle i równo obok siebie na szerokim utwardzonym poboczu. Reacher skulił się za skałą, będąc niecałe pół kilometra na północ od bramy wejściowej. Obserwował z ukrycia, jak ludzie zbliżają się do bramy, idąc długim rzędem, z pojemnikami na lunch w rękach. Brama była wąska. To raczej wejście tylko dla ludzi, nie wjazd dla samochodów, pomyślał. Pewnie ze względu na bliskość głównych dróg dojazdowych brama dla samochodów musiała być zlokalizowana po drugiej stronie zakładu.

Niebo za plecami Jacka zaczynało się rozjaśniać. Z mroku powoli wynurzały się elementy krajobrazu. Ogólnie cały teren był dość płaski, ale z bliska okazywało się, że ma pełno zagłębień, garbów i wystających skał dających dobre schronienie. Grunt był piaszczysty. Gdzieniedzie pojawiały się jakieś suche zakrzewienia. W sumie nic interesującego. Nic, co mogłoby przyciągnąć czyjąś uwagę. To miejsce nie nadawało się na żaden piknik. Reacher spodziewał się, że ten dzień spędzi samotnie.

Ostatni pracownik wszedł na teren zakładu i zamknięto bramę. Reacher ruszył w dalszą drogę, kierując się szerokim łukiem na północ, później na zachód. Starał się być stale ukryty i rozglądał za wyniesieniami terenu, które zapewniłyby mu zasłonę. Zakład recyklingu metalu był ogromny. Niekończące się ogrodzenie wykonano z zespawanych stalowych płaszczyzn i pomalowano na biało. Płot był zwieńczony poziomo przyspawanym cylindrem o średnicy ponad półtora metra. Nie istniała najmniejsza szansa na pokonanie takiego muru. To jak więzienie o najwyższym rygorze bezpieczeństwa. Reacher zdał sobie sprawę z tego, że jego wcześniejsze ustalenia dotyczące wielkości kombinatu były znacząco niedoszacowane. Zakład wydawał się większy od całego miasteczka, które wyglądało jedynie jak jego dodatek. Rozpacz nie była miasteczkiem z przetwórnią złomu. Rozpacz była zakładem recyklingu z sypialnią poza jego ogrodzeniem.

W środku ruszyła praca. Reacher usłyszał westchnienia uruchamianej ciężkiej maszynery i dźwięczne uderzanie metalu o metal. Dostrzegł płomienie palników do cięcia blach i syjące się wokoło iskry. Posuwając się w osłonie suchorośli w oddaleniu o pół kilometra od ogrodzenia, doszedł do północno-zachodniego narożnika zakładu w piętnaście minut. Wreszcie zobaczył bramę dla pojazdów. Wiodła do niej szeroka i prosta droga, ciągnąca się aż po horyzont. Miała gładką nawierzchnię i solidną budowę. Widać było, że powstała specjalnie dla ciężkich pojazdów transportowych.



Ta właśnie droga stała się dla Reachera nie lada problemem. Bo gdyby chciał kontynuować swój marsz w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, musiałby w pewnym punkcie ją przeciąć. A wtedy stałby się widoczny jak na patelni. W świetle poranka ciemne ubranie odbijałoby się od jasnego podłoża. Ale właściwie to kto miałby go zauważyć? Podejrzał, że gliniarze z Rozpaczy pozostali w miasteczku. A przecież trudno było spodziewać się kontroli obszaru przez ochroniarzy z kombinatu.

Ale właśnie tak się stało.

Kryjąc się czterysta metrów dalej, Reacher zobaczył wyjeżdżające z bramy dwa białe samochody terenowe marki Chevrolet Tahoe. Po pięćdziesięciu metrach zjechały z drogi, jeden na prawo, drugi na lewo, na ubite od poprzednich niezliczonych przejazdów pustynne trakty. Obydwa tahoe miały podniesione zawieszenie dojazdy terenowej i wielkie koła z białymi literami na bokach. Na drzwiach widniał napis wykonany czarnymi literami: „Ochrona”. Wozy jechały powoli, może ze trzydzieści kilometrów na godzinę, jeden w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, a drugi w przeciwnym, jakby miały jeździć dookoła zakładu przez cały dzień.

Reacher ukucnął i wycofał się sto metrów dalej. Natrafił na odpowiedniej wielkości skałę i schował się za nią. Jeśli teren zakładu był prostokątem o bokach w przybliżeniu dwa kilometry na jeden, dawało to sześć kilometrów do przejechania w jednej rundzie. Przy prędkości trzydzieści kilometrów na godzinę każdy objazd będzie trwał niewiele dłużej niż dziesięć minut. A to oznaczało, że przy dwóch ciężarówkach terenowych jadących w przeciwnym kierunku, każdy z punktów na ich trasie będzie znajdował się poza zasięgiem wzroku kierowców zaledwie przez pięć minut. I tylko tyle. Oczywiście, jeśli będą poruszać się ze stałą prędkością.

Reacher nienawidził wycofywania się z raz rozpoczętych działań.

Ruszył w kierunku zachodnim, trzymając się zagłębień terenu, jak tylko było to możliwe, i chowając się za wystającymi z ziemi głazami. Dziesięć minut dalej teren został wyrównany na potrzeby budowy drogi. Pobocze po stronie Reachera miało około dziesięciu metrów szerokości. Wykonane było z ubitego żwiru poprzerastanego teraz pustynnymi porostami. Szerokość jezdnii, składającej się z dwóch pasów ruchu przedzielonych ciągłą żółtą linią wynosiła mniej więcej piętnaście metrów. Gładki asfalt. Pobocze po przeciwnej stronie też miało szerokość około dziesięciu metrów.

Dystans do pokonania to minimum trzydzieści pięć metrów.

Reacher nie był sprinterem. Biegał wolno. Bieg był niewiele szybszy od jego szybkiego marszu. Ukucnął po wschodniej stronie najbardziej wysuniętego głazu i obserwował terenówki.

Pojawiały się w tym samym miejscu znacznie później, niż to wyliczył. Przerwy w dozorze jednego boku zakładu trwały raczej około dziesięciu minut niż pięciu, co było trudne do wytłumaczenia, ale niesło korzyść dla Reachera. Niekorzystnym aspektem stała się sama droga, która nagle zrobiła się dosyć ruchliwa. Reacher tego niestety nie przewidział. Największy zakład recyklingu metalu musiał mieć zapewnione dostawy surowców wtórnych, ale też i odbiór przetworzonego metalu. Przecież sam sobie złomu nie wykopywał z pustyni ani też swojego produktu z powrotem nie zakopywał. Złom był dowożony, a sztaby i pręty wywożone ciężarówkami. Dużo złomu to dużo sztab i prętów. Krótko po siódmej rano ciągnik siodłowy z płaską naczepą na tablicach rejestracyjnych z Indiany wyjechał z bramy i z łoskotem potoczył się po drodze. Był wyładowany błyszczącymi stalowymi prętami. Przejechał sto metrów i minął podobny ciągnik z naczepą jadący w stronę zakładu. Ten miał tablice rejestracyjne z Oregonu i wioził sprasowane karoserie samochodów. Ciężarówka kontenerowa na kanadyjskich tablicach wyjechała z bramy i minęła ciągnik siodłowy z Oregonu. W tym momencie nadjechał tahoe poruszający się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, przeciął drogę i ruszył dalej. Trzy minuty później nadjechał drugi tahoe z

przeciwnej strony. Kolejny ciągnik z naczepą opuścił zakład i kolejny do niego wjechał. Kilometr na zachód Reacher dostrzegł trzecią ciężarówkę, drgającą i połyskującą przez poranną mgiełkę rozgrzewającego się powietrza. Dalej jechała czwarta.

Ruch jak na Times Square w Nowym Jorku.

Za ogrodzeniem widać było poruszające się ramiona olbrzymich dźwigów i kaskady strzelających w powietrze iskier spawalniczych. Unoszący się dym i buchający z rozpalonych pieców hutniczych żar zniekształcały widok. Dochodziły do tego różne przytłumione dźwięki, stukot młotów pneumatycznych, chrzęst ocierających się blach, metaliczny dźwięk towarzyszący rozdieraniu blachy i głębokie, donośne uderzenie potężnych pras do metalu.

Reacher napił się wody i zjadł batona. Począł na obydwu terenowe tahoe, by jeszcze raz wykonały pełen objazd, potem po prostu wstał i przeszedł na drugą stronę drogi pomiędzy nadjeżdżającymi z obu stron ciężarówkami. Podjął ryzyko, że może zostać zauważony. Po pierwsze, i tak nie miał żadnego wyboru. Po drugie, rozważał kwestie prawdopodobieństwa i stopnia separacji łańcucha wydarzeń: czy kierowca doniesie nadzorcy zakładu, że widział jakiegoś pieszego? Czy nadzorca powiadomi ochronę? Czy ochrona zadzwoni na policję?

Wydawało się to nieprawdopodobne. Nawet jeśli wszystko miało się potoczyć właśnie tak, to pozostaje kwestia szybkości reakcji. Reacher uciekłby w zarośla na pustynię, zanim gliniarze przybyliby na miejsce w swoich crown victoriach. A policyjne fordzie nie są przecież samochodami terenowymi. Zakładowe tahoe pozostałyby na swoich stanowiskach, wykonując rutynowe objazdy.

Wystarczająco dużo bezpieczeństwa.

Skierował się na południe, posuwając się w stronę skał, wzgórków i zagłębień terenu wzdłuż ogrodzenia kombinatu. Stalowy płot ciągnął się w bezpiecznej odległości. Miał około trzech metrów wysokości i był zespawany z kawałków blach, które kiedyś prawdopodobnie pełniły funkcje dachu starych samochodów. Każdy kawałek miał jakieś lekkie wybrzuszenie. Sprawiało to, że płot wyglądał jak pas artystycznie uszytej koldry powstałej z różnych latek. Rura o średnicy ponad półtora metra, stanowiąca zwieńczenie płotu, była wykonana z podobnych blach, które zostały zwalcowane do dokładnych wymiarów i bezszwowo zespawane w całość. Całą tę konstrukcję na końcu pomalowano białą, błyszczącą farbą.

Reacher przeszedł wzdłuż boku zakładu w ciągu dwudziestu minut, co znaczyło, że pokonał odległość prawie dwóch kilometrów. Gdy dotarł do najbardziej wysuniętego na południowy zachód narożnika kombinatu, zrozumiał, dlaczego tahoe tak długo objeżdżały zakład. Tu był drugi ogrodzony teren. Drugi olbrzymi prostokąt podobnej wielkości. Wybudowany wzdłuż osi przekątnej biegnącej z północnego wschodu na południowy zachód, wcale nie równoległe do kombinatu recyklingu. Północno-wschodni narożnik znajdował się pięćdziesiąt metrów od południowo-zachodniego narożnika zakładu metalurgicznego. Ślady opon samochodowych wskazywały na to, że terenówki ochrony także objeżdżały ten ogrodzony teren, mijając się w zwężeniu olbrzymiej, lekko skrzyżowanej ósemki tworzonej przez obydwie obiekty. Reacher nagle znalazł się w niebezpieczeństwie. W odniesieniu do pierwszego obiektu sytuacja wyglądała dobrze. Za to w stosunku do drugiego już niezbyt ciekawie. Tahoe poruszający się zgodnie w ruchem wskazówek zegara będzie jechał przez przewężenie, robił szeroki łuk i zbliżył się do jego pozycji. Reacher wycofał się na zachód, podążając do niskiego głazu, za którym chciał się ukryć. Przeszedł połowę odległości do głazu przez niskie suchorośle.

Nagle usłyszał chrzęst opon na piasku.

Natychmiast padł na ziemię, rozpląszczył się i obserwował.

Białe tahoe przejeżdżał przez przewężenie z prędkością trzydziestu kilku kilometrów na godzinę. Reacher słyszał, jak jego koła ugniatają suche pustynne krzewy. Terenówka miała szerokie i miękkie opony, które doskonale radziły sobie na nieutwardzonej nawierzchni,

wystrzeliwując na wszystkie strony drobne kamyczki. Reacher słyszał syczenie pompy wspomaganie kierownicy i głębokie bulgotanie potężnego silnika V-8. Samochód właśnie pokonał lekki łuk tak blisko Jacka, że ten poczuł zapach spalin.

Nadal leżał bez ruchu.

Terenówka pojechała dalej, nie zatrzymując się ani nawet nie zwalniając na moment. Kierowca siedział wysoko. Reacher domyślił się, że jak większość kierowców, powinien wieść wzrokiem wzdłuż łuku, który zamierzał wykonać. Ale mężczyzna doskonale znał ten łuk i patrzył na lewą stronę, a nie przez maskę i na prawo.

Słaba technika dozoru jak na ochroniarza.

Reacher leżał bez ruchu, dopóki tahoe nie zniknął z pola widzenia. Wtedy wstał, otrzepał się z kurzu i ruszył na zachód.

Po chwili usiadł przy niskim głazie, który obrał za kolejną zasłonę.

•••

Ogrodzenie drugiego zamkniętego terenu nie zostało wykonane z blach, lecz z kamienia polnego. To musiała być rezydencja mieszkalna. Znad płotu wystawały ozdobne drzewa zasłaniające widok na zakład recyklingu. W oddali było widać wielki dom

w stylu chat alpejskich zbudowany z drewna, który bardziej pasowałby do górskiego kurortu Vail w Górach Skalistych w Kolorado niż do Rozpaczy. Na posesji stały też inne zabudowania. Była tam wielka stodoła, która najprawdopodobniej pełniła funkcję hangaru, ponieważ na całej długości wewnętrznego muru pozostawiono pas gołej ziemi będący najwyraźniej pasem startowym. Na początku, na końcu i pośrodku owego pasa stały maszty z rękawami wskazującymi na siłę i kierunek wiatru.

Reacher ruszył dalej. Postanowił nie pchać się do wąskiego pięćdziesięciometrowego gardła przewężenia. Ktoś mógłby go dostrzec i zacząć ścigać. Zamierzał obejść rezydencję, kierując się na zachód, tak jakby obydwie ogrodzone tereny były jedną wielką przeszkodą.

•••

Około godziny dwunastej był już bezpiecznie ukryty po południowej stronie zakładu i przyglądał mu się od tyłu. Rezydencja znajdowała się trochę bliżej, po jego lewej stronie. Daleko na północnym zachodzie majaczyła jakaś niewyraźna, szara smuga, może niski budynek, a może grupa budynków. Trudno było to ocenić z odległości ośmiu czy dziewięciu kilometrów. Może zabudowania stały przy jakiejś drodze. Może była to stacja benzynowa, stacja postojowa dla ciężarówek albo motel. Z pewnością znajdowały się poza granicami miasta. Reacher zmrużył oczy i skupił wzrok, ale nie potrafił dostrzec żadnych szczegółów. Odwrócił się, by jeszcze raz zlustrować kombinat. Wewnątrz trwała praca, natomiast nic nie działo się na posesji wokół domu. Obserwował chevrolety tahoe patrolujące teren i ruch ciężarówek na odległej szosie dojazdowej do zakładu. Podążały jedna za drugą. Głównie ciągniki z platformami naczepowymi, choć Jack dostrzegł też kilka kontenerów i zwykłych ciężarówek z przyczepami. Przyjeżdżały i odjeżdżały, ciągnąc za sobą czarne wstęgi spalin z dieslowskich silników, które łączyły się i wiły na niebie aż po granice horyzontu. Zakład wypływał dym, płomienie i iskry. Docierający do Reachera hałas był przytłumiony przez odległość, ale tam, na miejscu, musiał być potworny. Słońce stało wysoko na niebie i zaczęło się robić ciepło.

Reacher przykucnął, obserwował i nasłuchiwał. Gdy już się tym znudził, ruszył na wschód, by przyjrzeć się przedmieściom miasteczka.

Był jasny dzień, więc Jack szedł wolno, starając się zachować ostrożność. Pomiedzy zakładem a miastem rozciągała się mniej więcej na pięć kilometrów płaska równina. Osłaniające Reachera wysokie suchorośle pozwoliły mu ją pokonać na wprost. Do miejsca, z którego o szóstej rano rozpoczął wycieczkę dookoła zakładu recyklingu, dotarł wczesnym popołudniem. Tym razem kierował się na południe w stronę zabudowań, mając przed sobą tyły domostw, a za plecami pozostawiając wejście do zakładu dla pracowników.

Domy były zadbane i jednakowe, typu farmerskiego; tanio wybudowane, lecz całkiem poprawnie pod względem konstrukcyjnym. Wszystkie były parterowe; ściany zewnętrzne obito drewnianą szalówką, a dachy pokryto dachówką bitumiczną. Jedne pomalowano, inne miały naturalny kolor pociemniałego drewna. Przy jednych stały garaże, przy innych nie. Jedne były ogrodzone płotkami ze sztachet, inne miały otwarte podwórka. Większość mogła pochwalić się spodkami satelitarnymi nakierowanymi na południowy zachód. Wyglądały jak twarze zastygłe w oczekiwaniu. Gdzieniegdzie wokół domów kręcili się ludzie. Głównie kobiety i dzieci. Niewielu mężczyzn. Wsiadali do samochodów i wysiadali z nich, pracowali w ogródkach, nie spiesząc się nigdzie. To pewnie ci ludzie, którzy dostają tymczasowe zatrudnienie, domyślił się Reacher. Dziś nie mieli szczęścia. Choć Jack przeszedł kilkaset metrów ze wschodu na zachód, stale zmieniając punkty obserwacji, to niczego ciekawego nie wypatrzył. Zwykle domy na dziwnym osiedlu poza obrębem miasta, pośrodku kompletnego pustkowia. Niebo było pozbawione chmur, nic nie ograniczało widoczności. Wydawało się, że Góry Skaliste, rozciągające się na zachodzie, są oddalone o miliony kilometrów. Reacher wreszcie pojął, że miasto Rozpacz zostało zbudowane przez ludzi, którzy się poddali. Weszli na szczyt wzniesienia, zobaczyli odległy horyzont i zrezygnowali z dalszej tułaczki. Zbudowali obóz i zostali tutaj. Ich potomkowie nadal tu mieszkali, pracując lub nie pracując, w zależności od kaprysu właściciela kombinatu metalurgicznego.

•••

Reacher zjadł ostatniego batona proteinowo-energetycznego i wypił resztę wody. Obcasem wykopał dołek w piachu i wrzucił do niego papierki, puste butelki i worek na śmieci. Postanowił przyjrzeć się domom z bliska, więc zaczął przechodzić od głazu do głazu, by pozostać niezauważonym. Hałas dochodzący z fabryki przycichł. Jack domyślił się, że zbliża się koniec pracowitego dnia. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem i świeciło na Reachera z lewej strony. Ostatnie promienie muskały szczyty odległych gór. Temperatura zaczęła spadać.

Pierwsze samochody osobowe i pick-upy wracały do miasta po dwunastu godzinach. Długi dzień pracy. Jechały na wschód, w stronę zapadających ciemności, więc miały włączone światła. Reflektory omiatały przecznice, odbijając się i pochylając. Zbliżały się do Reachera. Zaczęły się rozdzielać na prawo i lewo, wjeżdżały na podjazdy przed domami, do garaży, pod wiaty albo na ubitą ziemię, brudną od plam oleju ciekącego z silników. Jedne po drugich gasły światła samochodów. Silniki przestawały szumieć. Otwierano i zatraskiwano drzwi. W domach świeciły się światła. Przez okna było widać niebieską poświatę włączonych telewizorów. Niebo robiło się coraz ciemniejsze.

Reacher podszedł bliżej. Zobaczył mężczyzn wnoszących do kuchni puste pojemniki po lunchu, stojących przy swoich samochodach, przeciągających się, przecierających oczy wierzchem dłoni. Widział chłopców z piłeczkami i rękawicami do baseballu spoglądających na ojców z nadzieją, że może choć przez chwilę z nimi pograją. Niektórzy ojcowie zaczęli grać, inni odmówili. Małe dziewczynki biegły do tatusiów, trzymając w rękach swoje skarby, którymi chciały się natychmiast pochwalić.

Jack zobaczył tego wielkiego faceta, który stał przy szczytce stołu i blokował wyjście z restauracji. Tego, który otworzył drzwi radiowozu policyjnego, jak odzwierzy otwiera drzwi taksówki. Starszy zastępca. Wysiadł właśnie z tej samej starej półciężarówki z podwójną kabiną pasażerską którą Reacher widział przed restauracją. Trzymał się rękami za brzuch. Przeszedł przez kuchnię i wytoczył się na podwórko bez żadnego ogrodzenia. Minął zagospodarowaną część, aż dotarł do skraju pustyni z tyłu.

Reacher przysunął się bliżej.

Mężczyzna zatrzymał się i stanął nieruchomo na szeroko rozstawionych nogach. Po chwili pochylił się do przodu i zwymiotował. Stał tak pochylony przez blisko dwadzieścia sekund.

Wyprostował się, potrząsnął głową i splunął.

Reacher podszedł jeszcze bliżej. Był już dwadzieścia metrów od zastępcy, gdy ten znów się zgiął i powtórnie zwymiotował. Jack usłyszał jego sapanie. Nie z bólu, nie ze zdziwienia, ale ze złości i zrezygnowania.

- W porządku z tobą?! - krzyknął Reacher z ciemności.

Mężczyzna się wyprostował.

- Kto tam?! - zawołał.

- Ja - odpowiedział Jack.

- Kto?

Reacher się przybliżył. Stał w smudze światła dochodzącego z okna kuchni sąsiadów.

- To ty.

- Ja.

- Przecież wyrzuciliśmy cię z miasta.

- Nie pogodziłem się z tym.

- Nie powinno cię tutaj być.

- Moglibyśmy to jeszcze raz przedyskutować, jeśli chcesz. Tutaj i teraz.

Facet pokręcił głową.

- Jestem chory. To nie byłoby uczciwe.

- Nie byłoby uczciwe, gdybyś nie był chory - odrzekł Reacher.

Facet wzruszył ramionami.

- Mów sobie, co chcesz. Ja wchodzę do domu.

- Jak się czuje twój koleś? Co z jego szczęką?

- Porządnie mu dowaliłeś.

- Z zębami w porządku?

- A co ciebie to obchodzi?

- Kwestia kalibracji - odparł Reacher. - To jest tak jak ze sztuką. Trzeba robić to, co się chce osiągnąć, nie mniej i nie więcej.

- I tak miał kiepskie zęby. Wszyscy zresztą mamy.

- To przykre.

- Źle się czuję. Idę do domu. Nie widziałem cię, okay?

- Zatrueś się jedzeniem?

Mężczyzna przystanął. Po chwili kiwnął głową.

- Pewnie tak. Musiało być zepsute.

Odwrócił się i skierował w stronę domu, powoli, z mozołem, trzymając się za pasek, jakby miał za duże spodnie. Reacher obserwował go przez moment, po czym odwrócił się i skrył w ciemności.

Odszedł pięćdziesiąt metrów na południe i kolejne pięćdziesiąt na wschód od podwórka, na którym spotkał chorego zastępcę, na wypadek gdyby ten mimo wszystko zmienił swoją decyzję i stwierdził, że jednak go widział. Chciał zachować pewną odległość od miejsca, skąd gliniarze pewnie zaczęliby go szukać po sprawdzeniu śladów na podwórku. Chciał być oddalony od tego miejsca na długość promienia latarki.

Jednak policja nie przyjechała. Najwyraźniej facet rzeczywiście po nich nie zadzwonił. Reacher odczekał prawie pół godziny. Daleko na zachodzie znów usłyszał silnik startującego, małego samolotu. Siódma wieczorem. Po chwili zapadła cisza i niebo poczerniało od chmur, które napłynęły i zakryły księżyc i gwiazdy. Poza poświatą dochodzącą z zasłoniętych okien świat pograżył się w totalnych ciemnościach. Temperatura spadła jak szalona. Tak właśnie wyglądały noce na odkrytym terenie.

To był długi dzień.

Reacher wstał i rozluźnił kołnierzyk koszuli. Ruszył z powrotem na wschód, w stronę Nadziei. Oświetlone domy pozostawił za lewym barkiem. Gdy zapadły się w ciemności, skręcił

odrobinę w lewo i podążał do miejsca, w którym, według jego orientacji, powinny znajdować się skład suszonej żywności, stacja benzynowa, opustoszały motel i pusta działka budowlana. Znowu skręcił trochę w lewo, by odnaleźć zarys drogi. Musi tam gdzieś być. Nie mógł jej jednak dostrzec. Szedł w kierunku, w którym, jak sądził, powinien się w końcu na nią natknąć. Mimo ciemności wreszcie dostrzegł czarny pas szosy. Niewyraźny, ale różniący się od czerni pustyni pokrytej suchoroślami, przez którą się przedzierał. Wyrównał kierunek marszu w stosunku do drogi, wpisał wyznaczoną trasę do swojego mózgu, oddalił się dla bezpieczeństwa na dziesięć metrów od brzegu jezdni i zaczął maszerować. Jednak nie było to takie łatwe w totalnych ciemnościach. Wpadał na krzewy. By nie poobijać się o głazy, szedł z wyprostowanym przed sobą ramieniem. Dwa razy potknął się o kamienie wielkości piłki futbolowej i upadł. Dwa razy podnosił się, otrzępywał i szedł dalej.

„Uparciuch”, powiedziała Vaughan.

„Głupek”, skonstatował Reacher.

Trzeci raz potknął się o coś, co nie było skałą. Wpadł na coś o wiele bardziej miękkiego i podatnego na przesunięcie.

12

Reacher zaczął się przewracać, lecz instynkt sprawił, że nie runął na to, co pozbawiło go równowagi. Upadając, poderwał nogi i schował głowę w ramiona jak prawdziwy dzudoka. Wylądował na plecach, lekko skrzyżny. Potłukł się o ostre, wystające kamienie. Nabawił się od nich siniaków na plecach i biodrach. Przez chwilę leżał nieruchomo, po czym przekręcił się na brzuch, podparł ramionami i ukląkł. Przesunął się tak, by znaleźć się przodem do kierunku, z którego przyszedł. Otworzył szeroko oczy i wpatrywał się w mrok.

Było zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć.

Nie miał latarki.

Posunął się do przodu na kolanach i jednej ręce; drugą trzymał wyprostowaną przed sobą z zaciśniętą pięścią. Niecały metr dalej dotknął czegoś.

Czegoś miękkiego.

Ale nie było to futro.

Tkanina.

Rozluźnił zaciśnięte palce. Pomacał opuszkami napotkany obiekt. Ścisnął.

To była noga. Trzymał dłoń na ludzkiej nodze. Nie mógł się mylić. Wyczuł palcami ścięgno udowe i długi mięsień czworogłowy. Materiał ubrania był cienki i miękki. Spodnie z bawełny, znoszone i wielokrotnie prane. Pewnie uszyte w Chinach.

Przesunął dłoń w lewo i natrafił na tył kolana. Czyli ciało leżało twarzą w dół. Kciukiem odnalazł kolano. Było wciśnięte w piach. Przesunął dłoń o niecały metr w prawo i doszedł do łopatki. Pod palcami wyczuwał szyję, potylicę, ucho.

Brak pulsu.

Zimne ciało. Ani choćby o stopień cieplejsze od nocnego powietrza.

Poniżej ucha trafił na kołnierzyk. Dziany, zrolowany, miękki. To pewnie koszulka polo. Przyniósł się bliżej na kolanach i otworzył oczy tak szeroko, że aż mięśnie twarzy zaczęły go boleć.

Było jednak zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć.

Dysponował pięcioma zmysłami. Ale teraz nic nie widział ani nic nie słyszał. Nie miał zamiaru też niczego sprawdzać za pomocą smaku. Pozostawały węch i dotyk. Zapach ciała był w miarę neutralny. Reacher nawąchał się w swoim życiu wystarczającej liczby martwych ciał, a ten zapach nie był jeszcze zbyt ostry. Jack wyczuł nosem nieświeże ubranie, zaschnięty pot, niemyte włosy, wysuszoną przez słońce skórę i niemalże ulotną woń metanu świadczącego o rozpoczętym procesie rozkładu, ale jego nozdrzy nie wypełnił smród odchodów ciekłych ani stałych.

Żadnej krwi.

Żadnych perfum ani wody kolońskiej.

Żadnej konkretnej informacji.

Pozostał jeszcze dotyk. Badanie przeprowadzał obiema rękami. Zaczął od włosów. Niezbyt długie, niezupełnie krótkie, lekko kręcone, długości trzech, może czterech centymetrów. Pofalowane z tendencją do zakręcania się w loki. A więc to były białe. Trudno powiedzieć, jaki kolor miały włosy. Pod nimi mała, kształtna czaszka.

Mężczyzna czy kobieta?

Powiódł paznokciem kciuka po linii kręgosłupa. Nie natrafił na pasek od stanika pod koszulką ale to przecież jeszcze o niczym nie świadczyło. Wsunął dłonie pod spód i, jak ślepiec czytający brajlem, obmacywał skraj klatki piersiowej, przesuwał palcami po żebrach. Lekka konstrukcja szkieletu, mocno zarysowany kręgosłup, lekkie i sprężyste mięśnie. Wąskie łopatki. Albo trochę niedożywiony, szczupły chłopak, albo umięśniona kobieta. Taka, która biega w maratonach lub przejeżdża na rowerze sto kilometrów bez zatrzymywania się.

Więc jaka to była płeć?

Istniał tylko jeden sposób, by to sprawdzić.

Reacher złapał za fałdy koszulki i za spodnie na udach, po czym odwrócił ciało na bok. Było dość ciężkie. Rozłożenie rąk przy odwracaniu sugerowało, że człowiek ten miał około metra siedemdziesięciu wzrostu i ważył około sześćdziesięciu pięciu kilogramów. Więc najprawdopodobniej był to mężczyzna. Kobieta maratończyk byłaby jednak znacznie lżejsza, ważyłaby jakieś pięćdziesiąt kilogramów. Jack pozwolił ciału opaść na plecy. Znowu rozpostarł palce i zaczął badać zwłoki od głowy.

Mężczyzna. Był już tego pewien.

Czoło było kościste i miało zmarszczki, a na brodzie i górnej wardze wyczuł kilkuniedniowy zarost. Policzki i gardło były gładkie.

Młody mężczyzna, jeszcze chłopak.

Miał wystające kości policzkowe. Oczy twarde i suche jak na rzeźbach marmurowych. Skóra na twarzy sprężysta, naciągnięta i wysuszona. Do policzków przylepiły się ziarenka piasku. Usta były suche, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Naprężone jak struny ścięga szyjne dawały się łatwo wyczuć. Nigdzie ani grama zbędnego tłuszczu. Niemalże sama skóra i kości. Zagłodzony i odwodniony, pomyślał Reacher.

Koszulka polo miała dwa guziki. Obydwa były rozpięte. Żadnej kieszonki, ale za to na lewej piersi było wyszyte logo. Pod koszulką Jack wyczuł mięśnie piersiowe i twarde żebra. Spodnie były luźne w pasie. Brakowało przy nich paska. Jakieś sportowe obuwie na grubej podeszwie, zawiązywane sznurówkami przeciągniętymi przez haczyki.

Reacher wytarł ręce o własne spodnie i zaczął badać od nowa, od stóp do góry w poszukiwaniu ran. Podeszedł do tego jak podejrzliwy agent bezpieczeństwa na lotnisku, który szykuje się do szczegółowej kontroli osobistej pasażerów. Przeegzaminował przód, a potem tył ciała.

Nic nie znalazł.

Żadnych ran kłutych czy postrzałowych, żadnych opuchlizn czy stłuczeń, żadnych połamanych kości.

Dłonie były nieduże i dość delikatne, choć opuszki miały stwardniałe. Paznokcie były nierówne. Żadnego pierścionka, sygnetu ze szkoły średniej, obrączki ślubnej.

Sprawdził kieszenie spodni, dwie z przodu, dwie z tyłu.

Nic nie znalazł.

Żadnego portfela, monet, kluczy, telefonu komórkowego. Zupełnie nic.

Odchylił się do tyłu, kucnął na piętach i popatrzył w niebo, modląc się, by chmura zakrywająca księżyc przesunęła się na bok. Nic takiego się nie stało. Noc była ciemna. Szedł na wschód, a gdy upadł, kierunki świata się odwróciły. Więc teraz był przodem do zachodu.

Odepchnął się z kolan i wstał. Odwrócił się o ćwierć obrotu w prawo. Stał twarzą na północ. Zaczął iść powoli, małymi kroczkami, koncentrując się na utrzymaniu prostej linii marszu. Pochylił się, rozłożył palce nad spieczoną ziemią i znalazł cztery kamienie wielkości piłek do baseballu. Wyprostował się i przeszedł pięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia metrów.

Odnalazł drogę. Suche zarośla ustąpiły zatopionemu w smole grubemu żwirowi. Stopami wyczuł krawędź utwardzonej nawierzchni. Pochylił się i ułożył trzy kamienie obok siebie, a czwarty postawił na górze, tworząc piramidkę. Odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął wracać, licząc kroki. Pięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia metrów. Zatrzymał się i ukucnął, wyczuwając przestrzeń przed sobą rękami.

Nic.

Przesunął się trochę do przodu z wyciągniętymi ramionami, badając grunt, dopóki nie natrafił na zwłoki. Spojrzał na niebo. Nadal było czarne.

Nic więcej nie da się tu zrobić, pomyślał.

Wstał, odwrócił się i ruszył w ciemność na wschód, do Nadziei.

13

Im bardziej zbliżał się do Nadziei, tym bardziej dryfował w stronę drogi. Nadzieja nie była dużym miastem, więc nie chciał ominąć go w ciemności. Nie miał ochoty maszerować w nieskończoność i dojść z powrotem do Kansas. W końcu tor jego marszu wprowadził go na pobocze drogi i gdy Jack wyczuł kamyki zatopione w kiepskim asfalcie, pomyślał, że do Nadziei ma jeszcze ze dwa kilometry. Zegar w jego mózgu mówił, że jest już północ. Reacher utrzymywał niezłą prędkość - prawie pięć kilometrów na godzinę, mimo że cztery razy się przewrócił i co trzydzieści minut schodził na bok w kierunku drogi, by upewnić się, czy nie zszedł z właściwego kursu.

Kiepska jakość nawierzchni drogi należącej do okręgu miasteczka Rozpacz chrzęściła pod podeszwami butów, ale przynajmniej mógł teraz przyspieszyć tempo marszu. Rozpędził się i pozostały dystans pokonał w piętnaście minut. Było bardzo zimno. I ciemno jak w grobie. Mimo to wyczuwał, że już niedaleko do gładkiego asfaltu. Nagle jakość nawierzchni całkowicie się zmieniła.

Przekroczył granicę okręgów.

Zatrzymał się na moment. Rozłożył szeroko ręce i spojrzał na czarne niebo. Wtedy rozbłysły reflektory samochodowe i poraziły go jasnością. Światło szperacza omiatało jego sylwetkę od stóp do głów.

Radiowóz policyjny.

- To kobiety też wyrzucają?
- Rozporządzenie o włączegostwie nie określa płci włączęgi.
- Kim ona jest?
- To jeszcze dzieciak. Powiedziałam jej o tobie. Nie podałam nazwiska, wspomniałam tylko, że będziesz jadł kolację w bistro późnym wieczorem. Zakładałam, że uda ci się twój plan. Jestem niepoprawną optymistką. Więc pewnie ona tam na ciebie czeka.
- A czego może ode mnie chcieć?
- Nie powiedziała mi, ale odniosłam wrażenie, że zaginał jej chłopak.

14

Reacher opuścił radiowóz Vaughan przy First Street i od razu poszedł na Second Street. Bistro było jasno oświetlone, a w środku siedziało kilku klientów. Trzy boksy były zajęte. Jakiś samotny facet, samotna młoda kobieta w drugim i dwóch facetów w trzecim. Może mieszkańcy Nadziei dojeżdżali gdzieś do pracy. Oczywiście nie do Rozpaczy, ale do innych miasteczek. Może nawet do sąsiednich stanów - do Kansas albo Nebraski. A to już były spore



odległości. I może ci klienci bistro właśnie wrócili późno po pracy i nie chciało im się już gotować w domu. A może to pracownicy zmianowi, którzy mieli przed sobą długą drogę do pracy.

Chodniki koło bistro były puste. Żadnych dziewczynek włóczących się po nocy. Żadnych dziewczynek obserwujących, kto wchodzi, a kto wychodzi. Żadnych dziewczynek opierających się o ściany. Żadnych dziewczynek chowających się w mroku. Reacher pociągnął za klamkę i poszedł do boksu w najdalszym końcu sali, gdzie mógłby usiąść pod ścianą i widzieć wszystkich jak na dłoni. Robił tak z przyzwyczajenia. Nigdy nie siedał inaczej. Przyszła kelnerka, położyła serwetkę, sztućce i szklankę wody z lodem. Inna kelnerka niż ta, która obsługiwała go podczas maratonu kawowego. Ta była młodsza i nie wyglądała nawet na zmęczoną, choć zegar wskazywał późną godzinę. Pewnie studentka college'u. Może lokalu nie zamykano przez całą dobę, by dać ludziom pracę i posiłki. Może właściciel miał poczucie odpowiedzialności społecznej. Takiego właśnie podejścia do życia można było oczekiwać w Nadziei.

Menu leżało spięte chromowanym klipsem na przeciwległym brzegu stołu. Każda kartka była laminowana, a każde danie miało swoją fotografię. Gdy kelnerka podeszła do stolika, Reacher wskazał palcem na zdjęcie grillowanej kanapki z serem i dodał:

- I kawę.

Kelnerka zapisała zamówienie i odeszła, a Jack rozsiadł się i spoglądał przez okno na ulicę. Podejrzuwał, że dziewczyna, która chce się z nim spotkać, będzie przechodziła koło bistro co piętnaście, dwadzieścia minut, by sprawdzić, czy Reacher jest w środku. Przynajmniej on tak by zrobił. Gdyby stosowała dłuższe przerwy, mogłaby przegapić jego wizytę w jadłodajni. Większość gości takich miejsc wpadała i wypadała dosyć szybko. Na pewno istniały gdzieś jakieś dokładne wyliczenia dotyczące ilości czasu spędzanego w takich knajpkach. Reacher nie przesiadywał przy posiłku dłużej niż pół godziny. Krócej, gdy się spieszył, a dłużej, gdy padało. Przypominał sobie, że najdłużej siedział w bistro ponad dwie godziny. Najkrócej zaś wczoraj w Rozpaczce. Jedna szybka kawa nadzorowana przez wrogie spojrzenia.

Nikt nie pojawił się na chodniku przed lokalem. Nikt nie spoglądał przez okna do środka. Podeszła kelnerka z zamówioną kanapką i kubkiem kawy. Kawa była świeżo zaparzona, a kanapka pyszna. Roztopiony ser kleił się do zębów i nie pachniał tak intensywnie jak sery z Wisconsin, ale smakował całkiem nieźle. Reacher nie był zbyt wybredny. Jedzenie oceniał jako jadalne lub niejadalne, a kategoria „jadalne” była zdecydowanie bardziej pojemna od tej drugiej. Więc jadł, pił i cieszył się tym, co ma.

Po piętnastu minutach przestał martwić się spotkaniem z dziewczyną. Przypuszczał, że już się nie pojawi. Ale potem zmienił zdanie. Przestał obserwować ulicę i zaczął przyglądać się gościom w środku. Zrozumiał, że ona już tu jest i czeka na niego.

To musiała być ta młoda kobieta trzy stoliki dalej.

Głupi Reacher, pomyślał o sobie.

Przecież gdyby to on był kobietą i na kogoś czekał, to sam wyglądałby przez okno co piętnaście lub dwadzieścia minut, by sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi. Jednak sam na pewno by tak nie postąpił. Wszedłby po prostu do środka i usiadł, czekając na jakiś znak.

Właśnie tak jak ona to zrobiła.

Zdrowy rozsądek w czystej postaci.

Miała dziewiętnaście, może dwadzieścia lat, ciemne blond włosy z pasemkami. Ubrana w krótką dzinsową spódniczkę i biały T-shirt z nazwą drużyny futbolowej. Trudno byłoby powiedzieć o jej urodzie, że uosabia absolutne piękno, ale nieznajoma miała w sobie coś pociągającego, związanego z młodzięcym, zdrowym wyglądem, charakterystycznym dla dziewcząt jej postury i wieku. Jej skóra w kolorze miodu z lekko ustępującą już letnią opalenizną wydawała się doskonale gładka. Zęby były białe i równe, oczy niebieskie i żywiołowe, nogi długie, nie za szczupłe, nie za grube. Nawet zgrabne, pomyślał Reacher. Na

nogach miała buty sportowe i krótkie białe skarpetki pod kostkę. Obok na kanapie stała jej torba, ale nie była to ani damska torebka, ani walizka, tylko torba podobna do tej, którą noszą kurierzy, z szarego nylonu z szeroką klapą.

To właśnie na tę dziewczynę czekał. Zrozumiał to, gdy spojrzął na nią kątem oka - ona też obserwowała go ukradkiem. Można było wyczuć, że zastanawia się, czy do niego podejść.

Najwyraźniej zdecydowała, że tego nie zrobi.

Miała pełne piętnaście minut, żeby podjąć decyzję. Jednak nie wstała i nie podeszła do jego stolika. I wcale nie dlatego, że nie chciała mu przeszkadzać, gdy jadł. Reacher podejrzewał, że jej znajomość etykiety nie sięgała tak daleko. A nawet jeśli, to przecież sprawa zaginięcia jej chłopaka była ważniejsza od etykiety. Po prostu nie chciała mieć z Reacherem nic do czynienia, i to wszystko. Reacher nie miał jej tego za złe. „Spójrz na siebie”, przypomniał sobie słowa Vaughan. „Co widzisz?”. Nie miał żadnych złudzeń, jeśli chodzi o to, co widziała nieznajoma siedząca trzy boksy dalej. Żadnych złudzeń dotyczących swojego wyglądu lub atrakcyjności dla takiej dziewczyny jak ona. Była późna noc, więc trudno się dziwić, że obawiała się faceta dwa razy starszego od niej, potężnie zbudowanego, w byle jakim ubraniu, rozczochranego, nieogolonego, otoczonego polem siłowym, które dopracowywał przez wiele lat, z napisem na czole: „Trzymaj się ode mnie z daleka”.

Pewnie będzie tak siedziała, dopóki on nie wyjdzie. To oczywiste. Reacher czuł się rozczarowany. Głównie z powodu zwłok chłopaka przy drodze, ale nie tylko; gdzieś w małym zakamarku mózgu chciałby jednak być takim facetem, do którego chętnie podchodzą ładne dziewczyny. Wcale nie dlatego, że miałyby to do czegoś prowadzić. Wyglądała atrakcyjnie, ale przecież Jack był od niej dwa razy starszy. Poza tym jej chłopak nie żył, co sprawiało, że w pewnym sensie była wdową.

Nadal go obserwowała. Reacher odwrócił wzrok, by widzieć odbicie jej twarzy w szybie. Spoglądała do góry, w dół, bawiła się palcami, kierowała zniechęcony wzrok w jego kierunku, gdy naszły ją jakieś myśli, by po chwili, gdy ustąpiły wątpliwości, zerknąć w inną stronę. Aż znalazła jakiś powód, by przestać zupełnie patrzeć w jego kierunku. Reacher dał jej jeszcze pięć minut i sięgnął do kieszeni po pieniądze. Nie potrzebował rachunku. Wiedział, ile kosztowały kanapka i kawa, ponieważ ceny były podane w menu. Pamiętał o lokalnym podatku od sprzedaży i sam wszystko obliczył w głowie. Do sumy dodał piętnastoprocentowy napiwek dla kelnerki, która też trzymała się od niego z daleka.

Zgiął banknoty o niskim nominale wzdłuż i położył je na stole. Wstał i skierował się do drzwi. W ostatnim momencie zmienił jednak kierunek, podszedł do młodej kobiety, którą obserwował, i wsunął się na kanapę naprzeciwko niej.

- Nazywam się Reacher. Chyba chciałaś ze mną porozmawiać - zaczął.

Dziewczyna spojrzała na niego, mrugnęła, otworzyła usta i zamknęła je z powrotem. Po chwili jednak przemówiła:

- A skąd taki pomysł?

- Spotkałem policjantkę o nazwisku Vaughan. Ona tak powiedziała.

- Co panu powiedziała?

- Że szukasz kogoś, kto został wyrzucony z Rozpaczy.

- Jest pan w błędzie. Nie chodziło o mnie.

Była wielką kłamczuchą. Jednak wcale nie wielką. W poprzednim życiu Reacher natknął się na naprawdę wspaniałych łgarzy. A ta dziewczyna miała kłamstwo wypisane na całym ciele. To przelitykanie śliny, falstart, jąkanie, wiercenie się i spojrzenia w prawo. Psychologowie doszli do wniosku, że centrum pamięci było zlokalizowane w lewej półkuli mózgowej, a wyszukiwarka wyobraźni w prawej półkuli. Stąd też ludzie podświadomie spoglądali w lewą stronę, gdy chcieli sobie coś przypomnieć, a w prawą stronę, gdy chcieli coś zmyślić. I gdy kłamali. Dziewczyna spoglądała w prawo, więc mogła obawiać się klapsa.

- Okay - odparł Reacher. - Przepraszam, że zawracam ci głowę.

Nie ruszył się jednak z miejsca. Siedział zrelaksowany, wypełniając prawie całą kanapę pokrytą sztuczną skórą, przewidzianą na dwie osoby. Z bliska dziewczyna wyglądała ładniej niż z daleka. Miała delikatne piegi i bardzo ekspresyjny krój ust.

- Kim pan jest? - zapytała.
- Zwykłym facetem.
- Jak to „zwykłym facetem”?
- Sędzia w Rozpaczy nazwał mnie włóczęgą więc myślę, że jestem zwykłym facetem.
- Bez pracy?
- Tak. Przez dłuższy czas.
- Mnie też nazwano włóczęgą - przyznała.

Nie miała jakiegoś określonego akcentu. Nie była ani z Bostonu, ani z Nowego Jorku, ani z Chicago, ani z Minnesoty, ani z głębokiego Południa. Mogła pochodzić z Południowego Wschodu. Może z Arizony.

- Podejrzewam, że w twoim przypadku to określenie nie było precyzyjne.
- Nie znam ich definicji „włóczęgi”.
- Dla mnie też była niezrozumiała - wyjaśnił Reacher. - Zwykle słowo „włóczęga” oznacza osobę, która przemieszcza się niespiesznie z jednego miejsca w drugie, nie mając żadnych konkretnych źródeł utrzymania.
- Studiuję w college'u - oznajmiła.
- Więc zostałaś niesprawiedliwie oskarżona.
- Po prostu chcieli, żebym się stamtąd wyniosła.
- Gdzie jest twój college?

Zamyśliła się. Spojrzała w prawo.

- W Miami.

Reacher skinął głową. Gdziekolwiek by chodziła do szkoły, na pewno nie było to Miami. Prawdopodobnie jej college wcale nie leżał na wschodzie kraju. Musiał być gdzieś na Zachodnim Wybrzeżu. Możliwe, że w południowej Kalifornii. Niedoświadczeni kłamcy zawsze tworzyli lustrzany obraz rzeczywistości, gdy kłamali z dziedziny geografii.

- Co studujesz? - pytał niezrażony.

Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Historię dwudziestego wieku.

Niewykluczone, że akurat to było prawdą. Młodzi ludzie zwykle nie kłamali, gdy mówili o swoich zainteresowaniach, bo byli z nich dumni i obawiali się, że zostaną przyłapani na nieznajomości innych dziedzin wiedzy. Często ich wcale nie znali. Młodzi lubili poruszać się po swoim terytorium.

- To jak przeszłość - zauważył. - Ale nie historia.
- Co?
- Dwudziesty wiek.

Nic na to nie odpowiedziała. Nie zrozumiała znaczenia jego wypowiedzi. Pamiętała może osiem, dziewięć lat z ubiegłego wieku, ale tylko z perspektywy dziecka. On pamiętał odrobinę więcej.

- Jak się nazywasz?

Spojrzała w prawo i odpowiedziała:

- Anne.

Reacher jeszcze raz skinął głową. Jakkolwiek miała na imię, to na pewno nie Anne. Prawdopodobnie tak nazywała się jej siostra. Albo najlepsza przyjaciółka. Albo kuzynka. Zwykle ludzie podają imię bliskiej osoby, gdy kłamią na temat swojego.

Dziewczyna, która przedstawiła się jako Anne, zapytała:

- Czy pana też niesłusznie oskarżono?

Reacher pokręcił głową.

- W zasadzie nie. Ja jestem włóczęgą.  
- To po co pan tam poszedł?  
- Spodobała mi się nazwa miasteczka. A po co ty się tam znalazłaś? - Nie odpowiedziała. - Nic wielkiego, takie sobie miasteczko - dodał, jakby go o to pytała.

- Dużo pan zobaczył?  
- Większość. Za drugim razem.  
- Wrócił pan tam?  
- Dobrze się wszystkiemu przyjrzałem. Oczywiście z bezpiecznej odległości.  
- I co?  
- Takie sobie miasteczko.

Dziewczyna umilkła. Reacher dostrzegł, że rozważa następne pytanie. Nie wie, jak je sformułować. I czy w ogóle zadać. Przechyliła głowę w bok i spojrzała w przestrzeń.

- Czy spotkał pan tam jakichś ludzi?  
- Mnóstwo.  
- Widział pan samolot?  
- Słyszałem go.  
- Należy do tego faceta w wielkim domu. Zawsze startuje o siódmej i wraca o drugiej w nocy.

- Jak długo tam byłeś?  
- Jeden dzień.  
- To skąd wiesz, że samolot lata co wieczór? Brak odpowiedzi.  
- Przecież latanie dla zabawy nie jest niezgodne z prawem.  
- Ludzie nie latają w nocy dla przyjemności. Przecież wtedy nic nie widać.  
- Racja.

Dziewczyna przez chwilę nic nie mówiła, po czym spytała:

- Był pan w celi?  
- Przez kilka godzin.  
- A był tam ktoś jeszcze?  
- Nie.  
- A gdy pan tam wrócił, to kogo pan widział?  
- Pokaż mi po prostu jego zdjęcie, dobra? - rzucił wprost Reacher.  
- Czyje zdjęcie?  
- Twojego chłopaka.  
- Po co?  
- Twój chłopak zaginął. I sama nie możesz go odnaleźć. Takie były domysły oficer Vaughan.

- Wierzy pan gliniarzom?  
- Niektórym.  
- Nie mam zdjęcia.  
- Masz wielką torbę. Pewnie sporo w niej rzeczy. Może i kilka fotek by się znalazło.  
- Niech pan pokaże mi swój portfel - poprosiła dziewczyna.  
- Nie mam portfela.  
- Każdy ma portfel.  
- Ja nie.  
- Proszę to udowodnić.  
- Nie mogę udowodnić czegoś, co nie istnieje.  
- A co pan ma w kieszeniach?

Reacher skinął głową. Zrozumiał sytuację. Jej chłopak był pewnie przez kogoś poszukiwany. Zapytała mnie o zawód, rozważał. Chce wiedzieć, czy nie jestem śledczym. Śledczy miałby

legitymację służbową widoczną po otwarciu portfela. Uniósł tyłek z ławy i wygrzebał z kieszeni pieniądze, stary paszport, kartę bankomatową i klucz do pokoju w motelu. Szczoteczkę do zębów zostawił w motelu, ustawioną pionowo w szklance na umywalce. Dziewczyna spojrzała na jego rzeczy i powiedziała:

- Dzięki.
- A teraz pokaż mi jego zdjęcie.
- On nie jest moim chłopakiem.
- A kim?
- Moim mężem.
- Nie jesteś za młoda na małżeństwo?
- My się kochamy.
- Ale nie nosisz obrączki.

Jej lewa ręka spoczywała na blacie stołu. Szybko ją cofnęła i położyła na kolanie. Ale nie miała obrączki ani nawet śladu po niej w postaci jaśniejszego paska na opalonym palcu serdecznym.

- To było tak nagle, w pośpiechu. Zgodziliśmy się, że obrączki kupimy sobie później.
- Czy wymiana obrączek nie jest już częścią ceremonii ślubnej?
- Nie - odparła. - To zwykły mit. - Po chwili dodała: - Nie jestem w ciąży, jakby chciał pan się o to zapytać.
- Nawet nie miałem takiego zamiaru.
- To dobrze.
- Pokaż mi zdjęcie.

Wciągnęła z podłogi dużą szarą torbę kurierską na kolana i podniosła klapę. Pogrzebała w niej przez chwilę i wyjęła wypchany skórzany portfel. Miał przegródkę na dokumenty i banknoty zapinaną na zatrzask i zamykaną kieszonkę na drobne. Obok była plastikowa kieszonka, w której dostrzegł jej kalifornijskie prawo jazdy ze zdjęciem. Dziewczyna odpięła pasek zabezpieczający główny przedział portfela, rozchyliła plastikowe przegródki i znalazła tę, której szukała. Wyciągnęła jedno zdjęcie, położyła je na blacie i przesunęła w stronę Reachera. Było trochę krzywo wycięte ze standardowej fotografii dziewięć na trzynaście centymetrów. Przedstawiało dziewczynę na jasnej ulicy ze szpalerem palm i rzędem eleganckich butików za jej plecami. Dziewczyna uśmiechała się szeroko; pulsowała miłością szczęściem i radością, lekko pochylona, co zdradzało, że jej ciało drgało w niekontrolowanym chichocie. Tonęła w ramionach faceta w jej wieku. Był to bardzo wysoki, potężnie zbudowany blondyn. Typ umięśnionego sportowca. Miał niebieskie oczy i włosy obcięte krótko, na styl militarny, ciemną opaleniznę i szeroki uśmiech na twarzy.

- To jest twój mąż? - zapytał Reacher.
- Tak - odpowiedziała dziewczyna.

Mężczyzna był co najmniej o głowę wyższy od niej. Wręcz nad nią górował. Jego ramiona były grube jak pnie palm w tle fotografii.

To nie ten facet, przez którego przewrócił się Reacher w ciemności.

Nawet odrobinę go nie przypominał.

Był zbyt wielki.

15

Reacher odłożył zdjęcie na blat, spojrzał na dziewczynę i zapytał:

- Kiedy je zrobiono?
- Niedawno.
- Czy mogę obejrzeć twoje prawo jazdy?
- Po co?
- Chcę coś sprawdzić.

- Raczej nie.  
- Doskonale wiem, że nie masz na imię Anne. Wiem, że nie chodzisz do szkoły w Miami. Przypuszczam, że studiujesz na Uniwersytecie Kalifornijskim. To zdjęcie zostało najprawdopodobniej zrobione w okolicach uniwerku. Po prostu czuję, że to Los Angeles. Dziewczyna nic nie odpowiedziała.

- Nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy - oświadczył Reacher.  
Po chwili namysłu pchnęła portfel po blacie w jego kierunku. Spojrzał na jej prawo jazdy widoczne za mleczną folią przegródki. Nazywała się Lucy Anderson. Nie miała drugiego imienia. Anderson, stąd Anne, pomyślał.

- Miło cię poznać, Lucy.  
- Przepraszam, że nie mówiłam prawdy.  
- Nie przejmuj się tym. Rozumiem cię.  
- Przyjaciele mówią na mnie Lucky. Takie niby przejęzyczenie. Ksywka.  
- Mam nadzieję, że szczęście nigdy cię nie opuszcza.  
- Do tej pory mnie nie opuszczało.

Z prawa jazdy wynikało, że dziewczyna niedługo skończy dwadzieścia lat. Adres wskazywał, że mieszka niedaleko głównego kampusu UCLA. Reacher był niedawno w Los Angeles i znał topografię miasta. Prawo jazdy podawało jej płeć jako żeńską, co było zrozumiałe, a kolor oczu jako niebieski, co było niedopowiedzeniem.

Miała metr siedemdziesiąt wzrostu.

A to oznaczało, że jej mąż miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt. Może metr dziewięćdziesiąt pięć. Na zdjęciu wyglądał, jakby ważył co najmniej ze sto kilogramów. Był wielkości Reachera, a może nawet większy.

To nie ten facet na pustyni. Tamten miał wzrost i wagę Lucy Anderson.

Pchnął portfel z powrotem po stole. A po nim fotografię.

- Widział go pan? - zapytała Lucy.  
- Nie - odpowiedział. - Nie widziałem. Przykro mi.  
- Musi gdzieś tam być.  
- Przed czym ucieka?

Spojrzała na prawo.

- A dlaczego miałby przed czymś uciekać?  
- Tak sobie pomyślałem.  
- Kim pan jest?  
- Zwykłym facetem.  
- Skąd pan wiedział, że nie mam na imię Anne? I że nie studiuje na uniwersytecie w Miami?

- Dawno temu byłem wojskowym gliniarzem. Żandarmem. Nadal znam się na rzeczy. Zamilkła i pobladła. Jej skóra pod piegami zrobiła się biała. Wsunęła zdjęcie z powrotem do foliowej przegródki, zamknęła portfel i schowała go głęboko do torby.

- Nie lubisz gliniarzy, co? - zapytał Reacher.  
- Nie zawsze.  
- To dość niezwykle jak na taką dziewczynę jak ty.  
- Jak ja?  
- Dobrze sytuowana, ze średniej klasy, dobrze wychowana i wykształcona.  
- Wszystko się zmienia.  
- Co zrobił twój mąż?

Żadnej odpowiedzi.

- I komu to zrobił?

Żadnej odpowiedzi.

- Po co pojechał do Rozpaczy?

Żadnej odpowiedzi.

- Mieliście się tam spotkać?

Nadal cisza.

- To i tak nie ma znaczenia - oznajmił Reacher. - Nie widziałem go tam. I nie jestem już żandarmem. Nie jestem nim już od wielu lat.

- Co by pan zrobił na moim miejscu?

- Poczekałbym w miasteczku. Twój mąż wygląda na faceta, który potrafi sobie poradzić. Pewnie wcześniej czy później się tu pojawi. Albo przekaże ci jakąś wiadomość.

- Mam taką nadzieję.

- On też studiuje na uniwerku?

Lucy Anderson nie udzieliła odpowiedzi także na to pytanie. Poprawiła klapę torby, wysunęła się z boksu bokiem, wstała, obciągnęła spódniczkę. Metr siedemdziesiąt, niebieskooka blondyna, przystojna, silna, zdrowa.

- Dziękuję - powiedziała. - Dobranoc.

- Powodzenia - odpowiedział. - Lucky.

Przewiesiła torbę przez ramię, podeszła do drzwi, pchnęła je

i wyszła na ulicę. Obserwował, jak poprawia bluzę i odchodzi w ciemność.

Znalazł się w łóżku o drugiej nad ranem. W pokoju było ciepło. Grzejnik pod oknem zrobił swoje. Reacher nastawił budzik w głowie na szóstą trzydzieści. Był zmęczony, ale pomyślał, że cztery i pół godziny snu mu wystarczy. Musi mu wystarczyć, bo przed wyruszeniem na śniadanie chciał jeszcze wziąć prysznic.

16

To, że gliniarze wpadają do bistro na pączki przed każdą zmianą, w jej trakcie i po zakończeniu służby, było kiepskim stereotypem, ale nawet takie oklepane banały miały nieraz swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości. Dlatego właśnie Reacher wślizgnął się na tę samą kanapę za stolikiem w ostatnim boksie za pięć siódma rano i był święcie przekonany, że w ciągu najbliższych dziesięciu minut do bistro wmaszeruje oficer Vaughan.

I rzeczywiście tak się stało.

Zobaczył, jak podjeżdża i parkuje radiowóz. Weszła na chodnik, położyła dłonie z tyłu talii i się przeciągnęła. Zaniknęła samochód, obróciła się i skierowała do drzwi. Weszła, zobaczyła go, zatrzymała się na długą chwilę, zmieniła kierunek i wślizgnęła się na kanapę naprzeciwko niego.

- Truskawkowy, waniliowy czy czekoladowy? Tylko takie serwują - zapytał.

- Co?

- Koktajle mleczne.

- Nie jem śniadania z głupolami.

- Nie jestem głupolem, tylko obywatelem, który ma problem. A ty masz obowiązek mi pomóc. Tak jest napisane na twojej odznace.

- Jaki problem?

- Ta dziewczyna mnie odnalazła.

- I widziałeś jej chłopaka?

- Jej męża, jeśli chodzi o ścisłość.

- Naprawdę? - zdziwiła się Vaughan. - Jest za młoda na małżeństwo.

- Też tak uważam. Powiedziała, że są w sobie zakochani.

- Też mi coś. Więc widziałeś go czy nie?

- Nie.

- To z czym masz problem?

- Widziałem kogoś innego.

- Kogo?

- Właściwie niezupełnie „widziałem”, bo było potwornie ciemno. Przewróciłem się o niego.

- O kogo?

- O martwego faceta.

- Gdzie?

- Po drodze z Rozpaczy.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie - potwierdził Reacher. - Zwłoki młodego dorosłego mężczyzny.

- Mówisz poważnie?

- Jestem poważny jak atak serca.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym ubiegłej nocy?

- Potrzebowałem czasu, żeby to przemyśleć.

- Chyba mnie naciągasz. To wielki obszar, jakieś tysiące kilometrów kwadratowych. A ty po prostu potykasz się o zwłoki w ciemności? To taki zbieg okoliczności jak znalezienie igły w stogu siana.

- Niekoniecznie. Podejrzewam, że robił dokładnie to samo co ja. Szedł z Rozpaczy do Nadziei, trzymając się blisko drogi, by być pewnym, że nie zmyli kierunku. Wędrował w oddaleniu od drogi dla własnego bezpieczeństwa. Co sprawiło, że znalazł się na kursie mojego marszu. Mógłbym ominąć go o metr, ale nie o kilometr.

Vaughan milczała.

- Ale nie udało mu się dojść do granicy. Sądzę, że był wyczerpany. Jego kolana zrobiły głębokie wgniecenia w piachu. Musiał na nie upaść, potem runął na twarz i skonał. Był wychudzony i odwodniony. Żadnych ran, żadnego urazu.

- Jak to? Zrobiłeś mu sekcję zwłok? W ciemnościach?

- Rękami.

- Rękami?

- Dotykami. To był jedyny zmysł, na którym mogłem polegać.

- Opisz tego faceta.

- Biała rasa, a to wyczułem po włosach. Poniżej metra siedemdziesięciu wzrostu. Młody. Żadnych dokumentów przy sobie. Nawet nie wiem, czy miał ciemne, czy jasne włosy.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Ale to prawda.

- Gdzie to było dokładnie?

- Ze cztery kilometry za miastem, jakieś osiem przed granicą okręgów.

- To teren Rozpaczy.

- Nikt w to nie wątpi.

- Powinieneś zadzwonić na tamtejszy posterunek.

- Nie nasikałbym na policję w Rozpaczy, nawet gdyby cały ten posterunek im się palił.

- Nie mogę ci pomóc. To nie mój teren.

Podeszła kelnerka. Kobieta z dziennej zmiany, świadek maratonu kawowego. Była strasznie zagoniona. Bistro szybko wypełniało się ludźmi. Mieszkańcy amerykańskiej pipidówki przybywali na śniadanie. Jack zamówił kawę i jajecznicę. Vau-ghan też poprosiła o kawę. Reacher przyjął to jako dobry znak. Poczekał, aż kelnerka odejdzie, i rzekł:

- Możesz jednak mi pomóc.

- Jak? - zapytała.

- Chcę tam wrócić i rzucić okiem, właśnie teraz, w ciągu dnia. Możesz mnie tam podwieźć. Tylko wjedziemy i wyjedziemy. Zrobimy to naprawdę szybko.

- To nie mój okręg.

- Pojedziesz nieoficjalnie. Poza godzinami służby. Jak turystka. Przecież masz prawa obywatelskie i możesz poruszać się po ich drogach.



- A potrafisz odnaleźć to miejsce?
  - Na poboczu ustawiłem małą piramidkę z kamieni.
  - Nie mogę tego zrobić - odparła Vaughan. - Nie wolno mi tam węszyć. I jestem cholernie przekonana, że ciebie też nie powinnam tam zabierać. Zostałeś wydalony. To byłaby totalna prowokacja.
  - Przecież nikt się o tym nie dowie.
  - Tak ci się wydaje? Mają jedną drogę wjazdową, i jedną wyjazdową z miasta. Do tego dwa radiowozy.
  - Teraz siedzą w restauracji i jedzą pączki.
  - Jesteś pewien, że to wszystko ci się nie przyśniło?
  - To nie był sen - odpowiedział Reacher. - Ten dzieciak miał gałki oczne twarde jak marmur, a jamę ustną popękaną jak zaschnięta skóra. Musiał wędrować przez kilka dni. Wróciła kelnerka z kawą i jajkami. Jajecznicza była przykryta gałązką świeżej pietruszki. Reacher ujął zieleninę w palce i odłożył na brzeg talerza.
  - Nie mogę wjechać policyjnym radiowozem na teren Rozpaczy.
  - A masz jakiś inny samochód?
- Milczała przez chwilę, sącząc kawę.
- Mam starego pick-upa.

•••

Musiał poczekać na nią na chodniku przy First Street koło sklepu z narzędziami. Było oczywiste, że nie chce go wziąć ze sobą do swojego domu, gdy będzie się przebierać i skąd weźmie swój samochód. Mądra zapobiegliwość, pomyślał. „Spójrz na siebie”, powiedziała kiedyś. „I co widzisz?”. Przyzwyczyił się już do negatywnych odpowiedzi na to pytanie. Sklep żelazny był nadal zamknięty. Wystawa prezentowała pełno różnych narzędzi i drobiazgów gospodarstwa domowego. Wnętrze zawałono towarami, które czekały na wyniesienie na chodnik po rozpoczęciu handlu. Przez wiele lat Reacher zastanawiał się, dlaczego sklepy żelazne tak bardzo lubiły właśnie ten rodzaj reklamy - wystawianie dużych artykułów na chodnik. Przecież było z tym tyle pracy. Ciągłe wystawianie i wstawianie, rano i wieczorem. Ale może psychologiczny opis konsumenta zakładał, że wielkie artykuły użytkowe będą się lepiej sprzedawać, jeśli ustawi się je na chodniku? A może chodziło tylko o dodatkowe miejsce na ekspozycję towaru? Przez moment jeszcze o tym myślał, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Oparł się o słupek znaku drogowego informujący o przejściu dla pieszych. Ranek był chłodny i szary. Cienka warstwa chmur wisiała nisko nad ziemią. Gór Skalistych wcale nie było widać.

Blisko dwadzieścia minut później stary chevrolet pick-up zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Nie był to krągły klasyk z lat czterdziestych ani stylizowany na erę lotów kosmicznych wóz z lat pięćdziesiątych, ani też muskularny el-camino z lat sześćdziesiątych. Zwykły używany typowo amerykański piętnastoletni pick-up o wypłowiałym granatowym lakierze, stalowych obręczach i niedużych oponach. Za kierownicą siedziała Vaughan. Miała na sobie czerwoną kurtkę sportową zapiętą pod szyję i czapeczkę z daszkiem nasuniętym nisko na czoło. Dobre przebranie. Gdyby się jej nie spodziewał, nie potrafiłby jej rozpoznać. Przeszedł przez ulicę przejściem dla pieszych i wszedł do samochodu na niewielki fotel pasażera z niemalże pionowym oparciem. Wnętrze kabiny śmierdziało benzyną i zimnymi spalinami. Na podłodze leżały wytarte, gumowe dywaniki pokryte pustynnym kurzem. Trzasnął drzwiami i Vaughan ruszyła. Pół-ciężarówkę napędzał dychawiczny czterocylindrowy silnik. „Wjeżdżamy i wyjeżdżamy szybko”, powiedział wcześniej. Ale to „szybko” było w tej sytuacji pojęciem względnym.

Przejechanie ośmiu kilometrów do granicy okręgu Nadzieja zabrało im siedem minut.

- Jeśli kogokolwiek zobaczymy, kładziesz się na podłogę - powiedziała Vaughan.
- Nacisnęła mocniej na pedał gazu i przerwa dylatacyjna na granicy okręgów stuknęła pod

kołami. Opony zaczęły chrzęścić na porowatej nawierzchni drogi do Rozpaczy.

- Często tu przyjeżdżasz? - zapytał Reacher.

- A niby po co? - odpowiedziała pytaniem.

Z przeciwka nic nie jechało. Nie było w ogóle żadnego ruchu ani w jedną, ani w drugą stronę. Droga przecinała piaszczysty teren jak włócznia, rozmywając się w mglistej oddali, wznosząc się i opadając wśród płaskich wzniesień. Vaughan rozpedziła pick-upa do prędkości stu na godzinę. Jechali półtora kilometra na minutę; to była chyba maksymalna i jednocześnie najbardziej komfortowa szybkość podróżna tej półciężarówki. Siedem minut po przejechaniu granicy, wewnątrz wrogiego terytorium, Vaughan zaczęła zwalniać.

- Pilnuj lewego pobocza - poprosił Reacher. - Cztery kamienie tworzące piramidkę.

Szarość dnia równomiernie rozjaśniała okolicę. Nie było odblasków ani cieni. Na poboczach drogi leżały różne drobne śmieci, dzięki czemu piramidka Reachera z czterech kamieni nie wyróżniała się na tle piachu i żwiru jak światło latarni morskiej na brzegu morza. Powyrzucane z samochodów plastikowe butelki po wodzie mineralnej, szklane butelki po piwie, puszki po napojach, papier, części samochodów - wszystko to zostało przysypane drobnymi kamykami wypryskującymi spod kół przejeżdżających pojazdów. Reacher kręcił się w fotelu pasażera. Nikogo za nimi. Nikogo przed nimi. Obserwował pobocze. W ciemności kamienie, które wykorzystał do oznaczenia miejsca, wydawały się całkiem spore w jego dłoniach. Ale teraz, w jasności dnia, mogły wyglądać zupełnie niepozornie.

Vaughan dojechała do osi drogi i zwolniła.

- Tam! - krzyknął Reacher.

Spostrzegł piramidkę trzydzieści metrów przed nimi po lewej. Trzy kamienie ściśnięte obok siebie, a czwarty ułożony na górze. Drobina na tle krajobrazu. Na południe aż po horyzont rozciągał się płaski teren, praktycznie pozbawiony charakterystycznych punktów, ponakrapiany skupiskami suchorośli, ciemniejszych skał, poprzecinany płytkimi rowami i niskimi wzniesieniami.

- To właśnie to miejsce? - chciała się upewnić Vaughan.

- Jakies dwadzieścia kilka metrów na południe od piramidki.

Jeszcze raz zlustrował drogę za i przed nimi. Nikogo z tyłu.

Nikogo z przodu.

- Jest dobrze - stwierdził.

Vaughan minęła kupkę kamieni, przyhamowała przy prawym poboczu i zakręciła szerokim łukiem przez obie jezdnie. Zatrzymała się dokładnie przy oznakowanym miejscu. Dźwignię zmiany biegów ustawiła w pozycji „Park” i pozostawiła włączony silnik.

- Poczekaj tutaj - rozkazała.

- Chyba zartujesz - odparł Reacher.

Wyszedł z samochodu i stanął na poboczu. Czuł się teraz mały w tym oświetlonym bezmiarze. W ciemności świat był skurczony na odległość wyprostowanego ramienia. A teraz znów stał się rozległy. Vaughan stanęła przy nim. Ruszyli razem na południe przez suche zarośla pod kątem prostym od drogi, pięć, dziesięć, piętnaście kroków. Reacher zatrzymał się po dwudziestu krokach i sprawdził kierunek marszu, odwracając się w kierunku drogi. Stał bez ruchu, lustrując okolicę, najpierw najbliżej siebie, potem dalej.

Nic nie zobaczył.

Stanął na palcach i wyciągnął szyję, jak mógł najbardziej.

I nic.

Reacher odwrócił się i skontrolował swoją pozycję względem drogi, by ocenić, czy nie odszedł za bardzo na wschód albo na zachód. Ale nie. Był dokładnie tam, gdzie miał być.

Przeszedł pięć kroków na południe, rozejrzył się uważnie, potem zrobił pięć kroków na zachód, wracając w to samo miejsce.

Znowu nic.

- No i co? - zawołała Vaughan.
- Nie ma go - odparł.
- Chyba jednak mnie naciągałeś.
- Wcale nie. Dlaczego miałbym kłamać?
- A może pomieszałeś coś z tymi kamieniami? Przecież było ciemno.
- Właśnie nad tym się zastanawiam.

Vaughan zatoczyła małe koło. Pokręciła głową.

- Nie ma go tutaj. Jeśli w ogóle był.

Reacher stał bez ruchu w pustce przestrzeni. Nic nie znalazł. Nic nie słyszał poza pick-upem Vaughan, który cierpliwie czekał na wolnych obrotach dwadzieścia metrów dalej. Przeszedł jeszcze dziesięć metrów na wschód i zaczął zataczać szerokie koło. Po chwili się zatrzymał.

- Chodź tu! - zawołał.

Wskazał ręką na płytkie owalne wgłębienia w piasku odległe od siebie o metr.

- To ślady stóp - orzekła Vaughan.
- To moje ślady - potwierdził Reacher. - Z ubiegłej nocy. W kierunku Nadziei.

Skierowali się na zachód i szli tropem w kierunku Rozpaczy. Dziesięć metrów dalej natrafili na małą polankę w kształcie diamentu otoczoną krzewami. Polanka była pusta.

- Czeka! - zawołał Reacher.
- Nic tu nie ma - stwierdziła Vaughan.

- Ale to było tutaj. To jest właśnie miejsce, którego szukamy. Powierzchnia spieczona przez słońce piachu roiła się od śladów butów i tropów rozchodzących się w różnych kierunkach. Rysy i zagłębienia świadczyły dobitnie, że coś lub kogoś ciągnięto po trawie. Były tam też niewielkie wgniecenia w skorupie ziemi, niektóre dość ostre, ale większość rozmyta, bo suchy piach opadał do środka i zacierał ślady.

- Powiedz mi, co widzisz - poprosił Reacher.
- Ludzką aktywność - przyznała Vaughan. - Totalny miszmasz.
- Który opowiada historię. Dokładnie opisuje, co tu się wydarzyło.
- Cokolwiek tu się działo, musimy stąd zniknąć. Mieliśmy tylko wpaść i wypaść.

Reacher wyprostował się i zlustrował drogę, popatrzył na wschód i na zachód. Pusto.

- Nic nie jedzie - oznajmił.

- To może urządzimy sobie piknik? - ironizowała Vaughan. Jack wszedł na polankę. Uklęknął i wskazał palcami na parę

regularnych, równoległych wgnieceń. Wgłębienia jak dwie połówki kokosa wciśniętego w piach, utwardzone, na osi północ-południe.

- Tu kolana chłopca wbiły się w piasek - stwierdził. - Tutaj się poddał. Zachwiał się, zatrzymał i upadł. A tam ja poleciałem, gdy się o niego potknąłem. Na te kamienie. Mogę ci pokazać siniaki, jeśli chcesz.

- Może później - skwitowała Vaughan. - Musimy stąd spadać.

Reacher wskazał na cztery regularne wgłębienia. Każde z nich było prostokątem o wymiarach pięć na dziesięć centymetrów. Tworzyły narożniki większego prostokąta o wymiarach metr pięćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów.

- Ślady noszy - oznajmił. - Przyszli jacyś ludzie i go zabrali. Czterech, może pięciu. To musieli być chyba funkcjonariusze. Kto inny taszczy ze sobą nosze? - Wstał, sprawdził okolicę, wskazał na północ i na zachód, wzdłuż szerokiego pasa śladów ludzkich butów i pogniecionych zarośli. - Przyszli stamtąd i wynieśli ciało w tym samym kierunku, do drogi. Może do samochodu koronera, zaparkowanego trochę bardziej na zachód od mojej piramidki.

- Więc mamy pełny obraz - skostatowała Vaughan. - Zajęły się nim odpowiednie władze. Problem rozwiązany. Musimy spadać.

Reacher skinął nieznacznie głową i spojrział na zachód.

- A co my tam widzimy?

- Dwa tropy - przyznała Vaughan. - Chłopca i twoje, z miasta na wschód. Są blisko siebie, powstały w różnym czasie.

- Ale wygląda na to, że jest tam coś jeszcze.

•••

Pozostawili polankę i skierowali się na zachód. Dostrzegli cztery tropy, niezbyt od siebie oddalone, nie więcej niż o dwa metry.

- Dwa tropy w jedną i dwa tropy w drugą stronę - wyjaśnił Reacher.

- Skąd to wiesz?

- Kąty. Większość ludzi kieruje palce stóp lekko na zewnątrz.

- A może istnieje spokrewniony klan o stopach jak gołębie.

- Wszystko jest możliwe w Rozpaczy, ale nigdzie indziej.

Nowszy trop miał większe i głębsze ślady, bardziej odległe od siebie. W starszym dało się zauważyć małe wgłębienia, występujące bliżej siebie, mniej regularne i płytsze.

- To moje i tego dzieciaka - wyjaśniał Reacher. - Na wschód. Oddzielone w czasie. Ja szedłem, a on się zataczał i potykał.

Dwa tropy w przeciwnym kierunku wyglądały na zupełnie świeże. Piasek nie zdążył opaść z krawędzi śladów, stąd odciski w spieczonym piachu były ostrzejsze i całkiem głębokie, równo rozstawione i podobne do siebie.

- Dość wysocy faceci - ciągnął. - Szli z powrotem na zachód. Niedawno. Nierozdzielone w czasie.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że idą tropem dzieciaka. Lub moim. Albo interesowały ich oba. Próbuja dowiedzieć się, gdzie byliśmy i skąd przyszliśmy.

- Po co?

- Znaleźli ciało, więc byli ciekawi.

- Po pierwsze, jakim cudem je znaleźli?

- Dzięki myszółowom krążącym w powietrzu. - wyjaśnił. - To jedyny i oczywisty sposób na odnalezienie zwłok w otwartym terenie.

Vaughan stała przez chwilę w milczeniu. Po chwili zarządziła:

- Do wozu. Szybko.

Reacher nie próbował się spierać. Nie mieli już tu czego szukać.

18

Staruszek chevy cierpliwie czekał na wolnych obrotach. Na drodze nadal nie było żadnego ruchu, ale mimo to biegli. Otwarli drzwi i szybko wskoczyli na siedzenia. Vaughan przesunęła dźwignię zmiany biegów na „Drive” i mocno nacisnęła pedał gazu. Nie powiedzieli do siebie ani słowa, dopóki nie przekroczyli granicy okręgu Nadzieja długie osiem minut później.

- Teraz rzeczywiście jesteś obywatelem, który ma problem - stwierdziła Vaughan. - Nie sądzisz? Gliny z Rozpaczy mogą być tępusami, ale to zawsze gliny. Myszółowy wskazały im zwłoki, znaleźli ślady tego człowieka, znaleźli drugi trop wskazujący, że ten drugi gość wpadł na tego pierwszego, znaleźli kłębówisko śladów po jakimś przewracaniu się i turlaniu po ziemi, więc będą chcieli odbyć poważną rozmowę z tym drugim facetem. Mogę się o to założyć.

- To dlaczego nie poszli moimi śladami? - zapytał Reacher.

- Bo wiedzieli, dokąd zmierzałeś. Dalej były tylko Nadzieja lub Kansas. Chcą pewnie się dowiedzieć, skąd zacząłeś. A co znajdują?
- Olbrzymie koło. Papierki po batonach i puste butelki po wodzie, jeśli się postarają.
- Przejrzysty dowód na to, że jakiś mocno zbudowany facet o dużych stopach i długich nogach jeszcze raz potajemnie złożył nocną wizytę w miejscu, z którego wywalono wielkiego kolesia z wielkimi stopami i długimi nogami.
- I do tego widział mnie jeden z zastępców.
- Skąd wiesz?
- Rozmawiałem z nim.
- Świetnie.
- Ten chłopak zmarł przecież z przyczyn naturalnych.
- Jesteś pewien? Tylko go obmacałeś w totalnej ciemności. A teraz wrzucasz chłopaka na marmurowy stół.
- Nie jestem już w Rozpaczy. Skoro ty nie możesz tam jechać służbowo, to oni także nie mogą tu przyjechać służbowo.
- Policja z małych miasteczek w ogóle nie zajmuje się zabójstwami, idioto! Dzwonimy po policję stanową. A policja stanowa może sobie jeździć po całym Kolorado. I współpracują z nią wszelkie policje lokalne. A ty jesteś w mojej książce raportowej od wczoraj. I ja nie będę mogła się tego wyprzeć, nawet gdybym chciała.
- A nie chciałaś?
- Nic przecież o tobie nie wiem, poza tym że nieźle przywaliłeś zastępcy w Rozpaczy. Przecież tak naprawdę sam mi o tym powiedziałeś. A kto wie, co jeszcze tam nabroiłeś?
- Nic więcej nie nabroiłem. Vaughan milczała.
- I co dalej? - zapytał Reacher.
- W takiej sytuacji zawsze lepiej wyjść przed szereg. Powinieneś się zgłosić i złożyć wyjaśnienia.
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Byłem żołnierzem. Nigdy nie zgłaszałem się na ochotnika.
- To nie mogę ci pomóc. To już nie leży w mojej gestii. Tak naprawdę to nigdy nie leżało w mojej gestii.
- Mogłabyś zadzwonić do policji stanowej i dowiedzieć się, co oni na to wszystko.
- Sami do nas zadzwonią.
- No ale sama powiedziałaś, że lepiej wyjść przed szereg i dowiedzieć się czegoś wcześniej.

Vaughan nie odpowiedziała. Gdy przekroczyli granicę miasteczka, zmniejszyła nacisk nogi na gaz. Sprzedawca ze sklepu z narzędziami wystawiał na chodnik różne artykuły do remontów i napraw. Była tam już dziwaczna drabina dająca się rozłożyć na osiem różnych sposobów. Rozstawił ją jak platformę malarską, z której można malować ściany na wysokości pierwszego piętra. Vaughan skręciła w prawo na następnym skrzyżowaniu, potem w lewo, mijając tyły bistro. Ulice były tu szerokie i ładne, między jezdnią a chodnikiem rosły drzewa. Zaparkowała na oznakowanym miejscu przed niskim budynkiem z cegły. Wyglądał jak urząd pocztowy na przedmieściach. Ale to nie była poczta, tylko Departament Policji Nadziei. Tak przynajmniej twierdziły aluminiowe litery przymocowane do ściany z cegieł. Vaughan wyłączyła silnik i Reacher poszedł za nią chodnikiem z klinkieru prowadzącym do drzwi posterunku. Były zamknięte. Vaughan otworzyła je swoim kluczem i powiedziała do Reachera:

- Posterunkowy zaczyna pracę o dziewiątej.

W środku posterunek też wyglądał jak urząd pocztowy. Szary, wypłowiały, taki oficjalny, biurokratyczny, ale w miarę przyjazny dla obywateli. Poczekalnię od części biurowej oddzielała lada, przy której udzielano informacji. Za nią stały dwa biurka. Do biura szefa

policji, usytuowanego w narożniku, wiodły solidne drzwi. Było w tym samym miejscu, w którym zwykle umieszczano biuro naczelnika poczty. Vaughan minęła ladę i podeszła do swojego biurka. Na blacie panował idealny porządek. Stały tam stary komputer i konsola telefoniczna. Vaughan wyciągnęła z szuflady książkę telefoniczną. Najwyraźniej kontakty z policją stanową były dość rzadkie, dlatego nie знаła numeru na pamięć. Wystukała numer na klawiaturze, poprosiła o oficera dyżurnego, przedstawiła się i powiedziała do słuchawki:

- Mamy zapytanie o zaginioną osobę. Biały mężczyzna, około dwudziestu lat, wzrost metr siedemdziesiąt. Wiecie coś na ten temat? - Słuchała przez chwilę, a jej oczy skierowały się w lewo i potem w prawo. - Nie mamy nazwiska. - Jeszcze o coś zapytano, a ona spojrzała w prawo i odpowiedziała: - Nie potrafię powiedzieć, czy miał ciemną, czy jasną karnację skóry. Mamy tylko czarno-białą fotografię. To wszystko, co o nim wiemy.

Cisza na linii. Reacher zauważył, że ziewnęła. Była zmęczona. Przecież pracowała przez całą noc. Odsunęła trochę słuchawkę

od ucha i Reacher usłyszał ciche klikanie w klawiaturę na drugim końcu linii. Może w Denver, może w Colorado Springs. Głos powrócił, a ona przycisnęła słuchawkę do ucha i Reacher już nic nie mógł usłyszeć.

Vaughan wysłuchiwała informacji i na koniec powiedziała:

- Dziękuję. - Rozłączyła się. - Nic nie mają. Najwyraźniej ci z Rozpaczy jeszcze niczego nie zgłosili.

- Zmarł z przyczyn naturalnych - odparł. - Pewnie tak samo uważają.

Vaughan pokręciła głową.

- I tak powinni to zgłosić. Niewyjaśniona śmierć na otwartej przestrzeni leży co najmniej w gestii hrabstwa, a to oznacza, że informacja powinna pojawić się w komputerze policji stanowej już minutę później.

- Więc dlaczego nie zadzwonili?

- Nie wiem. Ale to już nie jest nasz problem.

Reacher usiadł przy drugim stole. Zwykle rządowe biurko ze stalowymi nogami i cienkim laminowanym blatem z płyty wiórowej z okleiną udającą palisander. Między biurkami stał panel odgradzający, a pod blatem trzyszufladowa szafka przykręcona do prawych nóg. Fotel na kółkach miał bawełnianą tapicerkę w kratę. W żandarmerii biura meblowano inaczej. Krzesła były obite skajem, a biurka stalowe. Reacher siedział za dziesiątkami takich stołów w wielu miejscach na świecie. Widok z okna w jego gabinecie byłby zupełnie inny, ale biurka wszędzie były takie same, a ich zawartość jednakowa. Teczki pełne danych o zaginionych lub nieżyjących ludziach. Za niektórymi tęskniono, za innymi nie.

Pomyślał o Lucy Anderson, nazywanej przez przyjaciół Lucky. Przypomniał sobie poprzednią noc w bistro i sposób, w jaki Lucy składała palce. Spojrzał na Vaughan i powiedział:

- W pewnym sensie to też nasz problem. Ktoś przecież może martwić się o tego dzieciaka.

Vaughan skinęła głową. Wróciła do książki telefonicznej. Reacher zauważył, że przeszła od litery P - policja stanowa Kolorado, do litery R - Rozpacz, Departament Policji. Wystukała numer i usłyszała głośną odpowiedź, jakby bliskość tamtego posterunku owocowała wzmocnieniem sygnału elektrycznego biegnącego po kablu telefonicznym. Podała im te same wymyślone informacje o zaginionej osobie. Biały mężczyzna, około dwudziestu lat, wzrost metr siedemdziesiąt, nieznane dane osobowe, karnacja nieznana ze względu na czarno-białą fotografię. Zapadła krótka cisza i potem krótka odpowiedź.

Vaughan odłożyła słuchawkę.

- Nic nie mają - oznajmiła. - Nigdy nie słyszeli o takim facie.

Reacher siedział w milczeniu, gdy Vaughan układała przedmioty na swoim biurku. Wyrównała klawiaturę z monitorem. Przysunęła do niej myszkę i przestawiła telefon, by był równoległe do klawiatury nad myszką. Potem wszystkie pozostałe drobiazgi i papiery na biurku zorganizowała tak, by leżały albo równoległe, albo prostopadle do pozostałych przedmiotów. Ołówki włożyła do szuflady, a kurz i paprochy zmiotła dłonią na podłogę.

- Zastanawiam się nad tymi śladami noszy - powiedziała.
- Ja też. Gdyby nie one, mogłoby to wyglądać, jakbym wszystko wymyślił.
- Jeśli w ogóle to były ślady noszy.
- A niby czego innego?
- Pewnie masz rację. Musiały pochodzić od tych starodawnych noszy, które zamiast kółek mają małe płozy.
- A dlaczego miałbym cokolwiek wymyślać?
- Dla wzbudzenia zainteresowania swoją osobą.
- Nie lubię, gdy się mną interesują.
- Wszyscy to lubią a szczególnie emerytowani gliniarze. To znana przypadłość. Próbujecie w ten sposób wrócić do gry.
- Czy ty też będziesz tak się zachowywać po przejściu na emeryturę?
- Mam nadzieję, że nie.
- Więc ja też tak się nie zachowuję.
- No to o co tam chodzi?
- Może ten dzieciak był stamtąd - zasugerował Reacher. - Znali go, więc nie musieli zgłaszać zaginięcia.

Vaughan pokręciła głową.

- To nadal bez sensu. Każda niewyjaśniona śmierć, do której doszło poza domem, musi być zgłoszona do koronera hrabstwa i zaraz wyskakuje to w komputerze policji stanowej jako informacja do statystyki. Wtedy gliny ze stanowej powiedzieliby: „Hej, słyszeliśmy, że dziś rano znaleziono jakiegoś truposza u was, w Rozpaczy. Może sprawdźcie, o co chodzi, dobra?”.
- Ale nie zrobili tego.
- Bo nikt z Rozpaczy tego nie zgłosił, co mnie totalnie dziwi. Co oni, do cholery, robią ze zwłokami? Przecież nie mają kostnicy. O ile wiem, w Rozpaczy nie ma żadnej chłodni.
- Więc musieli z nim zrobić coś innego.
- O czym myślisz?
- Może go pochowali.
- Przecież to nie był wypadek samochodowy.
- Może coś chcą zatuszować.
- Ale powiedziałeś, że zmarł z przyczyn naturalnych.
- No tak - ciągnął Reacher - ale to stało się dlatego, że błąkał się po pustyni przez wiele dni. Może przepędzili go z miasta i taka śmierć mogła ich zawstydzić. Oczywiście zakładając, że cokolwiek mogłoby ich zawstydzić.

Vaughan znowu pokręciła głową.

- Nie przepędzili go z miasta. Nie zadzwonili do nas z informacją, a zawsze dzwonią. Zawsze. Potem podwożą delikwenta do granicy okręgu i zostawiają. W tym tygodniu byliście ty i ta dziewczyna. I to wszystko.
- Nigdy nie podwożą ich do zachodniej granicy?
- Tam przecież nic nie ma. To ziemie nieprzypisane do żadnego okręgu.
- Może po prostu im się nie spieszy? Może zadzwonią później?
- To też mi się nie zgadza. Jeśli znajdujesz nieboszczyka, to zgodnie z procedurą jedną rękę kładziesz na broni, a drugą sięgasz po radio. Wzywasz wsparcie, dzwonisz po ambulans, dzwonisz po koronera. Jeden, dwa, trzy. To działa z automatu. I tyle.

- Może nie są takimi profesjonalistami jak ty?
- To nie ma nic wspólnego z brakiem profesjonalizmu. Tu chodzi o błyskawiczne podjęcie decyzji o odstąpieniu od procedury, o niezgłoszenie sprawy koronerowi. A to wymagałoby jakiegoś konkretnego powodu.

Reacher milczał.

Vaughan mówiła dalej:

- Chyba że gliny nie miały z tym nic do czynienia. Może znalazł go ktoś inny.
- Cywile nie przewożą noszy w swoich samochodach - stwierdził Jack.

Powoli skinęła głową i wstała z fotela.

- Musimy stąd spadać, zanim pojawią się posterunkowy i szef posterunku.
- Człabyś się niepewnie, gdyby zobaczyli cię ze mną?
- Trochę. Czuję się niezbyt pewnie, bo nie wiem, co dalej robić.

Skierowali się do starej półciężarówki i pojechali do bistro. Poranna gorączka śniadaniowa już się skończyła. Wrócił odpowiedni poziom spokoju i luzu. Reacher zamówił kawę. Vaughan zadowolona się wodą z kranu. Wypiła połowę szklanki i postukała palcami o blat stołu.

- Zacznijmy od początku - powiedziała. - Co wiemy o tym gościu?
- Biały mężczyzna - odparł Reacher.
- Żaden Latynos? A może cudzoziemiec?
- Przynajmniej teoretycznie Latynosi są białymi. Ale też Arabowie i niektórzy Azjaci. Ja określiłem jego typ tylko po włosach. Nie był Afroamerykaninem. To wiem na pewno. Mógł pochodzić z każdego innego zakątka świata.

- Miał ciemną karnację czy jasną?
- Przecież nie mogłem tego zobaczyć.
- Powinieneś być wziąć latarkę.
- W sumie to cieszę się, że nie wziąłem.
- Jaką miał skórę?
- Jaką? Skóra jak skóra.
- Zastanów się nad tym. Karnację oliwkową inaczej odczuwa się palcami niż jasną. Jest gładsza i grubsza.
- Naprawdę?
- Tak. Nie wiedziałeś tego?

Reacher dotknął kciukiem wewnętrzną część lewego nadgarstka, potem uszczypnął się w policzek i pogłaskał pod okiem.

- Trudno wyczuć - przyznał.

Vaughan wyprostowała ramiona na blacie stołu.

- Porównaj.

Delikatnie pomasaował skórę jej nadgarstka.

- A teraz dotknij twarzy - powiedziała.
- Serio?

- Tylko dla celów naukowych.

Po zastanowieniu się musnął jej policzek opuszką kciuka. Cofnął rękę i oświadczył:

- Jego skóra była odrobinę grubsza od naszej, a gładkość gdzieś tak pomiędzy naszymi.
- W porządku. - Dotknęła swojego nadgarstka w miejscu, gdzie on to zrobił, a potem przesunęła palcami po twarzy. - Daj mi swoją dłoń.

Wyprostował ramiona na stole. Chwyciła jego nadgarstek w dwa palce, jakby sprawdzała puls. Potarła go dwa centymetry powyżej i dwa poniżej, a potem nachyliła się, by dotknąć policzka Jacka drugą ręką. Opuszki jej palców były chłodne od szklanki z zimną wodą, lecz dotyk go elektryzował. Poczuł, jak przepływa między nimi dziwny impuls.

- Nie musiał być wcale biały, za to młodszy od ciebie. Mniej pomarszczony i



sponiewierany przez wiatr i niepogodę.

- A, dziękuję ci.
- Powinieneś używać kremu nawilżającego.
- Zachowam tę radę w pamięci.
- Z filtrem.
- Nie zapomnę.
- Palisz?
- Kiedyś paliłem.
- Wiesz, że to szkodzi na skórę.
- On mógł być Azjata z niewielkim zarostem.
- A kości policzkowe?
- Wystające. Przecież był szczupły.
- Raczej wycieńczony.
- To było czuć. Ale i tak musiał być żyłasty.
- Ile czasu potrzeba, by żyłasta osoba zmieniła się w prawdziwą szczapę?
- Nie jestem pewien. Jakies pięć, sześć dni na łóżku szpitalnym lub w celi, jeśli naprawdę się choruje lub ogłosiło strajk głodowy. Znacznie krócej, gdy jest się w ruchu, poci się i spala energię.

Vaughan się zamyśliła.

- Mamy sporo niewiadomych. Musimy się dowiedzieć, dlaczego dobrzy obywatele Rozpaczy pozwolili, by facet błąkał się przez kilka dni na pustyni.

Reacher pokręcił głową.

- Powinniśmy raczej dowiedzieć się, dlaczego on tak bardzo chciał tam pozostać. Musiał mieć jakiś cholernie ważny powód.

20

Vaughan dopiła wodę.

- Czy mogę pożyczyć twojego pick-upa? - zapytał Reacher, gdy skończył swoją kawę.
- Kiedy?
- Teraz. Jak będziesz spała.
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Bo pojedziesz do Rozpaczy, aresztują cię i wszystkiego się domyślą.
- A jeśli nie do Rozpaczy?
- A niby dokąd miałbyś pojechać?
- Chcę zobaczyć, co jest na zachodzie. Nieboszczyk najprawdopodobniej stamtąd przywędrował. Podejrzewam, że nie szedł od strony Nadziei, bo wtedy byście go zauważyli i zapamiętali. Podobnie musiało być z zaginionym mężem tej dziewczyny.
- Masz rację, ale na zachód od Rozpaczy niewiele zobaczysz. W zasadzie nic.
- Musi tam coś być.

Vaughan milczała przez chwilę.

- To spory objazd. Będziesz musiał zahaczyć o Kansas.
- Zapłacę za paliwo.
- Obiecuj mi, że będziesz się trzymał z daleka od Rozpaczy.
- A gdzie jest granica?
- Osiem kilometrów na zachód od zakładu recyklingu złomu.
- Zgoda.

Vaughan westchnęła i podała mu kluczyki.

- Jedź. Pójdę pieszo do domu. Nie chcę, żebyś widział, gdzie mieszkam.

•••

Fotel kierowcy starego chevy nie chciał już się przesunąć dalej do tyłu. Szyny były za krótkie. Reacher musiał jechać z wyprostowanymi plecami i rozchylonymi nogami, jakby kierował traktorem. Wspomaganie kierownicy było dziwne, a hamulce zbyt miękkie. Ale to wszystko i tak było o niebo lepsze niż marsz na własnych nogach. Reacher miał już dość pieszych wędrówek, przynajmniej na cały następny dzień lub nawet dwa.

Pierwszy przystanek zrobił przed motelem, w którym mieszkał w Nadziei. Jego pokój znajdował się na końcu szeregu, więc pokój Lucy Anderson był bliżej recepcji. Musiała nocować właśnie tu, bo gdzie indziej mogłaby pójść. W miasteczku nie było innego hotelu. A nie mieszkała u przyjaciół, bo przyszliby z nią poprzedniej nocy do bistro, gdy potrzebowała pomocy.

Wszystkie okna pokoi były zasłonięte. Front pawilonu motelowego składał się z powtarzających się zestawów jednakowych drzwi i wysoko umieszczonych okienek łazienkowych z matowego szkła. Przed każdym wejściem stał identyczny fotel ogrodowy. Reacher szedł wzdłuż szeregu, próbując dostrzec przez uchylone okienka suszącą się damską bieliznę. Dostrzegł ją w dwóch łazienkach. Znaczenie miała wielkość bielizny, a niekoniecznie jej ilość, więc odrzucił pierwsze potencjalne trafienie. Większy rozmiar bielizny to grubsza kobieta. Dlatego zapukał do drugich drzwi, zrobił krok do tyłu i czekał. Po dłuższej chwili Lucy Anderson wprawdzie otworzyła, lecz wyraźnie zaniepokojona pozostała w półcieniu korytarzyka z jedną ręką na klamce.

- Cześć, Lucky!

- Czego pan chce?

- Chciałbym się dowiedzieć, po co twój mąż pojechał do Rozpaczy i jak się tam dostał.

Na nogach miała obuwie sportowe i te same krótkie skarpetki pod kostkę. Dalej w górę ciągnęły się długie nogi o gładkiej i perfekcyjnie opalanej skórze. Może grała w piłkę nożną w UCLA? A może była uniwersytecką gwiazdą innej dyscypliny sportowej? Nogi kończyły się w szortach z uciętymi spodni dzinsowych. Miała też na sobie inną bawełnianą bluzę-jasnoniebieską, bez napisu.

- Nie chcę, żeby szukał pan mojego męża.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę, żeby pan go znalazł.

- Dlaczego?

- To oczywiste.

- Nie dla mnie - odparł Reacher.

- Niech mnie pan zostawi w spokoju.

- Jeszcze wczoraj się o niego bałaś. A dzisiaj już nie? Zrobiła krok, wychodząc z cienia, i spojrzała w lewą stronę,

za plecy Reachera. Parking motelowy był pusty. Poza starą półciężarówką Vaughan nie stał tam żaden inny samochód. Sportowa bluza Lucy Anderson była takiego samego koloru jak jej oczy, w których malowała się panika.

- Proszę nas zostawić. - Cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi.

Reacher spędził chwilę w samochodzie Vaughan nad mapą, którą znalazł w kieszeni drzwi. Słońce stało już dość wysoko i w kabinie zrobiło się ciepło. W samochodach zawsze jest ciepło albo zimno. To tak jak z dwoma podstawowymi porami roku. Albo lato, albo zima. Albo słońce przechodziło przez szyby i ogrzewało kabinę, albo nie.

Mapa mówiła to samo co Vaughan. Czekał go olbrzymi objazd, najpierw na wschód, prawie do granicy z Kansas, następnie na północ drogą międzystanową 1-70, potem na zachód, a na końcu na południe tym samym zjazdem z autostrady co ciężarówki wożące złom do zakładu. Całkowita długość wycieczki to prawie trzysta kilometrów. Do tego trzeba będzie dodać jeszcze dwie godziny i trzysta kilometrów drogi powrotnej, jeśli posłucha prośby Vaughan, by nie wjeżdżać jej samochodem na drogi okręgu Rozpacz.

Posłucha jej prośby.

Prawdopodobnie.

Wyjechał z parkingu i skierował się na zachód tą samą drogą, którą przyjechał ze starszym gościem w jego mercurym grand marquis. Przedpołudniowe słońce było nisko nad horyzontem po prawej stronie. Zardzewiały układ wydechowy półciężarówki przepuszczał spaliny przed rurą wydechową, więc Jack miał przymknięte okna. Samochód nie był wyposażony w elektrycznie opuszczane szyby, tylko w starodawne korbki, które Reacher lubił, bo pozwalały na bardziej precyzyjne ustawienie okien. Lewe uchylił na dwa centymetry, a prawe ledwie na centymetr. Przy stałej prędkości dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę wiatr gwizdał miłą sopranową melodyjkę na tle basowego buczenia zjechanych łożysk i tenorowego zawodzenia starego wyeksploatowanego silnika. Na drogach stanowych półciężarówka okazała się przyjemnym środkiem transportu. Gorzej było na międzystanowej 1-70. Mijające pick-up wielkie ciężarówki z naczepami przesuwaly go na boki podmuchami wiatru. Samochód miał niewyregulowaną geometrię zawieszenia i słabą stabilność na drodze. Nadgarstki Reachera zaczęły dawać znać o sobie już po dwudziestu kilometrach na autostradzie międzystanowej, bo cały czas musiał korygować tor jazdy. Pierwszą przerwę zrobił na tankowanie, a drugą na kawę; za każdym razem cieszył się, że da swoim dłoniom trochę wytchnienia.

•••

Droga do okręgu Rozpacz odchodziła od autostrady 1-70 na zachód od miasta i skręcała na południe, a dalej na wschód, zmieniając się po pięćdziesięciu kilometrach w dobrą dwupasmową szosę podlegającą zamkowi hrabstwa. Reacher rozpoznał tę drogę, bo to ona prowadziła do zakładu przetwórstwa metalu. To samo solidne utwardzenie podłoża, ta sama szerokość, ta sama ostra nawierzchnia zwiększająca przyczepność i te same szerokie, żwirowe pobocza. Dokładnie cztery godziny po wyjechaniu spod motelu zwolnił, zjechał dwoma kołami z terkoczącej nawierzchni i stanął połową samochodu na poboczu. Nie było dużego ruchu. Same ciężarówki jadące do zakładu metalurgicznego, znajdującego się trzydzieści kilometrów dalej, lub z niego wracające. Głównie ciągniki siodłowe z naczepami w formie platformy wymieszane z ciężarówkami kontenerowymi i skrzyniowymi. Większość samochodów miała tablice rejestracyjne z Kolorado i sąsiednich stanów, ale były też ciężarówki z Kalifornii, stanu Waszyngton, nawet z New Jersey i Kanady. Przetaczały się ze swoimi ładunkami, a fale podmuchu poruszały wysłużonym pick-upem.

Poza niewyraźną smugą zabudowań na horyzoncie i wąską nitką smogu wiszącego nieruchomo nad miastem Rozpacz nic jeszcze nie było widać w oddali. Osiem kilometrów bliżej, ale około dwudziestu dwóch od miejsca, w którym się zatrzymał, Reacher dostrzegł kompleks szarych, niskich budynków, które widział już wcześniej. Teraz znajdowały się po jego prawej stronie i wyglądały jak niewielka, nic nieznacząca zamazana plama na horyzoncie. Może to stacja benzynowa? Albo motel? A może stacja obsługi ciężarówek i postój z restauracją? Może wreszcie będzie mógł tam zjeść pożywny, wysokokaloryczny posiłek.

Może właśnie tam zagubiony mąż Lucy Anderson i niezidentyfikowany nieboszczyk też zjedli wysokokaloryczny posiłek w drodze do Rozpaczy.

Może ktoś ich zapamiętał.

Może to miejsce nie należało do okręgu Rozpacz.

A może należało.

Reacher spojrział w lusterko wsteczne, wrzucił bieg, wjechał prawymi kołami na asfalt i ruszył na spotkanie z horyzontem. Dwanaście minut później znowu się zatrzymał tuż przed słupkiem z małym zielonym napisem: „Witamy w Rozpaczy. Liczba mieszkańców - 2691”. Kompleks niskich budynków znajdował się sto metrów po złej stronie znaku.

Te budynki nie były szare. Odległość od nich i odbicie światła o mgiełkę powstałą z

unoszących się mas ciepłego powietrza spowodowały złudzenie optyczne.

Budynki pomalowano na kolor oliwkowy.

To nie była stacja benzynowa.

Ani motel.

Ani też żaden postój dla ciężarówek.

21

Sześć niskich zielonych budynków. Identyczne baraki z prefabrykowanych stalowych elementów i ścian, zmontowane i rozstawione według ścisłych specyfikacji i regulaminów. Budynki były poprzedzielane wewnętrznymi drogami gruntowymi o identycznej szerokości. Funkcję krawężników spełniały pomalowane na biało kamienie. Baraki były ogrodzone wysokim, niemożliwym do sforsowania płotem z drutu ostrzowego, nowszej wersji drutu kolczastego, który zamiast tradycyjnych kolców miał ostrza przypominające połówki żyłek. Ogrodzenie ciągnęło się na zachód i otaczało parking, na którym stało sześć opancerzonych hummerów. Każdy z nich miał na dachu zamontowany karabin maszynowy. Obok parkingu stał maszt radiowy ogrodzony płotem.

To nie był żaden motel.

Ani też postój ciężarówek.

To był posterunek wojskowy.

A dokładnie posterunek armii lądowej. A dokładniej, postępek żandarmerii wojskowej. A jeszcze dokładniej, była to tymczasowa, wysunięta baza bojowej jednostki żandarmerii wojskowej. W żargonie militarnym: wysunięta baza operacyjna.

Reacher od razu rozpoznał jej typ i wyposażenie. Potwierdzenie znalazł na tablicy koło szlabanu i pawilonu dla straży. Tabliczkę z nazwą jednostki, wypisaną białymi literami na zielonym tle, Przymocowano do słupka.

To nie była jednostka gwardii narodowej.

Ani rezerwiści.

Miał przed sobą jednostkę regularnej armii. I to nie było jakąś. Tak było też w latach, gdy Reacher służył w wojsku, i nie istniał żaden powód, by nie wierzyć, że cokolwiek w tej kwestii zmieniło się na gorsze. Żaden powód.

Dowód na to, że nic nie zmieniło się na gorsze, pojawił się niemal natychmiast.

Budka strażników miała metalową konstrukcję, ale wszystkie cztery ściany tworzyły wielkie okna do samej podłogi. Wartą pełniło czterech żołnierzy. Dwóch zostało na posterunku, a dwóch wyszło na zewnątrz. Byli ubrani w pustynny kamuflaż bojowy, buty wojskowe, kamizelki kuloodporne i hełmy. Mieli karabiny automatyczne M-16. Przeszli pod szlabanem, ustawili się w szeregu i machając marszowo rękami, weszli na asfalt. Wykonali perfekcyjny skręt w lewo i podbiegli wojskowym truchtem do samochodu Reachera z idealną prędkością dwunastu kilometrów na godzinę, tak jak ich wyszkolono. Trzydzieści metrów od niego rozdzielili się, by wziąć cel w dwa ognie. Jeden z nich wbiegł na piach, podbiegł do półciężarówki z prawej strony i zatrzymał się dziesięć metrów przed nią z bronią przygotowaną do strzału. Drugi żołnierz został na asfalcie i obiegł samochód, sprawdzając pakę, po czym zawrócił i zatrzymał się pięć metrów od drzwi kabiny po stronie Reachera. Zawołał donośnym, czystym głosem:

- Sir, proszę o opuszczenie szyby.

„I proszę trzymać ręce tak, bym je widział - dopowiedział w myśli Jack - dla pana własnego bezpieczeństwa”. Opuścił szybę do samego końca i spojrzął w lewo.

- Proszę trzymać ręce tak, bym je widział - zawołał żołnierz. - Dla pana własnego bezpieczeństwa.

Reacher położył dłonie wysoko na kierownicy i patrzył w lewą stronę. Facet, na którego spoglądał, był specjalistą w swoim" fachu, młodym, ale nie nowicjuszem, doświadczonym, z

widocznymi liniami zmarszczek odchodzących od zewnętrznych kącików oczu. Nosił okulary w cienkich czarnych oprawkach. Na odznace identyfikacyjnej miał napisane „Morgan”. Z oddal' doszedł dźwięk klaksonu zbliżającej się ciężarówki i żołnierz przybliżył się do krawędzi jezdni. Potężny ciągnik siodłowy ominął ich z łoskotem, szumem wiatru i tumanami pyłu. Pół-ciężarówka Reachera zachwiała się jak zwykle na wysłużonych oponach i zbyt miękkim zawieszaniu. Żołnierz znowu się odsunął i przyjął identyczną postawę, ostrożną, choć wyzywającą, z bronią gotową do strzału, lecz jeszcze skierowaną ukośnie w dół.

- Spocznijcie, kapralu - zaczął Jack. - Nie ma tu nic ciekawego do zobaczenia.

Żołnierz o nazwisku Morgan odpowiedział:

- Sir, to wnioski, które ja sam muszę wyciągnąć.

Reacher spojrział do przodu. Partner Morgana stał sztywno jak posąg z kolbą karabinu M-16 wspartą na barku. Miał stopień starszego szeregowego. Celował prawym okiem w prawą przednią oponę półciężarówki.

- Sir, dlaczego pan się tu zatrzymał? - zapytał żandarm.

- Czy muszę mieć jakiś ważny powód, żeby się zatrzymać na poboczu? - odparł Reacher.

- Sir, to wygląda, jakby przeprowadzał pan obserwację posterunku wojskowego o ograniczonym dostępie.

- No to mylicie się, bo nie prowadzę żadnej obserwacji.

- Sir, dlaczego pan się tu zatrzymał?

- Przestańcie tytułować mnie „sir”, dobrze?

- Słucham, sir?

Reacher uśmiechnął się do siebie. Żandarm o takim doświadczeniu jak Morgan musiał przeczytać cały stos podręczników i instrukcji dotyczących zwracania się do cywilów, urzędników i notabli.

A może się zgubiłem - powiedział Reacher.

- To pan nie jest stąd?

- Nie.

- Ale pana samochód ma tablice rejestracyjne Kolorado.

- Kolorado to duży stan. Ma ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, żołnierzu, jest ósmym co do wielkości stanem w Stanach Zjednoczonych. Ale jest dopiero dwudziestym drugim miejscem pod względem liczby mieszkańców. Mogę przecież pochodzić z jakiegoś odległego krańca stanu.

Po chwili zastanowienia żandarm znowu zadał pytanie:

- Sir, jaki jest cel pana podróży?

Odpowiedź na to pytanie stała się dla Reachera problemem. Zjazd z drogi międzystanowej I-70 był trudny do znalezienia. Nie ma możliwości, by kierowca jadący do Colorado Springs, Denver albo Boulder przypadkowo zjechał nim z autostrady. Stwierdzenie, że zabłądził, wzbudziłoby podejrzenia, co doprowadziłoby do sprawdzenia tablic rejestracyjnych półciężarówki Vaughan przez radio, przez co miałyby kłopoty, których z pewnością wolałaby uniknąć.

- Jadę do Nadziei - wyjaśnił Reacher.

Morgan zdjął prawą rękę z karabinu i wskazał kierunek.

- Tędy, sir. Jest pan na dobrej drodze. Do centrum Nadziei jest trzydzieści pięć kilometrów.

Reacher podziękował skinieniem głowy. Morgan wskazywał na południowy wschód, ale nie odsunął wzroku od rąk Reachera. Wyglądał na dobrego żołnierza. Doświadczonego. Dobrze wyszkolonego. Jego pustynny mundur polowy był wypłowiały, ale czysty, buty pościerane i znoszone, ale jednocześnie zadbane i wypastowane do połysku. Górna krawędź oprawek okularów była idealnie równoległa do brzegu hełmu. Reacher lubił żołnierzy w okularach, bo dodawały im rysu ludzkiej słabości, który bilansował się z bojowym ubiorem i rynsztunkiem.

Twarz nowoczesnej armii.

Morgan podszedł do błotnika pick-upu, gdy przejeżdżała kolejna ciężarówka z naczepą. Tym razem przyjechała z New Jersey i na naczepie był czterdziestostopowy kontener do transportu morskiego. Ten pojazd wyglądał jak gigantyczny blok betonowy poruszający się z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Hałas, wiatr i tumany kurzu. Spodnie Morgana przylgnęły płasko do nóg, miniaturowe tornada kurzu tańczyły wokół jego stóp. Ale nawet nie mrugnął.

- Sir, czy ten pojazd należy do pana? - zapytał.

- Nie jestem pewien, czy ma pan prawo do zadawania takich pytań - odparł Reacher.

- W bezpośrednim sąsiedztwie posterunku wojskowego mam prawo do uzyskania takich informacji.

Reacher nic nie odpowiedział.

- Czy ma pan dowód rejestracyjny i ubezpieczenie?

kontynuował Morgan.

- W schowku na rękawiczki. - Przypuszczenie graniczyło i pewnością. Vaughan była przecież gliną, a większość glin miała wszystkie papiery w porządku. Byłoby dla nich zbyt krępujące, gdyby zostali złapani na niedbalstwie.

- Sir, czy mogę obejrzeć te dokumenty?

- Nie - odpowiedział Reacher.

- Sir, zaczynam mieć podejrzenia, że przebywa pan w bezpośredniej okolicy posterunku wojskowego o ograniczonym dostępie, kierując kradzionym samochodem przewożącym ładunek.

- Już pan sprawdził pakę. Przecież jest pusta. Żandarm nic nie odpowiedział.

- Spokojnie, panie kapralu. Jesteśmy w Kolorado, a nie w Iraku. Nie mam zamiaru niczego wysadzać w powietrze.

- Sir, niedobrze, że użył pan tych słów.

- Spokojnie, Morgan. Mówiłem o tym, czego nie mam zamiaru zrobić.

- To nie jest miejsce na żarty.

- Nie żartuję.

- Muszę zobaczyć te dokumenty, sir.

- Przekracza pan swoje kompetencje.

- Sir, muszę je natychmiast obejrzeć.

- Czy macie na posterunku prawnika z wojskowego wydziału śledczego?

- Nie mamy, sir.

- Więc takie decyzje podejmuje pan samodzielnie? Morgan nic nie odpowiedział. Przynął się do błotnika, gdy mijała ich cysterna. Na tylnej części zbiornika miała ostrzegawczy Pomarańczowy czworokąt z symbolem niebezpiecznych substancji chemicznych na czarnym tle. Cysterne zbudowano z nierdzewnej stali tak wypolerowanej, że Reacher zobaczył swoje odbicie niczym w salonie z krzywymi zwierciadłami. Gdy srebrzysty blask rozpląnął się w oddali, Morgan zajął poprzednią Pozycję.

- Sir, muszę zobaczyć te dokumenty. Proszę choćby pokazać 1 Je z daleka. Chcę, by pan udowodnił, że je pan ma.

Reacher wzruszył ramionami, pochylił się w prawo i otworzył skrytkę na rękawiczki. Przekopał się przez długopisy, mokre chusteczki higieniczne w szczelnych opakowaniach i inne drobiazgi. Natrafił wreszcie na mały winylowy portfel. Był czarny a na jego froncie nadrukowano srebrną kierownicę. Zwykła taniocha z wyprzedaży, którą można znaleźć na każdej stacji benzynowej albo myjni samochodowej obok odświeżaczy powietrza w kształcie choinek i kompasów kulkowych przyczepianych na przyssawkę do przedniej szyby. Winyl był sztywny i popękany ze starości, a czerń zmieniła się w wypłowiałą szarość.

Reacher otworzył portfel tak, by Morgan tego nie widział. W lewej foliowej kieszonce była aktualna polisa ubezpieczeniowa. W prawej - dowód rejestracyjny.

Dokumenty zostały wystawione na nazwisko David Robert Vaughan, zamieszkały w Nadziei w Kolorado.

Reacher podtrzymał otwarty portfel przed oczami Morgana wystarczająco długo, by ten mógł ocenić, że dokumenty są prawdziwe, lecz odpowiednio krótko, by nie zdołał przeczytać informacji identyfikacyjnych.

- Sir, dziękuję.

Reacher umieścił portfel z powrotem w schowku na rękawiczki i zatrzasnął jego przykrywą.

- Sir, proszę teraz odjechać tam, dokąd pan zamierzał. Taka komenda sprawiła Reacherowi kolejny problem. Jeśli ruszy ku Nadziei, co miało być celem jego podróży, będzie musiał przejechać przez Rozpacz. Jeśli zawróci, Morgan zacznie się zastanawiać, dlaczego kierowca porzucił cel podróży, którym było miasteczko Nadzieja, i mógłby przystąpić do bardziej zdecydowanych działań.

Co było większym zagrożeniem?

Oczywiście, że Morgan. Zawody pomiędzy policją z Rozpacz} a bojowym oddziałem żandarmerii polowej to żadne zawody. Więc Reacher wrzucił bieg i ruszył do przodu.

- Miłego dnia, kapralu - pożegnał się i wjechał na asfa'l. Nacisnął pedał gazu metr po minięciu małej zielonej tablic i chwilowo zwiększył liczbę mieszkańców Rozpaczy do dwóch tysięcy sześciuset dziewięćdziesięciu dwóch ludzi.

22

Solidnie wybudowana dwujezdniowa szosa przez osiem kilometrów prowadziła prosto do bramy wjazdowej zakładu metalurgicznego. Sto metrów przed bramą rozwidlała się, a jej lewa odnoga przecinała pokrytą suchoroślami pustynię, wiodąc do Rozpaczy. Była zachodnim krańcem jedynej drogi przebiegającej przez miasteczko. Reacher łatwo ją rozpoznał. Była jak zbudowana, bez solidnego podłoża, kamienie i żwir podlane smołowatym, kiepskim asfaltem. Zwolnił, by przepuścić ciągnik siodłowy z naczepą, na której błyszcząły stalowe sztaby, i ciężarówkę z kontenerem zmierzającą do Kanady. Skręcił w lewo i chrzęszcząc kołami po nierównej i chropowatej nawierzchni, dojechał do tego samego miejsca, które już raz oglądał, tylko że w odwrotnej kolejności. Koniec metalowego ogrodzenia zakładu z zespalanych blach samochodowych, pomalowanego na białą, kryjącego dźwigi pracujące w snopach iskier i kłębach dymów. Reacher opuścił szybę pasażera i usłyszał hałas stukających młotów, poczuł kwaśne zapachy substancji chemicznych.

Dojechał do miejsca, gdzie parkowały samochody przed wejściem dla pracowników, i zobaczył chevroleta tahoe ochrony, który kiwał się po bezdrożach daleko po prawej stronie, robiąc swoją rundę w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, jego partner, podążający w przeciwnym kierunku, był znacznie bliżej. Jechał tuż przy parkingu z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Wóz miał przyciemnione szyby, zbliżał się powoli do krawędzi drogi, chcąc przejechać ją pod kątem prostym. Reacher przyspieszył, a tahoe zwolnił i przeciął drogę tuż za nim. Jack widział to w lusterku wstecznym. Pojechał dalej drogą do miasta, które już zamajaczyło przed nim jakieś pięć kilometrów na prawo. Niskie ceglane budynki, posępnie wygrzewające się w popołudniowym słońcu. Droga była pusta. Wznosiła się i opadała, meandrowała w lewo i prawo, wymijając głązy większe od lodówki domowej. Kiepsko i tanio wybudowana, nigdy porządnie nie utwardzona ani nie wyprostowana, prowadziła tak jak dawny szlak wozów osadników.

Dwa kilometry z przodu z bocznej uliczki nagle wyjechał policyjny radiowóz.

Nie było trudno go rozpoznać. Ford crown victoria, biało-złoty, z czarnym taranem na przednim zderzaku, z kogutami na dachu, antenami na bagażniku. Zatrzymał się, poczekał chwilę i ruszył w lewo.

Na zachód.

Prosto na Reachera.

Jack zerknął na prędkościomierz. Osiemdziesiąt na godzinę, szybkość ogromna jak na starą półciężarówkę. Nie wiedział, jakie jest ograniczenie prędkości na lokalnych drogach. Zwolnił do siedemdziesięciu i spokojnie sunął dalej. Radiowóz był już blisko, jakieś półtora kilometra. Jechał bardzo szybko, prawie z maksymalną prędkością, co najmniej sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Przybliżony czas kontaktu: około piętnastu sekund.

Reacher jechał dalej.

Słońce świeciło za jego plecami, prosto w oczy gliniarzowi, co stanowiło pewną korzyść. Stary chevy miał zwykłą, nie-przyciemnioną przednią szybę, co już nie było korzystne. Na dziesięć sekund przed kontaktem Jack oderwał lewą dłoń od kierownicy i zakrył nią czoło, jakby rozmasowywał sobie skronie, starając się pozbyć bólu głowy. Utrzymawał stałą prędkość i patrzył wprost przed siebie.

Radiowóz minął go z ogromną szybkością.

Reacher położył lewą dłoń z powrotem na kierownicy i spojrzał w lusterko wsteczne.

Gliniarz ostro hamował.

Reacher zerkał w lusterko wsteczne i szybko kalkulował. Miał przed sobą jakieś dwadzieścia pięć kilometrów do granicy okręgu Nadzieja. Artretyczny, stary chevy pojedzie najwyżej sto dziesięć na godzinę, a to oznacza ponad dwanaście minut na pokonanie tego dystansu. Ford crown victoria nie jest może samochodem o wielkiej mocy, ale w wersji policyjnej ta stateczna limuzyna miała zamontowane szybkie dyferencjały zapewniające większe przyspieszenia i większą prędkość maksymalną, a podwójny układ wydechowy, umożliwiający lepsze odprowadzenie spalin, też miał znaczący wpływ na moc silnika. Ulepszony crown victoria bez problemu rozpędzi się do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i dogoni go na wysokości opuszczonego motelu, na początku dwudziestokilometrowego odcinka drogi wiodącej do granicy z okręgiem Nadzieja.

Nie wyglądało to najlepiej.

Crown victoria właśnie zawracał.

Po co?

Co prawda, Rozpacz to miasto korporacyjne, ale droga przejazdowa była publiczna. Każdy mieszkaniec Nadziei z niej skorzysta, jadąc do domu od strony autostrady. Niektórzy mieszkańcy Kansas zrobiliby to samo. Samochody na obcych rejestracjach nie mogły być szczególną rzadkością w Rozpaczy.

Reacher jeszcze raz rzucił okiem w lusterko wsteczne. Crown victoria nabierał prędkości. Miał uniesiony przód, a tył aż osiadł na zawieszaniu od przyspieszenia.

A może to ochroniarze w tahoe, poruszającym się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wezwali policję? Może dostrzegli twarz Reachera i rozpoznali go? Może zastępcy, których spotkał w restauracji, pracowali jako ochroniarze?

Jack jechał dalej. Dotarł do pierwszych zabudowań.

Dziesięć przecznicy dalej pojawił się drugi crown victoria.

Zatrzymał się, blokując przejazd.

Reacher ostro zahamował, mocniej chwycił kierownicę i ostro skręcił w prawo w labirynt uliczek o układzie szachownicy. Desperacki ruch. Jack był najgorszym z możliwych kandydatów na zwycięzcę w policyjnym pościgu. Nie zaliczał się do grona dobrych kierowców. Podczas wstępnych szkoleń w szkole żandarmerii w Fort Rucker uczył się, jak prowadzić pościgi i jak uciekać samochodem, ale nie zrobił na nikim większego wrażenia. Zaliczył ten kurs chyba z czystej litości prowadzących. Rok później szkołę przeniesiono do Fort Leonard Wood, gdzie kurs jazdy stał się trudniejszy i pewnie tam nie zdałby egzaminu. Miał szczęście, że skorzystał z ostatniej szansy danej mu przez czas. Niekiedy czas i przypadek pomagają człowiekowi.

Lecz bywa też odwrotnie. Teraz nie miał ani czasu, ani wielkich szans.



Wjechał w poprzeczną czteropasmową ulicę i bez zastanowienia skręcił w lewo, potem w prawo i znowu w lewo. Ulice były zwyczajne i wąskie, ściśnięte przez nieprzyjazne zabudowania z cegły, ale Reacher miał wyczucie kierunków lepsze niż sztuka jazdy i wiedział, że nadal jedzie na wschód ulicą równoległą do Main Street, odległą od niej o dwa квартаły. Ruch drogowy w centrum miasteczka był niewielki. Jack musiał zwolnić przez kobietę wolno jadącą starym pontiacem, ale квартаły były niewielkie, więc rozwiązał ten problem, skręcając w prawo i znowu w lewo; wyprzedził ją, objeżdżając jeden квартаł.

Zgubił ścigający go radiowóz. Statystyka była po jego stronie. Wyliczył, że skoro centrum miasteczka tworzyło dwanaście na dwanaście квартаłów, daje to możliwość wykonania 288 skrętów w którymkolwiek z odcinków będących bokami квартаłów, co oznaczało, że jeśli będzie kontynuował jazdę, to szanse bezpośredniej konfrontacji są niewielkie.

Niestety, szanse wydostania się z labiryntu ulic także wydawały się małe. Dopóki drugi gliniarz blokował Main Street na wschodnim krańcu, dopóty Nadzieja była nieosiągalnym celem podróży. Nasuwało się przypuszczenie, że tahoe z zakładu metalurgicznego pilnowały miasta z zachodniej strony. No i Rozpacz mogła być miastem pełnym przyjaznych policji obywateli posiadających duże samochody terenowe z napędem na cztery koła, które są znacznie szybsze na otwartym terenie niż stary chevy należący do Vaughan. Mogliby sformować prawdziwy oddział pościgowy.

Reacher skręcił w pierwszą z brzegu lewą przecznicą, byle tylko cały czas być w ruchu. Ścigający go radiowóz mignął gdzieś na odległym skrzyżowaniu. Jechał z lewej strony na prawą i zniknął. Reacher skręcił w lewo w tę samą uliczkę i zobaczył oddalający się radiowóz we wstecznym lusterku. Teraz kierował się na zachód. W baku miał jeszcze jedną czwartą paliwa. Skręcił w prawo w następną ulicę czteropasmową i pognął dwie przecznice na północ do Main Street. Skierował się na wschód, wjeżdżając w główną ulicę miasta, i rozejrzał się dookoła.

Drugi policyjny radiowóz nadal blokował przejazd, stojąc w poprzek drogi dziesięć metrów przed ostatnim ściśle zabudowanym квартаłem, tuż za składem suchej żywności. Koguty na dachu błyskały czerwienią, ostrzegając nadjeżdżające samochody o braku przejazdu. Ford crown victoria miał pięć i pół metra długości. Był jednym z ostatnich prawdziwych amerykańskich krażowników. Duży samochód, ale jednak z obu stron zostawił trochę miejsca; między maską a krawężnikiem mógł być ponad metr przerwy, między bagażnikiem a przeciwnym krawężnikiem trochę mniej niż metr.

Nie wyglądało to dobrze. Chevy miał dwa metry szerokości.

W szkole jazdy w Fort Rucker mistrzowie pościgów i ucieczek jak mantrę powtarzali jedną sentencję: „Jeśli nie chcesz umrzeć na drodze, jedź chodnikiem”. A to akurat Reacher mógł zrobić. Zdołałby przemknąć obok gliniarza, jadąc dwoma kołami po chodniku. Ale co potem? Będzie miał przed sobą dwadzieścia kilometrów ucieczki wolnym pick-upem przed szybkimi policyjnymi radiowozami.

Nie wyglądało to najlepiej.

Skręcił w prawo i wrócił do labiryntu centrum miasta. Zauważył pierwszego forda crown victoria między budynkami trzy przecznice dalej, tym razem zmiernego we wschodnim kierunku. Skręcił w lewo pojechał w drugą stronę. Zwolnił i zaczął rozglądać się za parkingiem wypełnionym używanymi samochodami. W filmach wystarczyło zaparkować na końcu szeregu i ścigający gliniarze mijali uciekiniera, gnając naprzód.

Niestety, nie znalazł żadnego takiego parkingu. I żadnego innego miejsca, które mógłby wykorzystać na kryjówkę. Dwa razy minął posterunek policji, sklep spożywczy, zakład fryzjerski, bar, kamienicę z pokojami do wynajęcia i stary, wyblakły hotel. Widział go już wcześniej, gdy szedł do restauracji, z której później go wyrzuciono. Zobaczył front kościoła pod jakimś dziwnym wezwaniem; napis głosił coś o końcu świata. Jedyne kościoła w mieście. Vaughan wspomniała mu, że feudalny władca miasteczka był świeckim klerykiem. Brzydka

trzykondygnacyjną konstrukcję z cegły uwieńczyła przysadzista wieża, której zadaniem było odróżnienie budowli od sąsiadujących budynków. Wieża miała utleniony na seledynowo miedziany piorunochron kończący się na poziomie ulicy. To chyba najbardziej kolorowy element w całej Rozpaczy; żywiołowy pionowy wręt w ponurą architekturę miasteczka.

Reacher jechał dalej. Rozglądał się na boki, ale nie zobaczył już niczego interesującego. Dobrze byłoby skryć się u jakiegoś wulkanizatora, wstawić stare chevy na podnośnik i w ten sposób ukryć go przed policją. Sam też by się ukrył, a przy okazji mechanik mógłby poprawić geometrię samochodu Vaughan.

Niestety, nie znalazł żadnego zakładu zajmującego się oponami.

Jechał dalej, skręcając w przypadkowe ulice, to na prawo, to na lewo. Trzy razy w ciągu trzech kolejnych minut dostrzegł forda crowna victorię przecinającego skrzyżowania w oddali; dwa razy przed nim, a raz gdzieś z tyłu, co zobaczył w lusterku wstecznym. Za czwartym razem ujrzał radiowóz minutę później. Sam zatrzymał się na skrzyżowaniu z czteropasmową ulicą, a radiowóz dokładnie w tej samej chwili dojechał do wylotu ulicy po prawej stronie. Reacher i gliniarz znaleźli się w samochodach znajdujących się wobec siebie pod kątem prostym, niemalże zderzak w zderzak, cztery metry od siebie, nieruchomi. Kierowcą radiowozu był ten sam policjant, który go aresztował-Wysoki, ciemny, szeroki w barach. W beżowej kurtce. Spojrzał na Reachera i się uśmiechnął. Pokazał ręką: „Jedź”, jakby to on był na drodze podporządkowanej.

Jack był kiepskim kierowcą, ale nie skończonym głupcem-Nie pozwoliłby sobie na to, żeby gliniarz znalazł się za nim, jadąc w tym samym kierunku. Wrzucił wsteczny bieg i zaczął się wycofywać. Policjant ruszył w pościg. Reacher poczekał, aż radiowóz będzie w połowie manewru skrętu, przesunął dźwignię zmiany biegów w pozycję „Drive” i przepchnął się obok wozu policyjnego dosłownie na grubość lakieru. Potem skręcił mocno w lewo i jeszcze raz w lewo, aż upewnił się, że uciekł gliniarzowi.

Jechał dalej bez końca. Doszedł do wniosku, że metoda wykonywania przypadkowych skrętów w prawo i lewo nie przynosiła żadnego efektu. Prawdopodobieństwo nienatrafienia na gliniarza, jak i nadziania się prosto na radiowóz, było niemalże jednakowe. Więc jechał prosto, aż kończyły się dalsze przecznice, i wtedy skręcał. Jeździł tak w koło, wystarczająco wolno, żeby czuć się w miarę bezpiecznie, i wystarczająco szybko, żeby w razie czego przycisnąć pedał gazu i zmusić stary silnik do bardziej wyętej pracy.

Po raz trzeci mijał kościół, bar, sklep spożywczy i wyblakły, stary hotel. I noclegownię z pokojami do wynajęcia. Nagle otwały się drzwi tego przybytku i Reacher kątem oka zobaczył w nich młodego mężczyznę.

Potężnie zbudowanego.

Wysoki blondyn. Typ umięśnionego sportowca. Niebieskie oczy, wojskowa fryzura i ciemna opalenizna. Dżinsy i biały T-shirt pod szarym swetrem wyciętym w serek.

Reacher wcisnął hamulec i przekręcił głowę. Ale gościa już nie było, szedł zbyt szybko i pewnie skrył się za rogiem. Jack wrzucił wsteczny bieg i zaczął się cofać. Usłyszał klakson starej terenówki, która zmuszona była go wyminąć ostrym łukiem. Reacher się nie zatrzymał. Wjechał na czteropasmówkę tyłem i obserwował ulicę.

Mężczyzny nigdzie nie było. Tylko puste chodniki. W lusterku, jakieś trzy kwartały dalej na zachód, Jack zobaczył ścigający go radiowóz. Wrzucił „Drive” i ruszył do przodu. Skręcił w lewo, zaraz potem w prawo i znowu zaczął zataczać koła wokół centrum.

Faceta już nie zobaczył.

Za to radiowóz widział dwa razy. Gliniarz był daleko i myszkował kilka przecznic od Reachera, jakby miał mnóstwo czasu i nigdzie się nie spieszył. To zresztą była prawda. Druga trzdzieści po południu. Połowa mieszkańców miasteczka w pracy w zakładzie, druga połowa sprzątała domy, piekła ciasto lub bujała się w fotelach, oglądając telewizję. A jedyne drogi wyjazdowe z miasta zablokowane po obu stronach. Gliniarz po prostu świetnie się bawił.

Miał Reachera w garści i wiedział o tym.  
Jack też o tym wiedział.  
Nie miał jak uciec.  
Czas stanąć na ubitej ziemi i walczyć.

23

Jakiś dupowaty instruktor w szkole żandarmerii w Fort Rucker rzucił kiedyś dziwny tekst, że „przypuszczanie” to nic innego jak „szczanie pod wiatr”. Można niepotrzebnie obsikać siebie i kolegów. Napisał to słowo na tablicy i podkreślił jego drugą część: „szczanie”. Zasadniczo Reacher zgadzał się z nim w tej kwestii, nawet jeśli instruktor naprawdę był dupkiem. Czasem jednak poszukiwanie jedynej drogi z trudnej sytuacji musiało być oparte na przypuszczeniach. I właśnie teraz Reacher musiał założyć, że bez względu na to, jak gliniarze z Rozpaczy są na niego napaleni, to przecież nie będą ryzykować strzelaniny w miejscu publicznym, gdzie na linii ognia mogliby znaleźć się niewinni ludzie. Zatrzymał się przy krawężniku koło restauracji i wysiadł z pick-upu, przeszedł na drugą stronę chodnika i oparł się plecami o jeden z olbrzymich, sięgających podłogi paneli szklanych.

W knajpie panował spory ruch. W pracy była ta sama kelnerka. Miała dziewięciu klientów do obsługi. Trójkę, parę i czworo singli. Wszyscy rozsiedli się mniej więcej równomiernie na sali.

Straty muszą być, pomyślał, a wszystkie straty siedziały w restauracji.

Szyba, o którą opierał się Reacher, chłodziła plecy. Słońce nie skończyło jeszcze swojej wędrówki po nieboskłonie, ale było tak nisko, że ulice kryły się już w cieniu. Wiał lekki wiatr.

Tworzył małe wiry kurzu tu i tam na chodniku. Jack odpiął mankiety i podwinął rękawy do łokci. Rozprostował kręgosłup obolały od ciasnej kabiny chevy, rozciągnął ramiona, pokręcił szyją, rozluźnił mięśnie karku.

I czekał.

Gliniarz w radiowozie pojawił się dwie minuty i czterdzieści sekund później. Ford crown victoria nadjechał z kierunku zachodniego, zatrzymał się dwie przecznice dalej i czekał, jakby kierowcy sprawiało problem ogarnięcie sytuacji, którą miał wprost przed swoimi oczami: „Pick-up, zaparkowany. Podejrzany stoi na chodniku”. Gdy to przetwarzanie danych się skończyło, radiowóz ruszył, przeciął czteropasmówkę i zatrzymał się tuż za chevym, przy chodniku po prawej stronie, skierowany przodem na wschód; jego przedni błotnik był dwa i pół metra od miejsca, w którym stał Reacher. Policjant zostawił włączony silnik, otworzył drzwi i wyszedł na jezdnię. Znowu deja vu. Potężnie zbudowany facet, biały, mniej więcej czterdziestoletni, czarne włosy, gruby kark. Beżowa kurtka, brązowe spodnie, odcisk na czole od kapelusza. Wyjął glocka z kabury przy pasie, wyciągnął go przed siebie na wyprostowanej ręce, oparł o błotnik lekko rozchylone nogi i patrzył na Reachera przez długość maski samochodu.

Prawidłowa taktyka, pomyślał Jack, choć nie bierze pod uwagę ludzi za szybą.

- Stój, bo strzelam! - krzyknął gliniarz.
- Przecież nigdzie nie uciekam - odpowiedział Reacher. - Jeszcze.
- Wsiadaj do wozu.
- Sam sobie wsiadaj.
- Bo strzelę.
- Nie strzelisz.

Facet oniemiał na moment, przeniósł wzrok za plecy Reachera i dostrzegł wielkie okna restauracji. Jack był absolutnie pewien, że policja w Rozpaczy nie miała specjalnego zespołu do przeprowadzania analizy użycia broni przez policjanta ani nawet żadnej procedury określającej użycie broni, więc zawahanie się gliny było wynikiem odwołania się do

zdrowego rozsądku.

A może wiedział, że ktoś z jego rodziny o tej porze lubi zjeść późny lunch.

- Wsiadaj do wozu - zakomenderował jeszcze raz.

- Dzięki, nie skorzystam z zaproszenia - odpowiedział Reacher. Trochę zimno mu się zrobiło w plecy od szyby, ale pozostał w takiej samej zrelaksowanej pozycji, swobodnie oparty, nie grożąc nikomu.

- Użyję broni - powtórzył gliniarz.

- Nie możesz. Potrzebujesz wsparcia.

Gliniarz zastanowił się przez moment. Przeniósł ciężar ciała na lewą stopę, bliższą drzwi kierowcy. Nadal jedną ręką trzymał pistolet i mierzył do Reachera, a drugą zaczął po omacku szukać mikrofonu radiostacji przez otwarte okno. Wreszcie go znalazł, zdjął z zaczepu i wyciągnął tak daleko, jak pozwalała na to długość kabla. Nacisnął przycisk nadajnika.

- Brachu, do restauracji, natychmiast. - Zwolnił przycisk, wrzucił mikrofon na siedzenie i złapał pistolet w obie dłonie, z powrotem opierając ciężar ciała na błotniku.

A czas uciekał.

Jeden facet nie powinien sprawić trudności.

Z dwójką trudniej będzie sobie poradzić.

Drugi policjant był już w drodze i Reacher nie mógł czekać, aż się tu pojawi.

Było cicho, nie wliczając mrużenia silnika radiowozu działającego na wolnych obrotach i brzęku naczyń dochodzącego z restauracyjnej kuchni.

- Jesteś pizda - rzucił Reacher. - Takie sprawy powinienes załatwiać samodzielnie.

Gliniarz zacisnął usta i przesunął się bardziej w stronę przodu samochodu, nadal mierząc z pistoletu i poprawiając ustawienie broni. Doszedł do przedniego zderzaka, wyczuł kolanami taran, minął go i zbliżał się do Reachera.

Wszedł na chodnik.

Jack czekał. Policjant stał teraz po jego prawej stronie, więc Reacher przesunął się o krok w lewo, by linia ognia nadal Przecinała taflę szyby, co stwarzało zagrożenie dla osób postronnych i tym samym powstrzymywało glinę od oddania strzału. Lufa glocka śledziła każdy ruch Reachera, a rękojeść pistoletu nadal stabilnie tkwiła w dłoniach policjanta.

- Wsiadaj do wozu. - Zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

Teraz był już półtora metra od Jacka, o jedną betonową płytę chodnika.

Reacher nadal stał przy szybie. Jedną stopę oparł piętą o podstawę ściany.

Gliniarz jeszcze się zbliżył.

Wylot lufy glocka znalazł się trzydzieści centymetrów od szyi Reachera. Policjant był potężnie zbudowanym facetem; miał wyciągnięte do przodu ramiona, a nogi, rozchylone w lekkim bojowym rozkroku, zapewniały pełną równowagę.

Taka postawa okazałaby się przydatna, gdyby gliniarz zamierzał użyć broni.

Ale nie zamierzał.

Odebranie broni komuś, kto jest gotowy jej użyć, nie zawsze bywa trudne. Natomiast odebranie jej człowiekowi, który już podjął wewnętrzną decyzję, że z niej nie skorzysta, zazwyczaj jest łatwe. Gliniarz zdjął lewą dłoń z pistoletu i chciał złapać Reachera za kołnierz. Ten jednak uchylił się w prawo, ślizgając się spranym płótnem koszuli po szybie, błyskawicznie wykręcił napastnikowi rękę i zacisnął palce na glocku i dłoni policjanta. Mężczyzna był solidnej budowy i miał duże dłonie, ale Jack miał większe. W potężnym uścisku zmusił policjanta do opuszczenia rąk i broni. Teraz celowała w ziemię i Reacher zwiększył uścisk, by sparaliżować palec wskazujący gliniarza, spoczywający na spuście, a potem spojrzął mu w oczy, uśmiechnął się przelotnie i wyrznął go tyłem czaszki.

Facet zachwiał się jak na gumowych nogach.

Reacher trzymał jego rękę zaciśniętą na broni i zwałił go kopnięciem w krocze. Gdy policjant upadał, Reacher skręcał jego przedramieniem w taki sposób, by ciężar osuwającego się ciała

samoczynnie doprowadził do zwichnięcia łokcia. Facet wrzasnął z bólu i wypuścił broń. Teraz należało się spieszyć.

Reacher obiegił maskę crowsa victorii i otworzył drzwi. Wrzucił do środka glocka, wcisnął się na fotel, zapiął pasy i porządnie je naciągnął. Siedzenie i oparcie fotela nadal były ciepłe od ciała policjanta, a wewnątrz śmierdziało jego potem. Reacher włączył wsteczny bieg, odjechał od chevy, skręcił mocno kierownicą, stanął równolegle do półciężarówka na przeciwnym pasie z maską skierowaną na wschód i czekał.

24

Drugi gliniarz pojawił się w ciągu trzydziestu sekund. Reacher dostrzegł odbłask czerwonych migających kogutów na moment przed tym, jak radiowóz wjechał na odległe skrzyżowanie. Trochę nim zabujało na łuku, ale kierowca wyprostował kierunek jazdy i przyspieszył ostro na wąskiej uliczce, zbliżając się z dużą prędkością do restauracji.

Reacher widział, jak przeciął jedną czteropasmówkę, a potem drugą, i gdy zbliżył się na trzydzieści metrów, nacisnął mocno na gaz i ruszył wprost na niego, doprowadzając do czołowego zderzenia. Obydwa samochody spotkały się dziobami, aż uniosły się ich tyły. Efektem kolizji były pogięte blachy, pogniecione i otwarte maski, zbite szyby i wystrzelone poduszki powietrzne. Reachera mocno rzuciło do przodu, ale powstrzymał go pas bezpieczeństwa. W odpowiednim momencie puścił kierownicę i uniosł ramiona, by łokciami zasłonić się od uderzenia poduszką powietrzną. Wystrzelona poduszka zapadła się, a Reachera odrzuciło na oparcie i zagłówek. Tył jego wozu opadł na ziemię, odbił się raz i uspokoił, stając pod lekkim kątem do osi jezdni. Jack wyciągnął policyjną strzelbę mossberg z kabury między fotelami, odepchnął drzwi lekko zakleszczone cofniętym błotnikiem i wy dostał się z samochodu.

Gliniarz w drugim samochodzie nie miał zapiętych pasów.

Przyjął uderzenie poduszki powietrznej prosto w twarz i leżał bokiem na przednich siedzeniach. Z nosa i uszu ciekła mu krew.

Oba samochody były mocno pokiereszowane, aż do słupków przedniej szyby, lecz wewnątrz pozostały prawie nienaruszone. To były wielkie, solidne sedany zbudowane na ramie. Podczas testów zderzeniowych dostały pięć gwiazdek. Reacher był przekonany, że wozy nie nadają się już do jazdy, ale przecież nie był specjalistą w dziedzinie motoryzacji, więc dopełnił dzieła, strzelając dwa razy z mossberga w tylne koła obu fordów, rozdzierając opony na skrawki i niszcząc śrutem małe, ale istotne elementy zawieszenia. Wrzucił strzelbę przez okno na tylne siedzenie pierwszego radiowozu, podszedł do pick-upu Vaughan i odjechał. Kelnerka i dziewięciu klientów restauracji przyglądali się przez okna z otwartymi ze zdziwienia i szoku ustami. Dwoje klientów wstukiwalo numery w klawiatury telefonów komórkowych.

Reacher się uśmiechnął. Ciekawe, do kogo zadzwonią?

Zawrócił półciężarówką, skręcił w prawo i pojechał na północ w kierunku Main Street, powtórnie skręcił w prawo i skierował się na wschód, jadąc ze stałą prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Gdy dojechał do samotnie stojącej stacji benzynowej, przyspieszył do stu i spojrział we wsteczne lusterko. Nikt go już nie ścigał. Czuł ostrą nawierzchnię drogi pod kołami, ale dobiegający stamtąd chrzęst wydawał mu się trochę cichszy. Pewnie dlatego, że Jack był lekko ogłuszony przez poduszkę powietrzną i dwa strzały z mossberga.

Dwanaście minut później przejechał przez przerwę dylatacyjną i wjechał do okręgu Nadzieja. Była dokładnie trzecia po południu.

• • •

Nie miał pojęcia, jak długo Vaughan będzie spać. Przypuszczał, że głowę przytknęła do poduszki około dziewiątej rano, czyli sześć godzin temu. Ośmiogodzinny sen potrwa do

piątej, więc pewnie będzie na nogach o szóstej. A może już wstała? Niektórzy ludzie gorzej śpią w dzień niż w nocy. Przyzwyczajenia, biorytmy - to wszystko robi swoje. Postanowił iść do bistro. Albo ją tam spotka, albo zostawi klucze u kasjerki.

Vaughan już tam była.

Siedziała samotnie przy stoliku, przy którym wcześniej razem Jedli śniadanie. Była ubrana w mundur policyjny już na cztery godziny przed służbą. Przed nią stały pusty talerz i pełna filiżanka kawy.

Zamknął półciężarówkę, wszedł do środka i usiadł naprzeciwko Vaughan. Z bliska wyglądała na zmęczoną.

- Nie spałaś? - zapytał.
- Czy to po mnie widać?
- Muszę ci się do czegoś przyznać.
- Pojechałeś do Rozpaczy. Moim samochodem. Wiedziałam, że tak będzie.
- Musiałem.
- Tak, oczywiście - odparła z przekąsem.
- Kiedy ostatnio byłeś po zachodniej stronie?
- Staram się omijać Rozpacz.
- Tuż za granicą okręgu miejskiego znajduje się baza wojskowa. Zupełnie nowa. Komu jest potrzebna?
- Tam jest pełno baz wojskowych.
- To bojowa jednostka żandarmerii wojskowej.
- Gdzieś przecież muszą ich lokować.
- Ich miejsce jest za oceanem. Przecież armia potrzebuje teraz każdego żołnierza. Nie mogą pozwolić sobie na marnowanie dobrych rekrutów w takiej dziurze.
- Może to nie jest dobra jednostka?
- Właśnie że jest.
- To może zaraz gdzieś ją wyślą.
- Właśnie ją tutaj ściągnęli. Co najmniej przez rok byli na ostrym słońcu. Facet, z którym rozmawiałem, miał zmarszczki od mrużenia oczu, sama byś nie uwierzyła jakie. Jego mundur polowy był starty od piasku pustyni.
- Tu też mamy pustynie.
- Ale nie takie.
- Więc jakie masz wnioski?

Podeszła kelnerka i Reacher zamówił kawę. Filiżanka Vaughan była nadal pełna.

- Uważam, że ściągnęli doborową jednostkę z Bliskiego Wschodu i ulokowali ją tutaj - powiedział Reacher.
- Skąd mam cokolwiek na ten temat wiedzieć? Pentagon nie informuje policji o swoich akcjach.

Kelnerka przyniosła filiżankę i nalala kawy z imbryka.

- A czym tak dokładnie zajmuje się jednostka bojowa żandarmerii? - spytała Vaughan.
- Pilnuje konwojów lub instalacji wojskowych, zapewnia ochronę i odpiera ataki.
- Czyli walczy?
- Gdy jest to konieczne.
- Ty też walczyłeś?
- Czasami.

Vaughan otworzyła usta i po chwili zamknęła, jakby jej umysł dostarczył odpowiedzi na pytanie, które chciała zadać.

- A właściwie to czego oni mogą bronić w Rozpaczy? - zapytał Reacher retorycznie.
- Więc mówisz, że przez nich musiałeś przejechać przez Rozpacz?
- Dla bezpieczeństwa. W przeciwnym razie sprawdziliby

tablice.

- I udało ci się przejechać przez miasto bez problemów?
- Twój pick-up jest cały. Chociaż twój to chyba niewłaściwe określenie, nieprawdaz?
- O co ci chodzi?
- Kim jest David Robert Vaughan?
- Zagiądałeś do schowka na rękawiczki i sprawdziłeś to w dowodzie rejestracyjnym? - zdumiała się.
- Pewien facet z karabinem zmusił mnie do tego.
- Dobry powód.
- Więc kim jest Robert?
- Moim mężem.

25

- Nie wiedziałem, że jesteś mężatką - wyznał Reacher. Vaughan przez chwilę skupiła się na letniej już kawie.
- To dlatego, że ci o tym nie powiedziałam. - odparła wreszcie. - A niby po co miałabym mówić?
- No tak. Masz rację.
- A nie wyglądam na mężatkę?
- Wcale.
- I już wszystko wiesz, patrząc na kogoś?
- Zwykle tak.
- W jaki sposób?
- Na początek wystarczy mi palec serdeczny lewej dłoni.
- Lucy Anderson też nie nosi pierścionka. Reacher skinął głową.
- Wydaje mi się, że widziałem dzisiaj jej męża.
- W Rozpaczy?
- Wychodził z domu noclegowego.
- To dosyć daleko od głównej drogi.
- Starąłem się unikać blokad drogowych.
- No to świetnie.
- Nie jestem w tym szczególnie uzdolniony.
- To dlaczego cię nie złapali? Przecież mają jedną drogę wlotową i jedną wylotową.
- To długa historia - odpowiedział Reacher.
- No więc?
- Więc... Departament Policji w Rozpaczy jest na jakiś czas uziemiony.
- Załatwiłeś jednego z nich?
- Obydwu. I ich radiowozy.
- Żartujesz sobie?!
- Nie. Jestem tylko człowiekiem z pewnymi zasadami. Jeśli ludzie dają mi spokój, to ja też daję im spokój. Jeśli nie, to odpłacam im tym samym.
- Przyjadą tu po ciebie.
- Bez wątpienia. Ale nie za szybko.
- A niby kiedy?
- Przez kilka dni pomęcą się w łózkach. Potem, osiodłają swoje rumaki.

• • •

Reacher zostawił kluczyki na stole i pożegnał się z Vaughan. Poszedł na Third Street do małego sklepiku koło supermarketu i kupił sobie skarpetki, bieliznę i T-shirt za jednego dolara. Wszedł też do drogerii, gdzie kupił jednorazowe maszynki i piankę do golenia. Potem udał się do sklepu żelaznego na zachodnim krańcu First Street. Przeszedł wzdłuż drabin i

taczek, prześlizgnął się wzdłuż półek z narzędziami i znalazł wieszaki z płóciennymi spodniami roboczymi i flanelowymi koszulami. Tradycyjny amerykański ubiór roboczy, ale wyprodukowany w Chinach i Kambodży. Wybrał ciemnooliwkowe spodnie i koszulę w ciemną kratę. Nie były wcale tak tanie, jak by sobie tego życzył, ale cena też nie okazała się przerażająca. Sprzedawca zapakował ubranie w szary papier. Reacher wziął pakunek pod pachę i ruszył do motelu, gdzie ogolił się, wziął długi prysznic, wysuszył się i ubrał w nowe ciuchy. Stare, szare ubranie a la woźny szkolny cisnął do kosza na śmieci.

To lepsze od robienia prania.

Nowe rzeczy były sztywne jak tektura, aż trudno było w nich się poruszać. Najwyraźniej dalekowschodni przemysł odzieżowy bardzo poważnie podchodził do kwestii trwałości ubrań roboczych. Reacher zrobił kilka przysiadów i pozginał ramiona w łokciach, aż puścił krochmal, i dopiero wtedy wyszedł na zewnątrz i ruszył wzdłuż szeregu do drzwi pokoju Lucy Anderson.

Zapukał i czekał. Minutę później otworzyły się drzwi. Dziewczyna wyglądała tak samo. Długie nogi, krótkie szorty, zwykła niebieska bluza. Młoda i niewinna. Przestraszona i wroga.

- Prosiłam już, żeby zostawił mnie pan w spokoju - powiedziała.
- Jestem pewien, że widziałem dzisiaj twojego męża.
- Gdzie?
- W Rozpaczy. Wygląda na to, że wynajął tam sobie pokój.
- Wszystko z nim w porządku?
- Sprawiał wrażenie zdrowego.
- Co pan zamierza z nim zrobić?
- A co chciałabyś, żebym z nim zrobił?

Jej twarz przestała wyrażać zadowolenie.

- Powinien zostawić go pan w spokoju.
- Zostawiłem go w spokoju - odparł Reacher. - Już ci mówiłem, że nie jestem gliną. Jestem włóczęgą. Tak jak ty.
- To dlaczego pojechał pan z powrotem do Rozpaczy?
- Długa historia. Musiałem.
- Nie wierzę panu. Jest pan gliniarzem.
- Widziałaś, co mam w kieszeniach.
- Zostawił pan odznakę w pokoju.
- Nie. Chcesz sprawdzić? Mój pokój jest tam.

Patrzyła na niego z paniką w oczach i zacisnęła dłonie na futrynie drzwi, jakby miał ją zaraz złapać za talię i zaciągnąć do swojego pokoju. Jakies dziesięć metrów po lewej stronie od Reachera otworzyły się drzwi biura i wyszła z nich recepcjonistka. Była to otyła kobieta w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat. Zobaczyła Reachera i dziewczynę, stanęła i obserwowała. Znowu ruszyła, ale zmieniła kierunek i skierowała się prosto na nich. Z doświadczenia Jacka wynikało, że recepcjoniści motelowi albo wpychali wszędzie swoje nochale, albo też było im wszystko jedno. Domyślił się, że to była pani wtrącałka. Zrobił krok do tyłu, żeby Lucy Anderson tak się nie bała, i uniosł rękę do góry w geście przyjaźni i braku wrogich zamiarów.

- Spokojnie - powiedział. - Gdybym chciał cię skrzywdzić, już dawno bym to zrobił, nie sądzisz? Zarówno ciebie jak i twojego męża.

Lucy nic nie odpowiedziała. Odwróciła głowę, zobaczyła nadchodzącą recepcjonistkę, cofnęła się do przedpokoju i trzasnęła drzwiami. Reacherowi nie udało się oszukać recepcjonistki. Była już w zasięgu głosu.

- Przepraszam - zaczęła. Jack zatrzymał się i odwrócił, nic nie mówiąc. - Powinien pan zostawić tę dziewczynę w spokoju - powiedziała.
- Naprawdę?



- Jeśli chce pan tu nadal nocować.
  - Czy to jest groźba?
  - Proszę tylko o przestrzeganie pewnych zasad
  - Ja próbuję jej pomóc.
  - Ona myśli, że jest zupełnie odwrotnie.
  - Rozmawialiście o tym?
  - Czasem coś mi wpada do ucha.
  - Nie jestem gliną.
  - Ale wygląda pan na glinę.
  - Nic na to nie poradzę.
  - Powinien pan zająć się prawdziwymi przestępstwami.
  - Ja nie zajmuję się żadnymi przestępstwami. Powiedziałem już pani. Nie jestem policjantem.
- Kobieta nic nie odparła.
- A o jakich prawdziwych przestępstwach pani mówi? - zaciekał się Reacher.
  - O łamaniu przepisów.
  - Gdzie?
  - W zakładzie metalurgicznym w Rozpaczy.
  - A jakie przepisy są tam łamane?
  - Różne.
  - Nie interesuje mnie naruszanie przepisów. Tym zajmuje się inspekcja ochrony środowiska.
- Nie jestem żadnym inspektorem.
- To powinien pan zadać sobie pytanie, dlaczego ten samolot lata tylko w nocy.

26

Reacher był w połowie drogi do swojego pokoju, gdy zobaczył, jak na parking przed motelem wjeżdża stary pick-up Vaughan. Jechała szybko. Wóz podskoczył na wjeździe i skierował się wprost na niego. Vaughan siedziała za kierownicą w policyjnym mundurze. Nawet nie miała czasu przesiąść się do radiowozu. Zahamowała ostro kilka centymetrów od Reachera, wychyliła się przez okno- i krzyknęła:

- Wsiadaj, natychmiast!
- Dlaczego? - zapytał Reacher.
- Wsiadaj, już.
- Mam jakiś wybór?
- Żadnego.
- Naprawdę?
- Ja nie żartuję.
- Chcesz mnie aresztować?
- Jestem na to przygotowana. Użyję broni i kajdanek, gdy zajdzie taka potrzeba. Wsiadaj do samochodu.

Przez dłuższą chwilę Reacher obserwował jej twarz przez przednią szybę samochodu. Wyrażała śmiertelną powagę. I determinację. To było widać jak na dłoni. Podporządkował się jej rozkazowi i obszedł samochód. Otworzył drzwi pasażera i wtoczył się na siedzenie. Vaughan poczekała, aż zatrzaśnie drzwi.

- Jeździłeś już kiedyś radiowozem z gliniarzem? Przez całą noc? Całą służbę?
- A po co? Przecież ja byłem gliniarzem.
- No dobrze, ale dziś właśnie tak będzie.
- Dlaczego?
- Dostaliśmy uprzejmościowy telefon. Z Rozpaczy. Jesteś ścigany. Jadą tu po ciebie. Więc zostaniesz tam, gdzie będę mieć cię cały czas na oku.
- Nie mogą po mnie przyjechać. Pewnie się jeszcze nie przebudzili.

- Jadą ich zastępcy. Cała czwórka.
  - Serio?
  - Po to właśnie są zastępcy. Do wykonywania takich zadań.
  - Więc mam się chować w twoim samochodzie? Przez całą noc?
  - Właśnie tak.
  - Sądziś, że potrzebuję ochrony?
  - Moje miasto potrzebuje ochrony. Nie chcę tu żadnych kłopotów.
  - Ta czwórka nie sprawi mi żadnego kłopotu. Jeden z nich już oberwał, a drugi był chory, gdy go spotkałem.
  - Więc poradziłybyś sobie z nimi?
  - Z jedną ręką schowaną za plecami i głową w worku.
  - No właśnie. Ja jestem tu gliną i biorę odpowiedzialność za to, co się dzieje w mieście. Nie chcę bijatyk na moich ulicach. To niedopuszczalne.
- Nacisnęła na gaz, zawróciła ciasnym półkolem na parkingu motelowym i skierowała się w tę stronę, z której przyjechała.
- Kiedy tu będą? - zapytał Reacher.
  - Zakład zamykany jest o szóstej. Sądzę, że przyjadą niedługo później.
  - A jak długo mogą tu pozostać?
  - Zakład otwierany jest o szóstej rano.
  - Chyba nie powinienem siedzieć w twoim samochodzie przez całą noc.
  - Trudno. Jakoś dam radę. To jest spokojne miasteczko i nie chcę żadnego chuligaństwa na ulicach.
  - Mogę wyjechać - zaproponował Reacher.
  - Na zawsze?
  - Na pewien czas.
  - I dokąd pojedziesz?
  - Do Rozpaczy, oczywiście. Tam już chyba nie narobię więcej kłopotów, nie sądzisz? Gliny są w szpitalu, a zastępcy będą tutaj przez całą noc.
- Vaughan nic nie odpowiedziała.
- Wybór należy do ciebie - stwierdził Reacher. - Chociaż twój crown victoria jest wygodnym samochodem. Mógłbym przynajmniej w nim sobie pospać z otwartymi ustami i pochrapać.
- Vaughan skręciła w prawo, potem w lewo i ruszyła wzdłuż Second Street w kierunku bistro. Przez chwilę milczała.
- W miasteczku jest dzisiaj kolejna.
  - Kolejna co?
  - Kolejna dziewczyna. Tak jak Lucy Anderson. Ciemnowłosa, nie blondynka. Przyjechała dziś po południu i płacze się po mieście, spoglądając na zachód, jakby czekała na wiadomość z Rozpaczy.
  - Od chłopaka albo męża?
  - Prawdopodobnie.
  - Prawdopodobnie martwego chłopaka lub męża, rasy białej, w wieku około dwudziestu dwóch lat, metr siedemdziesiąt wzrostu.
  - Możliwe.
  - Muszę tam pojechać.

Vaughan minęła bistro, skręciła w lewo przed końcem miasta i pojechała jeszcze dwie przecznice dalej na południe, aż znów zawróciła na wschód przy Fourth Street. Bez powodu. Byle tylko być w ruchu. Fourth Street była obsadzona drzewami, wzdłuż niej po północnej stronie za chodnikiem i linią drzew stały sklepiki, a po stronie południowej zadbane domy mieszkalne. Małe ogródki, sztachetowe płotki, iglaki zakrywające fundamenty, skrzynki pocztowe na słupkach wbitych w ziemię pod każdym możliwym kątem, ale nie prostopadle.

- Muszę tam pojechać - powtórzył Reacher Vaughan skinęła głową.
- Poczekaj, aż zastępcy tu się pojawią. Nie chcesz chyba minąć ich po drodze.
- Okay.
- Tylko niech cię nie zobaczą, gdy wyjeżdżasz.
- Okay.
- I nie rób tam więcej zamieszania.
- Jestem pewien, że nie ma tam już nikogo, kto chciałby mieć kłopoty. O ile nie spotkam sędziego.

27

Już drugi raz tego dnia Vaughan zostawiła mu swoją półciężarówkę i poszła do domu pieszo, by tam wsiąść w policyjny radiowóz. Reacher pojechał pick-upem na cichą, boczną uliczkę niedaleko zachodniego skraju miasta, zaparkował przodem na północ w cieniu drzewa i obserwował ruch na First Street, która leżała bezpośrednio przed nim. Miał ograniczone pole widzenia. Może jakieś trzydzieści metrów, i to pod ostrym kątem. Ale i tak nie było co oglądać. Czas mijał, żadnego ruchu. Nic dziwnego. Mieszkańcy wracający z Kansas skręcali we wcześniejsze uliczki. A nikt o zdrowych zmysłach nie jechał do Rozpaczy ani z niej nie wracał. Dzień szybko zmierzał ku końcowi. Świat robił się szary i posepny. Zegar w głowie Reachera tykał niemilosiernie.

Gdy wybił szóstą trzydzieści dwie, Reacher dostrzegł w swoim polu widzenia starą półciężarówką o podwójnej kabinie, jadącą na wschód. Zbliżała się od strony Rozpaczy. Kierowca i troje pasażerów. Wielcy mężczyźni, ściśnięci blisko siebie. Wypełniali całą kabinę.

Reacher rozpoznał wóz.

Rozpoznał kierowcę.

Rozpoznał pasażerów.

Zastępcy z Rozpaczy, bez opóźnienia.

Przeczekał moment, uruchomił silnik i odbił od krawężnika. Dojechał do First Street i skręcił w lewo. Spojrzał w lusterko wsteczne. Stary pick-up z przyjezdnymi był już sto metrów za nim i oddalał się w przeciwnym kierunku, zwalniając przed skretem. Po chwili droga była pusta. Reacher minął sklep żelazny, nacisnął na gaz i rozpędził półciężarówkę do stu kilometrów na godzinę. Pięć minut później wyczuł pod kołami przerwę dylatacyjną granicy. Zmierzając na zachód, pogodził się z chrzęstem chropowatej nawierzchni pod kołami.

• • •

Dwadzieścia kilometrów dalej zwolnił i przetoczył się obok pustego placu budowy, opuszczonego motelu, stacji benzynowej i sklepu z wyposażeniem gospodarstwa domowego. Skręcił w lewo, w labirynt śródmieścia Rozpaczy. Pierwszym punktem kontrolnym, który chciał zaliczyć, był posterunek policji. Musiał się upewnić, czy może nie doszło do natychmiastowego cudownego uleczenia ani czy nie pojawiło się na służbie jakieś zastępstwo.

Nie było uleczenia, nie było zastępstwa.

W biurze panowały ciemności i cisza. Żadnych świateł, żadnego ruchu. Żadnych samochodów na ulicy. Żadnych wizytujących radiowozów policji stanowej, żadnych nowych pick-upów nowo zaprzysiężonych funkcjonariuszy służby pomocniczej, żadnych zwykłych osobowych samochodów ze zwykłą nalepką „Police” na drzwiach

Nic.

Tylko cisza.

Reacher się uśmiechnął. Swoboda i bezprawie, pomyślał, jak scena z horroru o przyszłości. Właśnie o to chodziło. Zawrócił, przejeżdżając kołami po ukośnych pasach zakreślających miejsca postojowe, i skierował się w stronę domu z pokojami do wynajęcia. Zaparkował przy

chodniku, wyłączył silnik i zasunął szybę. W znacznej odległości usłyszał jednosilnikowy samolot wzbijający się w powietrze. Siódma wieczorem. To startująca cessna, beech albo piper. „Powinien pan zadać sobie pytanie, dlaczego ten samolot lata tylko w nocy”, powiedziała recepcjonistka z motelu.

Może tak pewnego dnia zrobię, pomyślał Reacher.

Wygramolił się z półciężarówki i stanął na chodniku. Dom z pokojami do wynajęcia wybudowano z szarych cegieł na rogu kwartału. Dwa piętra, wąskie okna, płaski dach, cztery kamienne stopnie do drzwi niecentralnie usytuowanych w fasadzie. Na ścianie obok drzwi, pod lampą w kształcie szyi łabędzia z matową żarówką, wisiała drewniana tablica. Dawno temu ktoś pomalował ją na kasztanowy kolor, a biały napis „Pokoje do wynajęcia” wykalgafowała czyjaś amatorska ręka. Prosta i przejrzysta reklama. Reacher nie lubił takich miejsc. Takie przybytki kojarzyły mu się ze znacznie dłuższym pobytem w jednym miejscu, niż miałyby to w planach. Zwykle w noclegowniach wynajmowano kwatery na tydzień, potem następny i tak dalej, a elektryczne kuchenki w pokojach stwarzały ryzyko stałego osiedlenia się. Przynajmniej Reacher tak to czuł.

Podszedł do kamiennych schodów i pchnął frontowe drzwi. Były otwarte. Za nimi rozciągał się kwadratowy hol z brązowym linoleum na podłodze i ze stromymi schodami po prawej stronie. Ściany pomalowano na brązowo, wykorzystując wałek malarski powtarzający wzory z linoleum. Z sufitu zwisała zwykła żarówka bez abażuru. Powietrze śmierdziało kurzem i kapustą. W holu było czworo drzwi; wszystkie matowozielone i zamknięte. Dwoje drzwi z tyłu i dwoje z przodu, jedno przed wejściem na schody, a drugie po drugiej stronie holu. Dwa frontowe pokoje z pewnością służyły właścicielowi i kierownikowi. Reacher pamiętał, że właściciel albo kierownik zawsze wybierali pokoje na parterze z frontu, by obserwować wchodzących i wychodzących. Monitorowanie wejść i wyjść służyło temu, by nie pojawiali się nieuprawnieni goście lub by nie podnajmowano pokoi. Znane były przypadki, gdy najemcy próbowali chyłkiem wynieść się z noclegowni bez uregulowania rachunku za długi pobyt.

Zamierzał zacząć od drzwi przy wejściu na schody. Zapukał i czekał. Otworzył szczupły mężczyzna w białej koszuli z czarnym krawatem. Miał około siedemdziesięciu lat, a jego włosy były barwy koszuli, która wcale nie grzeszyła czystością. Krawat również, ale za to był dobrze zawiązany.

- W czym mogę pomóc? - zapytał starzec.

- To pana hotel? Mężczyzna skinął głową.

- Wcześniej należał do mojej matki. Jest w rodzinie od pięćdziesięciu lat.

- Szukam przyjaciela - wyjaśnił Reacher. - Z Kalifornii. Słyszałem, że wynajmuje tu pokój.

Stary mężczyzna nic nie odpowiedział.

- To młody facet - kontynuował Reacher. - Ma może ze dwadzieścia lat. Potężnie zbudowany. Opalony. Krótkie włosy.

- Nie było tu nikogo takiego.

- Naprawdę?

- Absolutnie.

- Dziś po południu widziałem, jak stąd wychodził.

- Może był w odwiedzinach.

- A kogo odwiedzał, skoro podobno nikt tu nie mieszka?

- Mnie - odparł starzec.

- Pana?

- Nie wiem. Nie było mnie tu o tej porze. Może wpadł, zobaczył, że nikogo nie ma, i sobie poszedł.

- A dlaczego miałby odwiedzać właśnie pana? Staruszek zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Może był wcześniej w hotelu i szukał czegoś tańszego? Może usłyszał od kogoś, że tutaj jest taniej?
- Szukam jeszcze jednego kolegi, niższy, szczupły, w podobnym wieku.
- Nie było tu żadnych koleśków, ani wysokich, ani niskich.
- Serio?
- To mój dom. Wiem dobrze, kto tu mieszka.
- Jak długo jest niezamieszany?
- Nie jest wcale pusty. Ja tu mieszkam.
- Jak długo nie miał pan żadnych gości? Staruszek musiał się zastanowić.
- Bardzo długo.
- Jak długo?
- Całe lata.
- Więc z czego pan żyje?
- Z niczego.
- Pan jest właścicielem tej kamienicy?
- Tylko wynajmuję. Moja matka też tylko wynajmowała. Będzie z pięćdziesiąt lat.
- Czy mogę obejrzeć pokoje?
- Które pokoje?
- Wszystkie.
- A po co.
- Bo panu nie wierzę. Myślę, że jednak ktoś tu mieszka.
- Więc uważa pan, że kłamię?
- Jestem podejrzliwy z natury.
- Powinienem zadzwonić na policję.
- Proszę bardzo.

Staruszek wszedł do pokoju i podniósł słuchawkę. Jack sprawdził drzwi po przeciwnej stronie. Były zamknięte na klucz. Mężczyzna wrócił i oznajmił:

- Nikt nie odbiera telefonu na posterunku.
- Więc zostaliśmy tylko my dwaj - odrzekł Reacher. - Lepiej niech mi pan da klucz serwisowy do zamków, oszczędzi pan sobie później kłopotów z ich wymianą.

Staruszek nie miał innego wyjścia. Wyjął klucz z kieszeni i wręczył go Reacherowi. Stary, wytarty mosiężny klucz na postrzępionym sznurku z metalowym kółeczkiem, do którego kiedyś przymocowany był pewnie jakiś breloczek.

• • •

Na parterze były trzy pokoje do wynajęcia, na pierwszym piętrze cztery i na drugim też cztery. Razem jedenaście pokoi. Wszystkie wyglądały jednakowo. Wszystkie stały puste. W każdym pokoju pod ścianą ustawiono żelazną prycę. Takie prycze były kiedyś na wyposażeniu szpitali i koszar wojskowych. Sienniki posłano cienkimi prześcieradłami i kocami. Prześcieradła wyprano już tyle razy, że stały się niemalże przezroczyste. Koce pewnie też były kiedyś grube i włochate, ale wytarły się i stały się cienkie i gładkie. Po przeciwnej stronie łóżek stały komódki z szufladami i wieszak do suszenia ręczników. Ręczniki były cienkie, zupełnie jak pościel. Obok łóżek ustawiono sosnowe stoliki śniadaniowe. Na blatach stały dwupalnikowe kuchenki elektryczne podłączone do gniazdek starymi przewodami o postrzępionej izolacji materiału. Na końcu każdego piętra znajdowały się wspólne łazienki wyłożone białymi i czarnymi kafelkami, z wielkimi wannami na lwich nogach i z klozetami ze zbiornikami splukowymi umocowanymi wysoko na ścianie.

Podstawowe wyposażenie, ale za to w przyzwoitym stanie, zadbane i czyste. Baterie łazienkowe miały na sobie patynę lat, ale nie brudu. Podłogi świeciły czystością. Łóżka były porządnie zasłane, a koce złożone w wojskową kostkę. Ręczniki na wieszakach były nienagannie poskładane i równo ułożone. Kuchenki elektryczne błyszczały nieskazitelnym

połyskiem. Żadnych okrucich, żadnych przypalonych czy zasuszonych plam po smażeniu lub po rozlanych sosach.

Reacher sprawdził wszystkie pokoje po kolei, a przed wyjściem z każdego z nich stawał w przedpokoju, wachał powietrze i wsłuchiwał się w echo, jakie mogło powstać tylko wtedy, gdy pokój opuszczano w pośpiechu. Jedenaście pokoi i nic nie znalazł, nic nie wyczuł. Zszedł po schodach na parter, oddał klucz dziadkowi i przeprosił go za kłopot.

- Czy w mieście jest pogotowie ratunkowe? - zapytał po chwili.
- A jest pan ranny? - dopytywał się staruszek.
- A gdybym był, to kto by po mnie przyjechał?
- A jak ciężkie obrażenia?
- Załóżmy, że nie mógłbym samodzielnie chodzić i potrzebowałbym noszy.

Punkt pomocy medycznej mają w fabryce. Tak na wypadek jakby coś się stało komuś w pracy. Mają ambulans i nosze.

- Dzięki - powiedział Reacher i wyszedł.

• • •

Pojechał półciężarówką Vaughan wzdłuż ulicy. Zatrzymał się na chwilę przed wejściem do kościoła. Na całej szerokości budynku rozpościerał się napis: „Kościół Dni Ostatnich”. Na jednym z okien naklejono plakat podobny do tych, które reklamują przecenione produkty w supermarkecie: „Bo chwila jest bliska”. Reacher rozpoznał cytaty z Apokalipsy św. Jana, rozdział pierwszy, werset trzeci. Drugie okno zakleiono podobnym plakatem. Wnętrze było tak ciemne i ponure jak treść tych plakatów. Rzędy metalowych krzeseł, drewniana podłoga, niski podest i podium. Kolejne plakaty, a każdy z nich wieszczący nadejście końca świata. Reacher przeczytał je wszystkie, wrócił do samochodu i pojechał do hotelu. Było już zupełnie ciemno, gdy tam dotarł. Pamiętał to miejsce z poprzednich wycieczek; wyglądało na zaniebane i podupadłe w ciągu dnia, ale w nocy sprawiało jeszcze gorsze wrażenie. Jakaś beznadziejna ceglana kostka, jak więzienie miejskie w Pradze, Warszawie albo Leningradzie. Ściany były szare i pozbawione ozdób, a okna puste i ciemne. Wewnątrz, po lewej, znajdowała się sala jadalna, a po prawej pusty bar. Głębiej w holu kryła się opuszczona recepcja, za którą widać było kiepską imitację pałacowych schodów pokrytych wytartą wykładziną. Nigdzie ani śladu windy.

Prawo stanowe i federalne, a także firmy ubezpieczeniowe wymagały, by hotele skrupulatnie prowadziły rejestry gości. W przypadku pożaru, trzęsienia ziemi albo tornada z informacji o nocujących korzystały wszystkie instytucje administracyjne i ratunkowe. Reacher wiedział od dawna, że poszukiwania należy zaczynać od rejestru gości hotelowych. Co niestety w ostatnich latach stawało się coraz trudniejsze ze względu na komputeryzację. Bez znajomości hasła i przywołania odpowiednich funkcji komputer pozostawał niedostępny. Ale miasteczko Rozpacz tkwiło jeszcze w przeszłości, ten hotel oczywiście też. Rejestr gości był wielką kwadratową księgą oprawioną w starą, czerwoną skórę. Łatwo go było wziąć do ręki, przesunąć, otworzyć i przeczytać zawartość.

W hotelu nie przebywali żadeni goście.

Według odręcznych zapisków ostatni raz wynajęto pokój siedem miesięcy temu. Goście, para małżonków z Kalifornii podróżująca samochodem, zatrzymali się na dwie noce. Od tego czasu nic, ani jednej nowej osoby. Żadnych nazwisk, które mogły należeć do dwudziestoletnich mężczyzn, wysokich lub niskich. Żadnych śladów.

• • •

Reacher opuścił hotel; nikt nie próbował go zatrzymać. Wsiadł do chevy. Następny przystanek: drink-bar dwie przecznice dalej. A to oznaczało kontakt z tutejszymi mieszkańcami.

Bar był wąską kichą zajmującą parter kolejnej ponurej kostki z cegły. Jedna długa sala, która ciągnęła się aż do końca budynku, do drzwi ewakuacyjnych. Na końcu znajdował się mały korytarzyk prowadzący do toalet. Lada barowa była po lewej stronie, a stoliki z krzesłami po prawej. Przyciemnione światło. Żadnej muzyki. Żadnego telewizora. Żadnego bilardu, żadnych automatów do gier. Jakaś jedna trzecia stołków barowych i jedna czwarta stolików były zajęte. Tłumek robotników po pracy. Niestety, nie serwowano tu przedwieczornych drinków za pół ceny. Wszyscy klienci byli mężczyznami. I wszyscy byli zmęczeni, oblepieni brudem, w roboczych ciuchach. Wszyscy pili piwo z wysokich szklanek albo z butelek z długimi szyjkami. Żadnego z nich Reacher wcześniej nie spotkał.

Wszedł po cichu w ponurość lokalu. Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę i wszystkie pary oczu zaczęły mu się przyglądać. Jakby ktoś sterował ich głowami sprzężonym radarem. „Obcy na terenie”. Reacher stał bez ruchu i pozwolił, by klienci się na niego napatrzyli. „Nie ulega żadnej wątpliwości, że to obcy, i do tego taki, z którym nie warto zadzierać”. Po chwili usiadł na stołku i położył łokcie na barze. Między nim a najbliższym facetem po lewej były dwa wolne siedzenia i jedno wolne od najbliższego faceta po prawej. Stołki miały żeliwne podstawy, stalowe nogi i siedziska z mahoniowego drewna okręcające się na wytartych łożyskach. Lada barowa była zrobiona z mahoniowego drewna, które nijak nie pasowało do ścian obłożonych sosnową boazerią. Na ścianach wisiały lustra z nadrukowanymi reklamami piwa, oprawione w postarzone drewno naruszone przez alkoholowe opary i dym tytoniowy. Barman był gruby i blady. Miał ze czterdzieści lat. Nie był ani dobrze ubrany, ani sympatyczny. Opierał się tłustym dupskiem o kasę trzy metry dalej. Nie poruszył się. Nawet nie miał zamiaru się ruszyć. To oczywiste. Reacher uniósł brwi i starał się przyciągnąć go spojrzeniem. Bez rezultatu.

Korporacyjne miasto.

Okręcił się na stołku w stronę sali.

- Słuchajcie, smutasy! - zawołał Reacher. - Nie jestem hutnikiem i nie szukam tutaj pracy.

Żadnej odpowiedzi.

- Nie zdołaliby mi zapłacić wystarczająco dużo, żebym tu pracował. W ogóle mnie to nie interesuje. Bo i prostu jestem przejazdem i chcę się napić piwa.

Żadnej odpowiedzi, tylko posępne i wrogie spojrzenia, butelki i szklanki zastygłe w połowie drogi pomiędzy stołami a ustami.

- Zapłacę rachunek gościa, który pierwszy się do mnie odezwie - zaoferował Reacher.

Żadnej odpowiedzi.

- Za cały tydzień - podbił ofertę. - Żadnej odpowiedzi.

Usiadł przodem do baru. Barman nadal się nie poruszył. Reacher spojrzał mu prosto w oczy i powiedział:

- Sprzedaj mi piwo, bo rozwalę tę budę w drobny mak. Barman ruszył się z miejsca, ale nie w kierunku chłodziarki z napojami albo dystrybutorów piwa. Podszedł do telefonu, stojącego koło kasy. Podniósł słuchawkę i wykręcił jakiś długi numer. Reacher czekał. Po wielu sygnałach facet zaczął coś mówić, ale po chwili przestał i odłożył słuchawkę.

- Sekretarka automatyczna - powiedział.

- Widocznie nie ma nikogo w domu - stwierdził Jack. - Więc zostało nas tylko dwóch. Napiję się budweisera z butelki.

Facet spojrzał poza plecy Reachera, na salę, by zobaczyć, czy nie tworzą się jakieś koalicje gotowe przyjść mu z pomocą. Nikt się nie poruszył. Reacher śledził rozwój sytuacji w lustrze powieszonym dokładnie naprzeciwko niego. Barman zdecydował jednak, że nie będzie bohaterem dnia. Wzruszył ramionami, zmienił podejście do klienta, zmiękczyły mu się rysy twarzy, pochylił się i wyjął zimną butelkę spod lady. Otworzył kapsel i postawił na serwetce na blacie. Z butelki wydobyła się piana, która spłynęła po szkle i nasączyła serwetkę. Reacher wyjął dziesięciodolarowy banknot ze zwitka w kieszeni i złożył go wzdłuż, żeby widać było

nominał.

- Szukam pewnego gościa - zaczął.
- Jakiego gościa? - zapytał barman.
- Młodego. Dwadzieścia lat. Opalony, krótkie włosy. Solidnie zbudowany. Podobny do mnie.
- Nikogo takiego tutaj nie spotkałem.
- Widziałem go dzisiaj po południu. W mieście. Wychodził z noclegowni z pokojami do wynajęcia.
- Więc tam trzeba się zapytać.
- Już tam byłem.
- Nie mogę panu pomóc.
- Chyba jednak tak. Ten facet wygląda na sportowca z college'u a studenci lubią skoczyć na piwo od czasu do czasu. Musiał tu wpaść pewnie ze dwa razy.
- Nie.
- A może pamiętasz innego? W tym samym wieku, ale niski, szczupłej budowy, metr siedemdziesiąt wzrostu.
- Nie widziałem takiego faceta.
- Na pewno?
- Tak.
- Pracowałeś kiedyś w zakładzie?
- Przez parę lat, ale już dawno temu.
- I co?
- Zostałem przeniesiony tutaj.
- Jak to przeniesiony. Kto cię przeniósł?
- Pan Thurman. Właściciel fabryki.
- Ten bar też należy do niego?
- Wszystko należy do niego.
- I on cię przeniósł? Wygląda na faceta, który zajmuje się najmniejszymi szczegółami w swoim zakładzie.
- Doszedł do wniosku, że lepiej sobie poradzę tutaj.
- No i jak ci leci?
- Trudno mi samego siebie oceniać. Reacher pociągnął długi łyk z butelki.
- Czy pan Thurman dobrze ci płaci?
- Nie narzekam.
- A czy to samolot pana Thurmana lata co noc?
- Nikt inny nie ma tutaj samolotu.
- Dokąd lata?
- Nie mam prawa pytać.
- A jakieś plotki na ten temat?
- Nikt nie plotkuje.
- Czyli jesteś pewien, że nie widziałeś żadnych młodych facetów w barze?
- Jestem pewien.
- A gdybym dał ci sto dolarów?

Facet wahał się przez chwilę, na jego twarzy pojawił się cień chciwości, tak jakby sto dolarów mogło odmienić jego życie. Ale w końcu wzruszył ramionami i odpowiedział:

- Nadal miałbym tę samą pewność.

Reacher upił jeszcze trochę piwa. Robiło się ciepło, nabierało metalicznego i mydlanego posmaku. Barman nadał stał blisko. Jack rzucił okiem w lustro. Nikt na sali się nie poruszył.

- A co się dzieje, jak ktoś umrze w miasteczku? - zapytał.
- O co panu chodzi?
- Czy macie zakład pogrzebowy? Barman pokręcił głową.



- Sześćdziesiąt pięć kilometrów na zachód są kostnica, zakład pogrzebowy i cmentarz. W Rozpaczy nie ma poświęconej ziemi.

- Ten mniejszy gość umarł - oświadczył Reacher.

- Który mniejszy gość? - Ten, o którego pytałem.

- Nie widziałem tu żadnych niskich facetów, ani żywych, ani umarłych.

Reacher milczał.

- Więc pan naprawdę tylko przejazdem? - dodał barman. To było pozbawione znaczenia stwierdzenie, mające służyć

podtrzymaniu rozmowy, co potwierdziło przypuszczenia Reachera. No, nawijaj dalej, zachęcał go w myśli. Spojrzał na drzwi ewakuacyjne i skontrolował odbicie drzwi frontowych w lustrze.

- Tak, tylko tędy przejeżdżam - odpowiedział.

- Niewiele tu ciekawego do zobaczenia.

- A ja myślę, że jest to dość interesujące miejsce.

- Czyżby?

- Kto zatrudnia gliniarzy?

- Burmistrz.

- A kto jest burmistrzem?

- Pan Thurman.

- Nie dziwi mnie to.

- To jego miasto.

- Chciałbym się z nim spotkać - powiedział Reacher.

- On ceni swoją prywatność.

- Tak tylko wspomniałem. Nie proszę wcale o umówienie spotkania.

Sześć minut, pomyślał Reacher. Piję to piwo już sześć minut. Jeszcze jakieś dziesięć.

- Znasz sędziego? - zapytał Jack.

- On tutaj nie przychodzi.

- Nie pytałem, dokąd chodzi.

- Jest radcą prawnym pana Thurmana w zakładzie.

- Myślałem, że to stanowisko obieralne.

- Oczywiście. Wszyscy na niego głosowaliśmy.

- Ilu kandydatów było na karcie do głosowania?

- Nie miał żadnych kontrkandydatów.

- Czy sędzia ma jakieś nazwisko? - ciągnął Reacher.

- Sędzia Gardner - odpowiedział barman.

- Czy sędzia Gardner mieszka tu w mieście?

- Oczywiście. Jeśli pracuje się dla pana Thurmana, to mieszka się w mieście.

- Znasz adres sędziego?

- To ten duży dom przy Nickel Street.

- Nickel?

- Wszystkie ulice części mieszkalnej mają nazwy pochodzące od metali.

Reacher skinął głową. Wcale go to nie zdziwiło, skoro nazwy ulic w bazach wojskowych pochodziły od nazwisk generałów albo żołnierzy odznaczonych Medalem Honoru. Przez chwilę nic nie mówił, czekając, aż barman znowu wypełni milczenie, jak mu polecono.

- Sto lat temu z haczykiem w Stanach Zjednoczonych było zaledwie dziesięć kilometrów utwardzonych dróg - zaczął barman.

Reacher nic nie odpowiedział.

- Oprócz centrów miast, oczywiście, które były wybrukowane, ale nie asfaltowane jak teraz. Potem wybudowano drogi główne w hrabstwach, następnie stanowe, a na końcu trasy międzystanowe, które omijały miasta. Kiedyś byliśmy na głównej drodze do Denver. Ale to

już historia. Ludzie jeżdżą teraz siedemdziesiątką.

- Stąd ten opuszczony motel - uzupełnił Reacher.
- No właśnie.
- I ogólne poczucie izolacji.
- Chyba tak.
- Wiem, że ci dwaj młodzi mężczyźni tutaj byli. To tylko kwestia czasu, zanim się dowiem, jak się nazywali i po co tutaj przyjechali.
- Nie mogę panu w tym pomóc.
- Jeden z nich nie żyje.
- Już pan to mówił. Ale nic na ten temat nie wiem. Jedenaście minut, pomyślał Reacher. Jeszcze pięć.
- Czy to jedyny bar w mieście?
- Jeden nam wystarczy - odparł barman.
- Macie tu kino?
- Nie.
- Więc co ludzie robią, żeby się zabawić?
- Oglądają telewizję satelitarną.
- Słyszałem, że w fabryce jest punkt pierwszej pomocy.
- To prawda.
- I ma samochód.
- Starą karetkę. Duża fabryka, duży teren.
- Sporo wypadków?
- To przecież zakład przemysłowy. Zawsze może się coś przydarzyć.
- Czy zakład płaci renty inwalidzkie?
- Pan Thurman dba o ludzi, którzy mieli wypadek w pracy. Reacher kiwnął głową i zamilkł. Sączyl piwo. Obserwował w lustrze, jak inni piją. Trzy minuty, pomyślał. O ile nie wpadną wcześniej. Wpadli.

Reacher spojrział w prawo i zobaczył dwóch zastępców wchodzących przez drzwi ewakuacyjne. Zerknął w lustro i dostrzegł pozostałych dwóch, którzy pojawili się w drzwiach frontowych.

29

Telefon. Użyteczny wynalazek. Można ustalić, do czego został wykorzystany, po sposobie, w jaki go użyto. Albo po sposobie, w jaki nie został użyty. Czterech zastępców jadących na wschód, by dokonać aresztowania z zaskoczenia, nie dzwoniłoby z czystej uprzejmości zawodowej na posterunek w Nadziei, by przekazać cel swojego przyjazdu. Pojawiliby się niezapowiedziani. Ich celem powinno być dorwanie niczego niespodziewających się ofiar. Dlatego też ich uprzejmościowy telefon był jedynie ruchem w grze. Ruchem mającym na celu przegnanie Reachera na zachód na bezpieczniejszy teren. To było zaproszenie.

Które Reacher prawidłowo zinterpretował.

I przyjął.

A barman wcale nie zadzwonił na posterunek policji. Nie nagrał się na automatycznej sekretarce. Nie zadzwonił na lokalny numer. Wykręcił zbyt wiele cyfr. Zadzwonił na komórkę zastępcy i rozmawiał wystarczająco długo, by tamten zorientował się, kto dzwoni, i w ten sposób dowiedział się, gdzie jest Reacher. Wtedy też barman zmienił swoje zachowanie i stał się rozmowny i przyjacielski, byle tylko zatrzymać Reachera w lokalu. Tak jak mu to wcześniej kazano robić, jeśli tylko nadarzy się okazja.

I dlatego właśnie Jack nie opuścił baru. Jeśli facet chciał się w to wszystko włączyć, proszę

bardzo. Może uczestniczyć w wydarzeniach, sprząając bałagan, jaki tu pozostanie.

Bo będzie bałagan.

To było pewne jak cholera w średniowieczu.

Zastępcy, którzy weszli przez tył baru, ruszyli przez korytarzyk obok toalet i zatrzymali się w miejscu, gdzie zaczynała się sala. Reacher skupił na nich swój wzrok. Nawet nie odwrócił głowy. Atak od frontu byłby bezsensowny przy takiej liczbie luster w pomieszczeniu. Bardzo dobrze widział tych dwóch facetów, tyle że w odbiciu: mniejszych i zamienionych miejscami. Zatrzymali się metr za drzwiami wejściowymi i stali, dotykając się barkami i czekając na rozwój wypadków.

Mocno zbudowany facet, który zatrzał się jedzeniem poprzedniego dnia i wymiotował, wszedł drzwiami frontowymi razem z kolesiem, któremu Reacher nieźle przywalił przed restauracją. Obydwaj nie wyglądali na ludzi w najlepszej formie. Dwóch mężczyzn, którzy dostali się tu tylnymi drzwiami, sprawiało wrażenie silnych i zdrowych, lecz także takich, z którymi Reacher mógł sobie poradzić. Czterech na jednego, nie było wielkiego powodu do obaw. Jack po raz pierwszy walczył przeciwko czterem napastnikom, gdy miał pięć lat, a jego przeciwnikami byli siedmiolatki. Działo się to w bazie wojskowej na Filipinach, gdzie służył jego ojciec.

Ale nagle sytuacja diametralnie się zmieniła.

Z sali wyszło jeszcze dwóch facetów. Odłożyli szklanki, otarli usta w serwetki, odsunęli krzesła, wystąpili do przodu i podzielili się. Jeden dołączył do tych z tyłu, a drugi do tych z przodu. Ci nowi nie byli wcale tak potężnie zbudowani, ale też nie należeli do chucherek. Może byli braćmi zastępców albo ich kuzynami. Pewnie tak. Mieli takie same ubrania, tak samo wyglądali i byli podobnie zbudowani.

Tak więc trzynaście minut wcześniej barman nie patrzył wcale w tłum z nadzieją na natychmiastową pomoc. On dał znak pomocnikom: „Bądźcie w pogotowiu, pozostali są już w drodze”. Reacher zacisnął szczęki. Błąd. I to poważny. Jack zdał sobie sprawę z tego, że jest, co prawda, bystry, ale niedostatecznie przewidujący.

I teraz za to wszystko zapłaci. Na Maksa.

Sześciu na jednego.

Pięćset pięćdziesiąt kilogramów na sto dziesięć.

Niezbyt dobry układ.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że wstrzymuje oddech. Odetchnął głęboko, długo i powoli. Dum spiro, spero. Póki oddycham, nie tracę nadziei. Nie była to sentencja, którą Zenon z Kition chciałby zrozumieć lub zaaprobować. Posługiwał się przecież greką, nie łaciną, i preferował pasywne poddawanie się biegowi wydarzeń, a nie nieodpowiedzialny optymizm. Jednak to przysłowie musiało wystarczyć teraz Reacherowi, gdy wszystko inne zawiodło. Wypił ostatni łyk piwa i odstawił butelkę na serwetkę. Okręcił się na stołku o sto osiemdziesiąt stopni; siedział teraz frontem do całej sali. Poczuł, że barman za jego plecami chowa się w bezpiecznym kącie koło kasy. Przed sobą zobaczył tłumek facetów wycofujących się pod ścianę, zabierających ze sobą szklanki i butelki. Bali się tego, co zaraz nastąpi. Mężczyźni siedzący obok niego ześlizgnęli się ze stołków i wcisnęli się w tłum.

Po obu stronach baru zaczął się ruch.

Obydwie grupy zastępców posunęły się do przodu.

Stali teraz, tworząc krótkie boki prostokąta wyznaczonego przez bar i tłumek pod ścianą. Nic specjalnego, poza tym że Reacher siedział samotnie na stołku pośrodku innego boku.

Mężczyźni nie byli uzbrojeni. Tego akurat Jack był pewien. Prawo zabraniało zaprzysiężonym zastępcom posiadania broni podczas interwencji. To Vaughan mu powiedziała, że w Kolorado zastępcy mają cywilny status. A ci dwaj dodatkowi byli zwykłymi cywilami. Wielu obywateli Kolorado miało broń osobistą, ale zwykle wyciągało się ją na początku konfrontacji, a nie na końcu. W takich sytuacjach chodziło o pokazanie broni,

zdobycie przewagi, wystraszenie przeciwnika już na samym początku. Odkąd Reacher sięgał pamięcią, nikt w konfrontacji z nim nie ociągał się z wyciągnięciem broni, jeśli ją tylko miał. Tak więc mamy walkę wręcz, sześciu na jednego, pomyślał.

- Jesteś w takim gównie, że nawet nie masz pojęcia, jak się z niego wydostać - zaczął potężnie zbudowany facet, który zawsze zabierał głos za innych. Stał dwa metry od drzwi.

- Pijesz do mnie? - odszczeknął Reacher.

- Tak, kurwa, do ciebie!

- To zamknij gębę!

- Za często tu pokazujesz swoją koles.

- Oszczędzaj słowa. Wyjdź na dwór i rzygnij sobie. Tylko to ci dobrze wychodzi.

- Nigdzie się nie wybieramy. I ty też nie.

- To wolny kraj.

- Nie dla ciebie. Już nie.

Reacher pozostał na stołku, spał się w sobie i czekał, gotowy na wszystko, choć na zewnątrz wyglądał na spokojnego i rozluźnionego. Jego brat Joe był o dwa lata od niego starszy, i przypominał go budową ciała, ale miał zupełnie inny temperament. Dostosowywał się do stylu walki. Siłę odpierał siłą, uparcie, powoli, racjonalnie, cierpliwie. Był frustrującym przeciwnikiem. Dlatego dawno temu jego oponenti zwrócili się przeciwko jego młodszemu bratu, Reacherowi, zgodnie z własnymi zasadami walki i upokarzania wrogów. Gdy pięcioletni Jack stanął twarzą w twarz z czterema rozdrażnionymi siedmiolatkami, poczuł prawdziwy lęk. Strach uderzył w niego jak piorun, i przepłynął przez mózg, by po chwili wyzwolić się w postaci potężnej agresji. Reacher dosłownie wybuchł i cała walka zakończyła się, zanim czterech napastników w ogóle do niej przystąpiło. Od kiedy opuścili wreszcie oddział pediatryczny, trzymali się z daleka od Reachera i jego brata. Już wtedy na swój dziecięcy sposób Jack zrozumiał tę cenną lekcję, którą dało mu życie. Wiele lat później podczas szkoleń wojskowych umocnił tę naukę. Na poziomie strategii walki taki rodzaj starcia miał nawet odpowiednią nazwę: „Działanie wobec przeważającej siły wroga”. Na poziomie indywidualnych zapasów w sali gimnastycznej, w spoconych dresach, twardziele podczas treningu powtarzali, że ci, którzy w walce zachowują się po dżentelmeńsku, nigdy nie dotrą na tę salę, by kogokolwiek czegokolwiek nauczyć. Bo już ich nie ma wśród żywych. Stąd najlepsza nauczka: „Bądź pierwszy i wal ostro”.

Użyj przeważającej siły.

Bądź pierwszy i wal ostro.

Reacher miał na to swoje powiedzenie: „Bądź pierwszym, który się zemści”.

Ześlizgnął się na ziemię, złapał za stalową nogę stołka, podniósł go wysoko i cisnął tak mocno, jak tylko potrafił, w trzech facetów stojących z tyłu baru. Zanim stołek zdążył na nich wylądować, rzucił się w drugą stronę na nowego gościa stojącego obok tego, który już raz dostał od Jacka w szczękę. Wyprowadził cios łokciem w podstawę jego nosa. Facet runął na ziemię jak ścięte drzewo, lecz zanim zdążył upaść, Reacher obdarzył potężnego zastępcę ciosem tym samym łokciem, choć nie w nos, a w ucho. Odskoczył w bok, chroniąc się przed uderzeniem, i władował tyłem ten sam łokieć w brzuch faceta z uszkodzoną wcześniej szczęką. Mężczyzna zgiął się wpół, nadziewając się na kolano Reachera. Ten zaś odepchnął gościa na bok i szybko odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

Stołek walnął jednego z zastępców i cywila gdzieś na wysokości szyi. Drewno i żelazo rzucone z potężną mocą, kręcące się wokół osi. Może, działając instynktownie, unieśli ramiona, żeby się zasłonić, i stołek połamał im nadgarstki. A może nie byli tak szybcy i dosięgnął ich tam, gdzie było to zamierzone. Reacher sam nie był pewien, co dokładnie się wydarzyło. Ale i tak obydwaj wypadli z gry na jakiś czas. Kucali, skręcani bokiem, a stołek z łoskotem toczył się po podłodze u ich stóp.

Drugi zastępca był nietknięty. Rzucił się do przodu ze wściekłym grymasem na twarzy.

Reacher odskoczył dwa kroki, przyjął lewy sierpowy w bark i wyprowadził prawy prosty w sam środek wściekłego grymasu. Facet cofnął się, zachwiał i potrząsnął głową, a ramiona i korpus Reachera znalazły się nagle w niedźwiedzim uścisku od tyłu. To pewnie ten wielki zastępca, pomyślał Jack. Zaczął się cofać, zmuszając napastnika do tego samego, po czym pochylił głowę, niemalże dotykając brodą do klatki piersiowej, i wyrzucił ją nagle do tyłu, przywalając tamtemu w twarz. Nie tak mocne uderzenie jak z czoła, ale zawsze przydatne. Reacher jeszcze szybciej napierał w tył, odpychając się nogami, aż rzucił faceta o ścianę, pozbawiając go tchu. Lustro posypało się na podłogę, a gdy napastnik zwolnił zacisk ramion, Jack wyskoczył na środek sali w stronę innego zastępcy. Unikając ciosu z prawej strony, przywalił mu prawą pięścią prosto w szczękę. Nie był to zbyt silny cios, ale wystarczająco nim zatrzęsł, by poddał się potężnemu lewemu w krtań, co zwaliło go z nóg.

Osiem wymierzonych ciosów, jeden przyjęty na siebie, jeden facet znokautowany i odliczany może do siedmiu, czterech znokautowanych odliczanych do ośmiu, ale duży facet jeszcze funkcjonuje.

Słaba wydajność.

Czas zabrać się do roboty.

A barman przecież powiedział: „Pan Thurman dba o ludzi, którzy mieli wypadek w pracy”. Więc niech sobie dba, pomyślał Reacher, a ci faceci w końcu są tutaj z jego polecenia. W tym mieście nie dzieje się nic, o czym pan Thurman by nie wiedział.

Zastępca z tyłu sali turlał się po podłodze, obejmując szyję. Reacher podszedł do niego i kopnął w żebra, łamiąc kilka z nich, po czym jedną nogą zmusił go do opuszczenia jednego przedramienia na podłogę i nadepnął na nie drugą nogą. Podszedł do dwóch pozostałych, którzy na samym początku dostali cios stołkiem. Drugi zastępca i facet, który się przyłączył. Jeden z nich kucał tyłem do akcji i trzymał się za przedramię. Reacher przyłożył podeszwę buta do jego pleców i pchnął go do przodu. Mężczyzna uderzył głową w ścianę. Drugi facet pewnie przyjął cios krawędzią stołka w klatkę piersiową i miał kłopoty z oddychaniem. Reacher ściał go kopniakiem na podłogę i przywalił z buta w głowę. I we właściwym czasie odwrócił się, by uniknąć prawego sierpowego od wielkoluda. Przyjął go w bark. Zastanawiał się, jak oddać cios. Ale miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, powierzchnia podłogi skurczyła się, zawalona ciałami. Olbrzymi zastępca wyprowadził lewy prosty, a Reacher sparował go i przebił się jak buldożer na środek sali.

Facet rzucił się za nim. Wyprowadził prawy prosty. Jack odchylił głowę na bok, ale cios dopadł go w obojczyk. Słabe uderzenie. Napastnik był blady na twarzy. Ostatkiem sił spróbował sierpowego od dołu. Reacher uskoczył w porę i rozejrzał się dookoła. Jeden rozwalony stołek, jedno zbite lustro, pięciu facetów unieszkodliwionych, dwudziestu biernych gapiów. Jak na razie to całkiem nieźle, pomyślał. Wielkolud cofnął się, jakby ogłoszono przerwę, i zawołał:

- Tak jak kiedyś powiedziałeś: „tak długo, jak jeden z nas utrzyma się na nogach, by cię dopaść”.

- Ty na pewno mnie nie dopadniesz. Nawet nie masz co o tym marzyć - odpowiedział Reacher.

Zdziwił go rezultat starcia. Był blisko wygrania walki sześciami na jednego, a sam zaliczył zaledwie dwa siniaki na barkach i potłuczone knykcie dłoni. Poszło mu o wiele lepiej, niż mógł przypuszczać.

Ale po chwili znowu zaczęło się psuć. I to potwornie.

- No to sam zobacz. - Zastępca wsunął ręce do kieszeni i wyciągnął dwa noże sprężynowe. Eleganckie drewniane rękojeści, wzmocnione okucia i błyszczące chromem przyciski. W dusznej i dręczącej ciszy zastępca kliknął guzik, zwalniając ostrze pierwszego noża. Po chwili wysunął ostrze drugiego sprężynowca.

Dwa kliknięcia wysuwających się ostrzy nie były przyjemnym dźwiękiem dla uszu Reachera. Momentalnie poczuł ucisk w żołądku. Nienawidził noży. Zdecydowanie wolałby, gdyby facet wyciągnął parę sześciostrzałowych rewolwerów. Pociski mogą nie trafić do celu. I tak naprawdę nie trafiają z powodu stresu, presji, drżących rąk i ogólnej sytuacji. Raporty policyjne często dostarczały na to dowodów. Dokumenty były pełne opisów zwłok, w których tkwiło siedem kul, co wystarczało oczywiście do zabicia przeciwnika, lecz dopiero gdzieś w trzecim akapicie zawarta była informacja, że w stronę denata wystrzelono jakieś sto pięćdziesiąt pocisków.

Noże nigdy nie mijają celu. Jeśli tylko mają kontakt z ciałem, to je tną lub kłują. Jedyne przeciwnikami, których Reacher naprawdę się obawiał, byli niewysocy, elastyczni faceci jak z gumy, o szybkich ruchach i ostrych nożach w rękach. Potężnej budowy zastępca nie wyglądał ani na szybkiego, ani na giętkiego w ruchach, ale dźgnięcie nożem to całkiem coś innego niż tępe uderzenie pięścią w bark. Takie dźgnięcia oznaczały otwarte rany, lejącą się krew, pocięte ścięgna i poprzecinane naczynia krwionośne.

Nie wyglądało to dobrze.

Reacher zepchnął jakiegoś kolesia z krzesła, złapał je w ręce i trzymał w powietrzu przed sobą jak tarczę. Najlepszą obroną przed nożami była odległość. Najlepszym kontratakem zaś osłanianie się jakimś materiałem, przewieszonym przez ramię płaszczem, kocem albo siecią. Ostrze atakującego noża wbijało się wtedy w zrolowaną na ramieniu tkaninę. Reacher niestety nie miał ani płaszcza, ani koca, ani sieci, by więc zyskać osłonę, machał krzesłem jak florecista na zawodach szermierczych. Zepchnął kolejnego klienta z krzesła, chwycił je i cisnął w zastępcę. Wielkolud wykazał się refleksem i odchylił głowę, zasłaniając twarz prawą ręką. Reacher natarł powtórnie, atakując krzesłem jak szpadą. Jedna stalowa noga trafiła napastnika w splot słoneczny, a druga w brzuch. Facet cofnął się, zaczerpnął powietrza i rzucił się do przodu, machając ramionami, przecinając powietrze ostrzami noży, błyszczącymi złowrogo.

Reacher uchylił się i znowu natarł krzesłem, trafiając przeciwnika w górną część ramienia. Facet przekreślił się w jedną, potem w drugą stronę. Reacher rzucił się w lewo i zadał cios w tył głowy. Mężczyzna zachwiał się, a gdy złapał równowagę, natarł ostro z nisko opuszczonymi ramionami, kręcąc nożami małe, niebezpieczne floreesy.

Jack się cofnął. Zrzucił trzeciego klienta z krzesła i cisnął stołkiem potężnie, celując wysoko. Wielkolud, uchylając się od uderzenia, jednocześnie podniósł ramiona, by dodatkowo się osłonić. Reacher tylko na to czekał. Skoczył do przodu i z potężną siłą wbił tępe zakończenie nogi krzesła w brzuch zastępcy nieco poniżej żeber.

Facet przestał walczyć.

Jego ciało zastygło w bezruchu, a twarz zmarszczyła się, okazując potworne cierpienie. Wypuścił noże, złapał się za brzuch. Przez dłuższą chwilę stał jak posąg, by w końcu zwymiotować na podłogę krwią i treścią żołądka. Zachwiał się i padł na kolana. Opuścił ramiona, z twarzy odpłynęła mu krew, stał się bładny jak wosk. Żołądek powtórnie się zbuntował i zastępca zwymiotował po raz drugi. Jeszcze więcej krwi i śluzu żołądkowego na podłodze. Oparł się palcami o podłogę na krawędzi powiększającej się plamy krwi i wymiocin, usiłując się podnieść. Bez efektu. Uniósł się do połowy, a potem runął ciężko. Wywinął białkami oczu, przekreślił na plecy; oddychał płytko i szybko.

Jedną rękę trzymał na brzuchu, a drugą uderzał o podłogę. Znowu zwymiotował, wyrzucając fontannę krwi niemal pionowo do góry. Przekreślił się na bok i skulił w pozycji embrionalnej.

Koniec gry.

W barze zaległa cisza. Zero dźwięków. Tylko sapanie oddechów. W powietrzu tańczył kurz i unosił się smród krwi i wymiocin. Reacher drżał z nadmiaru adrenaliny. Opanował się jednak, odstawił krzesło na podłogę, pochylił się i podniósł upuszczone noże. Schował ostrza do

rękojeści i wsunął do kieszeni. Zrobił kilka kroków, by ocenić wyniki walki. Pierwszy facet, którego uderzył, leżał nieprzytomny na plecach. Cios z łokcia w nasadę zawsze odnosił oczekiwany skutek. Jeśli taki cios był zbyt silny, to odłamki kości nosowej mogły uszkodzić mózg. Jeśli był źle wymierzony, to odłamki kości policzkowej mogły naruszyć gałkę oczną. Jego uderzenie okazało się wyjątkowo precyzyjne. Poszkodowany będzie chory i odrętwiały przez cały tydzień, ale w końcu wydobrzeje.

Facet, który rozpoczął wieczór z rozwaloną szczęką, dołożył do niej po raz kolejny złamany nos i potworny ból głowy. Koleś z tłumy, który wyszedł z końca sali, miał złamaną rękę od rzutu stołkiem i całkiem możliwe, że jeszcze wstrząśnienie mózgu od uderzenia głową w ścianę. Gość obok leżał nieprzytomny, powalony ciosem w głowę. Zastępca, którego stołek nie dosięgął, miał połamane żebra, złamany nadgarstek i uszkodzoną krtań.

Ogólnie sporo zniszczeń dookoła, ale to miejsce od samego początku się o to prosiło.

Pięciu nieźle uszkodzonych plus zastępca wielkolud, którego stan będzie wymagał poważnej interwencji medycznej. Nadal leżał w pozycji embrionalnej, wyglądał bardzo kiepsko. Jakby wycieńczała go jakaś choroba. Reacher pochylił się i zbadał puls na szyi. Tętno było słabe i nitkowate. Sprawdził jego kieszenie i znalazł pięcioramienną gwiazdę. To była oficjalna gwiazda zastępcy, wykonana ze stopu cyny i ołowiu. Na środku, pomiędzy dwoma liniami, wygrawerowano napis: „Miasto Rozpacz, zastępca szeryfa”. Reacher schował ją do kieszeni. Znalazł pęk kluczy i niewielki zwitek banknotów w mosiężnym klipsie. Zabrał klucze, a pieniądze zostawił. Wstał, rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem barmana. Stał w tym samym miejscu, gdzie Jack zobaczył go po raz pierwszy. Był oparty tłustym dupskiem o szufladę kasy.

- Zadzwoń do zakładu - rozkazał Reacher. - Niech przyjedzie karetka po tego największego. Nie wygląda najlepiej.

Podszedł do lady, gdzie nadal stała jego butelka z piwem. W tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Wysączył resztkę piwa, odłożył butelkę na bar i wyszedł przez frontowe drzwi w ciemność.

31

Przez dziesięć minut jeździł w kółko na południe od głównej ulicy, zanim znalazł Nickel Street. Słabe i nisko ustawione światła starego pick-upu Vaughan nie pozwalały odczytać małych i wytartych tablic z nazwami ulic. Ledwo dostrzegł Chromium Street, Vanadium Street i Molbdenum Street, po czym, płacząc się po alejach oznaczonych numerami, zupełnie zgubił ulice z nazwami metali. Wreszcie znowu trafił na Steel Street, później na Platinum Street, a następnie na Gold Street. Na samym końcu Gold zaczynała się Nickel Street. Stało przy niej szesnaście domów, po osiem po obu stronach ulicy. Piętnaście było niewielkich, a jeden całkiem spory.

Całujący tyłek Thurmana sędziego Gardner mieszkał w dużym domu przy Nickel Street, jak wyjaśnił barman. Reacher zatrzymał samochód przy krawężniku, sprawdził nazwisko na skrzynce na listy, wjechał na podjazd i wyłączył silnik. Wygramolił się z kabiny i wszedł na ganek. Dom był w sumie średniej wielkości, płaski i rozległy. Wyglądał całkiem nieźle w porównaniu z sąsiednimi budynkami. Nie było wątpliwości, że Gardnerowi powodziłoby się o wiele lepiej, gdyby opuścił miasto i dostał pracę w Sądzie Najwyższym w Dystrykcie Kolumbii. Albo nawet w jakimś sądzie okręgowym w Kolorado czy choćby w sądzie miejskim w Denver, który zajmował się nocnymi wykroczeniami drogowymi. Drewniana podłoga ganku ugięła się na podgniłych belkach nośnych, a farba na deskach wypłowiwała i starła się ze starości w pył. Wyszlifowane niegdyś deski rozeschły się i popękały. Daszek ganku wspierał się na dwóch drewnianych kolumnach ustawionych na szczycie schodów. Miały wyfrezowane okrągłe dekoracyjne kule na szczytach i u nasady, ale teraz były popękane wzdłuż słoików i wyglądały, jakby zaatakowały je korniki.

Reacher odnalazł przycisk dzwonka i dwa razy delikatnie nacisnął kłyciami. Nadal stosował ten stary zwyczaj, by nie zostawić odcisków palców, choć w tym przypadku nie było to chyba konieczne. Czekał. Doświadczenie podpowiadało mu, że średni czas oczekiwania na otwarcie drzwi domu na przedmieściach wieczorową porą wynosił około dwudziestu sekund. Małżeństwa odwracały wzrok od telewizora, spoglądając na siebie i zadając pytanie: „Kto to może być? O tej porze?”. Potem odgrywali scenkę: „Nie wstawaj, ja otworzę! Nie, siedź, ja”, aż wreszcie jedno z nich kierowało się na korytarz, by otworzyć drzwi. Przed dziewiątą wieczorem była to zwykle żona. Po dziewiątej funkcję odźwiernego pełnił najczęściej mąż. Drzwi otwarła pani- Gardner. Żona, z dwudziestotrzysekundowym opóźnieniem. Była podobna do swojego męża, krągła, po sześćdziesiątce, z siwymi włosami. Tylko ilość włosów i ubiór wyraźnie wskazywały na płeć. Na głowie miała loki powstałe dzięki wielkim podgrzewanym wałkom. Ubrana była w luźną bezkształtną sukienkę sięgającą do kolan. Stała tak, wymodelowana i nijaka, za drzwiami z siatki przeciwko owadom.

- W czym można panu pomóc? - zapytała.

- Muszę się spotkać z sędzią - odpowiedział Reacher.

- Jest już strasznie późno - stwierdziła pani Gardner, co wcale nie było prawdą. Staroświecki zegar w wielkiej przeszklonej drewnianej witrynie za jej plecami wskazywał dopiero ósmą dwadzieścia dziewięć, a według zegara w głowie Reachera była ósma trzydzieści jeden, ale słowa pani Gardner znaczyły jedno: „Jest pan brzydkim, wielkim klientem”. Jack się uśmiechnął. „Spójrz na siebie”, powiedziała mu Vaughan. „I kogo widzisz?”. Reacher zdawał sobie sprawę z tego, że nie był idealnym kandydatem na wieczornego gościa. Na dziewięć przypadków z dziesięciu tylko mormońscy misjonarze byli jeszcze mniej serdecznie witani niż on.

- To pilna sprawa - oznajmił.

Pani Gardner stała bez ruchu i nic nie odpowiedziała. Reacher wiedział z doświadczenia, że jeśli rozmowa w drzwiach trwa dłużej niż trzydzieści sekund, to do akcji wkracza także mąż. Wystawia szyję z salonu i woła: „Kto to, kochanie?”. Jack wolałby, żeby drzwi z siatką otwarto przed interwencją męża. Wolałby zapobiec zatrzaśnięciu ich przed nosem.

- To pilne - powtórzył i pociągnął za siatkę. Moskitiera zapiszczała na wytartych zawiasach. Pani Gardner cofnęła się nieco. Reacher wszedł do środka, puszczając drzwi z siatką, by same się zatrzasnęły za jego plecami. W holu czuć było stęchlizną i kuchennymi woniami. Jack odwrócił się i delikatnie zamknął drewniane drzwi. W tym momencie minęło już trzydzieści sekund, które odliczał w głowie, i sędzia właśnie pojawił się w holu.

Ubrany był w te same szare spodnie, które Reacher widział już wcześniej; miał poluźniony krawat, był bez marynarki. Stał przez moment bez ruchu, przeszukując swoją pamięć, i po dziesięciu ciągnących się sekundach z jego twarzy ustąpił wyraz głębokiego zdziwienia na rzecz zupełnie innego rodzaju emocji.

- To ty?

- Tak, to ja - odparł Reacher.

- Czego chcesz? Czego tu szukasz?

- Przyszedłem z panem porozmawiać.

- Chodzi mi o to, czego szukasz w Rozpaczy. Przecież zostałeś wydany.

- Nie wziąłem sobie tego zbyt do serca - oznajmił Reacher. - Więc może pan mnie podać do sądu.

- Dzwonię na policję.

- Proszę bardzo. Tylko że nikt nie odbierze. Jestem pewien, że pan już o tym wie. Zastępcy też nie przybędą.

- A gdzie są zastępcy?

- W drodze do punktu opatrunkowego.

- Co im się przytrafiło?



- Ja.

Sędzia nie odpowiedział.

- A pan Thurman jest teraz w swoim małym samoloczku. Niedostępny przez kolejne pięć i pół godziny. Więc został pan sam. Cała inicjatywa jest w rękach sędziego Gardnera.

- Czego chcesz?

- Chcę, żeby zaprosił mnie pan do swojego salonu. Chcę, żeby poprosił mnie pan o zajęcie miejsca w fotelu i zapytał, czy dodaje śmietankę i cukier do kawy. Tak przy okazji, piję czarną. Ponieważ do tej pory przebywam tutaj za pana domniemaną zgodą, więc nie naruszam miru domowego. I wolałbym, żeby tak pozostało.

- Nie tylko przebywasz na terenie prywatnym bez zgody, ale również naruszasz prawo obowiązujące w naszym mieście.

- O tym właśnie pragnę porozmawiać. Chciałbym, żeby pan powtórnie rozpatrzył sprawę. Zrobimy taki mały proces odwoławczy.

- Czy ty zwariowałeś?

- Raczej nie, choć może jestem trochę niekonwencjonalny. Ale za to nie jestem uzbrojony i nie grozę panu. Chcę tylko porozmawiać.

- Wynoś się stąd!

- Proszę jednak pamiętać, że jestem człowiekiem silnym i skutecznym, nie mam nic do stracenia i przybyłem do miasta, w którym w tej chwili nie funkcjonują organa prawa i porządku.

- Mam broń.

- Nie wątpię. Tak naprawdę, to sędzę, że ma pan kilka sztuk broni. Ale nie użyje ich pan.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Jest pan człowiekiem prawa. Dobrze pan wie, jakie z tego wynikają kłopoty. Myślę, że nie chciałby pan tego przeżywać.

- Rzykujesz.

- Rzykuję codziennie, wstając z łóżka.

Sędzia nic nie odpowiedział. Nie przytaknął ani nie zaprzeczył. Zupełny impas. Reacher odwrócił się do jego żony i zdjął z twarzy maskę uprzejmości, zastępując ją używaną często przed laty maską przywdziewaną wobec niesubordynowanych świadków.

- I co pani o tym wszystkim myśli, pani Gardner? - zapytał.

Kilka razy rozpoczynała zdanie, ale przez suchość w gardle nie potrafiła sklecić nic sensownego. W końcu odrzekła:

- Sądzę, że powinniśmy usiąść i porozmawiać.

Sposób, w jaki to powiedziała, wskazywał, że nie czuła się całkiem zastraszone. Była twardą starą babą. Jakżeby inaczej, skoro przetrwała sześćdziesiąt lat w Rozpaczy, do tego jako żona sługusa swojego szefa.

Jej mąż fuknął z rozdrażnienia, odwrócił się i poprowadził Reachera do salonu. Był to spory kwadratowy pokój, umeblowany w tradycyjny sposób. Sofa, fotel, drugi fotel z dźwignią po prawej stronie, czyli rozkładany do leżenia. Stolik do kawy, wielki telewizor podłączony do tunera telewizji satelitarnej. Kwieciste obicia mebli, tak samo kwieciste okienne zasłony, dodatkowo ozdobione kwiecistym, zmarszczonym lambrekinem z tego samego materiału. Pani Gardner najwyraźniej była zdolną krawcową, pomyślał Reacher.

- No to siadaj - mruknął sędzia.

- Nie mam zamiaru podawać kawy. W zaistniałych okolicznościach byłby to o jeden krok za dużo - oświadczyła otwarcie pani Gardner.

- To oczywiście zależy od pani - odparł Reacher - ale muszę wyznać, że byłbym prawdziwie wdzięczny za jedną filiżankę.

Usiadł w fotelu bez dźwigni, a Gardner w rozkładanym. Jego żona stała jeszcze obok przez moment, po czym westchnęła i wyszła z pokoju. Minutę później Jack usłyszał

charakterystyczny metaliczny dźwięk, który powstaje podczas nalewania wody do aluminiowego czajnika.

- Nie będzie żadnego odwołania - stwierdził Gardner.
- Musi być - oznajmił Reacher. - To kwestia zgodności prawa z konstytucją. Poprawki Piąta i Czternasta gwarantują uczciwy proces. Musi istnieć możliwość powtórnej prawnej oceny kwestii.
- Czy mówisz poważnie?
- Całkowicie.
- Chcesz wnieść sprawę do Sądu Federalnego przeciwko lokalnemu rozporządzeniu o włóczęgostwie?
- Wolałbym, żebyście się przyznali, że popełniono błąd, i żebyście zniszczyli dokumentację.
- To nie był błąd. Zgodnie z istniejącą definicją jesteś włóczęgą.
- Proszę, żeby pan to powtórnie rozpatrzył.
- Dlaczego?
- A dlaczego nie?
- Chciałbym zrozumieć, dlaczego chcesz mieć wolny wstęp do naszego miasta?
- A ja chciałbym zrozumieć, dlaczego tak bardzo wam zależy na blokowaniu mi tu wstępu.
- Ale co tracisz? Przecież to nie jest żadna atrakcja turystyczna.
- To kwestia zasad.

Gardner nic nie odpowiedział. Po chwili pojawiła się jego żona z jednym kubkiem kawy w ręce. Postawiła go ostrożnie na stole przed Reacherem i usiadła na sofie. Jack podniósł kubek i upił łyk. Kawa była gorąca, mocna i aromatyczna, kubek zaś cylindryczny, wykonany z delikatnej chińskiej porcelany kostnej. Miał cienkie ścianki i wąską krawędź.

- Doskonała - przyznał. - Dziękuję. Jestem pani naprawdę niezmiernie wdzięczny.
- Bardzo proszę - odpowiedziała pani Gardner po chwili.
- A te zasłony to doskonała robota - pochwalił Reacher. Pani Gardner nic już nie odpowiedziała. Za to odezwał się sędzia:

- Nic nie mogę zrobić w tej kwestii. Nie istnieją przesłanki do wniesienia odwołania. Możesz podać władze miasta do sądu, jeśli ci na tym zależy.

- Powiedział mi pan, że powitałby mnie pan z otwartymi ramionami, gdybym miał pracę - przypomniał Reacher.

Sędzia skinął głową.

- Wtedy przestałoby istnieć podejrzenie o włóczęgostwo.
- To dobrze.
- A dostałeś pracę?
- Mam pewne perspektywy. To ta druga rzecz, o której chciałem porozmawiać. Nie jest dobrze, że miasto zostało pozbawione funkcjonariuszy dbających o przestrzeganie prawa i porządku. Więc chciałbym, żeby zaprzysiężył mnie pan na zastępcę. - Nastąpiła cisza. Reacher wyciągnął z kieszeni gwiazdę zastępcy szeryfa. - Mam już odznakę. I mnóstwo doświadczenia w tym fachu.
- Zwariowałeś.
- Próbuję tylko wypełnić lukę.
- Jesteś totalnym wariatem.
- Tylko oferuję swoje usługi.
- Dokończ kawę i wynoś się z mojego domu.
- Kawa jest gorąca i bardzo mi smakuje. Nie mogę jej tak po prostu wlać sobie do gardła.
- Więc zostaw ją. I wynoś się, do cholery jasnej! Natychmiast!
- Więc nie chce mnie pan zaprzysięć?

Sędzia wstał, rozstawił nogi i napuszył się, udając groźnego, a miał zaledwie ze sto

siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Zmrużył oczy, a jego mózg analizował szybko obecne zagrożenie i przyszłe, trudne do przewidzenia konsekwencje. Milczał przez chwilę, zajęty szacunkami, po czym powiedział:

- Wolałbym raczej zaprzysiąc wszystkich pieprzonych mieszkańców tego miasta. Każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w Rozpaczy. I chyba właśnie tak zrobię. Dwa tysiące sześćset osób. Myślisz, że uda ci się pokonać ich wszystkich? Bo ja nie. Nie chcemy ciebie tutaj, panie przybyszu, i zrobimy wszystko, żeby wydalić cię z miasta. Masz to jak w banku.

32

Reacher podskoczył na siedzeniu, przejeżdżając przez przerwę dylatacyjną o dziewiątej trzydzieści wieczorem. Do bistro dojechał o dziewiątej trzydzieści pięć. Uznał, że Vaughan zajrzy tam kilka razy podczas nocnej służby. Pomyślał też, że jeśli zostawi półciężarówkę na ulicy, to przynajmniej policjantka będzie wiedziała, że nic mu się nie stało. Albo przynajmniej że z jej samochodem jest wszystko w porządku.

Wszedł do środka, by zostawić klucze w kasie, i zobaczył Lucy Anderson, która samotnie siedziała przy stoliku. Miała na sobie króciutkie szorty, niebieską bawełnianą bluzę, krótkie skarpetki i koszykarskie obuwie sportowe. I długi odcinek gołych nóg. Z uśmiechem wpatrywała się w pustą przestrzeń przed sobą. Gdy Reacher zobaczył ją po raz pierwszy, nie wydawało mu się, że jest ładna na sto procent. Teraz wyglądała cholernie atrakcyjnie. Promieniała urodą, wydawała się wyższa i przystojniejsza. Była zupełnie inną osobą.

Zmieniła się.

Wcześniej porażał ją strach.

Teraz była szczęśliwa.

Zobaczyła Reachera, gdy zatrzymał się na chwilę przy kasie. Spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Był to intrygujący uśmiech. Jack dostrzegł w nim mnóstwo czystej radości, ale też i trochę triumfu. Jakby odniosła jakieś zwycięstwo, i to właśnie jego kosztem.

Reacher zostawił klucze od pick-upu Vaughan kasjerce, która zapytała, czy chciałby coś zjeść. Zastanowił się przez moment. Żołądek już się uspokoił. Adrenalina odpłynęła. Zdał sobie sprawę z tego, że jest głodny. Od śniadania nie miał w ustach nic poza kawą i pustymi kaloriami z butelki budweisera w barze. A przecież właśnie tam spalił mnóstwo kalorii. Dopadł go deficyt kaloryczny.

- Zjem obiad - odpowiedział kasjerce.

Podszedł do stolika Lucy i usiadł na ławeczce. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się w ten sam sposób co przed chwilą. Radość, triumf, przewaga, zwycięstwo. Z bliska jej uśmiech miał większą moc i działał silniej. Prawdziwie megawatowy uśmiech. Miała piękne zęby. Do tego świecące, jasne i niebieskie oczy.

- Dziś po południu wyglądałaś jak Lucy. Teraz wyglądasz jak Lucky - stwierdził Reacher.

- I czuję się jak Lucky.

- Co się zmieniło?

- A jak pan myśli?

- Twój mąż się odezwał.

Uśmiechnęła się, okazując stuprocentowe szczacie.

- Tak.

- Wyjechał z Rozpaczy.

- Tak. I nigdy już go pan nie złapie.

- Nigdy nie chciałem go złapać. Nawet o nim nie słyszałem, zanim nie spotkałem ciebie.

- Naprawdę? - zapytała sarkastycznie, takim tonem, jakim młodzi ludzie często wyrażają ironiczne niedowierzanie. Reacher zrozumiał to jako: „Czy sądzi pan, że jestem skończoną idiotką?”.

- Musisz mnie z kimś mylić.
- Naprawdę?
- „Spójrz na siebie. Co widzisz?”
- Nie jestem policjantem - odrzekł Reacher. - Kiedyś byłem gliną i może nadal wyglądam jak glinarz, ale już nim nie jestem.
- Nic na to nie odpowiedziała, ale wiedział, że nie była stuprocentowo przekonana.
- Twój mąż musiał opuścić Rozpacz dzisiejszego popołudnia. Był tam o trzeciej i pewnie wyjechał przed siódmą.
- Pojechał pan tam z powrotem?
- Byłem tam dziś dwa razy.
- Co dowodzi, że pan go szukał.
- Pewnie tak, ale tylko ze względu na ciebie.
- Naprawdę?
- A co on takiego zrobił?
- Przecież pan wie.
- Gdybym wiedział, to co ci szkodzi powiedzieć jeszcze raz?
- Nie jestem taka głupia. Wolę nie wiedzieć, czym się zajmował. Jeśli coś powiem, uzna pan to za współudział. Trochę znamy się na prawie.
- My?
- Ludzie z naszej sfery. O czym pan dobrze wie.
- Nie jestem gliną, Lucky. Jestem tu tylko przejazdem. I nie mam pojęcia, co jest grane.
- Jeszcze raz się uśmiechnęła. W uśmiechu widać było szczęście, triumf, zwycięstwo.
- Dokąd pojechał? - zapytał Reacher.
- Myśli pan, że panu powiem?
- Kiedy się z nim spotkasz, bez względu na to, gdzie jest?
- Za parę dni.
- Mógłbym was śledzić.
- I tak by pan nic nie wskórał. - Uśmiechnęła się. Podeszła kelnerka i Reacher poprosił o kawę oraz stek. Gdy odeszła, spojrzał na Lucy Anderson i powiedział:
- Inni ludzie mogą znaleźć się w takiej sytuacji, w jakiej ty byłaś wczoraj. Do miasta przyjechała kolejna dziewczyna. Też czeka na swojego chłopaka.
- Mam nadzieję, że jest nas wiele.
- Podejrzewam, że ona może czekać na próżno. Wiem, że jej chłopak umarł wczoraj albo przedwczoraj.
- Lucy Anderson pokręciła głową.
- To niemożliwe. Jestem pewna, że nikt z naszych nie zginął. Słyszałabym o tym.
- Z naszych?
- Ludzi z naszej sfery.
- Ktoś jednak umarł. -
- Ludzie stale umierają.
- Młodzi ludzie? Bez żadnego powodu?
- Nie odpowiedziała i wiedział, że nigdy na żadne pytanie już mu nie odpowie. Kelnerka podała kawę. Upił łyk. Była okay, ale nie taka dobra jak u pani Gardner, zarówno jeśli chodziło o sam aromat, jak i kubek. Jeszcze raz spojrzał na dziewczynę.
- I tak naprawdę mam to gdzieś, Lucy. Życzę ci szczęścia w tym, co robisz, i tam, dokąd zmierzasz.
- To wszystko? Koniec pytań?
- Przyszedłem tu coś zjeść.
- • •

Jadł sam, bo Lucy poszła sobie, zanim na stole pojawił się stek. Siedziała jeszcze przez chwilę, uśmiechnęła się, wysunęła nogi zza stołu, wstała z kanapy i wyszła. Mówiąc dokładniej, odplynęła, lekko stąpając po podłodze, szczęśliwa, pełna energii. Wyszła z bistro i zamiast skulić się od chłodu, wyprostowała się, ściągnęła łopatki, podniosła twarz i wciągnęła do płuc nocne powietrze, jakby była w zaczarowanym lesie. Reacher obserwował ją, dopóki nie zniknęła. Potem wpatrywał się w pustkę, oczekując na swoje jedzenie.

• • •

O dziesiątej trzydzieści skończył posiłek i wrócił do motelu. Wstąpił do biura, by zapłacić za kolejny nocleg. Zawsze wynajmował pokój tylko na jedną noc, nawet jeśli wiedział, że zabawi w danym miejscu dłużej. To był taki jego wyrobiony nawyk, rytuał zapewniający komfort całkowitej wolności i możliwość wyruszenia w dalszą wędrowkę w każdej chwili. Recepcjonistka z dziennej zmiany nadal pracowała. Silna osobowość. I wścibska baba. Wyciągnął z kieszeni banknoty, wręczył jej i czekał na resztę.

- Niech pani jeszcze raz opowie mi, co pani wie o tej fabryce.

- A co ja panu mówiłam?

- Że jest tam naruszane prawo. Że są tam popełniane przestępstwa. Interesowała się pani, dlaczego ten samolot lata każdej nocy.

- Więc jednak jest pan gliniarzem? - zapytała recepcjonistka.

- Kiedyś byłem. Może zostały mi stare przyzwyczajenia. Wzruszyła ramionami. Wyglądała na nieco zmieszaną, może nawet odrobinę się zarumieniła.

- To tylko zwykła amatorszczyzna - powiedziała. - Pewnie pan tak sobie o tym pomyśli.

- Amatorszczyzna?

- Trochę handluję akcjami na giełdzie, sprawdzam więc różne rzeczy w Internecie. Rozmyślałam też o tym przedsiębiorstwie.

- I do czego pani doszła?

- Wydaje mi się, że ma zbyt duże przychody. Ale co ja tam mogę wiedzieć? Nie jestem ekspertem. Nie jestem brokerem ani śledczym skarbowym.

- Niech mi coś pani o tym opowie - poprosił Reacher.

- Różne branże idą raz w górę, raz w dół. Istnieją pewne cykle związane z cenami towarów, wielkością podaży, popytu i warunkami obrotu handlowego. Obecnie recykling złomu jako cała branża jest w dołku, ale po tym zakładzie zupełnie tego nie widać.

- Skąd pani wie?

- Ciągłe zwiększa zatrudnienie.

- To niezbyt mocny argument.

- To prywatna firma, ale i tak musi składać sprawozdania do urzędów federalnych i stanowych. Przystudiowałam pewne dane, tak tylko, żeby zabić nudę.

I dlatego, że jest pani strasznie wścibska, pomyślał Reacher.

- I co dalej? - zapytał.

- W sprawozdaniach finansowych figurują doskonale zyski. Gdyby była to firma notowana na giełdzie, to kupowałabym jej akcje jak szalona. Oczywiście, gdybym miała pieniądze. Gdybym nie była tylko recepcjonistką w motelu.

- Okay.

- Ale to nie jest spółka akcyjna, tylko prywatna firma. Więc pewnie zarabia więcej, niż podaje w swoich sprawozdaniach.

- Myśli pani, że oni tam coś rzeźbią na boku? I naruszają przepisy o ochronie środowiska?

- Wcale bym się nie dziwiła.

- To jeszcze nie jest wielki problem. Zawsze uważałem, że te przepisy są trochę nieszczelne.

- Całkiem możliwe.

- A co z tym samolotem?

- Mam jakieś głupie podejrzenia - przyznała recepcjonistka.
  - Śmiało.
  - Pomyślałam sobie, że skoro podstawowa działalność zakładu nie może przynosić wielkich zysków, musi to być coś innego.
  - Co?
  - Może ten samolot coś przywozi? Może to jakiś przemyt?
  - A niby co mógłby przywozić?
  - Coś, co nie jest metalem.
  - Skąd?
  - Tego nie wiem. Reacher nic nie odpowiedział.
  - Widzi pan? Mam kupę czasu, i to wszystko. Aż za dużo. No i szerokopasmowe łącze z Internetem. Takie coś może człowiekowi nieźle namotać w głowie.
- Odwróciła się i zajęła jakimś wpisem do księgi gości, a Reacher schował resztę do kieszeni. Zanim wyszedł, rzucił okiem na rząd kluczy na haczykach za plecami recepcjonistki i zauważył, że brakuje czterech. Czyli cztery pokoje były zajęte. Jego, Lucy Anderson, kobiety z wielką bielizną i tej nowej dziewczyny, która dopiero co przyjechała do miasta. Dziewczyny o ciemnej karnacji, której jeszcze nie widział, ale pewnie wkrótce zobaczy. Podejrzał, że pozostanie w mieście dłużej niż Lucy Anderson. Sądził jednak, że na koniec swojego pobytu nie będzie lekko płynęła w powietrzu z uśmiechem na twarzy.

• • •

Poszedł do swojego pokoju i wziął prysznic. Ale był zbyt podniecony przeżyciami, by pójść spać. Więc jak już zmył z siebie smród bijatyki w barze, ubrał się i wyszedł na ulicę. Pod wpływem impulsu zatrzymał się przy budce telefonicznej pod latarnią i sprawdził w książce telefonicznej nazwisko David Robert Vaughan. Szybko je odszukał. Vaughan, D.R., Fifth Street, Nadzieja, Kolorado.

Dwie przecznice stąd na południe.

Zwiedził już Fourth Street, może więc nadszedł czas na Fifth Street. Tak tylko, żeby nasycić zwykłą ciekawość.

33

Fifth Street biegła od wschodu na zachód przez całą długość miasteczka. Przypominała mniej więcej Fourth Street, choć domy mieszkalne stały po obu stronach ulicy. Drzewa, ogródki, sztachetowe płotki, skrzynki na listy, małe zgrabne domki odpoczywające w świetle księżyca. Przypuszczalnie miłe miejsce do mieszkania. Dom Vaughan znajdował się na wschodnim krańcu Fifth Street. Bliżej Kansas niż Rozpaczy. Przed domem była zwykła aluminiowa skrzynka na listy na drewnianym słupku kupionym w sklepie. Był dodatkowo zaimpregnowany. Po obu stronach skrzynki widniały równiutko naklejone pochyłe litery z nazwiskiem Vaughan. To rzadki przypadek, pomyślał Reacher. Większość ludzi miała problemy z naklejaniem pojedynczych liter. Pewnie klej za mocno od razu chwycił, by można było później cokolwiek poprawić. Tutaj naklejenie siedmiu liter w idealnym porządku musiało wymagać skrupulatnego planowania. Może najpierw przyczepiono poziomą taśmę, a potem ją usunięto?

Dom i przestrzeń przed nim były utrzymane w nienagannym stanie. Reacher nie czuł się ekspertem w tej dziedzinie, ale potrafił rozróżnić dbałość od zaniedbania. Podwórko nie było typowym ogródkiem z trawnikiem, lecz zostało pokryte grubym żwirem o złotawym zabarwieniu, przez który usiłowały się przebijać chwasty i porosty. Podjazd wyłożono kamiennymi płytami, które kolorem przypominały kamyki przed domem. Z takich samych płyt ułożono chodnik prowadzący do drzwi.

Gdziekolwiek pomiędzy złocistymi kamykami poutykane były te same płyty, tworząc ścieżki między ładnie przyciętymi krzewami i roślinami ozdobnymi. Niektóre rośliny miały na swych

gałązkach małe kwiatki, zamknięte teraz dla ochrony przed chłodem nocy.

Dom był rozłożysty, parterowy; miał przypuszczalnie już z pięćdziesiąt lat. Po prawej stronie dobudowano garaż, a po lewej alkowę, która prawdopodobnie mieściła sypialnie: jedną frontową, drugą tylną. Reacher podejrzewał, że kuchnia znajduje się od strony garażu, a salon jest usytuowany pomiędzy kuchnią a sypialniami. Z dachu wystawał komin. Szalówka zewnętrzna i dachówka nie były nowe, zostały wymienione dość dawno, ale ich lekko wypłowiałe barwy dawały domowi wrażenie dostojnej dojrzałości.

Ładny dom.

Pusty dom.

Był ciemny i cichy. Niektóre zasłony pozostały częściowo uchylone, a inne zupełnie odsunięte. W środku nie świeciło się żadne światło, poza niewielkim zielonym lśnieniem w jednym oknie. To chyba było kuchenne okno, do którego dochodził blask zegara kucharki mikrofalowej. Oprócz tego żadnego znaku życia. Nic. Żadnego dźwięku, żadnego szumu urządzeń domowych, żadnych wibracji. Dawno temu praca Reachera polegała między innymi na zdobywaniu szturmem ciemnych budowli, a sprawą życia i śmierci było ustalenie, czy w środku ktoś jest, czy też nie. Dzięki tym doświadczeniom potrafił błyskawicznie rozpoznać, czy dom jest zamieszkały. Dom Vaughan stał pusty.

Więc gdzie był David Robert?

Pewnie w pracy. Może brał nocne zmiany? Niektóre małżeństwa celowo tak planowały swoje obowiązki służbowe. Może David Robert był pielęgniarzem, lekarzem czy też budowlancem, który pracował w nocy przy budowie autostrad? Może był dziennikarzem albo pracownikiem drukarni drukującej gazetę do porannego wydania? Albo dziennikarzem radiowym pracującym w nocy? A może kierowcą ogromnej ciężarówki, aktorem czy muzykiem pracującym w innym mieście? Może nawet nie bywał w domu całymi miesiącami? Może był marynarzem albo pilotem?

A może policjantem stanowym?

Vaughan zapytała niedawno: „Czy nie wyglądam na mężatkę?”. Nie, pomyślał Reacher. Nie wyglądasz. Nie tak jak inne kobiety.

• • •

Doszedł do skrzyżowania i wrócił na Second Street. Spojrzał na zachód i dostrzegł, że półciężarówka Vaughan nadal stoi tam, gdzie ją zostawił. Przeszedł jeszcze jedną przecznicę i dotarł do First Street. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Blask księżyca oświetlał ulicę. Po jego prawej była pusta przestrzeń aż do granicy z Kansas. Po lewej ledwie widoczne Góry Skaliste, ciemne, granatowe, potężne, ze śnieżnymi czapami od północnej strony, jak ostrza mieczy odbijającymi światło księżyca. Wysokie szczyty, wprost nie do zdobycia. Miasto zdawało się pogrążone w spokoju i ciszy, wręcz osamotnione. Było ledwie po dwudziestej trzeciej, a nikogo na ulicach. Żadnego ruchu. Cisza i pustka.

Reacher nie należał do osób cierpiących na bezsenność, ale nie chciało mu się spać. Było za wcześnie. W głowie szumiało zbyt wiele niewyjaśnionych kwestii. Przeszedł jeden kwartał First Street i skręcił na południe w kierunku bistro. Nie należał także do tych, którzy szaleją po nocach, ale akurat teraz poczuł potrzebę pogadania z kimś, a bistro było jedynym takim miejscem, gdzie mógłby kogoś spotkać w środku nocy.

I rzeczywiście zobaczył cztery osoby. Kelnerkę z nocnej zmiany, starszego faceta w siatkowej czapeczce z daszkiem jedzącego przy ladzie, mężczyznę w średnim wieku przy stoliku przeglądającego katalogi z traktorami i przestraszoną Latynoską samotnie siedzącą przy pustym stoliku.

Ciemnowłosa, nie blondynka, jak powiedziała Vaughan. Siedzi i spogląda na zachód, jakby czekała na jakąś wiadomość z Rozpaczy.

Była drobnej budowy, miała osiemnaście lub dziewiętnaście lat. Długie ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku okalały twarz o wysokim czole i niezwykle wielkich oczach, małym

nosie i drobnych ustach. Brązowe oczy wyglądały jak dwa wielkie oceany cierpienia i rozpacz. Reacher podejrzewał, że dziewczyna potrafi się pięknie uśmiechać, ale nieczęsto jej się to udaje, a przynajmniej nie uśmiechała się od kilku ładnych tygodni. Miała brązową karnację. Siedziała nieruchomo jak posąg. Ręce trzymała pod stołem, złożone jak do modlitwy na kolanach. Miała na sobie ocieplaną kurtkę z naszywkami San Diego Padres narzuconą na T-shirt. Na stole nie stało przed nianie do jedzenia. Żadnego talerzyka ani kubeczka. A przecież nie przyjechała przed chwilą. Sposób, w jaki siedziała, wskazywał, że jest w bistro już przynajmniej od jakichś dziesięciu lub piętnastu minut. Była kompletnie pogrążona w rozmyślaniach.

Reacher stanął przy kasie i pochylił się przez ladę do kelnerki, przesyłając pozycją ciała informację: „Chcę z tobą porozmawiać po cichu”. Kelnerka pochyliła się do niego, jakby byli spiskowcami.

- Czy ta dziewczyna - zapytał - nic nie zamówiła?
- Ona nie ma pieniędzy - odpowiedziała.
- Proszę zapytać, co chciałaby zjeść. Zapłacę za nią.

Usiadł przy innym stoliku, skąd mógłby dyskretnie obserwować dziewczynę, bez nachalnego gapienia się. Zobaczył po chwili, jak podchodzi do niej kelnerka, i dostrzegł na jej twarzy zakłopotanie, wątpliwości i odmowę. Kelnerka podeszła do stolika Reachera i wyszeptała:

- Ona powiedziała, że nie może przyjąć pomocy.
- Wracaj do niej i powiedz, że nic od niej nie chcę. Zapewnij ją, że nie chcę jej poderwać i że nawet nie muszę z nią rozmawiać. Możesz jej też wspomnieć, że sam kiedyś nie miałem pieniędzy i bywałem głodny.

Kelnerka odeszła. Tym razem dziewczyna się poddała. Wskazała kilka pozycji w menu. Reacher podejrzewał, że wybrała najtańsze potrawy. Kelnerka oddaliła się, by przekazać zamówienie do kuchni, a dziewczyna odwróciła się nieco i pochyliła głowę w uprzejmym i pełnym godności podziękowaniu, a koniuszki jej ust lekko się uniosły w delikatnym uśmiechu. Po sekundzie odwróciła głowę i znowu znieruchomiła.

Kelnerka wróciła do Reachera i gdy zamawiał kawę, wyszeptała:

- Jej rachunek wyniesie dziewięć pięćdziesiąt. A pana półtora dolara.

Reacher wyciągnął dziesiątkę oraz trzy jednodolarówki ze zwitka i przesunął je po blacie. Kelnerka wzięła banknoty, podziękowała za napiwek i zapytała:

- Więc kiedy był pan bez pieniędzy i głodny?
- Nigdy. Przez całe życie dostawałem swoją dolę w armii i od tego czasu zawsze mam parę groszy w kieszeni.
- Więc pan to wszystko wymyślił, żeby ona poczuła się lepiej?
- Czasem ludzi trzeba trochę namawiać.
- Jest pan dobrym człowiekiem.
- Nie wszyscy tak uważają.
- Niektórzy jednak tak.
- Naprawdę?
- Różne rzeczy tu słyszę.
- Jakie rzeczy?

Ale kelnerka nic nie odpowiedziała i odeszła.

Z bezpiecznej odległości Reacher obserwował, jak Latynoska je grillowaną kanapkę z tuńczykiem i pije mleczny koktajl czekoladowy. Dobry wybór. Sycące jedzenie. Pożywne i warte pieniędzy. Białko, tłuszcz, węglowodany, trochę prostego cukru. Gdyby codziennie jadła takie posiłki, to przed trzydziestką ważyłaby pewnie z dziewięćdziesiąt kilogramów, ale w trudnych warunkach podczas podróży warto tak się naładować kaloriami. Gdy zjadła wszystko, wytarła usta chusteczką, odsunęła talerz i szklanę i siedziała cicho, bez ruchu, jak wcześniej. Zegar w głowie Reachera właśnie wybił północ, a zegar na ścianie bistro zrobił to



minutę później. Stary mężczyzna w siatkowej czapeczce z daszkiem poczłapał do wyjścia, kulejąc od artretyzmu, sprzedawca traktorów zebrał papiery i poprosił o jeszcze jeden kubek kawy.

Latynoska nadal siedziała w tym samym miejscu. Reacher widział wielu ludzi w takim stanie oczekiwania w kawiarniach i barach koło dworców autobusowych i kolejowych. Było tu ciepło; oszczędzała energię i spędzała jakoś czas. Sprawiała wrażenie, jakby coś w środku przeżywała. Obserwując jej profil, doszedł do wniosku, że była bliższa ideału stoickiego spokoju Zenona niż on sam. „Niekwestionowana akceptacja przeznaczenia”. Wyglądała na wcielenie nieskończonej równowagi i cierpliwości.

Sprzedawca traktorów dopił kawę, schował papiery i wyszedł. Kelnerka skryła się w rogu za ladą i wzięła do ręki książkę. Reacher otulił kubek dłonią, by ogrzać palce.

Latynoska nadal siedziała w tym samym miejscu.

Po chwili się poruszyła. Zsunęła się bokiem z ławki i stanęła obok stołu. Zrobiła to jednym, płynnym i wdzięcznym ruchem. Miała bardzo delikatną budowę ciała. Wzrost najwyżej metr pięćdziesiąt, waga nie więcej niż czterdzieści kilogramów. Ubrana była w T-shirt, dżinsy i tanie buty. Stała przez moment bez ruchu, patrząc na drzwi, po czym odwróciła się w stronę Reachera i skierowała do jego stolika. Na jej twarzy malowały się strach, nieśmiałość i samotność. Decyzja, by podejść do Reachera i zagadać do niego, musiała ją dużo kosztować.

- Możemy porozmawiać, jeśli panu na tym zależy. Jack pokręcił głową.

- Miałem na myśli tylko to, co powiedziałem.

- Dziękuję panu za obiad. - Jej głos pasował do drobnej postury. Była szczupła i delikatna. Mówiła z lekkim akcentem, ale angielski był prawdopodobnie jej pierwszym językiem. Pochodziła najpewniej z południowej Kalifornii. Padres musieli być drużyną sportową z jej miasta.

- Masz pieniądze na śniadanie? - zapytał Reacher. Stała przez chwilę bez słowa, aż zwalczyła swoją dumę i pokręciła głową.

- A na lunch? Albo obiad? - pytał dalej Reacher. Pokręciła głową.

- A pieniądze na motel?

- Tak. Zapłaciłam za trzy doby z góry i wydałam wszystko, co miałam.

- Przecież musisz coś jeść.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Reacher policzył w pamięci: dziesięć dolców na posiłek to trzydzieści dziennie, razy trzy dni to dziewięćdziesiąt, plus nieprzewidziane wydatki lub koszty telefonu do chłopaka. To daje razem stówę. Ściągnął ze zwitka nowe dwudziestodolarowe banknoty prosto z bankomatu i położył je na stole przed dziewczyną.

- Nie mogę przyjąć pieniędzy. Nie będę miała jak panu oddać.

- Odplacisz się komuś innemu. Dziewczyna nie odpowiedziała. ;

- Nie rozumiesz?

- Nie wiem, o co panu chodzi.

- To proste. Jeśli będziesz kiedyś w jakimś bistro i zobaczysz kogoś w potrzebie, to mu pomożesz.

Skinęła głową.

- To mogę zrobić.

- Więc weź te pieniądze. Podeszła bliżej i wzięła banknoty.

- Dziękuję panu.

- Mnie nie dziękuj. Podziękuj komuś, kto dawno temu mi pomógł. I temu, kto pomógł jemu wcześniej. I tak dalej.

- Czy był pan kiedyś w Rozpaczy?

- Cztery razy w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Czy spotkał tam pan kogoś?

- Wielu ludzi. To spore miasteczko.

Przybliżyła się jeszcze bardziej i oparła wąskie biodra o krawędź stołu. Podniosła tanią torebkę ze sztucznej skóry i odpięła klapę. Pochyliła głowę, włosy opadły jej po bokach. Miała drobne dłonie bez pierścionków na palcach, bez lakieru na paznokciach. Grzebała przez chwilę w torebce i wyciągnęła z niej kopertę. Była sztywna i prawie kwadratowa. Pewnie kiedyś kryła kartkę z życzeniami, pomyślał Reacher. Rozchyliła ją i wyjęła z niej fotografię. Trzymała ją delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym, oparła dłoń o stół w taki sposób, żeby Reacher mógł zobaczyć zdjęcie pod właściwym kątem.

- Czy widział pan tego mężczyznę? - zapytała.

Było to standardowe zdjęcie dziewczęć na trzynaście wywołane w ekspresowym punkcie fotograficznym. Błyszczący papier, bez ramek. Zrobione filmem wyprodukowanym przez Fuji, domyślił się Reacher. W dawnych czasach, gdy dla celów śledczych miało to jeszcze jakieś znaczenie, Jack stał się specjalistą w rozpoznawaniu błon fotograficznych ze względu na ich charakterystykę. Ta odbitka miała mocne zielenie, co charakteryzowało filmy Fuji. Negatywy Kodaka kładły większy nacisk na czerwienie i ciepłe kolory. Aparat fotograficzny, którym wykonano to zdjęcie, był porządny i miał obiektyw ze szklanymi soczewkami. O tym świadczyło dużo detali na zdjęciu. Ostrość nie była najlepsza. Wybór przesłony też pozostawiał wiele do życzenia, podobnie jak głębia ostrości. To musiał być stary aparat z niewymiennym obiektywem, wydedukował Reacher, pewnie kupiony w komisie albo pożyczony od starszej osoby. Teraz nie można już kupić w sklepie aparatów fotograficznych na film. Wszyscy przeszli na technologię cyfrową. Odbitka została wywołana niedawno, ale wyglądała na starą. Ładne i niezwykle zdjęcie zrobione starym aparatem na filmie fujicolor i wywołane przez fotoamatora.

Wziął odbitkę od dziewczyny, przytrzymał między kciukiem a palcem wskazującym. Jasna zieleń przeważała w tle i na T-shircie na pierwszym planie. Trawa musiała być podlewana, koszona i zadbana. Pewnie fotkę wykonano w parku miejskim. Tani T-shirt należał do chudego faceta, najwyżej dwudziestoletniego. Aparat fotograficzny był trzymany od dołu, więc zdjęcie robiła niższa osoba. Zdjęcie zostało upozorowane, a młody mężczyzna wyglądał oficjalnie i sztucznie. Nie było w nim żadnej spontaniczności. Może ktoś za długo grzebał przy dobieraniu ostrości i facet znudził się pozowaniem. Uśmiech był szczery, lecz jakby zamrożony. Przez usta przebierały białe zęby na tle brązowej skóry twarzy. Wyglądał młodo, przyjaźnie, sympatycznie, jak ktoś, z kim można miło spędzić czas, jak ktoś zupełnie nieszkodliwy.

Nie był tak po prostu chudy.

Raczej szczupły i żyłasty.

Ani niski, ani wysoki. Raczej średniego wzrostu.

Wyglądał na metr siedemdziesiąt.

I na siedemdziesiąt kilogramów.

Był Latynosem, ale miał w sobie tyle samo krwi Majów czy Azteków co Hiszpanów. Płynęło w nim dużo krwi indiańskiej.

To było oczywiste. Błyszczące czarne włosy, lekko rozczochrane, ani długie, ani krótkie, takie na trzy, cztery centymetry. Lekko się kręciły.

Miał wystające kości policzkowe.

Ubrany zwyczajnie.

Nieogolony.

Na podbródku i nad górną wargą widać było lekką czarną szczecinkę.

Na policzkach i na szyi już nie.

Młody.

Bardziej chłopiec niż mężczyzna.

- Czy pan go widział? - zapytała dziewczyna.

- Jak się nazywasz? - odpowiedział pytaniem Reacher.
- Ja?
- Tak.
- Maria.
- A jak on się nazywa?
- Raphael Ramirez.
- Czy to twój chłopak?
- Tak.
- Ile ma lat?
- Dwadzieścia.
- Ty zrobiłaś to zdjęcie?
- Tak.
- W parku w San Diego?
- Tak.
- Aparatem taty?
- Mojego wujka. A skąd pan to wie?

Reacher nie odpowiedział. Jeszcze raz spojrział na zdjęcia Raphaela Ramireza. Na chłopaka Marii. Dwadzieścia lat. Metr siedemdziesiąt. Żyłasta sylwetka. Włosy, kości policzkowe, zarost.

- Czy pan go widział? - powtórzyła dziewczyna. Reacher pokręcił przecząco głową.
- Nie. Nie widziałem go.

34

Dziewczyna wyszła z bistro. Reacher popatrzył za nią. Pomyślał, że gdyby zaproponował jej odprowadzenie do motelu, pewnie opacznie by to zrozumiała, jakby chciał uzyskać coś bardziej konkretnego za swoje sto dolców niż tylko uśmiech. Zresztą nic jej nie groziło w Nadziei. To miasteczko było bezpiecznym miejscem. Raczej nie włączyły się tu po ulicach przepełnione testosteronem hordy młodych mężczyzn. Był po prostu środek nocy w spokojnym, cichym miejscu w środku pustkowia. Więc Reacher przestał się przejmować bezpieczeństwem Marii i siedział w spokoju przy swoim stoliku. Przywołał spojrzeniem kelnerkę, studentkę pracującą na nocną zmianę, i poprosił o kolejny kubek kawy.

- Pan to chyba nigdy nie chodzi spać - stwierdziła.
- Jak często oficer Vaughan zagląda tutaj w nocy? Dziewczyna uśmiechnęła się tym samym uśmiechem co wcześniej, gdy powiedziała: „słyszę różne rzeczy”.
- Przynajmniej raz.
- Ona jest mężatką.
- Wiem o tym. - Kelnerka zabrała szklany czajnik i wróciła do swojej książki, zostawiając Jacka z gorącą kawą. Pochylił głowę i wciągał miły aromat. Gdy się wyprostował, zobaczył radiowóz Vaughan mijający bistro. Zwolniła, bo zapewne zauważyła swoją półcieżarówkę. Ale się nie zatrzymała. Pojechała dalej na Second Street.

Reacher wyszedł z bistro o pierwszej w nocy i szedł pieszo do motelu. Świecił księżyc. Miasto było pogrążone w ciszy. W recepcji motelu paliło się przytłumione światło. W pokojach było ciemno. Usiadł na plastikowym fotelu ogrodowym przed swoim pokojem, wyciągnął nogi, założył dłonie za głowę i wsłuchiwał się w ciszę z szeroko otwartymi oczyma, wpatrując się w księżyc.

Nic to nie dało. Nie potrafił się odprężyć.

„Pan to chyba nigdy nie chodzi spać”, stwierdziła kelnerka

Ale to nie z powodu kawy, wytłumaczył sobie Reacher.

Wstał i poszedł. Prosto do bistro. W środku nie było żadnych klientów. Kelnerka czytała książkę. Reacher pociągnął za klamkę, podszedł prosto do kasy i wziął z lady klucze do

samochodu Vaughan. Dziewczyna spojrzała na niego, lecz nic nie powiedziała. Jack cofnął się do drzwi i złapał je, zanim zdążyły się zamknąć. Poszedł wprost do półciężarówki. Otworzył drzwi kluczykiem, wsiadł i uruchomił silnik. Ruszył, skręcił w lewo i jeszcze raz w lewo; znalazł się na First Street i jechał w kierunku zachodnim. Pięć minut później podskoczył na siedzeniu, przejeżdżając przez granicę okręgów, i wjechał do Rozpaczcy.

• • •

Pierwsze dwadzieścia kilometrów pustej drogi zgodnie z wszelkimi przewidywaniami Jack pokonał bez przeszkód. Miasto też było pogrążone w ciszy. Reacher zwolnił do trzydziestu kilometrów na godzinę i uważnie się rozglądał. Każdy budynek był zamknięty na głucho i pogrążony w ciemności. Skręcił w lewo i skierował się do śródmiejskiego labiryntu. Wjeżdżał w przypadkowe ulice i okrążył wiele kwartałów, ale nie dostrzegł ani jednego zapalonego światła w oknie. Żadnych samochodów na ulicach, żadnych pieszych. Na posterunku policji też było ciemno. Kamienica z pokojami do wynajęcia była ciemna. Bar został już zamknięty, a okna zasłonięto żaluzjami. Fasada hotelu była pogrążona w mroku, drzwi zamknięte, a tuzin okien ciemnych i zamkniętych na głucho. Kościół wydawał się pusty i cichy. Miedziana taśma uziemiająca piorunochron połyskiwała w świetle księżyca na zielono.

Reacher dotarł do jakiejś poprzecznej ulicy i pojechał na południe w kierunku dzielnicy mieszkalnej. Była spowita ciemnością od jednego końca po drugi. Żadnych świateł w oknach domu sędziego Gardnera czy w ogóle gdziekolwiek. Żadnych śladów życia. Zaparkowane samochody, nieruchome w chłodzie nocy. Pojechał do końca tej ulicy, aż zamieniła się w słabo zagospodarowane place. Zawrócił na ubitym piachu, zatrzymał się i przyglądał się rozłożonemu przed nim miastu. Było oświetlone jedynie srebrzystym światłem księżyca. Wydawało się skulone w otchłani przestrzeni i pogrążone w ciszy, jakby opuszczone.

Ruszył w stronę Main Street. Skręcił w lewo i pojechał do przodu, na zachód, w kierunku zakładu recyklingu złomu.

• • •

Zakład był zamknięty i pogrążony w ciemności nocy. Nieruchomy i cichy. Ogrodzenie błyszczało blaskiem światła księżyca. Brama dla pracowników stała zamknięta. Parking po obu stronach drogi pusty. Reacher pojechał wzdłuż płotu, skręcając raz po raz w lewo i w prawo, aż odnalazł ślady opon tahoe. Przejechał się ich trasą, zataczając wielką ósemkę wokół fabryki i rezydencji. Obydwa obiekty były pogrążone w ciemności i ciszy. Żadnych świateł w domostwie. Żadnych świateł w ogrodzie. Drzewa ciemne i masywne. Rękawy wskazujące się wiatru wisiały bez ruchu. Brama wjazdowa zakładu była zamknięta. Reacher powoli ją minął i przeciął asfaltową drogę dla ciężarówek. Przejechał jeszcze ćwierć okręgu i zatrzymał się w miejscu, gdzie krzyżowały się dwa koła ósemki, w gardle pomiędzy metalowym ogrodzeniem fabryki a murem płotem rezydencji. Zgasił światła, wyłączył silnik, opuścił szybę i czekał.

Pięć po drugiej nad ranem usłyszał samolot. Jednosilnikowy, daleko nad horyzontem, połyskujący blaskiem księżyca i mrugający światłami. Odwrócił się i dostrzegł światło reflektora na niebie, daleko na południu. Światło lądowania. Wydawało się na zawsze zawieszony na niebie bez ruchu. Potem zaczęło niemal niedostrzegalnie rosnać i kołysać się z prawej na lewo, z góry na dół, ale głównie w dół. Mały samolot, podchodząc do lądowania w nocy, zawsze był narażony na warstwy powietrza o różnych temperaturach, powodujące odchylenia, które musiały być kontrowane silną ręką trzymającą stery. Hałas samolotu zaczął się przybliżać, lecz jednocześnie się ściszał, gdy pilot zmniejszał moc silnika i szykował się do lądowania.

Za murem ogrodzenia rozblęły światła. Oświetlenie lądowiska, pomyślał Reacher, po jednym reflektorze na początku i końcu pasa. Zobaczył, że samolot odbił w lewo, skorygował trajektorię w prawo i wyrównał lot zgodnie z linią świateł. Leciał od lewej strony Reachera. Gdy był zaledwie trzysta metrów od niego, Jack zauważył, że to mały, biały, dolno-płatowy

samolot. Gdy był dwieście metrów od niego, Reacher dostrzegł, że podwozie nie jest chowane, a koła są osłonięte owiewkami. Gdy był sto metrów od niego, Jack zidentyfikował samolot. Piper, prawdopodobnie w wersji cherokee, czteromiejscowy, trwały, bezawaryjny i popularny. Nie znał innych szczegółów technicznych, lecz wiedział co nieco o małych samolotach, jednak nie za dużo.

Samolot podchodził do lądowania i Reacher zobaczył go przez przednią szybę pick-upu, jak przelatuje od lewej do prawej w symfonii światła, powiewu powietrza i łoskotu silnika. Piper przeleciał dwa metry nad murem i zniknął z pola widzenia. Silnik zmienił dźwięk i po minucie dało się słyszeć złośliwe buczenie. Reacher domyślił się, że samolot kołuje jak gruby owad, biały w świetle księżyca, podskakując na nierównym lądowisku, aż wreszcie skręca ostro i kieruje się do hangaru. Silnik samolotu zamilkł i nastąpiła głucha cisza, jeszcze bardziej intensywna niż wcześniej.

Światła pasa startowego zgasły.

Nic więcej nie było już widać ani słyszeć.

Począł jeszcze dziesięć minut, tak na wszelki wypadek, po czym włączył silnik, wycofał, zawrócił i pojechał z drugiej strony fabryki, mając ją pomiędzy swoim samochodem a rezydencją. Przebiegł pusty parking i odnalazł szlak. Skręcił w lewo, okrążył krótki koniec zakładu i wjechał na drogę dojazdową dla ciężarówek. Włączył światła, umościł się w siedzeniu, przygotowując się do szybkiej jazdy po doskonałej nawierzchni drogi prowadzącej na zachód z miasta, w kierunku posterunku żandarmerii wojskowej i tego wszystkiego, co jeszcze mogło się znajdować sześćdziesiąt kilometrów dalej.

35

Żandarmi spali, poza dwoma pełniącymi nocną straż wewnątrz budki strażniczej. Reacher spostrzegł dwóch żołnierzy w przytłumionym świetle, ubranych w kamuflaż, kamizelki, z opaskami MP na ramionach, ale bez hełmów. Pomieszczenie oświetlało lekkie pomarańczowe światło przy podłodze, które nie przeszkadzało w obserwowaniu terenu w nocy. Żandarmi stali do siebie plecami, jeden patrzył na wschodnią, a drugi na zachodnią stronę. Reacher zwolnił i pomachał im ręką, po czym przyspieszył i pojechał dalej.

• • •

Pięćdziesiąt kilometrów dalej solidnie zbudowana droga ostro skręcała w prawo i ciągnęła się prosto jak strzała na północ przez mrok do odległej autostrady międzystanowej. Stary trakt, który do tego miejsca zmodernizowano i pokryto nową nawierzchnią, od tego zakrętu meandrował przez pustynię. Nie miał żadnych znaków drogowych i wydawał się ciągnąć donikąd. Reacher wjechał właśnie w tę drogę, zbudowaną w ten sam sposób co drogi okręgu Rozpacz: gruby żwir posypany na rozlany byle jak smołowaty asfalt. Przejechał koło pozostałości po dwóch farmach i wjechał na otwartą przestrzeń, z pustką po prawej i lewej stronie, mając przed sobą jedynie pokręconą wstążkę drogi i oświetlone blaskiem księżyca odległe góry. Przez pierwsze siedem kilometrów nic ciekawego nie dostrzegł. Wydawało mu się wręcz, że stał w miejscu, bo krajobraz w ogóle się nie zmieniał. Wtedy właśnie minął drogowskaz: „Droga hrabstwa Halfway numer 37”. Półtora kilometra dalej dostrzegł jakiś poblask. Wjechał na szczyt rozległego wzgórza, z którego nagle rozpostarł się przed nim widok na regularną szachownicę oświetlonych ulic i białych zabudowań. Dwa kilometry dalej minął tablicę informacyjną oznaczającą granicę okręgu miasta Halfway. Zwolnił, spojrzął w lusterko wsteczne, zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

Rozpościerające się przed nim miasto miało odpowiednio dobraną nazwę do swojego położenia. Kolejny topograficzny trik sprawił, że oświetlone blaskiem księżyca Góry Skaliste zdawały się bliskie. Twardzi osadnicy, którzy opuścili Rozpacz, w nagrodę za prawie siedemdziesiąt kilometrów wędrówki otrzymali złudzenie, że przebyli setki kilometrów. Ale nauczeni już gorzkim doświadczeniem nie ulegli iluzji, nie wybuchli entuzjazmem i następne

miejsce postoju nazwali ostrożnie „Halfway”, prawdopodobnie mając cichą nadzieję, że ich skromność zostanie prawdziwie nagrodzona i okaże się, że dotarli dalej niż tylko do połowy drogi. Niestety, ich nadzieje były płonne, skonstatował Reacher. Siedemdziesiąt kilometrów to tylko siedemdziesiąt kilometrów, bez względu na złudzenie optyczne. W rzeczywistości pokonali dopiero jedną piątą drogi. Wozy osadników opuściły Rozpacz, wioząc jedynie najśmielszych optymistów, a nazwa osady Halfway, którą wtedy założyli, świadczyła o sile ich ducha. Miasto nawet w ciemnościach nocy wyglądało na czyste, porządne i o wiele żywsze niż Rozpacz w środku dnia. Było wielokrotnie przebudowywane, nie zostały się zabytki z pionierskich czasów. W ocenie Reachera większość zabudowań pochodziła z lat siedemdziesiątych, co poznał po charakterystycznym tynkowaniu, i z lat osiemdziesiątych, o czym świadczyły przeszklone frontony. Nigdzie nie dostrzegł ceglanych budynków z dziewiętnastego wieku. W erze szybkiego transportu nie miało większego znaczenia, czy wybrać to, czy sąsiednie miasto na miejsce godne inwestycji, bo najbardziej liczyły się wigor i otwartość mieszkańców. Rozpacz cierpiała, a Halfway prosperowało. I znowu optymiści wygrali, jakby zasłużyli na to swoją postawą życiową.

Reacher ruszył i zaczął toczyć się w dół wzgórza w stronę miasta. Minęła trzecia w nocy. Wiele miejsc było jaskrawo oświetlonych, lecz niewiele rzeczywiście otwartych. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że tylko stacja benzynowa i bar kawowy są czynne. Zarówno miasto, jak i hrabstwo miały tę samą nazwę, a Reacher wiedział z doświadczenia, że w takich przypadkach znacznie więcej zakładów i punktów obsługi powinno działać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na przykład - policja hrabstwa. Muszą mieć gdzieś komendę z całodobową obsługą. Na pewno znajdują się tu szpital i czynna cała dobę izba przyjęć. A skoro są te dwa przybytki, to musi być też trzeci, obsługujący szarą strefę pomiędzy nimi, którą interesowałyby się policja, lekarze natomiast już nie, czyli - kostnica. Na pewno jest otwarta dla swoich klientów przez cały dzień i całą noc. Siedziba hrabstwa nadzorująca kilka okręgów miejskich musiała zapewnić wszelkie podstawowe usługi sporemu obszarowi. Zarówno w Nadziei, jak i w Rozpaczy nie było przecież kostnicy, ani nawet „porządnej chłodni na mięso”, jak powiedziała Vaughan. Przepuszczalnie inne pobliskie miasteczka były w identycznej sytuacji. A skoro ludziom od czasu do czasu zdarzało się kopnąć w kalendarz, to taki ambulans musiał gdzieś odwieźć ciało. Przecież nie zostawiało się zwłok ludzkich, by ktoś zajął się nimi następnego dnia, gdy wstanie słońce. Przynajmniej tak powinno się dziać.

Reacher postanowił nie wjeżdżać do centrum miasta. Wiedział, że kostnice zwykle zlokalizowane są koło szpitali, a nowe szpitale zazwyczaj budowano na przedmieściach, gdzie było dużo taniej ziemi. Do Halfway dochodziła jedna droga od wschodu i pajęczyna czterech dróg wychodzących na północ i zachód. Reacher natrafił na szpital kilometr od drugiej wylotówki z miasta. Szpital był rozległy jak kampus uniwersytecki, jego budynki wyglądały jak hotele w górskim kurorcie. Sprawiał wrażenie spokojnego i przyjaznego ludziom miejsca, jakby choroby i śmierć nie były tym, czym w ogóle warto się przejmować. Przed szpitalem znajdował się wielki parking dla samochodów, który o tej porze był pusty, nie licząc kilku poobijanych samochodów blisko bramy dla pracowników i jednego lśniącego sedana stojącego w części parkingu oznaczonej rzucającą się w oczy tablicą z groźnym napisem: „Parking tylko dla personelu medycznego”. Z budynku za parkingiem unosiły się kłęby pary. Reacher domyślił się, że to pralnia, w której najprawdopodobniej pracowali na nocnej zmianie kierowcy poobijanych samochodów, doglądając prania ręczników i pościeli, podczas gdy kierowca lśniącego sedana starał się utrzymać przy życiu pacjentów, by mogli skorzystać z wyczyszczonych rzeczy jeszcze następnego dnia.

Reacher zrezygnował z wjechania na teren szpitala bramą główną. Chciał jedynie spotkać się z nieboszczykami, a nie z chorymi ludźmi, i dokładnie wiedział, jak to osiągnąć. W swoim życiu zwiedził o wiele więcej kostnic niż oddziałów szpitalnych. Kostnice zwykle były usytuowane na uboczu. Kwestia wrażliwości ludzkiej. Nie miały nawet oficjalnych tablic

informacyjnych na frontach. Czasem oznaczało się je jedynie jakąś tablicą z neutralnym napisem w stylu: „Zakład Usług Specjalnych”. Ale zawsze były otwarte. Towar musiał przecież wjeżdżać i wyjeżdżać bez żadnych ograniczeń.

Kostnica hrabstwa Halfway mieściła się z tyłu, za budynkiem szpitalnej pralni, co, jak pomyślał Reacher, było najwłaściwszym rozwiązaniem. Kłęby unoszącej się pary z kominów pralni doskonale kryły dymy z kominów krematorium. Kostnica była ładnym, niskim budynkiem w stylu górskiego hotelu. Została ogrodzona wysokim płotem ze stalowych prętów, a dostępu do niej broniła przesuwana brama i budka strażnika.

Ogrodzenie było solidne, brama zamknięta, a w budce siedział strażnik.

Reacher zaparkował samochód przy ogrodzeniu, wygramolił się z półciężarówki i rozciągnął ramiona. Strażnik obserwował go z budki. Jack przestał się przeciągać, rozejrzał się dookoła, jakby szukał koordynatów w przestrzeni, i ruszył prosto do budki strażnika. Ten odsunął okienko i pochylił głowę, jakby musiał wystawić ucho na otwartą przestrzeń, by wyraźnie słyszeć. Był mężczyzną w średnim wieku, szczupłym, prawdopodobnie dobrze przeszkolonym, ale niezbyt ambitnym. Ochroniarz do wynajęcia. Miał na sobie czarny mundur z plastikową tłoczoną odznaką, jakby ze sklepu z zabawkami. Napis na odznace głosił: „Ochrona”. I nic więcej. Można by użyć tej odznaki podczas służby na drugim etacie w centrum handlowym. Może nawet tak było. Może facet miał dwa etaty i tylko tak udawało mu się związać koniec z końcem.

Reacher pochylił głowę do okienka.

- Muszę coś sprawdzić w związku z facetem, którego przywieźli wczoraj rano z Rozpaczy - odezwał się do strażnika.

- Obsługa jest w środku - odpowiedział ochroniarz. Jack kiwnął głową, jakby była to dla niego nowa i cenna

informacja, i czekał, aż facet naciśnie guzik i otworzy się brama. Ale strażnik się nie poruszył.

- Miał pan służbę wczoraj rano? - zapytał Reacher.

- Rano jest dla mnie od północy.

- Chodzi mi o godziny po wschodzie słońca.

- To nie ja. Ja kończę o szóstej.

- Może mnie pan wpuścić do środka? Żebym mógł porozmawiać z obsługą? - poprosił Reacher.

- Oni też zmieniają się o szóstej.

- Ale mają jakąś dokumentację.

- Nie mogę.

- Czego pan nie może?

- Nie mogę pana wpuścić. Tylko przedstawiciele policji i oficjalnych urzędów. No i ambulanse ze świeżą dostawą.

- Ja jestem z policji. Jestem zastępcą z Departamentu Policji w Rozpaczy. Mam tu coś do sprawdzenia.

- Muszę zobaczyć jakieś zaświadczenie albo legitymację.

- Nie dają nam specjalnych papierów. Jestem przecież tylko zastępcą.

- Muszę coś zobaczyć.

Reacher kiwnął głową, wyciągnął zdobyczną cynowo-ołowianą odznakę zastępcy z kieszeni koszuli. Strażnik przyjrzał się jej dokładnie. Miasto Rozpacz. Zastępca szeryfa.

- Tylko to mam - wyjaśnił Jack.

- Mnie wystarczy - odparł facet i nacisnął guzik. Zakręcił się silnik, zadziałało sprzęgło i brama zaczęła się przesuwać wzdłuż nasmarowanej prowadnicy. Gdy tylko uchyliła się na metr, Reacher przeszedł przez nią i skierował się przez podwórko zalane światłem żółtej lampy siarkowej wprost do drzwi dla personelu z wywieszką: „Przyjęcie”. Wszedł bez pukania do poczekalni, jakich miliony już odwiedził w swoim życiu. Biurko, komputer,

tabliczki z notatkami, tony papierów, tablice informacyjne, dwa drewniane fotele z obiciami w kratkę. Wszystko stosunkowo nowe, lecz już dość zużyte. Wprawdzie działały nagrzewnice, ale w powietrzu czuło się chłód. Znajdowały się tu jeszcze zamknięte drzwi prowadzące gdzieś dalej, ale Reacher i tak wyczuł ostry zapach chemikaliów przedostający się z dalszych pomieszczeń. Dwa fotele były zajęte przez dwóch facetów. Obydwaj biali, młodzi i szczupli. Widać było po nich, że potrafią pracować zarówno głowami, jak i rękami. Znudzeni i zblazowani, czego Reacher spodziewał się po ludziach pracujących na nocną zmianę w przechowalni pełnej sztywnych. Spojrzeli na niego trochę źli z powodu ingerencji w ich zamknięty świat i odrobinę zadowoleni, że ktoś zaburzy ich conocną rutynę.

- W czym można pomóc? - odezwał się jeden z nich.

- Muszę coś sprawdzić w związku z facetem, którego tu wczoraj przywieźliśmy - odpowiedział Reacher, unosząc do góry wytłaczaną odznakę zastępcy.

- Z Rozpaczy? - zapytał jeden z pracowników, odczytując napis na odznace.

Reacher skinął głową.

- Tak. Mężczyzna. Śmierć z przyczyn naturalnych. Młody, szczupłej budowy ciała.

Jeden z facetów uniósł się z fotela i usiadł przy biurku, wstukał coś w klawiaturę komputera, by pobudzić monitor do działania. Drugi okręcił się w fotelu i wziął do ręki tabliczkę z przypiętym notatnikiem, polizał palec i zaczął przeglądać strony. Obaj w tej samej chwili doszli do identycznych wniosków. Spojrzeli po sobie, a ten, który wcześniej się odezwał, powiedział:

- Nic nie dostaliśmy wczoraj z Rozpaczy.

- Jesteście tego pewni?

- Pan go sam tu przywiózł?

- Nie.

- Skąd pan wie, że zmarł z przyczyn naturalnych? Może był powypadkowy?

- Nie, to była śmierć naturalna. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- To my go nie mamy.

- Nie ma możliwości pomyłki?

- Absolutnie nie.

- A papiery zawsze są w stu procentach w porządku?

- Muszą być. Na początku zmiany sprawdzamy zgodność przywieszek na zwłokach z listą. Taka procedura. No bo ludzie są wrażliwi na punkcie zaginięcia zwłok ich krewnych.

- To chyba zrozumiałe.

- Więc dziś mamy pięciu na liście i pięciu w chłodni. Dwie kobiety i troje mężczyzn. Nie byli młodzi. I nie są z Rozpaczy.

- A gdzie mogliby jeszcze zabrać nieboszczyka?

- Już nigdzie w naszym hrabstwie. A żadne inne hrabstwo by go nie przyjęło.

Facet postukał w klawiaturę.

- Ostatni sztywny z Rozpaczy wjechał do nas ponad rok temu. Wypadek przy pracy w ich zakładzie metalurgicznym. Wciągnęła go maszyna, o ile dobrze pamiętam. Niezbyt przyjemny widok. Był tak rozklejony, że musieliśmy włożyć go do dwóch szuflad.

Reacher skinął głową, a mężczyzna okręcił się w fotelu, siedząc teraz tyłem do biurka z wyciągniętymi nogami i rękami założonymi za kark.

- Przykro mi - powiedział na koniec.

Reacher jeszcze raz skinął głową w podziękowaniu i wyszedł na podwórko zalane światłem lampy siarkowej. Samozamykacz docisnął drzwi do futryny. „Przypuszczanie jest jak szczenie pod wiatr. Można obściskać siebie i kolegów”. Kolesie ze szkoły w Rucker uzupełnili ten wywód: „Musisz sprawdzić kierunek wiatru. Absolutnie”. Reacher przeszedł po betonowej płycie podjazdu, poczekał, aż uchyli się brama, wyszedł na zewnątrz i wsiadł do pick-upu Vaughan.



Właśnie sprawdził.  
Absolutnie.

36

Reacher przejechał niecałe dwa kilometry i zatrzymał się w barze bistro otwartym non stop, gdzie zjadł cheeseburgera i wypił trzy kubki kawy. Burger był niedosmażony i sflaczały, ale kawa za to tak dobra jak w knajpie w Nadziei. Kubek niestety gorszej jakości, ale w miarę akceptowalny. Jack przeczytał pognieciony egzemplarz gazety z poprzedniego ranka, po czym przedrzemał na siedząco całą godzinę. Wyszedł z bistro o piątej rano, gdy pojawili się pierwsi klienci gotowi na śniadanie i przebudzili go głośnymi rozmowami i zapachem czystości związanej z poranną higieną. Zatankował na całodobowej stacji benzynowej i wyjechał z miasta na wschód tą samą drogą o chropowatej nawierzchni, którą przyjechał. Daleko za plecami zostawił góry, zmierając w stronę świtu majającego za horyzontem.

• • •

Jechał ze stałą prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę i minął posterunek żandarmerii wojskowej pięćdziesiąt dwie minuty później. Nadal było tam cicho. Dwóch facetów pełniło służbę w pawilonie strażników, jeden obserwował wschód, drugi zachód. Nadal paliło się nocne światło. Reacher podejrzewał, że pobudka będzie o szóstej trzydzieści, a śniadanie o siódmej. Nocna zmiana zacznie jeść obiad, a dzienna śniadanie o tej samej godzinie. Prawdopodobnie nawet te same dania.

Jednostki bojowe działające z wysuniętych baz operacyjnych nie miały zbyt wielu udogodnień. Pomachał żołnierzom i jechał dalej sześćdziesiąt pięć na godzinę. Dotarł do zakładu metalurgicznego punktualnie o szóstej rano.

Początek dnia pracy.

Światła olbrzymiego placu wewnętrznego były włączone i cała fabryka tonęła w niebieskim blasku, zupełnie jak w samym środku dnia. Z daleka było widać światła reflektorów samochodowych podążające na zachód, kiwające się na nierównościach, skręcające, nurkujące, wreszcie zatrzymujące się i gasnące. Reacher zwolnił, zjechał z asfaltu pod kątem, przejechał przez ubitą ziemię, która spełniała funkcję parkingu, i zaparkował pomiędzy starym chryslerem a poobijanym fordem pick-upem. Zsunął się z fotela, zamknął samochód, wsunął kluczyki do kieszeni i wmieszał się w gromadzący się tłum mężczyzn podążających do bramy dla pracowników. Niezbyt przyjemne uczucie. Zupełnie jakby wszedł na stadion baseballowy w koszulce z kolorami drużyny przeciwnej. Obcy w domu. Mężczyźni przyglądali mu się z ciekawością i usunęli się odrobinę, tworząc trochę więcej miejsca wokół niego, niż pozostawiali sobie. Ale nikt się nie odezwał. Nie dało się odczuć żadnej otwartej wrogości. Jedynie ostrożność i skryta obserwacja podczas powolnego przemieszczania się w kierunku wejścia na teren zakładu tuż przed nadchodzącym brzaskiem.

Brama dla pracowników zakładu składała się z dwóch skrzydeł z paneli metalowych, identycznych z tymi w ogrodzeniu, obracanych na zawiasach tak skomplikowanych, jak wymuszała to pokrętna struktura płotu. Szlak z ubitej przez miliony kroków ziemi zwiężał się w wejściu. Im bliżej bramy, tym mniej było przepychanki. I żadnego okazywania zniecierpliwienia. Mężczyźni tworzyli rząd, dołączając do niego z lewej i prawej, jak automaty, ani za szybko, ani za wolno, raczej z rezygnacją. Wszyscy musieli podbić karty pracy, ale wyglądało na to, że woleliby tego nie robić.

Kolejka posuwała się powoli naprzód, raz, dwa, trzy.

Mężczyźni idący przed Reacherem przekroczył granicę zakładu.

Reacher wszedł przez bramę tuż za nim.

Za wejściem były kolejne ściany z metalu, wysokie na wzrost człowieka; wyglądały jak bramki i ogrodzenia dla bydła, rozdzielające tłum na prawo i lewo. Odnoga po prawej stronie wiodła do miejsca oczekiwania, gdzie, jak domyślał się Reacher, czekali na wezwanie

robotnicy czasowi. Placyk był już w ćwierci zapełniony mężczyznami stojącymi w pokornej ciszy. Robotnicy skręcający w lewo nie spoglądali nawet w tamtym kierunku.

Jack skierował się w lewo.

Lewa odnoga ostro skręcała i zwężała się do szerokości około jednego metra i dwudziestu centymetrów. Prowadziła kolejkę ludzi do starodawnego urządzenia służącego do rejestracji obecności w pracy, obok którego były specjalne półki z mnóstwem prostokątnych tekturek. Każdy mężczyzna wyciągał swoją kartę, wsuwał ją w szczelinę maszyny, przeczekiwał głuche uderzenie stempla, wyjmował kartę i odkładał ją na swoje miejsce. Rytm tego działania był wolny i niczym niezmacony. Szeleszczący dźwięk sztywnego papieru zderzającego się z metalem, uderzenie stempla i stuknięcie, gdy karta lądowała na dnie przegródki, do której była z powrotem wrzucana. Zegar wskazywał szóstą czternaście, co całkowicie pokrywało się ze wskazaniem zegara w głowie Reachera.

Przeszedł obok maszyny. Śluza znowu skręcała. Idąc za jakimś mężczyzną jeszcze przez dziesięć metrów, znalazł się w północno-wschodnim narożniku głównego placu zakładu. Plac był rozległy, wręcz niesłychanie wielki. Linia lamp na odległym ogrodzeniu biegła przez półtora kilometra aż do prawie niewidocznego południowo-wschodniego narożnika. To ogrodzenie było co najmniej siedemset metrów dalej. Ogrodzony teren zakładu obejmował setki hektarów ziemi. Mogło się to z powodzeniem pomieścić jakieś trzysta boisk do futbolu. Niesamowite.

Reacher stanął z boku, by przepuścić idących za nim mężczyzn. Tu i ówdzie na olbrzymim placu grupy robotników już zaczęły codzienną krzątanie. Ciężarówki i dźwigi rozpoczęły swoje manewry. Rzuciły przeraźliwe cienie w świetle jupiterów tej niezwyklej areny. Reacher po raz pierwszy zobaczył tak wielkie dźwigi. Niektóre z nich wydawały się nawet większe od tych w portach przeładunkowych. Ciężarówki były olbrzymie jak potężne sychacze. Na ogromnych betonowych cokołach stały gigantyczne zgniatarki do złomu. Hydrauliczne ramiona teleskopowe wyglądały na grubsze od pni sekwoi. Stojące obok tygle były większe od dużych jachtów, a kotły wielkie jak domy mieszkalne. Stosy złomu samochodowego sięgały dziesięciu pięter wysokości. Ziemia była przesączona olejem, pokryta kałużami tęczowych plam ropy i usiana spiralami stalowych skrawków iskrzących się metalowym połyskiem. W powietrzu unosiły się opary, dymy, spaliny i ostry zapach chemikaliów. Łomot i dudnienie pras pulsowały naprzemiennie w powietrzu, odbijając się falami hałasu o metalowy płot i nasilając łoskot wpadający do ucha. Świetliste płomienie tańczyły za otwartymi pokrywami pieców hutniczych.

To było jak wizja piekła.

Niektórzy mężczyźni zaczęli wykonywać wcześniej powierzone im obowiązki, a pozostali czekali w grupach na przydzielenie bieżących zadań. Reacher minął ich i poszedł wzdłuż północnego płotu, czując się jak nic nieznaczący obiekt w chaosie zakładu. Daleko przed nim, w północno-wschodnim narożniku, otwierano właśnie bramę wjazdową. W rzędzie na wyjazd czekało już pięć ciągników z naczepami. Na zewnątrz będą wydawały się potężne i dominujące. A w środku zakładu wyglądały jak zabaweczki. Dwa białe chevrolety tahoe ochrony parkowały w szeregu jak malutkie białe piłeczki w ogromie zakładu. Obok nich znajdowała się góra składająca się z pięciu warstw czterdziestostopowych kontenerów do transportu morskiego. Z daleka każdy z nich wyglądał jak małe pudełeczko.

Na południe od bramy dla ciężarówek znajdował się długi szereg prefabrykowanych pawilonów biurowych. Dla wyrównania poziomu ustawiono je na niskich podporach. W środku paliły się światła. Na lewym skraju były dwa białe kontenery z namalowanymi czerwonymi krzyżami na drzwiach. Punkt pomocy medycznej. Był tak duży, że mógłby pomieścić ambulatorium przyszpitalne. Przed punktem stał ambulans, obok niego zaś długi szereg cystern z paliwem i substancjami chemicznymi. Za nimi uwijał się ponury pluton ludzi w grubych fartuchach i czarnych maskach spawalniczych, którzy palnikami acetylenowymi

cięli jakieś masy pogieętego złomu. Niebieskie płomienie rzucały szkaradne cienie. Reacher trzymał się północnego płotu i szedł dalej. Robotnicy spoglądali na niego i niepewnie odwracali wzrok. Po przemierzeniu jednej czwartej drogi natrafił na piramidę metalowych, czerwonych, wyblakłych beczek po oleju. Ustawiono je w dziesięciu warstwach. Jack zatrzymał się przy nich, rozejrzał dookoła i zaczął się po nich wspinać jak po wielkich schodach. Dotarł do połowy piramidy, wyprostował się ostrożnie, utrzymując równowagę, i rozejrzał dookoła.

Wcześniej nie widział jeszcze wszystkiego.

Niestety, nie.

Było tam o wiele więcej do zobaczenia.

O wiele więcej.

To, co wyglądało jak południowa granica, stanowiło w rzeczywistości jedynie wewnętrzne ogrodzenie. Płot był tej samej wysokości co ogrodzenie zewnętrzne, wykonany z tego samego materiału, tak samo zbudowany i pomalowany na ten sam kolor. I miał dokładnie ten sam cel - stworzenie bariery nie do pokonania. Ale przecież był to tylko płot wewnętrzny, za to z zamykaną bramą. Ten wewnętrzny teren zajmował obszar przynajmniej czterdziestu hektarów. Kolejne sto boisk futbolowych. Brama wyglądała na wystarczająco szeroką, by przepuścić największe ciężarówki. Wiodły do niej głębokie koleiny. Znajdowały się tam potężne dźwigi i wysokie piramidy z morskich kontenerów. Wyglądały, jakby porzucono je niechlujnie, ale w rzeczywistości celowo ustawiono je w taki sposób, by ze wszystkich stron jak najściślej zasłonić przez wzrokiem niepowołanych wszelką działalność, którą prowadzono na poziomie gruntu.

Wewnętrzna brama miała zewnętrzną strażnicę. Reacher dostrzegł w niej dwóch znudzonych facetów krążących w kółko z rękami w kieszeniach. Obserwował ich przez minutę, po czym przeniósł wzrok za wewnętrzny płot. Dźwigi i przesłony. Trochę dymu, trochę iskier. Jakaś praca. Ale oprócz tego nic nie potrafił zobaczyć. Różne dźwięki, których nie potrafił rozpoznać. Trudno było ustalić, skąd dokładnie pochodziły. Stał tam jeszcze przez minutę, obserwując ruch pojazdów i ludzi na placu. Spory ruch, ale nikt nie kierował się w stronę wewnętrznej bramy. Miała pozostać zamknięta. Jack odwrócił się na wschód i popatrzył na niebo. Nadchodził świt.

Odwrócił się, złapał równowagę i zaczął schodzić po beczkach. Gdy zeskoczył na ziemię, usłyszał pytanie za swoimi plecami:

- A ty kim jesteś, do jasnej cholery?

Reacher odwrócił się powoli i zobaczył dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich był ogromny, ale ten drugi okazał się prawdziwym wielkoludem. Mniejszy z olbrzymów trzymał w dłoni krótkofalówkę, większy zaś dzierżył dwugłowy klucz nasadowy, długi jak kij baseballowy i prawdopodobnie cięższy niż dziesięć takich kijów. Facet musiał ważyć ze sto sześćdziesiąt kilogramów. Wyglądał, jakby nawet nie potrzebował klucza, by rozebrać wrak samochodu na części pierwsze.

Facet z krótkofalówką jeszcze raz zapytał:

- Kim jesteś, do jasnej cholery?

- Inspektorem z Agencji Ochrony Środowiska - odpowiedział Reacher.

Brak odzewu.

- Żartowałem - dodał Jack.

- Lepiej dla ciebie, żebyś nim był.

- Kimś tam jestem.

- To znaczy kim?

- Wy pierwsi. Kim wy jesteście?

- Jestem nadzorcą zakładu. A ty?

Reacher wyciągnął ołowianą odznakę z kieszeni.

- Jestem nowym zastępcą. Zapoznaję się z otoczeniem.
- Nie słyszeliśmy o żadnych nowych zastępcach.
- To stało się nagle.

Facet podniósł radio do twarzy, nacisnął guzik i zaczął szybko mówić niskim głosem. Nazwiska, kody, komendy. Reacher nic z tego nie rozumiał i nawet nie spodziewał się, że cokolwiek zrozumie. Każda organizacja miała swój własny żargon. Ale rozpoznał ton i domyślił się znaczenia przekazu. Odwrócił się, spojrzął w kierunku zachodnim i dostrzegł dwa zawracające tahoe, kierujące się wprost na nich. Spojrzął na południe i zobaczył grupy robotników wstrzymujące pracę, przygotowujące się do działania.

- Pojedziemy do biura ochrony - powiedział nadzorca zakładu.

Reacher się nie poruszył.

- Jako nowy zastępca powinienes obejrzeć biuro ochrony. Spotkać się z ludźmi, z którymi może współpracować. Nawiązać przydatne kontakty. Jeśli naprawdę jesteś zastępcą.

Reacher nie ruszył się z miejsca. Jeszcze raz spojrzął na zachód i zobaczył, że obydwie tahoe są już w połowie drogi, jeszcze jakieś kilkaset metrów od miejsca, w którym stali. Zerknął na wschód i ujrzał, że grupki robotników zaczynają się powoli do nich zbliżać, a wśród nich byli mężczyźni w fartuchach i maskach spawalniczych. Dziesięciu facetów ocieźale człapało w żaroodpornych kaloszach. Wielu innych zbliżało się z różnych kierunków. Razem może nawet dwustu ludzi. Za pięć minut przed beczkami zbierze się spory tłum. Gigant z kluczem w ręku zrobił krok do przodu. Reacher się nie poruszył i spojrzął mu prosto w twarz. Rozejrzał się na boki, na zachód i na południe. Tahoe były już blisko i zwalniały. Robotnicy nadal zacieśniaли krąg. Szli ramię w ramię. Byli już wystarczająco blisko, by Jack zobaczył narzędzia w ich rękach. Młoty, łomy, rury, przecinaki.

- Wszystkim nie poradzisz - stwierdził zarządca. Reacher kiwnął głową. Z samym olbrzymem byłoby już ciężko,

ale można by spróbować, gdyby nie trafił go kluczem za pierwszym razem. Później mógłby stanąć do walki czterech na jednego, a może przeżyłby nawet sześć na jednego. Ale nie dwustu na jednego. Żadnej szansy. Sto dziesięć kilogramów nie poradzi dwudziestu tonom mięśni. W kieszeni miał dwa zdobywcze noże sprężynowe, ale ich możliwości były ograniczone w zetknięciu z kilkoma tonami żelastwa w rękach robotników.

Niedobrze.

- No to chodźmy. Mogę wam poświęcić pięć minut - zgodził się Reacher.

- Poświęcisz nam tyle czasu, ile będziemy chcieli - odpowiedział zarządca.

Pomachał do najbliższej znajdującego się tahoe, który natychmiast podjechał. Reacher usłyszał chrzęst zatłuszczonych kamieni i poskręcanych skrawków metalu pod kołami. Gigant otworzył tylne drzwi i gestem nakazał: „wsiadaj”, używając do tego swojego klucza. Jack wgramolił się na siedzisko. Samochód miał zwykłe wykończenie. Plastik i materiał. Żadnej skóry i drewna, żadnych głupotek i gadżetów. Olbrzym też wsiadł do tyłu i przycisnął go do przeciwnych drzwi. Zarządca usiadł obok kierowcy. Samochód ruszył, zawrócił i skierował się w stronę szeregu pawilonów biurowych usytuowanych na południe od bramy wjazdowej dla ciężarówek. Gdy tahoe powoli przejeżdżał przez środek nadchodzącego tłumu, Reacher mógł się z bliska przyjrzeć twarzom wpatrującym się w niego przez szyby - szara skóra zabrudzona olejem, zepsute zęby, oczy szeroko rozwarte ze zdziwienia zaistniałą sytuacją.

• • •

Biuro ochrony mieściło się na północnym skraju szeregu pawilonów, tuż przy bramie dla ciężarówek. Tahoe zatrzymał się przed biurem, obok sterty starych splątanych pasów używanych do mocowania ładunków na platformach ciężarówek. Reacher wyszedł z samochodu przed olbrzymem i znalazł się u podnóża drewnianych schodków wiodących do drzwi biura. Pokonał kilka stopni, pchnął drzwi i wszedł do wnętrza prefabrykowanego pokoju, które najprawdopodobniej zaprojektowano jako pomieszczenie biurowe i socjalne dla

pracowników budowlanych. Ten kontener miał ponad sześć metrów długości, trzy i pół metra szerokości oraz dwa i pół metra wysokości. Pięć okien miało grube szyby z pleksi, na zewnątrz zabezpieczone silną, drobną kratą. Poza tym wewnątrz przypominało pokój recepcyjny w kostnicy hrabstwa Halfway. Biurko, papier, tablice informacyjne, fotele, całe wyposażenie zużyte w sposób typowy dla użytkowników, którzy nie są jednocześnie jego właścicielami.

Zarządca wskazał Reacherowi krzesło i wyszedł. Wielkolud przyciągnął taboret i zwałił się na niego, blokując dostęp do drzwi. Klucz położył na podłodze. Podłoga była wykonana ze zwykłej płyty paździerzowej, więc upadający klucz narobił trochę hałasu. Reacher siedział na krześle w rogu pomieszczenia. Drewniane podłokietniki, obite siedzenie i oparcie. Nawet dość wygodne.

- Macie tu kawę? - zapytał.

- Nie - odparł po chwili olbrzym. Krótkie słowo i do tego odpowiedź negatywna, ale przynajmniej się odezwał. Reacher wiedział z doświadczenia, że najtrudniej jest rozpocząć rozmowę z adwersarzem. Szybka odpowiedź dawała dobre rokowania. I odpowiadanie stawało się czymś zwyczajowym.

- Czym się tu zajmujesz? - zapytał Reacher.

- Pomagam tam, gdzie jestem potrzebny - odpowiedział olbrzym. Jego głos należał jakby do zwykłego człowieka, ale został wzmocniony przez to, że powietrze musiało się wydobyć z tak potężnej klatki piersiowej.

- Co tu się odbywa?

- Recykling metalu.

- A co robicie w tej tajnej części?

- Jakiej tajnej części?

- Tej na południu. Za ogrodzeniem.

- To nasz śmietnik, składujemy tam złom, który już się do niczego nie nadaje. Nic w tym tajnego.

- To dlaczego jest ogrodzone i pilnowane?

- Żeby ludzie się tam niepotrzebnie nie kręcili. Ktoś z lenistwa mógłby porzucić tam jakiś dobry złom i wtedy stracilibyśmy pieniądze.

- Należysz do kierownictwa?

- Jestem brygadziwą.

- A nie chcesz nadzorować mojego wyjścia stąd?

- Nie możesz stąd wyjść.

Reacher wyrzwał za okno. Słońce było już nad horyzontem. Za pięć minut pojawi się ponad wschodnim ogrodzeniem. Mógłbym stąd wyjść, pomyślał. Brama wjazdowa była otwarta. Zaczął się już ruch ciężarówek. Dobry moment. Wystarczy tylko pokonać tego olbrzyma, pobiec do bramy, skoczyć na platformę ciężarówki i koniec gry. Z kluczem na podłodze wielkolud stał się mniejszym problemem niż przed chwilą. Był ciężki, a przyciąganie ziemskie ma przecież swoje prawa. Poza tym wielcy faceci są powolni. A Reacher miał noże.

- Grałem w profesjonalnej drużynie futbolowej - odezwał się wielkolud.

- Ale chyba niezbyt dobrze. Olbrzym nie odpowiedział.

- Bo w przeciwnym razie byłbyś teraz komentatorem sportowym dla kanału Fox albo mieszkałbyś w rezydencji w Miami, a nie tyrał tu jak niewolnik.

Olbrzym nie odpowiedział.

- Założę się, że jesteś tak samo kiepski w tym, co robisz. Olbrzym nie odpowiedział.

Mógłbym wyjść, pomyślał znowu Reacher. Ale tego nie zrobię.

Poczekam i zobaczę, co się stanie.

• • •

Czekał jeszcze dwadzieścia minut, zanim coś się stało. Olbrzym siedział bez ruchu przy

drzwiach, a Reacher w kącie pomieszczenia. Nie był z tego powodu nieszczęśliwy. Potrafił zabijać czas lepiej niż ktokolwiek inny. Poranne słońce wznosiło się coraz wyżej i zaczęło świecić przez plastikowe okna. Promienie rozszczepiły się przez pleksi i tuż nad biurkiem utworzyły tęczę.

Wtedy otworzyły się drzwi. Olbrzym najpierw usiadł prosto, potem odsunął swoje krzesło na bok. Wszedł nadzorca z krótkofalówką w ręce. Za jego plecami, przez otwarte drzwi, Reacher zobaczył wyteżoną pracę zakładu - ciężarówki jeżdżące w tę i z powrotem, przesuwające się dźwigi, uwijających się robotników, strumienie iskier. Towarzyszył temu ogromny łoskot maszynierii. Nadzorca stanął w połowie odległości między Reacherem a drzwiami.

- Pan Thurman chce z tobą rozmawiać - poinformował.

Siódma rano, pomyślał Reacher. Vaughan kończy nocną zmianę w Nadziei. Pewnie jedzie do bistro na śniadanie, będzie chciała znaleźć swój samochód, a może też jego. Albo i nie.

- Mogę dać panu Thurmanowi pięć minut - odpowiedział.

- Dasz mu tyle czasu, ile tylko będzie chciał.

- Może ty jesteś jego własnością, ale ja z pewnością nie.

- Wstawaj - rozkazał nadzorca. - Chodź za mną.

38

Reacher wyszedł za nadzorcą z kontenera ochrony i wszedł do sąsiedniego. Była to identyczna metalowa puszka, ale lepiej umeblowana. Na podłodze leżała wykładzina, fotele miały skórzaną tapicerkę, a biurko zrobiono z drewna mahoniowego. Na ścianach wisiały obrazki - pochodziły ze sklepu „Wszystko po dwa dolary” i przedstawiały niebieskookiego Jezusa, który nosił jasnoblękitną szatę, był długowłosym blondynem i miał elegancką blond bródkę. Wyglądał bardziej na surfera z plaży w Malibu niż na Żyda żyjącego dwa tysiące lat temu.

Na narożniku biurka leżała Biblia.

Za biurkiem siedział mężczyzna. Reacher założył, że to jest właśnie Thurman. Ubrany był w trzyczęściowy garnitur z wełny. Wiekiem dobiegał już chyba siedemdziesiątki. Miał różową cerę, był tustawy i ogólnie wyglądał na bogatego człowieka. Miał dość długie, lekko falujące siwe włosy. Na jego twarzy gościł szeroki i cierpliwy uśmiech. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł ze studia telewizyjnego. Mógłby tam być gospodarzem teleturnieju albo teleewangelistą. Jack już go sobie wyobrażał, jak przyciska dłonie do piersi i składa przysięgę, że Bóg go ukarze atakiem serca, jeśli widzowie nie przyślą pieniędzy.

I widzowie przysłałoby mu pieniądze, pomyślał Reacher. Z taką twarzą... utopiłby się w pięcio- i dziesięciodolarowych banknotach.

Nadzorca poczekał na skinienie głowy i wyszedł. Jack usiadł w skórzanym fotelu i się przedstawił:

- Jestem Jack Reacher. Ma pan pięć minut.

- Ja nazywam się Jeny Thurman. Miło mi pana poznać.

- Teraz ma pan cztery minuty i pięćdziesiąt sześć sekund - poinformował Reacher.

- Tak naprawdę, proszę pana, to mogę mieć tyle czasu, ile tylko zapragnę - odparł Thurman.

Tembr jego głosu był miękki i przyjemny dla ucha. Gdy mówił, policzki lekko się trzęsły. Za dużo tłuszczu, za mało mięśni. Niezbyt przyjemny widok. - Jest pan powodem wielu kłopotów w moim mieście, a teraz wdarł się pan do siedziby mojego przedsiębiorstwa.

- To pana wina - odparł Jack. - Gdyby nie przysłał pan do restauracji tych ówoków, to zjadłbym szybki lunch i ruszyłbym w dalszą drogę. Nie miałem żadnego powodu, żeby tu zostawać. Nie widziałem tu żadnego niezwykłego lunaparku.

- I nigdy tu nie będzie lunaparku. To miasto jest jednym wielkim przedsiębiorstwem.

- Zauważyłem.

- Wiedział pan to już wcześniej. Jestem pewien, że mieszkańcy Nadziei pospieszyli z

odpowiednimi wyjaśnieniami. To po co wściubiać swój nos?

- Lubię się sam o wszystkim przekonać.

- No właśnie - odpowiedział Thurman. - To nasunęło nam pewne podejrzenia. Wykorzystujemy opracowane przez nas technologie i systemy pracy, które można by określić jako tajemnice firmowe. Szpiegostwo mogłoby poważnie zaszkodzić naszej podstawowej działalności.

- Nie interesuję się recyklingiem złomu.

- Teraz już o tym wiem.

- Sprawdziliście mnie? Thurman skinął głową.

- Pytaliśmy tu i tam. Wczoraj w nocy i dziś rano. Jest pan dokładnie tym, za kogo się pan podał podczas przesłuchania przez sędziego Gardnera. Podróżnikiem. Po prostu człowiekiem, który skończył służbę wojskową dziesięć lat temu.

- To właśnie ja.

- Ale jest pan bardzo upartym człowiekiem. W absurdalny sposób zażądał pan, by go zaprzysiąc na zastępcę. Po tym, jak w bójce odebrał pan odznakę zastępcy szeryfa.

- W bójce, którą on rozpoczął. Na pana rozkaz.

- Więc zadajemy sobie pytanie, dlaczego tak panu zależy na tym, by się dowiedzieć, co się tutaj dzieje?

- A ja zadaję sobie pytanie, dlaczego wam tak zależy na tym, by to ukrywać?

Thurman pokręcił wielką siwą głową.

- Niczego tutaj nie ukrywamy. A skoro nie stwarza pan dla mnie żadnego zagrożenia w biznesie, to udowodnię to panu. Zwiedził pan już miasto, spotkał pan kilku jego mieszkańców, a teraz oprowadzę pana po zakładzie. Będę pana osobistym przewodnikiem i ochroną. Może pan wszystko oglądać i o wszystko pytać.

• • •

Poszli do prywatnego samochodu Thurmana. To był ten sam model chevy tahoe, którym jeździła ochrona, tyle że miał czarny lakier, a nie biały. Identyczne skromne wyposażenie wnętrza. Po prostu użytkowy wóz. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Pewnie z przyzwyczajenia właściciela. Zresztą auto było bezpieczne. Nikt nie wzięłby samochodu szefa bez jego pozwolenia. Thurman sam usiadł za kierownicą, a Reacher zajął miejsce obok niego. Na tylnej kanapie nikt nie siedział. Byli sami w samochodzie. Ruszyli wolno na południe, jadąc wzdłuż zachodniego ogrodzenia, oddalając się od bramy wjazdowej dla ciężarówek. Thurman od razu zaczął swoją prezentację. Opisywał działanie biura zarządu zakładu i różne jego funkcje: zarządzanie operacjami, zaopatrzenie, księgowość; opisał ambulatorium zakładowe, jego działalność i wyposażenie; napomknął też o ludziach, którzy znaleźli się tam dzięki Reacherowi. Dojeżdżali właśnie do cystern, których objętość i zawartość Thurman skrzętnie opisał: każda z nich miała pojemność dwudziestu tysięcy litrów i zawierała benzynę dla tahoe i ciężarówek, olej napędowy dla dźwigów, zgniatarek i ciężkiego sprzętu. Jeden ze zbiorników zawierał środek chemiczny określany jako trójchlurek etylenu, stosowany do odtłuszczenia metalu; inne przechowywały tlen i acetylen do palników oraz naftę, która była paliwem w kotłach hutniczych.

Już po sześćdziesięciu sekundach Reacher umierał z nudów.

Wyłączył w swoim mózgu funkcję słuchania Thurmana i sam zaczął się wszystkiemu przypatrywać. Wiele jednak nie zobaczył. Tylko stal i pracujących robotników. Zrozumiał, na czym polegała główna działalność zakładu recyklingu. Złom cięto i topiono, a powstałe sztaby lub pręty sprzedawano innym zakładom metalurgicznym, wytwarzającym gotowe wyroby hutnicze, które po wyeksploatowaniu stawały się znowu złomem i powtórnie pojawiały się tutaj, gdzie były cięte i przetapiane.

Żadnych kosmicznych technologii.

Przejechali półtora kilometra i dotarli do wewnętrznego ogrodzenia, gdzie Reacher zauważył,

że wjazd do środka przez bramę blokuje ustawiona w poprzek ciężarówka. Za tym ogrodzeniem nie widać już było żadnych fontann iskier ani unoszących się pyłów. Wyglądało, jakby przynajmniej dziś nie odbywała się tam żadna praca.

- A co tam jest grane? - zapytał Reacher.

- To nasz śmietnik - odparł Thurman. - Składujemy tam złom, który już się do niczego nie nadaje.

- To jak tam wjeżdżacie, skoro dojazd zagraża ciężarówka?

- Uruchamiamy ją i odjeżdżamy na bok. Niezbyt często korzystamy z tego miejsca. Nasze procesy technologiczne są tak zaawansowane, że mamy niewiele odpadów.

- A pan jest chemikiem, metalurgiem czy kim w końcu?

- Jestem nowo narodzonym amerykańskim chrześcijaninem i biznesmenem. Tak właśnie bym siebie opisał, w takiej kolejności. Zatrudniam najbardziej utalentowanych menadżerów i fachowców, jakich tylko udaje mi się znaleźć. Nasz dział badań i rozwoju spisuje się na medal.

Reacher kiwnął głową i zamilkł zupełnie. Samochód zatoczył koło i skierował się z powrotem na północ, jadąc blisko wschodniego ogrodzenia. Słońce było już wysoko nad horyzontem, więc wyłączono jupitery oświetlające teren. Po lewej z przodu olbrzymie szczytce zgniatarki złapały dziesięć karoserii samochodowych. Z tyłu otwały się bramy pieca, a stojący w jego Poblizu ludzie odsunęli się, chroniąc twarze przed nagłym żarem.

Pełen płynnego metalu tygiel przesuwiał się podwieszony na szynach.

- Czy pan jest na nowo narodzony? - zapytał Thurman.

- Jedyne narodziny, które miałem, okazały się dla mnie zupełnie wystarczające - odpowiedział Reacher.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

- Powinien pan o tym pomyśleć.

- Mój ojciec powtarzał: „Po co rodzić się drugi raz, skoro nawet za pierwszym razem nie potrafimy dorosnąć?”.

- Czy on jest nadal z nami?

- Umarł dawno temu.

- Więc jest w jakimś innym miejscu; i to z takim podejściem...

- Leży w dziurze w ziemi na Cmentarzu Arlington.

- Kolejny weteran?

- Służył w piechocie morskiej.

- Dzięki Ci, Panie, za jego służbę.

- Proszę mi za nic nie dziękować. Nie miałem z tym nic wspólnego.

- Powinien pan pomyśleć o dokonaniu zmian w swoim życiu, zanim będzie za późno - ciągnął Thurman. - Coś może niebawem się wydarzyć. Księga Apokalipsy mówi, że chwila jest bliska.

- Mówi to samo od chwili, gdy powstała prawie dwa tysiące lat temu. Jak może być to prawdą, skoro nie sprawdziło się w przeszłości?

- Już istnieją znaki na ziemi i niebie, które poprzedzają nadejście zmian - oznajmił Thurman w radosny i wniósły sposób, z nutą pewności, która sugerowała, że ma stały, uprzywilejowany dostęp do poufnych informacji.

Reacher milczał.

Jechali dalej; minęli grupkę zmęczonych robotników zmagających się z płataniną pogiętego żelastwa. Mężczyźni mieli zgarbione plecy i opuszczone ramiona. A przecież nie minęła nawet ósma, pomyślał Reacher. Czeka ich jeszcze ponad dziesięć godzin pracy.

- Bóg nad nimi czuwa - oświadczył Thurman.

- Jest pan pewien?



- Tak mi mówi.
- Czy nad panem też czuwa?
- Wie, co robię.
- I jest z pana zadowolony?
- Tak mi mówi.

- A skoro nad panem czuwa, to po co panu piorunochron na kościele?

Thurman nie odpowiedział na to pytanie. Zaciśnął usta, policzki mu opadły. Kierował samochodem w ciszy, aż dojechali do płotów jak dla bydła prowadzących do bramy dla robotników. Zatrzymał samochód, przesunął dźwignię zmiany biegów w pozycję „Park” i rozparł się w fotelu.

- Dosyć pan widział? - zapytał.
- Więcej niż dosyć - odparł Reacher.
- Więc muszę tu pana pożegnać. Mam nadzieję, że nasze ścieżki już nigdy nie przetną się w przyszłości.

Cofnął przedramię i wysunął dłoń do pożegnania, jakoś bokiem, dziwnie. Reacher potrząsnął jego dłonią. Była miękka, ciepła i jakby bez kości, jak dziecięcy balonik wypełniony wodą. Jack otworzył drzwi, zsunął się z fotela i poszedł przez zagrodzenia do wyjścia wprost na parking.

Wszystkie szyby w półciężarówce Vaughan były wybite.

39

Reacher stał w osłupieniu przez dłuższą chwilę i zastanawiał się nad tym, co ma dalej robić. W końcu otworzył drzwi i zmiotł kryształki szkła z siedzenia i deski rozdzielczej. Wysypał też okruchy z dywanika kierowcy. Nie chciał, żeby pedał hamulca zablokował się podczas jazdy. Ani pedał gazu. Pick-up był już wystarczająco powolny.

Pięć kilometrów do miasta, dwadzieścia do granicy i potem jeszcze osiem do centrum Nadziei. Trzydzieści trzy kilometry wolnej jazdy z zimnym powietrzem dmuchającym prosto w twarz. To jak jazda motocyklem bez gogli. Pod koniec drogi skóra na twarzy Reachera była sztywna z wyziębienia, a z oczu lały się łzy. Zaparkował naprzeciwko bistro przed dziewiątą rano. Nie dostrzegł nigdzie radiowozu Vaughan. Jej też nie było w środku. Trzy czwarte lokalu było wolne. Poranna gorączka śniadaniowa minęła.

Reacher wszedł do środka, usiadł w boksie pod ścianą, zamówił kawę i śniadanie u kelnerki, której przypadła dzienna zmiana. Studentki z nocnej zmiany już nie było. Kelnerka postawiła kubek na stole i nałala kawy z dzbanka.

- Czy oficer Vaughan wpadła tu rano? - zapytał ją.
- Wyszła jakieś pół godziny temu.
- Wszystko z nią w porządku?
- Chyba tak.
- A co z Marią? Tą dziewczyną z San Diego?
- Była tu przed siódmą.
- Zjadła coś?
- Mnóstwo.
- A Lucy? Ta blondyna z Los Angeles?
- Nie widziałam jej. Chyba wyjechała z miasta.
- A gdzie pracuje mąż oficer Vaughan?
- W zasadzie to już nigdzie - odpowiedziała kelnerka, jakby to było jakieś głupkowate pytanie. Jakby ta szczególna historia powinna być już każdemu znana.

Ale ta szczególna historia nie była wcale znana Reacherowi.

- To co? Jest bezrobotny? - dopytywał.

Kobieta zaczęła coś mówić, ale przerwała w połowie zdania, jakby nagle przypomniała sobie,

że ta sytuacja rzeczywiście nie musi być każdemu znana, a tym bardziej że to właśnie niekoniecznie ona powinna ją rozgłaszać. Jakby miała już wyjawić jakąś tajemnicę, która nie powinna być wyjawiona; jakby to były jakieś poufne i prywatne sprawy między sąsiadami. Zakłopotana pokręciła głową i umknęła z dzbankiem z kawą. Gdy pięć minut później podawała śniadanie, nie odezwała się już do Reachera.

• • •

Dwadzieścia minut później wsiadł do poturbowanej półciężarówki i pojechał na południe. Przeciął Third Street, potem Fourth i skręcił w Fifth. Daleko w dole ulicy zobaczył zaparkowany przy krawężniku radiowóz Vaughan. Podjechał i zatrzymał się za nim koło skrzynki na listy z równiutko przyklejonymi literami z nazwiskiem. Zostawił samochód na wolnych obrotach na pasie ruchu. Wsiadł i podszedł do maski radiowozu. Przytknął do niej palec. Była nadal bardzo ciepła. Vaughan wyszła z bistro prawie godzinę temu, ale musiała jeszcze gdzieś pojechać. Może szukała swojego chevy albo szukała jego. Albo obydwie te rzeczy naraz, albo żadna. Wsiadł z powrotem do pick-upu i wjechał na podjazd. Zaparkował dwa centymetry przed bramą garażu i wysiadł. Nie zamykał samochodu na kluczyk. I tak nie miało to żadnego sensu.

Trafił na wijącą się ścieżkę i ruszył nią między krzewami do drzwi. Kółeczkiem od kluczyków na palcu nacisnął krótko przycisk dzwonka. Jeśli nie śpi, to usłyszysz. Jeśli śpi, to jej nie zbudzi.

Nie spała.

Drzwi się otworzyły i Vaughan wyjrzała z półmroku. Mokre włosy po kąpieli zaczesła do tyłu. Miała na sobie za duży T-shirt. Prawdopodobnie nic więcej pod nim. Gołe nogi. Gołe stopy.

- Jak mnie tu znalazłeś? - zapytała.
- Książka telefoniczna.
- Byłeś tu zeszłej nocy. Myszkowałeś. Sąsiad mi powiedział.
- Ładny dom.
- Mnie też się podoba.

Dostrzegła kluczyki od samochodu wiszące na jego palcu.

- Muszę ci coś wyznaczyć - zaczął.
- Co znowu?
- Ktoś zbił wszystkie szyby w twoim samochodzie. Odepchnęła go i zeszła na ścieżkę. Spojrzała na półciężarówkę i oceniła straty.

- Niech to cholera weźmie.

Dopiero wtedy zaczęło do niej docierać, że stoi przed domem boso, w koszulce do spania, więc cofnęła się szybko.

- Kto to zrobił? - zapytała.
- Mam z tysiąc podejrzanych.
- Kiedy?
- Dziś rano.
- Gdzie?
- Wpadłem do zakładu recyklingu.
- Idiota.
- Wiem. Przepraszam cię. Zapłacę za szyby.

Zsunął kluczyki z palca i wyciągnął je na dłoni przed siebie. Nie przyjął ich.

- Lepiej wejdź do środka.

• • •

Dom miał taki rozkład, jak Reacher to sobie wcześniej wyobraził. Od prawej do lewej były garaż, pomieszczenie gospodarcze, kuchnia, salon i sypialnie. Kuchnia była sercem domu. Ładnie urządzona, z pomalowanymi szafkami i tapetową bordiurą pod sufitem. Zmywarka

stała włączona, zlewozmywak pusty, blaty czyste, ale i tak było wystarczająco domowego bałaganu, by kuchnia żyła. Znajdował się tam czteroosobowy stół jadalny z tylko trzema krzesłami. Dookoła było pełno tego, co matka Reachera nazywała „kurzozbiorami”. Ususzone kwiaty, butelki z oliwą z oliwek, które nigdy nie zostaną otwarte, antyczne łyżki. Matka Jacka powtarzała, że takie drobiazgi dodają pomieszczeniom charakteru. Reacher sam się zastanawiał nad tym, jak cokolwiek poza żywą istotą może mieć charakter lub osobowość. Niestety, był bardzo dosłownym dzieckiem, aż do bólu. Dopiero po latach zrozumiał, o co chodzi jego mamie. Kuchnia Vaughan miała właśnie taką osobowość.

To była jej osobowość, domyślił się.

Doszedł do wniosku, że tylko jedna para rąk to wszystko wybrała i tylko jedna para rąk zagospodarowała kuchnię. Nie było śladów kompromisów ani zderzeń różnych gustów. Pamiętał, że w dawnych czasach kuchnia stanowiła królestwo kobiet. Było tak wtedy, gdy żyła jego matka, ale ona pochodziła z Francji, co miało szczególne znaczenie. Od tego czasu wszystko się zmieniło. Faceci zaczęli gotować, zostawiali puste butelki po piwie lub tłuste plamy z oleju na linoleum po naprawach silników motocyklowych.

Tutaj nie było żadnego śladu drugiej osoby. Żadnego. Zupełnie nic. Z miejsca, w którym stał, koło zlewozmywaka, widział salon przez łuk w ścianie, a w zasadzie to nie przez łuk, tylko przez podwójny otwór drzwiowy, z którego po prostu wyjęto drzwi. Zobaczył jeden fotel, telewizor i kilka zapakowanych kartonów do przeprowadzki nadal zaklejonych taśmą.

- Kawy? - zapytała Vaughan.

- Jak zawsze.

- Spałeś zeszłej nocy?

- Nie.

- Więc nie pij kawy.

Utrzymuje mnie przy życiu, dopóki nie położę się do łóżka. Ile wytrzymałeś najdłużej bez snania? Siedemdziesiąt dwie godziny, o ile dobrze pamiętam.

- Podczas pracy?

Skinął głową.

- Duża sprawa, jakieś dwadzieścia lat temu.

- Duża sprawa dla żandarmerii wojskowej?

- Ktoś coś komuś zrobił. Nie pamiętam szczegółów. Vaughan wypluła szklany dzbanek do kawy i wlała wodę

do ekspresu. Była to wielka stalowa maszyna z wypukłymi literami „Cuisinart”. Wzbudzała zaufanie. Policjantka nasypała łyżeczką kawy do złotego koszyczka i nacisnęła „start”.

- Zeszłej nocy zastępcy z Rozpaczy odjechali już po godzinie.

- Znaleźli mnie w barze - wyjaśnił Reacher. - Wypchnęli mnie na zachód tym telefonem do ciebie, a potem ruszyli za mną. To była zasadzka.

- I ty w nią wpadłeś.

- To oni w nią wpadli. Wiedziałem, co zamierzają.

- Skąd?

- Bo dwadzieścia lat temu przez siedemdziesiąt dwie godziny miałem do czynienia z ludźmi o wiele gorszymi od tych, których kiedykolwiek spotkasz w Rozpaczy.

- Co się stało z zastępcami?

- Przyłączyli się do swoich mundurowych koleśków w ambulatorium.

- Cała czwórka?

- Cała szóstka. Dwóch takich chciało jeszcze ich moralnie wesprzeć.

- Jesteś jednoosobową maszyną przestępczą.

- Nie. Jestem Alicją z Krainy Czarów. Teraz Vaughan skinęła głową.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała. - Tylko nie wiem, dlaczego nic z tym nie robią.

Napadłeś i pobiliś ośmiu ludzi, sześciu z nich z policyjnej służby pomocniczej, zniszczyłeś

dwa radiowozy i nadal chodzisz wolno po ulicy.

- O to właśnie chodzi. Nadal chodzę wolno, ale w Nadziei, nie w Rozpaczy. To jest właśnie ta pierwsza niesamowita sprawa. Oni tylko chcą, by wszyscy trzymali się od nich z daleka. Nie interesują się przestrzeganiem prawa, sprawiedliwością ani karaniem.

- A jaka jest ta druga niesamowita sprawa?

- Rzuciło się na mnie sześciu, a ja wyszedłem z tego tylko z dwoma siniakami i bolącymi dłońmi od uderzeń pięścią. Oni byli słabi i chorzy. Jeden z nich musiał zrobić sobie przerwę w bijatyce, by zyskać trochę czasu na wymiotowanie.

- Co z tego może wynikać?

- Recepcjonistka z motelu, w którym mieszkam, twierdzi, że oni nie przestrzegają przepisów dotyczących ochrony środowiska. Może zatruwają czymś glebę i powietrze?

- Myślisz, że właśnie to starają się ukryć?

- Całkiem możliwe. Ale to trochę dziwne, że ofiary pomagają w ukrywaniu tego problemu.

- Ludzie boją się o pracę - odparła Vaughan. - A szczególnie w korporacyjnym mieście. Przecież nie mają innych możliwości.

Otworzyła szafkę kuchenną i wyciągnęła kubek. Był biały, perfekcyjnie cylindryczny, miał dziesięć centymetrów wysokości i sześć centymetrów średnicy. Został wykonany z cieniutkiej jak papier porcelany kostnej. Napelniła go kawą ze szklanego dzbanka, a gdy tylko Reacher poczuł aromat w powietrzu, wiedział, że będzie to wyśmienita kawa. Vaughan rzuciła okiem na salon, ale kubek postawiła na stole kuchennym przed jednym z trzech krzeseł. Reacher spojrzał na kartony i samotny fotel w salonie.

- Dopiero się wprowadziłaś? - zapytał.

- Półtora roku temu, ale nie jestem zbyt szybka w rozpakowywaniu się.

- Skąd przeprowadzka?

- Z Third Street. Mieliśmy domek z pięterkiem, ale woleliśmy płaski.

- My?

- David i ja.

- A gdzie on jest?

- Nie tutaj.

- Czy powinienem wyrazić współczucie?

- Trochę.

- Czym on się zajmuje?

- W zasadzie już niczym.

Usiadła na krześle i obciągnęła brzeg koszulki. Włosy już dosychały i znowu zaczynały falować. Pod koszulką była zupełnie naga i wcale się tego nie krępowała. Reacher miał tę świadomość. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby wiedziała, że on wie.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Co jeszcze? - zapytała.

- Recepcjonistka z motelu twierdzi, że Thurman zarabia zbyt dużo pieniędzy jak na taki biznes.

- Wszyscy to wiedzą. Thurman jest właścicielem banku, a księgowi bankowi rozsiewają plotki. Jest bardzo bogatym człowiekiem.

- Recepcjonistka uważa, że on szmugluje trawkę albo coś innego swoim samolotem.

- Myślisz, że to może być prawda?

- Nie wiem.

- To twój wniosek? .

- Niezupełnie.

- I co jeszcze?

- Jedna czwarta powierzchni zakładu jest oddzielona i utajniona. Myślę, że facet ma kontrakt na recykling wojskowego złomu. Stąd jego wysokie przychody. Kontrakty z Pentagonu są

obecnie najszybszym sposobem na wzbogacenie się na planecie Ziemia. Stąd też ta jednostka żandarmerii przy drodze. Thurman przetapia tajny sprzęt wojskowy, którym mógłby się ktoś interesować; na przykład grubością pokryw pancernych, rodzajem zastosowanych materiałów, technologią konstrukcji, elementami wyposażenia elektrycznego i innymi podobnymi rzeczami.

- I to wszystko? Czyli jest to uczciwy biznes działający na zlecenie rządu?

- Nie - odparł Reacher. - To nie wszystko.

40

Wypił pierwszy łyk kawy. Była doskonała. Gorąca, mocna, aromatyczna i w świetnym kubku. Spojrzał przez stół na Vaughan.

- Wielkie dzięki. Jest super - powiedział.

- To co jeszcze jest tam grane?

- Sam nie wiem. Ale wyczuwam, że ci zastępcy boją się czegoś, czego nie mogę określić. Po tym, jak wyeliminowałem policję z życia miasta, udałem się do sędziego, żeby zaprzysiął mnie na zastępcę.

- Chyba nie zrobiłeś tego na poważnie?

- Pewnie, że nie. Ale udawałem, że bardzo mi na tym zależy. Chciałem zobaczyć jego reakcję. Facet spanikował. Zbikował kompletnie. Powiedział, że wolałby zaprzysiąc całe miasto. Oni naprawdę za wszelką cenę chcą trzymać wszystkich obcych z daleka od Rozpaczy.

- Może ze względu na ten wojskowy złom?

- Nie - odparł Reacher. - To praca dla żandarmerii. Gdyby było jakiegokolwiek podejrzenie o szpiegostwo, to ludzie Thurmana daliby tylko znak przez radio i minutę później miasto brzęczałoby od hummerów. Nikt z miasta nie byłby włączany do takiej akcji.

Więc o co tam chodzi?

Przynajmniej o jeszcze dwie inne sprawy.

- Dlaczego dwie?

Bo ich reakcje są kompletnie niespójne, co oznacza, że Przynajmniej dwie frakcje są zaangażowane w grę. Dwie osobne frakcje, które najpewniej nawzajem o sobie nic nie wiedzą. Na przykład dziś rano. Thurman sprawdził mnie dokładnie. Łatwo to przecież zrobić; wystarczy skorzystać z komputerów na posterunku policji. Zobaczył, że mój zawodowy życiorys skończył się dziesięć lat temu i dlatego teraz nie mogę już być dla niego żadnym zagrożeniem. Następnie sprawdził tablice rejestracyjne twojego wozu i stwierdził, że w jakiś tam sposób muszę działać w porozumieniu z gliną z sąsiedniego miasta i w związku z tym jestem do pewnego stopnia nietykalny, więc był miły i zaoferował mi wycieczkę po zakładzie. W tym samym czasie ktoś, kto nic o tym nie wiedział, powybił szyby w twoim samochodzie. Ale przecież nie wybija się szyb w samochodzie należącym do gliniarza tak tylko, dla samej frajdy. Stąd wniosek, że lewa ręka nie wie, co czyni prawa.

- Thurman obwiał cię po zakładzie?

- Powiedział nawet, że pokaże mi wszystko, co tylko będę chciał zobaczyć.

- I zrobił tak?

- Nie. Nie pokazał mi utajnionej części. Wyjaśnił tylko, że to składowisko gratów.

- Ale ty wiesz, że to nieprawda?

- Widziałem wcześniej jakieś działania. Dym i iskry. A do tego jest tam wszystko dokładnie zasłonięte. Nie bardzo pasuje mi to na śmietnisko.

- A te dwie frakcje?

- Nie mam pojęcia, ale musi mieć to związek z tymi młodymi facetami, z mężem Lucy Anderson i tym nieboszczykiem. A mąż Lucy Anderson jest kolejnym przykładem na to, że lewa ręka nie wie, co czyni prawa. Jemu dali schronienie i pozwolili mu wyjechać, a jego

żonę wydalili z miasta jak pariasa. Czy to ma jakiś sens?

- I wyjechał?

- Widziałem go przy kamienicy z pokojami do wynajęcia o trzeciej po południu, a o siódmej już go nie było w mieście. Ani śladu po nim i nikt nie chciał przyznać, że on tam w ogóle był-

- Samolot wylatuje o siódmej - zastanawiała się Vaughan. - Czy to może mieć z tym jakiś związek?

- Nie wiem.

- I żadnego śladu.

- Żadnego śladu na ziemi i tylko pełno drzwi zamkniętych na kłódkę.

- To o co w tym wszystkim chodzi?

- Kiedy ostatnio ktoś normalny pojechał do Rozpaczy, został tam tak długo, jak chciał, i wyjechał, kiedy chciał? Są jakieś potwierdzone informacje na ten temat?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparła Vaughan. - Podejrzewam, że dawno temu, może nawet całe miesiące.

- Znalazłem wpis w rejestrze hotelowym sprzed siedmiu miesięcy.

- To by się zgadzało.

- Wczoraj rozmawiałem z tą nową dziewczyną - oznajmił Reacher. - Słodki dzieciak. Ma na imię Maria. Jestem prawie pewien, że te zwłoki należały do jej chłopaka. Pokazała mi zdjęcie. Nazywał się Raphael Ramirez.

- Powiedziałeś jej prawdę?

- Nie. - Reacher pokręcił głową.

- Dlaczego?

- Zapytała mnie, czy go widziałem. A przecież tak naprawdę to go nie widziałem, bo było ciemno. Nie mogę przekazywać jej takich wieści bez całkowitej pewności.

- Więc ona cały czas miota się na wietrze.

- Myślę, że ona zdaje sobie sprawę z tego, co mogło się wydarzyć. Czuje to głęboko w sobie.

- A co stało się z ciałem?

- Na pewno nie trafiło do kostnicy hrabstwa. Sprawdziłem to.

- Tyle akurat wiedzieliśmy.

- Nie. Wiedzieliśmy tylko to, że nie trafiło prosto do kostnicy. Więc zastanawiałem się, czy nie wyrzucono ciała gdzieś poza miasto i ktoś inny je odnalazł. Ale nie. Stąd wiemy, że nigdy nie opuściło Rozpaczy. Jedyne ambulans i jedyne nosze w Rozpaczy należą do zakładu recyklingu, a w tej fabryce można pozbyć się zwłok na tuzin różnych sposobów. Tam są piece hutnicze, które potrafią zamienić ciało w parę wodną w ciągu Pięciu minut.

Vaughan przez chwilę milczała, po czym wstała i nalala sobie szklankę wody z butelki w lodówce. Stała tak z biodrami opartymi o blat i wyglądała przez okno. Pięty miała oparte o podłogę, lecz większość masy jej spoczywała na palcach. T-shirt miał jedno poziome zagniecenie w miejscu, w którym plecy łączyły się z pośladkami. Bawełna była delikatnie prześwitująca. Światło świeciło od tyłu. Jej włosy już wyschły, a na szyi widać było delikatny jasny meszek.

Wyglądała bosko.

- Co jeszcze powiedziała Maria? - zapytała.

- Nic. O nic więcej jej nie pytałem.

- Dlaczego nie?

- Bo to by było bez sensu. Żony i dziewczyny zaginionych nigdy nie powiedzą nic konkretnego. A jeśli już coś powiedzą, to prowadzi to na ślepy tor.

- Dlaczego?

- Bo mają w tym żywotny interes. Ich mężowie i chłopcy nie ukrywają się w Rozpaczy, bo im się tam tak podoba. Oni chcą tam otrzymać jakąś pomoc. Jakby chcieli zabrać się z jakimś transportem dla uciekinierów. Rozpacz służy za stację przeładunkową, a te kobiety chcą to

utrzymać w tajemnicy. Lucy Anderson zachowywała się normalnie, dopóki się jej nie przyznałem, że byłem wojskowym gliną. I wtedy zaczęła mnie nienawidzić. Myślała, że nadal jestem gliniarzem. Uważała, że chcę dorwać jej męża.

- O jakich uciekinierach mówisz?

- Sam nie wiem, ale z pewnością Anderson był tym właściwym uciekinierem, a Raphael Ramirez tym złym.

• • •

Vaughan podeszła do stołu, wzięła kubek Reachera i nalala mu kawy z ekspresu. Napelniła też swoją szklanekę wodą z lodówki, wróciła i siadła przy stole.

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Jasne - odpowiedział Reacher.

- Dlaczego to wszystko robisz?

- Co robię?

- Tak się tym przejmujesz. Przejmujesz się tym, co się wydarzyło w Rozpaczy. Przykre sprawy wydarzają się wszędzie, przez cały czas. Więc dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

- Po prostu jestem ciekaw, co tam się dzieje. To wszystko.

- To nadal nie jest dobra odpowiedź.

- Maria - wyjaśniał dalej. - Ona jest tą odpowiedzią. Jest słodkim dzieciakiem i bardzo cierpi.

- Jej chłopak ucieka przed prawem. Sam to powiedziałaś. Może ona zasługuje na to, by cierpieć. Może Ramirez był handlarzem trawki lub innych rzeczy. Albo członkiem gangu lub nawet mordercą.

- A zdjęcia? - odparł Reacher. - Fotografie? To mogą być dowody. Ramirez wyglądał na nich jak zupełnie nieszkodliwy facet.

- Możesz to stwierdzić, tylko patrząc na fotografię?

- Czasem. Czy Maria chodziłaby ze złym człowiekiem?

- Jeszcze jej nie poznałam, więc nie wiem.

- A Lucy Anderson? Vaughan nic nie odpowiedziała.

- A poza tym nie cierpię korporacyjnych miast - oświadczył Reacher. - Nie znoszę systemu feudalnego. Nie lubię, jak wymuszkani, tłuści bossowie szarogęszą się i rządzą życiem i śmiercią ludzi. I nie lubię, gdy ludzie są w tak paskudnej sytuacji życiowej, że muszą im się podporządkowywać.

- Czyli jak widzisz coś, co ci się nie podoba, to musisz to zniszczyć?

- Właśnie tak. A czy ty masz z tym jakiś problem?

- Nie.

• • •

Siedzieli w ciszy w kuchni, popijając kawę i wodę. Vaughan położyła wolną dłoń na blacie stołu, rozsunęła i rozciągnęła Palce. Reacher zastanawiał się, co mógł oznaczać ten gest, świadomie i podświadomie. Może próba nawiązania kontaktu, zaproszenie do połączenia.

Brak obrączki.

On tu już nie mieszka.

Reacher położył swoją wolną dłoń na stole.

- A skąd w ogóle wiesz, że oni byli uciekinierami? - ' zapytała Vaughan. - Może byli aktywistami jakiejś organizacji ekologicznej i sprawdzali poziom zanieczyszczenia środowiska. Jacyś ochotnicy. Może ten Anderson zdołał ich podejść, a Ramirez nie?

- Zdołał? A w jaki sposób?

- Nie wiem. Ale martwi mnie, że mogą tam stosować trujące substancje. Przecież nasze miasto czerpie wodę z tego samego ujęcia.

- Thurman wspomniał coś o trójchlorku etylenu. To odtłuszczacz do metalu. Nie jestem pewien, czy jest niebezpieczny, czy nie.

- Sprawdzę to.

- A niby dlaczego żona aktywisty ekologicznego miałaby bać się glin?
  - Tego to nie wiem.
  - Anderson nie musiał nikogo oszukiwać. Był tam gościem. Dano mu dach nad głową, opiekę i ochronę. Jemu udzielono pomocy.
  - Ale Lucy Anderson już nie. Została wyrzucona z miasta.
  - Tak jak mówiłem, lewa ręka nie wie, co czyni prawa.
  - A Ramirez zabito.
  - Raczej nie zabito. Pozostawiono, by umarł.
  - To dlaczego jednemu pomagają, a drugiego się pozbywają?
  - Dlaczego w ogóle się go pozbyli? Dlaczego po prostu nie wsadzili go do radiowozu i nie zostawili na granicy okręgu, tak jak to zrobili ze mną i z Lucy?
- Vaughan popijała wodę.
- Bo pewnie był inny - myślała głośno. - Musiał należeć jakby do innej kategorii ludzi. Może był dla nich niebezpieczny w jakiś konkretny sposób?
  - To dlaczego go nie rozwalili od razu? I nie pozbyli się zwłok w sposób ostateczny? Efekt byłby taki sam.
  - Tego właśnie nie mogę zrozumieć.
  - Może się mylę - przyznał Reacher. - Może oni wcale się jego nie pozbyli ani nie próbowali trzymać go z daleka.
- Może nawet nie wiedzieli, że on tam był. Może po prostu węszył coś na peryferiach miasta, starał się ukrywać, próbując przedostać się po kryjomu do miasta. Był wystarczająco zdesperowany, żeby próbować, ale nie wystarczająco dobry, by mu się to udało.
- Albo jedno i drugie - zaproponowała Vaughan. - Może go dorwali, a on im uciekł.
  - Całkiem możliwe. Ci gliniarze to zwykłe pajace.
  - Więc włóczył się po okolicy, bo znalazł się tam z jakiegoś ważnego powodu, ale musiał pozostać poza zasięgiem ich wzroku. I źle wyliczył czas. Czuł, że pada z siłą, próbował się stamtąd wydostać i dotrzeć tutaj, ale zabrakło mu energii.
  - Całkiem możliwe. Vaughan cofnęła dłoń ze stołu.
  - Musimy się dowiedzieć, kim on był - zdecydowała. - Musimy porozmawiać z Marią.
  - Ona nic nam nie powie.
  - Możemy spróbować. Znajdziemy ją w bistro. Spotkajmy się tam później.
  - Kiedy później?
  - Jak się wyśpimy.
  - Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?
  - Śmiało.
  - Czy twój mąż jest w więzieniu?
- Vaughan nie odpowiedziała od razu. Uśmiechnęła się lekko zdziwiona i trochę smutna.
- Nie. Nie jest.

41

Reacher poszedł pieszo do motelu. Sam. Dwie przecznice do przodu, trzy przecznice w bok. Słońce stało już dość wysoko nad horyzontem. Połowa ranka minęła. Drzwi do pokoju Lucy Anderson były otwarte. Na zewnątrz stał wózek sprzątaczkowy. Pościel z łóżka została już zdjęta, a na podłodze leżała sterta ręczników. Szafa była pusta. „Chyba wyjechała z miasta”, powiedziała kelnerka z bistro. Reacher przystanął na chwilę, popatrzył i poszedł dalej. Powodzenia, Lucky, pomyślał, w czymkolwiek, co zamierzasz zrobić, i dokądkolwiek się wybierasz. Otworzył drzwi do swojego pokoju. Wziął długi prysznic i rzucił się na łóżko. Spał już po minucie. Wcale nie musiał walczyć z kawą.

Obudził się w połowie popołudnia, myśląc o żandarmerii polowej. O wysuniętej bazie operacyjnej. O jej lokalizacji i wyposażeniu. Przypomniał sobie to miejsce, jakby był w trakcie



analizowania problemu na zajęciach w szkole w Fort Rucker.

Po co w ogóle tam była?

Jaki wypełniała cel?

Stara droga hrabstwa numer 37 biegła ze wschodu na zachód przez Nadzieję, Rozpacz, Halfway, prawdopodobnie dalej na zachód. Najpierw wyobraził ją sobie jako wijącą się wstążkę, później jako linię na mapie, a na końcu zobrazował ją trójwymiarowo w mózgu, jakby tworzył grafikę komputerową na monitorze, z warstwicami i punktami odniesienia. W dawnych czasach był to szlak osadników. Ubita ziemia, pokruszone skały, koleiny i chwasty. Potem ją trochę poprawiono, przypuszczalnie w czasach, gdy pierwsze modele forda T opuszczały fabrykę w Dearborn i rozpowszechniły się w całym kraju. Potem władze miasta Nadzieja zmodernizowały szesnaście kilometrów tej drogi - zapewne z obywatelskiej dumy. Zrobiono to bardzo sumiennie. Przypuszczalnie wzmocniono podwalinę, wysypano grubym żwir, odpowiednio go wyrównano i ubito oraz wylano bardzo dobrej jakości asfalt. Zapewne w niektórych miejscach drogę wyprostowano i poszerzono.

Władze miasta Rozpacz nie zrobiły nic. Thurman, jego ojciec i dziadek, i ktokolwiek był wcześniej właścicielem tego miasteczka, ignorował drogę. Może jedynie niezbyt chętnie wylewali na nią asfalt bardziej przypominający smołę i posypywali go drobnymi kamyczkami co jakieś dziesięć lat albo rzadziej, a może była to nawet droga z czasów, kiedy ford T królowały na szosach. Była wąska, wyboista, nierówna i kręta.

Nie nadawała się do dużego ruchu pojazdów.

Wyjątek stanowił fragment na zachód od zakładu metalurgicznego. Pięćdziesięciopięciokilometrowy odcinek praktycznie wybudowano od nowa. Reacher wyobraził sobie, że najpierw zrobiono głęboki na metr wykop, założono odwodnienie, wysypano podkład z grubo mielonej skały, wylano betonową warstwę stanowiącą solidny fundament, ułożono wzmacniające pręty zbrojeniowe i na koniec wylano dziesięciocentymetrową warstwę porządnego asfaltu wyrównanego i ubitego ciężkimi walcami drogowymi. Pobocza były solidne i miały właściwy spadek. Po pięćdziesięciu pięciu kilometrach nowa droga skręcała na dziewicze tereny, by spotkać się z autostradą międzystanową, a stara droga numer 37 wiała się dalej, w tym samym kierunku co wcześniej, wąska, nierówna i kręta.

Kiepska droga, solidna szosa, kiepska droga.

Na wschód od Rozpaczy i na zachód od rozwidlenia dróg nie było żadnych instalacji wojskowych przy kiepskich nawierzchniach.

Baza żandarmerii pilnowała ruchu jedynie na zmodernizowanym odcinku drogi.

A to był dojazd do zakładu dla ciężarówek.

Blisko Rozpaczy, ale nie za blisko.

Baza nie kontrolowała ruchu w mieście, a tylko jeden kierunek dojazdu, nie przejmując się nawet przeciwnym pasem ruchu.

W bazie stało sześć opancerzonych hummerów; każdy z nich był sześciotonowym nosorożcem, stosunkowo szybkim i zwrotnym; każdy z nich miał na dachu karabin maszynowy M-60 karmiony taśmami naboju.

Po co to wszystko?

Reacher zamknął oczy i usłyszał szczelejący głos instruktora z Fortu Rucker: „To jest wszystko, co wiesz na ten temat. Jakie masz wnioski?”.

Jego wniosek był taki: nikt tam nie przejmuje się szpiegostwem.

• • •

Wstał z łóżka o czwartej i wziął długi, gorący prysznic. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest na bieżąco z kulturą reprezentowaną przez większość obywateli własnego kraju pod względem częstotliwości zmiany odzieży, ale starał się to rekompensować, skrupulatnie dbając o czystość ciała. Reacher zużył całe białe mydło motelowo i połowę gęstego

zielonego szamponu z plastikowej buteleczki. Spłukał ciało i stał pod prysznicem jeszcze chwilę. Po zakręceniu kranu usłyszał pukanie do drzwi. Owinął ręcznik wokół bioder, podreptał przez pokój do drzwi i otworzył je szeroko.

W drzwiach stała Vaughan.

W mundurze. Jej policyjny radiowóz zaparkowany był tuż za nią. A ona przyglądała się Reacherowi z nieukrywaną ciekawością. Nie była to wcale jakaś niezwykła reakcja. „Spójrz na siebie. Co widzisz?”. Był podręcznikowym przykładem mezomorfa; zbudowanym z twardych kości, silnych mięśni i mocnych ścięgien. Lecz gdy nie miał na sobie koszuli, to większość ludzi dostrzegała jedynie jego blizny. Jego ciało pokrywało z tuzin śladów po drobnych zadraśnięciach i ranach ciętych plus blizna po otworze wlotowym kuli kalibru .38 w lewej części środka klatki piersiowej, do tego nieprzyjemna pajęczyna krzyżujących się blizn po ranie szarpanej po prawej stronie od pępka ze śladami po siedemdziesięciu byle jak wykonanych szwach w połowym szpitalu wojskowym. Te pierwsze to pamiątki po szalonym dzieciństwie, ten drugi to ślad po psychopacie z małym rewolwerem, a trzeci zestaw blizn to ślady po szrapnelu z wybuchu bomby. Żadne z nich nie stanowiły zagrożenia dla jego życia, bo szaleństwo dziecięce zawsze jest łatwe do przeżycia, kula kalibru .38 pochodziła z kiepskiej jakości naboju, szrapnel zaś był jedynie fragmentem czyjejś kości, a nie rozpalonym do białości skrawkiem metalu. Reacher to farciarz, a jego szczęście w nieszczęściach było wypisane na całym ciele.

Brzydkie blizny, ale niezwykle fascynujące.

Spojrzenie Vaughan posuwało się w górę do twarzy Reachera.

- Mam złe wiadomości - zaczęła. - Byłam w bibliotece.
- To teraz złe wiadomości pochodzą z bibliotek?
- Wzięłam do ręki kilka książek i zajrzałam do komputera.
- I co?
- Trójchlorek etylenu, zwany w skrócie TCE, rzeczywiście służy do odtłuszczenia metalu.
- Przecież ci to mówiłem.
- Ale jest bardzo niebezpieczny. Powoduje raka. Raka piersi, raka prostaty, wszelkie rodzaje raka. I do tego choroby serca, problemy z układem nerwowym, ataki serca, marskość wątroby, choroby nerek, a nawet cukrzycę. Agencja Ochrony Środowiska podaje, że dopuszczalne jest stężenie pięciu części na miliard, a w niektórych miejscach zmierzono nawet dwudziesto- i trzydziestokrotne przekroczenie.
- W jakich miejscach?
- Był taki przypadek w Tennessee.
- To daleko stąd.

To poważna sprawa, Reacher. Ludzie za bardzo się martwią. Ja nie żartuję. Skinął głową.

Wiem - przyznał. - A Thurman jednorazowo przechowuje dwadzieścia tysięcy litrów.

- A my pijemy wodę z ziemi.
- Ty pijesz wodę z butelki.
- Wielu ludzi pije wodę z kranu.
- Fabryka jest trzydzieści trzy kilometry stąd. Pomędzy wami jest mnóstwo piachu. A to przecież naturalny filtr.
- Ale to nadal powód do obaw.
- Jasne. Sam wypilem tam dwa kubki kawy. Jeden w restauracji, a drugi w domu sędziego.
- I dobrze się czujesz?
- Świetnie. I wszyscy tam nie wyglądają tak źle. s
- Na razie.

Zamilkła.

- Jakie masz jeszcze informacje? - zapytał.
- Maria zniknęła. Wiesz, ta nowa dziewczyna. Nie mogę jej nigdzie znaleźć.

Vaughan stała w korytarzyku koło otwartych drzwi, gdy Reacher ubierał się w łazience.

- A gdzie szukałaś?! - krzyknął.

- Wszędzie. Nie ma jej w motelu ani w bistro, ani w bibliotece, ani na zakupach. W zasadzie nie ma już innych miejsc, dokąd mogłaby pójść.

- Rozmawiałaś z recepcjonistką?

- Jeszcze nie.

- To najpierw z nią pogadamy. Ona wie wszystko. Wyszedł z łazienki, zapinając koszulę. Koszula nadawała się już do śmieci, ale guziki nadal trudno przechodziły przez dziurki. Przeczesał włosy palcami i sprawdził kieszenie.

- No to chodźmy - powiedział.

Kobieta siedziała w biurze na wysokim stołku za ladą recepcyjną i obliczała coś za pomocą kalkulatora. Wyniki wpisywała do księgi przychodów. Nie miała jednak dla nich żadnych przydatnych informacji. Maria opuściła pokój przed siódmą rano ubrana jak zawsze, miała ze sobą tylko damską torebkę.

Śniadanie zjadła przed siódmą - przypomniał sobie Reacher. - Kelnerka w bistro mi powiedziała.

Recepcjonistka dodała, że Maria nie wróciła do motelu po śniadaniu. Tylko tyle wiedziała. Vaughan poprosiła ją, by otworzyła Pokój Marii i kobieta natychmiast przekazała jej swój klucz służbowy. Bez żadnych ceregieli, bez pytania o legalność działania ani o nakaz sądowy. Małe miasteczka, pomyślał Reacher. Praca w policji była tu łatwiejsza. Prawie tak łatwa jak jego praca w armii.

Pokój Marii był identyczny z pokojem wynajmowanym przez Jacka, tylko że znajdowało się tu więcej rzeczy osobistych. W szafie wisiała dodatkowa para dżinsów, równo złożonych i powieszonych na wieszaku. Nad nimi na półce leżały jedna para majtek, stanik i czysty bawełniany T-shirt. Bielizna była równo ułożona na kupce. Na spodzie szafy zobaczyli pustą walizkę: małą i poobijaną, jakąś smutną. Niebieską, z włókna szklanego, z pękniętą pokrywą, jakby przez lata leżała gdzieś w kącie przywalona dużym ciężarem.

Obok umywalki w łazience stała winylowa kosmetyczka, biała z nadrukowanymi niesamowicie różowymi stokrotkami. Była pusta, bo jej zawartość została równo ułożona na półeczce. Mydło, szampon, tonik, krem nawilżający i krem natłuszczający.

Żadnych rzeczy osobistych. Te musiały znajdować się w torebce.

- Zrobiła sobie jednodniową wycieczkę - domyśliła się Vaughan. - Zamierza wrócić na noc.

- To oczywiste - dodał Reacher. - Zapłaciła za trzy noce.

- Wybrała się do Rozpaczy. Szukać Ramireza.

- Też tak sądzę.

- Ale jak? Pieszko? Pokręcił głową.

- Zauważyłbym ją. Przecież to dwadzieścia siedem kilometrów. Dla niej to sześć godzin marszu. Jeśli ruszyła o siódmej, to dojdzie po południu. Jechałem tą drogą między ósmą trzydzieści a dziewięcią. Nie minąłem jej.

- Przecież nie ma żadnego autobusu. Nikt w ogóle tędy nie jeździ.

- A może jednak jeździ - stwierdził Reacher. - Dostałem się tutaj samochodem starszego mężczyzny. Jechał odwiedzić rodzinę, a potem zamierzał wybrać się do Denver. Więc kierowałby się prosto na zachód. Bez sensu byłoby jechać dookoła. I skoro był wystarczająco naiwny, by mnie podwieźć, to z pewnością podwiezie też Marię.

- Jeśli wyjechał dziś rano...

- Spróbujmy się tego dowiedzieć.

Oddali klucz recepcjonistce i wsiedli do radiowozu. Vaughan wrzuciła „Drive” i ostro ruszyła

na północ do First Street i dalej na zachód do sklepu z narzędziami. Ostatni zabudowany kwartał ulic. Za nim znajdowały się już tylko otwarta przestrzeń i pusta droga. Chodnik był jak zwykle zastawiony wystawką sklepową. Drabinami, wiadrami, taczkami, różnymi maszynami z silnikami spalinowymi. Właściciel w brązowym kitlu siedział w środku. Potwierdził, że co rano wystawia towar na chodnik. Starał się wszystko sobie dobrze przypomnieć i potwierdził też, że widział niską dziewczynę o ciemnej karnacji w niebieskiej ocieplanej kurtce. Stała na chodniku, na granicy zabudowań, patrząc na wschód, ale sylwetka wyginała się na zachód. Obserwowała pustą ulicę z mieszanką optymizmu i beznadziei. Typowa postawa autostopowiczki. Później, tak przed ósmą, właściciel sklepu widział duży samochód osobowy w kolorze butelkowej zieleni jadący na zachód. Samochód z jego opisu przypominał radiowóz Vaughan, tyle że bez policyjnego wyposażenia.

- To grand marquis - wyjaśnił Reacher. - Ta sama płyta podłogowa. Ten sam wóz. Ten sam facet.

Właściciel sklepu nie widział jednak, czy samochód się zatrzymał i zabrał dziewczynę. Ale wniosek mógł być tylko jeden. Pojechali osiem kilometrów do granicy okręgów. Bez sensu. Nic i tak nie zobaczyli. Tylko równą nawierzchnię asfaltu Nadziei za sobą i chropowatą Rozpaczy przed sobą.

- Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

- Nie wiem - przyznał Reacher. - Ale na pewno nie jest to najlepszy dzień w jej życiu.

- Jak stamtąd wróci?

- Pewnie zamierzała martwić się tym później.

- Nie możemy tam pojechać tym samochodem.

- A co innego mamy do dyspozycji?

- Tylko pick-up.

- A masz okulary przeciwsłoneczne? Bo trochę wieje bez przedniej szyby.

- Za późno. Już jest odstawiony do warsztatu.

- A potem poszłaś do biblioteki? To wcale nie spałaś?

- Ostatnio mało śpię.

- Od kiedy? Co takiego się stało?

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Chodzi o twojego męża?

- Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać.

- Musimy odszukać Marię - zmienił temat Reacher.

- No właśnie.

- Moglibyśmy iść pieszo.

- To dziewiętnaście kilometrów.

- I dziewiętnaście kilometrów z powrotem.

- Nie damy rady. Za dwie godziny zaczynam służbę.

- Osiadła w Nadziei - zaczął swój wywód Reacher. - Przynajmniej tymczasowo. A teraz gdzie zaginęła. Policja z Nadziei powinna mieć prawo pojechać do sąsiedniego okręgu, by zasięgnąć informacji.

- Ona jest z San Diego.

- Tylko formalnie.

- Formalności są bardzo ważne.

- Ale stała się mieszkańcem Nadziei.

- Z jedną zmianą bielizny?

- A co złego mogłoby z tego wyniknąć?

- Policja z Rozpaczy chciałaby mieć takie samo prawo.

- Już z niego skorzystali. Ich zastępcy pojawili się tu zeszłej nocy.

- Dwa minusy nie dają w takiej sytuacji plusa.

- A niby kto tak twierdzi?
- Chcesz mnie do czegoś zmusić?
- To ty masz odznakę i broń.

Vaughan zastanawiała się przez chwilę, pokręciła głową, westchnęła i powiedziała:

- Cholera jasna.

Nacisnęła na pedał gazu i ford crown victoria wystrzelił do przodu. Opony miały dobrą przyczepność na nawierzchni Nadziei, ale straciły ją na luźnej nawierzchni Rozpaczy. Zarzuciło tyłem, lecz samochód wyszedł z poślizgu i przyspieszając, zostawił za sobą chmurę niebieskiego dymu.

Jechali osiemnaście kilometrów w kierunku zachodzącego słońca, nie widząc nic ciekawego oprócz oślepiającego blasku. Ostatni kilometr był inny. W oddali Reacher dostrzegł znajome kształty, ostre zarysy zabudowań w skróconej perspektywie. Rozmyte widoki na dalekim horyzoncie. Niezagospodarowana działka po lewej. Opuszczony motel. Stacja benzynowa po prawej. Dalej skład suchej żywności w pierwszym zabudowanym kwartale ulic.

I coś jeszcze.

Z odległości półtora kilometra wyglądało to jak cień. Jakby samotna chmura blokowała promienie słoneczne i rzucała przypadkowe kształty cienia na ziemię. Wyciągnął szyję i spojrzał na niebo. Było bezchmurne. Zwykle szarobłękitne niebo zwiastujące nadejście wieczoru.

Vaughan jechała dalej.

Z odległości kilometra kształt zaczął nabierać ostrości. Stawał się szeroki, miał swoją głębokość i wysokość. Słońce oświetlało go od tyłu i przebijało się przez krawędzie. Wyglądał jak szeroki stos czegoś ciemnego. Jakby jakiś gigantyczny spychacz wysypał ziemię w poprzek drogi, od pobocza do pobocza, a nawet jeszcze szerzej.

Z odległości pół kilometra dostrzegli, że kształt się porusza.

Z odległości dwustu pięćdziesięciu metrów widać już go było całkiem wyraźnie.

To był tłum ludzi.

Vaughan instynktownie zwolniła. Tłum składał się z dwustu, a może trzystu ludzi. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Utworzyli coś na kształt trójkąta zwróconego jednym z wierzchołków na wschód. Na samym przodzie stało sześć osób. Za pierwszą szóstką kolejne dwadzieścia. Za dwudziestką - sześćdziesiąt. Za sześćdziesiątką reszta tłumu. Droga na całej szerokości była zablokowana. Tył trójkąta rozlewał się po dziesięć metrów poza drogę w obie strony w suchorośle.

Vaughan zatrzymała samochód pięćdziesiąt metrów przed blokadą.

Ludzie ścisnęli się z boków do środka. Czołówka tłumu stała twardo, reszta tłoczyła się za nimi. Klin stworzony z ludzi.

Zbita masa. Dwieście, a może trzysta osób. Byli blisko siebie, ale nie trzymali się za ramiona.

Nie trzymali się za ramiona, bo w rękach mieli prowizoryczną broń.

Kije baseballowe, kije do bilardu, kije od szczotek, szczapy drewniane, młotki. Dwieście, a może trzysta osób, ściśniętych i ruszających się. Jak jeden organizm. Przeszli z nogi na nogę, potrząsując bronią. Nic przeraźliwego. Ich ruchy były nieznaczne, rytmiczne i w pełni kontrolowane.

Skandowali.

Początkowo Reacher słyszał jedynie jakieś prymitywne gardłowe krzyki. Gdy opuścił szybę o parę centymetrów, wyraźnie usłyszał słowa:

- Wynocha! Wynocha! Wynocha!

Nacisnął przycisk jeszcze raz i szyba się uniosła. Vaughan była blada.

- Nie mogę w to uwierzyć - wyznała.

- Czy to jest jakaś dziwna tradycja w Kolorado? - zapytał Reacher.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam.

- Tak więc sędzia Gardner zaprzysiął całą ludność miasteczka.
- Oni nie wyglądają na powołanych do pełnienia obowiązków policyjnych. Oni wyglądają jak szowinistyczni wyznawcy.
- To na pewno.
- Co robimy?
- Wynocha! Wynocha! Wynocha! Reacher obserwował przez chwilę tłum.
- Jedź dalej i zobaczymy, co się stanie - zaproponował.
- Mówisz poważnie?
- Spróbuj.

Vaughan zdjęła nogę z pedału hamulca i samochód potoczył się do przodu.

Tłum zaczął powoli sunąć do przodu, małymi krokami, przygarbiony, machając prymitywną bronią.

Vaughan zatrzymała się czterdzieści metrów od niego.

- Wynocha! Wynocha! Wynocha!
- Włącz syrenę, przestrasz ich - doradził Reacher.
- Przestraszyć ich? To im nieźle wychodzi straszenie mnie. Tłum przestał przestępować z nogi na nogę. Teraz zaczęli przenosić ciężar ciała do tyłu i do przodu na wysuniętą nogę, machając kijami do przodu. Mężczyźni byli ubrani w koszule robocze i dzinsy, a kobiety w wypłowiałe sukienki letnie, jednak jeśli chodzi o ich zachowanie, to wszyscy wyglądali jak jakiś prymitywny lud, jak jakieś dziwne plemię z epoki kamiennej broniące się przed zagrożeniem.

- Włącz syrenę - powtórzył Reacher.

Vaughan włączyła sygnał. To był nowoczesny, syntetyzowany dźwięk, głośny, rozchodzący się dookoła modulowanymi, przypadkowo mieszającymi się sektami sygnałów od podstawowego, niskiego łał-łał-łał przez szaleńcze, wysokie lił-lił-lił do historycznego, cyfrowego trrr-trrr-trrr.

Bez efektu.

Ani drgnienia szacunku wobec policji.

Tłum nie przestraszył się, nie poruszył, nie stracił rezonu.

- Nie moglibyśmy ich objechać? - zapytał Reacher. Vaughan pokręciła głową.
- To nie jest samochód do jazdy po piachu i krzakach. Zakopimy się i będzie po nas. Musielibyśmy mieć auto z napędem na cztery koła.
- Więc zmyl ich. Udaj, że jedziesz lewą stroną, potem szybko odbij w prawo.
- Myślisz, że się uda?
- Spróbuj. Zobaczymy.

Zdjęła nogę z pedału hamulca i samochód zaczął powoli sunąć do przodu. Skręciła kierownicą i jechała po przeciwnym pasie ruchu lekko pod skosem. Tłum zaczął śledzić jej poczynania, powoli i płynnie. Dwieście lub trzysta osób poruszających się jak jeden organizm, jak wylana rtęć zmieniająca kształt jak ameba. Jak zdyscyplinowane stado. Vaughan dobiła do lewego pobocza. Tłum ruszył na nią, by ją odciąć, ale z prawej strony nadal była spora bariera z ludzi, sięgająca daleko za pobocze.

- Nie da rady - stwierdziła. - Jest ich zbyt wielu.

Zatrzymała samochód dziesięć metrów przed czołem tłumu. Wyłączyła syrenę. Skandowanie się nasiliło.

- Wynocha! Wynocha! Wynocha!
  - Po chwili znizyli ton i zwolnili rytm. Zaczęli uderzać kijami o asfalt na przemian z okrzykami.
  - Wynocha!
- Trzask.
- Wynocha!

Trzask.

Byli tak blisko, że dokładnie widzieli ludzi w tłumie. Ich twarze wysuwały się przy każdym okrzyku, szare, różowe, przesiąknięte nienawiścią, wściekłością, strachem i złością. Reacher nie cierpiał tłumów. Lubił samotność i był umiarkowanym agorafobem, co wcale nie oznaczało, że bał się szerokich, otwartych przestrzeni. Zwykle tak właśnie ludzie rozumieli agorafobię, myląc się przy tym bardzo. Reacher lubił otwartą przestrzeń. Ale czuł pewien dyskomfort, gdy znajdował się na agorze, czyli na rynku pełnym ludzi. Przypadkowo zgromadzeni ludzie byli wystarczająco niebezpieczni. Oglądał kiedyś archiwalne filmy nakręcone podczas panicznych uciezek oraz podczas katastrof na stadionach. Jednak zorganizowane tłumy były znacznie gorsze. Oglądał też archiwalne zdjęcia z zamieszek i rewolucji. Tłum składający się z dwustu ludzi przemieniał się w potężną bestię. Był najcięższym, najtrudniejszym do opanowania dzikim stworzeniem. Najgorszym do wytopienia. Niby wielki cel, ale raporty po akcji bojowej zawsze dowodziły niskiego procentu celnych trafień.

Tłumy były groźne.

- Co teraz? - zapytała Vaughan.

- Nie wiem.

Reacher był w Somalii, Bośni i na Bliskim Wschodzie i widział, co potrafią uczynić wściekłe tłumy. Widział, jak działają instynkt stadny, anonimowość, wyzbycie się zahamowań, domniemane przyzwolenie na zbiorowe działanie. Wściekły tłum był najniebezpieczniejszą bestią na powierzchni ziemi.

- Wynocha!

Trzask.

- Wynocha!

Trzask.

- Włącz wsteczny - powiedział cicho.

Vaughan przesunęła dźwignię zmiany biegów na „Reverse”. Samochód przysiadł na tylnych kołach jak zwierzyna szykująca się do ucieczki.

- Cofnij trochę - dodał.

Vaughan cofnęła, skrzyła kierownicą i ustawiła samochód dokładnie nad środkową linią i zahamowała niecałe trzydzieści metrów od tłumy. To odległość od bazy domowej do pierwszej bazy w baseballu, pomyślał Reacher.

- Co teraz? - znowu zapytała.

Tłum zmienił swój kształt. Sformował taki trójkąt jak na samym początku. Ściśnięta masa z czołem składającym się z sześciu ludzi i szeroką bazą, która wychodziła aż na dziesięć metrów po każdej stronie szosy.

- Wynocha! Trzask.

- Wynocha! Trzask.

Reacher spoglądał przez przednią szybę, opuścił boczną. Instynktownie czuł, że nadchodzi jakaś zmiana. I chciał ją wyprzedzić dosłownie o ułamek sekundy.

- Co robimy? - zapytała Vaughan.

- Bezpieczniej czułbym się w hummerze - odpowiedział Reacher.

- Nie mamy hummera.

- Tak tylko mówię.

- Ale co robimy w crownie victorii?

Reacher nie zdążył udzielić odpowiedzi. Zmiana nadeszła. Skandowanie ucichło. Zapadła chwilowa cisza. Potem sześciu ludzi stojących na czele tłumy podniosło swoją broń, prostując ramiona.

Wykrzyknęli komendę.

I zaatakowali.

Wrzeszcząc, rzucili się do przodu z uniesionymi wysoko kijami. Tłum ruszył za nimi. Dwieście, a może trzysta osób, biegiem, wrzeszcząc, upadając, potykając się, tratując, z wytrzeszczonymi oczami, otwartymi ustami, wykrzywionymi twarzami, z uniesionymi kijami. Cały widok przez przednią szybę przesłoniła wijąca się, oszalala, wrzeszcząca masa ludzka nacierająca w ich kierunku.

Byli już półtora metra od maski samochodu. Wtedy Vaughan nacisnęła na gaz. Samochód wystrzelił do tyłu na wyjąłym silniku, koła zapiszczały na asfalcie i zadymiły. Jadąc tyłem, osiągnęła prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zawróciła o sto osiemdziesiąt stopni kontrolowanym poślizgiem, wrzuciła „Drive” i wcisnęła pedał gazu. Przyspieszała coraz bardziej i nie zatrzymała się przez wiele przejechanych kilometrów. Reacher wcześniej błędnie szacował. Zbyt ostrożnie. Ford crown victoria z policyjnym pakietem w wyposażeniu był bardzo szybkim samochodem. Bez większego wysiłku osiągnął prędkość dwustu kilometrów na godzinę.

43

Wylecieli w powietrze, odrywając się na moment kołami od nawierzchni podczas pokonywania wzniesienia, które zasłoniło za nimi Góry Skaliste. Vaughan wreszcie zaczęła zwalniać, po przejechaniu kilometra zatrzymała samochód. Odwróciła się i przez całą minutę obserwowała teren przez tylną szybę. Nadal znajdowali się na terenie okręgu miasta Rozpacz, ale za nimi było już spokojnie. Zaparkowała na poboczu, dwoma kołami na piasku, silnik pozostawiła włączony. Rozparła się w fotelu i opuściła ręce na kolana.

- Powinniśmy w to włączyć policję stanową - stwierdziła. - Mamy tu dziki tłum i zagubioną dziewczynę. I bez względu na to, co Ramirez zrobił, nie możemy zakładać, że jego dziewczynę uprzejmie tam potraktują.

- Nie możemy zakładać niczego - odpowiedział Reacher. - Nie wiemy, czy ona na pewno tam jest. Nie mamy nawet pewności, czy te zwłoki należały do Ramireza.

- Masz poważne wątpliwości?

- Ja nie, ale stanowe gliny będą miały. Ta historia to na razie tylko same przypuszczenia.

- Więc co mamy robić?

- Zweryfikować.

- W jaki sposób?

- Zadzwonimy do Denver.

- A co jest w Denver?

- Ten zielony samochód - odparł Reacher. - No i facet, który nim jechał. Pięćset kilometrów, sześć godzin jazdy, nawet niech będzie siedem z przerwą na lunch. Jeśli wyjechał dziś rano, powinien już być na miejscu. Zadzwonimy do niego i spytamy, czy podwoził Marię, a jeśli tak, to dowiemy się, gdzie ją wysadził.

- Znasz jego nazwisko?

- Nie.

- A numer telefonu? - Nie.

- To masz naprawdę świetny plan.

- On był w Nadziei z odwiedzinami u swoich wnuków. Musimy wrócić do miasta i sprawdzić rodziny, które mają trójkę dzieci. Zapytamy, czy dziadek jeździ zielonym mercurym, ktoś na pewno odpowie, że tak. I wtedy zdobędziemy numer telefonu do jego następnego miejsca postoju. To będzie dom jego syna lub córki w Denver z czterema wnukami.

- A co ty będziesz w tym czasie robił?

- Wracam do Rozpaczy.

• • •

Wysiadł z samochodu o piątej trzydziści pięć, około trzynastu kilometrów na zachód od Nadziei i niewiele ponad trzynaście kilometrów na wschód od Rozpaczy. Na środku



nie należącego do nikogo pustkowi. Popatrzył do tyłu, jak odjeżdża radiowóz Vaughan, odwrócił się i ruszył w drogę. Szedł szosą, by utrzymać dobrą prędkość marszu. Analizował zebrane dane i informacje. „To jest to, co wiesz”. Dwa tysiące sześciuset mieszkańców, prawdopodobnie jedna czwarta z nich za stara i jedna czwarta za młoda, żeby móc działać. To dawało ponad osiemset osób, które mogą być czynne głównie po godzinie szóstej wieczorem, po zamknięciu zakładu recyklingu złomu. Świeżo zaprzysiężeni, niepewni swoich możliwości, niedoświadczeni. Światło dzienne ułatwiało im działanie w dużych tłumach. W nocy musieliby się rozciągnąć, tworząc żywe ogrodzenie z ludzi. Jednak będą starali się być blisko siebie ze względu na morale, skuteczność działania i wzajemne wspieranie się. Więc raczej nie należy się spodziewać żadnych wysuniętych czujek ani wartowników. Dzieci będą trzymane w grupach rodzinnych. Każdy element ludzkiego ogrodzenia postara się zachować kontakt wzrokowy z następnym ogniwem. Co oznaczało, że odległości między grupami i jednostkami nie będą zasadniczo większe niż trzy metry. Niektórzy wezmą latarki. Inni przyjadą z psami. W najgorszym przypadku powstanie łańcuch ludzki długości pięciu i pół kilometra, który utworzy okrąg o średnicy ponad półtora kilometra.

Koło o średnicy półtora kilometra ledwie otoczy całe miasto. Łańcuch będzie za krótki, by objąć i miasto, i zakład metalurgiczny, więc pewnie skupi się na drogach wlotowych do miasta, a szczególnie na drodze z Nadziei. Ostrona okręgu będzie raczej słaba, miejscami nawet bardzo. Prawdopodobnie mężczyźni posiadający pickupy obstawią peryferie miasta i pustynię, a chevrolety tahoe z ochrony fabryki będą patrolować całą okolicę. Nastoletni chłopcy, podnieceni przygodą i głodni sławy, mogą zachowywać się w sposób nieprzewidywalny. Zresztą pewnie szybko się znudzą i zmęczą, ich morale opadnie. Tak naprawdę to wszyscy się szybko zmęczą. Najbardziej efektywni będą jedynie w pierwszej godzinie, w drugiej i trzeciej zaczną się słaniać, przed północą okażą się już zupełnie do niczego, a w pierwszych godzinach po północy ich czujność przestanie istnieć.

„Jakie masz wnioski?”

Nie będzie z tego żadnej tragedii, pomyślał Jack. Słońce zachodziło za odległymi górami. Horyzont spowiła miękka, pomarańczowa poświata. Reacher maszerował właśnie w jej kierunku.

• • •

O siódmej wieczorem wyobraził sobie, że Vaughan właśnie rozpoczyna nocną służbę w Nadziei. O siódmej piętnaście był o dwa kilometry od granicy miasta, gdzie natknęli się na tłum. Robiło się ciemno. Nikogo nie widział w oddali, ale w takim razie nikt też nie mógł zauważyć jego. Zszedł z drogi w zarośla, kierując się na południowy zachód, trochę po skosie, przedzierając się przez gałęzie, by nie tracić tempa. Miasto rozciągające się przed nim było pogrążone w ciemnościach i ciche. Bardzo ciche. O siódmej trzydzieści zdał sobie sprawę z tego, że jest sześćset metrów w głębi pustyni, a nie usłyszał startu samolotu. Żadnego silnika, żadnych świateł w powietrzu.

Dlaczego?

Zatrzymał się na chwilę i próbował wymyślić dla siebie możliwe działania. Ruszył dalej, zachowując bezpieczną odległość od miasta. Szedł po cichu; starał się być zupełnie niewidzialny i niewykrywalny w otaczającej ciemności.

• • •

O ósmej wieczorem podjął pierwszą próbę podejścia do miasta. Skoro spodziewano się go od wschodu, wybrał drogę od południowego zachodu. Nie gwarantowało to bezpieczeństwa, ale i tak stanowiło o wiele lepsze rozwiązanie niż pchanie się od frontu. Bystrzejsi strażnicy będą rozstawieni w różnych miejscach, ale z pewnością nierównomiernie. Zresztą Jack już pozostawił za sobą większość tych, których mógłby się obawiać. Wcześniej widział poobijany pick-up z czterema reflektorami na pałaku dachowym. Powoli bujał się po bezdrożach, oddalając się w przeciwnym kierunku.

Reacher szedł dalej przez zarośla. Zatrzymał się przy sporym głazie. Był już pięćdziesiąt metrów od tyłów długiego szeregu zabudowań. Domy pracowników zakładu, parterowe, na szerokich działkach. Cena ziemi pustynnej była niska, nawet jak na robotniczą kieszeń, a szamba, z których odprowadzano zawartość do gruntu, nie lubiły dużego ścisku. Przerwy między domami były trzykrotnie większe od samych budynków. Niebo spowijała szarość z delikatnym poblaskiem, księżyc schował się za chmurą. Między domami rozlokowali się strażnicy. Reacher łatwo wyłowił ich wzrokiem z ciemności. Patrząc od lewej do prawej, najpierw dostrzegł samotną osobę, potem małą grupkę i znów samotnego strażnika, za nim następnego. Wszyscy mieli w rękach kije różnego rodzaju: bilardowe, baseballowe, drągi. Stworzyli łańcuch: uzbrojony strażnik, dom, uzbrojony strażnik, dom, uzbrojony strażnik, dom, uzbrojony strażnik.

Myśleli, że domy same w sobie są budowlami obronnymi.

Mylili się.

Jack słyszał rozlegające się w oddali szczekanie psów podnieconych niezwykle wczesną porą rozgardiaszem. Żaden problem. Psy, które szczekały zbyt wiele, były bardziej nieużyteczne niż te, które wcale nie szczekały. Facet drugi z prawej, stojący między domami, miał latarkę. Zapalał ją od czasu do czasu i sprawdzał teren, po czym gasił, by oszczędzać baterie.

Reacher poszedł w lewo.

Stanął za domem, który był całkowicie pogrążony w ciemności. Położył się na ziemi i zaczął się czołgać w jego stronę. Rekord w czołganiu na dwadzieścia metrów w armii wynosił około dwudziestu sekund. Snajperzy nieraz czołgali się zaledwie pięćdziesiąt metrów przez cały dzień, by zająć dobrą pozycję strzelecką. Na podczołganie się do domu Reacher wyznaczył sobie pięć minut. Wystarczająco szybko, by osiągnąć cel, i odpowiednio wolno, by zrobić to niepostrzeżenie. Mózg człowieka działa w taki sposób, że ocenia prędkość ruchu i brak ciągłości w działaniu. Zbliżający się żółw nikogo nie martwi. Gepard w szalonej gonitwie zwraca uwagę wszystkich. Więc Reacher czołgał się powoli, pociągłymi ruchami, opierając się na kolanach i łokciach, z nisko opuszczoną głową. Bez zatrzymywania się. Bez nagłych ruchów. Pokonał pierwsze dziesięć metrów. Potem drugie dziesięć. Trzecie i czwarte.

Po pokonaniu czterdziestu pięciu metrów zauważył, że nikt z pilnujących między domami nie zdoła go dostrzec w miejscu, do którego się doczołgał. Mimo to pozostał przy ziemi i podczołgał się do progu. Wstał i nasłuchiwał. Żadnej reakcji z domu ani z zewnątrz.

Nic.

Stał przed drzwiami kuchennymi. Prowadziły do nich trzy drewniane schody. Wspiął się po nich powoli, z rozstawionymi szeroko stopami, stawiając je w miejscach, gdzie deski były przybite do poprzecznych belek. Gdy deska trzeszczy, to w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto dzieje się tak, gdy stanie się na niej pośrodku, czyli tam, gdzie jest najszlubsza. Położył dłoń na gałce do drzwi. Gdy drzwi piszczą, to w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto dzieje się tak, bo opadły na zawiasach. Podciąganie drzwi za gałkę zawsze pomaga.

Podciągnął gałkę i pchnął drzwi. Wszedł do środka, odwrócił się i zamknął drzwi. Stał w ciemnej i cichej kuchni. Podłoga była pokryta wytartym linoleum, w powietrzu unosił się zapach smażonego mięsa. Szafki kuchenne wynurzały się z ciemności niczym widma. Zlewozmywak i bateria z nieszczelną uszczelką. Co dwadzieścia trzy sekundy z wylewki skapywała gruba kropla. Jack wyobraził sobie, jak eksplodująca w zderzeniu z dnem zlewozmywaka kropla obiera kształt korony, wysyłając na zewnątrz mniejsze kropelki tworzące idealny krąg.

Z kuchni wyszedł na korytarz. Poczul stęchłą woń starego dywanu i dostrzegł wiekowe meble w salonie znajdującym się po prawej stronie. Przeszedł przez korytarz w stronę frontu domu. Frontowe drzwi były wyprodukowane ze zwykłej tłoczonej sklejki na ramie drewnianej,

ozdobione ujętym w prostokąt-malunkiem przedstawiającym koraliki. Przekręcił gałkę i uniósł je lekko. Otworzyły się łatwo i bezgłośnie.

Za nimi był ekran z siatki przeciwko komarom.

Zatrzymał się. Nie było szansy na otwarcie takich drzwi po cichu. Żadnej. Lekka jak piórko konstrukcja, ciasne, plastikowe zawiasy, byle jaka sprężyna domykająca. To wszystko gwarantowało całą symfonię skrzypienia i trzeszczenia. Ekran miał pośrodku poziomą listwę, która wzmacniała ramę i zabezpieczała siatkę przed porwaniem. Górna i dolna część miały po metrze kwadratowym powierzchni. Obydwie były obciągnięte nylonową siatką. Ekran dobrze służył mieszkańcom domu od wielu lat. To było widać. Oczka siatki były pozapychane brudem i zaschniętymi owadami.

Reacher wyciągnął zdobyczny nóż sprężynowy. Cofnął się pół kroku, by korytarz przytłumił dźwięk otwieranego ostrza, i nacisnął przycisk zwalniający blokadę. Wyciął duże X w dolnym ekranie, od rogu do rogu. Wcisnął ostrze do rękojeści, schował nóż i usiadł na podłodze, po czym jak krab zaczął wychodzić przez wycięte X nogami do przodu. Naturalnie ciekawość zobaczenia, co było przed drzwiami, nakazywała wysunąć najpierw głowę, ale jeśli tam się ktoś czaił z trzonkiem od siekiery albo z bronią palną, to lepiej było dostać w nogi niż w czaszkę. Nawet o wiele lepiej.

Na zewnątrz nie było nikogo. Żadnej broni, żadnego kija. Przecisnął tułów przez siatkę i jednym zwinnym ruchem wyprostował się i stanął w gotowości. Był na betonowym ganku. Zwykła płyta z cementu, popękana i ukruszona w narożniku, leżała bowiem bezpośrednio na ziemi, a nie na porządnym fundamencie. Z przodu krótki chodnik i ciemna ulica. Domy po obu stronach. Żadnych strażników pomiędzy nimi. Zostali z tyłu w odległości równej połowie głębokości domu. I wszyscy patrzyli w złą stronę.

54

Znalazłszy się w samym centrum miasta, Reacher skierował się na północ. Skradał się między domami i trzymał się tak daleko od szerokich ulic, jak tylko było to możliwe. Nikogo nie spotkał. Raz zobaczył stary samochód dwie przecznice dalej. Możliwe, że to jakiś zmotoryzowany strażnik podczas inspekcji drogowej. Jack przykucnął za drewnianym ogrodzeniem i przeczekał, aż samochód odjedzie, potem przeciął zakrzewiony płacyk i rozpląszczył się przy pierwszym napotkanym ceglany budynku w centrum. Stał przez chwilę oparty plecami o ścianę i planował dalsze kroki. Dość dobrze zaznajomił się z topografią Rozpaczy. Zdecydował więc, że będzie się trzymał z dala od ulicy, przy której znajdowała się restauracja. Była z pewnością otwarta. Choć zbliżała się dziewiąta wieczorem i było trochę za późno na normalną kolację, to biorąc pod uwagę aktywność ludności Rozpaczy, zapewne pracownicy knajpy służyli cateringiem społecznej milicji. Może samochód, który minął go przed chwilą, dostarczał strażnikom kawę?

Trzymając się cienia, przeszedł wąską poprzeczną ulicą koło pustego kościoła. Może Thurman był tu wcześniej i modlił się o powodzenie swoich operacji. Niestety, będzie niezbyt zadowolony z wyniku modłów. Reacher szedł dalej, zupełnie bezgłośnie. Znowu skręcił i poszedł pustymi ulicami w kierunku posterunku policji. Cała ludność miasta była zaangażowana w tworzenie na peryferiach żywego muru i wypatrywanie przybyszów z ciemności, nieświadoma, że coś może rozgrywać się za jej plecami.

Ulicę, przy której mieścił się posterunek policji, oświetlała tylko jedna lampa rzucająca słabe żółtawe światło. Sam posterunek był pogrążony w kompletnej ciemności. Drewniane drzwi zewnętrzne były zamknięte na niezbyt umiejętnie założony pięciozapadkowy zamek. Reacher wyjął z kieszeni klucze, które zabrał zastępcy podczas bójki w barze. Spojrzał na nie, potem na zamek i użył długiego mosiężnego klucza. Zamek przekręcił się z dużym oporem. Albo klucz był źle dopasowany, albo język zamykający ocierał o obudowę, albo też jedno i drugie. W końcu blokada puściła i Reacher poczuł biurowy zapach pasty do podłogi. Wszedł do

środku i zamknął za sobą drzwi. Ruszył przez pograżony w półmroku hol, jak już raz mu się zdarzyło, i dotarł do biurka recepcyjnego. Zupełnie jak w przypadku hotelu w Rozpaczy Departament Policji w tym mieście nadal tkwił w erze papieru i długopisu. Rejestr aresztowań prowadzono w dużej czarnej księdze o pomalowanych na złoty kolor krawędziach kartek. Reacher wziął księgę do okna i ustawił się tak, by złapać resztki światła docierające z ulicznej lampy. Wertował księgę tak długo, aż odnalazł wpis dotyczący jego aresztowania, datowany trzy dni wcześniej z podaną godziną - wczesną popołudniową: „J. Reacher, mężczyzna, włóczęga”. Wpis został dokonany kilka godzin przed przesłuchaniem przez sędziego w sądzie miejskim. Reacher uśmiechnął się ironicznie i pomyślał: i już po zagwarantowanym przez prawo domniemaniu niewinności.

Wpis tuż powyżej, datowany na trzy dni wcześniej: „L. Anderson, kobieta, włóczęga”.

Przerzucił jedną kartkę do tyłu, szukając męża Lucy Anderson. Nie spodziewał się znaleźć tu jego nazwiska i rzeczywiście nic nie znalazł. Mężowi Lucy udzielono pomocy i nie wyrzucono go z miasta. Reacher szukał wpisu dotyczącego Ramireza. Żadnego siadu. Nic nie znalazł w rejestrze. Nigdy go nie aresztowano. Więc nie mógł uciec z aresztu. I nigdy go w takim razie nawet nie zatrzymano. Jeśli w ogóle kiedykolwiek był w tym mieście. A może ten nieboszczyk w ciemnościach to ktoś zupełnie inny?

Reacher przeglądał wpisy z trzech ostatnich miesięcy. Znalazł sześć nazwisk: Bridge, Churchill, White, King, Whitehouse, Andrews - pięciu mężczyzn, jedna kobieta, wszyscy określani jako włóczędzy; jeden wpis przypadał średnio raz na dwa tygodnie.

Przerzucił kartki do przodu, by sprawdzić, czy po jego nazwisku pojawił się wpis dotyczący Marii. Nie. Znalazł za to notatkę sporządzoną innym charakterem pisma, bo przecież oficer dyżurny jechał tym drugim ffordem crown victoria i teraz leżał przykuty do łóżka z urazem górnej części kręgosłupa. Nowy wpis pochodził zaledwie sprzed siedmiu godzin: „G. Rogers, mężczyzna, włóczęga”.

Zamknął rejestr, odłożył go w to samo miejsce na biurko i poszedł do schodów prowadzących do piwnicy. Zszedł w ciemności, macając rękami ścianę klatki schodowej, aż trafił na drzwi aresztu. W środku było jasno, paliły się wszystkie żarówki. Ale cele były puste.

• • •

Koło o średnicy półtora kilometra ledwie otoczy całe miasto. Następny przystanek Reachera znajdował się poza miastem, co oznaczało, że będzie musiał jeszcze raz przedrzeć się przez żywe ogrodzenie, tym razem w przeciwnym kierunku. W tę stronę nie sprawiło to problemu, ale w przeciwną może być trudniej. Łatwo było podejść do ludzkiego płotu, stosunkowo łatwo było przez niego przeniknąć, ale w drugą stronę, z tysiącem wpatrujących się w plecy uciekiniera oczu, może być trudniej. Nie chciał stać się jedyną osobą, która się porusza, podczas gdy inni będą statyczną widownią. Lepiej byłoby, gdyby linia ochrony dała się zaburzyć, zerwać, by rozbiła się jak fala morska o wystającą skałę.

Jeszcze raz obejrzał pęk kluczy.

Znalazł ten, którego szukał.

Schował klucze do kieszeni, wrócił do biurka recepcyjnego i zaczął szperać po szufladach. W trzeciej szufladzie było to, czego potrzebował. Różne drobne śmieci. Gumki, spinacze, klipsy do papieru, wyschnięte długopisy, linijka, skrawki papieru z odręcznymi notatkami.

I cienka popielniczka, i ćwierć paczki cameli, i trzy zakładki tekturowych zapalek.

Reacher odsunął krzesło spod recepcyjnego biurka i postawił na podłodze rejestr aresztowań z okładkami pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i rozsuniętymi kartkami. Wokół księgi stworzył piramidę ze zgniecionych w kule dokumentów, kalendarzy, plakatów, starych gazet; wykorzystał wszystko, co tylko znalazł. W środku umieścił dwie zakładki z tekturowymi zapalkami, z odgiętymi okładkami i zapalkami powyginanymi na różne strony.

Zapalił papierosa zapalką z trzeciej zakładki. Z wielką przyjemnością zaciągał się dymem. Camele były jego ulubioną marką w dawnych czasach. Lubił turecki tytoń. Wypalił półtora

centymetra papierosa i włożył go do trzeciej tekturki z zapalnikami, mocując go dla pewności klipsem do papieru. Tak zaimprovizowany zapalnik umościł w podstawie papierowej piramidy i wyszedł.

Zostawił uchylone drzwi, tylko na pięć centymetrów, by zapewnić pomieszczeniu świeży dopływ tlenu.

• • •

Ruszył na południe, w kierunku domu potężnie zbudowanego zastępcy. Wiedział, gdzie się znajduje. Widział go przecież od drugiej strony, pierwszej nocy, gdy facet wrócił do domu z pracy i wymiotował na ogródku. Normalnie dotarłby tam w pięć minut, ale w obecnych warunkach musiał iść ostrożnie i się ukrywać. Dom był stary, parterowy, rozległy, typu farmerskiego. Wyszorowany plastikowy siding, pomarszczona dachówka bitumiczna, suche rośliny przed wejściem. Żadnego zadbanego ogródka ani trawnika. Po prostu ubita ziemia i wydeptana ścieżka do drzwi i do miejsca postojowego samochodu koło drzwi kuchennych.

Stary pick-up z podwójną kabiną pasażerską stał na swoim miejscu.

Drzwi kierowcy nie były zamknięte na kluczyk. Reacher wcisnął się za kierownicę. Fotel był zapadnięty i wytarty, okna brudne, obicia śmierdziały potem, łojem i olejem. Jack wyciągnął breloczek z kieszeni i znalazł właściwy kluczyk. Plastikowa główka, charakterystyczny kształt. Włożył go do stacyjki i przekręcił. Puściła blokada kierownicy i zapaliły się kontrolki na desce rozdzielczej. Przekręcił kluczyk z powrotem, przeszedł na tylne siedzenia i rozciągnął się na plecach.

• • •

Ponad trzydzieści minut zabrakło mieszkańcom miasta zorientowanie się, że pali się ich posterunek policji. Gdy tam dotarli, budynek był cały w płomieniach. Ze swojego punktu obserwacyjnego w kabinie pick-upu Reacher zdążył zobaczyć ogień, iskry, pomarańczową łunę i wysokie płomienie, zanim ktokolwiek zareagował na pożar. W końcu ktoś pilnujący peryferii musiał poczuć dym albo tak się znudził swoją rolą, że dla zabicia nudy zaczął sobie chodzić w kółko i zatrzymał się, zdziwiony łuną ognia za domami.

Przez minutę Jack słyszał zdezorientowane krzyki i niepewne nawoływania.

Potem wybuchł chaos.

Dyscyplina momentalnie się załamała. Żywe ogrodzenie zapadło się do środka jak dziurawy balon. Reacher leżał cicho, gdy mijali go ludzie, najpierw kilku niepewnych, czy postępują właściwie, później cała masa, w pośpiechu. Biegli pojedynczo i grupami, wrzeszczeli, zafascynowani i wystraszeni, patrząc na jasną poświatę przed sobą. Reacher wyciągnął szyję i zobaczył, że nadbiegają ze wszystkich kierunków. Poprzeczne ulice wypełniły się nagle tłumami ludzi, całymi setkami. Przemieszczali się tylko w jednym kierunku. Labirynt ulic centrum miasta całkowicie ich wchłonął. Reacher usiadł i obserwował, jak oddalają się plecy ostatnich mijających go grup.

Świeżo zaprzysiężeni, niepewni swoich możliwości, niedoświadczeni.

Uśmiechnął się.

Lecą jak ćmy do ognia, pomyślał, i mają prawdziwy ogień.

Przeszedł na siedzenie kierowcy i przekręcił kluczyk do samego końca. Zakręcił się rozrusznik i silnik odpalił. Ruszył powoli, ze zgaszonymi światłami. Jechał na południowy zachód przez zapuszczony plac z suchymi zaroślami. Zauważył reflektory samochodów po prawej stronie. Cztery pojazdy. Najprawdopodobniej były to tahoe ochrony zakładu z towarzyszącym im ambulansem i wozem strażackim, którego Reacher wcześniej nie widział. Jechał dalej, kierując się na zachód przez pusty teren, powoli, bujając się na nierównościach, wycierając podwozie gałęziami suchych porostów. Kierownica wyrywała mu się z rąk. W skupieniu wyglądał przez brudną szybę przednią, by dostrzec i w porę wyminąć większe skały. Jechał średnio najwyżej trzydzieści kilometrów na godzinę. Szybciej niż gdyby biegł, ale i tak jechał siedem minut, zanim dostrzegł biały blask ogrodzenia zakładu wylaniający się

z ciemności.

45

Reacher odbił na południe, okrążając południowe ogrodzenie fabryki, i jechał dalej, dopóki nie dotarł do kamiennego muru rezydencji. Choć trudno było go wypatrzeć w ciemności, to łatwo będzie się po nim wspiąć. Dużo miejsca na palce w nierówno wypełnionych spoinach między kamieniami. Przejechał połowę obwodu muru i zaparkował samochód w miejscu, gdzie spodziewał się wielkiej stodoły po drugiej stronie muru. Wyłączył silnik i po cichu wysiadł z samochodu. Niecałe dziesięć sekund później był już za ogrodzeniem. Pas startowy rozciągał się tuż przed nim. Mógł mieć dwadzieścia metrów szerokości, około kilometra długości; był dobrze utrzymany, porządnie ubity i dokładnie wyrównany. Po obu stronach biegły niskie betonowe garby, w których zainstalowano reflektory oświetlające lądowisko. Po drugiej stronie pasa znajdowała się spora przestrzeń porośnięta suchoroślami, na której tu i ówdzie widać było kępy drzew i krzewów ozdobnych, srebrzących się w poświacie nocnego nieba. Rodzime gatunki, przystosowane do wegetacji na pustyni. Kserofile, rośliny tolerujące suche środowisko; przedrostek „xero” z greckiego oznacza suchy. Stąd nazwa firmy Xerox, która stworzyła technologię kserowania, czyli kopiowania na sucho, bez użycia mokrych chemikaliów. Zenon z Kition zapewne byłby zdziwiony kserowaniem, ale na pewno pochwaliby kseroogrodnictwo. Głosił ideę poddawania się biegowi wydarzeń. Niekwestionowaną akceptację przeznaczenia. Wyznawał wygrzewanie się na słońcu i objadanie figami zamiast marnowania czasu i harówki mającej na celu zmianę środowiska naturalnego poprzez nawadnianie.

Reacher przeszedł na drugą stronę pasa startowego. Przed nim i za ostatnią kępą krzewów znajdowała się wielka stodoła. Skierował się wprost na nią. Miała trzy pełne ściany; od frontu była otwarta. Około piętnastu metrów długości, z sześć wysokości i dziewięć szerokości. W środku stał samolot. Piper cherokee, zaparkowany nosem do przodu, na trzykołowym podwoziu, drzemiący, nieruchomy i pokryty wieczorną rosą. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Zwykle w tym czasie był w powietrzu. Ale tej nocy pozostał na ziemi. Nigdzie nie poleciał.

Dlaczego?

Jack wszedł do stodoły i okrążył prawe skrzydło. Podeszedł do kadłuba, znalazł stopień, wdrapał się na skrzydło i zajrzał do środka przez okienko. Latał małymi samolotami, gdy dowództwo chciało, by dotarł na miejsce szybciej niż jeepem albo pociągiem. Nie bardzo lubił jednak takie samoloty. Były dla niego za małe, jakby trywialne i niepoważne. Jak latające autka. Wmawiał sobie, że są lepiej skonstruowane niż samochody, ale nie natrafił na konkretne dowody, które by go w tym upewniły. Cienkie poszycie blaszane, jakieś nity i przewody, kaszłące silniki. Cherokee Thurmana nie wyglądał lepiej niż większość z nich. Zwykły, roboczy, czteromiejscowy samolocik, z oznakami intensywnego użytkowania i śladami rdzy. Miał małe drzwiczki i podzieloną szybę przednią, a deska rozdzielcza była mniej skomplikowana niż w większości współczesnych samochodów osobowych. Jedno z okienek miało niewielkie pęknięcie na szybie. Siedzenia były zużyte, pasy bezpieczeństwa splątane i postrzępione.

Nie zauważył w kabinie żadnych dokumentów. Żadnych wykresów, żadnych map, żadnych notatek dotyczących położenia geograficznego. W środku nie było też żadnej przestrzeni bagażowej. Tylko kilka małych schowków i trzy dodatkowe siedzenia. „Ludzie nie latają w nocy dla przyjemności, powiedziała Podczas rozmowy Lucy Anderson. Przecież wtedy nic nie widać”. dlatego Thurman musiał coś przewozić w jedną lub drugą stronę.

Albo odwiedzał przyjaciela czy kochankę. Może miał podwójną moralność.

Reacher zeskoczył ze skrzydła i wyszedł ze stodoły. Ruszył przez mrok, przyglądając się pozostałym budynkom. Na końcu prostej kilkusetmetrowej drogi dojazdowej wiodącej od ozdobnej kutej bramy żeliwnej był garaż na trzy samochody. Obok niego stała szopa

drewniana, która mogła służyć jako przechowalnia narzędzi ogrodowych. Dom był wspaniały. Wybudowany z impregnowanych bali, które lśniły naturalnym kolorem drewna, gdzieś pomiędzy jasnym a ciemnym. Miał mnóstwo wykuszy dachowych, przez co przypominał górski pensjonat. Niektóre okna ciągnęły się przez dwa poziomy; pokoje pewnie też miały wysokość dwóch kondygnacji. W środku były kamienne akcenty, grube dywany, obite skórą klubowe sofy i fotele. Salon wyglądał jak klub dla dżentelmenów, który powinien pachnieć dymem z cygar. Reacher nadal czuł w ustach smak dymu z papierosa, którym parę razy się zaciągnął. Obszedł cały dom, myśląc o wielbłądach z tekturowego opakowania cameli i o wielbłądach przechodzących przez ucho igielne. Doszedł z powrotem do wielkiej stodoły i ostatni raz rzucił okiem na samolot. Wrócił po swoich śladach przez ogród, przeciął pas startowy, doszedł do muru. Dziesięć sekund później siedział już w ukradzonej półciężarówce.

• • •

Zawrócił po piasku, skierował się w stronę metalowego ogrodzenia zakładu i zaczął go objeżdżać w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Mur kamienny łatwo było pokonać, ale ten metalowy płot wyglądał na konstrukcję nie do zdobycia. Dwupółmetrowe pionowe panele były zwińczone poziomo przyspawanym cylindrem o średnicy ponad półtora metra na całej długości. Wyglądało to jak rolka papieru położona na pionowo stojącej książce w twardej oprawie. Było to rozwiązanie zaczerpnięte z badań prowadzonych przez Departament Więziennictwa. Reacher był doskonale obyty z tą wiedzą. W dawnych czasach interesował się tym zawodowo. Po murach betonowych czy ceglanych, po ogrodzeniach z siatek zawsze można się wspinać bez względu na wysokość. Nawet rozsypane szkło na grzbietach można czymś przykryć. Spirale rozciągniętego drutu kolczastego można zgnieść albo przeciąć. A półtorametrowej średnicy cylindry były nie do pokonania. Ramiona ludzkie, chwytlive dłonie nie dawały rady na śliskich i gładkich powierzchniach metalu. Próbę pokonania takiego ogrodzenia można by porównać z próbą przejścia po suficie.

Po takich przemyśleniach Reacher pojechał dalej. Pokonał hektary piaszczystego parkingu, mając nadzieję, że brama dla pracowników będzie otwarta, a jeśli nie, to jeden z kluczy zastępcy otworzy zamek. Ale nie była otwarta i żaden klucz nie pasował do zamka. Bo nie było w nim otworu na klucz. Zamiast tego na zewnątrz, po prawej stronie bramy, w bezpiecznym miejscu zamocowano stalową puszkę, która zwykle kryje w sobie zewnętrzne gniazda elektryczne. Zamocowane na sprężynowym haczyku drzwiczki otwierały się pod naciskiem dłoni. W środku była dziesięciocyfrowa klawiatura. Zamek szyfrowy. Cyfry od jedynki do dziewiątki plus zero ułożone jak na tarczy telefonu. Taki zamek miał 3 628 800 kombinacji. Siedem miesięcy trwałoby wpisywanie wszystkich możliwości. Może wyjątkowo szybkiej maszynistce udałoby się to zrobić w sześć miesięcy.

Reacher pojechał dalej, skręcił w lewo; posuwał się wzdłuż północnego ogrodzenia po trakcie wyjeżdżonym przez tahoe ochrony, mając nadzieję, że brama dla ciężarówek będzie otwarta. Był optymistą. Tahoe, może też ambulans i wóz strażacki wyjechały w pośpiechu. A ludzie działający w pośpiechu nie zawsze po sobie sprzątają.

Maksymalnie zwolnił i skręcił w lewo.

Brama dla ciężarówek stała otwarta.

Była skonstruowana jak podwójne drzwi. Oba skrzydła wisiały na pionowych zawiasach, a na dolnych krawędziach były podparte łożyskami sunącymi w metalowych prowadnicach, umożliwiających otwarcie bramy na zewnątrz pod kątem stu stopni. Obydwa skrzydła stały teraz rozchylone i tworzyły gardziel, tunel wjazdowy w kształcie litery V prowadzący do dwunastometrowej przerwy w metalowym ogrodzeniu i ciemności rozpościerającej się dalej.

Reacher zaparkował samochód zastępcy tyłem, dokładnie na prowadnicy podpory skrzydła, blokując jego zamknięcie, wyjął kluczyki ze stacyjki i zabrał ze sobą. Pomyślał, że gdyby brama była sterowana elektrycznie albo zamykała się automatycznie z zaprogramowanym

opóźnieniem, to wolałby, na wszelki wypadek, żeby akurat teraz pozostała otwarta. Nie chciał, żeby ktoś ją zamknął z nim w środku - po niewłaściwej stronie ogrodzenia. Wspięcie się po płocie od drugiej strony było równie niewykonalne, jak próba pokonania go od zewnątrz.

Wszedł do środka na jakieś trzydzieści metrów. Pod butami poczuł znajomy grunt, ciężki i lepki od smaru i oleju, chrupiący od opiłków metalu. Zatrzymał się i nasłuchiwał, wyczuwając w ciemności obecność mechanicznych potworów: zgniatarek, kotłów i dźwigów. Spojrzał na prawo na szereg kontenerów biurowych i rząd cystern. Półtora kilometra za nimi, pograżony w ciemności, znajdował się ogrodzony utajniony teren wewnętrzny. Jack się odwrócił, postąpił pół kroku w jego kierunku.

Wtedy stała się jasność.

Usłyszał głośnie łup, gdy prąd elektryczny przepłynął przez kable grubsze od nadgarstków, i w ułamku sekundy cała okolica rozbłysła na błękitno i zrobiło się jaśniej niż w dzień. Powalające wrażenie, intensywnością dorównujące silnemu stresowi fizycznemu. Reacher zacisnął powieki, zasłonił twarz dłońmi i starał się utrzymać prosto na nogach, byle tylko nie paść na kolana.

46

Rozchylił odrobinę powieki w desperackiej chęci utrzymania kontaktu z rzeczywistością i zobaczył, że w jego stronę idzie Thurman. Odwrócił się i dostrzegł, że z drugiej strony zbliża się nadzorca fabryki. Odwrócił głowę w przeciwną stronę i zauważył, że drogę odwrotu do bramy blokuje gigant z metrowym kluczem w ręce.

Stał nieruchomo i czekał na rozwój wypadków, mrużył oczy, aż mięśnie wokół nich zaczęły go boleć od zaciskania powiek. Thurman zatrzymał się trzy metry od niego, po chwili podszedł bliżej i stanął obok, prawie ramię w ramię, jakby byli starymi kumplami podziwiającymi fajerwerki.

- Myślałem, że nasze ścieżki już się nigdy nie przetną... - zaczął Thurman.
- Nie mogę brać odpowiedzialności za to, co pan myśli - odparł Reacher.
- Czy to pan podpalił posterunek policji?
- Przecież rozciągnęliście strażę wokół całego miasta. To jak niby miałbym się tam dostać?
- Po co pan tu znowu przyszedł?

Reacher odpowiedział dopiero po chwili zastanowienia.

- Chcę wyjechać ze stanu - oświadczył. Co cały czas było przecież prawdą. I dodał: - Ale zanim wyjadę, pomyślałem, że wpadnę do waszego ambulatorium i odwiedzę moich dawnych przeciwników. Chciałem im powiedzieć, że nie żywię do nich urazy.
- Myślę, że to oni żywią jedną wielką urazę do pana - odpowiedział Thurman.
- Więc może chociaż mogliby wyznać, że nie mają do mnie żalu. Oczyszczenie sumienia zawsze pomaga człowiekowi wyzdrowieć.
- Nie mogę pozwolić panu na wizytę w ambulatorium. Nie o tej godzinie.
- Nie może pan już niczemu zapobiec.
- Proszę, żeby pan opuścił teren mojego zakładu.
- Odrzucam pana prośbę.
- Tam i tak został tylko jeden pacjent. Reszta jest w domach, na rekonwalescencji.
- A który tu został?
- Underwood.
- Który z nich to Underwood?
- Starszy zastępca. Zostawił go pan w żalonym stanie.
- Był już wcześniej chory.
- Proszę opuścić zakład. Reacher się uśmiechnął.



- To powinno być mottem dla waszego miasta. W New Hampshire mają hasło: „Żyj wolny lub umieraj!”. A dla Rozpaczy mogłoby to być: „Wynocha stąd!”.

- Ja nie żartuję - zapewniał Thurman.

- Jak to nie - odparł Reacher. - Jest pan starym grubasem i mówi mi pan, że mam się stąd wynosić. To właśnie jest śmieszne.

- Nie jestem tutaj sam.

Reacher odwrócił się i spojrzał na nadzorcę. Stał trzy metry od niego, miał opuszczone ręce, w których nic nie trzymał, i napięte barki. Jack odwrócił się i spojrzał na wielkoluda. Stał sześć metrów od niego i w prawej ręce trzymał wielki klucz, opierając jego głowę o lewą dłoń.

- Ma pan tutaj urzędasę i połamana z wielkim kluczem. Nie przestraszyłem się nimi zbyt.

- Może mają broń.

- Nie mają. Gdyby mieli, to dawno by ją wyciągnęli. Nikt nie ociąga się z użyciem broni w takich sytuacjach.

- Ale nadal mogliby zrobić panu sporą krzywdę.

- Wątpię w to. Pierwsza ósemka, którą pan na mnie wysłał, nie bardzo sobie ze mną poradziła.

- Chce się pan przekonać?

- A pan? Jeśli okaże się inaczej, niż się panu wydaje, to zostaniemy tu sami, tylko pan i ja. I pana sumienie. Przyszedłem odwiedzić poszkodowanych, a pan chce mnie pobić? Co z pana za chrześcijanin?

- Bóg kieruje moimi poczynaniami.

- Głównie w taki sposób, jaki panu odpowiada. To bardzo wygodne, prawda? Byłbym pod większym wrażeniem, gdyby inaczej rozumiał pan Pismo, na przykład sprzedał swój majątek i pieniądze rozdał ubogim, a sam udał się do Denver, by opiekować się bezdomnymi.

- To nie jest przekaz od Boga, który ja dostaję.

- No tak. Nic w tym dziwnego.

Thurman milczał.

- Teraz idę do ambulatorium. Pan też. Ma pan wybór, czy idzie pan tam ze mną czyja mam tam pana zawlec na leczenie - powiedział Reacher.

Thurman westchnął w nic nieznaczący uniwersalny sposób, wzruszył ramionami i podniósł palec, wskazując na swoich dwóch pracowników, jakby nakazywał dwu psom pozostać na miejscach. Ruszył w stronę szeregu kontenerów. Reacher szedł obok. Minęli biuro ochrony, biuro Thurmana i trzy inne biura, które Reacher widział podczas poprzedniej wycieczki do zakładu; jedno miało na drzwiach tabliczkę z napisem: „Dział operacyjny”, drugie: „Dział zakupów”, a trzecie: „Księgowość”. Minęli pierwszy szereg kontenerów i doszli do drugiego. Thurman wspiał się po kilku schodkach i otworzył drzwi. Wszedł do środka, a za nim Reacher.

Wnętrze wyglądało jak sala chorych w szpitalu. Białe ściany, białe linoleum na podłodze, zapach środków odkażających, nocne oświetlenie. Umywalki z bateriami uchylnymi, szafki z lekami, urządzenia do mierzenia ciśnienia, kosze na skażone odpadki opatrunkowe. Wózek z metalową miską w kształcie nerki, a w niej stetoskop.

Cztery łóżka szpitalne. Trzy były puste, jedno zajęte przez potężnie zbudowanego zastępcę. Był przykryty pod samą szyję. Spod pościeli wystawała tylko głowa. Wyglądał źle. Błady, nieruchomy, ze słabymi oznakami życia. Zdawał się mniejszy niż wcześniej. Włosy miał jakby cieńsze. Oczy otwarte, tępo patrzące do góry, niezdolne do skupienia się na czymkolwiek. Oddech był nieregularny i płytki. Z ramy łóżka zwisała karta informacyjna. Reacher uniósł ją kciukiem do pozycji poziomej i przestudiował. Ładny styl pisma. Profesjonalne uwagi. Facet miał sporo problemów ze zdrowiem. Gorączka, ogólne

wyczerpanie, zawroty głowy, kłopoty z oddychaniem, bóle głowy, uczulenie, pęcherze skórne, owrzodzenia, chroniczne mdłości i wymioty, biegunka, odwodnienie i objawy schorzeń wewnętrznych.

- Macie tu lekarza? - zapytał, opuszczając kartę do pionowej pozycji.
- Tylko przeszkolonego sanitariusza.
- Czy to wystarcza?
- Zwykle tak.
- I dla tego faceta też?
- Robimy, co możemy, żeby mu pomóc.

Reacher stanął z boku łóżka i spojrział w dół. Skóra Underwooda była żółta. Czyli żółtaczką, a może to tylko odbicie światła jupiterów od ściany.

- Możesz mówić? - zapytał go Reacher.
- Nie ma z nim dobrego kontaktu, ale mamy nadzieję, że jego stan się polepszy.

Wielki zastępca przekręcił głowę z jednej strony na drugą. Próbował coś powiedzieć, ale język zasechł mu w gardle. Polizał usta, odetchnął głębiej i spróbował jeszcze raz. Spojrzął na Reachera, jego oczy zabłyśły.

- To u... - zaczął mamrotać i przerwał, by zaczerpnąć powietrza. Mrugnął oczami i zaczął od nowa, najprawdopodobniej zmieniając treść wypowiedzi. - ...on mi to zrobił - wystękał.
- Niezupełnie ja - odpowiedział Reacher.

Jeszcze raz przekręcił głowę, wciągnął powietrze.

- Nie, to u... - znowu przerwał, walcząc z oddechem, a słowa uwięzły gdzieś w gardle.
- Męczymy go - powiedział Thurman, łapiąc Jacka za łokieć i odciągając od łóżka.
- Powinien być odwieziony do prawdziwego szpitala.
- To decyzja sanitariusza. Ja ufam swoim ludziom. Zatrudniam najlepszych, jakich tylko mogę znaleźć.
- Czy ten facet pracował przy TCE?

Thurman stanął jak wryty.

- A co pan wie o TCE?
- Trochę. To trucizna.
- Nie. To tylko odłuszczacze. Standardowy produkt stosowany w przemyśle.
- Niech i tak będzie. Czy ten facet pracował przy TCE?
- Nie, ale ci, którzy pracują, są odpowiednio zabezpieczeni.
- Więc co mu jest?
- Pan powinien wiedzieć. Tak jak wyznał, pan mu to zrobił.
- Takich objawów nie dostaje się po walce na pięści.
- Na pewno? Słyszałem, że to było trochę więcej niż walka na pięści. Czy pan przez chwilę zastanawia się nad uszkodzeniami ciała, które pan powoduje? Może uszkodził mu pan jakieś narządy wewnętrzne? Na przykład śledzionę?

Reacher przymknął oczy. Z pamięci wygrzebał bar. Przyciemnione światło, napięcie u milczących ludzi, powietrze gęste od kurzu, zapachu strachu i agresji. Ruszył do przodu i z całą mocą swoich stu piętnastu kilogramów wbił facetowi nogę od krzesła prosto w brzuch, poniżej żeber, a powyżej pępka.

- To tym bardziej należy wziąć go na poważne badania.

Thurman skinął głową.

- Każę zawieźć go do szpitala w Halfway jutro. Jeśli tylko o to chodzi, to może pan ruszać dalej z czystym sumieniem - oświadczył Thurman.

- Moje sumienie od dawna jest czyste - odparł Reacher. - Jeśli ludzie dają mi spokój, to ja też zostawiam ich w spokoju. W przeciwnym razie to, co im się przytrafia, jest już ich własnym problemem.

- Nawet jeśli pan przesadza?
- A niby jak przesadzam? Było ich sześciu. A co chcieli mi zrobić? Pogłaskać mnie po policzku i wysłać do domu?

- Nie wiem, jakie mieli intencje względem pana.
- Dobrze pan wie. Ich intencje były pana intencjami. Działali dokładnie według pana instrukcji.
- A ja działałem według instrukcji otrzymanych od czynników wyższych.
- Widzę, że będę musiał wierzyć panu na słowo.
- Powinien pan do nas przystąpić. Nadejdzie czas wniebowstąpienia i chyba nie będzie chciał pan tu zostać sam.
- Wniebowstąpienie?
- Ludzie tacy jak ja idą do nieba. Ludzie tacy jak pan zostają tutaj bez nas.
- Dla mnie bomba - odparł Reacher. - Dawajcie to wniebowstąpienie.

Thurman nie odpowiedział. Reacher po raz ostatni rzucił okiem na Underwooda, zrobił krok do tyłu, odwrócił się i wyszedł za drzwi, po schodach w dół na oświetloną arenę zakładu. Nadzorca i facet z wielkim kluczem stali w tym samym miejscu, gdzie wcześniej. Nie ruszyli się nawet o krok. Reacher słyszał za plecami, jak Thurman zamyka drzwi ambulatorium i tupie po schodach. Ruszył do przodu i czuł, że Thurman idzie za nim w stronę bramy. Mężczyzna z kluczem spoglądał na swojego szefa, czekając na jakiś znak czy wręcz mając nadzieję na jakiś znak, klepiąc głową klucza w wolną dłoń.

Reacher zmienił kierunek.

Ruszył prosto w stronę tego faceta.

Zatrzymał się metr przed nim i patrząc mu prosto w oczy, powiedział:

- Stoisz mi na drodze.

Facet nic nie odpowiedział. Spojrzał tylko na Thurmana i czekał.

- Miej trochę szacunku dla samego siebie. Nie musisz we wszystkim słuchać tego starego durnia - stwierdził Reacher.
- Nie muszę? - zapytał tamten.
- Ani odrobinę - wyjaśnił Reacher. - Żaden z was nie musi. To on jest wam wiele winien. A wy powinniście wreszcie zmadrzeć i przejąć ten bałagan. Zorganizować się. Wywołać małą rewolucję. A ty mógłbyś ją poprowadzić.
- Wcale tak nie uważam - odparł wielkolud.
- Czy pan już nas opuszcza, panie Reacher? - zawołał Thurman.
- Tak - odpowiedział Jack.
- Czy mamy się jeszcze pana tutaj kiedyś spodziewać?
- Nie - skłamał Reacher. - Mam już dosyć tego miejsca.
- Daje pan słowo honoru?
- Przecież powiedziałem wyraźnie.

Wielkolud spojrział z nadzieją w oczach ponad plecami Reachera, ale Thurman pokręcił tylko głową czy w jakiś inny sposób przekazał przeciwną instrukcję, bo facet dał sobie spokój i odsunął się na bok. Reacher poszedł prosto do pick-upu chorego zastępcy. Był dokładnie tam, gdzie Jack go zostawił; szyby miał nietknięte.

47

Z zakładu do granicy z okręgiem Nadziei było dwadzieścia cztery kilometry drogą, ale Reacher zamienił je na trzydziesto-dwukilometrową wycieczkę terenową przez suchorośle dookoła miasta, chcąc wyminąć je od północnej strony. Pomyślał, że mieszkańcy miasta z pewnością zdążyli się już przegrupować i nie istniała żadna potrzeba wygrywania z nimi dwóch kolejnych starć na obu krańcach Main Street, raz podczas wjeżdżania do miasta i drugi

raz podczas wyjeżdżania. Postanowił tego uniknąć. Katował starą półciązarówkę w trudnym terenie, jadąc tak, by łunę pożaru mieć po prawej stronie. Wyglądało na to, że nieźle się paliło. Z doświadczenia wiedział, że budynki z cegły zawsze dobrze się palą. Najpierw oczywiście wypalała się zawartość pomieszczeń, potem podłogi, sufity, a na końcu dach. Ściany zewnątrz zostawały nietknięte, tworząc wysoki komin wzmacniający przepływ powietrza. Gdy murowane ściany wreszcie się zapadały, snopy żaru i iskier wzniecały nowe pożary w sąsiedztwie. Czasami dochodziło do spalenia całego kwartału miejskiego w wyniku pozostawienia jednego niedopałka papierosa i zapalek.

Ominął miasto półkolem o promieniu, jak sądził, około sześciu kilometrów i jechał po terenie wzdłuż drogi w oddaleniu minimum stu metrów od jej brzegu. Gdy wskazówki zegara w jego głowie wskazały północ, wyczuł, że musi być około kilometra przed granicą okręgów miejskich. Odbił w prawo, wjechał na zatopione w smole ostre kamyki, i dokończył podróż jak każdy normalny kierowca. Przejechał granicę, a gładki asfalt okręgu Nadzieja sprawił, że jazda stała się cichsza.

Vaughan czekała sto metrów dalej.

Jej samochód stał zaparkowany z wyłączonymi światłami na poboczu, po lewej stronie drogi. Reacher zwolnił i pomachał wyciągniętą przez okno ręką w geście radosnego powitania. Vaughan wysunęła przez okno rękę z rozchylonymi palcami, także w geście przywitania. Albo jako znak „stop”. Reacher zatrzymał się przy jej radiowozie w taki sposób, że ich palce się spotkały. Ten kontakt rozumiał w jednej trzeciej jako przybicie piątki za pomyślnie zakończoną misję, w jednej trzeciej jako oznakę ulgi po kolejnym wyrwaniu się z matni wilków, a w jednej trzeciej jako zwykłą wymianę serdeczności. Nie miał pojęcia, co ona odczuwała. W każdym razie niczym się nie zdradziła. Ale zostawiła lewą rękę na zewnątrz o sekundę dłużej, niż musiała.

- Czyja to ciężarówka? - zapytała.
- Starszego zastępcy. Nazywa się Underwood. Jest bardzo chory.
- Na co?
- Powiedział, że ja mu to zrobiłem.
- A zrobiłeś?
- Ma dzięki mnie kilka kontuzji, z powodu których może mi być przykro, ale nie ja jestem odpowiedzialny za biegunkę, pęcherze na skórze lub owrzodzenie. I nie ja jestem odpowiedzialny za to, że wypadają mu włosy.
- Więc to jest TCE?
- Thurman powiedział, że nie.
- I wierzysz mu?
- Niekoniecznie.

Vaughan podała mu butelkę wody.

- Nie chce mi się pić - odpowiedział.
- To dobrze, bo to jest próbka. Woda z kranu z mojej kuchni. Zadzwońłam do kolegi Davida. Zna kogoś, kto pracuje z stanowym laboratorium w Colorado Springs. Powiedział, że trzeba zrobić testy, by dowiedzieć się, ile TCE Thurman rzeczywiście używa.
- Cysterna w zakładzie ma pojemność dwudziestu tysięcy litrów.
- Jak często jest wypełniana?
- Nie mam pojęcia.
- Jak możemy się tego dowiedzieć?
- Skoro mają dział zakupów, to muszą mieć na to jakieś papiery.
- Czy moglibyśmy się tam dostać?
- Może.
- Zostaw pick-up przed granicą. Podwożę cię do miasta. Pójdziemy na pączki.

Reacher spojrział w lusterko i cofał niepewnie, dopóki nie poczuł zmiany w nawierzchni.

Wjechał tyłem na pustynię i zostawił samochód z kluczykami w stacyjce. Daleko z tyłu można było zobaczyć czerwoną łunę na horyzoncie. W Rozpaczy cały czas trwał pożar. Jack nic na ten temat nie powiedział. Przekroczył granicę i wsiadł do radiowozu Vaughan.

- Czuć od ciebie papierosy - stwierdziła.
- Znalazłem jednego i wypaliłem na chwałę dawnych czasów.
- Palenie powoduje raka.
- Słyszałem gdzieś o tym. Ty w to wierzysz?
- Tak. Absolutnie.

Ruszyła na wschód ze średnią prędkością, z jedną ręką na kierownicy, a drugą na kolanie.

- Jak ci dziś leci na służbie?
- Sreberko od gumy do żucia przeleciało mi przed nosem na ulicy. Tuż przed maską samochodu. Pogwałcenie rozporządzenia o utrzymaniu czystości. Takie właśnie mamy atrakcje policyjne w Nadziei.
- Dzwoniłaś do Denver w sprawie Marii? Skinęła głową.
- Staruszek wziął ją do samochodu koło sklepu żelaznego. Potwierdził jej nazwisko. Sporo o niej wiedział. Rozmawiali przez pół godziny.
- Przez pół godziny? Jak to możliwe? Przecież tam się jedzie niecałe dwadzieścia minut.

278

- Nie wysadził jej w Rozpaczy. Chciała dostać się do bazy żandarmerii.

• • •

Do bistro dotarli dwadzieścia po północy. Kelnerką na nocnej zmianie była studentka. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że wchodzi razem, jakby wreszcie stało się coś, co było i przyjemne, i nieuniknione. Wyglądała na dwadzieścia lat, ale uśmiechała się jak zadowolona z siebie stara swatka z dalekiej przeszłości. Reacher wyczuł, że musi gdzieś w tym tkwić jakaś tajemnica, do której nie został dopuszczony. Nie był pewien, czy Vaughan też ją znała. Usiedli naprzeciwko siebie w boksie na końcu sali. Wcale nie zamówili pączków. On poprosił o kawę, a Vaughan o sok, mieszanek trzech egzotycznych owoców, których Reacher nigdy nie widział.

- Żyjesz bardzo zdrowo - przyznał.
- Staram się.
- Czy twój mąż leży w szpitalu? Na raka od palenia? Pokręciła głową.
- Nie - odpowiedziała.

• • •

Dostali swoje napoje i popijali je przez moment w ciszy, którą przerwał Reacher.

- Czy staruszek dowiedział się, dlaczego Maria chciała, by ją podwiózł do bazy żandarmerii?
- Tego mu nie powiedziała. Ale to dziwny cel podróży, nie sądzisz?
- Bardzo. Przecież to wysunięta baza operacyjna. Nie przyjmują gości. Nawet gdyby znała kogoś z żołnierzy. Nawet gdyby któryś z nich był jej bratem lub siostrą.
- Jednostki bojowe żandarmerii mają w swoich szeregach kobiety?
- Dużo.
- Może ona jest żandarmem. Może wraca na służbę po Przepustce.
- To dlaczego rezerwowałaś dwie dodatkowe noce w motelu i zostawiła tam swoje ciuchy?
- Nie mam pojęcia. Może tylko coś sprawdza.
- Poza tym jest za niska, by służyć w jednostce bojowej żandarmerii.
- To oni mają jakieś wytyczne dotyczące minimalnego wzrostu?
- Armia zawsze miała takie wytyczne. Nie wiem, ile obecnie wynosi minimalny wzrost, ale nawet jakby udało jej się dostać do armii to i tak wcisnęliby ją po cichu na jakieś stanowisko w innym rodzaju służby.
- Serio?
- Jasne. Poza tym jest zbyt cicha i bojaźliwa. Ona nie może być wojskowym.

- To niby czego chce od żandarmerii polowej? I dlaczego jeszcze nie wróciła?
- Czy staruszek widział, jak ona wchodzi do bazy?
- Oczywiście. Czekał, aż wejdzie do środka, jak prawdziwy dżentelmen.
- No to mamy kolejną zagadkę. Skoro ją wpuścili, to czego mogli od niej chcieć?
- Może ma to coś wspólnego ze szpiegostwem? - snuła domysły Vaughan.

Reacher pokręcił głową.

- Myliłem się co do tego. Oni nie przejmują się szpiegostwem. Gdyby tak było, to otoczyliby całą fabrykę i mieliby swoich ludzi w środku lub choćby w strażnicach przy bramach.

- Więc po co tam są?
- Pilnują drogi dojazdowej dla ciężarówek. A to oznacza, że boją się o kradzież czegoś, co można wywieźć tylko ciężarówką. Chodzi o coś ciężkiego, czego nie da się zapakować na zwykły samochód.
- Ani na mały samolot. Reacher skinął głową.
- Oczywiście, ale ten samolot musi mieć z tym coś wspólnego. Gdy dziś rano zwiedzałem zakład, to zamknęli tajny dział na jakiś czas i tej nocy samolot nie poleciał. Nie słyszałem go, a później widziałem go w hangarze.
- Więc myślisz, że on lata tylko wtedy, gdy zajmują się wojskowym złomem?
- Jestem pewien, że nie poleciał, gdy nie zajmowali się wojskowymi dostawami, więc odwrotność tego twierdzenia też musi być prawdą.
- Coś nim przewożą?
- Tak podejrzewam.
- Dostarczają tutaj czy wywożą?
- Możliwe, że jedno i drugie. Jakby to był jakiś handel.
- Robią coś potajemnie?
- Możliwe.

- Przewożą ludzi? Jak na przykład męża Lucy Anderson? Reacher wysączył kawę z kubka. Pokręcił głową

- Nie potrafię tego rozpracować. Jest w tym jakiś problem logiczny. Prawie matematyczny.
- Może zdołam ci pomóc - powiedziała Vaughan. - Mam za sobą cztery lata college'u.
- A ile masz czasu?
- Chciałabym jeszcze dorwać tego, który upuścił sreberko od gumy. Ale mogę to na razie odłożyć na bok, jeśli chcesz.

Reacher się uśmiechnął.

- Tam są grane jakieś trzy sprawy. Kontrakt z wojskiem plus coś innego, plus jeszcze coś innego.

- Okay. - Przesunęła solniczkę, pieprzniczkę i cukiernicę na środek stołu. - Mamy te trzy sprawy.

Reacher natychmiast odsunął solniczkę na bok.

- Kontrakt w wojskiem jest, jaki jest. Nie ma w nim nic kontrowersyjnego. Nie trzeba się tym przejmować, poza tym, że ktoś mógłby ukraść coś ciężkiego. Ale to problem żandarmerii. Obstawili drogę, mają sześć hummerów i pięćdziesiąt kilometrów swojego pola walki, mogą zatrzymać każdą ciężarówkę, która im się nie spodoba. Ludność z miasta nie musi zachowywać żadnej czujności. Mieszkańcy Rozpaczy nie mają powodu, by si? czymś podniecać.

- Ale?

Reacher złapał pieprzniczkę lewą ręką, a cukiernicę prawą. Ale ludzie z miasteczka są jednak czymś podnieceni.

Wszyscy. I są czujni. Dziś wszyscy stanęli w obronie tajemniczego „czegoś”.

- Czym jest to „coś”?
- Nie mam pojęcia. - Podniósł cukiernicę, którą trzymał w prawej dłoni. - I to jest ta większa

z dwóch niewiadomych. Bo wszyscy są w to zaangażowani. Nazwijmy to prawą ręką, bo prawa ręka nie wie tego, co czyni lewa.

- A co jest lewą ręką?

Reacher uniósł lewą ręką pieprzniczkę.

- To jest mniejsza tajemnica. Dotyczy jedynie jakiejś części społeczności. Małej, specjalnej grupki. Wszyscy wiedzą o cukrze, niewielu wie o pieprzu, a zaledwie kilku wie zarówno o cukrze, jak i o pieprzu.

- A my nie wiemy nic ani o cukrze, ani o pieprzu.

- Ale się dowiemy.

- Jaki to ma związek z mężem Lucy Anderson, który nie poleciał samolotem?

Reacher uniósł cukiernicę. Spory szklany pojemnik w prawej dłoni.

- Thurman lata samolotem. Thurman jest panem miasta. Thurman zarządza tą większą z tajemnic. Po prostu nie może być inaczej. A gdyby mąż Lucy Anderson miał związek z tą tajemnicą, to wszyscy by o tym wiedzieli. Łącznie z gliniarzami z miasteczka i sędzią Gardnerem. Już Thurman by o to zadbał. I nie aresztowano by Lucy ani nie wydano by jej z miasta za włóczęgostwo.

- Więc Thurman robi coś, w czym pomaga mu cała ludność, ale kilku ludzi robi też coś poza jego plecami?

Reacher skinął głową.

- I coś, nad czym tych kilku ludzi pracuje, dotyczy tych młodych facetów.

- I ci młodzi faceci albo przechodzą przez sito, albo nie, w zależności od tego, na kogo najpierw trafią, na większość należącą do prawej ręki czy mniejszość należącą do lewej.

- No właśnie. I mamy jeszcze jednego gościa. Nazywa się Rogers, dopiero co aresztowany, aleja go niestety nie widziałem.

- Rogers? Słyszałam już kiedyś to nazwisko.

- Gdzie?

- Nie pamiętam.

- Kimkolwiek był, należy do tych, którym zabrakło szczęścia.

- Będzie miał małe szanse na powodzenie.

- No właśnie.

- Tak było z Ramirezem.

- Nie, Ramirez na nikogo nie wpadł - zaprzeczył Reacher. - Sprawdziłem rejestr aresztowanych. Ani go nie aresztowano, ani nikt mu w niczym nie pomógł.

- Dlaczego on do tego nie pasuje?

- Świetne pytanie - wyznał Reacher.

- A masz jakąś odpowiedź?

- Nie mam.

48

Dostał dolewkę kawy, a Vaughan zamówiła jeszcze jedną szklankę soku. Zegar w głowie Reachera wybił pierwszą w nocy, a zegar na ścianie bistro zrobił to minutę później. Vaughan spojrzała na swój zegarek.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała.

- Okay.

- Idź się przespać.

- Okay.

- Pojedziesz ze mną do Colorado Springs? Do laboratorium,

z próbką wody?

- Kiedy?

- Jutro, dzisiaj, kiedy chcesz.

- Nie znam się na wodzie.
- Dlatego właśnie jedziemy do laboratorium.
- O której chcesz ruszyć?
- O dziesiątej?
- To trochę za wcześnie dla ciebie.
- I tak nie śpię. I kończy się mój nocny grafik. Mam cztery doby wolnego. Pracuję dziesięć nocek, a potem cztery dni odpoczynku. Powinniśmy wyjechać wcześniej, bo to jest długa podróż, tam i z powrotem.
- Ciągłe próbujesz chronić mnie przed kłopotami? Nawet w wolnym czasie?
- Dałam sobie z tym spokój.
- To czemu chcesz, żebym z tobą jechał?
- Bo lubię twoje towarzystwo. I tyle.

Położyła na stole cztery dolce za sok. Odłożyła sól, pieprz i cukier na swoje miejsce. Wysunęła się z boksu i wyszła z bistro, kierując się do radiowozu.

• • •

Reacher wziął prysznic i położył się do łóżka o drugiej w nocy. Nic mu się nie śniło. Obudził się o ósmej rano. Wziął prysznic i wybrał się przez całe miasto do sklepu z narzędziami. Przez pięć minut przyglądał się drabinom wystawionym na chodnik, po czym wszedł do wnętrza i odszukał wieszaki ze spodniami i koszulami. Wybrał dla siebie nowy zestaw. Tym razem zdecydował się na ciemniejsze kolory i inną markę odzieży. Nowe rzeczy uszyto z delikatniejszego materiału, ale przez to pewnie były mniej wytrzymałe. Jednak Reacher nie przejmował się tym, czy będą mu służyć w przyszłości.

Przebrał się w pokoju w motelu. Stare ubrania zostawił złożone koło kosza na śmieci. Może sprzątaczką miała jakiego krewnego w potrzebie. Może wiedziała, jak uprać takie rzeczy, by zyskały choć odrobinę miękkości. Wyszedł z pokoju i zauważył zapalone światło w łazience Marii. Wszedł do recepcji. Recepcjonistka siedziała za ladą. Za jej plecami, na haczyku z numerem pokoju Marii, nie było klucza.

- Wróciła dziś rano - poinformowała Reachera, widząc jego zainteresowanie.
- O której?
- Bardzo wcześnie. O szóstej.
- Czy wie pani, jak się tu dostała? Rozejrzała się na boki i zniżyła głos.
- Opancerzonym samochodem. Z żołnierzem. Opancerzonym samochodem?

Takim, jakie pokazują w wiadomościach telewizyjnych. Czyli to był hummer. Recepcjonistka skinęła głową.

Wyglądał jak jeep, tyle że z dachem. Żołnierz nie wszedł.

To dobrze. Nie jestem pruderyjna, ale nie mogłabym na coś takiego pozwolić. Nie tutaj.

- Proszę się nie martwić. Ona ma swojego chłopaka. Albo miała, powiedział do siebie w myśli.
- Jest zbyt młoda, by podrywać żołnierzy.
- A czy istnieje na to jakiś limit wiekowy?
- Przynajmniej powinien.

Reacher zapłacił za kolejną dobę i wrócił wzdłuż pawilonu z pokojami, robiąc w myśli obliczenia arytmetyczne. Według telefonicznych zeznań, starszek wysadził Marię przed bazą żandarmerii około ósmej trzydzieści poprzedniego dnia. Maria wróciła hummerem o szóstej. Hummer na pewno nie jechał objazdem po autostradach międzystanowych, tylko przejechał prosto przez Rozpacz, a to mniej więcej trzydziestominutowa przejażdżka. Więc była tam przez dwadzieścia jeden godzin. Zapewne jej problem nie leżał w gestii lokalnej jurysdykcji wysuniętej bazy operacyjnej. Przymuszczałnie zamknęto Marię w pokoju, a jej sprawę posłano wyżej, zgodnie z procedurami łańcucha decyzyjnego. Wiadomość przekazano szyfrowaną linią telefoniczną, bezpiecznymi teleksami. Może nawet zorganizowano



telekonferencję. W końcu decyzję podjęto na wyższym szczeblu, Marię zwolniono i zaproponowano odwiezienie.

I współczucie, lecz żadnej konkretnej pomocy.

Pomocy w jakiej sprawie?

Reacher zatrzymał się przed drzwiami jej pokoju i nasłuchiwał. Nie słyszał szumu prysznica. Odczekał jeszcze minutę, na wypadek gdyby właśnie się wycierała, i jeszcze jedną minutę, na wypadek gdyby się ubierała. Wtedy zapukał. W trzeciej minucie otworzyły się drzwi. Włosy Marii były mokre, ciężar wody wydłużył je o parę centymetrów. Była ubrana w dżinsy i niebieski T-shirt. Bez butów na nogach. Miała maleńkie stopy i proste palce. Musiała być wychowywana przez troskliwych rodziców, którzy dbali o prawidłowe obuwie dla dziecka.

- Wszystko w porządku? - zapytał Reacher, co było idiotycznym pytaniem. Nie wyglądała wcale dobrze. Była przygarbiona, zmęczona, zagubiona i przerażona.

Nic nie odpowiedziała.

- Pojechałaś do bazy żandarmerii, by wypytać o Raphaela?

Skinęła głową.

- Sądziłaś, że może ci pomogą, ale nic z tego nie wyszło? Skinęła głową.

- Powiedzieli ci, że to sprawa policji z Rozpaczy?

Nie odpowiedziała.

- Może mógłbym ci pomóc. Albo policja z Nadziei mogłaby to zrobić. Nie powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? Milczała.

- Nie mogę ci pomóc, jeśli nie poznam istoty problemu. Pokręciła głową.

- Nie mogę panu nic powiedzieć. Nie mogę nikomu nic powiedzieć.

Sposób, w jaki powiedziała „nie mogę”, oznaczał zdecydowanie. Nie były to ani pewność, ani złość, ani tylko zły nastrój lub żałość. Powiedziała to ze spokojem, jak osoba dorosła, która przekazuje informację. Tak jakby rozpatrywała wiele możliwości i wybrała tę jedyną, która była najbardziej realna. Tak jakby świat pełen kłopotów miał stać się czymś naturalnym i nieuniknionym, gdyby tylko otworzyła usta.

Nie mogła nikomu nic powiedzieć.

To było oczywiste.

- Okay - odparł Reacher. - No to trzymaj się. Odszedł, kierując się do bistro, na śniadanie.

• • •

Domyślił się, że Vaughan będzie chciała odebrać go z motelu, więc za pięć dziesiąta siedział na plastikowym fotelu ogrodowym przed swoim pokojem. Przyjechała czarnym foldem crown victoria trzy minuty po dziesiątej. Matowy lakier, po wycierany od słońca i czasu. Nieoznakowany radiowóz, jakimi jeździli policyjni detektywi. Zatrzymała się tuż koło niego i opuściła szybę.

- Dostałaś awans? - zapytał.

- To bryka mojego szefa. Zlitował się nade mną i pożyczył mi na wyjazd. Przecież rozwaliliś mój pick-up.

- Dorwałaś tego śmieciarza?

- Nie, ale teraz mam do czynienia z przestępstwem seryjnym. Jeszcze raz widziałam to sreberko w innym miejscu. Rozpatrując to od strony technicznej, to mamy tu dwa osobne wykroczenia.

- Maria wróciła. Żandarmi odwieźli ją do motelu wczesnym rankiem.

- Coś powiedziała?

- Ani słowa.

Reacher wstał z fotela, obszedł maskę i wsiadł do samochodu. Ford nie miał wewnątrz eleganckiego wykończenia. Mnóstwo czarnego plastiku, sporo włochatego weluru o nieustalonym kolorze. Wyglądał jak zajeżdżony wóz z wypożyczalni. Za to z przodu miał pełno policyjnego sprzętu. Krótkofalówki, laptop na specjalnej podstawie, kamera wideo na

wierzchu deski rozdzielczej, nagrywarka obrazu z twardym dyskiem i czerwony kogut na skręconym kablu. Ale pomiędzy rzędami siedzeń nie było przesłony z pleksi, więc fotel pasażera da się odsunąć maksymalnie do tyłu. Będzie dużo miejsca na nogi. Butelka z próbką wody leżała na tylnym siedzeniu. Vaughan wyglądała doskonale. Miała na sobie jasne niebieskie dzinsy i białą koszulę z kołnierzykiem. Dwa guziki pod szyją były rozpięte, a rękawy podwinięte do łokci.

- Zmieniłeś się - stwierdziła.
- W jaki sposób?
- Ciuchy, idioto.
- Kupiłem nowe dziś rano. W sklepie z narzędziami.
- Ładniejsze niż te poprzednie.
- Nie przyzwyczajam się do nich. Te też wkrótce wyrzucę.
- Ile najdłużej nosiłeś jedną zmianę ciuchów?
- Osiem miesięcy. Pustynny kamuflaż podczas pierwszej wojny w Zatoce. Nigdy go nie zdejmowałem. Mieliśmy kłopoty z dostawami odzieży. Nic na wymianę, brak piżam.
- Byłeś nad Zatoką?
- Od początku do końca.
- I jak było?
- Gorąco.

Vaughan ruszyła spod motelu i skierowała się na północ do First Street. Skręciła w lewo na wschód w stronę Kansas.

- Jedziemy dookoła?
- Chyba tak będzie lepiej. - Też tak uważam.

Służbowy samochód policyjny, puste drogi - więc Vaughan przycisnęła pedał gazu i jechali średnio sto czterdzieści kilometrów na godzinę w stronę gór. Reacher był kiedyś w Colorado Springs. Niedaleko, w Forcie Carson, znajdowała się baza armii lądowej, ale samo miasto należało raczej do sił powietrznych. W sumie dosyć przyjemne miejsce. Ładne krajobrazy, czyste powietrze, często świeciło słońce, a widok na Pikes Peak był niesamowity. Śródmieście ciasno zabudowane i zadbane. Laboratorium stanowe mieściło się w kamiennym budynku rządowym. Był to oddział głównego laboratorium w Denver, stolicy Kolorado. Woda jest w Kolorado ważną sprawą, bo nie ma jej tu zbyt dużo. Vaughan wypełniła formularz, a laborant owinał go wokół butelki i umocował gumką. I z wielką ceremonią zabrał butelkę do laboratorium, jakby te pół litra wody miało uratować świat lub też zupełnie go zniszczyć. Po powrocie powiedział, że Vaughan zostanie poinformowana o wynikach badań telefonicznie, i zapytał, czy mogłaby dowiedzieć się czegoś więcej o zużyciu TCE w Rozpaczy. Wyjaśnił też, że władze po cichu tolerują przenikanie do środowiska nieszkodliwej ilości TCE na skutek parowania i wsiąkania. Najpierw należało ustalić, jak duże było to przenikanie oraz na jakiej głębokości znajduje się poziom wodonośny. Ponieważ władze znały głębokość występowania warstwy wodonośnej hrabstwa Halfway co do centymetra, jedyną nieznaną zmienną była ilość TCE przenikająca w głąb ziemi.

Jakie są skutki zatrucia? - zapytała Vaughan. - Jak to wpływa na ludzi, jeśli poziom nasączenia gruntu jest szkodliwy? Laborant spojrział na Reachera.

Rak prostaty. To takie wczesne ostrzeżenie. Mężczyźni chorują pierwsi.

Wrócili do samochodu. Vaughan był lekko rozbity. Jakby zagubiona. Reacher nie miał pojęcia, o czym rozmyśla. Była policjantką i odpowiedzialnym członkiem swojej społeczności. Coś ją jednak martwiło o wiele bardziej niż odległe zagrożenie chemiczne mające zgubny wpływ na wodę w kuchni. Nie wiedział też do końca, dlaczego go poprosiła, by jej towarzyszył w podróży. Nie rozmawiali zbyt wiele. Wcale nie był pewien, czy jego obecność poprawiała jej nastrój.

Odbiła od krawężnika i włączyła się do ruchu na sześciopasmowej ulicy. Zatrzymali się sto

metrów dalej na światłach na skrzyżowaniu w kształcie litery T. Na lewo był zachód, na prawo wschód. Światło zmieniło się na zielone, a ona nie ruszyła. Siedziała bez ruchu, trzymając kierownicę, spoglądając to w lewo, to w prawo, jakby nie mogła się zdecydować. Z tyłu ktoś zatrąbił. Spojrzała w lusterko wsteczne, a potem na Reachera i zapytała:

- Czy pojedziesz ze mną odwiedzić mojego męża?

49

Vaughan skręciła w lewo w kierunku wzgórz, a potem znowu w lewo i skierowała się na południe, w kierunku Pueblo. Dawno temu Reacher jechał tą samą drogą. Fort Carson leżał pomiędzy Colorado Springs a Pueblo, na południe od jednego i na północ od drugiego miasta, odsunięty odrobinę na zachód od głównej drogi.

- Wszystko w porządku? - zapytała Vaughan.

- Najzupełniej.

- Tylko co?

- Tylko że... to trochę dziwna prośba. Vaughan nie odpowiedziała.

- To jest dziwny świat - ciągnął Reacher. - Mogłaś powiedzieć: „Chodź, spotkamy się z moim mężem”. Albo: „Zobaczymy się z moim mężem”. Ale powiedziałaś: „Owiedzimy”. A kogo się odwiedza? Mówiłaś wcześniej, że nie siedzi w więzieniu. Więc gdzie jest? Wynajmuje mieszkanie, bo pracuje daleko od domu? Zamknięty na strychu u swojej siostry?

- Nie powiedziałaś ci, że nie jest w szpitalu - wyznała Vaughan. - Powiedziałam tylko, że nie ma raka od palenia Papierosów.

• • •

Zjechała z międzystanowej autostrady 1-25 w prawo i jechała dalej czteropasmową drogą stanową, która wydawała się zbyt szeroka na tak niewielki ruch, jaki na niej panował. Przejechała dwa kilometry pomiędzy zielonymi wzgórzami i skręciła w lewo w starą drogę bez namalowanej linii środkowej, leżącą w dolince porośniętej sosnami. Mimo braku jakiegokolwiek ogrodzenia z siatki i oznaczeń Reacher był pewien, że teren po obu stronach drogi należy do wojska. Wiedział, że na północ od Fortu Carson dziesiątki lat temu, na fali zimnej wojny i zbrojeń, armia zajęła setki hektarów ziemi, która w większości leżała cały czas odłogiem. A to, co widział za oknem, wyglądało na własność Departamentu Obrony. W każdym zakątku kraju było tak samo. Przyroda w zunifikowanej postaci. Trochę posepna, trochę bez wyrazu, ani dzika, ani za bardzo zadbana.

Przez następny kilometr Vaughan jechała wolniej, wreszcie skręciła w prawie niewidoczną drogę dojazdową. Przejechała pomiędzy dwoma kolumnami bramowymi z cegły. Cegły były brązowe i gładkie, a zaprawa murarska miała kolor żółty. Standardowy wygląd murów wojskowych w latach pięćdziesiątych. Z kolumn wystawały zawiasy, ale nie wisały na nich skrzydła bramy. Dwadzieścia metrów dalej stała nowoczesna tablica informacyjna na cienkich stalowych podporach. Na tablicy było jakieś korporacyjne logo i napis: „Centrum Olimpijskie UUM”. Dwadzieścia metrów dalej na następnej tablicy widniał napis: „Wstęp tylko dla upoważnionego personelu”. Dwadzieścia metrów dalej trawa na poboczu drogi dojazdowej została przycięta, choć już dość dawno. Przycinana część trawnika ciągnęła się sto metrów do podjazdu w formie ronda oraz do grupy niskich budynków z czerwonej cegły. Musiały to być dawne budynki Departamentu Obrony uznane za nieprzydatne do celów wojskowych i sprzedane. Reacher świetnie znał taką architekturę. Cegła i dachówka, ciemnozielone ramy okien, zielone poręcze z pełnych rur, zaokrąglone krawędzie ścian wybudowanych w czasach, gdy ścięte krawędzie uważane były za zbyt modernistyczne. Środek ronda był porośnięty chwastami, choć dawniej dowódca jednostki pewnie szczycił się klombem różanym, który znajdował się w tym miejscu. Zmiana właściciela została potwierdzona przez drugą identyczną tablicę z logo i nazwą: „Centrum Olimpijskie UUM”.

Część trawnika po prawej stronie ronda została usunięta i ziemię wysypano grubym żwirem.

Parkowało tam pięć samochodów na lokalnych tablicach. Żaden z nich nie był ani nowy, ani zbytnio czysty. Vaughan zaparkowała crown victorię na końcu szeregu. Przełączyła dźwignię zmiany biegów w pozycję „Park”, zaciągnęła hamulec ręczny, zgasiła silnik, powoli, w ustalonej kolejności. Rozluźniła się, opuściła ręce na kolana.

- Gotowy? - zapytała.

- Na co? - odparł Reacher.

Nie odpowiedziała, tylko otworzyła drzwi, przekreśliła się na włochatym welurze siedzenia i wyszła z samochodu. Jack zrobił to samo. Szli razem do wejścia. Trzy stopnie do góry, przez drzwi, na podłogę z nakrapianych, zielonych płytek, po których Reacher chodził tysiące razy. To miejsce z pewnością pochodziło z lat pięćdziesiątych i dobrze służyło kiedyś armii. Teraz wydawało się porzucone i zapomniane. Na suficie zamontowano kilka wykrywaczy dymu zgodnie z przepisami, ale okablowanie było przeciągnięte byle jak w plastikowych obudowach; poza tym niewiele się tu zmieniło. Po prawej stronie stała dębowa dyżurka, w której kiedyś siedział ciągle zajęty ważnymi sprawami sierżant. Teraz siedział w niej cywil w szarej bluzie bawełnianej otoczony bałaganem z segregatorów z raportami medycznymi. Facet wyglądał na ponurego czterdziestolatka. Miał nieumyte i niepodstrzyżone czarne włosy. Powiedział tylko: - Witam, pani Vaughan.

Nic więcej. Jego głos nie był nawet ciepły. Zupełnie pozbawiony sympatii.

Vaughan skinęła tylko głową, ale nie spojrzała w jego stronę. Przeszła obok budki wprost na koniec holu i skręciła w lewo do wielkiej sali, która w dawnych czasach mogła służyć wielu celom. Mogła spełniać funkcję poczekalni, sali recepcyjnej albo nawet klubu oficerskiego. Teraz było inaczej. Sala była brudna i kiepsko utrzymana. Poplamione ściany, wytarta podłoga, wszędzie kurz. Pajęczyny na suficie. W powietrzu unosił się lekki zapach środków odkażających i moczu. Dookoła na ścianach na wysokości pasa zamontowano czerwone przyciski alarmowe, których okablowanie biegło w plastikowych osłonach. Sala była zupełnie pusta, poza dwoma ludźmi przywiązanymi do wózków inwalidzkich. Obaj byli młodzi, obaj byli zwiotczali i nieruchomi, obaj mieli otwarte usta i puste oczy wpatrzone w jakiś punkt odległy o tysiące kilometrów.

Obaj mieli ogolone głowy, zniekształcone czaszki i okropne blizny.

Reacher stał bez ruchu.

Spojrzał na przyciski alarmowe.

Pomyślał o segregatorach z dokumentacją medyczną.

Był w szpitalu.

Spojrzał na mężczyzn w wózkach inwalidzkich.

Był w części mieszkalnej szpitala.

Spojrzał na kurz i brud.

Był na wysypisku.

Pomyślał o skrócie na tablicy informacyjnej.

UUM.

Urazowe Uszkodzenie Mózgu.

Poszedł dalej. Vaughan też. W głąb korytarza. Dogonił ją w połowie.

- Twój mąż miał wypadek? - zapytał.

- Nie do końca.

- Więc co?

- Sam się domyślisz.

Reacher się zatrzymał.

Obaj byli młodzi.

Stary budynek należący do wojska, przystosowany i powtórnie wykorzystywany.

- Rany wojenne-powiedział. - Twój mąż jest żołnierzem. Był w Iraku.

Vaughan kiwała głową i szła dalej.

- W gwardii narodowej - odpowiedziała. - W drugiej turze. Przedłużyli mu służbę. Jechał nieopancerzonym hummerem, który wpadł na minę w Ramadi.
- Skreśliła w kolejny korytarz. Był brudny. Kurz na podłodze zbierał się w koty. Trafiały się nawet odchody gryzoni. Zarówki były słabe, by oszczędzać na kosztach elektryczności. Niektóre się przepaliły i nie zostały wymienione, by oszczędzić pieniądze i pracę.
- Czy ten budynek należy do Departamentu do spraw Weteranów? - zapytał Reacher.
- Vaughan pokręciła głową.
- Nie. Do prywatnej firmy. Układy polityczne. Niezły interes. Teren za darmo i duża kasa.
- Zatrzymała się przed zielonymi zmatowiałymi drzwiami. Nie było wątpliwości, że pięćdziesiąt lat wcześniej pomalował je jakiś szeregowy odpowiednim kolorem i w sposób wytyczony przez Pentagon, używając farby z magazynu kwatermistrza. Potem jego pracę skontrolował podoficer, a jego raport został zatwierdzony przez oficera. Od tamtego czasu nikt już nie dotknął się do tych drzwi. Farba zupełnie zmatowiała i wypłowiwała, drzwi były poobijane i porysowane. Pisakiem nakreślono na nich: „D.R. Vaughan” i ciąg numerów, które mogły być jego numerem służbowym albo numerem szpitalnym.
- Gotów? - zapytała Vaughan.
- Kiedy tylko ty będziesz gotowa - odpowiedział. :
- Nigdy nie jestem gotowa - odparła. Przekreśliła gałkę i otworzyła drzwi.

50

Pokój Davida Roberta Vaughana był klitką o powierzchni około dwunastu metrów kwadratowych, pomalowaną do połowy na ciemnozielono, a powyżej kremowego paska na wysokości talii na jasnozielono. Było w nim ciepło. Miał małe pokryte sadzą okienko. Pod ścianą stały zielona metalowa biblioteczka i również metalowa szafka na odzież. Przez otwarte drzwiczki widać było wiszącą czystą piżamą. Na półce leżały teczki z dokumentacją i ponadwymiarowe brązowe koperty z kliszami rentgenowskimi. Koperty były stare, pogniecione i podarte.

Na środku pokoju stało wąskie łóżko szpitalne na kołach, z ręcznie ustawianym mechanizmem podnoszącym ciało pacjenta. Mechanizm nastawiono na czterdzieści pięć stopni pochyłu. W łóżku, pod kołdrą spoczywającą na stelażu przypominającym namiot, leżał na plecach, jakby odpoczywał, mężczyzna. Zapewne David Robert Vaughan domyślił się Reacher. Był szczupły. Uniesiona lekko na stelażu kołdra uniemożliwiała dokładne oszacowanie jego postury. Miał może metr siedemdziesiąt wzrostu i ważył jakieś siedemdziesiąt kilogramów. Jego skóra była różowa. Na brodzie i policzkach rysował się kilkudniowy blond zarost. Miał prosty nos i niebieskie źrenice. Oczy były szeroko otwarte.

Nie miał części czaszki.

Brakowało w niej fragmentu kości czaszkowej wielkości małej salaterki na owoce. Nad czołem była szeroka dziura. Wyglądało to, jakby kiedyś nosił mały kapelusik przechylony na bok, a ktoś wyciął piłą jego obrys na czaszce.

Ze środka wystawał mózg.

Był napuchnięty jak nadmuchany balon, ciemnofioletowy i pofalowany. Wyglądał na suchy i... wściekły. Przykryto go membraną przymocowaną do wygolonej skóry wokół otworu. Jak folią do żywności.

- Cześć, David - przywitała się Vaughan.

Nie zareagował w żaden sposób. Cztery skręcające się jak węże rurki do kroplówek chowały się pod kołdrą. Transportowały odżywcze płyny z czterech przezroczystych plastikowych woreczków powieszonych na chromowanym wieszaku, stojącym koło łóżka. Rurki na kał po kolostomii i na mocz odchodziły spod kołdry do butelek umocowanych na niskim wózku schowanym pod łóżkiem. Do policzka Davida przymocowano rurkę dostarczającą tlen bezpośrednio do jego ust. Wychodziła z małego respiratora, który syczał i dmuchał wolnym,

regularnym rytmem. Nad respiratorem na ścianie wisiał zegar. Oryginalny zegar ścienny używany w armii. Biała ramka, białe tło, czarne wskazówki. Co sekundę wydawał z siebie ciche, mechaniczne tyknięcie.

- David, przyprowadziłam przyjaciela, żeby mógł cię poznać - powiedziała Vaughan.

Żadnej reakcji. I nigdy już inaczej nie będzie, pomyślał Reacher. Facet w łóżku pozostawał całkowicie obojętny na otoczenie. Nie był pogrążony we śnie ani nie znajdował się w stanie czuwania. Nie był w żadnym stanie.

Vaughan pochyliła się i pocałowała męża w czoło.

Podeszła do szafki i ze stosu papierów wyciągnęła brązową kopertę ze zdjęciem rentgenowskim. Widniało na niej „D.R. Vaughan” napisane wypłowiałym już tuszem. Koperta była wygnieciona i zmechacona, jakby trzymano ją w rękach wiele razy. Vaughan wyciągnęła z niej kliszę i przytrzymała pod światło, odjęcie pokazywało obraz głowy jej męża w czterech różnych maciach: od frontu, z prawej strony, z lewej strony i od tyłu. Biała czaszka, niewyraźna, szara materia mózgu i siatka jasnych punkcików rozsypana po całości.

- Wzorcowy uraz z Iraku - oświadczyła Vaughan. - Uszkodzenie mózgu od wybuchu. Poważne urazy fizyczne. Ściśnięcie, rozciągnięcie, skręcenie, pocięcie, podarcie, uderzenie o ścianę kości czaszki, penetracja przez szrapnel. David miał je wszystkie. Jego czaszka była pokruszona, a lekarze wycięli najgorsze fragmenty. Miała nastąpić odmiana. Wycięcie kości uwalnia ciśnienie. W takich przypadkach, gdy mija opuchlizna, zakładają plastikową osłonę. Davidowi opuchlizna nigdy nie ustąpiła.

Włożyła kliszę z powrotem do koperty, wsunęła na półkę i wyciągnęła inne zdjęcie. Tym razem klatki piersiowej. Białe żebra, szare organy wewnętrzne, jasny kształt, który był najwyraźniej zegarkiem należącym do innej osoby i małe jasne punkciki, wyglądające jak krople jakiegoś płynu.

- To dlatego nie noszę obrączki - wyznała Vaughan. - Chciał ją wziąć ze sobą i powiesić na łańcuszku na szyi. Żar wybuchu stopił ją, a uderzenie wcisnęło w płuca. - Odłożyła zdjęcie rentgenowskie na półkę. - Nosił ją na szczęście. - Ułożyła wszystkie koperty i dokumenty w równy stosik i przysunęła się do łóżka.

- W jakiej był jednostce?

- W Pierwszej Dywizji Pancерnej.

- I to wszystko przez domowej roboty minę, która wybuchła pod hummerem?

Skinęła głową.

- Domowej roboty mina przeciwko cienkiej blaszce. Równie dobrze mógłby mieć na sobie szlafrok i kapcie. Nie wiem, dlaczego nazywają je minami „domowej roboty”. Dla mnie to cholernie profesjonalne ładunki wybuchowe.

- Kiedy to się stało?

- Prawie dwa lata temu. Respirator syczał równomiernie.

- A kim był w cywilu? - dopytywał się Reacher.

- Mechanikiem. Naprawiał maszyny rolnicze. Zegar cykał bezustannie.

- Jakie były rokowania? - pytał dalej.

- Początkowo dosyć dobre. Myśleli, że będzie osłabiony psychicznie i utraci koordynację ruchową, no wiesz, taki trochę rozkojarzony i agresywny, a na pewno nie odzyska podstawowych zdolności życiowych i motorycznych.

- Dlatego się przeprowadziłaś - wywnioskował Reacher. - Wiedziałaś, że pozostanie na wózku. Kupiłaś parterowy dom i wyjęłaś podwójne drzwi do salonu. Wstawiłaś trzy krzesła do kuchni, by miał swoje miejsce przy stole.

Skinęła głową.

- Chciałam być przygotowana. Ale on się nie obudził. Opuchlizna nie ustąpiła.

- Dlaczego?

- Zaciśnij pięść.

- Co?

- Zaciśnij pięść i przytrzymaj rękę w górze.

Reacher zacisnął palce w pięść i przytrzymał rękę w górze.

- Widzisz? Twoje ramię to kręgosłup, a twoja zaciśnięta dłoń to jego zakończenie nazywane pniem mózgu. Niektórzy przedstawiciele królestwa zwierząt mają tylko tyle. Ale ludziom rozwinęły się mózgi. Wyobraź sobie, że zrobiłam dziurę w dyni i wycięłam z niej kawałek wielkości pięści i nasadziłam ci tę dynię na twoją pięść. To twój mózg. Wyobraź sobie, że mięsz dyni połączył się ze skórą. Tak właśnie mi to wyjaśniono. Mogłabym uderzyć w dynię albo potrząsnąć nią i nic by się nie stało. Ale wyobraź sobie, że nagle bardzo silnie i energicznie przekręcasz swoją pięść w środku. To co się stanie?

- Połączenie się rozerwie - odpowiedział Reacher. - Mięsz dyni odłączy się od skóry.

Vaughan skinęła głową.

- To właśnie przydarzyło się Davidowi. Rozerwane połączenia nerwowe. Najgorszy uraz z możliwych. Pień mózgu jest w porządku, ale reszta mózgu nawet nie wie, że on jeszcze istnieje. Nie wie, że jest jakiś problem.

- Czy to połączenie nigdy się nie odrodzi?

- Nigdy się nie odradza. Mózgi mają zapasowe obszary na przeniesienie ośrodków, ale neurony nie potrafią się regenerować. On taki już pozostanie do końca życia. Jest jak organizm jaszczurki z uszkodzonym mózgiem. Jego współczynnik inteligencji jest na poziomie złotej rybki. Nie może się poruszać, nie widzi, nie słyszy i nie potrafi myśleć. Reacher nic nie odpowiedział.

- Medycyna pola walki jest bardzo rozwinięta. Utrzymali go przy życiu i przetransportowali do szpitala w Niemczech w ciągu trzynastu godzin. W Korei lub Wietnamie umarłby na miejscu zdarzenia. - Podeszła do wezglowia łóżka i położyła dłoń na policzku męża, bardzo delikatnie, bardzo czule. - Lekarze sądzą, że ma też uszkodzony rdzeń kręgosłupa. Ale to i tak nie ma już większego znaczenia.

• • •

Respirator syczał, zegar cykał, rurki kroplówki bezszelestnie transportowały płyn. Vaughan stała przez chwilę w milczeniu.

- Nie golisz się zbyt często, co?

- Czasami - odpowiedział.

- Ale umiesz to robić?

- Nauczyłem się, siedząc u taty na kolanach.

- Ogolisz Davida?

- Sanitariusze tego nie robią?

- Powinni, ale nie robią. Chciałabym, żeby przynajmniej wyglądał schludnie. To jedyne, co mogę dla niego zrobić.

Z zielonej metalowej szafki wyjęła siatkę z supermarketu, w której były męskie kosmetyki: żel do golenia, połowa paczki jednorazowych nożyków do golenia, mydło, mały ręcznik do twarzy. Reacher znalazł łazienkę po drugiej stronie holu, namoczył ręcznik, namydlił Davidowi twarz, umył, wytarł, znowu poszedł do łazienki wypłukać ręcznik, na koniec wytarł powtórnie twarz. Roztarł niebieski żel do golenia na brodzie i policzkach, rozmasował koniuszkami palców, tworząc pianę, i zaczął golenie. Nie szło mu łatwo. Kolejność ruchów była naturalna, gdy sam się golił, ale na kimś innym okazało się to znacznie trudniejsze. Szczególnie że ten inny ktoś miał tubę respiratora w ustach i brakowało mu części czaszki.

Gdy golił Davida, Vaughan sprzątała pokój. W szafce miała drugą siatkę z supermarketu ze ściereczkami, środkami czystości, zmiotką i szufelką. Bardzo dokładnie zamiotła wszystkie kąty i wytarła kurze. Jej mąż nadal wpatrywał się przez sufit w punkt odległy kilometry stąd, a respirator wciąż syczał i szumiał. Reacher skończył golenie, a minutę później Vaughan skończyła sprzątanie.

- Nieźle ci poszło - stwierdziła.
  - Tobie też. Chociaż to nie ty powinnaś to robić.
  - Wiem o tym.
- Z powrotem spakowała rzeczy do plastikowych toreb z supermarketu i schowała je do szafki.
- Jak często go odwiedzasz?
  - Niezbyt często. To chyba ma coś wspólnego z filozofią zen. Jeśli ja go odwiedzam, a on nie wie, że go odwiedzam, to czy naprawdę go odwiedziłam? Czy to nie jest czysty egoizm przychodzić tutaj i wmawiać sobie, że jestem dobrą żoną? Więc wolę go odwiedzać w swojej pamięci. On jest w niej cały czas żywy.
  - Jak długo byliście małżeństwem?
  - Nadal jesteście małżeństwem.
  - Przepraszam. Jak długo?
  - Dwanaście lat. Osiem byliśmy razem, potem on był dwa lata w Iraku i ostatnie dwa lata tutaj.
  - Ile ma lat?
  - Trzydzieści cztery. Może tak żyć jeszcze sześćdziesiąt. Ja też.
  - Byliście szczęśliwi?
  - Tak i nie, jak wszyscy.
  - I co zamierzasz zrobić?
  - Teraz?
  - Nie, ogólnie, na przyszłość.
  - Nie wiem. Ludzie mówią, że powinnam zacząć nowe życie. I może mają rację. Może powinnam zaakceptować przebaczenie, jak Zenon. Jak prawdziwy stoik. Tak właśnie się czuję czasami. Ale później panikuję i staję się defensywna, wiem, co mu się stało, i mam się teraz rozwieść? Ale on i tak nie miałby o niczym pojęcia. Więc wracam do zen. A co twoim baniem powinnam zrobić?
  - Myślę, że powinnaś się teraz przejść. Właśnie teraz. Sama. Samotny spacer zawsze pomaga. Poodychaj świeżym powietrzem. Popatrz na drzewa. Wezmę samochód i zgarnę cię, zanim dojdiesz do czteropasmówki.
  - A co ty będziesz w tym czasie robił?
  - Znajdę sobie jakiś sposób na spędzenie czasu.

51

Vaughan pożegnała się z mężem i ruszyła z Reacherem brudnymi korytarzami przez ponurą salę do holu wejściowego. Facet w szarej bluzie powiedział:

- Do widzenia, pani Vaughan.
- Wyszli na podjazd i skierowali się w stronę samochodu. Reacher oparł się o błotnik, a Vaughan poszła na swój samotny spacer. Poczekał, aż prawie zniknie z pola widzenia, odbił się od samochodu i wrócił do budynku. Po schodach, przez drzwi. Podszedł do dyżurki.
- Kto tu zarządza? - zapytał faceta w środku.
  - No chyba ja. Jestem kierownikiem zmiany - odpowiedział mężczyzna w szarej bluzie.
  - Ilu tu jest pacjentów?
  - Siedemnastu.
  - Kim oni są?
  - Pacjentami, człowieku. Kimkolwiek, kogo nam tu przysyłają.
  - Prowadzicie ten zakład zgodnie z jakimś regulaminem?
  - Oczywiście. Normalna biurokracja, jak wszędzie.
  - Masz egzemplarz regulaminu?
  - Gdzieś tu mam.
  - To pokaż mi ten fragment, który mówi, że pokoje powinny być brudne, a na korytarzach



może leżeć mysie gównu.

Facet zamrugał, przełknął ślinę i powiedział:

- Nie ma sensu sprzątać, człowieku. Oni i tak nie widzą różnicy. No bo jak? To jest przechowalnia warzyw.

- Tak właśnie nazywacie to miejsce?

- Bo to tak się nazywa.

- Zła odpowiedź - odparł Reacher. - To nie jest przechowalnia warzyw. To jest klinika dla weteranów. A ty jesteś kupą gówna.

- Hej, wyluzuj, stary. A co ty masz z tym wspólnego?

- David Robert Vaughan jest moim bratem.

- Naprawdę?

- Wszyscy weterani są moimi braćmi.

- On ma martwy mózg, człowieku.

- A ty?

- Nie.

- To posłuchaj. I lepiej słuchaj uważnie. Człowiek, który miał mniej szczęścia w życiu niż ty, zasługuje na najlepsze warunki, jakie tylko możemy mu zaoferować. Ze względu na poczucie obowiązku, honor i służbę. Rozumiesz te słowa? Powinieneś właściwie wykonywać swoją pracę, powinieneś uczciwie pracować, choćby dlatego, że potrafisz, bez oglądania się na pochwały i nagrody. Ci ludzie zasłużyli na najlepszą obsługę z waszej strony i jestem cholernie przekonany o tym, że ich rodziny też.

- A kim ty, do licha, jesteś?

- Jestem wrażliwym obywatelem - odparł Reacher - który ma wiele możliwości. Mógłbym ośmieszyć twojego korporacyjnego szefa, mógłbym zadzwonić do gazet i do telewizji, mógłbym przyjechać tu z ukrytą kamerą i wreszcie mógłbym wywalić cię z pracy. Ale ja nie lubię takich rozwiązań. Zamiast tego wszystkiego pozostawiam tobie możliwość wyboru. Chcesz wiedzieć, jaki masz wybór?

- Jaki?

- Masz robić to, co ci każę, z radosnym uśmiechem na ustach.

- Albo co?

- Albo staniesz się pacjentem numer osiemnaście. Facet nic nie odpowiedział.

- Wstać! - rozkazał Reacher.

- Co?

- Wstać. Już!

- Co?

- Wstawaj albo tak cię załatwię, że już nigdy nie wstaniesz o własnych siłach.

Facet zawahał się przez chwilę, ale wstał.

- Baczość! - rozkazał Reacher. - Stopy razem, łopatki obciągnięte, głowa do przodu, wzrok przed siebie, ramiona wyprostowane, dłonie wzdłuż ciała, kciuki dotykają szwu na nogawkach spodni.

Niektórzy koledzy oficerowie woleli czekać, wrzeszczeć i krzyżeć. On sam zawsze uważał, że mówienie niskim głosem, powoli, przejrzysto, z wyraźną artykulacją, jakby mówiło się do niedorozwiniętego dziecka, i obdarzanie delikwenta lodowatym spojrzeniem, było o wiele bardziej skuteczne. Zrozumiał, że w ten sposób roztacza wokół siebie groźną aurę nieomyślności. Spokojny głos, cierpliwe tłumaczenie, potężna sylwetka. Takie zestawienie robiło największe wrażenie. I działało najlepiej z wszelkich możliwych rozwiązań. Przynosiło efekty dawniej i przyniesie efekty teraz. Facet w szarej bluzie przełykał ślinę, mrugał oczami i stał na baczość, jakby czekał na kolejny rozkaz podczas parady wojskowej.

- Twoi pacjenci nie są cholernym kimkolwiek, kogo wam tu przysyłają. Twoi pacjenci to

ludzie. Służyli swojemu krajowi z honorem i poświęceniem. Zaslужują na najlepszą opiekę i szacunek.

Strażnik milczał.

- Tu jest chlew. Jest tu brudno i byle jak. Więc posłuchaj. Ruszysz swoim kościstym dupskiem, zbierzesz swoich ludzi i wysprzątasz to miejsce na medal. Natychmiast. Wróć tutaj, może jutro, może za tydzień, a może za miesiąc. Jeśli nie zobaczę odbicia swojej twarzy na podłodze, to odwrócę cię do góry nogami i użyję twojej gęby jako mopa do podłogi. A potem kopnę cię w dupę tak mocno, że twoje flaki zapłaczą ci się w zęby. Zrozumiano?

Mężczyzna wzdrygnął się i mrugnął. Milczał przez dłuższą chwilę po czym odpowiedział:

- Okay.

- Z radosnym uśmiechem.

Facet zmusił się do uśmiechu.

- Szerzej - rozkazał Reacher.

Strażnik zmusił się do szerszego uśmiechu, rozsuwając suche usta po suchych zębach.

- Tak trzymać. Poza tym masz się porządnie ostrzyć i codziennie brać prysznic, a za każdym razem, kiedy pojawia się tu pani Vaughan, masz wstać, przywitać ją ciepło i osobiście odprowadzić ją do pokoju jej męża. Pokój jej męża ma być czysty, jej mąż ma być ogolony, szyba w oknie ma błyszczeć jak kryształ, a podłoga ma tak świecić, że pani Vaughan poczuje się niepewnie, stąpając po niej, w obawie że się poślizgnie i upadnie. Zrozumiano?

- Okay.

- Czy zrozumiano?

- Tak.

- Całkowicie?

- Tak.

- Wszystko jasne?

- Tak.

- Tak, co?

- Tak, sir.

- Masz sześćdziesiąt sekund na rozpoczęcie działań albo połamię ci kości.

Facet nawet nie usiadł, tylko szybko gdzieś zadzwonił, potem przywołał kogoś przez walkietalkie i pięćdziesiąt sekund później w korytarzu pojawiło się trzech facetów. W sześćdziesiątej sekundzie dołączył do nich czwarty mężczyzna. Minutę później wyciągnęli wiadra i mopy z zaplecza gospodarczego. Po kolejnej minucie wiadra były pełne wody, a cała piątka rozglądała się na boki, jakby miała przed sobą jakieś przekraczające ich możliwości, nieznanne i przerażająco trudne zadanie. Reacher zostawił ich z tym zadaniem. Wrócił do samochodu i ruszył w poszukiwaniu Vaughan.

Jechał powoli i złapał ją półtora kilometra dalej. Wsunęła się na siedzenie pasażera. Wracali tą samą drogą przez sosnowy las, doliną, wśród wzgórz.

- Dziękuję, że mi towarzyszyłeś - zaczęła Vaughan.

- Nic wielkiego.

- Domyślasz się, dlaczego chciałam, żebyś tu przyjechał ze mną?

- Tak.

- To powiedz.

- Chciałaś, żeby ktoś zrozumiał, dlaczego żyjesz tak, jak żyjesz, i robisz to, co robisz.

- I?

- I chciałaś, żeby ktoś zrozumiał, dlaczego w porządku będzie to, co dopiero masz zamiar zrobić.

- A co mam zamiar zrobić?

- To już zależy całkowicie od ciebie. Cokolwiek zrobisz, nie będę miał nic przeciwko temu.

- Okłamałam cię wcześniej - przyznała Vaughan.
- Wiem.
- Naprawdę?

Skinął głową nad kierownicą.

- Wiedziałaś, że Thurman ma kontrakt z wojskiem i że tam jest baza żandarmerii. Pentagon poinformował was dokładnie o wszystkim, tak samo policję z Halfway. To logiczne. Założę się, że w twoim notatniku w szufladzie biurka masz numer telefonu do żandarmerii.

- Mam.

- Ale nie chcesz o tym rozmawiać, co oznacza, że nie chodzi tylko o wojskowy złom, który jest tam przetwarzany.

- Czyżby?

- To złom z Iraku. Jestem pewien. Bo skąd brałyby się tutaj ciężarówki z rejestracjami z New Jersey? Oczywiście z portu. A dlaczego miały zakłady przetwórstwa złomu w Pensylwanii i Indianie? I dlaczego miałoby ładować zwykły złom do zamkniętych kontenerów morskich? Bo zakład Thurmana ma specjalne zadanie. Poufne. I leży pośrodku pustyni.

- Przykro mi.

Nie musi ci być przykro. Ja to rozumiem. Nie chcesz o tym rozmawiać. Nie chcesz nawet o tym myśleć. Dlatego też próbowałaś mnie powstrzymać od węszenia tam. „Zostaw to w spokoju”, mówiłaś. „Jedź swoją drogą. Tam nie ma nic do oglądania”.

- Tam przywożą wysadzone w powietrze hummery. Są dla mnie jak pomniki albo jak grobowce tych, którzy w nich zginęli. Albo prawie zginęli. - I po chwili dodała: - Albo dla ludzi, którzy powinni zginąć.

Jechali na północ, potem na wschód, pokonując niewielkie wzniesienia, z powrotem na międzystanową 1-70, z powrotem na objazd niedaleko granicy z Kansas.

- Ale to wszystko nie tłumaczy zamilowania Thurmana do tajemnic - powiedział Reacher.

- Może on czuje respekt dla tego wszystkiego. Może dla niego to też grobowce - odparła Vaughan.

- Czy on służył kiedyś w wojsku?

- Nie sądzę.

- Czy stracił na wojnie członka rodziny?

- Raczej nie.

- A czy ktoś z Rozpaczy wstąpił do wojska?

- O nikim takim nie słyszałam.

- Więc chyba nie chodzi o respekt. Nie wyjaśnia też, dlaczego tu jest żandarmeria. A co niby jest tu do ukradzenia? Hummer to tylko samochód. Opancerzenie to tylko blacha stalowa. A karabin M-60 nie przetrwa żadnego wybuchu.

Vaughan milczała.

- I to nijak ma się do jego lotów samolotem. Vaughan milczała.

- I to nijak nie wyjaśnia losów tych młodych mężczyzn.

- Więc jeszcze tu trochę posiedzisz? Skinął głową.

- Przez jakiś czas. Bo myślę, że tutaj coś się wydarzy. Ten tłum zrobił na mnie olbrzymie wrażenie. Czy będą mieli tyle samo energii i poświęcenia, żeby zacząć coś od początku? Albo to kontynuować? Nie sądzę. Uważam, że oni są tacy pobudzeni, bo według nich nadchodzi koniec czegoś.

52

Vaughan siedziała w ciszy, a Reacher prowadził przez całą powrotną drogę do Nadziei. Objechali Rozpacz i wrócili od wschodu dalekim objazdem, tą samą drogą, którą Reacher przyjechał mercurym grandem marquisem na samym początku. Do domu dojechali o piątej po południu. Słońce było już nisko. Reacher zjechał z First Street w kierunku Third Street do

swojego motelu. Zatrzymał samochód przed recepcją. Vaughan spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

- Chodź, zrobimy coś, co powinienem był zrobić już dawno. Weszli razem do biura. Ciekawska recepcjonistka siedziała

za ladą. Za nią, na haczykach, brakowało trzech kluczy. Reache-ra z numeru dwanaście, Marii z numeru osiem i jednej kobiety z wielką bielizną z pokoju numer cztery.

- Proszę nam powiedzieć wszystko o kobiecie z pokoju numer cztery - poprosił Reacher.

Recepcjonistka milczała przez chwilę, jakby zbierała myśli, jakby tworzyła kapsułę biograficzną z informacjami na temat gościa z pokoju numer cztery. Jakby była w sądzie i musiała zeznawać w jakiejś sprawie jako świadek.

- Jest z Kalifornii - wydobyła wreszcie z siebie. - Przebywa tu od pięciu dni. Zapłaciła gotówką za cały tydzień.

- Coś jeszcze? - dopytywał się Reacher.

- Jest trochę przy kości.

- Wiek?

- Młoda. Może dwadzieścia pięć lub sześć lat.

- Jak się nazywa?

- Rogers - odpowiedziała recepcjonistka.

- No to mamy następną - zaczęła Vaughan, gdy wrócili do samochodu. - Ale jakąś dziwną. Jej mąż został aresztowany dopiero wczoraj, a ona jest tu już całe pięć dni? Co to może znaczyć?

- To znaczy, że nasza hipoteza jest właściwa. Podejrzewam, że przed pięcioma dniami podróżowali razem, on odnalazł właściwych ludzi w Rozpaczy i ukrył się, a ona przyjechała tutaj, by czekać na coś, jednak on podczas masowej mobilizacji trafił na niewłaściwych ludzi i został zatrzymany. Całe miasto przewrócono do góry nogami. Zajrzano w każdy kąt. I odkryto obecność Rogersa.

- To gdzie teraz może być?

- W areszcie go nie było, więc może z powrotem odnalazł tych właściwych ludzi.

- Byłam pewna, że słyszałam już gdzieś to nazwisko. Jego żonę podwiózł kierowca samochodu dostawczego z Topeki w Kansas, który co kilka dni dostarcza artykuły spożywcze do supermarketu. Wspominał mi o tym. I podał też jej nazwisko.

- Kierowcy ciężarówek muszą się u ciebie meldować?

- No coś ty. To małe miasto. Nie mamy tu żadnych tajemnic. Maria dostała się tutaj tą samą ciężarówką. O niej się dowiedziałam w taki sam sposób.

- A jak przyjechała Lucy Anderson? Vaughan zastanawiała się przez chwilę.

- Nie wiem. Nigdy o niej nie słyszałam, dopóki policja z Rozpaczy nie odstawiła jej na granicę.

- Więc musiała przyjechać z zachodu. -

- Myślę, że niektórzy przyjeżdżają tam z zachodniej strony, a inni dostają się do miasteczka od wschodu.

- No to mamy następną kwestię, prawda? Maria przyjechała od wschodniej strony, z Kansas, ale poprosiła starszka w zielonym samochodzie, by podrzucił ją do bazy żandarmerii na zachód od Rozpaczy. Skąd wiedziała, że właśnie tam jest baza-

- Może Lucy Anderson jej powiedziała. Musiała widzieć ją po drodze.

- Myślę, że one wcale ze sobą nie rozmawiały.

- To może wiedziała od Ramireza. Może powiedział jej to przez telefon, gdy była w Topece. Może on przyjechał z zachodniej strony i też widział bazę.

- Dlaczego miałby zwracać uwagę na jakichś żandarmów? A co mu do tego? I dlaczego miałby opowiadać o bazie żandarmerii wojskowej swojej dziewczynie?

- Tego nie wiem.

- Czy twój szef to miły facet? - spytał Reacher.
- A dlaczego pytasz?
- Lepiej, żeby był miłym człowiekiem, bo musimy jeszcze raz pożyczyć jego samochód.
- Kiedy?
- Później, wieczorem.
- Kiedy później?
- Później niż wcześniej.
- Za ile będzie to „później”?
- Za jakieś osiem godzin.
- Jak za osiem godzin, to mi pasuje - odpowiedziała Vaughan.
- Najpierw musimy zrobić zakupy - oznajmił Reacher.

• • •

Do sklepu żelaznego wpadli tuż przed jego zamknięciem. Starszy mężczyzna w brązowym kitlu właśnie sprzątał wystawkę z chodnika. Wciągnął do środka odkurzacze do liści i zaczął wnosić taczki. Reszta wystawki nadal stała na zewnątrz. Reacher wszedł do środka, kupił cienką latarkę i dwie baterie oraz sześćdziesięciocentymetrowy łom. Potem wyszedł na zewnątrz i kupił tę magiczną drabinę, którą można było ustawić na osiem różnych sposobów. Gdy nie była używana, można ją było złożyć w pakunek o wymiarach metr dwadzieścia na pięćdziesiąt centymetrów. Ważyła niewiele, była wykonana z aluminium i plas-'ku. Bez trudu zmieściła się na tylnym siedzeniu crown victorii.

Vaughan zaprosiła Reachera na kolację na ósmą wieczorem. Była bardzo oficjalna. Powiedziała, że potrzebuje dwóch godzin żeby się dobrze przygotować. Jack spędził ten czas w swoim pokoju. Zdrzemnął się, a potem ogolił, wykąpał i umył zęby. A na końcu ubrał. Ubranie miał nowe, ale jego bielizna przeszła już okres pierwszej świeżości, więc wyrzucił ją do kosza. Włożył spodnie i koszulę, przeczesał włosy palcami, sprawdził wynik w lustrze i zaakceptował go. Nie miał pretensji do swojego wyglądu. Był, jaki był. Nie mógł tego zmienić. Niektórym się podobał, innym nie.

Przeszedł pieszo dwie przecznice z Third na Fourth i skręcił na wschód. Było już zupełnie ciemno. Pięćdziesiąt metrów przed domem Vaughan zauważył, że przy krawężniku nie ma samochodu jej szefa. Albo stał na podjeździe, albo Vaughan musiała go oddać. Albo została wezwana służbowo. Albo zmieniła plany na wieczór. Dopiero trzydzieści metrów przed domem dostrzegł nagle wóz zaparkowany na ulicy. Czarna dziura. Przyciemnione szyby. Czarny lakier, zmatowiały przez upływający czas. Niewidoczny w ciemności.

Doskonale.

Przeszedł przez ogródek przed domem po chodniczku z rozłożonych płyt z naturalnego kamienia. Średni czas oczekiwania wieczorem na reakcję na dzwonek na przedmieściach wynosi około dwudziestu sekund. Vaughan była przy drzwiach w dziewięć sekund. Miała na sobie elegancką czarną sukienkę, bez rękawów, do kolan, czarne pantofle na niskim obcasie, jak baletki. Była świeżo spod prysznica. Wyglądała na pełną energii, młodą kobietę.

Wyglądała zachwycająco.

- Cześć - przywitał ją Reacher.
- Wchodź.

Kuchnia była oświetlona mnóstwem świeczek. Na zastawionym dla dwóch osób stole stały butelka wina i dwa kieliszki. Z piekarnika dochodziły smakowite zapachy. Na blacie kuchennym leżały dwa talerzyki z przekąskami. Na liściu sałaty ułożone były mięso z kraba, awokado i kawałki różowego grejpfruta-

- Danie główne nie jest jeszcze gotowe. Małe opóźnienie-Dawno nie gotowałam.
- Przez trzy lata - zauważył Reacher.
- Dłużej.
- Świetnie wyglądasz.

- Naprawdę?
  - Najładniejszy widok w Kolorado.
  - Ładniejszy niż Pikes Peak?
  - Znacznie. Powinnaś być na okładce przewodnika.
  - Pochlebca.
  - Niezupełnie. To prawda.
  - Ty też dobrze wyglądasz.
  - A to już zwykłe pochlebstwo.
  - Nie. Naprawdę dobrze się domyłeś.
  - Staralem się, jak mogłem.
  - Czy powinniśmy to robić? - zapytała.
  - Myślę, że tak.
  - Czy to jest fair wobec Davida?
  - David nigdy nie wrócił. Nigdy tu nie mieszkał. Nic nie wie. - Chcę zobaczyć twoją bliznę.
  - Bo wolałabyś, żeby David też wyszedł z wojny z blizną? Zamiast tego, co mu się przytrafiło?
  - Tak.
  - Obaj mieliśmy szczęście. Znam psychikę żołnierzy. Całe moje życie kręciło się wokół wojska. Żołnierze boją się groteskowych ran. To wszystko. Amputacji, okaleczeń, oparzeń. Ja miałem szczęście, bo nie odniosłem takich ran, a David miał szczęście, bo nie wie, że je odniósł.
  - Pokaż mi tę bliznę - poprosiła.
- Rozpiął koszulę, potem ją zdjął. Vaughan się wahała, zanim bardzo delikatnie dotknęła jego blizny. Opuszki jej palców były chłodne i gładkie. Paliły go.
- Co to było? - zapytała.
- Samochód-pułapka w Bejrucie.
  - Szrapnel?
  - Część człowieka, który stał bliżej wybuchu.
  - To okropne.
  - Dla niego. Nie dla mnie. Metal mógłby mnie zabić.
  - Czy to wszystko jest tego warte?
  - Oczywiście, że nie. Nie jest już nic warte od dłuższego czasu.
  - Od kiedy?
  - Od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego.
  - Czy David też to wiedział?
  - Tak - odparł Reacher. - Wiedział. Znam psychikę żołnierzy. Nie ma większych realistów od nich, widzą świat bez złudzeń, myślą konkretnie. Można próbować wszystkiego, ale nie da się ich oszukać. Nawet przez minutę.
  - Ale zgłaszają się do wojska.
  - Tak. Zgłaszają się do wojska.
  - Dlaczego?
  - Nie wiem. Nigdy tego nie wiedziałem.
  - Jak długo byłeś w szpitalu?
  - Kilka tygodni. To wszystko.
  - Tak samo beznadziejne miejsce jak to, w którym jest David?
  - O wiele gorsze.
  - Dlaczego szpitale są takie okropne?
  - Bo tak naprawdę dla armii ranny żołnierz, który nie może już walczyć, jest odpadem.
  - Więc musimy polegać na cywilach, a cywile też to mają gdzieś.
- Przyłożyła dłoń do jego blizny i przesunęła za plecy. To samo zrobiła z drugą ręką, po drugiej

stronie. Objęła go w talii i przytuliła policzek do jego piersi. Potem podniosła głowę i odchyliła ją do tyłu, a Reacher ją pocałował. Smakowała ciepłem, winem i pastą do zębów. Pachniała kąpielą, czystością i delikatnymi perfumami. Jej włosy były miękkie.

Pocałował ją. Długo i głęboko.

Oderwała się, by zaczerpnąć tchu.

- Powinniśmy to zrobić - powiedziała.
- Przecież to robimy.
- Chodzi o to, że nie powinnam mieć skrupułów.
- I ja tak myślę.

Małym palcem prawej dłoni wyczuł koniec suwaka jej sukienki. Mały palec jego lewej ręki dotykał wyniosłości jej pośladków.

- Bo ty już niedługo wyjeżdżasz.
- Za dwa dni - przyznał. - Może trzy.
- Bez komplikacji. Czyli nic stałego?
- Ja nie potrafię być stały.

Pochylił się i znowu ją pocałował. Przesunął ręką po plecach, złapał za języczek suwaka i ściągnął go na dół. Pod sukienką nic na sobie nie miała. Ciepła, miękka, gładka, jędrna i pachnąca. Uniósł ją, jedną ręką sięgnął pod kolana, a drugą pod łopatki. Przeniósł Vaughan przez hol, do pokoju, który - jak sądził - był sypialnią, całując ją przez całą drogę. Dwoje drzwi, dwa pokoje. Jeden pachniał jak zupełnie nieużywany, a drugi pachniał nią. Wniósł ją do środka. Sukienka zsunęła się jej z ramion i spadła. Całowali się, a jej dłonie zaczęły walczyć z guzikami jego spodni. Po minucie leżeli w łóżku.

• • •

Później zjedli obiad, najpierw przystawki, potem pieczony schab z jabłkami, przyprawami, brązowym cukrem i białym winem. Na deser jeszcze raz poszli do łóżka. O północy wzięli wspólny prysznic. Ubrali się. Reacher w spodnie i koszulę, a Vaughan w czarne dżinsy z wąskim czarnym skórzanym paskiem, czarny sweter i czarne obuwie sportowe.

Nic więcej.

- A broń? - zapytał Reacher.
- Nie noszę broni poza służbą - oświadczyła Vaughan.
- Okay.

Wyszli z domu o pierwszej w nocy.

53

Prowadziła Vaughan. Nalegała na to, bo w końcu jechali samochodem jej szefa. Reacher nawet się z tego ucieszył. Była zdecydowanie lepszym kierowcą od niego. O wiele lepszym. Jej fantastyczny obrót o sto osiemdziesiąt stopni na pełnej prędkości zrobił na nim duże wrażenie. Wątpił, czy sam potrafiłby wykonać taki manewr. Pomyślał, że gdyby to on wtedy prowadził samochód, tłum pewnie zdążyłby ich dopaść i rozerwać na strzępy.

- Myślisz, że znowu tam będą? - zapytała Vaughan.
- Być może, ale raczej w to wątpię. Jest późno, to byłaby ich druga noc, a ja powiedziałem Thurmanowi, że już tam się nie pojawię. Nie sądzę, żeby było tak jak wczoraj.
- A niby dlaczego Thurman miałby ci uwierzyć?
- Jest religijny. I przywykł wierzyć w rzeczy, które poprawiają mu samopoczucie.
- Powinniśmy byli chyba wybrać inną trasę, by dotrzeć tam z drugiej strony.
- Cieszę się, że jednak tak nie zrobiliśmy. Stracilibyśmy cztery godziny. I nie mielibyśmy czasu na obiad.

Uśmiechnęła się i ruszyli w drogę. Na północ do First Street i na zachód do Rozpaczy. Na niebie wisiała gęsta chmura. Nie było widać księżyca. Ani gwiazd. Ciemno choć oko wykol-

Doskonale. Przejechali przez granicę i półtora kilometra przed wjechaniem na szczyt wzgórza Reacher powiedział:

- Czas stać się niewidzialnymi. Wyłącz wszystkie światła. Vaughan zrobiła tak, jak nakazał, i świat stał się ciemnością.

Zahamowała ostro

- Kompletnie nic nie widzę! - wybuchła

- Włącz kamerę wideo i przejdź na tryb nocny

- Co?

- Będiesz czuła się jak w grze komputerowej. Patrzysz na monitor, a nie przed siebie na drogę.

- Czy damy radę?

- Tak sobie radzą czołgiści.

Włączyła odpowiednie przełączniki i monitor laptopa rozświetlił się na bladzielono, ukazując obszar przed samochodem. Suchorośle po obu stronach były zielone, skały i kamienie też wyraźnie się odznaczały, a droga stała się jasną wstążką wijącą się aż po horyzont. Vaughan zdjęła nogę z gazu i samochód potoczył się do przodu, ona zaś cały czas miała skrzyżowaną głowę, wpatrując się w obraz z kamery termicznej, a nie w realny świat za szybą. Na początku jechała dość niepewnie, czując dziwne zaburzenie pomiędzy ruchami rąk a obrazem docierającym do mózgu, ale po chwili przyzwyczaiła się do nowej techniki jazdy i szło jej zupełnie nieźle. Gdy poprawnie pokonała pierwszy kilometr, nabrała pewności i przyspieszyła, osiągając prędkość między trzydzieści a czterdzieści kilometrów na godzinę.

- To trudne, kiedy nie można patrzeć przed siebie - przyznała.

- Jest dobrze - pochwalił Reacher. - Jedź wolno.

Pomyślał, że przy prędkości około czterdziestu na godzinę prawie nie będzie słychać silnika, tylko lekkie burczenie i miękki dźwięk z rur wydechowych. Zawsze pozostanie jakiś hałas, choćby od szurania kołami po nawierzchni. Ale w mieście będzie już zupełnie cicho, bo tam jest gładka nawierzchnia. Pochylił SIC w lewą stronę, objął Vaughan i spojrzał w zielony ekran, obraz na monitorze przesunął się w ciszy - zielony i bezduszny. Kamera nie miała przecież żadnych ludzkich odruchów, tylko tępe spojrzenie światłoczułej matrycy. Nie spoglądała na prawo ani na lewo, nie zmieniała ogniskowej. Wjechali na szczyt wzgórza i na moment ekran wypełnił się gładkim zimnym niebem, lecz gdy samochód zaczął zjeżdżać ze wzniesienia, powrócił obraz sięgający piętnastu kilometrów w przód. Zielone krzewy, jaśniejsze, rozsypane skały, wstążka szosy i delikatny pobłysk na horyzoncie, gdzie zgłiszcza posterunku policji wydzielały nadal trochę ciepła.

Reacher kilka razy spojrzał przez przednią szybę, ale bez włączonych świateł drogowych nie było nic widać. Zupełnie nic. Tylko ciemność. Co oznaczało, że jeśli ktoś obserwuje drogę daleko przed nimi, także nic nie widzi. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Przypomniał sobie swój pierwszy powrót do Nadziei. Przekroczył granicę i też nie zobaczył radiowozu Vaughan. A przecież jej samochód był nowszy, błyszczący, miał białe drzwi i wypolerowane koguty policyjne na dachu. On i tak niczego nie zauważył. Ale ona go dostrzegła. „Widziałam cię już na kilometr stąd”, powiedziała. „Byłeś małym, zielonym punkcikiem”. Sam się później zobaczył na monitorze; sylwetka odznaczała się w ciemności, w miarę zbliżania stawała się coraz większa.

„Szpanerski sprzęt”, powiedział wtedy.

„Za fundusze z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, odparła Vaughan. Musieliśmy je na coś wydać”.

Spojrzał na ekran, szukając na nim małych zielonych punkcików. Samochód sunął powoli i ostrożnie do przodu, jak czarna łódź podwodna zagubiona w głębinie. Przejechali trzy kilometry. Siedem. Nadal nic na drodze przed nimi. Dziesięć kilometrów. Trzydzieści. Nic nie było widać ani słychać poza samochodem jadącym na niskich obrotach, lekko chrzęszczących



oponach i nerwowym oddychaniem Vaughan, która koncentrowała się na prowadzeniu, mając jednocześnie głowę zwróconą na bok, by obserwować monitor.

- Chyba się zbliżamy - wyszeptwała.

Reacher skinął głową. Na monitorze pojawiła się stacja benzynowa, odrobinę cieplejsza od okolicy. Skład suchej żywności, którego ściany przechowały trochę dziennego ciepła na tle poblasku tworzonoego przez kwartały śródmieścia. Błada poświata była widoczna trochę bardziej na południowy zachód, gdzie kiedyś znajdował się posterunek policji.

I żadnych zielonych punkcików.

- Jesteśmy w miejscu, do którego dotarliśmy wczoraj - stwierdził Reacher.

- No i gdzie oni wszyscy teraz są? - spytała Vaughan. Zwolniła i samochód toczył się powoli do przodu. Nic nowego

nie pojawiło się już na monitorze. Topografia miasta, zarysy budynków, nic szczególnego. Nic, co by się ruszało.

- Tak to jest z ludzką naturą - skomentował Reacher. - Wypompowali się kompletnie i pomyśleli, że się nas pozbyli. I nie mają już sił, by powtórzyć wczorajsze występy.

- Ale może się tu kręcić jakiś jeden lub dwóch strażników?

- To całkiem możliwe.

- Mogą telefonicznie ostrzec ochronę w zakładzie.

- Niech robią, co chcą - odparł Reacher. - Nie jedziemy do zakładu. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

• • •

Powoli toczyli się przez ciszę i ciemność. Minęli pusty plac budowy i opuszczony motel, ledwie widoczne na monitorze. Nie wydzielały żadnego ciepła, więc były tylko fragmentem chłodnego krajobrazu. Stacja benzynowa i domy świeciły jaśniej. Za nimi widać było poblask kwartałów miasta ukazujących się w zielonym kolorze o średnim odcieniu. Pojawiły się też jaśniejsze plamki okien i dachów, przez które najwyraźniej uciekało ciepło ze względu na niedostateczną termoizolację. Ale nigdzie nie było ostrych świateł. Żadnych zielonych punkcików. Żadnych tłumów ani grup, ani nawet pojedynczych ludzi w ruchu.

Zupełnie nic.

Kamera była ustawiona na wprost, więc nie obejmowała bocznych uliczek. Zahaczała jedynie o ich ciemne wgłębienia na kilka metrów. Reacher rozglądał się na boki, gdy mijali Przekłnice. Nic nie widział. Żadnych latarek, rozbłysków zapalek do zapalenia flar, żadnego światła od zapalniczek ani czerwonego Zaru od palących się papierosów. Szum opon prawie zupełnie ucichł. Main Street miała wytarte kamyczki do gołego asfaltu. Vaughan wstrzymywała oddech. Jej stopa dotykała pedału gazu z siłą piórka. Samochód toczył się powoli, zaledwie odrobinę szybciej od prędkości marszu i o wiele wolniej od biegu.

Na monitorze pojawiły się dwa punkciki, gdzieś z przodu.

Może jakieś pół kilometra dalej, na zachodnim krańcu Main Street. Dwie sylwetki wychodzące z poprzecznej ulicy. Pieszy patrol. Vaughan nacisnęła na hamulec i zatrzymała samochód w połowie drogi przez miasto. Sześć przecznic do tyłu, sześć przecznic do przodu.

- Czy oni mogą nas zobaczyć? - zapytała szeptem.

- Wydaje mi się, że są odwróceny w inną stronę - odpowiedział Reacher.

- A jeśli nie?

- To i tak nie zdołają nas zobaczyć.

- Może być ich więcej za nami.

Reacher odwrócił się i spojrział przez tylną szybę. Nic nie zobaczył. Tylko totalną czerń nocy.

- Skoro my ich nie widzimy, to oni też nas nie widzą. Takie są prawa fizyki.

Monitor rozbłysł poruszającym się białym światłem w kształcie różka. Światło omiatało przestrzeń dookoła.

- Latarka - stwierdził Reacher.

- Zobaczą nas.

- Jesteśmy za daleko. Chyba świecą w zachodnim kierunku. Po chwili sytuacja się zmieniła. Na monitorze zobaczyli, że światło zatacza pełen krąg niczym latarnia morska. Snop światła rozciągał się płasko, równoległe do ziemi. Monitor rozświetlił się jak słońce, gdy mijają ich światła latarki.

- Widzieli nas? - spytała Vaughan.

Reacher obserwował monitor. Pomyślał o zwierciadłach refleksyjnych wykonanych z wypolerowanej blachy w reflektorach samochodu.

- Kimkolwiek są, nie ruszają się z miejsca. Myślę, że nie widzieli nas w tym świetle.

- Co robimy?

- Czekamy.

Odczekali dwadzieścia pięć minut. Silnik chodził na wolnych obrotach, niemalże bezgłośnie. Snop światła z latarki zniknął.

Obraz na monitorze wrócił do poprzedniego stanu, ukazując dwa odległe, nieruchome, zielone punkciki. Z tyłu zupełnie nic nie było widać. Tylko pustka i ciemność.

- Nie możemy tu tak stać - stwierdziła Vaughan.

- Musimy - odpowiedział Reacher.

Zielone punkciki ruszyły się ze środka monitora na jego lewy kraniec. Za nimi rozmazywała się poświata fluorescencji monitora. Punkciki zniknęły w przecznicy. Obraz na monitorze znowu był nieruchomy. Tylko topografia miasta i zarysy budynków.

- Patrol pieszy - stwierdził Reacher. - Kierują się do centrum. Może boją się pożarów.

- Pożarów? - niedowierzała Vaughan.

- Zeszłej nocy spalił się posterunek policji.

- Czy miałeś coś z tym wspólnego?

- Wszystko.

- Jesteś nienormalny.

- Mają problem. Zadzierają z niewłaściwym facetem. Zabieramy się stąd.

- Teraz?

- Miniemy ich, gdy będą odwróceni plecami.

Vaughan nacisnęła lekko gaz i samochód ruszył do przodu. Pierwsza przecznica, druga. Na monitorze żadnych zmian. Topografia miasta i zarysy budynków. Nic więcej. Opony toczyły się po cichu na wygładzonej nawierzchni.

- Szybciej - rzucił Reacher.

Vaughan przyspieszyła. Najpierw do trzydziestu kilometrów na godzinę, potem do czterdziestu. Przy sześćdziesięciu na godzinę samochód zaczął wydawać z siebie trochę większy hałas, od silnika, spod kół i z rury wydechowej. Wydawał się koszmarnie głośny. Jednak nie spowodowało to żadnej reakcji Patrolu. Reacher rozglądał się na lewo i prawo, w uliczki centrum miasta, ale nic nie dostrzegł. Tylko czarną pustkę. Vaughan zrywała się kurczowo kierownicy, wstrzymywała oddech, wpat<sup>^</sup>jąc się w monitor laptopa. Dziesięć sekund później byli już 2a granicami miasta na otwartej przestrzeni. Cztery minuty później dojeżdżali do zakładu metalurgicznego.

54

Znowu zwolnili i nadal jechali bez świateł. Obraz termiczny na monitorze pokazywał, że niebo nad zakładem przetwórstwa złomu aż iskrzyło się od ciepła, wydobywającego się z drzemiących pieców hutniczych i tygli, niczym fale burz na powierzchni słońca. Stalowe ogrodzenie też było ciepłe. Na ekranie ukazywało się jako poziomy zielony pas. Było znacznie cieplejsze przy południowym krańcu. Monitor laptopa rozświetlony był w tym miejscu ponad wszelką miarę.

- Też mi śmietnisko - skomentował Reacher.

- Muszą tam ciężko pracować - stwierdziła Vaughan. - Niestety, takie życie.

Parking przed bramą dla pracowników wydawał się pusty. Brama sprawiała wrażenie zamkniętej. Reacher nie patrzył na nią bezpośrednio. Pewniejsze informacje zdobywał z policyjnej kamery na podczerwień przesyłającej obraz do laptopa.

- Żadnej ochrony? - zapytała Vaughan.

- Oni mają zaufanie do tego ogrodzenia. No i powinni, bo to świetny płot.

Powoli jechali dalej, w ciszy, w ciemności; minęli parking, później północny narożnik zakładu, aż znaleźli się na szosie dojazdowej dla ciężarówek. Zatrzymali się pięćdziesiąt metrów dalej. Na monitorze ukazała się wyjeżdżona trasa, ubita przez koła chevroletów tahoe, prawie niewidoczna wśród otaczających koleiny suchorośli. Ubita ziemia i piach bez mikroskopijnych dziurek doprowadzających powietrze, po zmroku schładza się od otoczenia. Reacher wskazał drogę i koła zsunęły się z równej asfaltowej nawierzchni. Vaughan koncentrowała się na monitorze, ustawiła koła w koleinach i jechała dalej, choć wolniej. Samochód podskakiwał i trząsał się na nierównościach terenu. Jechali po zarysie gigantycznej cyfry osiem. Na monitorze nie było na razie nic widać poza szarozieloną pustynią. Gdzieś tam pojawiały się jedynie wystające z ziemi skały dłużej przechowujące ciepło dnia. Ekran ukazał wreszcie kamienny mur okalający rezydencję. Wyglądał jak jakiś nakrapiany pas, jak wijący się wąż. Był niski, niemal płynny, ciągnął się w prawo i wydawał się nieskończenie długi.

Vaughan okrążyła prawie całą rezydencję, jadąc po koleinach tahoe zgodnie ze wskazówkami Reachera, aż za stodołę służącą jako hangar dla samolotu. Zaparkowała i wyłączyła silnik. Jack przełączył oświetlenie kabiny samochodu w pozycję „Off”, otwarli drzwi i wyszli na zewnątrz w kompletną ciemność. Powietrze było świeże i zimne. Zegar w głowie Reachera wskazywał pierwszą trzydzieści w nocy. Doskonale.

Musieli pokonać pięćdziesiąt metrów do muru. Reacher odwrócił się parę razy. Chciał sprawdzić, czy ford crown victoria jest widoczny w ciemności. Po dziesięciu metrach trudno go było dostrzec, po dwudziestu był niemalże niewidoczny, a po trzydziestu zniknął zupełnie w ciemności. Mur był ledwo wyczuwalnie letni. Wspięli się na niego z łatwością i zeskoczyli na drugą stronę. Tył olbrzymiej, ciemniejszej od nieba stodoły-hangaru znajdował się dokładnie przed nimi. Szli wprost na mą po kamienistym podłożu przez cyprysowy zagajnik. Po dotarciu do ściany obeszli ją w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i znaleźli się od frontu. Wnętrze było puste. Samolot wyleciał. Reacher stanął przy narożniku i intensywnie nasłuchiwał. Nic nie usłyszał. Przywołał Vaughan do siebie.

- Krok pierwszy - szeptał. - Właśnie zweryfikowaliśmy też?, że gdy pracują w ciągu dnia, to samolot odlatuje w nocy. A jaki jest krok drugi? - spytała Vaughan. Zweryfikujemy, czy coś nim przywożą, czy wywożą, czy też jedno i drugie.

- Tylko obserwując?

- No pewnie.

- Ile mamy czasu do przylotu?

- Pół godziny.

Weszli do potężnej i ciemnej stodoły. Pachniała olejem, benzyną i drewnem impregnowanym kreozotem. Podłogę stanowiła ubita ziemia. Wnętrze było prawie puste, gotowe na przyjęcie samolotu. Poruszali się, dotykając rękami ścian. Vaughan zaryzykowała i zapaliła latarkę. Pomajstrowała przy jej główce i zredukowała światło do przytłumionej czerwieni. Przy ścianach stały półki wypełnione kanistrami z benzyną, bańkami z olejem, częściami zamiennymi w kartonach. Pewnie filtrami oleju i powietrza. Pośrodku tylnej ściany zamontowano wciągarkę. Po prawej też były półki. Zapasowe koła. Znowu części zamienne. Na niektórych półkach panował porządek, na innych chaos, jak w normalnym miejscu pracy. Nic szczególnego. Nie zauważyli żadnego specjalnego miejsca do chowania i ukrywania czegokolwiek. Pod dachem na belkach rozporowych dostrzegli ledwie widoczne lampy

lukowe. Gdyby je włączyć, stałoby się tu jasno jak w dzień.

Vaughan zgasła latarkę.

- Nie jest dobrze - powiedziała.

Reacher kiwnął głową. Opuścili stodołę, ruszyli w kierunku drogi wiodącej do pasa startowego, która była szerokim traktem ubitej ziemi. Po obu stronach rosły kępy ozdobnej roślinności. Kompozycje srebrzystych krzewów i wysmukłych drzew iglastych były posadzone wystarczająco blisko stodoły, by przesłonić jej widok z rezydencji, ale odpowiednio daleko od niej, by padały na nie promienie słoneczne.

- Skryjemy się po obu stronach drogi do kołowania. Przyczaj się gdzieś i nie ruszaj, dopóki cię nie zawołam - zakomenderował szeptem. - Światła pasa rozbłyśną za tobą, ale nie martw się nimi. Są tak ustawione, że świecą płasko, na północ i na południe.

Vaughan skinęła głową i poszła w prawo, a Reacher w lewo. Stała się niewidoczna już po trzech krokach. Jack wczołgał się w kępę ozdobnych krzewów i położył się na brzuchu. Kryły go krzewy po obu stronach i spore drzewo nad nim. Miał stąd niezły widok z ukosa na stodołę. Liczył na to, że Vaughan też będzie miała dobry widok w przeciwnym kierunku. Ich pola widzenia się uzupełniały. Rozpłaszczył się na ziemi i czekał.

• • •

Usłyszał samolot pięć po drugiej w nocy. Jednosilnikowy, odległy, samotny, bujający się jak piórko, mrugający światłkami. Dostrzegł reflektor do lądowania wiszący daleko na niebie, podskakujący na turbulencjach, kierujący się w dół. Odgłos maszyny zbliżał się, lecz stawał się coraz cichszy, gdy Thurman podchodził do lądowania i zmniejszał moc ciągu. Rozbłyśły światła lądowiska. Były jaśniejsze, niż Reacher wcześniej sądził. Nagle poczuł się jak łatwy cel. Nawet zobaczył swój cień zaplątany gdzieś między liśćmi otaczających go krzewów. Próbował odnaleźć wzrokiem Vaughan. Nie dostrzegł jej. Odgłos silnika stawał się coraz głośniejszy. Nagle zapaliły się światła hangaru. Były bardzo jasne. Rzuciły ostry cień dzięki brzegowi dachu stodoły, który zaczynał się dwa metry od niego. Spojrzał do przodu i dostrzegł olbrzyma z zakładu. Stał w stodole przy włącznikach światła i rzucał cień tak długi, że Reacher mógłby go dotknąć. Dziewięćset metrów dalej, po prawej stronie, usłyszał lekkie tąpnięcie w momencie posadzenia samolotu, którego silnik pyркаł teraz na niskiej mocy. Mimo że hałas zmniejszył się podczas kołowania, Reacherowi nadal wydawał się niezmiernie głośny. Ziemia drżała. Samolot z warkotem przejechał pomiędzy dwoma zagajnikami, wzbijając tumany pyłu. Wykonał ciasny nawrót przed wjazdem do stodoły i się zatrzymał. Przez chwilę jeszcze trząsł się i drżał, po czym pilot wyłączył silnik i śmigło stanęło.

Wróciła cisza, zupełnie jakby ktoś nakrył hałas kocem.

Światła pasa startowego zgasły.

Reacher obserwował okolicę.

Otworzyły się drzwi z prawej strony kabiny piper'a i wyszedł z nich Thurman, opierając stopę o skrzydło samolotu niczym 0 stopień. Wysoki, tłusty, pokracczy, dziwaczny facet. Nadal 'fliał na sobie wełniany garnitur. Zszedł na ziemię, postąpił tam Przez sekundę, po czym odszedł w kierunku domu.

Nic ze sobą nie niósł.

Nie miał żadnej torby, żadnej waludki, żadnej aktówki, żadnego, choćby najmniejszego pakunku.

Nic.

Zniknął w ciemności za obrębem światła padającego ze stodoły. Gigant z zakładu metalurgicznego przyciągnął ze stodoły stalową linę i zaczepił ją o hak wystający z ogona piper'a. Wrócił do stodoły i włączył wciągarkę. Samolot zaczął powoli wjeżdżać tyłem do hangaru, wreszcie się zatrzymał i dryblas odłączył linę, potem wciągnął ją na bęben. Przeszedł koło skrzydła, zgasił światła i oddalił się w ciemność.

Nic ze sobą nie niósł.

Nie otworzył żadnego schowka ani przestrzeni bagażowej samolotu, nie zajrzał do żadnych pojemników, nie wyciągnął nic z kabiny.

• • •

Dla świętego spokoju Reacher odczekał dwadzieścia minut. Nigdy nie wpadł w kłopoty przez brak cierpliwości i nie miał zamiaru tego zmieniać. Gdy upewnił się, że wszystko jest w porządku, wyczołgał się z zagajnika, przeszedł drogę do kołowania i zawołał po cichu Vaughan. Nigdzie jej nie widział. Była dobrze ukryta. Wyszła z ciemności, stanęła tuż przed nim i na moment się do niego przytuliła. Poszli razem do stodoły, przecisnęli się pod skrzydłem pipera i stanęli przy tylnej części kadłuba.

- Więc teraz wiemy, że coś muszą stąd wywozić, a nic nie przywożą - stwierdziła Vaughan.
- Ale co i dokąd? - ciągnął Reacher. - Znasz zasięg tego samolotu?
- Z pełnymi zbiornikami? Jakies tysiąc sto, tysiąc dwieście kilometrów. Gliniarze stanowi mieli kiedyś podobny. Wszystko zależy od prędkości lotu i szybkości wznoszenia na pułap.
- A jak się tym normalnie lata?
- Wystarczy lecieć z niewiele ponad połową mocy i można zrobić tysiąc dwieście kilometrów z prędkością stu dwudziestu pięciu węzłów.
- Co noc znika na siedem godzin. Dajmy mu godzinę na ziemi, to w powietrzu pozostaje przez sześć godzin, trzy w tamtą i trzy z powrotem. To daje nam okrąg o promieniu sześciuset kilometrów. Powierzchnia koła o takim promieniu wynosi sporo ponad milion kilometrów kwadratowych.
- To duży teren.
- Czy możemy ustalić coś bliżej na podstawie kierunku jego lotu?

Vaughan pokręciła przecząco głową.

- Nic nie ustalisz, bo on musi ustawić się równolegle do pasa i do tego pod wiatr.
- W tym samolocie nie ma dużego zbiornika paliwa, więc musi tankować w punkcie docelowym. Lata tam, gdzie można kupić paliwo o dziesiątej lub jedenastej wieczorem.
- Sporo jest takich miejsc. Lotniska miejskie, aerokluby - odpowiedziała Vaughan.

Reacher przytaknął. Wyobrazził sobie mapę i widział stany: Wyoming, Dakota Południowa, Nebraska, Kansas, część Oklahomy, część Teksasu, Nowy Meksyk, północno-wschodni narożnik Arizony, Utah. I to tylko przy założeniu, że Thurman nie leciał przez godzinę w jedną i godzinę w drugą stronę i nie spędzał pozostałych pięciu na obiedzie, gdzieś w samym Kolorado.

- Będziemy musieli go zapytać - oznajmił Reacher.
- Myślisz, że nam powie?
- W końcu tak.

Pochylili się, by przejść pod skrzydłem, i poszli z powrotem do muru. Minutę później byli w samochodzie i jechali utartym szlakiem tahoe w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, dookoła zakładu metalurgicznego, do miejsca, gdzie Reacher chciał włamać się na jego teren.

55

Kamera termiczna wskazała, że białe stalowe ogrodzenie było gorące na południu, a chłodniejsze na północy. Vaughan jechała wzdłuż niego i zatrzymała się po przejechaniu ćwierci długości północnego płotu. Skręciła ostro w lewo, wytoczyła się z kolein i podjechała do ogrodzenia, niemalże dotykając je zderzakiem. Połowa pokrywy silnika znalazła się pod poziomym cylindrem zwieńczającym płot. Maskę w miejscu, gdzie zaczynała się szyba, była około półtora metra poniżej i oddalona o sześćdziesiąt centymetrów od maksymalnego bocznego wybrzuszenia cylindra.

Vaughan została w środku, a Reacher wyszedł i wyciągnął drabinę z tylnego siedzenia. Położył ją na ziemi i rozłożył w taki sposób, by utworzyła literę L z podstawą u góry.

Zwiększył trochę kąt pomiędzy rozpostartymi ramionami drabiny powyżej dziewięćdziesięciu stopni i dokręcił wszystkie mocowania. Podniósł ją wysoko i osadził pomiędzy maską a początkiem szyby w rynience ściekowej samochodu, gdzie zamontowane były ramiona wycieraczek. Pozwolił drabinie powoli opaść do przodu. Uderzyła w ogrodzenie z lekkim metalicznym stukiem aluminium o pomalowaną stal. Dłuższe z ramion litery L stało prawie pionowo, a krótsze leżało na cylindrze, prawie poziomo.

- Wycofaj około trzydziestu centymetrów - szepnął.

Vaughan ruszyła do tyłu. Podstawa drabiny cofnęła się, tworząc dogodniejszy kąt do wchodzenia, a szczyt ułożył się idealnie poziomo.

- Uwielbiam sklepy żelazne - wyznał Reacher.

- Do tej pory sądziłam, że nie da się pokonać takich ogrodzeń - oznajmiła Vaughan.

- Nie mów hop, bo jeszcze nie jesteśmy po drugiej stronie.

- Ale mamy już blisko.

- Zwykle takim ogrodzeniom towarzyszą wieże strażnicze i oświetlenie, by włamywacze nie mieli szansy na podjechanie samochodami i rozstawienie drabin.

Vaughan zgasiła silnik i mocno wcisnęła nogą hamulec postojowy. Monitor laptopa wyłączył się z braku zasilania i musieli odwołać się do widzialnego spektrum, które wcale nie było takie widzialne. Wokół panowała ciemność. Vaughan wzięła latarkę, a Reacher wyjął łom z bagażnika. Wspiął się na maskę samochodu i kucnął pod wybruszeniem cylindra. Przesunął się do przodu do rynienek między maską a szybą przednią, odwrócił się i zaczął wspinać się po drabinie. W lewej ręce trzymał łom, a prawą chwycił się szczebli drabiny. Aluminium trzeszczało o stal, co wytwarzało dziwaczny pogłos wewnątrz cylindra. Zwolnił, by uniknąć większego hałasu, dotarł do zgięcia drabiny i wyciągnął się do przodu. Opierając się na ramionach i kolanach, czołgał się po poziomym ramieniu litery L. Przesunął się bokiem na szczyt cylindra i rozpostarł ręce i nogi jak ramiona rozgwiazdy. Cylinder miał średnicę prawie dwumetrową, więc jego obwód wynosił około sześciu metrów, czyli był wystarczająco płaski, by rozplaszczanie się na nim było możliwe, ale mimo wszystko niebezpieczne. A biała farba dodawała cylindrowi gładzi i po-błysku. Ostrożnie podniósł głowę do góry i rozejrzał się dookoła.

Był niecałe dwa metry od miejsca, w którym chciał się znaleźć.

Ledwie dostrzegł piramidę z pustych beczek po oleju. Stała jakieś dwa metry na zachód. Jej najwyższy poziom znajdował się dwa i pół metra na południe i kończył się pół metra od szczytu cylindra. Reacher złapał za koniec drabiny. Przyciągnął i do siebie bez żadnego oporu.

- Stań na najniższym szczeblu - zawołał do Vaughan.

Drabina naciągnęła się pod jej ciężarem. Przyciągnął się bliżej, Przetoczył na drugą stronę i odwrócił na brzuch. Znalazł się dokładnie w miejscu, w którym chciał się znaleźć.

- Wchodź - krzyknął do Vaughan. Poczul, że drabina się naprężyła, buja i odbija, powodując harmoniczne dźwięki rozchodzące się w pustce cylindra. Koło niego pojawiła się głowa Vaughan. Chwila przerwy, policjantka zebrała się w sobie i zaczęła wspinać się dalej. Minęła zagięcie drabiny, przeczołgała się i znalazła się na cylindrze dokładnie w tym samym miejscu, które Reacher przed chwilą opuścił. Rozplaszczyła się niepewnie na szczycie cylindra. Jack podał jej łom, a sam chwycił za drabinę i wciągnął ją na górę. Spojrzał na prawo w stronę areny, po chwili opuścił drabinę po drugiej stronie w taki sposób, by krótsze ramię litery L oparło się o drugi od góry poziom piramidy z beczek po oleju. Długie ramię L tworzyło teraz kładkę pomiędzy cylindrem a piramidą.

- Uwielbiam sklepy żelazne - wyznał po raz kolejny Reacher.

- A ja kocham twardy grunt pod stopami - odparła Vaughan. Wziął od niej łom, wyciągnął się do przodu i dwoma

rękami uchwycił za brzegi drabiny. Napał na nią swoim ciężarem, by upewnić się, że

stabilnie opiera się o beczki. Mocno trzymając się rękami, spuścił nogi z cylindra. Usiłując trafić na drabinę, machał nogami przez chwilę w powietrzu, aż wreszcie mu się udało i całym ciężarem przyłnął do drabiny. Oparł stopy na szczeblach i zaczął schodzić tyłem w dół z uniesionym tyłkiem po niewielkim nachyleniu długiego ramienia drabiny. Dopiero za załamaniem schodzenie z drabiny było bardziej naturalne. Stał na beczce po oleju i rozejrzał się dookoła. Nic nie zobaczył. Przytrzymał mocno drabinę.

- Twoja kolej - zawołał do Vaughan.

Schodziła w taki sam sposób jak on, tyłem, z wypiętą pupą jak małpa, a za zgięciem mniej więcej pionowo, aż stanęła pomiędzy wyprostowanymi rękami Reachera trzymającego drabinę.

- Teraz będzie łatwo. Jak po schodach - powiedział. Zeszli w dół piramidy. Puste beczki trochę dudniły. Wreszcie

stanęli na lepkiej, chrzęszczącej ziemi i wyszli na otwarty teren-

330

Reacher zastanowił się przez chwilę i wskazał na południowo-zachodni kierunek.

- Tędy - zakomenderował.

• • •

Przeszli pół kilometra do bramy dla ciężarówek w czasie poniżej pięciu minut. Białe tahoe były zaparkowane blisko siebie koło jednego końca bramy, a koło drugiego stało pięć naczep platformowych. Bez ciągników siodłowych. Same naczepy oparte na cienkich podporach do parkowania. Cztery ustawiono przodem do bramy. Załadowano je prętami stalowymi. Gotowymi do transportu. Piąta naczepa była skierowana przodem do środka. Na platformie stał kontener ciemnego koloru, najprawdopodobniej niebieski, z napisem: „China Lines”. Złom do przerobu. Przechodząc obok, Reacher spojrzął na kontener i skierował się do szeregu pawilonów biurowych. Vaughan szła za nim. Zostawili za sobą biuro ochrony, biuro Thurmana, biuro działu operacyjnego, biuro działu zakupów, biuro księgowości i pierwszy z pomalowanych na biało kontenerów ambulatorium. Zatrzymali się dopiero przy drugim.

- Znowu odwiedziny chorych? - zapytała Vaughan.

- Może coś powie bez towarzystwa Thurmana.

- Drzwi pewnie są zamknięte na klucz. Reacher podniósł do góry łom.

- Mam klucz.

Ale drzwi nie były zamknięte na klucz. I chory zastępca nic nie powiedział. Chory zastępca nie żył.

• • •

Facet nadal leżał na łóżku, przykryty kołdrą pod samą szyję, choć było oczywiste, że ostatnie tchnienie wydał już kilka godzin wcześniej. I najprawdopodobniej był wtedy tutaj sam, bez jakiegokolwiek opieki. Skórę miał zimną i ciało już tężało. Oczy były zamglone i otwarte. Miał cienkie i zmierzwiłone włosy, jakby rzucał głową po poduszce, bez powodzenia wzywając opieki lub towarzystwa. Po wizycie Reachera do jego karty chorego nie dodano już żadnych notatek. Długa lista objawów i wyników obserwacji pozostała niewyjaśniona i najwyraźniej niezdiagnozowana.

- Myślisz, że to TCE? - zapytała Vaughan.

- Całkiem możliwe - odparł Reacher.

„Robimy, co możemy, żeby mu pomóc, powiedział wcześniej Thurman. Mamy nadzieję, że jego stan się polepszy. Każę zawieźć go jutro do szpitala w Halfway”.

Gnojek, pomyślał Reacher.

- To mogłoby wydarzyć się również w Nadziei - oświadczyła Vaughan. - Musimy mieć dane dla laboratorium w Colorado Springs.

- Przecież po to tutaj jesteśmy - odpowiedział Reacher.

Stali jeszcze przez chwilę przy łóżku, potem wyszli z pomieszczenia. Zamknęli za sobą po

cichu drzwi, tak jakby to miało jakieś znaczenie dla nieboszczyka, i ruszyli wzdłuż szeregu kontenerów do biura działu zakupów. Drzwi były zamknięte na kłódkę przechodzącą przez uszy skobla. Kłódka była solidna, ale wkrety mocujące skobel do framugi słabe. Podały się niemalże samemu ciężarowi łomu. Wyszły z drewnianej ramy, upadły na ziemię i drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Vaughan zapaliła latarkę, przykryła dłonią główkę i pierwsza weszła do środka. Reacher wszedł za nią, zamknął drzwi i podparł jej krzesłem.

W pokoju stały trzy biurka, trzy telefony i cała ściana szafek na dokumenty. Szafki były trzyszufladowe, wysokie na metr. Reacher automatycznie przeliczył, że są to cztery metry sześciennych zamówień towarów.

- Skąd zaczynamy? - wyszeptała Vaughan.

- Spróbujmy od T, jak TCE.

Szuflady z winietką T, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i układem alfabetycznym, znajdowały się w czterech piątą długości szeregu szafek. Ale żadne z zamówień nie dotyczyło trójchloroetylenu. Wszystkie dokumenty były posegregowane według nazwy dostawcy. Szuflady z oznaczeniem T zawierały dokumenty firm o nazwach Tri-State, Thomas, Tompkins i Tribune. Firma ubezpieczeniowa Tri-State odnowiła ubezpieczenie zakładu osiem miesięcy temu, firma Thomas była spółką telekomunikacyjną, która dostarczyła cztery nowe telefony komórkowe trzy miesiące temu, firma Tompkins założyła nowe opony do buldożera ładowarki, a firma Tribune dostarczała co dwa tygodnie drut. Wszystkie z tych dostaw były jak najbardziej normalne, jeśli chodzi o zakład przetwórstwa złomu, ale żadne nie dotyczyło dostaw chemikaliów.

- Zacznę od A - zdecydowała Vaughan.

- Ja zaś od Z - zgodził się Reacher. - To do zobaczenia przy M albo N, jeśli nie wcześniej.

Vaughan była szybsza od Reachera, bo miała latarkę. On musiał polegać na odbłaskach światła z drugiego końca szeregu szafek. Część dokumentów oczywiście nie miała dla nich żadnego znaczenia, ale te potencjalnie interesujące wyciągał z folderów i przyglądał im się z bliska. Dość mozolna praca. Zegar w jego głowie nieubłaganie odmierzał czas. Do świtu nie było już tak daleko, co napawało Reachera obawą. Natrafił na zamówienie tysięcy litrów czegoś, ale po przestudiowaniu dokumentów okazało się, że chodziło o benzynę i ropę naftową. Dostawcą była firma Western Energy z Wyomingu, a kupującym Thurman Metals z Rozpaczy w Kolorado. Wsunął dokumenty z powrotem do foldera i przeszedł do szuflady z literką V. Pierwszy folder zawierał zamówienia środków medycznych, sól fizjologiczną, opatrunki, stojaki na kroplówki, jakieś drobiazgi. Małe ilości, typowe dla niewielkiego punktu opatrunkowego.

Dostawcą była firma Vernon Medical z Houston w Teksasie.

Zamawiającym była firma Olympic Medical z Rozpaczy w Kolorado.

Reacher podał dokumenty Vaughan. Zawierały oficjalne zamówienie na oficjalnym listowniku firmy z tym samym firmowym logo, które widzieli dwa razy na tablicach informacyjnych na południe od Colorado Springs. Adresem firmy było biuro w zakładzie metalurgicznym, dwa kontenery dalej.

- Thurman jest właścicielem firmy Olympic - stwierdził Reacher. - Tam, gdzie leży twój mąż.

Vaughan przez chwilę milczała.

- Nie podoba mi się to - wyznała w końcu. Mnie też nie.

- Powinam go stamtąd zabrać. Albo usunąć stamtąd Thurmana.

- W jaki sposób.

- Kopmy dalej w tych śmieciach.

Po chwili przerwy wrócili do pracy. Reacher przebrnął przez V i U, opuścił sprawdzone już wcześniej T. Dowiedział się, że dostawcą acetylenu dla Thurmana jest firma Utah Gases, a dostawcą nafty jest Union City Fuels. Nie znalazł nic na temat trójchloroetylenu. Otwierał



właśnie ostatnią z szuflad zawierającą firmy na S, gdy Vaughan otwierała szufladę z dostawcami na literę K.

- Mam! - zawołała. - To firma Kearny Chemical z New Jersey. Dotyczy zakupów TCE sprzed siedmiu lat.

Wyjęła teczkę z dokumentami i oświetlając je latarką, przeglądała każdą kartkę. Reacher wielokrotnie widział nazwę związku trójchloroetylen, powtarzającą się niemalże w co drugim zdaniu.

- Zabierz całą teczkę - powiedział. - Później zsumujemy ilości.

Vaughan wsunęła dokumenty pod pachę i zamknęła szufladę biodrem. Reacher odsunął krzesło, otworzył drzwi i wyszli na zewnątrz. Za pomocą latarki odnalazł wkręty na ziemi. Wsunął je z powrotem w dziury i docisnął kciukiem. Trzymały się luźno, ale przynajmniej wyglądało, że skobel jest nietknięty. Ruszył za Vaughan, przeszedł koło działu operacyjnego, koło biura Thurmana i biura ochrony. Vaughan poczekała na niego, i po chwili znaleźli się koło kontenera China Lines.

Reacher się zatrzymał.

I odwrócił.

- Daj mi latarkę - poprosił.

Po chwili przy jej świetle oglądał bok kontenera. Wydawał się olbrzymi i wręcz nierealny w świetle latarki, stojąc na platformie wysoko nad ziemią, jakby zawieszony w powietrzu. Standardowy czterdziestostopowy kontener z przetłaczanej blachy; na boku przybrudzone wielkie białe litery „China Lines” i pionowy napis chińskimi krzaczkami plus jakieś numery identyfikacyjne i kody transportu w narożniku.

Plus jedno słowo napisane dużymi literami, odręcznie, kredą.

Napis kredą był słabo widoczny, jakby powstał dawno temu po drugiej stronie oceanu, tysiące kilometrów dalej.

Litery układały się w słowo „Samochody”.

Reacher podszedł bliżej. Kontener ładowano przez podwójne drzwi u szczytu, zabezpieczone w tradycyjny sposób czterema bolcami biegnącymi przez całą wysokość kontenera, które blokowały się w gniazdach dociskowych na ramie. Wszystkie dźwignie były w pozycji „zamknięte”. Trzy z nich były po prostu przywiedzione do powierzchni blachy, ale czwartą zabezpieczono kłódką i plombą na plastikowym pasku.

- To właśnie przyjechało - stwierdził Reacher.

- Jasne. Bo stoi frontem do wewnątrz.

- Chcę zobaczyć, co jest w środku.

- Dlaczego?

- Z ciekawości.

- Przecież w środku są samochody. Na wszystkich złomowiskach są samochody.

- Widziałem, jak tu docierają. Z sąsiednich stanów, powiązane, na zwykłych platformach. A nie zamknięte w kontenerach.

- Myślisz, że to sprzęt wojskowy z Iraku? - zapytała po chwili milczenia Vaughan.

- Całkiem możliwe.

- Nie chcę tego oglądać. To mogą być hummery. To tylko samochody. Sam tak powiedziałeś. Skinął głową.

- To są zwykłe samochody. Ale nikt ich nie nazywa samochodami. A szczególnie nie ludzie, którzy ładowali ten kontener.

- Jeśli w ogóle jest z Iraku.

- Tak, jeśli.

- Nie chcę tego oglądać.

- Ale ja chcę.

- Musimy już stąd iść. Jest późno. Lub raczej wcześniej.

- To nie zajmie dużo czasu - odpowiedział. - I nie patrz, Jeśli nie chcesz.

Odeszła na bok i skryła się w ciemności. Przytrzymał latarkę w zębach, wyciągnął ręce do góry i przecisnął łom przez ucho kłódki. Policzył do trzech i z całej siły pociągnął za łom.

Bez powodzenia.

Ponieważ trzymał ręce nad głową, nie mógł przekazać całej swej siły dźwigni, którą stanowił łom. Oparł stopy o skrzynię, chwycił za długi bolec i podciągnął się, gdzie wreszcie mógł się zmierzyć z zadaniem twarzą w twarz. Wsunął łom w to samo miejsce i spróbował jeszcze raz.

Raz, dwa, trzy.

Bez powodzenia.

Utwardzona stal, walcowana na zimno, gruba i ciężka. Doskonała kłódka. Żałował, że nie kupił metrowego łomu albo półtorametrowego lewarka. Przez głowę przeszła mu myśl, by poszukać jakiegoś łańcucha i przyczepić go to tahoe. Kluczyki pewnie pozostawiono w stacyjce. Niestety, łańcuch pewnie pękłby, zanim rozwaliłaby się kłódka. Reacher zastanawiał się nad tym, narastała w nim frustracja. Po raz trzeci wsunął łom w ucho kłódki. Raz, dwa i na trzy naparł całym ciężarem ciała, zeskakując jednocześnie z platformy. Sto piętnaście kilogramów żywej wagi i dodatkowe szarpnięcie silnych ramion.

Kłódka puściła.

Reacher upadł na ziemię. Skręcone kawałki metalu uderzyły go w głowę i w plecy. Łom odbił się od krawędzi kontenera i spadł mu na stopę. Jack nie przejął się zbyt bólem. Wspiął się z powrotem na platformę i zerwał plastikową plombę. Odciągnął lewarki spinające i otworzył drzwi. Metal zazgrzytał i zachrzęścił. Reacher zaśwycił latarką i zajrzał do środka.

Samochody.

Przechły na morzu spowodowały, że auta przesunęły się na prawą burtę kontenera. Cztery samochody, załadowane jeden na drugim, dwa na dole i dwa na górze. Jakies obce marki, nieznanne modele. Zakurzone, pastelowy lakier wytarty od piasku pustyni.

Były potwornie zniszczone. Otwarte jak puszkę, zgniecione, rozdarte, wypatroszone i poskręcane. W bokach karoserii miary otwory wielkości przekroju słupów telefonicznych.

Na prostokątnych tablicach rejestracyjnych widniały eleganckie oryginalne cyfry arabskie, a na lekko kremowym tle - delikatne, pisane od tyłu haczyki i brzuszki. Reacher odwrócił się i krzyknął w mrok:

- Żadnych hummerów.

Usłyszał lekkie kroki i z ciemności wyłoniła się Vaughan. Reacher pochylił się, złapał ją za rękę i wciągnął do góry. Stała teraz obok niego i wiodła wzrokiem za snopem światła z latarki.

- Z Iraku? - zapytała.

- Cywilne samochody.

- Z samobójczych ataków?

- Samochody po samobójczych atakach wyglądają znacznie gorzej. W zasadzie to nic po nich nie zostaje.

- Więc to samochody partyzantów - zawyrokowała. - Może nie zatrzymali się do kontroli przy zaporach drogowych.

- A niby po co mieliby je tutaj przywozić?

- Nie wiem.

- Poza tym w blokadach drogowych używa się karabinów maszynowych. Te samochody oberwały czymś zupełnie innym. Popatrz na te zniszczenia.

- Co je spowodowało?

- Nie jestem pewien. Może ostrzał z działek? Jakiś spory kaliber. Albo pociski sterowane.

- Ziemia-ziemia, czy powietrze-ziemia?

- Myślę, że ziemia-ziemia. Sądząc po otworach wlotowych, trajektoria musiała być całkiem płaska.

- Czyli z artylerią rzucili się na samochody osobowe? - zdziwiła się Vaughan. - To dosyć ekstremalny sposób prowadzenia walki.
  - Właśnie - zgodził się Reacher. - O co w tym wszystkim chodzi?
- Zamknęli kontener. Reacher znalazł w piachu rozwaloną kłódkę i odrzucił daleko rozerwane części, licząc na to, że nikt nie zwróci na nie uwagi wśród walającego się wszędzie złomu. Poszli z powrotem pół kilometra do piramidy z beczek po oleju i zaczęli wspinać się na ogrodzenie. Okazało się to tak samo trudne jak za pierwszym razem. Konstrukcja płotu była przecież idealnie symetryczna. Ale udało się. Zeszli z drabiny na maskę crown victorii i zsunęli się na ziemię. Reacher złożył drabinę i rzucił na tylne siedzenie. Vaughan schowała teczkę z dokumentami Kearny Chemical pod dywanikiem bagażnika.
- Czy możemy jechać do domu dookoła? Nie chcę znowu jechać przez Rozpacz - zapytała.
  - Nie jedziemy jeszcze do domu - odparł Reacher.

56

Przejechali przez koleiny wyjeżdżone w ziemi przez tahoe, odnaleźli starą drogę z Rozpaczy i pojechali na zachód do trasy dojazdowej dla ciężarówek. Światła drogowe włączyli dopiero półtora kilometra dalej. Około czwartej nad ranem sześć kilometrów dalej minęli bazę żandarmerii. W strażnicy było dwóch żołnierzy. Pomarańczowe światło nocne oświetlało ich twarze od dołu. Vaughan nie zwolniła, ale Reacher i tak pomachał im ręką. Żołnierze nie odpowiedzieli na pozdrowienie.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Vaughan.
- Do miejsca, gdzie stara droga odbija w bok. Tam się zatrzymamy.
- Po co?
- Będziemy obserwować ruch. Chcę zweryfikować pewną teorię.
- Jaką teorię?
- Nie mogę ci teraz nic powiedzieć. Jeśli się mylę, to ośmieszę się w twoich oczach i nie będziesz już respektować mojego zdania. A ja lubię, gdy kobieta szanuje mnie od rana.

• • •

Trzydzieści minut później Vaughan zjechała z równej nawierzchni, zawróciła na rozwidleniu dróg i cofnęła się na pobocze.

Gdy wszędzie słońce, będą mieli widok na dwa kilometry w obie strony. Nie będą się ukrywać, ale też nie będą podejrzani. Fordy crown victorie codziennie i przez cały dzień obserwują strategiczne skrzyżowania i rozjazdy w całej Ameryce.

Opuścili szyby, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, pochylili fotele do tyłu i próbowali zasnąć. Miną dwie godziny, zanim cokolwiek da się zobaczyć, pomyślał Reacher.

• • •

Obudził się, gdy pierwsze promienie słońca padły na lewą stronę przedniej szyby samochodu. Vaughan nadal smacznie spała. Była niewysoka, więc mogła swobodnie przekręcić się na bok w swoim fotelu. Spała na boku, leżąc policzkiem na włochatym welurze oparcia. Miała podgięte kolana i dłonie wsunięte między uda.

Pierwsza ciężarówka, która ich minęła, jechała na wschód w kierunku Rozpaczy. To był ciągnik siodłowy z naczepą na tablicach z Nevady. Załadowany kłębowiskiem zardzewiałego złomu. Stare pralki, suszarki, ramy od rowerów, pogięte pręty i słupki ze znaków drogowych pokręconych od wypadków. Hamując silnikiem na łuku drogi, ciężarówka grzmiała głębokim basem, zmniejszając prędkość. Po chwili zostawiła po sobie tylko kłęby spalin i pył tańczący na drodze.

Dziesięć minut później przeleciała następna ciężarówka z prędkością stu na godzinę; identyczny zestaw siodłowy, z Montany, wypchany wrakami samochodów. Opony wyły głośno, co przebudziło Vaughan, która rozejrzała się dokoła i spytała Reachera:

- I jak się ma nasza teoria?

- Na razie nie ma niczego, co mogłoby ją potwierdzić, ale też nic jeszcze jej nie zaprzeczyło.
- Dzień dobry.
- Witaj.
- Długo spałeś?
- Wystarczająco.

Następną ciężarówką jadącą na zachód był pokraczny dziesięciokołowy pojazd wojskowy z dwoma facetami w szoferce; standardowa ciężarówka wojsk należących do NATO wyprodukowana w Oshkosh w Wisconsin. Tak piękna jak para startych i dziurawych dżinsów. Nie była mała, ale mniejsza od jadący wcześniej zestawów siodłowych. I wolniejsza. Łuk pokonała z prędkością osiemdziesięciu na godzinę.

- To dostawa do bazy żandarmerii - stwierdził Reacher. - Fasolka, naboje i bandaże, prawdopodobnie z Fortu Carson.
- Czy to coś pomaga?
- Żandarmerii na pewno. Przynajmniej fasolka się przydaje. Podejrzewam, że nie zużywają tu zbyt dużo amunicji ani zestawów pierwszej pomocy.
- Pytałam się, czy to pomaga twojej teorii?
- Nie.

Następna ciężarówka okazała się zestawem siodłowym jadącym na zachód z Rozpaczy. Platforma była wyładowana prętami stalowymi. Ciężki ładunek. Silnik ciągnika siodłowego wył pełną mocą. Dźwięk z rury wydechowej był o wiele głębszy, a spaliny kłębiły się w powietrzu.

- To jedna z tych czterech, które widzieliśmy w nocy - stwierdziła Vaughan.

Reacher skinął głową.

- Następna trójka będzie jechać tuż za tą. Właśnie zaczął się dzień pracy.
- Już pewnie wiedzą, że włamaliśmy się do kontenera.
- Wiedzą tylko tyle, że ktoś się włamał.
- Co z tym zrobią?
- Nic.

Na horyzoncie pojawiła się druga ciężarówka wyjeżdżająca z zakładu, potem trzecia. Zanim zobaczyli czwartą, przetoczyła się przed nimi ciężarówka jadąca w stronę zakładu. Z kontenerem. Z niebieskim kontenerem morskim China Lines. Po nacisku kół na asfalt i wyciu opon widać było, że jest ciężki.

Tablice z New Jersey.

- Wraki z pola walki - powiedziała Vaughan.

Reacher skinął głową i nic nie odpowiedział. Ciężarówka zniknęła w porannej mgiele. Minęła ich też czwarta ciężarówka Jadąca od strony fabryki. Kurz opadł i znowu zrobiło się spokojnie. Vaughan wyprostowała się i przeciągnęła. - Dobrze się czuję - rzekła. Cieszy mnie to.

- Chciałam, żebyś dowiedział się o Davidzie.
- Nie musisz mi nic wyjaśniać - odparł Reacher. Siedział skrecony w fotelu, obserwując drogę półtora kilometra dalej. Widział z daleka małe kształt rozmyte w mgiele nad drogą. Ciężarówka. Jeszcze daleko. Zabudowana ładownia skrzyniowa. Beżowa.
- Uważaj na nią - powiedział.

Ciężarówka pokonała dzielący ich dystans w jedną minutę i przejechała. Dwie osie, zwykła, kanciasta. Beżowa. Beż żadnego logo. Żadnych napisów na burtach. Na kanadyjskich tablicach, z Ontario.

- Mam przecucie - oświadczył Reacher - że zobaczymy tę ciężarówkę jadącą z powrotem za jakieś dziewięćdziesiąt minut.
- A dlaczego by nie? Rozładuje towar i wraca do domu.
- Rozładuje co?

- Cokolwiek wiecie.
- A co ma wieść?
- Złom.
- Skąd?
- Największym miastem w Ontario jest Toronto - odpowiedziała Vaughan. - Więc według wszelkiego prawdopodobieństwa jedzie właśnie z Toronto.
- To musi jechać szosą numer czterysta jeden w Kanadzie, potem autostradą międzystanową I dziewięćdziesiąt cztery wokół Detroit, dalej I siedemdziesiąt pięć, żeby wydostać się z Toledo i wreszcie I siedemdziesiąt dojeżdża tutaj. To kawał drogi.
- Stosunkowo.
- Szczególnie że w Kanadzie najpewniej są huty przerabiające złom. Wiem, że jest ich sporo wokół Detroit i w całej Indianie, która dla nich znajduje się o rzut kamieniem. Więc po jakie licha pchać się aż tak daleko?
- Bo zakład Thurmana specjalizuje się w przetwarzaniu złomu wojskowego. Sam tak powiedziałeś.
- Armia Kanady to trzech ludzi i pies. Swoje uzbrojenie będą trzymać do końca świata i jeszcze dłużej.
- A złom z pola walki? - zapytała Vaughan.
- Kanada nie walczy w Iraku. Mają więcej rozumu.
- Więc co wiozła ta ciężarówka?
- Podejrzewam, że nic.

• • •

Czekali. W tym czasie minęło ich mnóstwo ciężarówek w jedną i drugą stronę, ale nimi się nie interesowali. Zestawy siodłowe z Nebraski, Wyomingu, Utah, ze stanu Waszyngton i Kalifornii wyładowane karoseriami powypadkowych samochodów, belami zgniecionej stali i zardzewiałymi zbiornikami, które mogły być kotłami grzewczymi, częściami lokomotyw lub statków. Reacher lustrował je, gdy przejeżdżały, lecz potem odwracał wzrok, by skupić się na wschodniej części horyzontu i na zegarze w swojej głowie. Vaughan wyszła z samochodu i przyniosła z bagażnika teczkę, którą zabrali z biura działu zakupów. Wyjęła dokumenty, odwróciła je i ułożył równo na kolanach. Polizała kciuk i zaczęła je przeglądać. Najstarsze miały nieco poniżej siedmiu lat. Najpierw było to zamówienie na dwadzieścia tysięcy litrów trójchloroetyleny z firmy Kearny Chemical dla firmy Thurman Metals. Przedostatnie zamówienie było identyczne. Trzecie tak samo. Czwarte było datowane na kolejny rok.

- Sześćdziesiąt tysięcy litrów w pierwszym roku - podliczyła Vaughan. - Czy to dużo?
- Nie mam pojęcia - odparł Reacher. - Tylko laboratorium stanowe może być wyrocznią w tej sprawie.

W drugim roku dostaw TCE wielkości były te same. Sześćdziesiąt tysięcy litrów. W trzecim podskoczyły, bo zebrało się Pięć oddzielnych zamówień na łączną wielkość stu tysięcy litrów. Czyli nowa cysterna dowoziła TCE co siedemdziesiąt kilka dni. To był wzrost wykorzystania trójchloroetyleny o jakieś sześćdziesiąt siedem procent.

- To zbiega się z początkiem operacji wojennych. Dostawy Pierwszych wraków pojazdów wojskowych - stwierdziła Vaughan.

W czwartym roku utrzymano zużycie na poziomie stu tysięcy litrów.

W piątym tak samo.

- To rok służby Davida - oznajmiła Vaughan. - Jego hummer był pewnie wyplukany kilkoma litrami tego świństwa. Albo raczej to, co z niego zostało.

W szóstym roku ilości skoczyły w górę. Razem sześć zamówień. Łącznie sto dwadzieścia tysięcy litrów. W Iraku działo się coraz gorzej. Dwudziestoprocentowy wzrost zużycia. A w bieżącym roku chyba nawet tamten rekord zostanie pobity. W teście już leżało sześć kopii zamówień, a przecież do końca roku został jeszcze cały kwartał. Vaughan zatrzymała się na

chwile i zaczęła od nowa przeglądać papiery z bieżącego roku, strona po stronie.

- Zobacz, jedno z tych zamówień różni się od pozostałych - zauważyła.
  - Czym?
  - Nie jest na trójchloroetylen. I ilości nie są w litrach, tylko w tonach, i opiewają na coś, co nazywa się trójnitrotoluen. Thurman kupił dwadzieścia ton tych chemikaliów.
  - Kiedy?
  - Trzy miesiące temu. Może pomyliły im się teczki.
  - Kupił od firmy Kearny?
  - Tak.
  - Więc nie ma mowy o pomyłce.
  - A może to jakiś inny rodzaj środka odtłuszczającego?
  - Na pewno nie.
  - Znasz ten związek chemiczny?
  - On jest powszechnie znany. Wynaleziono go w Niemczech w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku jako żółty barwnik.
  - Nigdy o nim nie słyszałam. Nie lubię żółtego.
  - Kilka lat później zorientowano się, że ten związek rozpada się w reakcji egzotermicznej.
  - Co to znaczy?
  - Że po prostu wybucha. Vaughan milczała.
  - Trójchloroetylen jest nazywany w skrócie TCE - wyjaśniał Reacher. - A trójnitrotoluen to TNT.
  - Wiem, co to jest TNT.
  - Wszyscy to wiedzą.
  - Więc Thurman kupił dwadzieścia ton dynamitu? Po co?
  - Dynamit to coś trochę innego. To mączka drzewna nasączona nitrogliceryną, ukształtowana w laski i owinięta papierem. TNT jest specyficznym związkiem chemicznym o konsystencji żółtego ciała stałego. Jest bardziej stabilny, dlatego też bardziej przydatny.
  - Okay, ale po co on go tyle kupił?
  - Skąd mam wiedzieć? Może coś tym wysadza. TNT łatwo się topi i może być przez jakiś czas w płynnej postaci. Wlewa się TNT do różnych łusek i tak formowane są ładunki wybuchowe w pociskach i bombach. Może on wykorzystuje płynny TNT do wysadzania połączeń i spawów, których nie potrafi przeciąć? Chwalił mi się przecież swoimi nowoczesnymi technologiami.
  - Nigdy nie słyszałam tu żadnych eksplozji.
  - A jak miałaś słyszeć? Przecież mieszkasz ponad trzydzieści kilometrów od zakładu. I może te wybuchy są małe i kontrolowane.
  - Czy TNT w stanie płynnym może być rozpuszczalnikiem?
  - Tego nie wiem. Jest odczynnikiem chemicznym i to wszystko, co wiem na ten temat. Składa się z węgla, wodoru, azotu i tlenu. Ma jakiś strasznie skomplikowany wzór, pełno szóstek, trójek i dwójek.
- Vaughan jeszcze raz przekartkowała dokumenty, które już wcześniej dokładnie przestudiowała.
- No dobra. Wcześniej nigdy tego nie zamawiał - stwierdziła. - To była pierwsza dostawa.
- Reacher spojrzął przez przednią szybę samochodu. Zobaczył beżową skrzynię ciężarówki jadącej w ich kierunku. Była bliżej niż kilometr. Zdjął czerwonego koguta na kręconym kablu z deski rozdzielczej i trzymał go w ręce.
- Bądź gotowa - zakomenderował. - Zatrzymamy tę ciężarówkę.
  - Nie możemy. Nie mamy takiego prawa.
  - A skąd kierowca ma o tym wiedzieć? Przecież jest Kanadyjczykiem.

Vaughan była policjantką z małego, spokojnego miasteczka, ale fantastycznie sobie radziła z kontrolą drogową. Włączyła silnik, gdy ciężarówka znalazła się w odległości pół kilometra, i trzymając nogę na hamulcu, przesunęła dźwignię zmiany biegów w pozycję „Drive”. Pozwoliła ciężarówce minąć rozwidlenie i dopiero wtedy wyjechała ze starej drogi. Przez chwilę sunęła za ciężarówką w odległości stu metrów, żeby kierowca mógł ją dostrzec w lusterku wstecznym. Reacher opuścił szybę i wystawił koguta na dach. Vaughan kliknęła przełącznikiem i kogut zaczął mrugać czerwonym światłem. Kliknęła kolejnym przełącznikiem i syrena zagdakała dwa razy.

Przez pierwsze dziesięć sekund nic się nie wydarzyło.

Vaughan się uśmiechnęła.

- Chłopak myśli - powiedziała. - „Co, o mnie chodzi?”. Ciężarówka zaczęła zwalniać. Jej ładunek obciążył bardziej

przednią oś, co spowodowało lekkie pochylenie kabiny i ładowni do przodu. Vaughan podjechała pięćdziesiąt metrów bliżej i zjechała poza oś jezdni na lewy pas. Kierowca ciężarówki włączył prawy kierunkowskaz. Poturlał się jeszcze trochę do przodu, szukając miejsca, gdzie pobocze było trochę szersze, zjechał na bok i zahamował. Vaughan wyminęła ciężarówkę, skierowała się na prawy pas i zatrzymała się przed nią. Dwa samochody na pustkowiu, obok siebie, siedemdziesiąt kilometrów pustki z tyłu i znacznie więcej z przodu.

- Przeszukanie byłoby nielegalne - oświadczyła Vaughan.

- Wiem. Dlatego powiedz facetowi, żeby siedział na tyłku przez pięć minut. Pomachamy mu ręką na do widzenia, jak zrobimy swoje - odparł Reacher.

- A co zrobimy?

- Fotografie.

Vaughan wysiadła z samochodu i charakterystycznym dla gliniarzy krokiem podeszła do kabiny ciężarówki. Porozmawiała chwilę z kierowcą i wróciła.

- Wycofaj na pobocze i zaparkuj pod kątem prostym do drogi na osi ciężarówki. Musimy objąć całą ciężarówkę obiektywem kamery - wyjaśnił Reacher.

Vaughan rozejrzała się na wszystkie strony, zawróciła szerokim łukiem i tyłem wjechała na pobocze, parkując w taki sposób, by maska radiowozu wypadła dokładnie na środku boku ciężarówki. To była zwykła, tradycyjna ciężarówka. Krótki i gruby nos maski, kabina, prosta rama podwozia, na której osadzono zamkniętą skrzynię ładunkową z przetłaczanej blachy pomalowanej na beżowo, bez żadnych napisów.

- Włącz kamerę - poprosił Reacher.

Vaughan wpisała kilka poleceń na klawiaturze laptopa i na monitorze pojawił się obraz ciężarówki.

- A teraz obejrzyjmy to sobie w podczerwieni.

- Nie wiem, czy tryb nocny działa w dzień. - Mimo to stuknęła w kilka klawiszy i cały monitor rozświetlił się na biało. Żadnych szczegółów, nic.

- Obniż czułość - poradził Reacher.

Ponaciskała różne klawisze i monitor zrobił się najpierw zupełnie czarny, a potem rozświetlił się na upiorną zieleń. Vaughan pozmiała parametry w taki sposób, by nawierzchnia drogi i suchorośle w tle były ledwie widoczne i zlewały się w szarość. Dzięki temu ciężarówka mieniła się różnymi odcieniami zieleni. Maskę była ciepła, więc mogli dokładnie zobaczyć, w którym miejscu znajdował się silnik. Rura wydechowa stanowiła niezwykle wyrazistą linię na monitorze, a wydobywające się spaliny tworzyły zielone chmurki. W podczerwieni było widać, że tylny dyferencjał był gorący, a opony ciepłe. Kabina kierowcy też oglądała na miarę równomiernie ogrzaną.

Skrzynia ładunkowa była chłodna, ale tylko z tyłu. Już na długości trzech czwartych ku przodowi stawała się cieplejsza. Półtora metra od kabiny kierowcy błyszczała jasnością.

- Obniż czułość jeszcze bardziej - polecił Reacher. Vaughan znowu postukała w klawiaturę, aż koła zrobiły się szare i zwały się z podłożem. Nadal zmniejszała czułość do momentu, gdy wszystkie szarości zrobiły się czarne, a obraz uprościł się do pięciu oddzielnych elementów w zaledwie dwóch odcieniach zieleni. Silnik - gorący. Rura wydechowa - gorąca. Dyferencjał - gorący. Kabina - ciepła. Pierwsze półtora metra ładowni - ciepłe.

- Przypomina mi to ogrodzenie wokół zakładu. Ciepłejsze na jednym końcu, a chłodniejsze na drugim - oświadczyła Vaughan.

Reacher skinął głową. Wychylił głowę przez okno i pomachał kierowcy, dając znak, że może odjechać, i zdjął koguta z dachu. Ciężarówka ruszyła z pobocza, wjechała na pas jezdni i powoli zaczęła się rozpędzać, drugi, trzeci i czwarty bieg. Monitor laptopa rozświetlił się żywiołową zieloną chmurą uchodzącą z rury wydechowej przyspieszającego samochodu. Po chwili chmura schłodziła się, rozplynęła i zniknęła z ekranu.

- I co takiego widzieliśmy? - zapytała Vaughan.

- Ciężarówkę jadącą do Kanady.

- I to wszystko?

- Widziałas to samo co ja.

- Czy to fragment twojej teorii?

- Tak naprawdę to cała teoria.

- I nic mi nie powiesz?

- Później.

- Kiedy później?

- Gdy ciężarówka znajdzie się bezpiecznie za granicą.

- A dlaczego dopiero wtedy?

- Bo jesteś gliniarzem.

- Aha, teraz to ty chcesz mnie trzymać z dala od kłopotów?

- Chcę wszystkich trzymać z dala od kłopotów.

Zawrócili do rozwidlenia starej drogi. Zjechali z nowej nawierzchni i jechali dalej pomiędzy dwoma opustoszałymi farmami, aż do okręgu Halfway. Na miejscu byli o dziesiątej rano. Najpierw wpadli do kafeterii na późne śniadanie. Drugim przystankiem był hotel Holiday Inn, gdzie wynajęli zwykły, pomalowany na beżowo pokój. Najpierw się wykapali, potem kochali, a na końcu poszli spać. Obudzili się o czwartej po południu i zrobili dokładnie to samo, ale w odwrotnej kolejności, jakby film wyświetlano od końca. Czyli jeszcze raz się kochali, jeszcze raz wzięli prysznic, wymeldowali się z hotelu i poszli do kafeterii na wczesny obiad. O piątej trzydzieści ruszyli w drogę, na wschód, z powrotem do Rozpaczy.

• • •

Vaughan prowadziła. Zachodzące słońce świeciło w plecy i odbijało się w lusterku wstecznym. Promienie rzucały świecący prostokąt na jej twarz. Na szosie dojazdowej do zakładu nadal panował dość wyteżony ruch ciężarówek w obie strony. Zakład metalurgiczny przez cały czas wsysał dostawy złomu i wypluwał czysty metal. Reacher przyglądał się tablicom rejestracyjnym ciężarówek. Widział przedstawicieli wszystkich stanów graniczących z Kolorado, ale także kontener na tablicach z New Jersey jadący z zakładu, prawdopodobnie pusty, i ciągnik siodłowy z naczepą platformową z Idaho, jęczący pod ciężarem zardzewiałych blach.

Tablice rejestracyjne, pomyślał Reacher.

- Mówiłem ci, że byłem w Zatoce Perskiej podczas pierwszej wojny, prawda?

Vaughan skinęła twierdząco głową.

- Nosileś ten sam kamuflaż bojowy przez osiem miesięcy w upale. Wspaniała perspektywa. Ja źle się czułam, wkładając na siebie te same rzeczy dziś po południu.

- Większość czasu spędzaliśmy w Arabii Saudyjskiej i Kuwejcie. Ale też robiliśmy tajne wypadki do Iraku.



- I co?
- Pamiętam, że ich tablice rejestracyjne były srebrne. Ale te, które widzieliśmy wczoraj w nocy w kontenerze, miły lekko kremowy kolor.
- Może zmienili tablice od tamtego czasu?
- Może zmienili, a może nie. Myślę, że mieli inne zmartwienia niż zmienianie koloru tła tablic rejestracyjnych.
- Sądzisz, że to nie są samochody z Iraku?
- Sądzę, że to w Iranie używane są kremowe tablice.
- Więc twierdzisz, że walczymy w Iranie i nikt o tym nie wie? To niemożliwe.
- Walczyliśmy w Kambodży i nikt o tym nic nie wiedział. Bardziej prawdopodobne jednak jest że grupka Irańczyków ruszyła na zachód, żeby dołączyć do imprezki i pobawić się bronią. Może nawet codziennie dojeżdżali w taki sposób do swojej „pracy”. Może po prostu tak są zatrzymywani na granicy. Ostrzałem artyleryjskim.
- To bardzo niebezpieczne.
- Dla pasażerów? Oczywiście.
- Dla całego świata - odparła Vaughan. - Przecież nie chcemy już więcej kłopotów.

• • •

Około szóstej piętnaście minęli bazę żandarmerii wojskowej. Było tu nadal czysto, porządkie, cicho; sześć zaparkowanych hummerów, czterech żandarmów w pawilonie strażniczym. Wszystko w jak najlepszym porządku. I ostatnio nawet uzupełniono zapasy.

Tylko po co?

Ostatnie osiem kilometrów przebyli wolniej, by dojechać na miejsce o odpowiedniej porze. Ruch na drodze zamarł. Zakład był zamknięty. Jupitery pogasły. Ostatni maruderzy zmierzali już na wschód do swoich domów. Tahoe były zaparkowane w środku na noc. Vaughan skręciła w lewo na starą drogę do Rozpaczy i odnalazła koleiny w zapadającym mroku. Pojechała nimi tak jak poprzedniej nocy, przez gardziel wielkiej ósemki i dookoła rezydencji do miejsca, gdzie znajdowała się stodoła-hangar. Zaparkowała i już chciała wyciągnąć kluczyk, ale Reacher położył rękę na jej nadgarstku.

- Tę część zadania muszę wykonać sam - powiedział.
- Dlaczego?
- Bo to musi być załatwione w cztery oczy. Będę dążył do konfrontacji. I cały problem tkwi w tym, że ty tu mieszkasz, a ja jestem tylko chwilowo. Poza tym jesteś gliną z sąsiedniego miasteczka i masz przed sobą jeszcze wiele lat służby. Nie możesz tak po prostu włączyć na czyjś teren, włamywać się i szarogęsić po okolicy.
- Już to zrobiłam.
- Ale nikt o tym nie wie. Czyli w zasadzie jest okay. Ale tym razem nie będzie okay.
- Czyli wyłączasz mnie ze sprawy?
- Czekaj na drodze. Jak będzie jakiś hałas, jedź do domu, a ja wrócę na własną rękę.

Nie wziął ze sobą drabiny, łomu ani latarki. Wszystko zostawił w samochodzie. Ale miał przy sobie zdobyczne noże sprężynowe. Po jednym w każdej kieszeni spodni. Tak na wszelki wypadek.

Przeszedł pięćdziesiąt metrów przez suchorośle i wspiął się na kamienny mur.

Było jeszcze zbyt jasno, by bawić się w chowanego. Reacher po prostu oparł się o boczną ścianę stodoły, blisko przedniego narożnika, po niewidocznej z domu stronie. Czuł, że samolot jest gotowy do lotu. Zimny metal, świeżo nalane paliwo. Zegar w głowie Reachera wskazał, że jest za minutę siódma wieczorem.

Minutę po siódmej usłyszał kroki.

Długie, posuwiste. Olbrzym z zakładu zaczął krzątać się po stodole. Zapaliły się lampy łukowe. Prostokątny snop światła przetykany cieniem skrzydeł i śmigła wypadł na zewnątrz.

Potem przez dwie minuty nic się nie wydarzyło.

Następnie kolejne kroki. Wolniejsze. Krótsze. Starszy mężczyzna w dobrej jakości butach, otyły, walczący z reumatycznym bólem w stawach.

Reacher głęboko odetchnął, wysunął się zza rogu stodoły i wyszedł na oświetlony teren.

Wielkolud z zakładu stał za skrzydłem pipera, czekając na znak, jak jakiś sługa albo lokaj. Thurman szedł po ścieżce wiodącej z domu. Miał na sobie wełniany garnitur, białą koszulę i niebieski krawat.

Niósł małe tekturowe pudełko.

Karton był wielkości sześciopaka piwa. Nie miał żadnych napisów. Zwykły karton. Górne zakładki były założone jedna na drugą. Wydawał się lekki. Thurman niósł go w dwóch rękach przed sobą, z godnością, lecz bez wysiłku. Na widok Reachera stanął jak wryty, ale nic nie powiedział. Reacher widział, jak próbuje coś z siebie wykrztusić, jednak w końcu się poddał. Jack wypełnił ciszę.

- Witajcie, panowie.
- Mówił pan, że wyjedzie - odpowiedział Thurman.
- Zmieniłem decyzję.
- Wkroczył pan na teren prywatny.
- Mówi się trudno.
- Proszę natychmiast opuścić moją posiadłość.
- Już kiedyś słyszałem ten tekst.
- Już kiedyś tego żądałem i nadal tego żądam.
- Pójdę sobie, jak tylko dowiem się, co jest w tym kartoniku.
- A dlaczego chce pan to wiedzieć?
- Bo jestem ciekaw, jakie to rzeczy należące do Wuja Sama szmugluje pan stąd co noc.

Wielkolud z zakładu precyzyjnie przesunął się obok końca skrzydła pipera, wyszedł ze stodoły i stanął między Thurmanem a Reacherem, bliżej tego pierwszego. Dwóch na jednego, jasne jak słońce. Thurman spojrział zza pleców goliata prosto w oczy Reachera.

- Przeszkadza mi pan.

Reachera uderzyły te słowa, niespodziewany dobór czasownika. Spodziewał się bardziej słów: „wpychać się, wtargnąć jak intruz, wsadzać nos w nie swoje sprawy”.

- W czym panu przeszkadzam? - zapytał.
- Czy mam go stąd wyrzucić? - zwrócił się olbrzym do swojego pana.

Reacher zauważył, że Thurman zastanawia się nad odpowiedzią. Na twarzy odmalowało się wahanie, jakby jakaś odległa kalkulacja, która przestała nawet dotyczyć już dwuminutowej przepychanki słownej przed hangarem samolotu. Jakby grał w jakąś rozciągniętą w czasie grę i obmyślał osiem ruchów do Przodu.

- Co jest w kartonie? - powtórnie spytał Reacher.
- Czy mam go stąd wyrzucić? - nalegał olbrzym.
- Nie. Niech zostanie - odpowiedział Thurman.
- Co jest w pudełku? - zapytał znowu Jack.
- To nie jest własność Wuja Sama. To należy do Boga.
- To Bóg dostarcza panu metal?
- To nie jest metal.

Po chwili milczenia Thurman obszedł swojego podwładnego, nadal z godnością trzymał pudełko oburącz przed sobą, jak mędrzec niosący upominek. Przyklęknął i położył je u stóp Reachera. Ten spojrział w dół. Teoretycznie pudełko mogło być miną pułapką albo mógłby oberwać w głowę, gdy będzie się po nie schylał. Lecz żadna z tych ewentualności nie wydawała się prawdopodobna. Instruktorzy Reachera powtarzali na szkoleniach: „Bądź sceptyczny, ale nie za bardzo sceptyczny”. Za duży poziom sceptycyzmu mógł prowadzić do paranoi i paraliżu.

Reacher uklęknął koło pudełka.

Rozchylił zakładki.

Podniósł je.

Karton był wyłożony zgniecionymi gazetami, a wśród nich, na samym środku leżał plastikowy słoiczek. Zwykły słoiczek używany w szpitalach i przychodniach, sterylny, niemalże przezroczysty, z zakręcanym wieczkiem. Taki słoik jak na próbki moczu albo innych płynów ustrojowych. Reacher widział wiele takich słoików w swoim życiu.

Wypełniony do ćwierci pojemności czarnym proszkiem.

Proszek był bardziej ziarnisty od talku, ale delikatniejszy od kryształków soli.

- Co to jest? - zapytał Reacher.

- Prochy - odpowiedział Thurman.

- Skąd?

- Proszę ze mną polecieć i sam pan zobaczy.

- Polecieć z panem?

- Tak, teraz.

- Mówi pan poważnie? Thurman skinął głową.

- Nie mam nic do ukrycia. I jestem cierpliwym człowiekiem. Nie mam nawet nic przeciwko ciąglemu udowadnianiu swojej niewinności.

Wielkolud pomógł swojemu szefowi wspiąć się na skrzydło i obserwował, jak wciska się przez małe drzwi do samolotu.

Wtedy podał mu kartonik. Thurman położył go na tylnym siedzeniu. Wielki facet odsunął się do tyłu, by Reacher sam wdrapał się na skrzydło. Zgiął się wpół i wcisnął się jakoś na siedzenie drugiego pilota. Zatrzasnął za sobą drzwi, umościł się w miarę wygodnie jak na swój wzrost i posturę i zapiął pasy. Thurman też zapiął pasy i włączył kilka przełączników. Rozświeciły się wskaźniki, pompy paliwa zaczęły działać, a cały samolot zaczął szumieć pod wpływem uruchomionych podzespołów. Thurman nacisnął rozrusznik silnika, łopaty śmigła przekreśliły się o ćwierć obrotu i silnik zaskoczył, co nappełniło kabinę głośnym hałasem i wściekłymi wibracjami. Mężczyzna zwolnił hamulce, włączył ciąg i samolot zaczął kołować. Niepewnie bujając się na prawo i lewo, wytoczył się z hangaru. Kurz wzbijał się w powietrze ze wszystkich stron. Samolot toczył się po drodze dojazdowej do pasa startowego, śmigła obracały się szybko. Reacher obserwował ręce Thurmana. Kontrolował przyrządy i drążek sterowy w taki sam sposób, jak starsi ludzie kierują samochodem - był rozluźniony, wygodnie oparty, pewny swoich ruchów, automatycznie kontrolujący przyrządy krótkimi ruchami wynikającymi z wieloletniej rutyny.

Droga kołowania dwukrotnie skręcała przed północnym końcem pasa startowego, na którym zapalone już były światła. Thurman wprowadził samolot na środek pasa, włączył pełen ciąg, samolot zaczął się rozpędzać i wibracje w kabinie ustawały. Reacher obejrzał się za siebie i zobaczył, że karton na tylnym siedzeniu przesunął się i zatrzymał na oparciu fotela. Spojrzał do przodu i obserwował oświetloną, ubitą ziemię pasa startowego i ciemność nieba w górze. Nagle samolot zrobił się jakby lekki, zadarł nos do góry i oderwał się od ziemi. Wspinał się po nocnym niebie na odpowiedni pułap i wszedł w skręt. Reacher wyjrzał przez okno i zobaczył, jak najpierw gasną światła pasa startowego, a potem hangaru. Bez nich niewiele już dało się zobaczyć na ziemi. Ledwie można było dostrzec błyszczące ogrodzenie zakładu metalurgicznego.

Samolot wznosił się jeszcze przez minutę, po czym wyrównał nagle lot, aż siła bezwładności pchnęła Reachera do przodu. ^Pojrzał na tablicę rozdzielczą i dostrzegł na wysokościomierzu, że lecieli na pułapie sześciuset metrów. Prędkość lotu wynosiła nieco ponad sto dwadzieścia węzłów. Kompas wskazywał południowo-wschodni azymut. Poziom paliwa przekraczał połowę zbiornika. Wyważenie samolotu było odpowiednie. Wskaźnik sztucznego horyzontu był w poziomie. Na desce świeciło się mnóstwo zielonych lampek, żadnej czerwonej.

Thurman zauważył, że Reacher przygląda się wskaźnikom.

- Boi się pan latania, panie Reacher? - zapytał.

- Nie - odpowiedział krótko.

Silnik pracował głośno, a jego wibracje przenoszące się na kadłub powodowały drżenie i brzęczenie różnych drobnych elementów samolotu. Wiatr świstał, załamując się na krawędziach i w szczelinach. Piper przypominał Reacherowi stare samochody używane jako taksówki na podmiejskich stacjach kolejowych. Wysłużone, terkoczące, skrzeczące na zawieszaniu, ale gotowe pokonać każdy dystans. Jak się uda.

- Dokąd lecimy? - zapytał.

- Zobacz pan.

Reacher obserwował kompas. Igła wskazywała kierunek pomiędzy południem a wschodem. Pod kompasem był ciekłokrystaliczny licznik wyświetlający dwie wielkości liczbowe - odczyt długości i szerokości geograficznej przez GPS. Znajdowali się poniżej czterdziestego równoleżnika i trochę na zachód od setnego stopnia długości geograficznej zachodniej. Obydwie liczby powoli, stopniowo zmniejszały swoje wartości. Lecieli na południowy wschód z umiarkowaną prędkością. Reacher wywołał mapy ze swojej pamięci. Przed sobą mieli niezamieszany teren, narożnik Kolorado, narożnik Kansas i rączkę patelni Oklahomy. Kompas przekreślił się trochę bardziej na południe i Reacher domyślił się, że Thurman omijał przestrzeń powietrzną wokół Colorado Springs. Miasto sił powietrznych, z myśliwcami zawsze gotowymi do interwencji w powietrzu. Lepiej trzymać się od nich z daleka.

Thurman utrzymywał wysokość sześciuset metrów i prędkość stu dwudziestu pięciu węzłów, a kompas ciągle wskazywał kierunek odrobinę bardziej na południe od południowo-wschodniego. Reacher naniósł te odczyty na swoje mapy w wyobraźni i wyliczył, że jeśli teraz nie wylądują albo nie zmienią kursu, to opuszczą Kolorado lekko na lewo od prawego dolnego narożnika stanu. Zegar na tablicy przyrządów wskazywał siedemnaście po siódmej wieczorem. Spieszył się o dwie minuty. Jack pomyślał o Vaughan, samotnie siedzącej w samochodzie. Na pewno słyszała odlot samolotu. I pewnie zastanawiała się, dlaczego Reacher tak długo nie wraca.

- Włamał się pan wczoraj wieczorem do kontenera - zaczął Thurman.

- Naprawdę?

- Jest to motywowane podejrzenie. A kto inny mógłby to zrobić?

Reacher milczał.

- Widział pan samochody - ciągnął Thurman.

- Naprawdę?

- Przypuśćmy jak inteligentni ludzie, że jednak tak.

- Po co je do pana zwożą?

- Istnieją pewne rzeczy, które rząd pragnie ukryć ze względów politycznych.

- Co pan robi z tymi samochodami?

- To samo co robię z wrakami samochodów rozbitych na siedemdziesiątce. Poddawane są recyklingowi. Stal to wspaniały materiał, panie Reacher. Krąży w przyrodzie. Peugeoty i toyoty z Zatoki może kiedyś były fordami i chevroletami z Detroit, a może kiedyś jeszcze staną się rolls-royce'ami z Anglii albo holdenami z Australii. Albo rowerami, albo lodówkami. Część stali jest oczywiście świeżo wytopiona, ale jest jej zadziwiająco niewiele. Recykling to interes na długie lata.

- I gwarantowane zyski.

- Naturalnie.

- To dlaczego nie kupi pan sobie lepszego samolotu?

- Ten się panu nie podoba?

- Nie bardzo - odparł Reacher.

Lecieli dalej. Kompas cały czas wskazywał nieco na południe od południowego wschodu. Pudełko spokojnie leżało na tylnym siedzeniu. Za oknami była tylko ciemność, przerywana

od czasu do czasu niewielkimi skupiskami żółtych świateł poniżej. Wioski, i farmy, stacje benzynowe. W pewnym momencie Reacher zobaczył jaśniejsze światła daleko po lewej i po prawej. Pewnie Lamar i La Junta. Niewielkie miasta, ale ciemność i pustka dookoła sprawiały, że wydawały się duże. Czasem można było nawet dostrzec samochody na drogach z małutkimi rożkami świateł drogowych przed nimi.

- A jak się miewa Underwood? Ten zastępca? - zapytał Reacher.

Thurman milczał przez moment.

- Umarł - powiedział po chwili.

- W szpitalu?

- Nie zdążyliśmy go tam odwieźć.

- Czy będzie robiona sekcja zwłok?

- Nie ma najbliższych krewnych, którzy mogliby zażądać sekcji.

- Czy dzwonił pan po coronera?

- Nie było takiej potrzeby. Był stary, zachorował i umarł.

- Miał najwyżej ze czterdzieści lat.

- Tyle najwyraźniej wystarczy, żeby umrzeć na jakąś chorobę. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. To i tak czeka nas wszystkich.

- Nie zmartwił się pan wcale jego śmiercią.

- Dobry chrześcijanin nie musi obawiać się śmierci. A ja jestem właścicielem tego miasta, panie Reacher. Widzę narodziny i śmierć przez cały czas. Jedne drzwi się otwierają, inne zamykają.

Lecieli dalej, ciągle z tą samą prędkością, przecinając mrok, odrobinę na południe od południowego wschodu. Thurman odchylił się do tyłu, brzuch oddzielał klatkę piersiową od drążka sterowego, ręce trzymał nisko. Silnik pracował na obrotach w średnim zakresie, a wibracje powodowały drżenie całego samolotu wzmacniane wahaniem pułapu lotu ze względu na turbulencje. Liczba wskazująca szerokość geograficzną cały czas powoli opadała, a liczba określająca długość geograficzną opadała nieco wolniej. Reacher obliczył, że nie będą lądowali w Kolorado. Nie było tu zbyt wielu lądowisk. Tylko pastwiska. Domyślił się, że lecą do Teksasu lub Oklahomy.

Lecieli dalej. Powietrze miało nierówną gęstość, więc zaczęły się turbulencje. Rozrzedzone powietrze powodowało nagłe opadanie, a zagęszczone unosiło ich. Na dodatek nagłe podmuchy wiatru rzucały samolotem na boki. W dużym, pasażerskim boeingu nie byłoby czuć żadnych wibracji ani spazmatycznego drżenia skrzydeł czy też nagłych rzutów samolotem do przodu. W tym samolociku pasażer czuł się jak kulka w automacie do gry we flippery, złapana pomiędzy dwa odbijające zderzaki. A przecież na zewnątrz nie było burzy ani deszczu. Ani błyskawic. Ani piorunów. Tylko zwykłe warstwy cieplejszego i chłodniejszego powietrza unoszące się gigantycznymi falami po zapadnięciu zmroku nad równinami, niewidoczne, gęstniejące, rozrzedzające się, tworzące niemalże ściany zbitych cząsteczek albo prawie pustkę próżni. Thurman trzymał drążek sterowy luźno między palcami i pozwalał samolotowi wierzgać na boki i nurkować raptownie. Reacher poprawił się w fotelu i napiął pasy bezpieczeństwa.

- Jednak boi się pan latać - stwierdził Thurman.

- Nie mam nic przeciwko lataniu, ale rozbijanie się to już zupełnie inna historia.

- To tylko stary żart.

- Nie bez powodu.

Thurman zaczął szarpać za drążek i uderzać w ster kierunku. Samolot zaczął się unosić, raptownie opadać, rzucać z boku na bok. Początkowo Reacher myślał, że Thurman stara się znaleźć spokojniejszą warstwę powietrza, dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że celowo pogarsza warunki lotu. Nurkował, gdy samolot przelatywał przez prądy zstępujące, i wznosił ostro, gdy maszynę podnosiły prądy wstępujące. Zwiększał przechyły wraz z

uderzeniami bocznego wiatru, jakby to były szerokie sierpowe ciosy. Samolotem rzucało po całym niebie, jakby był nieznaczącym śmieciem w powietrzu.

- To właśnie dlatego musi pan uporządkować swoje życie. Koniec może nastąpić w każdej chwili. Może nawet wcześniej, niż się pan tego spodziewa - odezwał się Thurman.

Reacher milczał.

- Mógłbym już teraz skończyć pana żywot. Wystarczyłoby zrobić zwrot przez skrzydło, nie wyjść ze ślizgu i nurkować do samego końca. Spadając z sześciuset metrów, uderzylibyśmy w ziemię z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Pierwsze odpadłyby skrzydła. A krater po uderzeniu byłby głęboki na trzy metry.

- No to śmiało - odparł Reacher.

- Mówi pan serio?

- Wyzywam pana.

Prąd wstępujący uderzył w skrzydła i samolot się uniósł. Po chwili przyszła fala prądu zstępującego, siła nośna pod skrzydłami spadła do wartości ujemnych i samolot zaczął opadać. Thurman opuścił nos pipera i dodał mocy; silnik zawył i maszyna wbiła się w czterdziestopięciostopniowy lot nurkowy. Sztuczny horyzont na tablicy przyrządów rozświetlił się na czerwono i włączyła się syrena alarmowa, którą ledwie można było usłyszeć wśród wycia silnika i łoskotu powietrza omiatającego samolot. Wtedy Thurman wyprowadził samolot z lotu nurkowego i poderwał nos do góry. Piper zawył, rama kadłuba zatrzeszczała, a główne dźwigiary skrzydła mocno się naprężyły. Samolot wyszedł do lotu poziomego i natychmiast zrobiło się nieporównywalnie cicho w kabinie.

- Tchórz - stwierdził Reacher.

- Nie mam się czego bać - odpowiedział Thurman.

- To dlaczego się pan wycofał?

- Gdy umrę, to i tak pójdę do lepszego miejsca.

- A ja myślałem, że to Wszehmocny podejmuje takie decyzje, a nie sam zainteresowany.

- Jestem Jego wiernym sługą.

- No to jazda. Niech pan udaje się do tego lepszego miejsca. Teraz. Wyzywam pana.

Thurman nic nie odpowiedział. Lecieli dalej prosto do celu. Turbulencje przycichały. Pułap sześćset metrów, prędkość sto dwadzieścia pięć węzłów, kierunek na południe od południowego wschodu.

- Tchórz - powtórzył Reacher. - Pozorant.

- Bóg chce, żebym dokończył dzieła.

- Co? I to on powstrzymał pana dwie minuty temu?

- Pan jest chyba ateistą.

- Wszyscy jesteśmy ateistami. Przecież nie wierzy pan w Zeusa czy Thora ani w Neptuna, Cezara Augusta, Marsa, Wenus, ani w boga słońca Ra. Odrzuca pan tysiące bogów. To po co się przejmować kimś, kto odrzuca tysiąc i jednego?

Thurman nie odpowiedział.

- Tylko proszę to zapamiętać: to pan się bał śmierci, nie ja.

- To była tylko taka mała męska rozrywka. Turbulencje zawsze występują w tym miejscu. Tak tu jest co noc. To takie urozmaicenie podczas lotu nad niezamieszkanym terenem.

• • •

Lecieli dalej. Jeszcze dwadzieścia minut. Turbulencje się skończyły, powietrze było spokojne. Reacher zamknął oczy. Dopiero o pełnej godzinie i po piętnastu minutach Thurman poruszył się w fotelu. Reacher otworzył oczy. Thurman przełączył kilka włączników, uruchomił radio, przytrzymał drążek sterowy między kolanami i założył słuchawki na uszy. Słuchawki miały zintegrowany mikrofon przymocowany z lewej strony. Thurman przekręcił mikrofon i podsunął pod usta.

- To ja, podchodzę do lądowania.

Reacher usłyszał jakąś przytłumioną, chrzęszczącą odpowiedź. W oddali, nisko pod samolotem, rozbłysły światła. Można było sądzić, że to czerwone i białe światła pasa startowego, ale odległość była tak duża, że na razie wydawały się zaledwie zlepionym różowym punkcikiem. Thurman poruszył drążkiem sterowym i zmniejszył ciąg. Samolot zaczął powoli schodzić z pułapu. Niezbyt delikatnie, ponieważ był za mały i za lekki na finezję. Drgał, opadał nagle, wyrównywał lot i znowu opadał. W płaszczyźnie pionowej zachowywał się nerwowo, a w poziomie wręcz rzucał się na boki. Różowy punkt skakał poniżej i ciągle się zbliżał, aż w końcu stał się dwoma liniami, jedną czerwoną, a druga białą. Wydawały się dosyć krótkie. Samolot kiwał się w powietrzu i zataczał na boki. Ostatecznie zszedł nisko i wyrównał lot. Światła lądowiska pospieszyły mu na spotkanie i zaczęły uciekać bokami, po lewej i prawej. Przez sekundę Reacher myślał, że Thurman za późno wyprostował maszynę z lewego przechyłu, ale właśnie wtedy koła dotknęły ziemi, piper odbił się raz i usiadł. Thurman odłączył ciąg i samolot toczył się powoli, choć był dopiero w połowie pasa. Dźwięk silnika zmienił się na głębokie bulgotanie, powolne kołowanie nabrało wreszcie tempa, Thurman odbił w lewo, zjechał z pasa i przejechał jeszcze sto metrów po pustej płycie lotniska. Reacher dostrzegł niedaleko jakąś grupę budynków z cegły. Zobaczył też zbliżający się samochód.

Hummer.

Pomalowany w barwy ochronne.

Stanął sześć metrów od pipera. Otworzyły się drzwi i wyszło z niego dwóch mężczyzn.

W mundurach polowych z kamuflażem w plamy typu „wood-land”.

Żołnierze.

59

Reacher siedział jeszcze przez moment w nagłej ciszy z wibrującym szumem w uszach, po czym otworzył drzwi pipera i wyszedł na skrzydło. Thurman podał mu tekturowe pudełko z tylnego siedzenia. Reacher wziął je w jedną rękę i ześlizgnął się na ziemię. Podeszło do nich dwóch żołnierzy, stanęło na baczność i zaszalutowało, stojąc w postawie oczekującej, jak podczas jakiejś ceremonii. Thurman wyszedł z samolotu za Reacherem i wziął z jego rąk pudełko. Jeden z żołnierzy wystąpił do przodu. Thurman skłonił lekko głowę i przekazał pakunek. Żołnierz także skłonił lekko głowę, wykonał w tył zwrot i skierował się wolnym krokiem marszowym do hummera. Jego partner pomaszerował za nim. Thurman poszedł za żołnierzem, a Reacher za Thurmanem.

Żołnierze schowali kartonik w skrzyni bagażowej i wsiedli na przednie siedzenia hummera. Thurman i Reacher zajęli tylne miejsca. Wielki samochód, małe siedzenia odgrodzone szerokim tunelem wału napędowego. Wysokoprężny silnik. Samochód wykręcił ciasno na płycie lotniska i skierował się do samotnie stojącego budynku w otoczeniu zieleni. W dwóch oknach na Parterze były zapalone światła. Hummer zaparkował, żołnierze wyjęli pudełko ze skrzyni bagażowej i wolnym marszem udali się do budynku. Minutę później wyszli bez kartonu.

- Sprawa załatwiona. Przynajmniej na dziś - stwierdził Thurman.

- Co było w słoiku? - zapytał Reacher.

- Ludzie. Mężczyźni, może kobiety. Zeskrobujemy ich z powierzchni metalu. Jeśli samochód się palił, to tylko tyle z nich zostaje. Popiół wżarty w stal. Zeskrobujemy go iienne porcje ładujemy do słoików. To jedyne, co możemy dla nich zrobić, żeby zapewnić im jakikolwiek pochówek.

- A gdzie teraz jesteście?

- W Fort Shaw w Oklahomie. W „rączce patelni”. Tutaj zajmują się takimi pozostałościami po ludziach. Poza tym również innymi rzeczami, oczywiście. Współpracują z laboratorium identyfikacji zwłok na Hawajach.

- Pan tu przylatuje codziennie?  
- Tak często, jak jest to konieczne. A niestety najczęściej codziennie, co jest dla mnie smutne.

- I co dalej?

- Częstość mnie obiadem i tankują samolot.

Żołnierze wsiedli do kabiny i hummer ruszył. Przejechali jakieś sto metrów do głównego skupiska budynków. Baza z lat pięćdziesiątych, jedna z tysięcy powstałych na całym świecie. Cegła, zielona farba, pomalowane na biało krawężniki, pozamiatana nawierzchnia dróg. Reacher nigdy tu nie był. Nawet nie słyszał o tej bazie. Hummer zaparkował przy bocznym drzwiach do budynku. Wisiała na nich tabliczka informująca, że prowadzą do klubu oficerskiego.

- Nie zapraszam pana ze sobą na obiad. Przygotowali tylko jedno nakrycie i nie chcę ich krępować. - wyznał Thurman.

Reacher skinął głową ze zrozumieniem. Wiedział, jak znaleźć pożywienie w bazie wojskowej. Prawdopodobnie nawet lepsze niż to, które Thurman zje w klubie oficerskim.

- Dam sobie radę - powiedział. - Dzięki za troskę. Thurman wysiadł z samochodu i zniknął za drzwiami kantyny oficerskiej.

Żołnierze na przednich siedzeniach hummera wykręcali głowy z zakłopotaniem, nie wiedząc za bardzo, co mają dalej robić. Byli starszymi szeregowymi, prawdopodobnie odbywali służbę tylko w Stanach, chyba że spędzili kilka miesięcy w Niemczech, robiąc to samo. Z pewnością nie byli w Korei. Ani na pustyni-Zupełnie na to nie wyglądali.

- Pamiętacie swoje czasy pampersów, jak mieliście po dwa lata? - zapytał ich Reacher.

- Nie bardzo, sir - odpowiedział kierowca.

- Właśnie wtedy byłem majorem żandarmerii wojskowej. Więc teraz przejdę się kawałek i nie musicie już się o mnie martwić. A jeśli chcielibyście się o mnie martwić, to znajdę komendanta bazy, pogadam sobie z nim jak oficer z oficerem i on mi na to pozwoli, a wy będziecie wyglądać głupio. No i co o tym myślicie?

Żołnierz nie był ówkiem. Ani totalnym głupolem.

- Sir, a w jakiej jednostce i gdzie pan służył? - zapytał.

- W Sto Dziesiątej Jednostce Żandarmerii Polowej. Kwatera główna była w Rock Creek w Wirginii.

- I nadal tam jest. Sto Dziesiąta nadal działa.

- Mam taką nadzieję.

- Sir, życzę panu miłego wieczoru. W mesie podają kolację do dziesiątej, jeśli chciałby pan coś przekąsić.

- Dziękuję, żołnierzu.

Wyszedł z samochodu, a oni odjechali. Stał przez chwilę w chłodzie wieczoru, po czym ruszył w stronę wolno stojącego budynku. Jego rola i usytuowanie pozostawały dla niego dość niejasne. Nie było przecież powodu, by jakikolwiek budynek stał oddalony od innych, o ile nie był budynkiem przeznaczonym na kwarantannę dla pacjentów z chorobami zakaźnymi albo magazynem materiałów wybuchowych, a ten nie wyglądał na oddział szpitalny ani na arsenał. Szpitale były zazwyczaj wyższe, a zbrojownie solidniejsze.

Wszedł do środka przez drzwi frontowe i znalazł się w małym kwadratowym holu ze schodami naprzeciw drzwi wyjściowych z drzwiami po bokach. W oknach na górze było ciemno. Okna, w których paliło się światło, znajdowały się na parterze. „Jeśli masz wątpliwości, to skręć w lewo” - to motto Reachera. Otworzył drzwi po lewej. W środku nie było nikogo. Cofnął się do holu i spróbował drzwi po prawej stronie. Zastał tam lekarza w randze kapitana. Siedział za biurkiem, na którym stał słoik od Thurmana. Facet wyglądał dosyć młodo jak na kapitana, ale już ^ było z lekarzami, że szybko zdobywali stopnie wojskowe, zwykle o dwa stopnie wyżej przed żołnierzami liniowymi.



- W czym mogą panu pomóc? - zapytał kapitan.
- Przyleciałem tu z Thurmanem. Jestem ciekaw, co znajduje się w tym słoiku.
- Ale o co panu chodzi?
- Czy w słoiku jest to, o czym on wspominał?
- Czy ma pan upoważnienie, żeby znać szczegóły?
- Kiedyś miałem. Byłem żandarmem wojskowym. Zajmowałem się też medycyną sądową, współpracując z Nashem Newmanem, który przypuszczalnie był też kiedyś pana szefem, gdy był pan jeszcze porucznikiem. O ile oczywiście nie przeszedł na emeryturę. Teraz to już na pewno jest na emeryturze.

Kapitan skinął głową.

- Tak. Jest już na emeryturze. Ale słyszałem o nim. - Więc w słoiku są ludzie?
- Prawdopodobnie. Prawie na pewno.
- To węgiel?
- Nie, nie węgiel - odpowiedział lekarz. - W wysokiej temperaturze węgiel przechodzi w postać dwutlenku węgla. To, co pozostaje z człowieka po kremacji, to tlenki potasu, sodu, żelaza, wapnia, a może też magnezu. Wszystkie w postaci nieorganicznej.
- No to co jest w takim razie w tym słoiku? Facet znowu skinął głową.
- Właśnie to, co pozostaje po spaleniu ludzkiego ciała i kości.
- Co z tym robicie?
- Wysyłamy do laboratorium identyfikacji zwłok na Hawajach.
- A co oni z tym robią?
- Nic. W tych prochach nie ma nawet DNA. To właściwie tylko sadza. Cała ta sprawa jest dla nas krępująca, ale pan Thurman ciągle przylatuje i przywozi te słoiki. Jest bardzo uduchowiony. I oczywiście nie możemy mu tego odmówić. Więc organizujemy małą ceremonię i przyjmujemy wszystko, cokolwiek nam przywozi. Nie możemy też tego później wyrzucić. To byłoby niegodziwe. Więc wysyłamy to wszystko na Hawaje. Podejrzewam, że oni chowają to w jakiejś piwnicy i zapominają o całej kwestii.
- Pewnie tak. A czy pan Thurman mówi wam, skąd to się wszystko bierze?
- Z Iraku. To oczywiste.
- A nie wspomina, z jakich samochodów?
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Uważam, że tak.
- Nie zagłębiałbym się w szczegóły dotyczące tej sprawy.
- Jaką funkcję pełnił dawniej ten budynek? - zapytał Reacher.
- To była przychodnia dla chorych na choroby weneryczne.
- Czy mogę skorzystać z telefonu?

Lekarz wskazał na aparat telefoniczny stojący na jego biurku.

- Proszę bardzo.

Reacher zadzwonił pod numer 411, do informacji telefonicznej, i uzyskał numer telefonu Davida Roberta Vaughana przy Fifth Street w Nadziei w Kolorado. Powtórzył numer telefonu szeptem pod nosem, by go dobrze zapamiętać, i po chwili go wykręcił.

Nikt nie odbierał.

Odłożył słuchawkę na widełki.

- Gdzie jest mesa?
- Należy iść za swoim węchem.

To była dobra rada. Reacher wrócił do głównego skupiska budynków i krążył wśród nich przez chwilę, dopóki nie poczuł zapachu smażonego mięsa dochodzącego z potężnego wentylatora. Rura wentylacyjna wychodziła z zadbanego płaskiego pawilonu dobudowanego do jednopiętrowego budynku. Mieściły się w niej kuchnia i jadalnia. Reacher wszedł do środka i musiał wytrzymać kilka pytających spojrzeń, ale nikt się nie odezwał. Stał w

kolejce i zdecydował się na wielkiego cheeseburgera, frytki, fasolkę i kubek kawy. Zaniósł to wszystko do stolika i zaczął jeść. Burger okazał się doskonały, co było charakterystyczne dla jedzenia w armii. Kucharze wojskowi konkurowali ze sobą, by zapewnić swoim żołnierzom jak najlepszą miskę. Kawa też okazała się świetna. Miała prawdziwie standardowy światowy smak. Taką właśnie pił przez całe życie. Frytki były całkiem w porządku, fasolka podobnie. Na pewno było to lepsze jedzenie niż porcja rozlazłej smażonej ryby, jaką pewnie uraczono oficerów.

Wziął dolewkę kawy i usiadł w fotelu, by przejrzeć wojskowe czasopisma. Miał nadzieję, że dwaj starsi szeregowi przyjadą po niego hummerem, gdy Thurman będzie gotowy do powrotu. Odwiozą pewnie swoich gości do samolotu, zaszalują elegancko i zakończą małe przedstawienie krótko po północy. Kołowanie, start, wchodzenie na pułap i dziewięćdziesiąt minut lotu. Wystarczy, żeby powrócić do Rozpaczy na drugą w nocy, co pokrywało się z codziennym rytuałem lotów. Trzy godziny lotu za darmo i czterogodzinny odpoczynek z darmowym obiadem. Niezły wynik w zamian za słoik w jednej czwartej wypełniony sadzą. „Nowo narodzony amerykański chrześcijanin i biznesmen” - tak właśnie określał siebie Thurman. Bez względu na to, jakim chrześcijaninem się mienił, to biznesmenem był dość wyrachowanym.

Kuchnia mesy przestała wydawać posiłki. Reacher przeczytał czasopisma i się zdrzemnął. Żołnierze się nie pojawili. Jack obudził się o dwunastej w nocy na dochodzący z oddali dźwięk silnika piper'a. Gdy dotarło do niego, co to oznacza, silnik stawał się coraz głośniejszy. Reacher wybiegł na zewnątrz. Stał i mógł tylko popatrzeć, jak samolot nabierał prędkości na pasie startowym, uniósł się i zniknął w ciemności.

60

Hummer powrócił z początku pasa startowego. Wysiedli z niego dwaj szeregowcy i skinęli głowami na Reachera, jakby nic się nie stało.

- Ja miałem być na pokładzie tego samolotu - rzucił Reacher.

- Nie, sir. Pan Thurman powiedział, że podwiózł pana tylko w jedną stronę. Stwierdził, że zmierza pan stąd na południe w prywatnych sprawach i że pan już załatwił wszystko w Kolorado - odparł kierowca.

- Cholera jasna! - zaklął Reacher. Przypomniawszy sobie zachowanie Thurmana przed stodołą. Zamyślenie na jego twarzy, jakby przeprowadzał jakąś kalkulację, jakby grał w jakąś rozciągniętą w czasie grę i obmyślał osiem ruchów do przodu. „Proszę ze mną polecieć”. „Nie zapraszam pana ze sobą na obiad”.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Był dziewięćdziesiąt minut lotu od miejsca, w którym chciał się znaleźć w środku nocy, na jakimś pustkowiu, bez samolotu.

Wystrychnięty na dudka przez starego mądralińskiego.

Głupol.

I do tego zdenerwowany głupol.

„Uważam, że oni są tacy pobudzeni, bo według nich nadchodzi koniec czegoś”.

Tylko nie miał żadnego pomysłu, co to mogłoby być.

Nie miał nawet żadnych podejrzeń.

Rozłożył mapę w głowie. Przez „rączkę patelni” Oklahomy nie przebiegały żadne autostrady międzystanowe. Żadne. Tylko stanowe czteropasmowe drogi ekspresowe i drogi między hrabstwami. Spojrzał na hummera i na szeregowych.

- Nie podwieźlibyście mnie do jakiejś drogi? - zapytał.

- Do jakiej drogi?

- Do jakiegokolwiek, którą coś przejeżdża chociaż raz na godzinę.

- Mógłby pan spróbować drogę dwieście osiemdziesiąt siedem. Prowadzi na południe.

- Muszę się dostać na północ. Z powrotem do Kolorado. Thurman nie powiedział wam całej

prawdy.

- Droga dwieście osiemdziesiąt siedem też prowadzi na północ. Do międzystanowej siedemdziesiątki.

- A jak daleko stąd do autostrady?

- Sir, myślę, że ponad trzysta kilometrów.

• • •

W ciągu tych dziesięciu lat, odkąd Reacher odszedł z wojska, podróżowanie autostopem stawało się coraz trudniejsze. Kierowcy byli mniej wrażliwi na ludzkie potrzeby. Bali się podwozić obcych. Na zachodzie kraju było i tak trochę lepiej niż na wschodzie. W dzień zawsze łatwiej można było złapać okazję niż w nocy. Hummer z Fort Shaw zostawił go na drodze o dwunastej czterdzieści pięć w nocy, a dopiero o pierwszej piętnaście Jack zobaczył pierwszy przejeżdżający samochód. Był to ford F-150, którego kierowca nie zwolnił ani nawet nie odwrócił głowy. Po prostu przeleciał obok. Dziesięć minut później stary chevy blazer zrobił to samo. Za taką sytuację Reacher obwinał filmy, przez które ludzie bali się podwozić autostopowiczów. Choć tak naprawdę to właśnie w tych filmach podróżujący autostopem mieli zawsze więcej problemów ze strony lokalnych mieszkańców niż odwrotnie. Najbardziej jednak Reacher wini samego siebie. „Spójrz na siebie. Kogo widzisz?”. Maria z San Diego była osobą, którą każdy chętnie podwiezie. Słodka, drobna, nie stanowiła zagrożenia, widać było po niej, że jest w potrzebie.

Vaughan też nie miałaby problemu z autostopem. Włóczędzy o wzroście powyżej metra dziewięćdziesięciu nie zachęcali do udzielenia im pomocy i podwiezienia.

Za dziesięć drugą minęła go toyota pick-up ciemnego koloru, której kierowca przynajmniej zwolnił i przyjrzał mu się, a to był już jakiś postęp. Pięć po drugiej przejechał obok dwudziestoletni cadillac. Miał rozstrojony zapłon i stukające tylne zawieszenie, a za kierownicą siedziała jakaś przygarbiona staruszka o siwych włosach i cienkiej szyi. Takie sytuacje Reacher określał jako „zero szansy”. Piętnaście po drugiej w jego polu widzenia pojawił się stary chevrolet suburban. Reacher wiedział z własnego doświadczenia, że suburbanami jeździły zazwyczaj przemądrzałe dupki, choć starsze roczniki tego modelu były raczej samochodami użytkowymi, a za ich kierownicami siedzieli w miarę przystępni ludzie. Byli pewni siebie i nie obawiali się autostopowiczów. To była jego najlepsza do tej pory szansa na podwiezienie. Reacher postawił jedną nogę na asfalcie. Wystawił rękę z wyciągniętym kciukiem wskazującym na potrzebę, ale nie na desperację.

Światła suburbanu się zbliżały. Samochód zwolnił.

Zatrzymał się trzy metry od Reachera. Inteligentny ruch. Dał facetowi za kierownicą możliwość przyjrzenia się potencjalnemu pasażerowi bez socjologicznego stresu, który mogłaby powodować konfrontacja twarzą w twarz. Reacher nie widział kierowcy. Przeszkadzał mu blask reflektorów.

Decyzja została podjęta. Światła zmieniły się z drogowych na mijania, SUV podtoczył się bliżej i zatrzymał. Opuściła się szyba. Kierowcą był gość o czerwonej twarzy w wieku około pięćdziesięciu lat. Trzymał się kierownicy, jakby miał spaść z fotela, gdyby tylko ją puścił.

- Dokąd jedziesz? - zapytał mężczyzna bełkoczącym głosem.

- Na północ. Do Kolorado. Muszę dostać się do miejscowości Nadzieja.

- Nie znam takiego miasta.

- Ja też nie znałem, ale kilka dni temu tam trafiłem.

- Jak to daleko stąd?

- Może jakieś cztery godziny.

- Po drodze do Denver?

- Trzeba by trochę zjechać w bok.

- Jesteś uczciwym człowiekiem?

- Zwykle tak - odpowiedział Reacher.

- A jesteś dobrym kierowcą?
- Nie najlepszym.
- Jesteś pijany?
- Wcale.
- Ale ja jestem - odparł mężczyzna. - I to mocno nawalony. Więc ty prowadzisz i jedź, dokąd chcesz, bylebym tylko nie miał z tobą kłopotów. Ja się prześpię, a potem wskażesz mi drogę do Denver. Okay?
- Okay - przytaknął Reacher.

• • •

Autostop zwykle tworzył okazje do poznawania przypadkowych ludzi i angażowania się w emocjonalne rozmowy dzięki pewności, że ze względu na krótki czas wspólnej podróży nie będą one zbyt długo trwały. Nie tym razem. Czerwony na twarzy facet przesunął się na miejsce pasażera, odchylił oparcie fotela i momentalnie zasnął. Chrapał, stękał i ruszał się przez sen. Zapach jego oddechu wskazywał, że przez cały poprzedni wieczór pił bourbona. I to w sporych ilościach. Jak się obudzi po czterech godzinach, i tak będzie miał tyle alkoholu w sobie, że jego dalsza podróż stanie pod znakiem zapytania.

Ale to nie było już zmartwieniem Reachera.

Suburban był stary, zużyty i brudny. Licznik przejechanych kilometrów znajdował się w okienku pod prędkościomierzem. Wyświetlacz ciekłokrystaliczny wyglądał jak wzięty z taniego zegarka na rękę. Sporo cyfr, począwszy od trójki. Silnik nie był w najlepszym stanie. Miał jeszcze sporo mocy, ale ze względu na ciężar ładunku nie chciał jechać szybciej niż sto na godzinę. Na środku deski rozdzielczej był przymocowany telefon komórkowy. Wyłączony. Reacher rzucił okiem na śpiącego pasażera i włączył telefon. Wyświetlacz pozostał ciemny. Wyczerpana bateria. W gnieździe zapalniczki tkwiła ładowarka. Reacher przytrzymał kierownicę kolanami, odnalazł końcówkę kabla od ładowarki i wetknął ją do gniazda w spodzie telefonu. Włączył telefon. Tym razem wyświetlacz się rozświetlił i zabrzmiała melodyjka powitalna. Śpiący facet nawet się nie poruszył. Chrapał dalej.

Telefon nie miał zasięgu. Byli przecież na środku pustkowia.

Droga zwęziła się z czteropasmowej w dwupasmową. Reacher prowadził dalej. Osiem kilometrów z przodu dostrzegł tylne światła jakiegoś samochodu. Małe, nisko i szeroko osadzone. Pojazd jechał na północ trochę wolniej od suburbana. Różnica prędkości mogła wynosić około ośmiu kilometrów na godzinę, co przełożyło się na to, że Reacher całą godzinę dochodził do auta przed sobą. Okazało się, że światła należały do wozu dostawczego z wypożyczalni U-Haul. Ciężarówka jechała z prędkością osiemdziesięciu ośmiu na godzinę. Gdy Reacher ją dogonił, osiągnął prędkość dziewięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę. Zjechał na lewy pas, próbując ją wyprzedzić, ale suburban nie chciał już przyspieszyć. Rozpędził się jedynie do stu kilometrów na godzinę, a z tą prędkością musiałby bardzo długo jechać lewym pasem ruchu, by wyprzedzić ciężarówkę. Reacher zwolnił. Był zły, że musi się wlec za wielkim samochodem. Komórka pozostawała poza zasięgiem. Nic nie widział we wstecznych lusterkach ani nic po bokach. Świat był pogrążony w mroku. Reflektory suburbana jasno oświetlały tył ciężarówki jadącej dziesięć metrów przed nim. Wyglądał jak reklamowy billboard na kółkach. Drzwi ładowni ozdabiały wizerunki trzech ciężarówek różnej wielkości, widziane z perspektywy. Miały wyraźne barwy firmowe w postaci czerwonych i białych pasów i napis „U-Haul” na froncie. Tekst reklamowy zapewniał automatyczną skrzynię biegów, wysoką jakość jazdy, klimatyzowaną szoferkę, nisko osadzoną skrzynię ładunkową i tapicerowane siedzenia. Widniała tam też, napisana dużymi literami, cena Wynajmu - dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów dziennie. Reacher przybliżył się, by odczytać mały druk umieszczony pod spodem tekstu reklamowego. Ta okazyjna cena dotyczyła jedynie wynajmu najmniejszego dostawczaka na jeden dzień na

terenie miasta z dopłatą za ilość przejechanych kilometrów, a cena najmu zależała dodatkowo od szczególnych warunków umowy. Reacher zwolnił i rozparł się w fotelu kierowcy.

Rozmyślał przez chwilę o nazwie firmy wynajmującej ciężarówkę i samochody dostawcze U-Haul: „Sam-sobie-kieruj-cię-żarówką” i o wszelkich nazwach i tekstach reklamowych wykorzystujących różne skróty typu 4U albo EZ. No bo jak inaczej można by chwytliwie nazwać firmę oferującą wozy dostawcze bez kierowcy? To byłoby strasznie niezgrabne i pozbawione reklamowej mocy. Obraz trzech samochodów dostawczych wraz z ich barwami firmowymi zlał się w jeden i Reacher jechał dalej, trzymając się dziesięć metrów za ciężarówką.

Sprawdził telefon.

Nadal nie miał zasięgu. Przejeżdżali przez terytorium Komanczów. Dookoła falowała trawa. Reacher poczuł się jak na morzu. Najbliższa antena komórkowa znajdowała się zapewne w Lamar, a to jeszcze około godziny jazdy.

• • •

Pijany właściciel suburbana chrapał w najlepsze, a Reacher ciągnął się za wynajętą ciężarówką przez bite sześćdziesiąt minut. Miasto Lamar pojawiło się lekką poświatą na horyzoncie. Pewnie tylko kilka lamp ulicznych było zapalonych, ale to wystarczało, żeby dawały zadowalający kontrast z czernią rozciągających się wokoło łąk i pastwisk. Na zachodzie było małe lokalne lotnisko. I wreszcie komórka złapała zasięg. Reacher spojrzął w dół i dostrzegł dwie kreski na wyświetlaczu mocy sygnału. Z pamięci wystukał na klawiaturze numer do Vaughan.

Brak odpowiedzi.

Rozłączył się, zadzwonił na informację telefoniczną i poprosił o połączenie z posterunkiem policji w Nadziei. Wiedział, że śpiący facet nie będzie miał nic przeciwko temu. Usłyszał sygnał łączenia, potem kliknięcie i kolejny sygnał łączenia. Automatyczne przekierowanie, pomyślał. Posterunek policji w Nadziei był zamknięty w nocy. Vaughan wspominała, że w ciągu dnia jest ktoś na służbie, ale w nocy nie. Więc wszystkie przychodzące telefony nocne będą automatycznie przekierowywane do radiowozu patrolującego miasto. Na dziesięć z czternastu nocy takie telefony odbierała Vaughan. Ale dziś miała wolne. Służbę pełnił jakiś inny policjant uganiający się za sreberkami od gum do żucia. Albo zastępca.

- Policja, Nadzieja. Słucham! - odezwał się głos w słuchawce komórki.

- Chciałbym rozmawiać z oficer Vaughan - powiedział Reacher.

Facet na sąsiednim siedzeniu się poruszył, ale nie obudził.

- Oficer Vaughan ma dzisiaj wolne - odrzekł głos po drugiej stronie linii telefonicznej.

- Wiem. Dlatego potrzebuję numeru jej telefonu komórkowego.

- Nie mogę go panu podać.

- Więc niech pan zadzwoni do niej i poprosi ją, żeby do mnie oddzwoniła pod numer, który się panu wyświetlił.

- Nie chcę jej budzić.

- Nie obudzi jej pan. Cisza w słuchawce.

- To jest bardzo ważna sprawa. Proszę szybko do niej zadzwonić - nalegał Reacher. - Za chwilę będę poza zasięgiem.

Rozłączył się. Miasto Lamar zaczęło wyłaniać się z ciemności. Niskie, ciemne budynki, wieża ciśnień, jasno oświetlona stacja benzynowa. Ciężarówka U-Haul zatrzymała się na tankowanie. Reacher sprawdził poziom paliwa na liczniku. Połowa. Suburban miał wielki zbiornik, ale też spore zużycie benzyny. A przed nimi jeszcze długa droga. Odłączył telefon od ładowarki. Znaczkę na wyświetlaczu wskazywały wysoki poziom naładowania i niski poziom sygnału antenowego. Schował telefon do kieszeni koszuli.

Dystrybutory paliwa były włączone, ale kiosk z kasą zamknięty. Facet z U-Haul wsunął kartę kredytową do szczeliny czytnika w dystrybutorze i po chwili ją wyciągnął. Reacher Zrobił to

samo ze swoją kartą bankomatową. Dystrybutor się Uruchomił. Reacher wybrał zwykłą bezołowiową i przypatrywał się z przerażeniem, jak zwiększają się liczby na licznikach. Benzyna była droga. I to cholernie. Kosztowała już ponad trzy dolce za galon. Ostatnio, gdy tankował samochód, płacił jednego dolara za galon. Skinął głową na przywitanie do faceta z ciężarówki i też otrzymał ukłon w odpowiedzi. Gość był dosyć młody, dobrze zbudowany i miał długie włosy. Ubrany w obcisłą czarną koszulę z koloratką pod szyją. Był księdzem i pewnie grał na gitarze.

W kieszeni koszuli Reachera zadzwonił telefon. Jack zostawił dyszę wylotową rury dystrybutora we wlocie paliwa, odwrócił się i odebrał telefon. To był gliniarz z Nadziei.

- Vaughan nie odbiera telefonu - poinformował.
- Proszę spróbować wywołać ją przez radio. Ona jest w wozie szefa posterunku.
- Gdzie?
- Tego nie wiem dokładnie.
- Dlaczego jest w wozie szefa posterunku?
- To długa historia.
- Czy to pan jest tym facetem, z którym ona się ostatnio spotyka?
- Proszę się z nią skontaktować.
- Ona jest mężatką.
- Wiem o tym. A teraz proszę ją wywołać.

Policjant się nie rozłączył i zaczął wywoływać Vaughan. Najpierw wezwanie wywoławcze, potem kod wywołującego, a na koniec prośba o odzew. Wezwanie powtórzył dwa razy. Bez odzewu. Tylko brzęczenie elektroniki i dźwięk fal elektromagnetycznych odbitych przez jonosferę. Dużo zakłóceń.

I nic więcej.

Brak odzewu od Vaughan.

61

Reacher wyjechał ze stacji benzynowej przed księdzem prowadzącym ciężarówkę U-Haul i udał się na północ tak szybko, jak tylko pozwolił mu na to silnik suburbana. Pijak spał na siedzeniu pasażera. Drażniący smród alkoholu zmusił Reachera do otwarcia okna. Nocne powietrze nie pozwalało mu odczuwać senności, a szum powietrza zagłuszał chrapanie śpiącego właściciela samochodu. Komórka straciła zasięg trzynastu kilometrów za Lamar. Reacher podejrzewał, że dopóki nie znajdzie się w korytarzu autostrady międzystanowej 1-70, dopóty nie odzyska pola, a to jeszcze dwie godziny drogi. Była czwarta trzydzieści rano. Oceniał, że w Nadziei znajdzie się o wschodzie słońca. Pięć godzin opóźnienia. To oczywiście niesprzyjająca sytuacja, ale też żadna tragedia.

Nagle silnik suburbana po prostu wybuchnął.

Reacher nie znał się na mechanice samochodowej. Nie potrafił przewidzieć takiej sytuacji. Zauważył jedynie na liczniku temperatury, że wskazówka przesunęła się lekko w prawo, ale nie ocenił tego jako znaczącego zagrożenia. Pomyślał, że jest to spowodowane długą jazdą ze sporą szybkością. Jednak wskazówka nie zatrzymała się w tym miejscu. Przesuwała się dalej w prawo, aż weszła na czerwone pole i stanęła dopiero na krańcu licznika. Silnik stracił moc, a z wentylatorów dało się czuć gorący, wilgotny zapach. Pod maską usłyszał przytłumione tapnięcie, a przez kratki wentylacyjne silnika wystrzeliły na przednią szybę strumienie brązowej cieczy i rozlały się po całej powierzchni. Silnik zupełnie zgasł i suburban zaczął zwalniać. Reacher zjechał na pobocze i zatrzymał samochód.

Kiepsko, pomyślał.

Pijany facet nadal spał.

Reacher wysiadł z samochodu i podszedł do maski. Odbijając światło z reflektorów o wewnętrzne powierzchnie dłoni, próbował dojrzeć, co stało się pod maską. Zobaczył parę

wodną i brązową ciecz wydobywającą się z każdej możliwej rurki gumowej. Była gęsta i spieniona. Mieszanka oleju silnikowego i płynu chłodzącego. Wybuchła głowica silnika. Totalna porażka. Da się naprawić, ale będzie kosztowało setki dolarów i tydzień w warsztacie.

Bardzo kiepsko.

Kilometr dalej na południe zobaczył światła zbliżającej się ciężarówki U-Haul. Podszedł do drzwi pasażera, pochylił się przez otwarte okno do środka i sięgnął do schowka na dokumenty. Znalazł długopis i stary rachunek za naprawę. Na odwrotnej stronie rachunku napisał: „Musisz kupić sobie nowy samochód. Pożyczyłem komórkę. Odeślę ją”. Podpisał się: „Twój autostopowicz”. Wziął dowód rejestracyjny suburbana, żeby mieć adres zamieszkania, złożył go wpół i schował do kieszeni koszuli. Potem podbiegł dwadzieścia metrów na południe, wszedł na jezdnię i podniósł ręce, by zostać dostrzeżonym przez kierowcę U-Haul. Światła ciężarówki oświetliły go dopiero z jakichś pięćdziesięciu metrów. Jack pomachał nad głową. To był standardowy znak kłopotów na drodze. Światła ciężarówki się zbliżyły, aż wreszcie zaczęła zwalniać tak, jak Reacher to przewidział. Pusta szosa, zepsuty samochód i samotny kierowca, samarytanin za kierownicą.

U-Haul zatrzymał się na metr przed Reacherem, połową ciężarówki na poboczu. Opuściła się szyba i facet w koloratce wystawił głowę na zewnątrz.

- Potrzebujesz pomocy? - Uśmiechnął się szeroko i przyjaźnie. - Chyba głupie pytanie.
- Potrzebuję podwózki. Silnik wyleciał w powietrze - wyjaśnił Reacher.
- Może rzucę okiem?
- Nie trzeba.

Nie chciał, żeby ksiądz zobaczył pijanego właściciela suburbana. Z tej odległości nie było go widać rozwalonego na odchylonym do tyłu siedzeniu. Nie wystawał ponad linię tylnej szyby. Z kolei z bliska trudno byłoby go nie zobaczyć. Porzucenie zepsutego samochodu na środku pustkowi to jedna sprawa, ale pozostawienie w nim człowieka to zupełnie inna para kaloszy.

- Nie ma najmniejszego sensu. Serio. Będę musiał go holować. Albo podpale to stare dziadostwo.

- Jadę na północ, do Yumy. Możesz zabrać się na całą albo część trasy.

Reacher podziękował skinieniem głowy. Przywołał z pamięci mapę drogową. Droga do Yumy przecinała szosę prowadzącą do Nadziei jakieś dwie godziny jazdy z miejsca, w którym się teraz znajdowali. Wjedzie do Nadziei tą samą drogą co na początku z dziadkiem w zielonym grand marquisie. Będzie musiał złapać jeszcze jedną okazję na trzeci odcinek trasy. Przewidywany czas dotarcia do Nadziei przesunął się teraz na dziesiątą rano, jeśli w ogóle będzie miał szczęście z autostopem.

- Dzięki. Wskoczę tak w połowie drogi do Yumy. Facet w koloratce znowu uśmiechnął się szeroko i serdecznie

i powiedział:

- No to wskakuj.

• • •

Nadbudowa ciężarówki U-Haul była osadzona na podwoziu Wydłużonej ramy półciężarówki. Była oczywiście dłuższa, szersza i wyższa niż zwykła skrzynia pick-upu. Ciężarówka bujała się i kiwała, a z dodatkowym ładunkiem i kiepską aerodynamiką nie dało się nią szybko jechać. Silnik zakończył przyspieszanie na prędkości dziewięćdziesięciu pięciu na godzinę. Nie dało rady ani krztyny szybciej. W szoferce śmierdziało ciepłymi spalinami, gorącym olejem i plastikiem. Ale siedzenie było tapicerowane, jak w reklamie, i całkiem wygodne. Reacher musiał walczyć ze sobą, żeby nie zasnąć. Chciał być miłym towarzyszem Podróży. Nie chciał zachować się jak pijany facet z suburbana.

- Co takiego ksiądz wiezie? - zapytał.

- Używane meble. Dary. Prowadzimy ośrodek pomocy w Yumie.

- My?
  - Nasz kościół.
  - Jaka macie misję?
  - Pomagamy bezdomnym i potrzebującym.
  - Ale jaki to kościół?
  - Anglikański. Zupełnie zwykły. Żadnych odchyłeń na boki.
  - Gra ksiądz na gitarze? Duchowny znowu się uśmiechnął.
  - Tym też się zajmuję.
  - Tam, dokąd jadę, jest Kościół Dni Ostatnich. Ksiądz pokręcił głową.
  - Kongregacja Dni Ostatnich. Nie są uznawani jako zgromadzenie chrześcijańskie.
  - Co ksiądz o nich wie?
  - Czytałeś Księgę Apokalipsy?
  - Coś o niej słyszałem.
  - Jej pełny tytuł brzmi: Apokalipsa według Świętego Jana. Większość oryginału zaginęła. Została napisana w dawnym hebrajskim albo aramejskim i była wielokrotnie ręcznie kopiowana, potem przetłumaczona na starogrecki i wielokrotnie ręcznie kopiowana, a potem przetłumaczona na łacinę i wielokrotnie ręcznie kopiowana, wreszcie przetłumaczona na elżbietański angielski i wydrukowana. Możliwość popełnienia błędów i odstępstw od oryginału było wiele na każdym etapie. Czyta się to jak wypociny gościa na ostrym kwasie. Podejrzewam, że zawsze tak kiepsko się to czytało. W sumie jest całkiem możliwe, że to całe kopiowanie i tłumaczenia poprawiły nawet jej styl.
  - O czym ona mówi?
  - Można się tylko próbować domyślać. Sam nie wiem lepiej od ciebie.
  - Poważnie?
  - Niektórzy nasi bezdomni podopieczni bełkocą z większym sensem.
  - A jak zwykli ludzie rozumieją to pismo?
  - Ogólnie, to jest tam mowa o tym, że prawi wstąpią do nieba, a pozostali pozostaną na ziemi, gdzie będą ich nękać plagi najróżniejszych kolorów i wszelkie możliwe nieszczęścia; Chrystus wróci na ziemię, żeby walczyć z Antychrystem, i to niby będzie ten Armagedon, z którego nikt nie wyjdzie w najlepszej formie.
  - Czy to jest to samo co wniebowzięcie?
  - Wniebowzięcie to to samo co wniebowstąpienie. Ale plagi i wojny to zupełnie inna historia. One nastąpią później.
  - A niby kiedy ma się to wszystko wydarzyć?
  - To jest nieuchronne, tylko nikt nie wie dokładnie, kiedy to nastąpi.
- Reacher przypomniał sobie rozmowę z Thurmanem w zakładzie recyklingu. Thurman wspominał wtedy o znakach i wydarzeniach poprzedzających.
- Co może wywołać wniebowzięcie? - zapytał Reacher.
  - Nie jestem pewien, czy jest tam mowa o jakichś wydarzeniach poprzedzających wniebowzięcie. Można przypuszczać, że będzie w tym sporo boskiego działania. Taką chcielibyśmy przynajmniej mieć nadzieję.
  - A co z tymi wydarzeniami poprzedzającymi? Sposobami na zorientowanie się, że coś nadchodzi?
- Ksiądz wzruszył ramionami.
- Członkowie Kościoła Dni Ostatnich czytają Biblię tak, jak niektórzy czytają teksty Beatlesów, ale od tyłu. Jest tam mowa o narodzeniu czerwonego cielęcia w Ziemi Świętej. Fanatycy Kościoła Dni Ostatnich mają na tym punkcie totalnego bzika. Przeczesują rancza i szukają bydła, które jest trochę bardziej czerwone niż zwykle. Transportują to bydło do Izraela w nadziei, że urodzi się doskonałe czerwone cielę. Sami chcą wszystko rozpocząć. To jest właśnie ich główna cecha. Wręcz nie mogą się doczekać końca świata, bo tak cholernie



wierzą w to, że właśnie oni są tymi prawymi ludźmi. A to prowadzi ich do zadufania i pyszałkowatości. Większość ludzi akceptuje ideę, że człowiek zostaje zbawiony decyzją Boga, a nie człowieka. Więc można rzec, że oni są takimi religijnymi snobami. Sądzą, że są lepsi od reszty.

- To wszystko? A te czerwone cielaki?

- Większość wyznawców tego kościoła wierzy, że wielka wojna na Bliskim Wschodzie jest absolutnie niezbędna do powodzenia planu, dlatego są tak nieszczęśliwi z powodu Iraku. Najwyraźniej tragedia Iraku to dla nich jeszcze za mało.

- Sceptycznie ksiądz do tego wszystkiego podchodzi. Ksiądz się uśmiechnął.

- Oczywiście, że jestem sceptyczny - odpowiedział. - Jestem przecież anglikańskim pastorem.

• • •

Później już nie rozmawiali ani na tematy teologiczne, ani świeckie. Reacher był zbyt zmęczony, a facet w koloratce za bardzo pogrążony w nocnej walce o przetrwanie, nie widząc nic poza fragmentem drogi oświetlonym reflektorami ciężarówki. Jego oczy były wytrzeszczone, a sam siedział pochylony do przodu, tak jakby zdawał sobie sprawę z tego, że wygodne rozparcie się w siedzeniu mogłoby przynieść fatalne skutki. Reacher też czuwał, czekając na skrzyżowanie z drogą do Nadziei. Pamiętał, że przed tym skrzyżowaniem nie będzie drogowskazu, bo nie była to droga główna. A kierowca sam jej nie zauważył.

Dokładnie po dwóch godzinach wspólnej podróży dostrzegł skrzyżowanie z dwupasmową nierówną drogą. Miała znaki stopu, podczas gdy główna droga z północy na południe nie. Opóźniony czas reakcji Reachera i kierowcy sprawiły, że ciężarówka U-Haul zatrzymała się dwieście metrów za skrzyżowaniem. Reacher wysiadł, pomachał na pożegnanie i poczekał, aż światła i hałas ciężarówki znikną w mroku. Potem ruszył w kierunku skrzyżowania. Świt może i zaczynał się już gdzieś daleko na wschodzie nad Kansas lub Missouri, ale Kolorado nadal było pogrążone w kompletnym mroku. Komórka nie miała zasięgu.

Żadnego ruchu na drodze.

Reacher zajął pozycję po zachodniej stronie skrzyżowania na poboczu pasa ruchu. Kierowcy jadący ze wschodu na zachód będą musieli zwolnić i zatrzymać się przed znakiem „stop”. Zdołają więc dobrze mu się przyjrzeć już z dwudziestu metrów. Ale nie pojawił się żaden kierowca jadący ze wschodu na zachód.

Przynajmniej nie przez pierwsze dziesięć minut. Ani nawet przez pierwsze piętnaście minut, ani dwadzieścia. Przejechał pierwszy samochód na północ jakieś trzydzieści pięć kilometrów za ciężarówką U-Haul, ale nie miał zamiaru skręcać. Przeleciał przez skrzyżowanie prosto. Z południa nadjechał SUV, zwolnił w zamiarze wykonania skrętu, ale skręcił na wschód, w przeciwną stronę niż Nadzieja. Jego światła zmniejszyły się, aż zupełnie znikły.

Było zimno. Wiał wschodni wiatr, który pchał ze sobą deszczowe chmury. Reacher podniósł kołnierzyk koszuli, skrzyżował ramiona na piersiach i wcisnął dłonie pod pachy, by lepiej chronić się przed utratą ciepła. Na horyzoncie zaczęły pojawiać się drobne, rozmyte smugi różowego światła. Zbliżał się nowy dzień, jeszcze pusty w wydarzenia, niewinny, nieskalany. Może to będzie dobry dzień. Może ostatni dzień. „Chwila jest blisko”, twierdził kościół Thurmana. Może do Ziemi zbliżał się meteor wielkości Księżyca. Może rządy potęg nuklearnych zatrzymały jakieś informacje tylko dla siebie. Może rebelianci właśnie dobierali się do zamków zamykających stary silos z rakieta transkontynentalną na Ukrainie. Może gdzieś w jakimś laboratorium badawczym zbiła się próbówka albo przedziurawiła rękawiczka, albo uszkodziła się maska na twarz.

A może nie. Reacher przydeptywał w miejscu i kulił głowę w ramionach. Było mu zimno w nos. Gdy ponownie rozejrzał się dookoła, dostrzegł światła na wschodzie. Jasne, szeroko rozstawione. Duży samochód. Ciężarowy. Może ciągnik siodłowy. Jechał prosto na niego, a za sobą ciągnął wschód słońca.

Cztery możliwości. Pierwsza: dojeżdża do skrzyżowania i skręca w prawo, na północ. Druga: dojeżdża do skrzyżowania i skręca w lewo, na południe. Trzecia: zatrzymuje się przez znakem »stop« i jedzie dalej na zachód, nie zabierając Reachera. Czwarta: zatrzymuje się, przejeżdża przez drogę główną i zatrzymuje się Powtórnie, żeby zabrać Reachera.

Szansę na szczęśliwe zakończenie: dwadzieścia pięć procent. Albo mniejsze, jeśli to samochód firmowy i nie wolno nim zabierać autostopowiczów ze względu na ograniczenia związane z ubezpieczeniem.

Reacher czekał.

Gdy ciężarówka była pół kilometra od niego, dostrzegł, że to samochód dostawczy ze skrzynią ładunkową pomalowaną na biało. Gdy znalazła się trzysta metrów od niego, Jack zauważył klimatyzator na dachu kabiny. Dostawca świeżej żywności. Gdyby nie znaki „stop”, szanse podwiezienia byłyby równe zeru. Kierowcy przewożący żywność nie lubili się zatrzymywać. Mieli napięte terminy dostaw, a zatrzymywanie dużej ciężarówki i ponowne jej rozpędzanie zabierało cenne minuty. Ale dzięki znakom „stop” i tak musiały zwalniać.

Reacher czekał.

Usłyszał, jak kierowca zdejmuje nogę z gazu dwieście metrów przed skrzyżowaniem. Usłyszał syczenie pneumatycznych hamulców. Podniósł rękę z wyciągniętym kciukiem do góry. „Podwieź mnie”. Po chwili podniósł ramiona i zaczął nimi machać. To był semafor wielkiej potrzeby. „Naprawdę potrzebuję pomocy”.

Ciężarówka zatrzymała się na linii „stop” po wschodniej stronie skrzyżowania. Żaden kierunkowskaz nie mrugał. To dobry znak. Ani z północy, ani z południa nic nie jechało, więc kierowca momentalnie ruszył dalej. Wysokoprężny silnik zawył, biegi zazgrzytały w skrzyni. Jechał dalej na zachód, przecinając drogę z pierwszeństwem przejazdu, prosto na Reachera. Przyspieszył. Kierowca patrzył w dół. Ciężarówka jechała dalej.

Nagle zwolniła.

Pneumatyczne hamulce głośno zasyczały, sprężyny przedniego zawieszenia zaskrzeczały i ciężarówka zatrzymała się z kabiną dwanaście metrów od skrzyżowania, a tylnym błotnikiem o metr od pasa ruchu północ-południe. Reacher odwrócił się, pobiegł na zachód i wspiął się na stopień kabiny od strony pasażera. Szyba się opuściła i zobaczył głowę kierowcy dwa metry na południe. Kierowca był niskim, krępy facetem, zupełnie nie-pasującym do przepastnej szoferki.

- Będzie padać - powiedział.

- To najmniejszy z moich problemów. Samochód mi się zepsuł - odpowiedział Reacher.

- Mój pierwszy przystanek to Nadzieja.

- Ty jesteś tym gościem z sieci supermarketów z Topeld - oznajmił Reacher.

- Wyjechałem o czwartej rano. Chcesz się zabrać?

- Właśnie jadę do Nadziei.

- Więc przestań marudzić i ładuj się na pokład.

Świt gonił ciężarówkę podczas jej drogi na zachód i wyprzedził ją o całe trzydzieści minut. Świat rozświetlił się na blad złoty kolor, a niebo było zasłonięte chmurami. Kierowca ciężarówki zgasił światła drogowe i rozparł się wygodnie w fotelu. Prowadził samochód w taki sam sposób, jak Thurman sterował swoim samolotem - krótkimi, efektownymi ruchami z nisko opuszczonymi rękami. Reacher zapytał, czy często zdarza mu się mieć pasażerów, i otrzymał odpowiedź, że raz na pięć kursów kogoś podwozi. Reacher powiedział mu, że spotkał parę kobiet, które podwiózł.

- To były turystki - oświadczył kierowca.

- Trochę więcej niż turystki.

- Tak sądzisz?

- Wiem o tym.

- A o ile więcej?

- O wszystko.
- Jak to?
- Doszedłem do tego. Facet skinął głową.
- Żona i dziewczyna - wyjaśnił. - Chciały być blisko swoich mężczyzn, gdy ci będą przejeżdżać przez ten stan.
- To zrozumiałe - odpowiedział Reacher. - To dla nich bardzo stresujący okres.
- Więc wiesz, kim są ich mężowie i chłopcy?
- Tak, wiem - odpowiedział Reacher.
- I co?
- Nic. To nie moja sprawa.
- Nikomu nie powiesz?
- Jest pewna policjantka. Nazywa się Vaughan - odparł Reacher. - Będę musiał jej powiedzieć. Ona ma prawo do takich informacji. Jest w to, tak czy inaczej, zamieszana.
- Znam ją. Nie będzie zadowolona.
- Może nie będzie, a może będzie - powiedział Reacher.
- Ja nie jestem w to zamieszany - stwierdził kierowca. - Ja tylko je podwoziłem.
- Jesteś w to zamieszany - stwierdził Reacher. - Tak jak my wszyscy jesteśmy w to zamieszani.

Sprawił poziom sygnału anteny na wyświetlaczu pożyczonego telefonu. Brak zasięgu.

• • •

Na falach radiowych też nic się nie działo. Kierowca ciężarówki nacisnął odpowiedni przycisk i przeskanował całe pasmo AM od końca do końca, ale na nic nie trafił. Tylko zwykły szum. Olbrzymi kontynent. Głównie wypełniony pustą przestrzenią. Ciężarówka podrygiwała i bujała się na nierównej nawierzchni.

- A kto dostarcza żywność do Rozpaczy? - spytał Reacher.
  - Nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi - odparł kierowca.
  - Byłeś tam kiedyś?
  - Tylko jeden raz. Żeby zobaczyć, jak tam jest. I jeden raz zupełnie mi wystarczył.
  - To dlaczego ludzie tam mieszkają?
  - Nie wiem. Chyba z zasiedzenia.
  - Czy w innych miasteczkach nie ma pracy?
  - Jest pełno roboty. Mogliby ruszyć na zachód do Halfway. Mnóstwo pracy. Albo Denver. Rozwijają się niesamowicie. Mogliby spróbować nawet na wschodzie w Topece. Rozwijamy się jak nienormalni. Ładne domy, świetne szkoły, dobre zarobki, wszystko na miejscu, wystarczy tylko wyciągnąć rękę. To kraina wielkich możliwości.
- Reacher skinął głową i sprawdził komórkę. Nadal brak sygnału.

• • •

Dotarli do Nadziei tuż przed dziesiątą rano. Miasto wyglądało spokojnie i jak nietknięte żadnymi zmianami. Chmury zbierały się na niebie i było chłodno. Reacher wysiadł na First Street i stał przez chwilę bez ruchu. Jego komórka wskazywała dobry zasięg, jednak nie zadzwonił. Poszedł do Fifth Street i skręcił na wschód. Z pięćdziesięciu metrów widział, że przed domem Vaughan, przy krawężniku, nie stoi żaden samochód. Żaden radiowóz, żaden crown victoria. Nic. Podeszedł bliżej, by zobaczyć, co stoi na podjeździe.

Na podjeździe stał stary, granatowy pick-up zaparkowany maską tuż pod drzwiami garażu. Miał z powrotem wszystkie szyby. Miały jeszcze nalepki z kodem towarowym i były niezwykle przejrzyste oprócz miejsc, gdzie upaprano je odciskami palców i woskiem. Kabina wyglądała na zupełnie nową na tle wyblakłego starego lakieru. Na skrzyni pick-upu leżały drabina, łom i latarka. Reacher przeszedł po płytach kamiennych do drzwi frontowych i zadzwonił. Usłyszał dzwonek wewnątrz domu. Wokół panowała cisza. Stał na stopniu przez długie trzydzieści sekund, aż drzwi się otwały.

Vaughan obrzuciła go spojrzeniem i powiedziała:

- Cześć.

62

Miała na sobie te same czarne rzeczy co poprzedniej nocy. Była spokojna i opanowana. Trochę zdystansowana. Trochę czymś przejęta.

- Martwiłem się o ciebie - oświadczył Reacher.

- Naprawdę? - odpowiedziała Vaughan.

- Dzwoniłem do ciebie dwa razy. Raz tutaj i raz do samochodu. Gdzie byłaś?

- Tu i tam. Wejść do środka.

Poprowadziła go przez korytarz do kuchni, która wyglądała tak samo jak wcześniej. Czysta, zadbana, ładnie udekorowana, z trzema krzesłami za stołem. Na blacie stała szklanka z wodą, a w ekspresie parzyła się kawa.

- Przepraszam, że nie wróciłem do ciebie od razu.

- Nie musisz mnie przeproszać.

- Co się stało?

- Chcesz kawy?

- Po tym, jak mi powiesz, co się stało.

- Nic takiego.

- Jak jasna cholera nic.

- Okay. Uważam, że nie powinniśmy byli zrobić tego, co zrobiliśmy przedwczoraj.

- O co konkretnie ci chodzi?

- Wiesz, o co mi chodzi. Wykorzystałeś swoją przewagę. Żle się z tym poczułam. Więc gdy nie wróciłeś samolotem, wyłączyłam telefon i radio, pojechałam do Colorado Springs i powiedziałam wszystko Davidowi.

- W środku nocy? Wzruszyła ramionami.

- Wpuścili mnie. I nawet byli bardzo uprzejmi.

- A co David na to powiedział?

- Jesteś okrutny. Reacher pokręcił głową.

- To nie było okrutne pytanie. To było proste pytanie.

- O co ci chodzi?

- O to, że Davida już nie ma. Nie ma go w takiej postaci, w jakiej go znałaś. W żadnej myślącej postaci. I jeszcze o to mi chodzi, że sama musisz dokonać wyboru. I nie jest to jakaś wyjątkowa sytuacja. Masowe ofiary wojen nie są niczym nowym od czasów wojny secesyjnej. Przez ponad stulecie dziesiątki tysięcy mężczyzn znalazły się w takiej sytuacji jak David. Dlatego też dziesiątki tysięcy kobiet znalazły się w takiej samej sytuacji jak ty.

- I co?

- Wszystkie dokonały wyboru.

- David nadal żyje.

- W twojej pamięci. Nie żyje dla świata.

- Nie jest przecież martwy.

- Ale nie jest też zupełnie żywy.

Vaughan nic nie odpowiedziała. Po prostu odwróciła się, wyjęła z kredensu kubek z doskonałej chińskiej porcelany i napełniła go kawą z ekspresu. Podała go Reacherowi.

- A co było w kartoniku Thurmana? - zapytała po chwili.

- Widziałaś jego pudełko?

- Przeszłam przez mur dziesięć sekund po tobie. Nie miałam zamiaru siedzieć w samochodzie i czekać.

- Nie widziałem cię.

- Bo taki był mój plan. Za to ja widziałam ciebie. Widziałam całą akcję. „Poleci pan dzisiaj

ze mną?". I zostawił cię gdzieś daleko stąd, co?

- W Fort Shaw w Oklahomie. W bazie wojskowej - przyznał Reacher.
- Dałeś się zrobić.
- Niestety, tak.
- Nie jesteś wcale taki bystry, jak ci się wydaje.
- Nigdy nie mówiłem, że jestem bystry.
- Co było w tym pudełku?
- Plastikowy słoik.
- A co było w słoiku?
- Sadza - odpowiedział Reacher. - Ludzie po pożarze. Zdrapują ich pozostałości z metalu.

Vaughan usiadła za stołem.

- To okropne - powiedziała.
- Bardziej niż okropne. I do tego skomplikowane.
- Jak to?

Usiadł za stołem naprzeciwko niej.

- Nie musisz tego tak strasznie przeżywać - uspokoił ją. - W zakładzie nie ma wraków hummerów. Najwyraźniej trafiają w inne miejsce.
- Skąd ta pewność?
- Bo hummery tak się nie palą. Najczęściej wybuchają i ludzie są z nich wyrzucani na zewnątrz.

Vaughan skinęła głową.

- To prawda. David nie był poparzony.
- Tylko czołgi tak się palą. Z płonącego czołgu nie ma wyjścia. Sadza jest wszystkim, co pozostaje z ludzi.
- Rozumiem. Reacher milczał.
- Ale o co chodzi z tymi komplikacjami?

- To pierwszy z całej serii wniosków. Taki łańcuch logicznych spostrzeżeń. W Iraku używamy czołgów bojowych, o czym wszyscy wiedzą. I niektóre z nich tracimy, co już budzi zdziwienie. Byliśmy zawsze przygotowani na to, że stracimy kilka w potyczkach z Rosjanami, ale nie spodziewaliśmy się, że banda ubranych w turbany terrorystów z zaimprovizowanymi ładunkami wybuchowymi może niszczyć nam pojazdy bojowe. W ciągu niecałych czterech lat nauczyli się produkować takie ładunki, które potrafią niszczyć czołgi Armii Stanów Zjednoczonych. To niezbyt dobrze wpływa na nasz PR. Cieszę się, że przynajmniej zimną wojnę mamy z głowy. Armia Czerwona śmiałaby się z nas do rozpuku. Nic dziwnego, że Pentagon transportuje wraki czołgów w zamkniętych kontenerach do tajnych miejsc.

Vaughan wstała, podeszła do blatu kuchennego i wzięła do ręki szklanekę z wodą. Wylała zawartość do zlewu i nalała sobie świeżej wody z butelki z lodówki. Upiła łyk.

- Dostałam dziś rano telefon z laboratorium stanowego. Moja woda z kranu miała skażenie TCE bliskie pięciu cząsteczkom na miliard. Czyli jest to akceptowalne stężenie, ale może się pogorszyć, jeśli Thurman będzie używał tyle tego świństwa co do tej pory.
- Raczej przestanie go używać - stwierdził Reacher.
- A niby dlaczego?
- To jest właśnie ten ostateczny wniosek w łańcuchu spostrzeżeń. Ale jeszcze do tego nie doszedłem. To tylko wstępna wersja.
- A jaki jest drugi wniosek?
- Co Thurman robi z wrakami czołgów?
- Odzyskuje z nich stal.
- A dlaczego Pentagon ustawił bazę żandarmerii wojskowej, by pilnowała recyklingu stali?
- Skąd mam wiedzieć?

- Pentagon nie musi pilnować procesu recyklingu stali. Nikt nie przejmuje się stalą. Żandarmeria jest tutaj, żeby pilnować czegoś innego.
  - To znaczy czego?
  - Jest tylko jedno wytłumaczenie. Przedni i boczny pancerz czołgu bojowego zawiera grubą warstwę zubożonego uranu. To produkt uboczny wzbogacania uranu dla reaktorów nuklearnych, a przy tym niezwykle mocny i twardy metal. Absolutnie idealny na pancerze czołgowe. No i wniosek jest taki, że Thurman specjalizuje się w recyklingu uranu. I dlatego właśnie żandarmeria ma tutaj swoją placówkę. Bo zubożony uran jest toksyczny i wciąż trochę radioaktywny. W każdym razie na tyle, że chcą mieć na to oko.
  - Jak bardzo toksyczny? I radioaktywny?
  - Załogi czołgów nie dostają choroby popromiennej, siedząc wewnątrz pancerza z płyt zawierających uran. Ale po eksplozji uran zmienia się w pył, stałe drobiny albo opary, więc można poważnie zachorować od jego wdychania albo od uderzenia szrapnelem zawierającym uran. Dlatego właśnie wraki czołgów sprowadzają do Stanów. I tym właśnie zajmuje się żandarmeria. Pilnowaniem. Terrorysty mogliby ukraść uran, podzielić go na drobne kawałki i władować do swoich ładunków wybuchowych. Powstałyby wspaniałe brudne bomby.
  - To poważna sprawa.
  - No właśnie.
  - Musieliby mieć ciężarówkę, żeby ukraść uran. Tak jak mówiłeś.
  - Dużą ciężarówkę.
- Reacher popijał kawę, a Vaughan wodę.
- Oni rozdrabniają uran w zakładzie. Młotami i palnikami. To powoduje dużo pyłu, drobinek i oparów. Nic dziwnego, że wszyscy wyglądają na chorych - podsumowała.
- Reacher skinął głową.
- Zastępca umarł od zatrucia organizmu uranem - stwierdził. - I te objawy? Utrata włosów, mdłości, wymioty, biegunka, owrzodzenie, opryszczki, odwodnienie, niedoczynność organów? To nie z powodu wieku ani TCE. To była choroba popromienna.
  - Jesteś pewien? Reacher znowu skinął głową.
  - Nawet bardzo. Sam mi to zresztą powiedział. Leżąc na łożu śmierci, zaczął mówić: „To u...”, po czym przerwał i po chwili dokończył: „...On mi to zrobił”. I nie chodziło mu o to, że ja mu to wszystko zrobiłem, tylko próbował mi podać symbol chemiczny uranu: U. A ja myślałem, że on mnie oskarża. To było jego wyznanie. On powiedział, że to uran mu to zrobił.
  - Powietrze w zakładzie musi być gęste od oparów uranu. A my tam byliśmy - powiedziała Vaughan.
  - Pamiętasz, jak oglądaliśmy ogrodzenie przez kamerę termiczną i z jednej strony płót świecił? On nie był gorący. On promieniował radioaktywnością.

63

Vaughan popijała wodę mineralną z butelki i spoglądała w przestrzeń przed sobą, przyzwyczajając się do nowej sytuacji, która w pewnych kwestiach była lepsza, niż ją sobie wyobrażała, a w pewnych gorsza.

- Skąd wiesz, że tam nie rozbierają hummerów? - zapytała.
- Bo Pentagon rozdziela kontrakty na jednokierunkowe, specjalistyczne zadania, jak ci już wcześniej mówiłem. Zawsze tak było i tak będzie. Zakład w Rozpaczy specjalizuje się w recyklingu uranu. I to wszystko. Hummery są przewożone do innych miejsc, gdzie robią to taniej. Bo to łatwiejsza robota. To tylko samochody.
- Ale do Rozpaczy też przesyłają samochody. Widzieliśmy je w kontenerze z Iraku albo z Iranu.

Reacher skinął głową.

- No właśnie. To jest mój trzeci wniosek. Transportują te samochody do Rozpaczy z pewnego powodu.
  - A jaki to powód?
  - Istnieje tylko jedno logiczne wytłumaczenie. Zubożony uran nie jest wykorzystywany wyłącznie do produkcji opancerzenia. Produkuje się z niego także pociski artyleryjskie i czołgowe. Ze względu na jego niezwykłą twardość i wytrzymałość.
  - I co dalej?
  - Więc trzeci wniosek jest taki, że te samochody były uderzone pociskami ze zubożonym uranem. Wozy zostały skażone, więc trzeba je było odpowiednio zutylizować. Należało to zrobić w odosobnionym miejscu, bo używamy czołgów i pocisku ze zubożonego uranu przeciwko cywilnym pojazdom. To jest spora przesada i bardzo zły PR. Thurman powiedział, że każdy rząd ma coś do ukrycia i robi to ze względów politycznych. I miał rację.
  - To co tam się, do cholery, dzieje?
  - Możemy się tylko domyślać - odparł Reacher. Vaughan wzięła w rękę szklankę z wodą. Podniosła ją, ale zatrzymała w połowie ruchu, jakby do głowy przyszła jej jakaś nowa myśl związana z konsekwencjami picia i połykania czegokolwiek, i odstawiła szklankę na stół.
  - Opowiedz mi o brudnych bombach - poprosiła.
  - Są takie same jak czyste bomby. Poza tym, że są brudne. Bomba wybucha i tworzy krater oraz potężne ciśnienie rozchodzące się sferycznie. Fala uderzeniowa burzy twarde przeszkody i zgniata miękkie, czyli ludzi. Drobne części rozerwanej łuski rozpryskują się dookoła jak kule karabinowe i powodują dodatkowe spustoszenie. Działanie bomby można wzmocnić przez umieszczenie w wolnej przestrzeni wewnątrz łuski drobnych kawałków metalu, takich jak gwoździe czy kulki od łożysk, które nazywamy szrapnelami. Brudna bomba po prostu zawiera kawałki skażonego metalu jako wypełnienie łuski. Zwykle są to radioaktywne odpady.
  - Czy efekty wybuchu takiej bomby są o wiele gorsze?
  - To kwestia dyskusyjna. Jeśli chodzi o zubożony uran, to utlenia się on w wysokiej temperaturze wybuchu i z pewnością ma niekorzystny wpływ na zdrowie ludzi. Efektem działania promieniotwórczości są poronienia, bezpłodność, wady u noworodków. Większość ludzi myśli, że promieniowanie samo w sobie nie jest w rzeczywistości wielkim zagrożeniem. Jak już mówiłem, jest to kwestia sporna. Nikt tego nie wie do końca. I to jest właśnie główny problem. Bo możesz się założyć o wszystko, co masz, że ludzie będą popełniali różne błędy w ramach działań zabezpieczających, co z psychologicznego punktu widzenia zwielokrotnia negatywne oddziaływanie. To klasyczny przykład prowadzenia asymetrycznych działań bojowych. Jeśli brudna bomba wybuchnie w mieście, to miasto opustoszeje bez względu na to, czy była taka potrzeba, czy też nie.
  - Jak duża musi być taka bomba?
  - Im większa, tym lepiej.
  - Ile uranu musieliby ukraść?
  - Im więcej ukradną, tym większą będą mieli radochę.
  - Myślę, że już wykradają ten uran. Pamiętasz tę ciężarówkę, którą sfotografowaliśmy? Przednia część ładowni świeciła się jak to ogrodzenie.
- Reacher pokręcił głową.
- Nie. To było coś zupełnie innego.

64

- Chodź ze mną do centrum. Do motelu - poprosił Reacher.
- Nie wiem, czy chcę, by ktoś mnie tam z tobą widywał. A szczególnie w motelu. Ludzie zaczynają mówić - odpowiedziała Vaughan.
- Ale nie w zły sposób.

- Tak sądzisz?
- Oni ci kibicują.
- Nie jestem tego taka pewna.
- Myśl sobie, co chcesz. Jutro i tak mnie już tu nie będzie, więc niech sobie przez jeden dzień jeszcze trochę pogadają.
- Jutro?
- A może nawet wcześniej. Zostanę tu jeszcze tylko po to, by dokądś zadzwonić. Poza tym moja misja w Nadziei dobiegła końca.
- Do kogo chcesz zadzwonić?
- Wykręcę jakiś numer. Nie sądzę jednak, żeby ktokolwiek podniósł słuchawkę.
- A o co chodzi z tymi innymi sprawami, które tutaj się rozgrywają?
- Do tej pory ustaliliśmy tylko tyle, że Pentagon pierze swoje brudy po cichu. A to nie jest przestępstwo.
- Po co chcesz iść do motelu?
- Podejrzewam, że pokój numer cztery jest już pusty.

• • •

Ruszyli w stronę motelu, wdychając wilgotne, poranne powietrze; najpierw dwie przecznice na północ z Fifth Street na Third Street, a potem trzy przecznice na zachód. Minęli recepcję i szli dalej wzdłuż pawilonu. Drzwi do pokoju numer cztery były otwarte, a przed wejściem stał wózek z przyborami do sprzątanania. Pościel z łóżka została już zdjęta i leżała w stosie z ręcznikami na środku pokoju. Szafa była pusta. Sprzątaczką odkurzała wykładzinę.

- Pani Rogers wyjechała - stwierdziła Vaughan. Reacher kiwnął głową.
- Dowiedzmy się kiedy i jak.

Wrócili do biura. Recepcjonistka siedziała na stołku za ladą recepcyjną. Klucz do pokoju numer cztery wisiał na haczyku. Teraz brakowało tylko dwóch kluczy: Reachera do pokoju numer dwanaście i Marii do pokoju numer osiem.

Recepcjonistka zsunęła się ze stołka i stała z rękami opartymi o ladę. Gotowa do udzielenia informacji. Reacher spojrział na telefon i zapytał:

- Czy dzwonił ktoś do pani Rogers?
- Wczoraj o szóstej wieczorem - odparła.
- Dobre wiadomości?
- Wydawała się szczęśliwa.
- I co dalej?
- Wymeldowała się.
- Dokąd poszła?
- Zadzwoń po taksówkę, żeby zabrała ją do Burlington.
- Co takiego jest w Burlington?
- Głównie autobus odjeżdżający na lotnisko w Denver.
- Dzięki za informacje - powiedział Reacher i skinął głową.
- Czy stało się coś złego?
- To zależy od punktu widzenia.

• • •

Reacher był głodny i znowu chciał się napić kawy, więc Poszli do bistro jedną przecznicę na północ i jedną na zachód. Bistro było prawie puste. Za późno na śniadanie, za wcześnie na lunch. Reacher zastanawiał się przez sekundę i usiadł w boksie, w którym czekała Lucy Anderson tej nocy, gdy ją poznał. Vaughan usiadła po drugiej stronie, na miejscu Lucy. Kelnerka przyniosła wodę i sztucce. Zamówili kawę.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała Vaughan.
- O tych młodych facetów? - odpowiedział pytaniem Reacher. - O to, co ich wszystkich łączyło?



- No chyba.
- Byli młodzi i byli mężczyznami.
- I co dalej?
- I pochodzili z Kalifornii.
- Więc?
- I jedyny biały, którego widzieliśmy, miał niezłą opaleniznę.
- Więc?
- Siedziałem przy tym samym stoliku z Lucy Anderson. Była ostrożna i trochę przestraszona, ale powoli się dogadywaliśmy. Poprosiła o mój portfel, żeby sprawdzić, czy nie jestem śledczym. Gdy później powiedziałem, że byłem gliną, spanikowała. Dodałem dwa do dwóch i wyszło mi, że jej mąż jest uciekinierem. Im więcej o tym myślała, tym bardziej się bała. Następnego dnia odnosiła się do mnie wręcz wrogo.
- To chyba jasne.
- Wtedy natknąłem się na jej męża w Rozpaczy i wróciłem do kamienicy wynajmującej pokoje, gdzie on się zatrzymał. Były puste, ale bardzo czyste.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Ogromne - stwierdził Reacher. - Później znowu spotkałem Lucy, jak jej mąż wyjechał. Powiedziała mi, że mają prawników. Mówiąc o sobie, wspominała o ludziach z jej środowiska. To zabrzmiało, jakby była członkiem jakiejś zorganizowanej grupy. Powiedziałem, że mógłbym ją śledzić do miejsca, w którym ma spotkać się z mężem, a ona odparła, że nic bym tam już nie mógł zdziałać.
- Przyszła kelnerka z kawą. Dwa kubki, dwie łyżeczki i cały dzbanek świeżo naparzonego napoju. Napelniła kubki i odeszła. Reacher powąchał napar i wypił łyżeczek.
- Cały czas czegoś nie kojarzyłem - wyznał. - Teraz wiem, o co chodzi. Powiedziałem Lucy, że byłem wojskowym gliną, żandarmem, a nie zwykłym policjantem. I to dlatego pokoje do wynajęcia w tej kamienicy były takie czyste. Jak koszary przygotowane na inspekcję. Stare nawyki tak szybko nie giną. Ludzie, którzy tam się zatrzymywali, byli żołnierzami. Lucy myślała, że ich śledzę.
- Dezerterzy - wywnioskowała Vaughan. Reacher skinął głową.
- To właśnie dlatego Anderson miał taką głęboką opaleniznę. Był w Iraku. I nie chciał już tam wracać.
- To gdzie jest teraz?
- W Kanadzie - odpowiedział Reacher. - To właśnie dlatego nie przejmowała się tym, że mógłbym za nią pojechać. Przecież nie mamy tam jurysdykcji. To niezależny kraj i oni oferują wszystkim azyl.
- Ta ciężarówka - odparła Vaughan. - Była z Ontario. Reacher skinął głową.
- Zorganizowali serwis taksówkowy. Blask na monitorze nie pochodził od ukradzionego uranu. To był mąż pani Rogers ukryty w ładowni. Wydzielał ciepło takie jak kierowca. To był ten sam odcień zieleni.

65

Vaughan milczała przez długą chwilę. Kelnerka dwukrotnie podchodziła do ich stolika i dolewała Reacherowi kawy. Vaughan nawet nie tknęła swojej.

- A jaki to ma związek z Kalifornią? - zapytała.
- Tam pewnie działa jakaś antywojenna grupa, która organizuje drogę przerzutową. Może rodziny żołnierzy są w to zaangażowane. Opracowali system przerzutu. Legalnie przywożą tutaj stalowy złom, a kanadyjscy przyjaciele przewożą ich przez granicę na północ. Siedem miesięcy temu w hotelu w Rozpaczy zatrzymała się para z Kalifornii. Stawiam jeden do dziesięciu, że byli organizatorami i tutaj szukali sympatyków. I ci sympatycy pilnowali wszystkiego na miejscu. To oni powybijali szyby w twoim pickapie. Obawiali się, że zacznę wściubiać nos w nie swoje sprawy, i chcieli mnie wykurzyć.

Vaughan popchnęła kubek i sięgnęła po solniczkę, pieprzniczkę i cukiernicę. Ustawiła je przed sobą w równej linii. Wyprostowała palec wskazujący i popchnęła pieprzniczkę, wysuwając ją z szeregu. Popchnęła jeszcze raz i przewróciła.

- Mała podgrupa - podsumowywała. - Kilku łamiących prawo ludzi działających za plecami Thurmana bez jego wiedzy-Pomagają dezenterom.

Reacher milczał.

- Czy wiesz, kim są? - zapytała.

- Nie mam pojęcia.

- Chciałabym się tego dowiedzieć.

- Po co?

- Bo chcę, żeby ich aresztowano. Chcę zadzwonić do FBI z listą nazwisk.

- Rozumiem.

- A ty nie chciałbyś?

- Nie. Ja nie - odparł Reacher.

• • •

Vaughan była zbyt dobrze wychowana i za bardzo małomiasteczkowa, żeby zacząć awanturę w bistro. Więc zostawiła pieniądze na blacie i wyszła. Reacher podążył za nią, wiedząc, że tak właśnie należy uczynić. Vaughan skręciła w Second Street i szła na wschód w stronę spokojniejszej części miasteczka lub też w stronę motelu, lub posterunku policji. Jack nie był pewien, dokąd zmierza. Albo potrzebowała odrobiny samotności, albo miała zamiar zdobyć numer telefonu od recepcjonistki, a może chciała usiąść przed służbowym komputerem. Szła szybko, była wściekła, ale Reacher łatwo ją dogonił. Zrównał krok i szedł obok, czekając, aż ona zacznie mówić.

- Wiedziałeś o tym wczoraj.

- Od przedwczoraj - uściślił.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Tak samo jak o tym, że pacjenci w szpitalu, w którym jest David, są żołnierzami. Bo wszyscy byli młodzi.

- I czekałeś, aż ta ciężarówka znajdzie się za granicą, by mi o tym powiedzieć?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie chciałem, żebyś ich zatrzymała.

- Dlaczego?

- Chciałem, żeby Rogersowi udało się uciec. Vaughan się zatrzymała.

- Na Boga, przecież byłeś żandarmem wojskowym!

- Przez trzynaście lat.

- Ścigałeś takich ludzi jak Rogers.

- Tak. Ścigałem.

- A teraz przeszedłeś na ciemną stronę mocy? Reacher milczał.

- Znałeś tego Rogersa? - zapytała.

- Nigdy o nim nie słyszałem, ale znałem dziesiątki tysięcy takich jak on.

Vaughan ruszyła. Reacher szedł tuż obok. Zatrzymała się znowu pięćdziesiąt metrów przed motelem, koło posterunku policji. Ceglana fasada wyglądała chłodno w szarości cienia. Równe, aluminiowe litery wyglądały jeszcze zimniej.

- Oni służyli w wojsku - zaczęła Vaughan. - Ty służyłeś w wojsku. Powinni wykonywać rozkazy. Nie mają innego wyboru. Wszyscy powtarzaliście słowa przysięgi. I powinniście wypełniać zobowiązania. Oni są zdrajcami kraju. Są tchórzami. Ty też nim jesteś. Nie mogę uwierzyć w to, że z tobą spałam. Jesteś nikim. Jesteś odrażający. Skóra mi cierpnie na twój widok.

- Obowiązek jest jak domek z kart - odparł Reacher.

- A co to ma, do licha, znaczyć?

- Szedłem tam, dokąd mi kazano. Wypełniałem rozkazy. Robiłem wszystko, co mi kazano, i pilnowałem, by dziesięć tysięcy ludzi postępowało tak samo. Byliśmy szczęśliwi i zadowoleni z naszej pracy. Oczywiście, że marudziliśmy, wkurzaliśmy się i narzekaliśmy, bo żołnierze zawsze marudzą. Ale my zawarliśmy umowę, weszliśmy w interes. Bo obowiązek wojskowy jest jak transakcja biznesowa, Vaughan. To ulica z ruchem w obie strony. My musimy zrobić coś dla nich, oni robią w zamian coś dla nas. I to, co oni są nam winni, to solenna obietnica, że my będziemy narażać własne życie lub zdrowie jedynie wtedy, gdy będzie ku temu cholernie ważny powód. Przez większość tego czasu i tak nas kiwali, ale nadal w głębi serca im wierzyliśmy. Przynajmniej troszeczkę. I to już zniknęło. Teraz wszystko opiera się na politykierstwie i zdobywaniu głosów wyborców. I tyle na ten temat. Wszyscy żołnierze to już wiedzą. Możesz próbować robić, co chcesz, ale nie oszukasz żołnierza. To oni wszystko spięrzyli, nie my. Wyciągnęli silną kartę z samej podstawy domku i cała misterna konstrukcja się rozsypała. A faceci tacy jak Anderson i Rogers widzą, jak ich kumple giną, i mają dalej odgrywać tę pantomimę? I co o tym wszystkim myślą? Dlaczego? Dlaczego musimy tkwić w tym gównie?

- Uważasz, że dezercja jest na to dobrą odpowiedzią?

- Niezupełnie. Myślę, że odpowiedzią byłoby, gdyby cywile ruszyli swoje tłuste dupy i odwołali te fałszywe łajzy z urzędów. Powinni lepiej kontrolować to, co się dzieje. To jest ich obowiązek. To jest ta następna w randze ważności karta na spodzie domku z kart. Ale jej też już nie ma. Więc nie gadaj mi tutaj o dezercji. Dlaczego żołnierze piechoty mają być jedynymi, którzy nie dezertują? Czy to jest ta dwukierunkowa ulica?

- Sam służyłeś przez trzynaście lat i popierasz dezertów?

- W tych okolicznościach rozumiem ich decyzje. Właśnie dlatego, że służyłem przez trzynaście lat. I nie żałuję tego. Chciałbym, żeby oni też tak mogli powiedzieć o swojej służbie. Kochałem wojsko i nie mogę znieść tego, co się z nim teraz stało. Czuję się tak, jakbym miał siostrę, która wyszła za wyjątkowego cieniasa. Czy też powinna dotrzymać przysięgi ślubnej? Owszem, ale tylko do pewnego momentu, nie dalej.

- Gdybyś teraz był w wojsku, też byś zdezerterował? Reacher pokręcił głową.

- Boję się, że nie miałbym wystarczająco dużo odwagi.

- Do tego potrzebna jest odwaga?

- Dla większości mężczyzn nawet bardzo dużo odwagi, większej niż sobie możesz wyobrazić.

- Ludzie nie lubią słuchać o tym, że ich ukochani zginęli bez uzasadnionego powodu.

- Wiem, ale to nie zmienia znaczenia słowa „prawda”.

- Nienawidzę cię.

- Bzdura - ciągnął Reacher. - Nienawidzisz i polityków, i dowódców, i głosujących, i Pentagonu. - Po chwili dodał: - Nienawidzisz tego, że David nie zdezerterował po pierwszej turze w Iraku.

Nagle odwróciła się plecami, patrzyła na ulicę. Stała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Stała tak przez długą chwilę, blada, z drżącą dolną wargą. Wreszcie coś powiedziała. Szeptem.

- Prosiłam go o to. Błagałam. Powiedziałam, że moglibyśmy zacząć wszystko od nowa, gdziekolwiek na świecie, że moglibyśmy zmienić nazwiska, wszystko. Ale się nie zgodził. Głupi głupi człowiek.

Zacząła płakać na środku ulicy, obok swojego miejsca pracy. Próbowwała zrobić krok, ale zmiękły jej kolana i Reacher chwycił ją, chroniąc przed upadkiem. Jej łzy kapały na jego koszulę. Podźwignęła się, wyprostowała. Objęła go ramionami i wtuliła głowę w jego klatkę piersiową. Głośno płakała i lamentowała nad swoim złamanym życiem, zniszczonymi marzeniami, telefonem dwa lata temu i wizytą kapelana, zdjęciami rentgenowskimi, ohydnyimi szpitalami, niekończącym się syczeniem respiratora.

• • •

Ruszyli dalej do następnej przecznicy, bez celu, byle tylko być w ruchu. Niebo było zasnuwane szarymi, nisko wiszącymi chmurami, a powietrze już pachniało deszczem. Vaughan wytarła zażawioną twarz w rąbek koszuli Reachera i przeczesła włosy palcami. Zamrugnęła, przełknęła ślinę i kilka razy głęboko odetchnęła. Spacer zakończyli przed posterunkiem policji. Reacher zauważył, że Vaughan przygląda się dwudziestu sześciu literom aluminiowym równo przymocowanym do ściany. „Departament Policji w Nadziei”.

- Dlaczego nie udało się Raphaelowi Ramirezowi? - zapytała.
- Bo Ramirez był inny - odpowiedział Reacher. - Jeden telefon z twojego biurka wystarczy, by wszystkiego się dowiedzieć. Nie ma się co przejmować i trzeba zadzwonić. A i tak znamy prawdę. Maria już wystarczająco długo czeka na wiadomość.
- Jeden telefon, ale do kogo? - zapytała Vaughan.
- Do bazy żandarmerii wojskowej na zachód od Rozpaczy-Wiesz oficjalnie, że tam są, a oni wiedzą oficjalnie, że ty wiesz, po co oni tam są. Więc będą współpracować.
- O co mam ich zapytać?
- Poproś o przesłanie akt sprawy Ramirez. Wtedy zapytaj „Kogo?”. Odpowiesz im, żeby nie truli i nie wciskali kitu, bo Maria właśnie u nich była, więc wiedzą, kim on jest. Przypomnij im, że Maria przebywała u nich dwadzieścia jeden godzin, a to przecież wystarczająco dużo, by zdobyli wszystkie papiery świata, które były im potrzebne do wyświecenia sprawy.
- Czego mamy się dowiedzieć?
- Podejrzewam, że dwa tygodnie temu Ramirez był w więzieniu.

• • •

Urządzenie do faksowania należące do Departamentu Policji w Nadziei było starą, przechodzoną, pozbawioną wdzięku, kanciastą maszyną stojącą osobno na specjalnym wózku na kółkach. Ale działającą. Jedenaście minut po tym, jak Vaughan skończyła rozmowę, maszyna rozbłysła światłkami, uruchomiła się, wciągnęła czystą kartkę z podajnika, po czym z powrotem ją wypuła już zadrukowaną.

Nie było na niej zbyt wiele tego druku. Kartka zawierała suche streszczenie kartoteki. To bardzo mało jak na dwadzieścia jeden godzin biurokratycznej szarpaniny, ale wytłumaczeniem był fakt, że to armia prosiła o podanie faktów, a marines mieli je dostarczyć. Współpraca pomiędzy różnymi rodzajami sił zbrojnych układała się opornie.

Raphael Ramirez był szeregowym w piechocie morskiej. W wieku osiemnastu lat został wysłany do Iraku. W wieku dziewiętnastu lat odbywał już swoją drugą turę służby. Rok później zdezerterował przed wysłaniem na trzecią turę. Uciekł i został ujęty pięć dni później w Los Angeles i zamknięty w areszcie w oczekiwaniu na sąd wojskowy w Pendleton.

Data aresztowania - trzy tygodnie temu.

- Musimy odnaleźć Marię.

• • •

Znaleźli ją w pokoju motelowym. Jej łóżko miało wgniecenie w miejscu, gdzie siedziała, oszczędzając energię, cierpiąc w zamyśleniu, czekając. Niepewnie otworzyła drzwi, jakby spodziewała się złych wiadomości. W twarzy Reachera nie znalazła nic, co mogłoby zmienić jej nastawienie. Wraz z Vaughan poprosili ją na zewnątrz i usadzili w plastikowym fotelu ogrodowym pod okienkiem łazienki. Reacher wziął dla siebie fotel z dziewiątki, a Vaughan z siódemki. Przyciągnęli je i ustawili na wybetonowanym tarasie przed drzwiami, tworząc wierzchołki ciasnego trójkąta.

- Raphael służył w piechocie morskiej - powiedział Reacher.

Maria skinęła głową w milczeniu.

- Był dwa razy w Iraku i nie chciał tam wracać, więc prawie miesiąc temu zdecydował się na ucieczkę. Pojechał do Los Angeles. Może miał tam przyjaciół. Czy dzwonił stamtąd do

ciebie?

Maria milczała.

- Ty nie masz z tego powodu kłopotów, Mario - zapewniła ją Vaughan. - Nikt ci nie może za to zrobić krzywdy.
  - Dzwonił codziennie - wyznała Maria.
  - Jakie miał samopoczucie? - zapytał Reacher.
  - Był przerażony. Przestraszony na śmierć. Przerażony, że zdezerterował, przerażony, że miał tam wracać.
  - Czy coś mu się przytrafiło w Iraku?
  - Jemu? Niewiele. Ale widział wszystko. Powiedział, że ludzie, którym mieli pomagać, zabijali ich, a oni zabijali ludzi, którym mieli pomagać. Wszyscy zabijali się nawzajem. Na wszelkie możliwe sposoby. On zaczął od tego wariować.
  - Więc uciekł. I dzwonił do ciebie codziennie. Maria skinęła głową.
  - Ale potem nie zadzwonił przez dwa lub trzy dni, tak? - zapytał Reacher.
  - Zgubił telefon komórkowy. Musiał ciągle zmieniać miejsce pobytu. Dla bezpieczeństwa. I zdobył nowy telefon.
  - I co wtedy mówił?
  - Nadal był przerażony. Nawet jeszcze bardziej.
  - Co było dalej?
  - Zadzwoił i powiedział, że znalazł jakichś ludzi. Albo raczej jacyś ludzie go odnaleźli. I mieli zabrać go do Kanady-Przez miasto Rozpacz w Kolorado. Powiedział, że powinnam pojechać do Nadziei i czekać na jego telefon. I później pojechać do niego do Kanady.
  - Czy dzwonił z Rozpaczy?
  - Nie.
  - Dlaczego pojechałaś do bazy żandarmerii?
  - Zapytać, czy go znaleźli i aresztowali. Bałam się. Ale powiedzieli mi, że nigdy o nim nie słyszeli. I że przecież są z armii, a nie z piechoty morskiej.
  - Więc wróciłaś tu, by jeszcze trochę poczekać. Maria skinęła głową.
  - To nie było do końca tak - stwierdził Reacher. - On został aresztowany w Los Angeles przez służby piechoty morskiej. Nie zgubił wcale swojego telefonu. Był w więzieniu przez dwa lub trzy dni.
  - Nie powiedział mi o tym.
  - Nie pozwolono mu tego nikomu wyjawić.
  - Czy znowu uciekł? Reacher pokręcił głową.
  - Podejrzewam, że poszedł na układ z prokuraturą wojskową. Piechota Morska zaproponowała mu wybór. Pięć lat w więzieniu Leavenworth albo zgodzi się na współpracę jako tajniak, żeby rozbić siatkę przerzutową, która transportowała ludzi z Kalifornii do Kanady. Chcieli poznać nazwiska, adresy, sposoby działania, drogi przerzutu, wszystko. Zgodził się na to, więc odwieźli go z powrotem do Los Angeles. To dlatego właśnie żandarmeria wojskowa nic ci o tym nie powiedziała. Dowiedzieli się, o co w tym wszystkim chodzi, i kazano im trzymać gęby na kłódkę.
  - Więc gdzie jest teraz Raphael? Dlaczego nie dzwoni?
  - Mój ojciec był w piechocie morskiej. Oni mają swój własny kod postępowania. Czy Raphael opowiadał ci o nim? - zapytał Reacher.
  - Jednostka, korpus, Bóg, ojczyzna - odpowiedziała Maria.
- Reacher skinął głową.
- To lista ich priorytetów według kolejności ważności. Największym priorytetem jest jednostka, towarzysze broni. Po prostu grupa najbliższych kumpli. Facetów takich jak on.
  - Nie rozumiem.
  - Myślę, że on zgodził się na układ, ale wcale nie chciał go zrealizować. Nie potrafiłby

zdradzić takich facetów jak on. Sądzę, że pojechał do Rozpaczy, ale nie zadzwonił stamtąd do piechoty morskiej. Pewnie krążył wokół miasta, próbował pozostać niewidoczny, bo w środku walczył sam ze sobą. Nie chciał wcale wiedzieć, kto jest zamieszany w przerzut ludzi, bo bał się, że mógłby to później wyznać. Pewnie trwało to kilka dni, a on opadał już zupełnie z sił. Był odwodniony i głodny. Pewnie zaczęły się halucynacje i zdecydował się na marsz do Nadziei, by ciebie odnaleźć i uciec w jakiś inny sposób.

- Gdzie on jest teraz?
- Nie udało mu się tu dotrzeć, Mario. Opadł z sił w połowie drogi. Umarł.
- Gdzie jest jego ciało?
- Ludzie z Rozpaczy się tym zajęli.
- Rozumiem.

Po chwili Reacher po raz drugi w ciągu godziny obserwował płaczącą kobietę. Vaughan ją przytuliła.

- Był dobrym człowiekiem, Mario. Był dzieciakiem, który nie mógł tego wszystkiego znieść. I na koniec nie zdradził tego, w co tak bardzo wierzył - powiedział Reacher. Powtórzył te słowa jeszcze wiele razy, w innej kolejności, na różne sposoby, z naciskiem na różne elementy, ale to i tak nic nie pomogło.

• • •

Maria była zrozpaczona, więc Vaughan zaprowadziła ją do pokoju. Wróciła do Reachera i wyszli z motelu razem.

- Skąd to wiedziałaś? - zapytała.
- Nie ma innego logicznego wytłumaczenia.
- Czy on naprawdę zrobił to, co powiedziałeś? Doprowadził swój organizm do skrajnego wyczerpania i poświęcił swoje życie?
- Marines są bardzo dobrzy w poświęcaniu samych siebie. Choć jest możliwe, że on postanowił oszukać piechotę morską już w chwili, gdy mu zaproponowali układ. Chciał się dostać do Nadziei, wziąć Marię i zniknąć.
- Marsz z Rozpaczy do Nadziei nie trwa cztery dni.
- Nie - potwierdził Reacher.
- Więc jednak się poświęcił.
- Mam przynajmniej nadzieję, że Maria tak to zrozumiała.
- Myślisz, że powiedział im o ludziach z Kalifornii?
- Nie mam pojęcia.
- Więc jeśli im nic nie powiedział, to oni nadal będą działać.
- Powiedziałaś to, jakby to była jakaś okropna rzecz.
- To może wymknąć się spod kontroli.
- Mogłabyś wykonać parę telefonów. Ich nazwiska są w rejestrze hotelowym w Rozpaczy. Mogłabyś je zdobyć i dowiedzieć się, kim są i czy nadal się tym zajmują, lub też nie zostali już aresztowani przez policję federalną.
- Przepraszam cię za to, co powiedziałam wcześniej.
- Nic się nie stało. Szli dalej.
- Nie uczyniłaś nic złego, gdy zrobiłaś to, co zrobiłaś przedwczoraj w nocy. Gdybyś się wycofała, mogłoby się okazać, że ten, kto zabił Davida, zabił również ciebie. Chcesz im się poddać? Ja nie. Chcę, żebyś miała jeszcze swoje życie.
- To brzmi jak początek mowy pożegnalnej.
- Naprawdę?
- Po co zostawać? Pentagon pierze swoje brudy po cichu, co przecież nie jest przestępstwem. Podobnie uznaliśmy, że ta druga sprawa też nie jest wielką zbrodnią.
- Jest jeszcze coś, co cały czas chodzi mi po głowie - wyznał Reacher.

Wrócili do bistro, gdzie Reacher wreszcie zjadł coś po raz pierwszy od czasu, gdy degustował ze smakiem cheeseburgera w Fort Shaw zeszłej nocy. Podniósł też poziom kofeiny we krwi, wypijając cztery kubki kawy.

- Musimy odwiedzić placówkę żandarmerii. Skoro już nawiązałaś kontakt, to może uda nam się spotkać z nimi twarzą w twarz.

- Czy znowu będziemy próbowali przejechać przez Rozpacz? - zapytała przerażona Vaughan.

- Weźmiemy twój pick-up i pojedziemy przez pustynię.

• • •

Oderwali papierki z kodami kreskowymi z nowych szyb samochodu, porem Vaughan przyniosła ręczniki papierowe i płyn do mycia szyb z kuchni i wspólnie wymyli szyby z wosku i odcisków palców. Wyjechali wczesnym popołudniem. Vaughan siedziała za kierownicą. Przejechali osiem kilometrów drogą asfaltową okręgu Nadziei i zaryzykowali piętnaście kilometrów drogą na terenie Rozpaczy. Powietrze było przejrzyste i w oddali majaczyły wierzchołki gór. Początkowo wydawały się zachęcająco blisko, a po chwili niemożliwie daleko. Pięć kilometrów przed Rozpaczą zwolnili, zjechali z drogi i rozpoczęli objazd, kierując się na północ. Miasto, które wyglądało jak widmo na horyzoncie, zostawili po lewej stronie, jadąc po łuku o promieniu pięciu kilometrów. Z tej odległości nie dało się nawet ustalić, tego czy miasto było bronione przez tłum, czy tylko przez strażników, czy też zupełnie opustoszało.

W otwartym terenie pustynnym jechali powoli. Musieli mijać skały i zarośla, przetaczać się po przeszkodach na tyle małych, że nie mogły spowodować uszkodzenia podwozia. Drabina i łom pozostawione na pace podskakiwały i stukały. Latarka odbijała się o burty skrzyni ładunkowej. Od czasu do czasu trafiali na wysuszone koryta strumieni i jechali ich meandrami z trochę większą prędkością, by po chwili znowu powoli omijać skały większe od chevroleta, kierując się na słońce. Cztery razy wjeżdżali do naturalnych koralu skalnych, musieli się wycofywać i szukać nowego przejazdu. Po godzinie miasto zniknęło za ich plecami i pojawił się zakład po lewej z przodu. Ogrodzenie błyszczało w słońcu. Parking był pusty. Nad zakładem nie unosiły się żadne dymy. Żadne iskry nie wzbijały się w niebo, nie dochodził do ich uszu żaden hałas.

- Jaki jest dzisiaj dzień? - zapytał Reacher.

- Normalny dzień pracy - odpowiedziała Vaughan.

- Naprawdę nie ma żadnego święta?

- Nie.

- To gdzie są wszyscy?

Skrećili w lewo i przybliżyli się do zakładu. Chevy wzbijał w powietrze chmurę pyłu, która byłaby widoczna nawet dla przypadkowego obserwatora. Ale nie było tam przypadkowych obserwatorów. Zwolnili i zatrzymali się trzy kilometry przed zakładem. Czekali. Pięć minut. Dziesięć. Piętnaście. Nie pojawiły się żadne krążące wokół zakładu tahoe.

- O co ci dokładnie chodzi? - zapytała Vaughan.

- Po prostu lubię sam sobie dokładnie wytłumaczyć różne dziwne sprawy - wyjaśnił Reacher.

- A czego nie możesz sobie teraz wytłumaczyć?

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego są tak zawzięci, by trzymać wszystkich z dala od swojego miasta. Przestają pracować w tajnej części zakładu tylko dlatego, że pojawiłem się kilometr dalej od tamtego miejsca. To, że znaleźli ciało Ramireza i załatwili sprawę po swojemu tak szybko i skutecznie, nie było dla nich żadnym zaskoczeniem. Nastawili swoją czujność na intruzów, wyglądali ich, a wcześniej wypracowali procedury na wypadek spotkania się z nimi. Wszyscy w mieście są w to włączeni. Gdy pojawiłem się tam po raz pierwszy, nawet kelnerka w restauracji wiedziała, jak ma się zachować w takiej sytuacji. Po co aż tak przesadnie reagowali?

- Może dlatego, że wymagała tego współpraca z Pentagonem. Robić wszystko po cichu, i tyle.

- Może. Ale nie byłbym tego taki pewien. Nie sądzę, żeby Pentagon się tego domagał. Rozpacz i tak jest w środku pustkowia; zakład znajduje się pięć kilometrów dalej i złe rzeczy dzieją się jedynie za szczelnymi murami. To wystarczający poziom bezpieczeństwa dla Pentagonu. Na pewno nie oczekiwali od mieszkańców miasteczka, by włączyli się w proces zapewniania bezpieczeństwa zakładu. Bo oni mają zaufanie do murów, odległości i położenia geograficznego, a nie do ludzi.

- A może to Thurman sam poprosił o to mieszkańców?

- Na pewno tak zrobił. Jestem tego pewien. Ale po co? W imieniu Pentagonu? A może z jakiegoś innego, prywatnego powodu?

- Niby jakiego?

- Istnieje tylko jedna logiczna możliwość. Tak naprawdę to powinno się to określić nielogiczną możliwością. Albo logiczną niemożliwością. Jedno słowo zawarte w tym, co nam odpowie żandarmeria, zdecyduje o ustaleniu prawdy.

- Jakie słowo?

- „Tak” albo „nie”.

• • •

Pojechali na zachód tak prosto, jak tylko pustynny teren im pozwolił. Dojechali do zmodernizowanej szosy dojazdowej dla ciężarówek trzy kilometry na zachód od zakładu, przejechali przez żwirowe pobocze, podskoczyli na krawędzi asfaltu i wjechali na pas ruchu. Vaughan nacisnęła mocniej gaz. Już po dwóch minutach w oddali dostrzegli bazę żandarmerii. Minutę później byli przy niej.

W straźnicy służbę pełniło czterech żołnierzy, co pewnie stanowiło dzienną obsadę posterunku. Reacher stwierdził, że to lekka przesada, więc wywnioskował, że baza była prawdopodobnie dowodzona przez porucznika, a nie sierżanta. Sierżant przypuszczalnie ustawiłby dwóch ludzi w straźnicy, a pozostali dwaj odpoczywaliby z pozostałymi żołnierzami albo patrolowali okolicę w hummerze, w zależności od rozpoznanego zagrożenia. Oficerowie byli zobligowani do oszczędzania paliwa, co sprawiło, że wysyłano hummery na patrole tylko z naprawdę ważnych powodów. Ponadto oficerowie nie lubili, gdy ich ludzie siedzieli beczynnie, i właśnie dlatego straźnica była przeludniona. Reacher nie spodziewał się jednak, że żołnierze będą na to narzekać. Albo nawet na cokolwiek. Wcześniej walczyli w Iraku, a teraz są tutaj. Rodziło się jedynie pytanie, czy ich oficer też był z nimi w Iraku. Jeśli tak, to powinien być rozsądnym człowiekiem. Jeśli nie, to mógł być dla nich jak bolący wrzód na dupie.

Vaughan minęła bazę, zawróciła na drodze i stanęła przed bramą, bardzo blisko prawej strony, by nie blokować wjazdu. Zupełnie jakby parkowała przed budynkiem straży pożarnej. Z szacunkiem dla służby.

Ze straźnicy natychmiast wyszło dwóch żandarmów. To byli ci sami goście, których Reacher spotkał za pierwszym razem. Morgan, specjalista w okularach i z kurzymi łapkami w kącikach oczu, i jego milczący partner, starszy szeregowy. Reacher wysiadł z pick-upu, trzymając ręce na widoku. Vaughan zrobiła to samo z drugiej strony półciężarówki. Podala swoje nazwisko i policyjną rangę. Morgan zaszutował w sposób, który zdradził, że sprawdzili numery jej półciężarówki, mimo usilnych starań Reachera, żeby do tego nie doszło. Zaszutował z szacunkiem, który oznaczał, że wie, kim był jej mąż i gdzie jest teraz. To powinno pomóc, pomyślał Reacher.

Potem Morgan zwrócił się do niego i popatrzył mu prosto w oczy.

- Sir?

- Ja też byłem w żandarmerii - powiedział Reacher. - Wykonywałem robotę twojego porucznika jakieś milion lat temu.



- Sir, w której jednostce?
- W Sto Dziesiątej.
- Rock Creek, w Wirginii - odparł Morgan. To było stwierdzenie, a nie pytanie.
- Byłem tam kilka razy, by dać sobie skopać tytek. Resztę czasu spędzałem w świecie.
- A gdzie w świecie?
- Wszędzie tam, gdzie wy byliście, w jakichś stu różnych miejscach.
- Sir, to bardzo interesujące, ale muszę was poprosić o odjechanie tym pojazdem.
- Spokojnie, panie kapralu. Odjedziemy, jak tylko porozmawiamy z porucznikiem.
- Na jaki temat, sir?
- To pozostanie między nim a nami - odpowiedział Reacher.
- Sir, nie mogę przeszkadzać porucznikowi tylko na takiej podstawie.
- Przejdźmy dalej, żołnierzu. Ja też czytałem instrukcje postępowania. Pomińmy kilka stron i przejdźmy od razu do części, w której ustalił pan, że sprawa jest bardzo poważna.
- Czy dotyczy to tego zaginionego szeregowego?
- Ta sprawa jest nawet bardziej interesująca.
- Sir, prosiłbym o pełniejsze wytłumaczenie.
- Równie dobrze mógłbyś prosić o milion dolarów i randkę z Miss Ameryki. Ale jakie masz na to szanse, żołnierzu?

• • •

Pięć minut później Reacher i Vaughan siedzieli wewnątrz bazy w jednym z sześciu zielonych metalowych pawilonów, twarzą w twarz z porucznikiem o nazwisku Connor. Był niskim, szczupłym mężczyzną. Mógł mieć ze dwadzieścia sześć lat. Walczył w Iraku. Reacher nie miał co do tego wątpliwości. Mundur połowy oficera był wypłowiały i znoszony, a kości policzkowe spalone słońcem. Wyglądał na kompetentną osobę i pewnie taką był-Nadal żył i nie popadł w niełaskę. Prawdopodobnie spodziewał się awansu na kapitana, a odpowiednie rozkazy już tylko czekały na podpisanie. Może spodziewał się też medalu za służbę.

- Czy to jest oficjalna wizyta przedstawiciela Departamentu Policji w Nadziei?
- Tak - odpowiedziała Vaughan.
- Czy obydwoje państwo są policjantami?
- Pan Reacher jest naszym cywilnym doradcą - odparła Vaughan.
- Więc czym mogę państwu służyć?
- Powiem krótko - zaczął Reacher. - Wiemy, że w zakładzie Thurmana przetwarzany jest zubożony uran.
- To rzeczywiście trochę mnie martwi - odpowiedział Connor.
- Nas też to trochę martwi. Zasady bezpieczeństwa wewnętrznego kraju wymagają od nas rejestracji tych miejsc, w których przechowuje się szkodliwe chemiczne substancje, jeśli znajdują się one w promieniu trzydziestu pięciu kilometrów. - Reacher powiedział to tak pewnie, jakby to była prawda. A z Departamentem Bezpieczeństwa Wewnętrznego wszystko było możliwe. - Powinniście byli nam o tym powiedzieć wcześniej.
- Wasze miasto jest oddalone od zakładu o więcej niż trzydzieści pięć kilometrów.
- Trzydzieści pięć kilometrów jest dokładnie do centrum miasta, a jedynie dwadzieścia pięć do granicy administracyjnej okręgu miejskiego.
- To informacja poufna. Nie możecie wpisać jej do rejestru - odpowiedział Connor.

Reacher skinął głową.

- Rozumiemy to. Ale mimo wszystko powinniśmy być o tym poinformowani, nawet nieoficjalnie.
- Wygląda na to, że już wiecie.
- Tak, ale chcemy zweryfikować pewne informacje. Kto się raz na gorącym sparzył, na zimne będzie dmuchał.
- Musicie porozmawiać z Departamentem Obrony.

- Lepiej, żebyśmy nie musieli. Zaczną się zastanawiać, kto puścił farbę, a pana ludzie będą pierwszymi podejrzanymi o gadulstwo.
  - Moi ludzie nie plotkują.
  - Wierzę panu, ale chyba nie chce się pan droczyć z Pentagonem i przekonywać, że to jednak nie pańscy ludzie puścili farbę?
  - O jakie informacje panu chodzi? - zapytał Connor.
  - Sądzę, że mamy prawo wiedzieć, w jaki sposób odzyskiwany uran jest stąd wywożony i którą drogą.
  - Boicie się, że pojedzie główną ulicą waszego miasteczka?
  - Właśnie.
  - Nie martwcie się. Nie będzie tamtędy jechał.
  - Czyli jest wywożony w kierunku zachodnim?
  - Nie jest nigdzie wywożony - wyjaśnił Connor.
  - Co to znaczy? - wtrąciła się Vaughan.
  - Wy nie jesteście jedynymi z ręką w nocniku. Władze stanowe też mocno zaciskają pośladki. Chcą zamknąć autostradę międzystanową i stworzyć konwój wojskowy. Niestety, mają o tym mgliste pojęcie, bo nie zajmują się tym na co dzień. Myślą, że wystarczy usuwać stąd uran raz na pięć lat.
  - Jak dawno temu wyjechał stąd pierwszy konwój?
  - Nigdy nie wyjechał. Pierwszy konwój wyjedzie najprawdopodobniej dopiero za dwa lata.
  - Więc teraz po prostu przechowują uran w zakładzie? - dociekał Reacher.
- Connor skinął głową.
- Stał wyjeżdża. Uran zostaje.
  - Ile tego tam teraz mają?
  - Jakieś dwadzieścia ton.
- Connor pokręcił głową.
- Thurman przesyła comiesięczne raporty e-mailem.
  - Podoba się to panu?
  - A co w tym jest do niepodobania?
  - Facet siedzi na kupie niebezpiecznego świństwa.
  - I co z tego? A co on może z tym zrobić?

68

Reacher i Vaughan wrócili do samochodu.

- Czy to była odpowiedź na „tak”, czy na „nie”? - spytała Vaughan.
- I na „tak” i na „nie” - odparł Reacher. - Na „nie”, bo uran nigdzie nie wyjechał; a na „tak”, bo tu pozostał.
- Czy obydwie odpowiedzi są dobre, czy obydwie są złe? Reacher pochylił głowę i spojrział przez przednią szybę wysoko na niebo. Czwarta po południu. Słońce było schowane za chmurą, ale nadal wysoko nad horyzontem.
- Cztery godziny do zmroku - powiedział. - Mamy dosyć czasu na podjęcie przemyślanej decyzji.
- Będzie padać.
- Całkiem możliwe.
- Co spowoduje splukanie większej ilości TCE do warstwy wodonośnej.
- Całkiem możliwe.
- Ale nie będziemy tu siedzieć w deszczu aż do zmroku.
- Nie. Pojedziemy do Holiday Inn w Halfway.
- Tylko pod warunkiem że weźmiemy osobne pokoje.

- Nie piernicz, Vaughan. Weźmiemy ten sam pokój co wcześniej i zrobimy dokładnie to samo co wtedy.

Ten sam pokój był zajęty, ale dostali taki sam obok. Był tej samej wielkości, tak samo pomalowany i wyposażony. Trudno byłoby go odróżnić od poprzedniego. I zrobili w nim to samo co w poprzednim. Wzięli prysznic, poszli do łóżka, kochali się. Vaughan była na początku odrobinę spięta, ale później się rozluźniła. Po wszystkim powiedziała, że David był lepszy w tych sprawach. Reacher nie poczuł się urażony. Ona chciała w to wierzyć. Co i tak zresztą mogło być prawdą.

Leżeli w skłębionej pościeli i Vaughan zaczęła eksplorować blizny Reachera. Miała drobne dłonie. Dziura w jego klatce piersiowej okazała się zbyt duża, by mógł przysłonić ją koniuszek jej małego palca. Palec serdeczny lepiej się dopasował do blizny. Każda kobieta, z którą spał, była nią zafascynowana, oprócz tej, przez którą ją dostał. Ona wołała zapomnieć. Zaczęło padać po godzinie. Lało jak z cebra. Wielkie krople waliły z impetem w dach hotelu i rozбивały się o szyby w oknach. Przyjemne uczucie, pomyślał Reacher. Lubił być pod dachem, w łóżku i wsłuchiwać się w odgłosy deszczu. Po godzinie Vaughan poszła do łazienki wziąć prysznic. Reacher został w łóżku i wertował kartki Biblii, którą znalazł w szufladzie nocnego stolika.

- Dlaczego to ma jakieś znaczenie? - spytała Vaughan po powrocie z łazienki.

- Dlaczego co ma jakieś znaczenie?

- To, że Thurman składa zubożony uran.

- Nie podoba mi się ta kombinacja. Ma dwadzieścia ton radioaktywnych odpadów i dwadzieścia ton TNT. Do tego jest entuzjastą Kościoła Dni Ostatnich. Zeszłej nocy rozmawiałem z księdzem. Powiedział, że wyznawcy tego kościoła nie mogą się wprost doczekać tych ostatnich dni i chętnie przyspieszyliby ich nadejście. Thurman sam zresztą przyznał, że niedługo mogą objawić się znaki zapowiadające owe ostatnie dni. Powiedział to w taki sposób, jakby był z tego zadowolony i jakby w tajemnicy wiedział, że to nastąpi. A całe to ich miasto wygląda, jakby czekało, aż coś się stanie.

- Thurman nie może przecież sam rozpocząć końca świata. To się stanie, kiedy ma się stać.

- Ci ludzie to fanatycy. Wydaje im się, że mogą przyspieszyć bieg wydarzeń. Próbuja wyhodować czerwone krowy w Izraelu-

- A niby w czym miałyby to pomóc?

- Mnie o to nie pytaj.

- Przecież krowy nie są niebezpieczne.

- Kolejnym znakiem ma być poważna wojna n» Bliskim Wschodzie.

- Przecież już mamy jedną.

- Ta jest za mało poważna.

- A może być jeszcze gorzej?

- I to na wiele sposobów.

- Ja osobiście nie widzę żadnych.

- No a gdyby tak dołączyło się do niej jeszcze jedno państwo?

- Musieliby zupełnie zwariować, żeby to zrobić.

- No, a gdyby tak ktoś pierwszy w nich wystrzelił?

- W jaki sposób?

- Wyobraź sobie, że na Manhattanie wybucha brudna bomba, albo w Dystrykcie Kolumbii, albo w Chicago. Co byś wtedy zrobiła? - zapytał Reacher.

- Zgodnie z tym, co mówisz, należałoby ewakuować miasto.

- A potem?

- A potem przeprowadzić śledztwo. Reacher skinął głową.

- Czyli ludzie w kombinezonach ochronnych zaczęliby myszkować po ruinach. I co by znaleźli?

- Dowody.
  - Pewnie, że tak. Odkryliby nawet materiały, z których powstała bomba. A co by zrobili, gdyby znaleźli TNT i zubożony uran?
  - Listę możliwych dostawców.
  - No właśnie. Każdy na całym świecie może sobie kupić TNT, ale zubożony uran jest jednak mniej dostępny. To produkt uboczny procesu wzbogacania, który jest przeprowadzany może w dwudziestu miejscach na świecie.
  - W krajach, które mają reaktory nuklearne.
  - No właśnie - powtórzył Reacher. - Do tego doszedłby fakt, że wyznaczona przez sprawców ofiara tego śledztwa nie miałaby zamiaru wziąć na siebie odpowiedzialności, bo ta wyznaczona ofiara nic by na ten temat nie wiedziała. Ale założmy, że podsunęto by władzom ustalony wcześniej kierunek oskarżenia.
  - W jaki sposób?
  - Pamiętasz zamach bombowy w Oklahoma City? Na budynek federalny? To był olbrzymi wybuch, ale od razu wiedzieli, że bombę ukryto w ciężarówce z wypożyczalni Ryder. I zajęło im to tylko kilka godzin. Ekipy śledcze doskonale dają sobie radę ze składaniem kawałeczków łamigłówek w całość.
  - Ale jeśli założymy, że wszystkie kawałki uranu na całym świecie są podobne do siebie?
  - Ale założmy najpierw, że jesteś finansowanym przez państwo terrorystą zza oceanu. I chcesz mieć jak największe bum za kasę, którą wyłożysz. I do tego nie masz za dużo tego uranu i budujesz bombę, więc upychasz w nią wszystko, cokolwiek się tylko do niej zmieści.
  - Co masz na myśli?
  - Może nawet kawałki wraków samochodów - powiedział Reacher.
- Vaughan milczała.
- Założmy, że faceci w kombinezonach ochronnych znajdują kawałki peugeotów i toyot w wersjach sprzedawanych tylko na określonych rynkach świata. Założmy, że znajdują fragmenty irańskich tablic rejestracyjnych.
- Vaughan przez dłuższą chwilę milczała
- Iran przeprowadza doświadczenia z uranem - powiedziała wreszcie. - Sami się tym chwalą.
  - No widzisz. I co dzieje się dalej?
  - Dochodzimy do pewnych przypuszczeń.
  - I?
  - Atakujemy Iran.
  - A potem?
  - Iran atakuje Izrael, Izrael się rewanżuje i mamy wojnę-
  - To są właśnie te poprzedzające wydarzenia - podsumował Reacher.
  - Przecież to jest chore.
  - Ci ludzie wierzą, że jak zaczną rodzić się czerwone krowy, to nadejdzie koniec świata.
  - Ci ludzie dbają o to, żeby prochy miały właściwy pochówek.
  - Bez względu na to, jak na tę sytuację patrzeć, jest to mało znaczący gest. Może nawet tylko swoisty kamuflaż, służący temu, by nikt nie zaczął im się przyglądać.
  - Nie mamy żadnych dowodów.
  - Za to mamy świra z Kościoła Dni Ostatnich z wystarczającą wiedzą techniczną, dwudziestoma tonami TNT, dwudziestoma tonami uranu, czterema wrakami irańskich samochodów i nieograniczoną liczbą kontenerów morskich, z których wiele ostatnio przemierzało szlaki handlowe Bliskiego Wschodu.
  - Myślisz, że to jest wykonalne? - zapytała Vaughan.
  - Wszystko jest wykonalne.
  - Ale żaden sędzia w Ameryce nie wystawi nakazu przeszukania na podstawie takich przesłanek. To nie są nawet poszlaki. To tylko zwariowana teoria.

- Ja nie potrzebuję nakazu sądowego. Ja tylko czekam, aż się ściemni.

• • •

Ściemniło się dwie godziny później. Razem ze zmierzchem pojawiły się wątpliwości Vaughan.

- Jeśli ty naprawdę uważasz, że to wszystko tak właśnie wygląda, to powinieneś skontaktować się z policją stanową albo z FBI.

- Musiałbym podać im swoje nazwisko. A ja nie lubię nikomu zdradzać swojej tożsamości.

- To porozmawiaj z tym porucznikiem żandarmerii. On już ciebie zna. W końcu to jego działka.

- On czeka na medale i awans. Nie zacznie bujać łodzią, w której sam siedzi.

Cały czas łało jak z cebra.

- Nie jesteś jednoosobową wyrocznią prawa - oświadczyła Vaughan.

- O co ci chodzi?

- Oprócz spraw formalnych?

- Tak, oprócz formalnych.

- Nie chcę, żebyś tam szedł. Ze względu na radioaktywność.

- Nic mi nie robi.

- Okay. Po prostu ja nie chcę tam iść. Sam powiedziałeś, że to powoduje problemy z płodnością i wady u noworodków.

- Przecież nie jesteś w ciąży.

- Mam nadzieję, że nie.

- Ja też.

- Ale to zostaje w człowieku. Może kiedyś będę chciała mieć dzieci.

Wreszcie mamy jakiś postęp, pomyślał Reacher i powiedział:

- Tylko pył stanowi pewne zagrożenie, a ten deszcz spłucze go i przytrzyma przy gruncie. I wcale nie musisz ze mną iść. Tylko mnie podwieź na miejsce.

• • •

Wyjechali trzydzieści minut później. Halfway nie było dużym miastem, ale ruch wyjątkowo wydłużył przejazd. Ludzie kierowali ostrożnie, jak to zwykle bywało na suchych terenach nagle nawiedzonych przez ulewę. Ulicami spływała woda, tworząc koryta rzek. Vaughan włączyła największą prędkość wycieraczek. Wściekle zamiatały szybę z prawej na lewo i z powrotem. Dostrzegła wyjazd na wschód i skręciła. Już po minucie stary chevy był jedynym samochodem na drodze. Jedynym na wiele kilometrów dookoła. Deszcz walił w przednią szybę i stukał zaciekle w dach.

- Bardzo dobrze - oświadczył Reacher.

- Serio?

- Wszyscy schowali się w domach. Cały zakład będzie tylko dla nas.

Trzydzieści minut później minęli bazę żandarmerii wojskowej. W strażnicy nadal służbę pełniło czterech żołnierzy. Mieli na sobie przeciwdeszczowe peleryny. Pomarańczowe, nocne światło podświetlało miliony małych kropelek na szybach, tworząc z nich małe brylanciki.

- Czy Thurman poleci w taką pogodę? - spytała Vaughan.

- Nie ma takiej potrzeby, bo wczoraj nie pracowali. Jechali dalej. Przed sobą w oddali zobaczyli poziomą srebrną linię niebieskiego światła. Zakład był oświetlony. Wyglądał na znacznie mniejszy niż wcześniej. Jakby odsunął się jakieś dziesięć kilometrów na południe w stronę horyzontu. Ale gdy podjechali bliżej, zauważyli, że jednak stawał się coraz większy. To poświata wydawała się mniejsza, ponieważ tylko najdalsza część zakładu była oświetlona. Tajna część.

- Widzisz. Teraz pracują - powiedziała Vaughan.

- To dobrze. Może zostawili otwarte bramy.

Niestety nie. Brama dla pracowników i główna brama dla ciężarówek były zamknięte.

Większość zakładu była pogrążona w ciemności. Prawie dwa kilometry dalej tajna część kusiała swoją jasnością.

- Jesteś pewien, że chcesz tam iść? - spytała Vaughan.

- Tak.

- Okay. To dokąd cię zawieźć?

- W to samo miejsce, gdzie byliśmy wcześniej. Wyjeżdżone przez tahoe pustynne koleiny były wypełnione

wodą i grząskie. Chevrolet ślizgał się, kręcił w miejscu kołami i powoli sunął naprzód. Vaughan udało odnaleźć się właściwe miejsce.

- Teraz podjedź tyłem do ogrodzenia - poprosił Reacher. Koła zakreśliły się w miejscu i z oporem wyjechały z kolein.

Vaughan zatrzymała się tak, że skrzynia ładunkowa pick-upu znalazła się głęboko pod wyrzuceniem metalowego cylindra. Tylne szyby kabiny znajdowała się mniej więcej tam gdzie wcześniej przednia szyba crown victorii.

- Powodzenia - rzuciła.

- Nie martw się. Najgorsze, co może mi się przydarzyć, to zapalenie płuc.

Wyszedł na deszcz i przesiąkł wodą do suchej nitki, zanim zdążył zabrać sprzęt ze skrzyni ładunkowej. Przykucnął koło pick-upu i rozciągnął drabinę do lekko odgiętego L, które tak dobrze zdało egzamin za pierwszym razem. Schował latarkę do kieszeni i zaczął język łomu o drugą kieszeń. Ustawił drabinę w pionie i oparł podstawę o ścianę burty skrzyni ładunkowej przylegającej do kabiny. Pozwolił jej trochę opaść do przodu, aż krótsza noga L oparła się prosto o wierzchołek cylindra, wywołując ostry chrzęst aluminium o stal, który zabrzmiał dwa razy: pierwszy raz natychmiast przy zetknięciu, a drugi kilka sekund później, gdy rozszedł się po pustej przestrzeni w cylindrze i powrócił odbity i wzmocniony.

Reacher wspinał się z powrotem na skrzynię ładunkową. Deszcz odbijał się o metal i smagał Jacka po łydkach. Stukał po powierzchni cylindra nad jego głową i spływał z wypukłości niczym płaski szeroki wodospad. Reacher stanął na drabinie i zaczął się wspinać. Deszcz tłukł go po plecach. Grawitacja ciągnęła łom w dół, tak że odbijał się o każdy stopień drabiny. Stal o aluminium, aluminium o stal; dziwny harmoniczny dźwięk modulowany przez krople ulewnego deszczu. Reacher pokonał zagięcie drabiny i się zatrzymał. Cylinder był pokryty błyszczącą farbą, a jego powierzchnia stała się jeszcze bardziej śliska od deszczu. Manewrowanie ciałem po powierzchni cylindra było bardzo trudne już za pierwszym razem. A teraz będzie jeszcze gorzej.

Wyciągnął latarkę z kieszeni. Trzymając ją zapaloną w zębach, obserwował, jak woda rozchodzi się po cylindrze. Wybrał miejsce, gdzie rozdzielała się i spływała w obie strony. Górny wierzchołek cylindra był jak wododział. Reacher wdrapał się na sam szczyt, zsunął się z drabiny i usiadł na metalu. Dziwne uczucie. Mokra bawełna na mokrej farbie. Niebezpiecznie. Brak tarcia. Spływająca woda groziła, że zmiecie go z powierzchni walca.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad dalszymi ruchami. Musiał przekreślić się wokół swej osi, unieść drabinę i usadowić ją z drugiej strony ogrodzenia w lustrzanym odbiciu do obecnego położenia. Ale nie mógł się ruszyć, bo każdy ruch spowodowałby zniweczenie kruchej równowagi. Pierwsze prawo dynamiki Newtona - każda akcja powoduje reakcję. Gdyby przekreślił korpusem w lewo, to reakcja spowodowałaby ruch dolnej części ciała w prawo i ześlizgnąłby się z cylindra. Skuteczne ogrodzenie, pomyślał, projekt i wykonawstwo jakby wzięte z wzorców Departamentu Więziennictwa.

Ponad cztery metry do poziomu gruntu. Przeżyłby kontrolowany upadek, pod warunkiem że nie spadnie na kłębówisko pogiętych prętów i złomu. Ale nie mając w środku drabiny, nigdy nie wydobędzie się na zewnątrz.

Chyba że bramy miały prostsze zabezpieczenia zamków od wewnątrz niż zaniki cyfrowe o niezliczonej liczbie kombinacji. A może udałoby mu się zbudować drabinę ze złomu? A może

nauczyły się spawać i coś by sobie skonstruował? A może jednak nie.

Będę się tym martwić później, pomyślał. Siedział jeszcze przez moment na deszczu, po czym oderwał się od wierzchołka cylindra, przekręcił na brzuch i zaczął ześlizgiwać się z piskiem palców o mokłą powierzchnię metalu. Po oderwaniu się od ogrodzenia spadał przez pustą przestrzeń, jeden ułamek sekundy, potem drugi i trzeci.

Uderzył w ziemię znacznie później, niż to sobie wyobraził, ale na szczęście nie było pod nim żadnej kupy złomu, a nogi w kontakcie z ziemią w naturalny sposób ugięły się w kolanach. Reacher zwałił się na jedną stronę. Łom, na szczęście, poleciał w drugą. Latarka też gdzieś pofrunęła. Stracił na chwilę dech w piersiach. Ale to było wszystko, co mu się złego przytrafiło. Usiadł i po szybkiej autoobdukcji stwierdził brak obrażeń fizycznych, poza błotem i tłustą mazią na całym ubraniu.

Wstał i wytarł ręce o spodnie. Znalazł latarkę. Leżała metr dalej i nadal jasno świeciła. Wziął ją w jedną rękę, łom w drugą i stał przez chwilę za piramidą z pustych beczek po oleju. Wysunął się stamtąd i zaczął iść na południowy zachód. Dookoła majaczyły ciemne kształty. Dźwigi, suwnice, zginiatarki, tygle, stosy złomu. Za nimi wyłaniał się nadal jasno oświetlony ogrodzony teren zamknięty.

Jego światła tworzyły kształt litery T. Bardzo niskiej litery. Linia poprzeczna tworząca daszek litery T błyszczała jasno i ciągnęła się na kilometr. Ponad tą linią światło wydostające się z zewnątrz rozpraszało się na wszystkie strony w przesiąkniętym deszczem powietrzu. Pod długim daszkiem T była bardzo krótka pionowa nóżka. Może miała ze cztery metry wysokości. I to wszystko. Może dziesięć metrów szerokości. Dostyc krótka i pękata nóżka jak na taki długi daszek. Ale była.

Brama prowadząca do utajnionego terenu była otwarta. Zaproszenie. A najprawdopodobniej zasadzka. Jak ćmy do ognia. Reacher patrzył na bramę przez dłuższą chwilę i w końcu ruszył w jej kierunku. Latarka oświetlała tęczowe kałuże. Olej i maź pływały dookoła. Deszcz wypłukiwał tłuste osady z ziemi na powierzchnię. Trudno było poruszać się pieszo w takich warunkach. Wystarczyło zaledwie dziesięć kroków, by buty Reachera oblepiły się grudami lepkiego błota. Co krok stawał się od tego wyższy. Gdy tylko latarka trafiała na jakiś stos dwuteowników albo kupę powyginanych prętów zbrojeniowych, zatrzymywał się i wycierał o nie podeszwy. Ubranie było bardziej mokre niż gdyby wpadł do basenu kąpielowego. Włosy okleiły głowę, a woda ciekła po nich wprost do oczu.

Z daleka dostrzegł białe tahoe niczym rozmyte widma w ciemności. Stały zaparkowane obok siebie po lewej stronie bramy wjazdowej dla ciężarówek. Trzysta metrów dalej. Ruszył prosto w ich kierunku. Szedł siedem minut, wykorzystując połowę swoich możliwości ze względu na rozmiękczony grunt. Gdy do nich dotarł, skręcił w prawo i zbadał bramę dla pojazdów. Nie miał szczęścia. Od wewnątrz zamontowano w niej taki sam zamek cyfrowy jak na zewnątrz. Te same trzy miliony kombinacji. Odwrócił się i poszedł wzdłuż ogrodzenia, mijając biuro ochrony, gabinet Thurmana, biuro operacyjne. Zatrzymał się przed biurem działu zakupów. Zeskrobał błoto z butów i wszedł po schodach. Paznokciami odkręcił śruby mocujące sztabę kłódki. Drzwi się otwały. Wszedł do środka.

Podszedł do szeregu szafek z dokumentami, przesunął się na prawo i otworzył szufladę oznaczoną literą T. Wyciągnął teczkę firmy telekomunikacyjnej Thomas - dostawcy telefonów komórkowych. Do zamówienia przyczepiony był gruby plik kartek. Umowy, szczegóły, rozliczenia, podatki, opłaty, rabaty, rodzaje, modele. I numery telefonów. Oderwał fragment kartki z numerami, złożył ją i schował do kieszeni spodni. Wyszedł na deszcz.

Dwa kilometry i czterdzieści minut później zbliżał się do bramy utajnionego terenu.

Brama wewnętrzna była nadal otwarta, a utajniony teren jasno oświetlony. Z bliska światło wydawało się wręcz boleśnie jasne. Wydobywało się przez otwartą bramę, tworząc świetlistą

sztabę. Na zewnątrz bramy światło rozszerzało się i rozlewało na boki, jakby były to promienie latarni morskiej.

Reacher przygnał do ogrodzenia i zbliżał się do wejścia od prawej strony. Zatrzymał się w ostatnich centymetrach cienia i nasłuchiwał. Przez szum deszczu nie potrafił czegokolwiek usłyszeć. Odczekał pełną minutę i wszedł w jasność. Jego cień poruszał się za nim, miał chyba z piętnaście metrów długości. Żadnej reakcji.

Szedł szybko, ale swobodnym krokiem. Nie miał innego wyjścia. Był tak oświetlony i nieosłonięty jak striptizerka na i scenie nocnego klubu. Ziemia pod stopami miała głębokie 1 Wyzłobienia. Szedł po kostki w wodzie. Z przodu po lewej stała | pierwsza artystyczna piramida kontenerów ustawionych w kształt f otwartej litery V, rozszerzająca się w stronę środka terenu. Jakies I dziesięć metrów na prawo Reacher dostrzegł kolejną piramidę, I także w kształcie litery V. Ruszył w stronę przerwy między | nimi. Przeszedł i znalazł się na arenie wewnętrznej utajnionego terenu.

i Doliczył się ośmiu piramid z kontenerów ustawionych w olbrzymi okrąg. Osłaniały obszar wielkości ponad dziesięciu hektarów, na którym stały dźwigi, suwnice, zgniatarki, spychacze i buldożery, wózki i platformy transportowe, przyczepy wypełnione drobniejszym sprzętem: zwojami drutu, palnikami acetylenowymi, butlami z gazem, młotami pneumatycznymi, myjkami ciśnieniowymi, prostymi narzędziami. Cały sprzęt był pokryty brudem, poobijany, bardzo zużyty. Gdzieś leżały stosy porzuconych fartuchów i masek ochronnych spawaczy.

Oprócz urządzeń przemysłowych znajdowały się tu dwa obiekty interesujące Reachera.

Pierwszy z nich, po prawej, był górą wraków czołgów bojowych może dziesięć metrów wysokości i piętnaście metrów średnicy u podstawy. Wyglądało to jak cmentarzysko słoni z groteskowego prehistorycznego koszmaru. Pogięte lufy armat sterczały w powietrzu niczym gigantyczne kły albo połamane żebra. Charakterystyczne, szerokie i płaskie, rozdarte jak puszki wieżyczki leżały byle jak na stosach. Garbate pokrywy silników stały na boku piramidy poukładane jak talerze na suszarce do naczyń, niektóre były poszarpane i pogięte. Boczne osłony gaśnic walały się wszędzie, w większości pomięte jak sreberka od czekolady. Fragmenty pancerzy korpusów leżały poplątane w stosach. Niektóre z nich zostały zdemontowane przez robotników Thurmana. Większość była właśnie rozbierana przez kolejne ekipy robotników, przypuszczalnie przy użyciu różnych metod. To oczywiste. Gdzieś na pancerzach dawały się zauważyć ślady pustynnego kamuflażu. Ale nie za dużo. W większości metal był wypalony na czarno. Wyglądał zimno w ostrym, niebieskim świetle jupiterów. Błyszczał jedynie od deszczu. Reacherowi wydawało się, jakby nadal czuł dym unoszący się z wraków i słyszał krzyki uwięzionych żołnierzy.

Odwrócił się. Spojrzał w lewo.

Drugi obiekt zainteresowania był sto metrów na wschód.

To osiemnastokołowy siodłowy zestaw drogowy.

Potężna ciężarówka. Gotowa do jazdy. Ciągnik, naczepa i niebieski czterdziestostopowy kontener „China Lines” na naczepie. Ciągnik był wielki i kanciasty - marki Peterbuilt. Stary, ale zadbany. Naczepa była platformą o konstrukcji szkieletowej. Sam kontener wyglądał tak samo jak każdy inny kontener, który Reacher widział w życiu. Przemierzył dzielącą go do niego odległość - sto metrów w dwie minuty, przez błoto i wodę. Obszedł ciężarówkę dookoła. Ciągnik robił wielkie wrażenie. Doskonale położony lakier, zewnętrzny filtr powietrza wielkości beczki po oleju, przestrzeń wypoczynkowa za szoferką, dwie wielkie chromowane pionowe rury wydechowe, cały las różnych anten, tuzin lusterek wielkości talerzy obiadowych. Sam kontener wyglądał zupełnie zwyczajnie i byle jak w porównaniu z ciągnikiem. Wyblakła farba, wytarte napisy, sporo wgnieceń i zadrapań. Do naczepy przymocowano go klamrami. Miał podwójne drzwi zabezpieczone czterema bolcami zablokowanymi w dociskach. Nie miały klódek.



Ani żadnych plastikowych plomb z informacjami. Reacher przełożył łom do jednej ręki i podciągnął się na nim do góry, stając ostrożnie stopami na śliskim stopniu poprzeczniczy naczepty. Wolną ręką uchwycił dźwignię dociskową i spróbował ją odwieść.

Nawet nie drgnęła.

Została przyspawana. Gruba gąsienica spawu o długości trzech centymetrów została wtopiona w szczelinę. To samo zrobiono z pozostałymi dźwigniami. Drzwi zostały zespawane ze sobą i dodatkowo z ramami kontenera. Równy szereg świeżych punktowych spawów co dziesięć centymetrów zamazanych na ciemno niebieską farbą. Reacher wcisnął język łomu w miejsce między dwoma spawami i mocno pociągnął.

Bez rezultatu. To było nienaruszalne. To tak, jakby próbować podnieść samochód za pomocą pilniczka do paznokci.

Zszedł na dół i jeszcze raz obejrzał klamry mocujące kontener. Zostały mocno zaciśnięte. I także przyspawane.

Rzucił łom na ziemię i odszedł. Zwiedził cały obszar wewnętrzny i całą część z tyłu piramid kontenerów na całej długości wewnętrznego obwodu ogrodzenia. Długi spacer. Zabrało mu to ponad godzinę. Wrócił w miejsce, z którego wyszedł z drugiej strony. Brama do części zamkniętej była dwieście metrów od niego.

I właśnie wtedy zaczęła się zamykać.

70

Bramy były sterowane silnikami elektrycznymi. Zasilane elektrycznością. To był pierwszy absurdalny wniosek Reachera. Zamykały się powoli, jednostajnie, ze stałą prędkością. Zbyt jednostajnie i równo, by były zamykane ręcznie. Zamykały się bezlitośnie, trzydzieści centymetrów na sekundę. Skrzydła bramy ustawiły się już prostopadle do ogrodzenia. Każde skrzydło miało cztery i pół metra szerokości. Reacher obliczył czas pozostały do zamknięcia kąta prostego na podstawie drogi ośmiu metrów, którą musiała pokonać wewnętrzna pionowa krawędź skrzydła.

Dwadzieścia cztery sekundy. Żaden problem dla młodego sprintera na bieżni stadionu. Na pewno dyskusyjna sprawa dla sprintera w piętnastocentymetrowym błocie. Zupełnie niemożliwe do wykonania dla Reachera. Mimo to ruszył instynktownie, ale zaraz zwolnił, gdy arytmetyczne wyliczenia przebiły się do świadomości.

Rozpoznał ich od razu, po wielkości, kształcie, posturze i ruchach. Po prawej stał Thurman. Po lewej wielkolud z kluczem w rękach. W środku zarządca zakładu. Przed sobą popychał Vaughan. Mężczyźni bez trudu poruszali się w wodzie. Mieli na sobie żółte przeciwdeszczowe płaszcze, nieprzemakalne kapelusze kowbojskie z szerokimi rondami i kalosze. Vaughan nie miała na sobie żadnej ochrony przed nawałnicą. Była przemoknięta do suchej nitki. Włosy przykleiły się jej do głowy. Kuląła, jakby co parę kroków dostawała kuksańca w plecy.

Zbliżali się do niego.

Reacher też ruszył w ich stronę.

Brama zamknęła się zupełnie, wydając metaliczny stuk, który usłyszeli dwa razy, raz w czasie rzeczywistym i drugi raz, gdy wrócił odbity echem. Echo przebrzmiało i Reacher usłyszał, jak zwalnia się solenoid i bolec wchodzi w blokadę, jakby był to pojedynczy wystrzał ze strzelby dochodzący z daleka.

Cztery postacie nadal się zbliżały.

Reacher szedł w ich kierunku.

Spotkali się na środku zamkniętego obszaru. Thurman i jego ludzie zatrzymali się i stali nieruchomo półtora metra od wyimaginowanej linii, która biegła od góry czołgów do osiemnastokątowej ciężarówki. Reacher zatrzymał się półtora metra z drugiej strony tej linii. Vaughan szła dalej. Doszła do Reachera, stanęła u jego boku i położyła rękę na jego ramieniu.

Dwoje na trzech.

- Co pan tu robi? - zawołał Thurman.

Reacher słyszał deszcz uderzający w płaszcze przeciwdeszczowe. W trzech facetów, trzy grzbiety, trzy kapelusze z impregnowanego włókna.

- Rozglądam się dookoła i przyglądam - odpowiedział.

- Czemu?

- Wszystkiemu, co tu macie.

- Tracę cierpliwość - oświadczył Thurman.

- Co jest w ciężarówce? - zapytał Reacher.

- Jak można być tak bezczelnym i uzurpować sobie prawo do poznania odpowiedzi na to pytanie?

- To żadna bezczelność - odparł Reacher. - Tylko prawo dżungli. Odpowiesz, to wyjdę. Nie odpowiesz, nie wyjdę.

- Moja tolerancja wobec pana zachowania jest na wyczerpaniu - oświadczył Thurman.

- Co jest w ciężarówce?

Thurman głośno wciągnął powietrze do płuc i głośno je wypuścił. Spojrzał na prawo, na swojego zarządcę, potem na wielkoluda z wielkim kluczem w rękach. Zerknął na Vaughan i znowu na Reachera.

- Co jest w ciężarówce? - nalegał Reacher.

- W ciężarówce są dary - odpowiedział Thurman.

- Jakie dary?

- Ubrania, koce, środki medyczne, okulary, protezy, suszona żywność, mleko w proszku, woda demineralizowana, antybiotyki, witaminy, sklejka budowlana. I mnóstwo innych rzeczy.

- Skąd pochodzą te dary?

- Zostały zakupione za pieniądze ze składek mieszkańców Rozpaczy.

- Po co?

- Bo Jezus powiedział, że błogosławiony jest ten, który daje, a nie ten, który bierze.

- Dla kogo są te dary?

- Dla Afganistanu. Dla uchodźców, bezdomnych i ubogich.

- Dlaczego kontener jest zaspawany?

- Bo jest przed nim długa i ciężka droga przez wiele krajów i obszarów plemiennych, których zarządcy okradają konwoje z pomocą humanitarną. A kłódki na kontenerach można rozwalić młotkiem. Jak sam pan wie.

- Po co to wszystko ładowaliście tutaj? W wielkiej tajemnicy.

- Bo Jezus powiedział, że gdy udzielasz jałmużny, to lewa ręka nie powinna wiedzieć, co czyni prawa, by jałmużna pozostała w sekrecie. My tu żyjemy zgodnie z Pismem Świętym, panie Reacher. I pan też powinien.

- To po co angażować całe miasto w obronę jednej ciężarówki pełnej darów?

- Bo my wierzymy, że pomoc charytatywna nie musi wynikać ani z rasy, ani z wiary. Mamy dary dla muzułmanów, a nie każdemu w Ameryce mogłoby się to spodobać. Niektórzy uważają, że można dawać tylko innym chrześcijanom. Może w istocie wkradł się w nas bojowy duch. Chociaż to właśnie sam Mahomet powiedział, że dary powinno się przekazywać jedynie w swojej rodzinie współwyznawców. Ale nie Jezus. Jezus powiedział, że jeśli chcesz, żeby ludzie czynili tobie dobro, to ty wpierw uczyn im dobro. Nakazał miłować wrogów swoich i modlić się za prześladowców, by być godnymi synami Ojca swojego, który jest w niebie.

- Gdzie są samochody z Iranu? - pytał dalej Reacher.

- Jakie samochody?

- Samochody z Iranu.

- Przetopione i wysłane w postaci prętów - odpowiedział Thurman.
- A gdzie jest TNT?
- Jakie TNT?
- Kupił pan dwadzieścia ton TNT od Kearny Chemical. Trzy miesiące temu.

Thurman się uśmiechnął.

- Ach, o to chodzi. To był błąd - odparł. - Błąd w kodowaniu zamówienia. Nowa dziewczyna w biurze pomyliła się o jedną cyfrę i zamiast TCE dostaliśmy TNT. Są obok siebie w ofertach katalogowych Kearny. Jeśli jest pan chemikiem, to zrozumie pan dlaczego. Odesłaliśmy to natychmiast z powrotem, tą samą ciężarówką. Nawet nie rozładowywaliśmy. Gdyby pan włamał się także do naszego działu księgowości, to zobaczyłby pan dalszą dokumentację z wnioskiem o przeksięgowanie i rozliczenie transakcji.

- Gdzie jest uran?
- Jaki uran?
- Wyciągnął pan dwadzieścia ton zubożonego uranu z tych czołgów, a ja nigdzie go na tym terenie nie widziałem.
- Stoi pan na nim.

Vaughan i Reacher spojrzeli pod nogi.

- Jest zakopany w ziemi. Poważnie podchodzę do spraw bezpieczeństwa. Mógłby go ktoś ukraść i wykorzystać do wyprodukowania brudnej bomby. Rząd stanowy nie zgadza się, by armia na razie go stąd ruszała. Więc trzymam go w ziemi.

- Nie widzę śladów kopania - stwierdził Reacher.
- To przez deszcz. Wszystko jest rozmyte. Jack milczał.
- Zadowolony? - zapytał Thurman.

Reacher spojrzął na prawo na osiemnastokółową ciężarówkę. Na lewo, na stojącą koparkę. Pod nogi, na ziemię. Deszcz odbijał się od kałuż i płaszców przeciwdeszczowych.

- Zadowolony? - powtórzył Thurman.
- Może tak, ale najpierw muszę dokądś zadzwonić - odparł Reacher.
- Dokąd?

- Myślę, że pan wie.

- Nie mam pojęcia. Reacher milczał.

- No dobrze, to nie jest najlepsza pora na rozmowy telefoniczne - zawyrokował Thurman.

- Ani najlepsze miejsce. Poczekam, aż wrócę do miasta. Albo do Nadziei. Albo do Kansas - odpowiedział Reacher.

Thurman spojrzął w kierunku bramy. Potem ponownie się odwrócił.

Reacher skinął głową.

- Nagle nasza pana ochota, by sprawdzić, które numery znam? - spytał.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Myślę, że dobrze pan wie.

- To proszę mi powiedzieć.

- Nie.

- Oczekuję odrobiny uprzejmości i szacunku wobec mojej osoby.

- A ja chcę oglądać mecz finałowy na Yankee Stadium. Myślę, że obaj mamy marne szanse.

- Proszę pokazać, co pan ma w kieszeniach - zażądał Thurman.

- Boi się pan o te numery? Może mam je w pamięci?

- Wywróć kieszenie!

- Zmuś mnie do tego!

Thurman zamilkł. Jego oczy zwęziły się w szparki, a na twarzy pojawił się znany już Reacherowi wyraz odległej kalkulacji. Jak przed lotem piperem. Długa gra, osiem ruchów naprzód. Trwało to sekundę albo dwie, po czym Thurman nagle się cofnął i podniósł prawą rękę. Plastikowy rękaw płaszcza wysunął się na deszcz, krople zaczęły wybijać na nim swój

rytm. Thurman machnął na swoich pracowników, nakazując im atak. Zrobili dwa długie kroki do przodu i się zatrzymali. Zarządca trzymał ręce luźno opuszczone po bokach, a wielkolud stukał końcem klucza o dłoń, zaciskając na nim palce przy każdym uderzeniu. Mokry metal na mokrej skórze.

- To niezbyt uczciwa walka - stwierdził Reacher.
- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej - odpowiedział Thurman.
- Miałem na myśli to, że nie jest uczciwa dla nich. Cięli uran. Są chorzy - oznajmił Reacher.
- Dadzą sobie radę.
- Tak jak Underwood?
- Underwood był głupi. Dałem im maski tlenowe, a on nie chciał jej założyć. Był zbyt leniwy.
- A czy ci faceci nosili swoje?
- Oni tu nie pracowali. Są w doskonałym zdrowiu. Reacher spojrzał na zarządcę, a potem na olbrzyma.
- Czy to prawda? Nie pracujecie tutaj? - zapytał ich. Pokręcili głowami.
- I jesteście zdrowi? Skinęli głowami.
- I na pewno chcecie być zdrowi dłużej niż tylko przez następne dwie minuty? - pytał dalej Reacher.

Obaj uśmiechnęli się i podeszli jeszcze bliżej.

- Zrób to, Reacher. Pokaż mu kieszenie - wtrąciła się proszącym głosem Vaughan.
- Naprawdę się o mnie martwisz?
- Ich dwóch, ty sam. Jeden jest taki jak ty, ale drugi znacznie większy.
- Dwa na dwa - odparł Reacher. - Przecież ty tu jesteś.
- Co ja mogę poradzić? Daj sobie spokój i chodźmy stąd. Reacher pokręcił głową i odpowiedział:

- To, co mam w kieszeni, to moja sprawa.

Obaj mężczyźni jeszcze bardziej się przybliżyli. Zarządca był po prawej od Reachera, a olbrzym po lewej. Już dość blisko, ale jeszcze nie na wyciągnięcie ramion. Deszcz głośnie stukał o ich płaszcze. Woda ciekła z włosów Jacka prosto do jego oczu.

- Wiecie dobrze, że nie musicie tego robić. Możemy wyjść stąd jak przyjaciele - zaproponował Reacher.
- Nie wydaje mi się - odpowiedział zarządca.
- Więc nie wyjdziecie stąd o własnych siłach.
- Nie szpanuj. Reacher milczał.

Zarządca spojrzał na olbrzyma.

- Bierzemy go - rzucił. Najpierw pomyśl o odwecie.

Reacher zamarkował atak na wielkoluda. Facet odskoczył do tyłu zdziwiony. Do akcji ruszył zarządca, posuwając się w kierunku zachodnim. Walka nabierała rozpędu, choć na razie wyglądała jak niezwykle balet. Reacher bardzo uważnie wbił stopy w błoto, odskoczył w drugą stronę, na prawo, na wschód i wałnął zarządcę łokciem w korpus. To było zderzenie o sile dwustu kilogramów. Jeden facet w lewo, drugi w prawo, a łokieć wielkości ananasa wylądował nieznacznie powyżej żołądka. Żołądek jest umiejscowiony wysoko w ciele człowieka. Tuż nad nim znajduje się splot trzewny, największe centrum kontroli autonomicznego układu nerwowego sterującego komorą trzewną. Popularnie nazywany jest splotem słonecznym. Silny cios w splot może całkowicie wyłączyć człowieka. Rezultat uderzenia to potworny ból i spazmatyczne skurcze przepony. W efekcie ktoś uderzony w splot słoneczny pada na ziemię i ma trudności z oddychaniem.

Zarządca zwałił się na ziemię.

Upadł twarzą w trzydziestocentymetrową koleinę wypełnioną wodą. Reacher kopnął go tak, żeby facet przekreślił się na bok i nie utonął. Przekroczył wijącą się na ziemi formę życia,

stanął na wolnej przestrzeni, rozglądając się dookoła. Thurman cofnął się o pięć metrów. Vaughan wrosła w ziemię. Wielkolud stał przygarbiony trzy metry dalej i trzymał długi klucz. Przypominał wymiatacza, który z baseballowym kijem czeka na rzut piłką.

Reacher patrzył prosto w oczy wielkoluda.

- Odsuń się stąd, Vaughan - ostrzegł ją. - On zaczyna wymachiwać tym świństwem. Mógłby cię niechcący uderzyć.

Wyczuł, że Vaughan nie zareagowała, więc odszedł jeszcze bardziej na bok, pozostawiając ją w bezpiecznej odległości od walki. Wielkolud ruszył za nim w swoich wielkich gumiakach, rozbryzgując na boki wodę z kałuż. Unikając starcia, Reacher odsunął się jeszcze dalej na północ, w stronę Thurmana. Ten zaś znowu się wycofał, zachowując bezpieczny dystans. Reacher zatrzymał się w miejscu. Olbrzym zakręcił kluczem wokół głowy, potem starał się ugodzić przeciwnika w bark. Jack w porę odskoczył, dlatego klucz trafił w pustą przestrzeń i zatoczył pełny okrąg.

Reacher zrobił kolejny krok do tyłu.

Olbrzym ruszył za nim.

Reacher się zatrzymał.

Olbrzym zamachnął się kluczem.

Reacher się cofnął.

Dwanaście hektarów areny do walki. Jack nie był zbyt szybki czy nadzwyczaj zwinny, za to o wiele żwawszy niż ktoś cięższy od niego o pięćdziesiąt kilo. Poza tym z natury był silny i hardy, bo urodził się dokładnie do tego, czym przez całe życie się zajmował. Nie miał za sobą dwudziestu lat spędzonych w siłowni ani nigdy nie opychał się sterydami. A jego przeciwnik najwyraźniej tak. Oddychał ciężko, a każdy nietrafiony zamach kluczem zwiększał jego wściekłość i poziom adrenaliny, przez którą stawał się coraz mniej ostrożny. Reacher cały czas pozostawał w ruchu, markował ciosy, unikał uderzeń, zatrzymywał się. W końcu wielkolud zrozumiał tę grę. Przy piątym zamachu kluczem mierzył metr za plecami Reachera. Jack przeczuł ten ruch, obserwując pełne wściekłości oczy olbrzyma, i uchylił się do przodu. Klucz przeleciał przez pustą przestrzeń. Reacher okręcił się wokół wielkoluda, ugiął kolana i wbił łokieć w jego plecy na wysokości nerek. Odsunął się dwa, trzy kroki i stał nieruchomo z opuszczonymi ramionami. Olbrzym się odwrócił. Wyglądało na to, że cały zeszywniał i osłabł, lecz znowu się rzucił z kluczem na Reachera, który po raz kolejny skutecznie się uchylił.

To przypominało walkę z bykiem. Z tym że IQ wielkoluda było zaledwie kilka punktów wyższe od IQ byka. Po niespełna tuzinie bezowocnych ataków kluczem zrozumiał wreszcie, że te ataki są bezsensowne. Odrzucił klucz w błoto i szykował się do natarcia ciałem. Reacher się uśmiechnął, bo zdawał sobie sprawę z tego, że cios w nerki i niecelne ciosy kluczem zaczęły przynosić oczekiwane rezultaty. Facet dyszał i lekko się zataczał.

Zmęczenie i nadmiar adrenaliny wypaliły jego energię. Staczał się po równi pochyłej. Tyle że jeszcze tego nie wiedział. Za to Reacher tak. Thurman też.

Zaczął z pośpiechem iść w stronę bramy, ale ten pośpiech niezbyt mu się udawał. Był już starym człowiekiem, do tego ubranym w ciężki przeciwdeszczowy płaszcz i niewygodne gumiaki obciążone błotem.

- Vaughan, nie pozwól mu wyjść przez bramę - zawołał Reacher. - On musi tu zostać.

Dostrzegł kątem oka, jak jej drobna sylwetka ruszyła w północnym kierunku. I zaraz potem zobaczył, że wielkolud rzuca się na niego. Zwariowany atak z odległości pięciu metrów. Sto sześćdziesiąt kilogramów szarżujących jak lokomotywa. W porównaniu z nim Reacher wyglądał na drobnego i nieruchawego faceta. Może kiedyś olbrzym był szybki na boisku do futbolu, ale nie teraz i nie tutaj. Jego kalosze ślizgały się po grudach błota. Dawaly słabe oparcie. Leciał na Reachera jak ramię opadającego cepa. Jack zamarkował ruch w lewo, ale odskoczył w prawo i podciął nogi olbrzymowi, który zwałił się w wodę i sunął poślizgiem po

blocie przez cały metr. Reacher nagle poczuł potężne uderzenie w plecy, jakby został potracony przez ciężarówkę. Padł na ziemię, nabrał wody i błota w usta i ostatkiem refleksu uchylił się na bok przed kolejnym ciosem, który minął go zaledwie o kilka centymetrów. To był zarządca zakładu.

Znowu dwóch na jednego.

Niska skuteczność walki.

Zarządca przypuścił kolejny atak sierpowym. Reacherowi udało się go uniknąć i dostrzegł, jak olbrzym podnosi się niemrawo z ziemi. Jego ręce i nogi ślizgały się w mazi błotnej. Piętnaście metrów dalej Vaughan złapała Thurmana za poję płaszcz. Próbował się jej wywinąć. Może nawet miał przewagę-Zarządca znowu zaatakował. Reacher odskoczył w bok i pięść zaledwie musnęła jego barki, ale za to otarła się o siniak, który zaliczył podczas bójki w barze.

A to zabolalo.

No dobra, dosyć tego cackania.

Reacher oparł mocno piętę w błotnistym podłożu, pochylił się do przodu i zaatakował gradem silnych uderzeń, szybkim, śmiertelnym rytmem; cztery ciosy - z prawej, z lewej, z prawej, i z lewej, miażdżący hak od dołu w podbródek, jakby znowu był szalonym pięciolatkiem ze swojej pierwszej walki, tylko pięć razy cięższym i osiem razy bardziej doświadczonym. Zarządca już w zasadzie padał na ziemię, gdy dosięgnął go hak. Cios uniósł go, przechylił do tyłu głowę i kompletnie ściął z nóg. Reacher odwrócił się i z rozmachu kopnął gramolącego się w błocie olbrzyma w głowę na wysokości ucha, jakby wykopywał piłkę. Uderzenie wstrząsnęło wielkoludem i zwałił się momentalnie z powrotem w błoto. Zarządca leżał bez ruchu. Olbrzym leżał bez ruchu. Koniec gry.

Reacher sprawdził, czy sam nie ma połamanych kości, na szczęście nic nie znalazł. Stał przez chwilę, wyrównując oddech, i spojrzał na północ. Thurman wyrwał się Vaughan i sunął powoli w stronę bramy, wywijając się, wymachując rękami, próbując całkiem się od niej uwolnić. Kapelusz spadł mu z głowy. Miał mokre, poszarpane włosy. Reacher ruszył w ich kierunku. Zatrzymał się na chwilę, by podnieść z ziemi wielki klucz olbrzyma, potem oparł go o bark i niósł jak siekiere. Mozolnie szedł do przodu. Jak w zwolnionym tempie. Zrównał się z Vaughan na trzy metry przed bramą, zacisnął rękę na barkach Thurmana i naparł w dół. Stary człowiek zgiął się i padł na kolana. Reacher poszedł dalej, do bramy. Znalazł małą zieloną skrzynkę. Odchylił pokrywę. Zobaczył klawiaturę. Zamachnął się kluczem i roztrzaskał ją w drzazgi. Uderzył jeszcze raz i jeszcze raz. Klawiatura wypadła z uchwytu. Jej mała metalowa obudowa zawisała na przewodach. Uderzył jeszcze raz, z góry na dół, by zerwać ją z przewodów. Thurman nadal klęczał.

- Co zrobiłeś? Teraz się stąd nie wydostaniemy - powiedział.
- Mylisz się. To ty się stąd nie wydostaniesz. A my damy sobie radę - odparł Reacher.
- Jak?
- Zobaczysz.
- To niemożliwe.
- A dałbyś mi kombinację do zamka cyfrowego?
- Nigdy.
- Więc co za różnica.
- Reacher, co ty, do licha, masz w kieszeniach? - zapytała Vaughan.
- Mnóstwo rzeczy. Rzeczy, których będziemy potrzebować.

71

Reacher przebrnął przez błoto do powalonych ludzi Thurmana, przewrócił ich na bok i pozostawił w pozycji, którą sanitariusze nazywają pozycją boczną ustaloną. Leżeli teraz obaj na boku: jedna ręka ugięta z dłonią podsuniętą pod głowę, dolna noga prosto, górna ugięta w

kolanie. Nie zadławiają się w takiej pozycji. Najwyżej utoną, jeśli kałuże nadal będą się wypełniały wodą. A deszcz cały czas lał z nieba. Stukał o przeciwdeszczowe płaszcze i gumiaki.

Thurman podszedł do bramy, próbował stukać i walić w rozgniecioną klawiaturę zamka cyfrowego. Bez rezultatu. Brama pozostała zamknięta. Podał się i ruszył w stronę środka areny. Światła nadal ją oświetlały. Reacher i Vaughan brnęli w stronę osiemnasto-kołowej ciężarówki. Stała tam zamknięta w spokoju i zapomnieniu.

- Naprawdę myślisz, że to jest bomba? - zapytała Vaughan.
- A ty nie? - odpowiedział pytaniem Reacher.
- Thurman był bardzo przekonujący, gdy opowiadał o tych darach dla Afganistanu.
- Jest kaznodzieją. Musi być przekonujący.
- A jeśli się mylisz?
- A jeśli mam rację?
- Jakie mogą być zniszczenia?
- Jeśli wszystko dobrze złożył do kupy, to nie chciałbym się znaleźć w promieniu pięciu kilometrów od miejsca, gdzie wybuchnie.
- Pięć kilometrów?
- Dwadzieścia ton TNT, dwadzieścia ton pociętego w szrapnele złomu. To niezłe fajerwerki.
- Jak się stąd wydostaniemy?
- A gdzie zostawiłaś swój pick-up?
- Tam, gdzie zaparkowaliśmy. Złapali mnie z zaskoczenia. Otwarli zewnętrzną bramę i przewieźli przez cały zakład SUV-em Thurmana. Stoi po drugiej stronie bramy wewnętrznej, którą doprowadziłeś do takiego stanu, że na pewno teraz już nie da się jej otworzyć.
- Wielka mi sprawa.
- Przecież nie wdrapiesz się na to ogrodzenie.
- Ja nie. Ale ty możesz - oświadczył Reacher.

• • •

Rozmawiali przez pięć minut o tym, co i w jaki sposób należy zrobić. Noże, spawy, średnia grubość blachy dachowej samochodu, taśmy płócienne, węzły, hak holowniczy i szkle mocujące, napęd na cztery koła, jazda na reduktorze. Thurman dreptał bez celu sto metrów dalej. Zostawili go tam i podeszli do ogrodzenia z blachy. Wybrali miejsce trzy metry od bramy. Reacher wyjął noże sprężynowe z kieszeni i wręczył je Vaughan. Stanął tyłem do ogrodzenia dokładnie w miejscu największego wybrzuszenia cylindra. Deszcz odbijający się o jego powierzchnię spływał mu po głowie i plecach. Pochylił się i splótł dłonie w strzemień. Vaughan stanęła, wsunęła prawą nogę w splecione dłonie. Złapała się rękami za jego barki i uniosła na prawej nodze, prostując ją w kolanie. Reacher złapał jej lewą nogę od spodu, za podeszwę buta, zwijając palce dłoni w kołyskę. Stała teraz wyprostowana na obu jego dłoniach, poleciała trochę do przodu, aż klamra jej paska uderzyła Reachera w czoło.

- Przepraszam.
- To przecież nic, czego byśmy już kiedyś nie robili - zażartował.
- Jestem gotowa.

Reacher miał sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i długie ramiona. W przeciętnych pokojach motelowych potrafił przyłożyć całą wewnętrzną powierzchnię dłoni do sufitu wysokiego na dwa metry czterdzieści. Vaughan miała metr sześćdziesiąt trzy wzrostu. Z podniesionymi ramionami mogła najwyżej dosięgnąć dwóch metrów i dziesięciu centymetrów. To dawało razem cztery i pół metra, czyli o dwadzieścia centymetrów więcej niż wysokość płotu.

Podniósł ją. Początkowy ruch przypominał ćwiczenie na biceps - uginanie ramion ze sztangą o wadze pięćdziesięciu pięciu kilogramów. Niby niewiele, ale przecież dłonie Reachera trzymające stopy Vaughan były skrócone pod nienaturalnym kątem. No i oparcie jego stóp nie

było też takie pewne. Do tego Vaughan nie przypominała sztywnej sztangi. Bujała się i walczyła o utrzymanie równowagi.

- Gotowa? - zawołał.

- Sekundę.

Poczuł, że balansuje w jego rękach z lewej na prawą, z prawej na lewą, starając się jak najlepiej przygotować do następnego manewru.

- Teraz! - krzyknęła.

Reacher zrobił cztery rzeczy. Podrzucił ją raptownie, wykorzystał jej chwilową nieważkość, by zmienić ustawienie dłoni pod podszewkami jej butów, zrobił pół kroku do przodu i zablokował wyciągnięte prosto do góry ramiona.

Vaughan opadła pod lekkim kątem do przodu i oparła się o wybrzuszenie cylindra wierzchem dłoni. Pusta przestrzeń wewnątrz zabrzęczała raz, a potem kilka razy dźwięk wybrzmiał echem.

- W porządku?

- W porządku - odpowiedziała.

Czuł palcami, jak stara się wyciągnąć jeszcze wyżej, stojąc na jego dłoniach. Czuł, jak wyciąga ramiona do góry. Według jego wyliczeń jej dłonie powinny dotykać szczytu cylindra. Usłyszał, jak wyskakuje pierwsze ostrze noża sprężynowego. Przekręcił odrobinę dłonie i uchwycił ją za palce u nóg dla lepszej równowagi. Vaughan będzie jej teraz bardzo potrzebowała. Zrobił minimalny krok do przodu. Wyobraził sobie, że teraz Vaughan opiera się brzuchem o wybrzuszenie cylindra. Deszcz lał się na niego wodospadem. Usłyszał pierwsze uderzenie ostrza noża o blachę. Ogrodzenie zachrząsało i zadudniło.

- Nie chce się przebić! - zawołała.

- Uderz mocniej - odpowiedział.

Uderzyła jeszcze raz. Całe ciało zadrżało, aż Reacher musiał zbalansować nogami, żeby Vaughan zachowała równowagę na górze. Czuł się jak akrobata w cyrku. Ogrodzenie zadudniło.

- Nie jest dobrze! - zawołała.

- Mocniej.

Uderzyła jeszcze raz. Tym razem cylinder nie zadudnił. Rozległ się tylko metaliczny dźwięk i po nim nic.

- Ostrze się złamało! - zawołała. Ramiona zaczęły boleć.

- Weź drugi nóż. Tylko uderzaj pod kątem prostym, okay?

- Metal jest za gruby.

- Wcale nie. Cylinder jest prawdopodobnie z maski jakiegoś starego gównianego buicka. To jak folia aluminiowa. A ostrze jest z dobrej japońskiej stali. Uderz mocno. Kogo nienawidzisz?

- Frajera, który podłożył bombę pod samochód Davida.

- On jest tu, w środku cylindra. Jego serce jest po drugiej stronie blachy.

Usłyszał, że ostrze drugiego noża wysunęło się z rękojeści. Przez sekundę była cisza. Potem poczuł, jak mięśnie nóg Vaughan napięły się i kolejne głucho dudnienie przeszło po ogrodzeniu.

Ale zabrzmiało już jakoś inaczej.

- Przeszło! - zawołała Vaughan. - Do końca.

- Podciągnij się na nim.

Poczuł, jak cały ciężar jej ciała opiera się o drewnianą rękojeść, jak całe jej ciało się pręży, gdy ręce zacisnęła na trzonku i ciągnęła. Poczuł, jak zmniejsza się nacisk jej stóp. Po czym ciężar wrócił.

- Przecina blachę! - zawołała. - To oczywiście. Zatrzyma się, gdy natrafi na spaw.

Sekundę później ostrze się zatrzymało.



- Gdzie jest nóż? - zapytał.
- Na samej górze.
- Gotowa?
- Na trzy! - krzyknęła. - Raz, dwa, trzy!

Rzuciła się do góry, a on próbował dodatkowo ją jeszcze podrzucić i wspierał palcami dłoni, stojąc na palcach stóp. Nagle jej ciężar zniknął. Reacher odsunął się szybko na bok, na wypadek gdyby Vaughan miała spaść. Ale nie spadła. Odszedł od ogrodzenia, by zobaczyć, co się z nią dzieje. Leżała poziomo na wierzchołku cylindra z rozsuniętymi nogami, trzymając się dłońmi rękojeści wbitego noża. Odpoczęła kilka sekund, przesunęła ciężar ciała na zewnętrzną stronę wierzchołka cylindra i zaczęła się staczać, najpierw powoli, potem szybciej, zakręcając się wokół osi obrotu, jaką stanowił nóż. Na koniec zobaczył tylko jej zaciśnięte dłonie na rękojeści, na samym wierzchołku cylindra. Ciężar jej ciała zaczął powodować przecinanie blachy. Najpierw szybko, w miejscu, gdzie blacha była już rozcięta. Potem wolniej, gdy ostrze trafiło na nietknięty fragment metalu. Ostrze zatrzyma się znowu na następnym spawie, który, według założeń Reachera, powinien być około półtora metra dalej, bo taka jest w przybliżeniu szerokość dachu samochodu, a to daje jedną czwartą obwodu cylindra, co oznacza, że podeszwy jej butów będą znajdować się zaledwie sto dwadzieścia centymetrów nad powierzchnią ziemi.

Da się przeżyć taki upadek.

Przypuszczalnie.

Przeczekał chwilę, która ciągnęła się wyjątkowo długo, i wreszcie usłyszał dwukrotne uderzenie po drugiej stronie metalowego płotu. Oba zabrzmiały dwukrotnie, raz natychmiast, drugi raz, gdy dźwięk powrócił echem pustym wnętrzem cylindra. Zamknął oczy i się uśmiechnął. To był ich umówiony sygnał. Stała na własnych nogach. Żadnych złamań.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdził Thurman. Reacher się odwrócił. Starzec nadal był bez kapelusza. Jego pofalowana fryzura przeszła do historii. Dziewięćdziesiąt metrów dalej wciąż bez ruchu leżało dwóch jego ludzi. Jeszcze cztery minuty, pomyślał Jack.

- Też dałbym radę tak jak ona - oświadczył Thurman.

- Chyba w marzeniach - odparł Reacher. - Ona ma kondycję i zwinność. A pan jest starym, grubym człowiekiem. I kto niby miałby pana podrzucić? W prawdziwym życiu nie jest tak jak na filmach. Pana ludzie nie wstaną nagle, nie otrząsną się i nie ruszą do akcji. Będą rzygać i przewracać się przez cały tydzień.

- Jest pan z tego dumny?

- Dałem im wybór.

- Pana przyjaciółka nie otworzy bramy. Nie zna kombinacji.

- Proszę zachować wiarę, panie Thurman. Za kilka minut zobaczy pan, jak unoszę się do nieba.

Reacher wyteżył słuch, by usłyszeć jakieś dźwięki z głównej części kombinatu, ale deszcz był zbyt głośny. Krople zawzięcie waliły w kałuże i stukały o powierzchnie metalu, więc pozostało mu czekanie. Zajął pozycję dwa metry od ogrodzenia i metr od miejsca, w którym Vaughan przeszła na drugą stronę. Thurman stanął z tyłu i też czekał.

Minęły trzy minuty, potem cztery. A wtedy bez żadnego ostrzeżenia przez metalowy płot przeleciała, niczym wijący się wąż, parcziana taśma i jej wolny koniec upadł półtora metra od Reachera, po jego prawej stronie. Taśma służyła do przywiązywania zgniecionych wraków samochodów do platform transportowych na naczepach. Vaughan pojechała samochodem Thurmana do biura ochrony, znalazła taśmę odpowiedniej długości na stosie nieopodal drzwi i obciążyła ją na jednym końcu kawałkiem rury. Reacher wyobraził sobie, jak stojąc sześć metrów od płotu, niczym kowbojka macha nad głową taśmą z przywiązaną do jej końca rurą, zwiększa prędkość obrotu, wypuszcza taśmę z uścisku i obserwuje, jak przelatuje ponad wierzchołkiem cylindra.

Reacher chwycił taśmę, odwiązał rurę i związał koniec liny w sporą pętlę na końcu. Okręcił prostą część taśmy wokół nadgarstka i podszedł do ogrodzenia. Kopnął w nie dwa razy, cofnął się krok, stanął stopą w pętli, którą uwiązał, i czekał. Wyobrażał sobie, że Vaughan mocuje drugi koniec taśmy do haka holowniczego tahoe, wsiada za kierownicę, włącza napęd na cztery koła, załącza reduktor wolnego biegu, żeby samochód uzyskał pełną moc uciągu, wolno kręcąc kołami w błocie. Wcześniej tłumaczył jej dokładnie, by właśnie tak zrobiła. Nie chciał, żeby wyrwało mu ramiona ze stawów, gdyby za mocno i zbyt nagle nacisnęła pedał gazu.

Czekał. Taśma naciągnęła się i zadrżała. Powoli zaczęła ciągnąć go do góry, ślizgając się po powierzchni cylindra prawie bez żadnego tarcia. Mokre płótno na gładko pomalowanym metalu, do tego mokrym od deszczu. Taśma powoli się naprężała i wreszcie zaczęła go unosić. Bardzo powoli, może ze dwadzieścia centymetrów na sekundę. Tylko trochę szybciej niż kilometr na godzinę. To nie był żaden wysiłek dla potężnego silnika V-8 chevroleta tahoe. Wyobrażał sobie, jak skoncentrowana musi być teraz Vaughan, siedząc za kierownicą samochodu ze stopą delikatnie, niczym piórkiem naciskającą gaz.

- Do widzenia, panie Thurman - zawołał Reacher. - Wygląda na to, że tym razem to nie pan mnie, ale ja zostawiam pana z tyłu.

Spojrzał do góry i odpychał się lewą ręką od bocznego wybrzuszenia cylindra, by prawa dłoń owinięta taśmą nie została zmiażdżona o powierzchnię metalu. Dotknął biodrami cylindra, uwolnił prawą rękę z uścisku taśmy, oparł dłonie o blachę i pozwalał się taśmie dalej ciągnąć na wierzchołek ogrodzenia. Dotarł na samą górę, a pętla na jego stopach ciągnęła jego nogi, dopóki nie znalazły się równoległe do osi płotu na samym jego szczycie; wtedy odepchnął pętlę i rozpląszczył się na cylindrze na brzuchu, jakby robił orła. Ruszył biodrami, przesunął nogi na drugą stronę i zeskoczył, próbując hamować rozpostartymi palcami i ramionami. Skok trwał dwa ułamki sekundy. Uderzył o ziemię i spadł na plecy, pozbawiając się oddechu. Przerolował się na bok, starając się odzyskać sprawność, i podniósł się na kolana.

Vaughan zatrzymała tahoe sześć metrów dalej. Reacher wstał na równe nogi, podszedł do samochodu, odczepił taśmę z haka holowniczego. Wsiadł na siedzenie po prawej stronie i zatrzasnął drzwi.

- Dzięki - odsapnął.

- Jesteś cały? - zapytała Vaughan.

- Tak, a ty?

- Czuję się jak wtedy, gdy byłem dzieckiem i spadłem z jabłoni. Byłam przestraszona, ale nic mi się nie stało.

Przesunęła dźwignię reduktora na szybkie przełożenia i ruszyła. Dwie minuty później znaleźli się przy głównej bramie dla ciężarówek, która była szeroko otwarta.

- Powinniśmy ją zamknąć - zdecydował Reacher.

- Po co?

- By zatrzymać zniszczenia po tej stronie, o ile mam rację.

- A jeśli się mylisz?

- Pięć prób dodzwonienia się pokaże, czy mam rację, czy nie. Zatrzymali się tuż za bramą, wyszli z samochodu i podeszli

do zielonej skrzynki przymocowanej do powierzchni ogrodzenia. Reacher odchylił drzwiczki, odsłaniając cyfrową klawiaturę.

- Spróbuj sześć-sześć-jeden-trzy - powiedział. Vaughan spojrzała niepewnie, ale podeszła do klawiatury

i podniosła palec wskazujący. Nacisnęła sześć, sześć, jeden, trzy. Przez sekundę nic się nie działo, ale po chwili silniki elektryczne włączyły się i brama zaczęła się zamykać. Trzydzieści centymetrów na sekundę. Koła podpierające skrzydła bramy chrzęściły w prowadnicach.

- Skąd znałeś kod dostępu? - zapytała.

- Większość kodów składa się z czterech cyfr. Do kart bankomatowych, kredytowych, sama wiesz. Ludzie są generalnie przyzwyczajeni do kodów czterocyfrowych.
- Ale skąd wiedziałeś, że to właśnie te cztery cyfry?
- Miałem szczęście i zgadłem - odparł Reacher. - Apokalipsa świętego Jana jest sześćdziesiątą szóstą księgą Biblii Króla Jakuba. Rozdział pierwszy, wers trzeci mówi, że „Chwila jest bliska”, a to właśnie ulubiony cytat Thurmana.
- Więc mogliśmy wyjść stamtąd bez wspinaczki?
- Jeśli my byśmy mogli, to oni też by tak zrobili. A chciałem, żeby tam zostali. Więc musiałem rozwalić zamek cyfrowy.
- Dokąd teraz jedziemy?
- Do hotelu w Rozpaczy. Ty wykonasz pierwszy telefon.

72

Przejechali wzdłuż ogrodzenia i porzucili tahoe Thurmana obok miejsca, gdzie Vaughan zaparkowała swojego starego chevy. Przesiedli się do pick-upu i po przejechaniu przez parking znaleźli drogę. Pięć kilometrów dalej byli już w centrum Rozpaczy. Deszcz nie ustawał. Ulice i chodniki były nieoświetlone, puste i zalane wodą. Środek nocy w środku jakiejś totalnej dziury. Przejechali kilka przecznic i zatrzymali się przed hotelem. Fasada była ciemna i tak samo ponura jak zwykle. Drzwi zewnętrzne nie były zamknięte na zamek. W środku wszystko wyglądało po staremu. Pusta sala jadalna po lewej, opuszczony bar po prawej, pusta recepcja pośrodku. Rejestr gości leżał na ladzie. Wielka księga oprawna w skórę. Łatwo ją było otworzyć, łatwo przekręcić w każdą stronę i łatwo odczytać, cokolwiek w niej było zapisane. Reacher wskazał palcem ostatni wpis w księdze - małżeństwo z Kalifornii, które zatrzymało się tu siedem miesięcy temu. Vaughan odczytała dane - nazwiska i adres.

- Zadzwoń do nich - powiedział. - I jeśli to oni pomagają dezerterom, to powiedz im, cokolwiek podpowie ci twoje sumienie.

- Jeśli?

- Obawiam się, że tak naprawdę to chodzi im o zupełnie coś innego.

Vaughan zadzwoniła ze swojej komórki. Usiedli w wypłowiałych fotelach, czekając na telefon zwrotny.

- Dary są przecież doskonałym wytłumaczeniem. Różne zgromadzenia religijne wysyłają potrzebującym dary przez cały czas. Różni wolontariusze robią to samo. To zwykle dobrzy ludzie.

- To nie jest wcale przekonujące - odparł Reacher. - Całe moje życie zawodowe polegało na styczności z ludźmi, którzy wcale nie byli zwykli. Byli wręcz wyjątkowi.

- A co cię w tym wszystkim tak bardzo dziwi?

- Spawy.

- Przecież kłódki można zerwać.

- Kontener został przyspawany do naczepy. W taki sposób na pewno nie osadza się kontenerów na naczepy. Przecież w portach unoszą je dźwigi i ładują na statki. To cała idea kontenerów. Spawy sugerują, że ten kontener wcale nie ma zamiaru opuścić kraju.

Telefon Vaughan zaczął dzwonić. Czekali zaledwie trzy minuty. Z perspektywy gliniarza była to kwestia całego systemu bezpieczeństwa narodowego. Agencje bezpieczeństwa, łączy komputerowe, połączone bazy danych. Odebrała telefon i wysłuchała informacji przez długie cztery minuty. Podziękowała i się rozłączyła.

- Nie da się wykluczyć, że są zamieszani w pomoc dla dezerterów - wywnioskowała.

- Bo?

- W bazach danych widnieją jako aktywiści. A aktywiści mogą robić różne rzeczy.

- Jakiego rodzaju aktywiści?

- Religijni konserwatyści.
- Jakiego rodzaju konserwatyści?
- Prowadzą zgromadzenie w Los Angeles, które nazwali Kościołem Apokalipsy.
- Apokalipsa jest częścią historyjki o dniach ostatnich - wyjaśnił Reacher.

Vaughan milczała.

- Może przyjechali tutaj, żeby zdobyć poparcie Thurmana jako brata w wierze? Może w jakiś sposób wysoko ocenili jego potencjał?

- To nie zatrzymaliby się w hotelu, tylko ugościłby ich w swojej rezydencji.

- Nie za pierwszym razem. Przecież wtedy jeszcze ich nie znał. Może dopiero za trzecim, czwartym, piątym i szóstym mieszkali u niego. Wszystko zależy od tego, jak bardzo pracowali nad tym, żeby go przekonać. Między ich pierwszą wizytą a zamówieniem TNT z Kearny są cztery miesiące przerwy.

- Powiedział, że to tylko błąd w zamówieniu.

- Wierzysz w to?

Vaughan milczała.

- Cztery telefony - ciągnął Reacher. - Tylko tyle nam potrzeba, by się przekonać.

• • •

Wyszli z hotelu, wsiedli do chevy i pojechali na zachód do granicy miasta. Przez przednią szybę widzieli z pięciu kilometrów niebieskawe, odległe, rozmazane światła, jakby znad jakiegoś wielkiego grobowca w środku totalnej pustki. Zatrzymali samochód na wysokości ostatnich zabudowań, maską w stronę zakładu i pustki. Reacher wyjął z kieszeni pożyczoną komórkę. Wyjął też kartkę z numerami nowo zakupionych telefonów, którą zabrał z biura działu zakupów. Kartka była mokra i miękka, dlatego bardzo ostrożnie ją rozwijał.

- Gotowa? - spytał.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odpowiedziała Vaughan. Wybrał trzeci numer od góry. Usłyszał sygnał łączenia, raz,

dwa razy, cztery razy, sześć razy, osiem razy. Wreszcie usłyszał męski, mamrocący na powitanie głos, który natychmiast rozpoznał. Całkiem normalny tembr, trochę odległy, jakby dwukrotnie przytłumiony - pierwszy raz przez wielką klatkę piersiową, z której się wydobywał, a drugi raz przez obwody telefonii komórkowej.

To był głos olbrzyma z zakładu.

- Jak się masz, stary? Długo już jesteś na nogach? - wesoło zapytał Reacher.

- Idź do diabła - odpowiedział wielkolud.

- Może pójdę, a może nie. Nigdy nie potrafię przepowiedzieć, co się ze mną stanie w przyszłości. To wy jesteście teologami, nie ja. •v Cisza w słuchawce.

- Twój koleś też już na nogach? - zapytał Reacher. Cisza w słuchawce.

- To zadzwonię do niego i sam to ustalę - odpowiedział sam sobie Reacher.

Rozłączył się i wybrał drugi numer od góry. Osiem sygnałów i usłyszał głos nadzorca fabryki.

- Przepraszam, pomyłka - powiedział do słuchawki Reacher i się rozłączył.

- Co ty, do licha, robisz? - zapytała Vaughan.

- W jaki sposób rebelianci zrobili krzywdę Davidowi?

- Odpalili minę przy drodze.

- W jaki sposób ją zdetonowali?

- Przypuszczam, że zdalnie. : Reacher skinął głową.

- Przypuszczalnie przez radio, z pobliskich wzniesień. Więc jeśli Thurman zbudował bombę, to jak ją zdetonuje?

- W ten sam sposób.

- Ale nie z pobliskich wzgórz. Z pewnością wolałby się wtedy znajdować w miejscu bardziej odległym od centrum wybuchu. Może nawet w innym stanie. Może tutaj, w Kolorado, albo w

swoim pokręconym kościółku. A to wymaga bardzo silnego nadajnika. Może nawet będzie musiał sam zbudować taki nadajnik i odbiornik, żeby być pewnym ich niezawodności. A to dużo pracy. Więc podejrzewam, że postanowił wykorzystać system telekomunikacji, który zbudował ktoś inny. Ktoś taki jak Verizon, T-mobile albo Cingular.

- System telefonii komórkowej? Reacher znowu skinął głową.  
- To przecież najlepszy sposób. Firmy telekomunikacyjne wydają dużo kasy na budowanie niezawodnych sieci telefonicznych. Oglądasz ich reklamy w telewizji. Chwalą się tym, że możesz skorzystać z telefonu, gdziekolwiek jesteś. Niektóre nawet pokrywają koszty rozmów międzystanowych.

- Czy ten numer jest na tej liście?

- To byłoby całkiem logiczne. Dwie rzeczy wydarzyły się w tym samym czasie trzy miesiące temu. Thurman zamówił dwadzieścia ton TNT i cztery nowe telefony komórkowe. Dla mnie to wyraźnie jest jakiś plan. A wszystko inne już miał, by go zrealizować. Podejrzewam, że jeden telefon zostawił sobie, dwa przekazał najbliższemu pracownikowi, żeby mogli bezpiecznie porozumiewać się między sobą, niezależnie od wszystkiego. Czwarty telefon jest zakopany gdzieś w tym kontenerze i sprzężony z układem zapłonowym bomby. Taki telefon podczas dzwonienia wytwarza całkiem niezły prąd. Możliwe, że zainstalowali tam dodatkowy akumulator i podłączyli telefon do jednej z tych anten zewnętrznych, które tak pięknie prezentują się na kabinie ciągnika siodłowego Peterbuilt.

- Chcesz wybrać ten numer?

- Za chwilę - odpowiedział Reacher.

Zadzwoił pod pierwszy numer na liście. W słuchawce odezwał się Thurman. Szybko i niecierpliwie, jakby czekał na ten telefon.

- Przeszliście już przez płot czy nadal tam siedzicie? - spytał Reacher.

- Nadal jesteśmy tutaj. Po co do nas dzwonisz?

- Czy wreszcie zaczynacie wyczuwać, o co chodzi?

- Czwarty numer telefonu należał do Underwooda. A on nie żyje, więc nie odpowie. Nie ma sensu pod niego dzwonić.

- Okay - odpowiedział Reacher.

- Jak długo będziesz nas tu trzymał?

- Jeszcze tylko przez minutę.

Reacher rozłączył się i położył telefon na półeczce deski rozdzielczej chevy. Popatrzył przez przednią szybę.

- Nie możesz tego zrobić. To byłoby morderstwo - oświadczyła Vaughan.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie - powiedział Reacher. - Thurman powinien znać te słowa o wiele lepiej niż ktokolwiek inny. Pochodzą z Biblii. Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział dwudziesty szósty, wers pięćdziesiąty drugi. Lekko sparafrazowane. Oprócz tego: „Oni wiatr sięją, zbierać będą burzę”. Księga Ozeasza, rozdział ósmy, wers siódmy. Mam dość ludzi, którzy uważają, że żyją według Pisma Świętego, lecz jedynie wybierają sobie te kawałki, które są im wygodne, a ignorują całą resztę.

- Przecież możesz się całkowicie mylić co do tego faceta.

- Wtedy kłopot będzie z głowy. Dary nie wybuchną. Nie mamy nic do stracenia.

- Ale możesz też mieć rację.

- W takim przypadku nie powinien był mnie okłamywać. Powinien się przyznać. I wtedy dałbym mu szansę stanąć przed ławą przysięgłych.

- Nie wierzę ci.

- Nigdy już się nie przekonamy.

- Nie wyglądał na przestraszonego.

- Jest przyzwyczajony do mówienia różnych bzdur i do tego, że ludzie mu wierzą.

- Mimo wszystko.

- Powiedział mi, że nie obawia się śmierci. Że i tak dostanie się do lepszego miejsca.
- Nie jesteś jednoosobowym departamentem sprawiedliwości.
- A on nie jest wcale lepszy od tego kogoś, kto wysadził w powietrze hummera Davida. Jest kimś gorszym. David przynajmniej był żołnierzem. Był na patrolu, na pustynnej drodze. A Thurman ma zamiar dowieźć ten kontener do jakiegoś miasta pełnego dzieci i ich dziadków. Tysiące ludzi w pobliżu kontenera i kolejne tysiące trochę dalej. On chce, żeby wiele tysięcy ludzi znalazło się w takiej sytuacji, w jakiej jesteś ty.

Vaughan milczała.

- I po co to wszystko? - ciągnął Reacher. - Dla jakiejś głupiej, zwodniczej wizji.

Vaughan milczała.

Rzucił okiem na ostatni numer. Wprowadził go do telefonu. Trzymał komórkę płasko na dłoni i wyciągnął ją w kierunku Vaughan.

- Wybór należy do ciebie - powiedział. - Zielony przycisk i telefon zacznie wybierać numer; czerwony przycisk, kasujemy wybieranie.

Vaughan jeszcze przez chwilę pozostała w bezruchu. Zdjęła rękę z kierownicy. Złączyła trzy palce, trzymając je kciukiem; wskazujący został wyprostowany. Drobnny, zgrabny, czysty, z zadbanym paznokciem. Dłoń wisiała w powietrzu, blisko okienka wyświetlacza telefonu.

Ruszyła palcem.

Nacisnęła zielony przycisk.

• • •

Nic się nie stało. Przynajmniej nie od razu. Reacher nie był zdziwiony. Wiedział co nieco o technologii telekomunikacji komórkowej. Przeczytał na ten temat długi artykuł w specjalistycznym czasopiśmie, które ktoś zostawił na fotelu w samolocie rejsowym. Naciśnięcie zielonego guzika oznacza wysłanie sygnału radiowego do najbliższej anteny transmisyjnej z żądaniem nawiązania połączenia. To tak, jakby telefon mówił: „Hej, chcę do kogoś zadzwonić”. Antena przekazuje to żądanie do najbliższej stacji bazowej za pomocą mikrofal, jeśli w fazie projektowania sieci najwięcej do powiedzenia mieli finansisci liczący kasę, albo światłowodem, jeśli do głosu dopuszczono inżynierów. Bazowa stacja sterująca prawie jednocześnie zbiera różne żądania połączenia i przekazuje je do najbliższej centrali sieci komórkowej, gdzie dopiero zaczyna się poważna gra.

Może to właśnie w tym momencie w głośniku telefonu pojawia się pierwszy sygnał dzwonienia. Ale to jeszcze nic nie znaczy. To takie placebo. Po to tylko, by zapewnić dzwoniącego, że wszystko działa. Ale dzwoniący jest jeszcze daleko od celu, jakim będzie przeprowadzenie rozmowy.

Centrala sieci komórkowej wybiera docelowy numer telefonu. Sprawdza, czy telefon jest włączony, czy numer nie jest zajęty, czy nie jest przełączony na inny numer. Liczba kanałów przekazujących głos jest ograniczona i droga w eksploatacji. Więc nie ma szansy na otwarcie takiego kanału, jeśli nie istnieje szansa na to, że telefon zostanie odebrany.

Jeśli wszystko jest w porządku, uruchamia się kanał przekazu mowy. Ciągnie się on od najbliższej dzwoniącego centrali sieci komórkowej do najdalszej centrali, w której zasięgu znajduje się telefon docelowy. Może sygnał jest przekazywany światłowodem, może mikrofalami, może łączem satelitarnym, jeśli odległość między dzwoniącymi jest bardzo duża. Wtedy ta odległa centrala łączy się z najbliższą bazową stacją sterującą, ta z kolei łączy się z najbliższą anteną, która emituje sygnał radiowy bezpośrednio do telefonu komórkowego na częstotliwości 850 megaherców lub 1,9 gigaherców, rozchodzący się liniowo z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Nanosekundę później połączenie jest zakończone i sygnał w słuchawce zmienia się z nic nieznaczącego buczenia w prawdziwy, a telefon odbiorcy rozmowy zaczyna dzwonić.

Całkowity czas mijający do uzyskania połączenia to średnio siedem pełnych sekund.

• • •

Vaughan cofnęła palec i patrzyła przed siebie przez przednią szybę pick-upa. Silnik chevy kręcił się na wolnych obrotach, a wycieraczki szalały z prawej na lewo i z powrotem. Rozciągnęły resztki ochronnego wosku równo po całej powierzchni szyby.

Dwie sekundy.

- I nic - zauważyła Vaughan.

- Jeszcze chwila - uspokoił ją Reacher.

Cztery sekundy.

Pięć.

Patrzyli w dal. Niebieskie światła areny wisiały w powietrzu i błyskały w wilgotnym powietrzu, blade i mokre, poprzecinane strugami deszczu.

Sześć sekund.

Siedem.

Nagle ten cichy horyzont rozświetlił się potężnym białym błyskiem, który początkowo wypełnił tylko przednią szybę, ale po sekundzie zaczął się rozciągać na cały horyzont coraz wyżej i coraz szerzej. Padający wokół błysku deszcz momentalnie przemienił się w parę wodną i strumienie rozgrzanej pary pod potężnym ciśnieniem wystrzeliwały w każdym kierunku, jakby jednocześnie wystrzelono tysiąc rakiet. Tuż za parą wodną w powietrze wzbijała się aureola czarnej sadzy, która puchła od wielkości małej czapeczki po rozmiar wielkiej kopuły o promieniu dwóch kilometrów. Kłębiła się, rozrywała, zapadała przekuwana nagłymi wystrzałami gazów, jakby przebijał ją pocisk lecący z prędkością dźwięku.

Nie było nic słyhać. Jeszcze nie w tym momencie. Tylko oślepiające światło i cisza.

W stojącym, suchym powietrzu dźwięk wybuchu pokonałby odległość pięciu kilometrów mniej więcej w około czternaście sekund. Ale powietrze nie stało nieruchomo. Przesuwało się w ściśniętej powybuchowej fali uderzeniowej, która pchała ze sobą dźwięk. Dotarła do nich trzy sekundy po błysku wybuchu. Pick-up zachwiał się i przysiadł na tylnej osi trzymany hamulcami, a powietrze wokół zadrzało potężnym echem wybuchu i wściekłym świstem powietrznych szrapneli penetrujących przestrzeń z niezmierną siłą i atakujących wszystko, co tylko znalazło się na ich drodze. Następnie fala dekompresji zaczęła ciągnąć za sobą powietrze w powrotną stronę, by wypełnić powstałą po wybuchu próżnię, a pick-up znowu się zatrząsł. Czarna kopuła smoły została rozwiana przez nagły wiatr i po chwili nie było już żadnego śladu po wybuchu poza przypadkowymi wystrzałami płomieni i pary wodnej z dogasającego epicentrum. Wszystko ucichło poza regularnym stukaniem odłamków spadających z ponad pięciu kilometrów, gdzie zostały wyniesione siłą wybuchu. Po dziesięciu sekundach nie było słyhać nawet tego, tylko uderzania kropel deszczu o dach chevy.

73

Vaughan wezwała na pomoc całą obsadę Departamentu Policji w Nadziei do kontrolowania tłumu. W ciągu trzydziestu minut na miejscu pojawili się czterej zastępcy ze służby pomocniczej, jej brat policjant, szef posterunku i policjant zza biurka. Ustawili się na wylocie z miasta na zachód, w linii ostatniego zabudowanego kwartału Rozpaczy. Nikogo nie przepuszczano. W ciągu godziny dotarli gliniarze stanowi trzema samochodami. Przyjechali z drugiej strony. Wszyscy wiedzieli, że w zakładzie był składowany uran. Stanowi potwierdzili, że żandarmi zablokowali drogę na zachód w odległości ośmiu kilometrów od zakładu. Nadchodził świt i już zatrzymywali nadjeżdżające od autostrady ciężarówki.

Zrobiło się jasno, przestało padać, niebo było zasnuwane granatowymi chmurami, a powietrze krystalicznie przejrzyste. „Jak nerwy po ataku bólu”, jak przeczytał gdzieś Reacher, może w jakimś wierszu. Ranek był zbyt chłodny, by poderwać mgiełkę pary wodnej z przesiąkniętej ziemi. Każdy szczegół odległych o ponad tysiąc kilometrów gór stał się doskonale widoczny. Występy skalne, lasy sosnowe, granice wegetacji, czapy śnieżne. Reacher pożyczył lornetkę od szefa Vaughan. Wszedł na drugie piętro najbardziej wysuniętego na zachód budynku

Rozpaczy. Walczył przez chwilę z zaciętym zamkiem okna. Ukłęknął, oparł łokcie o parapet i nastawił ostrość. Niewiele zostało do oglądania.

Białe ogrodzenie z blachy przestało istnieć. Gdzieś leżały jedynie jego podarte kawałki, porzucane, pokłębione, setki metrów od miejsca, z którego wyrwał je podmuch wybuchu. Z zakładu zostały czarne zgliszcza, wielka kupa złomu z powalonymi dźwigami i poskręcany suwnicami. Zgniatarki zostały wyrwane z betonowych fundamentów. Wszystkie mniejsze maszyny zostały rozerwane na kawałki uniemożliwiające jakąkolwiek identyfikację. Kontenery biurowe zniknęły. Rezydencja Thurmana została starta z powierzchni ziemi, a jego drewniany dom wyglądał jak stosik zapalek. Kamienny mur rozsypał się na drobne kawałki i wyglądał z daleka jak pas rozsypanych kryształków soli na blacie stołu. Ozdobne iglaste drzewa zostały wyrwane z korzeniami. Gdzieś pozostały po nich półmetrowe pieńki. Stodoła-hangar przestała istnieć jako budowla, a po samolocie nie było nawet śladu. Potworne zniszczenia.

Lepiej tutaj niż w innym miejscu, pomyślał Reacher. Zszedł na dół i znalazł się w zmienionej sytuacji. Pojawili się już przedstawiciele agencji federalnych. Plotki krążyły w powietrzu. Podobno radar lotniczy w Colorado Springs wykrył coś metalowego na pułapie pięciu tysięcy metrów. Pojawiło się tam na długą sekundę i spadło na ziemię. W miejsce wybuchu wysłano samoloty z czujnikami promieniotwórczości. Zataczały koła i dokonywały pomiarów. Deszcz był dobrodziejstwem. Okazało się też, że pył uranowy jest bardzo higroskopijny. Dzięki opadom deszczu nie powstanie chmura opadowa. Skontaktowano się z każdą firmą budującą ogrodzenia w Kolorado, Nebrasce i w Kansas. Potrzebny będzie płot zabezpieczający o długości prawie trzydziestu kilometrów. Ruiny zakładu pozostaną ogrodzone chyba już na zawsze. Na płocie, co trzy metry będą wisały tablice ostrzegające przed promieniowaniem. Agencje rządowe trzymały w magazynach tablice, lecz nie miały na składzie siatki drucianej na płot zabezpieczający teren.

Mieszkańcom miasta nie przekazano żadnych konkretnych informacji. Agencje nie zadały żadnych konkretnych pytań. Słowo, które było na ustach wszystkich, brzmiało: „wypadek”. Wypadek w zakładzie recyklingu złomu. To takie wspaniałe słowo wytrych. Wypadek w hucie, wypadek na kopalni. Pojawiało się cały czas na przestrzeni dziejów. Jeśli rząd miał jakiegokolwiek wątpliwości i coś do ukrycia, to jego przedstawiciele doskonale wiedzieli, że nie należy zbyt mocno penetrować tematu. Pentagon nabrał wody w usta, zanim tutaj przestało padać. Przyjechali przedstawiciele władz stanowych, by wdrożyć plany postępowania na wypadek kataklizmów. Zaczną się dostawy wody i żywności dla mieszkańców. Uruchomione zostaną linie autobusowe. Pracownicy socjalni będą pomagali mieszkańcom znaleźć pracę w sąsiednich miastach. Przez sześć miesięcy wszyscy będą otrzymywali zapomogi. Udzielony zostanie każdy rodzaj niezbędnej pomocy. Po tym czasie każdy będzie już musiał się sam o siebie martwić.

Najpierw Reacher, a potem Vaughan zostali stopniowo zepchnięci na wschód przez działania oficjeli i funkcjonariuszy agencji rządowych. Po południu znaleźli się znowu na siedzeniach starego chevy w okolicy składu suchej żywności, nie mając nic do roboty. Jeszcze raz spojrzeli na zachód i wrócili do Nadziei.

• • •

Przyjechali do domu Vaughan, wykopali się i ubrali.

- Pewnie zlikwidują teraz szpital, w którym jest David - zmartwiła się Vaughan.
- Ktoś inny go przejmie - uspokoił ją Reacher. - Na pewno ktoś lepszy.
- Nie opuszczę go.
- Nie powinnaś.
- Nawet jeśli on tego nie wie.
- Ale wcześniej wiedział. I to było dla niego ważne.
- Tak myślisz?



- Po prostu wiem. Znam żołnierzy.

Reacher wyjął z kieszeni pożyczony telefon komórkowy i rzucił go na łóżko razem z dowodem rejestracyjnym starego suburbana zabranym ze schowka na rękawiczki. Poprosił Vaughan, by odesłała go właścicielowi bez podawania adresu zwrotnego.

- To brzmi jak mowa pożegnalna - stwierdziła.

- To był jej początek, środek i koniec - wyznał Reacher.

Przytulili się trochę oficjalnie, jak dwie obce osoby mające wspólne sekrety. Reacher wyszedł po pożegnaniu. Najpierw krętą ścieżką po kamieniach przed domem, potem szedł cztery przecznice do First Street. Od razu złapał okazję. Na wschód jechał cały strumień samochodów - pracownicy służb ratunkowych, dziennikarze, mężczyźni w garniturach w nieoznakowanych samochodach, rzemieślnicy. Podniecenie sytuacją sprawiło, że wszyscy byli do siebie przyjaźnie nastawieni. Panował wręcz duch wspólnoty. Reacher jechał jako pasażer faceta z Kansas, który zajmował się wierceniem dziur w ziemi. Załapał się na wykopanie szesnastu tysięcy dziur potrzebnych do postawienia nowego ogrodzenia. Gość był w siódmym niebie. Miał przed sobą miesiące pewnej pracy.

Reacher wysiadł w Sharon Springs, skąd wiodła uczęszczana droga na południe. Obliczył, że ma przed sobą jakieś dwa tysiące kilometrów do San Diego - albo więcej, jeśli znowu trafi na jakieś objazdy.

## Wywiad z Jackiem Reacherem

Podróżujesz z nierozłączną składaną szczoteczką do zębów. Ale co z goleniem?

***Gdy chcę się ogolić, wpadam do drogerii i kupuję trójpak jednorazówek i małe opakowanie pianki do golenia. Używam raz i wyrzucam. Tracę na tym kilka dolców, ale zaoszczędzam na kupnie torby podróźnej.***

Dlaczego nie masz telefonu komórkowego?

***A niby do kogo miałbym dzwonić? I kto chciałby dzwonić do mnie?***

Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

***Tak.***

Blind Blake to muzyk, przez którego wysiadłeś z autobusu w Margrave w Poziomie śmierci. Kim on jest?

***Jest ślepym muzykiem o nazwisku Blake. Naprawdę jest niezwykłym gitarzystą. Można posłuchać go z winyli, ale jego piosenki nagrano też na płytach CD, jeśli macie nowoczesny sprzęt.***

Opowiedz mi o tym, jak po raz pierwszy zabiłeś człowieka.

**Lepiej nie. Opinie ludzkie są bardzo subiektywne, a przecież nie istnieje w prawie zapis o przedawnieniu kary za pozbawienie życia.**

Nie masz samochodu - ale gdybyś miał, to jaki?

**Duży sedan, pewnie poobijany od zewnątrz, ale zadbany od strony technicznej.**

Nosisz bokserki czy slipki?

**Cokolwiek jest pod ręką w supermarkecie. A czasem nic.**

Twój ideał kobiety?

**Pewna siebie i dlatego taka nigdy by ze mną nie wytrzymała.**

Na kogo będziesz głosował w następnych wyborach?

**Na gościa najmniej wchodzącego w tylek facetom, którzy tym wszystkim rządzą.**

Jaka jest twoja ulubiona broń?

**Ludzki umysł.**